

NIESZKANCY SENNEGO KURORTU ZMIENIAJĄ SIĘ W POZBAWIONE UCZUĆ BESTIE...

Dean
KOONTZ
Północ



Dean R. Koontz

Północ

Midnight

Przekład Jan Kabat

Data wydania oryginalnego 1989

Data wydania polskiego 1994

TIMN

Dla Eda i Pata Thomasów,

Którzy są tak miłymi ludźmi,

Że podejrzewam,

Iż to nie są prawdziwi ludzie,

Ale przybysze z innego,

Lepszego świata.

CZĘŚĆ PIERWSZA
NA NOCNYM WYBRZEŻU

Tam, gdzie płasają dziwadła

W takt nocnej muzyki.

Którą tylko one słyszą.

KSIĘGA WSZELKICH SMUTKÓW

Janice Capshaw lubiła biegać nocą. Prawie każdego wieczoru po dwudziestej drugiej nakładała szary dres z odblaskowymi niebieskimi paskami na piersiach i plecach, upinała włosy pod opaską, sznurowała adidas i przebiegała sześć mil. Miała trzydzieści pięć lat, ale wyglądała na dziesięć mniej dzięki pasji sportowej.

W niedzielę wieczorem, dwudziestego pierwszego września, wyszła z domu o dwudziestej drugiej i pobiegła wzdłuż Ocean Avenue, głównej ulicy miasta. Minawszy cztery przecznice, skręciła w lewo, w stronę miejskiej plaży. Sklepy były pozamykane i ciemne. Światła paliły się jedynie w niektórych mieszkaniach, w pubie Przy Rycerskim Moście i w kościele katolickim pod wezwaniem Matki Bożej Miłosierdzia otwartym całą dobę. Ponadto noc rozjaśniał miedziany blask latarni. Na ulicy nie było samochodów ani ludzi. Moonlight Cove uchodziło za spokojne małe miasteczko, pogardzające korzyściami płynącymi z turystyki, o które tak chciwie zabiegały inne nadmorskie miejscowości. Janice lubiła ten powolny rytm życia, choć ostatnimi czasy miasto wydawało się nie tyle senne, ile martwe.

Biegąc w dół główną ulicą w bursztynowym świetle oraz cieniach rzucanych przez rzeźbione wiatrem cyprusy i sosny, nie dostrzegła żadnego ruchu. Jedynie rzadka mgła delikatnie wirowała w powietrzu, a ciszę zakłócały tylko ciche klap-klap butów o gumowych podeszwach, uderzających o chodnik i ciężki oddech. W tym pustkowiu mogłaby uchodzić za ostatnią istotę na ziemi, uczestniczącą w jednoosobowym maratonie po biblijnej zagładzie.

Nie lubiła wstawać o świcie i biegać przed pracą. Latem przyjemniej zaliczyć sześć mil po upalnym dniu, choć to nie wstręt do wczesnych godzin ani też upał sprawiły, że wybrała nocną porę. Zimą również ćwiczyła późno. Po prostu lubiła noc.

Już od dziecka uwielbiała siedzieć na podwórzu po zachodzie słońca pod niebem pełnym gwiazd, słuchając żab i świerszczy. Ciemność była kojąca. Wyglądała zbyt ostre kontury świata, łagodziła jaskrawe kolory. Z nadejściem zmierzchu niebo zdawało się cofać, a wszechświat rozszerzał się. Noc była *większa* od dnia, a życie w jej królestwie jakby bogatsze.

Dotarła do miejsca, w którym Ocean Avenue skręcała u stóp wzgórza, przebiegła szybko przez parking i skierowała się ku plaży. Srebrno-żółty blask księżycy na nieomal bezchmurnym niebie oświetlał trasę. Zdarzały się noce zbyt mgliste i pochmurne, by biegać wzdłuż brzegu. Ale tego wieczora spienione fale błyszczały groźnie w czarnej toni, a szerokie zakole piachu połyskiwało blado między pofałdowanym morzem a górzystym wybrzeżem.

Biegąc przez plażę w stronę twardego, wilgotnego piachu nad wodą, a potem na południe do oddalonego o milę krańca zatoki, Janice czuła się cudownie. Jej zmarły mąż Richard, który trzy lata temu przegrał walkę z rakiem, twierdził, że wskazówki jej biologicznego zegara zawsze pokazują północ i że Janice jest kimś więcej niż nocnym markiem.

– Zapewne pokochałabyś życie wampira, istnienie między zachodem słońca a świtem – mówił, a

ona na to:

– Chcę ssać twoją krew.

Boże, jak bardzo go kochała. Początkowo obawiała się, że życie u boku luterańskiego pastora będzie nudne, ale jakże myliła się. Już trzy lata minęły od jego śmierci, a ona wciąż tęskniła za nim, zwłaszcza nocą. Był...

Nagle, mijając dwa wysokie cyprysy na środku plaży w połowie drogi między wzgórzami a brzegiem wyczuła czyjąś obecność w ciemności i mgle. Nie dostrzegła żadnego ruchu, słyszała jedynie odgłos swych kroków, chrapliwy oddech i łomot serca. To instynkt podpowiadał, że ma towarzystwo.

Nie zaniepokoiła się sądząc, że inny biegacz pojawił się na plaży. Kilku lokalnych fanatyków tężyzny fizycznej spotykała na swojej trasie dwa lub trzy razy w miesiącu.

Stała i odwróciła się, lecz ujrzała tylko opustoszałą połąć piachu, skapaną w świetle księżyca, wstęgę połyskliwie spienionej fali, znajome zarysy skał nabrzeżnych i pojedyncze drzewa wystrzelające w górę w różnych miejscach plaży. Słyszała jedynie głuchy plusk fal.

Doszła do wniosku, że instynkt ją zawiódł. Znów skierowała się na południe, szybko odzyskując rytm biegu. Ale pokonała zaledwie pięćdziesiąt jardów, gdy kątem oka dostrzegła jakiś ruch z lewej strony. Coś zwinne wyskoczyło zza rosnącego na plaży cyprysu i pobiegło w kierunku wygładzonych wiatrem i deszczem skał, gdzie zniknęło z pola widzenia.

Janice stanęła. Zastanawiała się nad tym, co zobaczyła. Wydawało się to większe od psa, może było wielkości człowieka, z daleka jednak nie dostrzegła żadnych szczegółów. Skały różnej wysokości tak długo rzeźbiła natura, aż zaczęły przypominać bryłę na wpół roztopionego wosku, dostatecznie dużą, by ukryć to, co przed chwilą widziała.

– Jest tam kto? – spytała.

Nie spodziewała się żadnej odpowiedzi i nie otrzymała jej. Czuła niepokój, ale nie lęk. Jeśli to nie była gra mgły i księżycowego blasku, to z pewnością dostrzegła zwierzę, ale nie psa, gdyż ten pobiegłby do niej, a nie zachowywałby się tak tajemniczo. Ponieważ na wybrzeżu nie grasowały groźne drapieżniki, Janice bardziej zaciekawiła się, niż przestraszyła.

Spocona poczuła chłód, więc dla rozgrzewki tupała w miejscu. Ciągłe wypatrywała wśród skał stworzenia opuszczającego kryjówkę.

Niektórzy ludzie w okolicy trzymali konie, a Fosterowie prowadzili nawet hodowlę i wynajem stajni w pobliżu morza, w odległości dwóch i pół mili za północnym skrzydłem zatoki. Może jeden z nich wy dostał się na wolność? Co prawda ta tajemnicza istota była mniejsza, ale mógł to być kucyk. Z drugiej jednak strony, przecież usłyszałaby tętent kopyt nawet na suchym piachu. Oczywiście, jeśli uciekł koń Fosterów lub kogoś innego, powinna go złapać, albo przynajmniej powiadomić właścicieli, gdzie znajdują zwierzę.

W końcu, gdy nic się nie poruszyło, okrążyła skały. Wokół stały się aksamitne cienie, lecz większość skalnego wzniesienia oświetlał mleczny księżyc. Nie dostrzegła żadnej żywej istoty.

Ani przez chwilę nie pomyślała, że zobaczyła coś innego niż biegacza lub zwierzę, i że grozi jej prawdziwe niebezpieczeństwo. Oprócz sporadycznych aktów chuligaństwa, włamań, których dopuszczały się rozwydrzone nastolatki, oraz wypadków drogowych, lokalna policja nie miała wiele roboty.

Przestępstwa przeciwko życiu, jak gwałt, pobicie, morderstwo, były rzadkością w miejscowości tak małej i zintegrowanej jak Moonlight Cove. Wydawało się, że ludzie zamieszkujący ten zakątek wybrzeża żyli w spokojniejszej epoce niż reszta Kalifornii.

Po lustracji skalistego wzgórza Janice wróciła na twardy piach tuż przy wodzie. Uznała, że zmyliło ją dwóch zdolnych oszustów: blask księżycy i mgła. Wszystko było przywidzeniem.

Mgła nagle zgęstniała, lecz Janice biegła dalej po półkolistej plaży na południowy kraniec zatoki. Była pewna, że dotrze tam i wróci do wylotu Ocean Avenue, nim widoczność ograniczy się do zera.

Lekka bryza od morza skłębiła mgłę, która zgęstniała niczym mleko zmieniające się w masło. Nim Janice dotarła do celu, wiatr nasilił się, a przybrzeżne fale uderzały mocniej w sztuczny falochron ze skał, wyrzucając w górę fontanny wody.

Ktoś stał na tej ścianie z głazów o wysokości dwudziestu stóp i obserwował kobietę. Janice spojrzała w górę w chwili, gdy mgła przesunęła się i księżyc oświetlił sylwetkę.

Teraz opanował ją strach.

Choć nieznajomy znajdował się dokładnie naprzeciwko, nie dostrzegła pogrążonej w mroku twarzy. Wydawał się wysoki, miał dobrze ponad sześć stóp wzrostu, ale mogła mylić się. Widziała tylko jego oczy, które napawały ją strachem. Płonęły słabym bursztynowym blaskiem, jak ślepia zwierzęcia w świetle samochodowych reflektorów.

To spojrzenie porażało ją. Postać majacząca nieruchomo w mroku, na kamiennej ścianie obok strzelającego w górę strumienia wody, mogłaby uchodzić za posąg bożka z dwoma błyszczącymi klejnotami w miejsce oczu, wyrzeźbiony przed wiekami przez wyznawców demonicznego kultu. Janice chciała uciec, ale nie mogła ruszyć się. Czuła się jak przykuta do piachu, w objęciach paraliżującego strachu, który wcześniej przeżywała tylko w koszmarnych snach.

Zastanawiała się, czy jest przytomna. Może to jedynie jakiś zły sen, a ona śpi sobie bezpieczna w łóżku pod ciepłym kocem. Wówczas ten człowiek wydał z siebie złowrogie, głuche warknięcie, przechodzące w złowieszczy syk, niecierpliwy okrzyk pragnienia, gorący ale również zimny, bardzo zimny.

I ruszył z miejsca.

Zsuwał się na czworakach z wysokiego falochronu, nie jak normalny człowiek, ale z kocią zwinnością i wdziękiem.

Janice przełamała paraliżujący strach, zawróciła w miejscu i pobiegła ku wejściu na plażę. Miała przed sobą milę. Nad zatoką, na szczycie urwiska stały domy, w których paliło się światło, a przy niektórych były schody, prowadzące na plażę. Czy znajdzie je w ciemności? Nie marnowała energii na krzyk, gdyż wątpiła, że ktoś ją usłyszy. Poza tym wołanie o pomoc mogło opóźnić nawet nieznacznie ucieczkę, a wtedy prześladowca dogoniłby ją i uciszył, nim ktokolwiek zdołałby odpowiedzieć.

Teraz dopiero doceniła swoje dwudziestoletnie doświadczenie biegaczki. Nie biegła tylko dla zdrowia, wyczuwała, że walczy o życie. Przycisnęła ręce do boków, pochyliła głowę i popędziła, by jak najszybciej dotrzeć do pierwszych domostw przy Ocean Avenue i poczuć się bezpiecznie. Nie sądziła, by ten człowiek lub cokolwiek to było – ścigał ją na oświetlonej i zamieszkałej ulicy.

Różnobarwne chmury zakryły część księżyca, którego światło migotało i pulsowało w szybko gęstniejącej mgle, tworząc niesamowite cienie potęgujące jej strach. To wszystko przypominało mary senne i Janice była skłonna uwierzyć, że leży w łóżku, pogrążona we śnie, lecz nie zatrzymała się ani nie spojrzała za siebie, ponieważ człowiek z bursztynowymi oczami wciąż gonił ją.

Pokonała już połowę trasy między falochronem a Ocean Avenue, czując się z każdym krokiem pewniej, gdy nagle uświadomiła sobie, że dwa z rzekomych cieni, które widziała we mgle, to wcale nie przywidzenie. Jedna z istot biegła wyprostowana po prawej stronie w odległości dwudziestu stóp, druga zaś z lewej pędziła na czworakach piętnaście stóp za nią, rozbryzgując wodę przy brzegu. Dorównywała rozmiarami człowiekowi, choć z pewnością nim nie była, ponieważ żaden człowiek nie poruszał się tak szybko i zwinnie w pozycji psa. Dostrzegała jedynie ich kształt i wielkość, nie widząc twarzy ani szczegółów, z wyjątkiem dziwnie świecących oczu.

Wiedziała jakimś cudem, że żaden z tych prześladowców nie jest człowiekiem z falochronu. Tamten biegł za jej plecami wyprostowany lub na czworakach. Była niemal okrążona.

Janice nie próbowała nawet wyobrazić sobie, kim lub czym byli ci osobnicy. Analizę tego niesamowitego zdarzenia odłożyła na później. Teraz po prostu przyjęła do wiadomości istnienie czegoś niewiarygodnego, bowiem jako wdowa po kaznodziei i głęboko uduchowiona kobieta była gotowa zaakceptować to, co nieznanne i pozaziemskie.

Teraz strach dodawał jej siłę, zwiększyła więc tempo, ale prześladowcy zrobili to samo.

Usłyszała dziwaczne łkanie i z trudem zdała sobie sprawę, że to jej własny, pełen udęczenia głos.

Widma, najwidoczniej podniecone jej przerażeniem, płacząco zawodziły i jęczały. Najgorsze było to, że owe płaczące krzyki przerywało gwałtowne charczenie:

– *Złapać sukę, złapać sukę, złapać sukę.*

Czym na Boga *były*? Nie ludźmi, to pewne, jednak z mowy i postawy przypominały ludzi, więc czym mogły *być*?

Serce waliło jej młotem.

– *Złapać sukę...*

Tajemnicze postaci zbliżały się, więc próbowała przyspieszyć, lecz nie zgubiła ich. Wciąż zmniejszały dystans. Widziała je kątem oka, ale nie odważyła się spojrzeć wprost w obawie, że szokujący widok sparaliżuje ją i upadnie.

I tak do tego doszło. Coś wskoczyło na nią z tyłu. Ruszyła, przygnieciona ogromnym ciężarem, a trzy istoty stłoczyły się nad nią, dotykając jej, ciągnąc i szarpiąc ubranie.

Chmury zakryły prawie cały księżyc, a cienie pogłębiły się.

Twarz miała wciśniętą w mokry piach, ale zdołała odwrócić głowę na bok i wreszcie z trudem krzyknęła, choć brakowało jej tchu. Rzuciła się, kopała, wymachiwała rękami, próbując rozpaczliwie ugodzić prześladowców, ale uderzała głównie w powietrze i piach.

Nic nie widziała, ponieważ księżyc zniknął.

Usłyszała trzask pękającego materiału. Człowiek, który siedział na niej okrakiem, zdarł z niej górę od dresu, rozrywając go na strzępy i drapiąc jej ciało. Czuła dotknięcie gorącej, szorstkiej dłoni, która mimo wszystko była podobna do ludzkiej ręki.

Uwolnił ją na moment od ciężaru, więc szarpnęła się do przodu, ale pozostałe istoty rzuciły się na nią. Była na brzegu, z twarzą w wodzie.

To zawodząc, to dysząc jak psy, sycząc i warcząc, prześladowcy wyrzucali z siebie potoki słów:

– *...złapać ją, złapać, ją, złapać, złapać, złapać...*

– *...chcieć, chcieć, chcieć to, chcieć to...*

– *...teraz, teraz, prędko, teraz, prędko, prędko, prędko...*

Usiłowali ściągnąć jej spodnie od dresu, ale nie była pewna, czy chcą ją zgwałcić, czy pożreć. A może to, czego naprawdę chcieli, przekraczało zdolność jej pojmowania. Byli owładnięci jakąś żądzą, aż promieniującą w zimnym powietrzu, wśród mgły i ciemności.

Jeden z nich jeszcze mocnej wcisnął jej twarz w mokry piach i wodę. Prześladowcy nie zamierzali jej puścić. Wiedziała, że umrze, przygwożdżona i bezradna, a wszystko dlatego, że lubiła biegać nocą.

W poniedziałek, trzynastego października, dwadzieścia jeden dni po śmierci Janice Capshaw, Sam Booker jechał wynajętym samochodem z Międzynarodowego Lotniska w San Francisco do Moonlight Cove. W czasie podróży sporządził w myślach listę powodów, dla których warto żyć. Była to dość ponura, ale zabawna gra. Przyszły mu do głowy tylko cztery rzeczy: piwo Guinnessa, naprawdę dobre meksykańskie jedzenie, Goldie Hawn i strach przed śmiercią.

Ten irlandzki napój nigdy nie zawiódł go, jeśli chodzi o smak i możliwość krótkiej ucieczki od smutków tego świata. Natomiast trudniej było trafić na restaurację serwującą meksykańskie przysmaki, więc tej przyjemności doświadczał rzadziej. Sam dawno już zakochał się w Goldie Hawn, a raczej w ekranowym wizerunku owej pięknej, atrakcyjnej i inteligentnej kobiety, traktującej życie jak wspaniałą zabawę. Szansę spotkania jej były mniej więcej milion razy mniejsze, niż znalezienia wspaniałej, meksykańskiej knajpy w Moonlight Cove, tym nadmorskim miasteczku w północnej Kalifornii. Cieszył się zatem, że aktorka nie była *jedynym* powodem, dla którego warto żyć.

Gdy zbliżał się do celu podróży, wysokie sosny i cyprysy tworzyły przy autostradzie numer jeden szarozielony tunel i rzucały długie cienie w świetle późnego popołudnia. Dzień był bezchmurny, jednak dziwnie nieprzyjemny. Bładoniebieskie niebo, ponure mimo swej krystalicznej czystości, nie przypominało tropikalnego błękitu, do którego przywykł w Los Angeles. Choć temperatura wynosiła około 50°F, jaskrawe promienie słońca, niczym blask odbijający się od lodowej tafli, zdawały się chłodzić barwny krajobraz osnuwając go mgiełką na podobieństwo szronu.

Strach przed śmiercią. Numer jeden na jego liście. Choć miał dopiero czterdzieści dwa lata, pięć stóp jednaście cali wzrostu, sto siedemdziesiąt funtów wagi i dobre zdrowie, już sześciokrotnie balansował na krawędzi życia i śmierci, patrząc w odmęty i nie mając odwagi skoczyć.

Po prawej stronie drogi ukazał się drogowskaz: OCEAN AVENUE, MOONLIGHT COVE, DWIE MILE.

Sam nie bał się bólu umierania, gdyż ten minąłby w mgnieniu oka. Nie obawiał się też, że nie zdąży czegoś zrobić. Przez ostatnich kilkanaście lat nie miał żadnych planów, nadziei, marzeń, nie było więc nic do skończenia. Ale *bał się* tego, co jest poza granicami życia.

Pięć lat temu gdy ledwo żywy leżał na stole operacyjnym, doświadczył zbliżenia ze śmiercią. Gdy chirurdzy walczyli o jego życie, on opuścił ciało i patrzył z sufitu na własne zwłoki i otaczający je zespół lekarzy. Nagle znalazł się w tunelu, pędząc ku oślepiającemu światłu, ku Drugiej Stronie. Wszystko to przypominało historyjki opisane w brukowcach zalegających półki supermarketów. Niemal w ostatniej chwili wytrawni lekarze sprowadzili go na ziemię żywych ludzi, ale on już spojrzał w głąb tunelu. To, co ujrzał, poraziło go. Życie, choć czasem okrutne, było lepsze niż to, co, jak podejrzewał, istniało poza nim.

Dotarł do wylotu Ocean Avenue. U stóp wzniesienia, gdzie ulica skręcała na zachód, pod

autostradą pojawił się następny drogowskaz z napisem: MOONLIGHT COVE PÓŁ MILI.

Po obu stronach czarnej dwupasmówki, wśród drzew migąły domki skąpane w purpurowej poświacie. W oknach paliły się ciepłe, żółte światła, choć do zmroku pozostała jeszcze godzina. Niektóre, w połowie drewniane o głębokich okapach, wzniesiono w stylu bawarskim, który, jak błędnie ocenili architekci z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, miał pasować do wybrzeża północnej Kalifornii. Inne to były bungalowy w stylu Monterey, o ścianach pokrytych białymi listwami lub drewnianymi płytkami, zwieńczonymi cedrową dachówką i ozdobione z nieco rokokową przesadą. Ponieważ Moonlight Cove rozkwitło w ciągu ostatnich dziesięciu lat, pojawiły się też nowoczesne budyneczki o dużej liczbie okien, wyglądające jak okręty rzucone na nadmorskie wzgórze przez niewyobrażalnie wysoką falę.

Gdy Sam, jadąc wzdłuż Ocean Avenue, dotarł do centrum handlowego ciągnącego się przez sześć skrzyżowań, ogarnęło go uczucie, że wszystko tu nie gra. Sklepy, restauracje, puby, targ, dwa kościoły, miejska biblioteka, kino i inne najzwyklejsze budynki użyteczności publicznej okalały główną arterię biegnącą w dół do oceanu, lecz w oczach Sama miasto sprawiało jakieś niesamowite wrażenie, aż wstrząsnęły nim dreszcze.

Nie potrafił określić powodów swej nagłej niechęci do tego miejsca, choć możliwe że wywołała ją ponura gra światła i cieni. U schyłku dnia, w smutnym blasku zachodzącego słońca, szary kamienny kościół wyglądał jak nieziemski gmach ze stali, wzniesiony nie dla ludzkich potrzeb. Otynkowany na biało sklep monopolowy błyszczał, jak gdyby zbudowano go z wygładzonych przez wieki kości. Szyby wielu sklepów falowały odbijając lodowatobiałe promienie zachodzącego słońca, jakby ukrywały to, co robili pracujący za nimi ludzie. Cienie rzucane przez budynki, sosny i cyprysy były proste, spiczaste, o krawędziach ostrych jak brzytwa.

Sam zatrzymał się na czerwonym świetle przy trzecim skrzyżowaniu w połowie centrum handlowego. Za nim nie stały żadne samochody, toteż przyglądał się nielicznym przechodniom. Ci ludzie także wydali mu się dziwni z bliżej nieokreślonych powodów. Szli szybko, prężnie, z podniesionymi głowami, emanując dziwną niecierpliwością, która nie pasowała do atmosfery leniwej, nadmorskiej miejscowości liczącej tylko trzy tysiące mieszkańców.

Westchnął i ruszył w dół Ocean Avenue, uspokajając się, że wszystkiemu winna jego wybujała wyobraźnia. Moonlight Cove i mieszkańcy wydali mu się najzwyklejsi pod słońcem, gdyby wpadł tu po długiej podróży na obiad do miejscowej restauracji. Ale on przybył do tego miasta świadom, że coś się tu dzieje złego, więc wymyślił jakieś prorocze oznaki w całkiem normalnym otoczeniu.

Tak przekonywał sam siebie, wiedząc, że jednak jest inaczej.

Przyjechał do Moonlight Cove, gdyż umierali tu ludzie, a oficjalne wyjaśnienia zgonów budziły podejrzenia. Sam przeczuwał, że prawda okaże się niezwykle bulwersująca. Przez lata nauczył się ufać swej intuicji, dzięki czemu jeszcze żył.

Zaparkował wypożyczonego forda przed sklepem z upominkami.

Na horyzoncie szarego jak skała morza zachodzące słońce z wolna pokrywało niebo bladą

czerwienią. Nad pomarszczoną wodą unosiły się wężowate pasma mgły.

Chrissie Foster siedziała na podłodze oparta o półkę z puszkami w spiżarni na tyłach kuchni. Spojrzała na zegarek. W niewyraźnym świetle gołej żarówki tkwiącej pod sufitem stwierdziła, że jest zamknięta w tej małej, pozbawionej okien komórce już niemal dziewięć godzin. Zegarek dostała na jedenaste urodziny cztery miesiące temu i wpadła w zachwyt, ponieważ nie była to dziecinna zabawka, lecz elegancki pozłacany damski zegarek, z rzymskimi cyframi, prawdziwy Timex, jaki nosiła jej matka. Posmutniała. Zegarek symbolizował czas szczęścia i rodzinnej wspólnoty, które utraciła na zawsze.

Oprócz smutku, samotności i znużenia po godzinach spędzonych w zamknięciu, czuła również lęk. Nie była oczywiście tak przestraszona jak wówczas, gdy ojciec przeniósł ją przez cały dom i wrzucił do spiżarni. Wtedy, wrzeszcząc i wierzgając nogami *przeraziła się* tym, co zobaczyła i co spotkało rodziców. Potworny strach nie mógł trwać wiecznie. Powoli ustępował przechodząc w lęk, który sprawiał, że było jej na przemian gorąco i zimno, że czuła mdłości i ból głowy, jak gdyby zachorowała na gripę.

Zastanawiała się, co z nią zrobią, gdy wreszcie wypuszczą ze spiżarni, choć właściwie dobrze wiedziała, że przemieni się w jedną z nich. Tak naprawdę rozmyślała nad rezultatem owej przemiany. Czym, dokładnie, stanie się? Matka i ojciec nie byli już zwykłymi ludźmi, ale nie potrafiła opisać ich obecnego wcielenia.

Jej strach potęgował fakt, że nie znajdowała słów na wyjaśnienie tego, co działo się w domu. Wierzyła zaś w potęgę słów. Czytała z pasją niemal wszystko: poezję, opowiadania, powieści, gazety, magazyny, nawet napisy na pudełkach z płatkami, gdy nie miała nic innego pod ręką. Chodziła do szóstej klasy, a nauczycielka, pani Tokawa, mówiła, że jest odczytana jak uczeń z dziesiątej klasy. Gdy nie była zajęta lekturą, pisała opowiadania. W ostatnim roku zdecydowała, że gdy dorośnie, zacznie pisać powieści, takie jak Paul Zindel, albo wyniosły Daniel Pinkwater, a najlepiej jak Andre Norton.

Lecz teraz słowa zawodziły. Przyszłość miała się w znacznym stopniu różnić od tej, jaką sobie wyobrażała. Tak samo przerażała ją utrata wizji bezpiecznej przyszłości pisarki jak i przemiana rodziców. Niespełna dwunastoletnia Chrissie już z całą ostrością uświadomiła sobie kruchość życia.

Ale jeszcze nie poddała się. Zamierzała walczyć. Nie zmienią jej tak łatwo. Wkrótce po tym, jak wylądowała w spiżarni, gdy już obeschły jej łzy, zaczęła przeglądać półki w poszukiwaniu jakiejś broni. Zgromadzono tu głównie jedzenie w puszkach, butelkach i kartonach, ale również czystą bieliznę, apteczkę i przybory do majsterkowania. Znalazła doskonałą broń: mały pojemnik środka do smarowania w aerozolu, zawierający WD-40. Gdyby prysnęła im w oczy znieczulacz, miałyby szansę ucieczki.

Ułożyła w głowie nagłówek do gazety: „Sprytna dziewczyna ratuje się przy pomocy zwykłego, domowego środka do smarowania”.

Trzymała WD-40 w dłoniach, co dodawało jej otuchy.

Od czasu do czasu powracały wyraziste i niepokojące wspomnienia: widziała czerwoną i wykrzywioną z wściekłości twarz ojca, gdy wpychał ją do spiżarni. Miał podkrążone oczy, rozdęte nozdrza i zęby odsłonięte w zwierzęcym pomruku.

Wrócę po ciebie – charczał, plując na wszystkie strony – wrócę.

Zatrzasnął drzwi, a pod klamkę wepchnął krzesło z wysokim oparciem. Później, gdy w domu zapanowała cisza i wydawało się, że rodzice są daleko, Chrissie pchała drzwi z całej siły, ale krzesło stanowiło przeszkodę nie do pokonania.

Wrócę po ciebie. Wrócę.

Jego wykrzywiona twarz i przekrwione oczy przywiodły jej na myśl opis morderczego Hyde'a z książki o Dr. Jekyllu, autorstwa Roberta Louisa Stevensona, którą czytała kilka miesięcy temu. Ojca opanovało szaleństwo. Nie był już tym samym człowiekiem, co niegdyś.

Jeszcze bardziej przerażało ją wspomnienie tego, co ujrziała w korytarzu na piętrze, gdy nieoczekiwanie wróciła do domu spóźniwszy się na szkolny autobus. Zaskoczyła wówczas rodziców. Lecz to nie byli oni. Przeistoczyli się w coś innego.

Wstrząsnął nią dreszcz.

Ścisnęła mocniej pojemnik z WD-40.

Nagle, po raz pierwszy od wielu godzin, usłyszała w kuchni hałas. Otworzyły się drzwi na tyłach domu. Rozległy się kroki kilku ludzi.

– Jest tam – powiedział ojciec.

Chrissie zamarła, a po chwili serce zaczęło bić szybciej.

– To trochę potrwa – odezwał się inny mężczyzna.

Chrissie nie poznała tego głębokiego, chrapliwego głosu.

– Widzicie, z dziećmi to sprawa bardziej skomplikowana. Shaddack nie ma pewności, czy jesteśmy już gotowi. To ryzykowne.

– Trzeba ją poddać konwersji, Tucker – usłyszała matkę, choć mówiła jakoś inaczej niż zwykle. Poznała jej głos, lecz pozbawiony tej zwykłej miękkości i naturalnej melodyjności, które sprawiały, że matka tak wspaniale czytała bajki.

– Oczywiście – potwierdził obcy, nazywany Tuckerem.

– Wiem o tym. Shaddack także wie. W końcu mnie tu przysłał, tylko cała sprawa zabierze trochę

więcej czasu niż zwykle. Potrzebujemy miejsca, gdzie moglibyśmy jej pilnować w trakcie konwersji.

– Zrobimy to w sypialni na górze.

Konwersja?

Drżąc Chrissie stanęła twarzą do drzwi.

Rozległy się zgrzyt, trzask i krzesło przewróciło się.

Ścisnęła pojemnik w prawej ręce z palcem na dozowniku.

Drzwi otworzyły się i zajrzał ojciec.

Chrissie próbowała myśleć o nim jako o Alexie Fosterze, nie zaś ojcu, ale trudno zaprzeczyć, że to wciąż był jej ojciec, choć stał się całkiem nową istotą.

Nie był już taki wściekły. Bardziej przypominał siebie z gęstymi jasnymi włosami o miłej twarzy z kilkoma piegami na policzkach i nosie. Chrissie dostrzegła jednak straszną zmianę w jego oczach. Przepelniały go też dziwna nerwowość i napięcie. Głód. Tak: tata wyglądał na zżeranego przez głód, oszalałego z głodu, *łaknącego*... lecz czegoś innego niż zwykle jedzenie. To uczucie sprawiało, że miał bezustannie napięte mięśnie i bił od niego żar jak para z wrzącej wody.

– Wyjdź, Chrissie – powiedział.

Dziewczynka przygarbiła ramiona, zamrugła, jakby chciała powstrzymać łzy. Udała, że wstrząsnął nią dreszcz i starała się wyglądać jak mała, przestraszona, pokorna istota. Z ociąganiem zrobiła krok do przodu.

– Prędejj, prędejj – niecierpliwie poganiał ją, machając ręką.

Chrissie przestąpiła próg spiżarni i zobaczyła matkę za Alexem. Sharon wciąż była ładna z kasztanowymi włosami i zielonymi oczami – ale utraciła miękkość i matczyne ciepło. Odmieniona patrzyła twardo, nerwowa i spięta jak ojciec.

Obok kuchennego stołu stał wysoki, szczupły mężczyzna w dżinsach i myśliwskiej kurtce. To był z pewnością Tucker, z którym rozmawiała matka. Ostrzyżone na jeża włosy sterczały jak szczecina. Miał ciemne oczy osadzone pod niskim, kościstym czołem. Ostro zakrzywiony nos wyglądał jak kamienny klin, wbity w środek twarzy, usta tworzyły cienką linię, a szczęka wystawała jak u drapieżnika, polującego na małe zwierzęta, które połykał w połowie za jednym kłapnięciem paszczy. Trzymał w ręku lekarską torbę z czarnej skóry.

Ojciec wyciągnął rękę, Chrissie błyskawicznie podniosła pojemnik z WD-40 i trysnęła mu z bliska w oczy. Zaskoczony, zawył z bólu, Chrissie odwróciła się i prysnęła teraz matce prosto w twarz. Szukali jej na wpół oślepli, ale prześliznęła się i popędziła przez kuchnię.

Gdy Tucker chwycił ją za ramię, kopnęła go w krocze.

Nie puścił jej, ale osłabił uścisk. Wyrwała mu się i pognąła na korytarz.

Moonlight Cove pograżyło się w zmierzchu niczym we mgłę utkanej z purpurowego światła, a nie wody. Sam Booker wysiadł z samochodu. Było chłodno, więc ucieszył się, że pod sztruksową kurtką ma wełniany sweter. Gdy zapaliły się uliczne lampy, spacerował już po Ocean Avenue oswajając się z atmosferą miasta.

Wiedział, że Moonlight Cove nieźle prosperowało dzięki New Wave Microtechnology, która założyła tu główną siedzibę trzy lata temu. Dostrzegał jednak oznaki recesji. Właściciele likwidowali sklepy z upominkami i biżuterią. Za zakurzonymi witrynami widział gołe półki i puste pudełka wśród nieruchomych cieni. Natomiast w sklepie z modną odzieżą zorganizowano wyprzedaż, ale najwyraźniej towar nadal rozchodził się w żółwym tempie, nawet po pięćdziesięcio- czy siedemdziesięcioprocentowej obniżce.

Minął dwie przecznice, kierując się ku zachodowi, gdzie plaża wyznaczała koniec miasta, po czym przeszedł na drugą stronę i wracając dotarł do pubu Przy Rycerskim Moście. Zapadł zmierzch. Perłowa mgła nadciągała od morza, a powietrze zdawało się mienić kolorami. Zasłona o czerwonym odcieniu przykrywała wszystko, z wyjątkiem miejsc, gdzie lampy uliczne rzucały snopy żółtego światła. Od góry zstępowała ciemność.

Trzy przecznice dalej pojawił się samochód, a Sam był jedynym przechodniem. Ta pustka, w połączeniu z niesamowitym światłem zamierającego dnia, napełniała go uczuciem, jakby znalazł się w mieście-widmie, zamieszkałym przez martwych. A gęstniejąca mgła, płynąca znad Pacyfiku w górę ulicy, wywoływała wrażenie, że *wszystkie* okoliczne sklepy oferują na sprzedaż jedynie pajęczynę i kurz.

Jesteś ponurym draniem, powiedział do siebie. Z biegiem lat stał się pesymistą. Wszystko, co przeżył do tej pory, wykluczało radosny optymizm.

Smugi mgły oplatały jego nogi. Nad morzem widniało jeszcze blade, na wpół zgaszone słońce. Sam poczuł dreszcz i wszedł do pubu na drinka.

Nieliczni goście też byli jacyś smutni. Przy stoliku po lewej stronie rozmawiali cicho schyleni ku sobie kobieta i mężczyzna. Przy barze garbił się nad szklanką piwa beczkowego facet o posępnej twarzy. Trzymał ją w dłoniach z taką miną, jakby właśnie zobaczył pływającą w napoju pluskwę.

Lokal przypominał nieco prawdziwy angielski pub. Różne herby, skopiowane bez wątpienia z jakiejś księgi heraldycznej, wyrzeźbiono w drewnie i ozdobiono nimi oparcia stołków barowych. W rogu stała zbroja. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające polowanie na lisa.

Sam wśliznął się na stółek z dala od ponuraka. Barman ruszył szybko do niego, przecierając szmatką i tak już nieskazitelnie czysty dębowy kontuar.

– Tak, sir, co podać? – był krągłym mężczyzną. Miał niewielki brzusek, pulchne przedramiona

pokryte czarnymi włosami, pulchną twarz, zbyt małe usta i bulwiasty nos zakończony kulką. Okrągłe oczy nadawały jego twarzy wyraz wiecznego zdziwienia.

– Macie Guinnessa? – spytał Sam.

– To podstawa *prawdziwego* pubu, że się tak wyrażę. Gdyby zabrakło Guinnessa... cóż, równie dobrze moglibyśmy zamienić lokal w herbaciarnię.

Miał słodki głos; słowa brzmiały gładko i okrągło, tak jak on sam wyglądał. Sprawiał wrażenie nadzwyczaj czynnego.

– Życzy pan sobie zimne czy lekko schłodzone?

– Schłodzone.

– Znacząca!

Wróciwszy z butelką i szklanką, przedstawił się.

– Nazywam się Burt Peckam. Jestem właścicielem tej budy.

Ostrożnie nalewał piwo po ściance szklanki, aby było jak najmniej piany. Sam też przedstawił się:

– Sam Booker. Miłe miejsce, Burt.

– Dzięki. Może rozgłosiłbyś to tu i ówdzie. Staram się stworzyć przyjemną atmosferę, jest dobre zaopatrzenie i kiedyś waliły do mnie tłumy. Ale teraz wydaje mi się, że większość mieszkańców wstąpiła do towarzystwa trzeźwości, bądź sami pędzą na strychu trunki.

– Pamiętaj, że jest poniedziałkowy wieczór.

– W ostatnich miesiącach nawet w soboty knajpa zapełnia się tylko w połowie, co kiedyś było nie do pomyślenia.

Na jego okrągłej twarzy pojawił się cień troski. Mówiąc wolno przecierał kontuar.

– Nic nie rozumiem. Może tak dalece opanowała Kalifornijczyków wariacka troska o zdrowie. Wszyscy siedzą w domach, ćwiczą aerobik przy magnetowidach, jedzą kiełki pszeniczne, białka jajek czy coś tam do cholery innego i piją tylko wodę mineralną, soki owocowe, albo ptasie mleko. Słuchaj, przecież kieliszeczek czy dwa to nic złego.

Sam łyknął trochę Guinnessa, westchnął z zadowoleniem i powiedział:

– Z pewnością mi nie zaszkodzi.

– Jasne, piwo wspomaga krążenie, dobrze działa na kiszkę. Duchowni powinni wychwalać jego

zalety każdej niedzieli, a nie grzmieć przeciwko. *Wszystko* z umiarem jest dobre – również kilka piw dziennie.

Uznawszy, że czyści kontuar zbyt intensywnie, zawiesił szmatkę na haczyku i stanął z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Wpadłeś przejazdem, Sam?

– Podróżując wzdłuż wybrzeża, od Los Angeles aż do Oregonu, szukam po drodze spokojnego miejsca, żeby osiąść na niby-emeryturze – kłamał jak z nut.

– Na emeryturze? Żartujesz?

– *Na niby-emeryturze.*

– A ileż ty masz lat?!

– Czterdzieści dwa.

– Czyżbyś był kasiarzem?

– Maklerem. Parę razy dobrze zainwestowałem. Teraz mogę już żyć całkiem nieźle z pakietu akcji. Chcę zamieszkać w zacisznym miasteczku, bez smogu i przestępczości. Mam dość Los Angeles.

– Ludzie rzeczywiście dorabiają się na papierach? – zdziwił się Peckham. – Myślałem, że to równie niepewny interes jak gra w kości w Reno. Kilka lat temu? Chyba wszyscy się splukali, gdy rynek oszalał.

– To kiepski interes dla drobnego ciułacza, ale prawdziwy makler nie ulegający euforii w czasie hossy wychodzi na swoje. Trzeba umiejętnie wykorzystywać wahania rynku.

– Emerytura w wieku czterdziestu dwu lat – Peckham zamyślił się. – Rozkręcając ten interes, myślałem, że ustawię się na całe życie. Powiedziałem żonie tak: w dobrych czasach ludzie piją dla przyjemności, w złych, by zapomnieć, więc nie ma lepszej inwestycji niż pub. A teraz? – Zatoczył ręką szeroki łuk wskazując na niemal pustą salę. – Robiłbym większe kokosy sprzedając prezerwatywy w klasztorze.

– Dasz mi jeszcze jednego Guinnessa? – spytał Sam.

– O rany, może pech wreszcie opuści to miejsce!

Gdy Peckham wrócił z drugą butelką piwa, Sam powiedział:

– Może szukałem właśnie takiego Moonlight Cove. Rozejrzę się tu przez kilka dni. Poleciałbyś mi jakiś motel?

– Został już tylko jeden, a jeszcze wiosną funkcjonowały cztery. To nigdy nie było turystyczne

miasto. Nikomu na tym nie zależało, jak sędzę. Nie wiem... może ta miejscina umiera, choć jest niebrzydka. Ludzie jakoś żyją, ale cholera *czegoś* tu ubywa.

Znów chwycił szmatkę i zaczął polerować kontuar.

– Zatrzymaj się w Cove Lodge przy Cypress Lane. To ostatnia przecznica przy Ocean Avenue, biegnie wzdłuż urwiska, więc pewnie dostaniesz pokój z widokiem na morze. Jest tam czysto i spokojnie.

Chrissie dotarła do końca korytarza i pchnęła drzwi wejściowe. Przeskoczywszy szeroki ganek, zbiegła po schodach. Potknęła się, lecz odzyskała równowagę, skręciła w prawo i popędziła przez podwórze w kierunku stajni. Minęła niebieską honde najwidoczniej należącą do Tuckera. Tupot jej kroków grzmiał niczym huk armatni, ale nie mogła biec ciszej i szybciej. Gdyby nawet rodzice z Tuckerem nie wypadli na ganek nim zniknęła w mroku i tak słyszeliby, gdzie ucieka.

Niebo rozjaśniała czerwona poświata słońca ginącego za horyzontem. Mgła unosiła się od morza i Chrissie miała nadzieję, że wkrótce zgęstnieje jak pudding i osłoni ją całkowicie.

Gdy dopadła do stajni, otworzyła duże wrota. Owionął ją znajomy, przyjemny zapach słomy, siana, końskiej skóry, siodła i wyschniętego łajna.

Szybko zapaliła trzy słabe żarówki, dostatecznie jednak oświetlające wnętrze i nie płoszące zwierząt. Po obu stronach zaśmieconego przejścia znajdowało się dziesięć boksów, z których wychylały się zaciekawione konie. Kilka należało do rodziców Chrissie, a pozostałe do mieszkańców Moonlight Cove i okolic. Konie prychały i parskały, a jeden zarżał cicho, gdy Chrissie biegła do ostatniego boksu po prawej stronie, gdzie stała klacz Godiva.

Mogła dostać się tu także od podwórza, lecz furtki już zamknięto na skoble, żeby nie oziębilo się w środku. Godiva była łagodną klaczą, szczególnie zaprzyjaźnioną z Chrissie, ale płoszyła się, gdy ktoś zbliżał się do niej w ciemności. Mogła cofnąć się lub wierzgnąć, zaskoczona otwieraniem zewnętrznej furtki tak późno. Chrissie nie miała ani sekundy na uspokojenie konia, musiała więc dostać się do niego od środka.

Godiva już czekała. Potrząsnęła łbem, rozrzucając gęstą i lśniącą białą grzywę, której zawdzięczała imię, i parsknęła na powitanie.

Zerkając, czy w wejściu nie pojawili się Tucker z rodzicami, Chrissie otworzyła boks. Godiva wyszła na środek przejścia.

– Och, proszę, bądź grzeczna.

Nie mogła tracić czasu na osiodłanie klaczy i zakładanie wodzy. Poprowadziła ją wzdłuż składziku z siodłami, uprzężą i pomieszczenia na obrok, płosząc po drodze mysz, która przecięła jej drogę i schroniła się w ciemnym kącie. Pchnęła wrota i do stajni wtargnęło chłodne powietrze.

Chrissie była zbyt mała, by dosiąść Godivy bez strzemienia.

W kącie stał kowalski taboret do podkuwania koni. Głaszcząc Godivę dziewczynka przysunęła nogą stołek do boku klaczy.

Z drugiego końca stajni usłyszała głos Tuckera:

– Tutaj jest! – Mężczyzna ruszył w jej stronę.

Taboret okazał się za niski, by zastąpić strzemię.

Tucker zbliżał się szybko, ale nie patrzyła w jego stronę.

– Mam ją! – krzyknął.

Uczepiwszy się bujnej grzywy podciągnęła się gwałtownie do góry, wyżej, jeszcze wyżej, wymachując nogami. Rozpaczliwie wspinała się po końskim boku, szarpiąc Godivę. Na pewno ją to bolało, ale niczym matrona zachowała stoicki spokój. Nie cofała się i nie rżała z bólu, jakby wyczuwając, że życie dziewczynki zależy od jej opanowania. Po chwili Chrissie siedziała na grzbiecie, pochylona niebezpiecznie. Ściskając kolanami boki konia i trzymając się kurczowo grzywy, klepnęła zwierzę w zad.

– Naprzód!

Tucker dopadł ją w chwili, gdy krzyknęła. Uczepił się jej dzinsów.

Głęboko osadzone oczy pałały dzikim gniewem. Miał rozdęte nozdrza i obnażone zęby. Chrissie kopnęła go w podbródek i puścił ją, a Godiva wyskoczyła przez otwarte wrota prosto w ciemną noc.

– Ucieka konno! – wrzeszczał Tucker.

Klacz pędziła do morza odległego o kilkaset jardów. Ostatnie, bladoczerwone promienie zachodzącego słońca malowały na czarnej wodzie niewyraźne, cętkowane wzory. Chrissie, nie wiedząc jak duży jest przypływ, musiała zmienić kierunek jazdy. Plaża miejscami była zbyt wąska, nawet w czasie odpływu. A teraz woda sięgnęła zapewne skał i urwiska, zalewając drogę. Nie mogła ryzykować ucieczki w ślepią uliczkę mając na karku Tuckera i rodziców.

Bez siodła, w pełnym galopie jakoś zdołała podciągnąć się na końskim grzbiecie i gdy tylko przestała kiwać się na boki jak kaskader, chwyciła klacz za bujną grzywę, próbując posługiwać się nią jak wodzami. Skierowała Godivę w lewo i popędziła wzdłuż stajni do półmilogego podjazdu prowadzącego do szosy, gdzie miała większe szansę znalezienia pomocy.

Godiva nie zbuntowała się przeciwko temu brutalnemu traktowaniu. Natychmiast skręciła tak płynnie, jakby miała w pysku wędzidło i czuła pociągnięcia wodzy. Jej galop odbijał się gromkim echem od ścian stajni.

– Wspaniała staruszka! – krzyknęła Chrissie do klaczy. – Kocham cię.

Tucker pędził za nią, lecz nie mógł równać się z Godivą.

Dotarli do podjazdu i Chrissie poprowadziła konia po miękkim poboczu wzdłuż autostrady. Pochylona przylgnęła mocno do grzbietu, panicznie bojąc się upadku, gdyż uderzenia kopyt o ziemię nieomal łamały jej kości. Głowę miała obróconą na bok, więc widziała swój oświetlony, choć niezbyt gościnny dom. Tak naprawdę to już nie był dom, lecz piekło w czterech ścianach. Blask w

oknach wydał się demonicznym ogniem płonącym w komnatach Hadesu.

Nagle ujrzała coś wielkości człowieka pędzącego na czworakach przez trawnik w jej stronę. Po chwili zauważyła jeszcze jedną, równie dziwną istotę.

Dostrzegła jedynie ich zarys, ale wiedziała *czym*, a raczej *kim* prawdopodobnie były: niegdyś jak ona ludźmi, ale czym są teraz?

– Naprzód, Godiva, naprzód!

Klacz wydłużyła krok, jakby łączyła ją z Chrissie psychiczna więź.

Minęły już dom, gnając na złamanie karku przez trawiaste pole w stronę oddalonej o pół mili szosy. Godiva galopowała tak rytmicznie i radośnie, że wkrótce Chrissie przestała niemal odczuwać wstrząsy tej szaleńczej jazdy. Zdawało się, że fruną nad ziemią.

Nie widziała już w ciemności dwóch cwałujących za nią istot, choć z pewnością wciąż ją goniły skryte wśród gęstych cieni. Dostrzegła natomiast światła niebieskiej hondy Tuckera, który przyłączył się do pogoni.

Chrissie była pewna, że Godiva prześcignie każdego człowieka i zwierzę z wyjątkiem konia szybszego od niej, ale wiedziała, że nie pokona samochodu. Tucker dogoniłby ją w ciągu kilku sekund.

Wciąż miała w pamięci jego twarz: krzaczaste brwi, orli nos i głęboko osadzone czarne oczy podobne do szklanych kulek. Emanował tym samym dziwnym podnieceniem, co rodzice – nienaturalną, nerwową energią połączoną z wyrazem dzikiego głodu na twarzy. Wiedziała, że zrobi wszystko, by ją zatrzymać, nawet staranuje konia samochodem.

Nie był jednak w stanie ścigać Godivy po polu. Chrissie z niechęcią ścisnęła klacz kolanami i pociągnęła za grzywę, by oddalić się od szosy, gdzie liczyła na szybką pomoc. Godiva bez wahania ruszyła w kierunku odległego o pięćset jardów lasu po drugiej stronie łąki.

Czarna ściana drzew majaczyła na tle nieco jaśniejszego nieba, a Chrissie pędziła prawie na oślep w ciemnościach z nadzieją, że koń widzi w nocy lepiej niż ona, o co modliła się w duchu.

– Grzeczna dziewczynka, prędzej, prędzej, kochana staruszek – krzyczała.

Pęd wywoływał rześki powiew wiatru. Chrissie widziała gorące kłęby pary wydobywające się z końskiego pyska.

Serce waliło jej w takt szalonego tętentu kopyt i miała wrażenie, że tworzy z Godivą, jedną istotę o wspólnym sercu, krwi i oddechu.

Walcząc o życie odczuwała przyjemne podniecenie, dorównujące przerażeniu, co napawało ją lękiem. Zetknięcie ze śmiercią – lub czymś znacznie gorszym – było pociągające i złowieszcze zarazem, czego do tej pory nigdy sobie nie uświadamiała. Ten niesamowity dreszcz emocji przerażał

ją nie mniej niż ludzie, którzy ją ścigali.

Podskakiwała na gołym grzbiecie niebezpiecznie wysoko, ale trzymając się mocno poddawała się rytmowi tej galopady. Z każdym miażdżącym ziemię uderzeniem kopyt, Chrissie upewniała się, że zdoła uciec. Klacz miała serce do walki i była wytrzymała. Dziewczynka zdecydowała, że gdy dotrze do bliskiej już linii drzew, skreśli na wschód ku szosie i że...

Godiva upadła.

Nadepnąwszy na jakieś wgłębienie – jamę wiewiórki ziemnej, czy wejście do kryjówki królika, potknęła się. Próbowwała odzyskać równowagę, ale straciła siły i runęła na ziemię, rżąc z przerażenia.

Chrissie bała się, że klacz ją zmiażdży, albo co najmniej złamie nogę. Na szczęście jechała na oklep, więc instynktownie puściła jasną grzywę i natychmiast ją wyrzuciło ponad końskim łbem wysoko w górę. Choć ziemię porastał gęsty dywan dzikiej trawy, dziewczynka uderzyła z takim impetem, aż ją zatkało. Odgryzłaby sobie język, gdyby akurat znajdował się między zębami.

Na szczęście upadła na tyle daleko od konia, że czuła się bezpiecznie. Godiva podniosła się z wysiłkiem w chwilę po upadku. Spłoszona pokłusowała obok Chrissie kulejąc na prawe kopyto, które najwidoczniej zwichnęła; gdyby złamała, na pewno nie podniosłaby się.

Dziewczynka chciała zawołać klacz w obawie, że odbiegnie za daleko, lecz zdołała jedynie wyszeptać:

– Godiva.

Zwierzę ciągle biegło na zachód, w kierunku morza i stajni.

Chrissie uklękła opierając się rękami na ziemi i uświadomiła sobie, że okulały koń nie przyda się już na nic, więc przestała wołać. Dyszała ciężko i kręciło jej się w głowie, ale musiała uciekać, ponieważ pościg trwał nadal. Widziała hondę z włączonymi światłami, zaparkowaną przy drodze, w odległości ponad trzystu jardów na północ. W krwawym blasku zachodzącego słońca łąka była czarna. Nie wiedziała, czy przygarbione, zwinne sylwetki czają się w tej czerni, ale zdawała sobie sprawę, że gdy zbliżą się, dopadną ją w niespełna dwie minuty.

Podniosła się i pokuśtykała w stronę lasu. Po kilkunastu jardach odzyskała sprawność i wreszcie pobiegła.

W minionych latach Sam Booker odkrył na kalifornijskim wybrzeżu mnóstwo uroczych zajazdów z kamienia i drewna najwyższej klasy, z łukowatymi stropami, szlifowanymi szybami w oknach i zielonymi dziedzińcami, gdzie ścieżki wyłożono cegłą. Wbrew przyjemnej nazwie Cove Lodge nie należał do owych kalifornijskich klejnotów. Był to zwykły, otynkowany, jednopiętrowy budynek z czterdziestoma pokojami, ponurą kawiarnią i bez basenu. Luksusy ograniczały się do automatów z lodem i wodą sodową, ustawionych na parterze i piętrze. Neon nad recepcją był mały, prosty i tani.

Recepcjonista dał Samowi pokój na piętrze z widokiem na ocean, choć dla niego nie miało to żadnego znaczenia. Sądząc po niewielu samochodach na parkingu, miejsc nie brakowało. Na parterze i piętrze motelu mieściło się dwadzieścia apartamentów po dziesięć z obydwu stron korytarza, wyłożonego jaskrawopomarańczową sztuczną wykładziną. Ze wschodu okna wychodziły na Cypress Lane, a te po stronie zachodniej na Pacyfik. Sam zamieszkał w północno-zachodnim narożnym pokoju, gdzie stały królewskie łóże z zapadającym się materacem, przykryte wypłowiałą niebieskozieloną narzutą, nocny stolik popalony niedopałkami, telewizor, stół, dwa zwykłe krzesła, podniszczone biurko i telefon, obok była łazienka i wielkie okno, za którym szumiało spowite w ciemnościach morze.

Bez wątpienia prześladowani przez pech komiwojażerowie balansujący na granicy finansowej ruiny popełniali samobójstwa w pokojach takich jak ten.

Sam rozpakował dwie walizki, układając rzeczy w garderobie i szufladach biurka. Następnie usiadł na brzegu łóżka i popatrzył na telefon na nocnym stoliku.

Powinien zadzwonić do swego syna Scotta, do Los Angeles, ale nie chciał korzystać z tego aparatu. Gdy zainteresuje się nim lokalna policja, na pewno gliny odwiedzą Cove Lodge i sprawdzą rozmowy zamiejscowe oraz numery, z którymi łączył się, by ustalić jego prawdziwą tożsamość. Aby uniknąć zdemaskowania, mógł z tego telefonu wykręcić tylko numer kontaktowy w siedzibie FBI w Los Angeles, skąd usłyszałby głos:

– Birchfield, papiery wartościowe, w czym mogę pomóc?

W telefonicznym wykazie agencji ten numer należał do fikcyjnej zresztą firmy, w której Sam był rzekomo maklerem, i żadnym cudem nie dałoby się powiązać jej z FBI. Nie miał jeszcze nic do zameldowania, więc nie podniósł słuchawki. Zadzwoni do Scotta z budki, gdy wyjdzie na kolację.

Właściwie wcale nie chciał rozmawiać z chłopakiem. Nienawidził tych obowiązkowych konwersacji. Trzy lata temu stracił psychiczny kontakt z trzynastoletnim wówczas synem, już od roku pozbawionym matczynej opieki. Sam zastanawiał się, czy chłopak tak szybko zszedłby na złą drogę, gdyby żyła Karen. A co on zrobił, by uchronić syna? Może chłopak stoczyłby się bez względu na dobrą rodzicielską opiekę? Czy jego upadek był nieunikniony, zapisany w gwiazdach, czy też słabość tkwiła w nim samym?

Gdyby dłużej tak rozmyślał, to choć nie był komiwojażerem, skończyłby jak Willy Loman z Cove Lodge.

Piwo Guinnessa.

Dobre meksykańskie jedzenie.

Goldie Hawn.

Strach przed śmiercią.

Z jednej strony to cholernie krótki i żaloszny, z drugiej zaś może właśnie wystarczający wykaz powodów, dla których warto żyć.

Skorzystał z łazienki, umył ręce i twarz w zimnej wodzie, lecz wciąż czuł się zmęczony i nieświeży.

Zdjął sztruksową marynarkę i założył skórzane szelki z kaburą, którą wyjął z walizki. Załadowawszy Smith-Wessona, kaliber 38, wetknął go w kaburę i wciągnął marynarkę. Miał ubrania specjalnie tak uszyte, by ukrywały broń. Kabura przylegała ściśle do boku i rewolwer nie wystawał nawet przy rozpiętej marynarce.

Sam, podobnie jak jego ubranie, świetnie nadawał się do tajnych zadań. Był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, a nie typem ciężarowca o grubym karku i wspaniałym, zwracającym uwagę wyglądem. Jego twarz nie wyróżniała się niczym specjalnym: nie była brzydka ani przystojna, szeroka ani wąska, o ostrych, ani łagodnych rysach, bez znamion czy blizn. Rudawe blond włosy średniej długości klasycznie przystrzyżone jakby podkreślały jeszcze przeciętny wygląd Sama.

Tylko jego szaroniebieskie oczy przykuwały uwagę. Często słyszał od kobiet, że ma najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziały. Kiedyś przejmował się tym, co mówiły.

Poruszył ramionami, by upewnić się, że kabura dobrze leży.

Nie sądził, żeby tego wieczoru musiał użyć broni. Przecież nie zaczął jeszcze węszyć, nikomu jeszcze nie naraził się, więc nikt i jemu nie zagraża.

Od tej chwili jednak musiał nosić rewolwer. Nie mógł zostawić go w pokoju ani w samochodzie; gdyby ktoś przeprowadził dokładną rewizję, znalazłby broń i zdemaskował Sama. Żaden makler w średnim wieku, poszukujący domu na stałe w nadmorskim zaciszu, nie nosił takiej trzydziestkiósemki. To była broń gliniarza.

Schował klucz do kieszeni i wyszedł na kolację.

Po zameldowaniu się w motelu Tessa Jane Lockland stała dłuższą chwilę przy oknie w pokoju w Cove Lodge, nie zapalając światła. Spoglądała na rozległy, ciemny Pacyfik i plażę, skąd jej siostra Janice podobno rozpoczęła samobójczą wyprawę.

Według oficjalnej wersji Janice udała się nocą sama na plażę w stanie ostrej depresji. Przedtem zażyła potężną dawkę valium, popijając pastylki dietetyczną colą. Następnie rozebrała się i wypłynęła w morze, w kierunku dalekiej Japonii. Utraciwszy przytomność na skutek przedawkowania leków szybko utonęła.

– Bzdura – powiedziała cicho Tessa, jakby zwracając się do swego niewyraźnego odbicia w szybie.

Janice Lockland Capshaw była pełną wiary w siebie optymistką, co zresztą cechowało klan Locklandów od pokoleń. Janice nigdy nie użalała się nad sobą; gdyby nawet spróbowała, to po paru sekundach zaczęłaby się śmiać z własnej głupoty i poszłaby do kina, albo pobiegałaby dla relaksu. Nawet po śmierci ukochanego Richarda opanowała swą bezgraniczną rozpacz.

Co więc sprawiło, że wpadła w tak tragiczną w skutkach depresję? Tessa nie dowierzała policyjnej wersji wydarzeń. Równie bzdurna byłaby opowieść, że Janice jadła w restauracji obiad, który jej nie smakował, i tak ją to przybiło, że popełniła samobójstwo. Albo że obraz w telewizorze migotał i nie obejrzawszy ulubionego serialu targnęła się na życie. Były to równie absurdalne scenariusze, jak raporty policji i koronera.

Samobójstwo.

– Bzdura – powtórzyła Tessa.

Z okna widziała jedynie niewyraźny zarys wąskiej plaży przy linii spienionej wody. W blasku księżyca piach przypominał bladą wstęgę okalającą zatokę.

Tessa zapragnęła wyjść na plażę, skąd jej siostra rzekomo rzuciła się w morze, stanąć w tym samym miejscu, gdzie przyływ wyrzucił jej nabrzmiące, zmasakrowane ciało kilka dni później. Odeszła od okna i zapaliła nocną lampkę. Włożyła brązową skórzaną marynarkę, przerzuciła torbę przez ramię i zamknęła drzwi. Intuicyjnie wyczuwała, że gdy znajdzie się nad wodą w miejscu, gdzie przypuszczalnie stała Janice, pozna prawdę.

Srebrzysty księżyc oświetlał ciemne wzgórza na wschodzie. Chrissie biegła wzdłuż drzew, szukając drogi prowadzącej w głąb lasu, nim znajdą ją dziwni prześladowcy. Szybko dotarła do Pyramid Rock, dwukrotnie większego od niej wzniesienia skalnego, które kształtem przypominało właśnie piramidę. Dawniej wyobrażała sobie, że wzniesli ją przed wiekami karzełkowaci Egipcjanie, wzrostu cała, przeniesieni tu z innej planety. Ponieważ zawsze bawiła się na tej łące i w lesie, znała ten teren równie dobrze jak swój dom, znacznie lepiej niż rodzice i Tucker, co dawało jej przewagę. Prześliznęła się obok Pyramid Rock i zniknęła w leśnym mroku, gdzie odszukała wąską ścieżkę jeleni prowadzącą na południe.

Nie słyszała nikogo za plecami i nie traciła czasu na wypatrywanie w ciemności. Ale podejrzewała, że rodzice i Tucker niczym drapieżcy zakradną się po cichu, zdradzając swą obecność dopiero w momencie ataku.

W nadmorskich lasach rosły głównie różne gatunki sosen, choć trafiały się również słodkie gumowce, za dnia szkarłatne, nocą zaś czarne jak żałobny całun. Chrissie podążała krętą ścieżynką jak wąwozem. W głębi lasu drzewa rosły dość rzadko, więc księżyc oświetlał poszycie zimnym lodowatym blaskiem. Chrissie jednak nie odważyła się biec, żeby nie potknąć się o wystające korzenie i niskie gałęzie.

W myślach układała książkę o swoich przygodach: *Chrissie była zwinna, pomysłowa i bystra. Ciemność nie przerażała jej bardziej niż myśl o potwornych prześladowcach. Cóż to za dziewczyna!*

Po chwili zbliżyła się do zbocza, skąd mogła skierować się na zachód ku morzu lub na wschód w stronę szosy. Niewielu ludzi mieszkało w tej okolicy, oddalonej o dwie mile od Moonlight Cove, a jeszcze mniej nad brzegiem oceanu, gdzie prawo stanowe zakazywało budowy domów. Miała więc równie małe szansę znalezienia pomocy w pobliżu Pacyfiku, co przy szosie, którą Tucker prawdopodobnie patrolował w swojej hondzie.

W panice pokonała ostatnie sto stóp zbocza. Drzewa ustąpiły miejsca niedostępnej płataninie zarośli nazywanych chaparral. Dygocąc przedzierała się przez rosnące tu również gęste paprocie, ponieważ wydawało się jej, że chwytają ją dziesiątki małych dłoni.

Płytki strumień przecinał dno wąwozu. Chrissie zatrzymała się przy brzegu, by złapać oddech. Większa część koryta była sucha. O tej porze roku płynęła leniwie środkiem struzka wody o głębokości zaledwie kilku cali, połyskując tajemniczo w świetle księżyca.

Noc była bezwietrzna.

Wokół panowała przejmująca cisza.

Dziewczynka skuliła się z zimna. Dzinsy i flanelowa koszula w niebieską kratę były odpowiednim

ubranie na rzeński październikowy dzień, a nie na chłodną, wilgotną jesienną noc.

Zmarznięta, zdyszana i przestraszona nie wiedziała, co dalej. Wściekała się na własną słabość. We wspaniałych powieściach przygodowych Andre Norton nieustraszone młode dziewczyny przetrwały znacznie dłuższe pogonie, większe chłody i inne niedogodności, zawsze też podejmowały szybkie i trafne decyzje.

Wspomnienie tych bohaterek jakby zdopingowało Chrissie. Przebrnąwszy około dziesięciu stóp po gliniastej ziemi, którą splukały ze wzgórz ulewne jesienne deszcze, usiłowała przeskoczyć strumyk. Wylądowała z pluskiem w wodzie mocząc tenisówki.

Szła jednak dalej po tej glinie, przywierającej do mokrych butów, aż przedostała się na drugi brzeg, skąd ruszyła na południe wspinając się po ścianie wąwozu ku następnej połaci lasu.

Wchodziła na nieznaną teren bez obawy, że zabłądzi. Odróżniała kierunki geograficzne po ruchu nadciągającej mgły i pozycji księżyca. Zmierzała z grubsza na południe. Tylko mila dzieliła ją od kilkudziesięciu domów na rozległym obszarze New Wave Microtechnology między stajniami a Moonlight Cove, gdzie liczyła na pomoc.

Wtedy dopiero zaczęły się *prawdziwe* kłopoty. Będzie musiała kogoś przekonać, że jej rodzice zmienili się, że zawładnął nimi jakiś duch... dziwna moc. I że chcieli przeobrazić ją, Chrissie, w taką samą istotę.

No tak, pomyślała, powodzenia.

Była bystra, odpowiedzialna, potrafiła wysłowić się, ale kto uwierzy jedenastolatce? Nie żywiła żadnych złudzeń. Ktoś wysłucha ją, pokiwa głową i uśmiechnie się, po czym wezwie rodziców...

Muszę spróbować, powiedziała sobie, wspinając się na zbocze wąwozu. Poddać się? Za nic.

Z tyłu, w odległości kilkuset jardów, wysoko na przeciwległym stoku, z którego niedawno schodziła, coś wrzasnęło przeraźliwie. To nie był ani ludzki, ani zwierzęcy krzyk. Odpowiedziały mu inne przeraźliwe nawoływania.

Chrissie przystanęła na stromej ścieżce pod baldachimem słodko pachnących sosnowych gałęzi. Obejrzała się i słuchała, jak prześladowcy zawodzą płacząco niczym stado zwierząt groźniejszych od kojotów... Wydawali zimny, przenikający aż do szpiku kości dźwięk.

To wycie prawdopodobnie oznaczało pewność siebie: przekonani, że ją złapią, już nie zachowywali się cicho.

– Czym jesteście? – wyszeptała.

Podejrzewała, że widzą w ciemności jak koty.

Czy wywęszą ją jak psy?

Serce zaczęło jej walić aż do bólu.

Czując się krucha i samotna ruszyła pod górę ku południowej krawędzi wąwozu.

U wylotu Ocean Avenue Tessa Lockland przez pusty parking weszła na miejską plażę. Znad Pacyfiku powiewała chłodna nocna bryza, więc była zadowolona, że włożyła spodnie, wełniany sweter i skórzaną marynarkę.

Stąpała po miękkim piachu ku ciemnemu brzegowi. Minęła wysoki cyprys, tak ukształtowany przez oceaniczne wiatry, że przypominał abstrakcyjną rzeźbę o wygiętych liniach i płynnym kształcie. Zatrzymawszy się tuż nad wodą spoglądała na zachód. Księżyc świecił zbyt słabo, by rozjaśnić rozległą, falującą toń. Widziała jedynie najbliższe fale o spienionych grzywach, napływające z mrocznej dali.

Próbowała wyobrazić sobie siostrę na tej pustej plaży, łykającą kilkadziesiąt pastylek valium, następnie rozbierającą się i skaczącą do zimnego morza. Wykluczone, Janice nie zrobiłaby tego. Coraz bardziej przekonana, że we władzach Moonlight Cove zasiadają głupcy albo kłamcy ruszyła powoli brzegiem na południe. W perłowym blasku księżycy przyglądała się plaży, cyprysom rosnącym z dala od siebie i zniszczonym przez czas skałom. Nie szukała śladów tragedii, gdyż te dawno zatarły już wiatr i przyptyw. Miała jednak nadzieję, że sam nocny krajobraz – ciemność, zimny wiatr i arabeski tworzone przez gęstniejącą mgłę – natchnie ją i pozwoli wyjaśnić, co *naprawdę* stało się z Janice.

Była filmowcem-dokumentalistą i zawsze w plenerze rozwiewała swoje wątpliwości związane ze scenariuszem.

Na przykład gdy planowała nakręcić film podróżniczy, to kilka dni chodziła bez celu po Singapurze, Hongkongu czy Rio, co było cenniejsze od tysięcy godzin spędzonych na lekturze i dyskusjach z ekipą.

Przeszła niewiele ponad dwieście stóp i usłyszawszy przenikliwy krzyk, aż stanęła. Dobiał z oddali to głośniejszy, to cichszy, a potem zamarł.

Przeszły ją dreszcze bynajmniej nie wywołane rześkim, październikowym powietrzem. Zastanawiała się nad tym odgłosem podobnym do wycia psa czy przeraźliwego kociego miauczenia. Była pewna, że domowe zwierzęta nie wydają takich dźwięków i – o ile orientowała się również pumy nie włóczyły się po nabrzeżnych wzgórzach w pobliżu Moonlight Cove.

Już miała ruszyć dalej, gdy tajemniczy okrzyk znowu rozległ się w nocnej ciszy. Najwyraźniej pobrzmiwał ze szczytu urwiska nad plażą. Tym razem skowyt był dłuższy i bardziej gardłowy. Może ktoś mieszkający w pobliżu trzymał w klatce groźne zwierzę: wilka albo pumę, niespotykaną na północnym wybrzeżu.

Takie wyjaśnienie nie zadowoliło jej. Ten dziwnie znajomy krzyk nie miał nic wspólnego z wilkiem ani pumą. Nadaremnie czekała na następne nawoływania.

Mgła gęstniała, a ciężka chmura zakryła połowę księżyca. Pociemniało.

Uznawszy, że lepiej pozna okolicę w świetle poranka, zawróciła w stronę otulonych mgłą latarni ulicznych u podnóża Ocean Avenue. Niemal biegiem opuściła plażę, przecięła parking i znalazła się na ulicy, dysząc z wysiłku. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak pędziła.

Thomas Shaddack unosił się w nieprzeniknionej ciemności, nie czując swego ciężaru, ciepła ani zimna, nie reagując na żadne bodźce. Zdawało mu się, że jest pozbawiony kończyn, mięśni i kości, słowem – wszelkiej cielesności. Tylko z zakamarków umysłu docierało do niego, że jednak jest człowiekiem – wysokim jak drąg, ważącym sto sześćdziesiąt pięć funtów, szczupłym i kościstym facetem o pociągłej twarzy, krzaczastych brwiach i jasno-brązowych oczach.

Uświadamiał sobie mgliście, że nagi unosi się w supernowoczesnej komorze, przypominającej duże stalowe płuco. Nisko umieszczona żarówka była wyłączona, również ściany zbiornika nie przepuszczały żadnego światła. Shaddack unosił się w dziesięcioprocentowym roztworze siarczanu magnezu na głębokości kilku stóp, zapewniającym maksimum płynności. Kontrolowana przez komputer – jak pozostałe elementy otoczenia – temperatura wody oscylowała między 93°F a 98°F, gdyż wówczas pływające ciało prawie nie reaguje na przyciąganie ziemskie i różnica między ciepłotą organizmu oraz cieczy jest niewielka.

Nie odczuwał klaustrofobii już w niespełna dwie minuty po wejściu do pojemnika i zamknięciu wjazdu.

Nie odbierając żadnych bodźców zmysłowych – dźwięku, smaku, powonienia, dotyku, pozbawiony poczucia świadomości miejsca i czasu – Shaddack wyzwolił swój umysł z okowów ciała. Dopiero teraz jego przenikliwość i odkrywcze myślenie osiągnęły perfekcję.

Nawet w normalnym otoczeniu uchodził za geniusza. Magazyn *Time* określił go tym mianem, więc musiała to być prawda. Z podupadającej firmy stworzył potentata o nazwie New Wave Microtechnology, dokonującego operacji wartych trzysta milionów dolarów rocznie. Firma prowadziła nowatorskie badania w dziedzinie mikrotechnologii.

W tym momencie jednak nie interesował się badaniami. Korzystał ze zbiornika w celach czysto rekreacyjnych, dla wywołania niezwyklej, nieodmiennie olśniewającej go i podniecającej wizji.

Otóż, mając nikłe poczucie związku z rzeczywistością wierzył, iż znajduje się wewnątrz tak ogromnej maszyny, że wyobrażenie sobie jej rozmiarów było równie trudne jak poznanie granic wszechświata. Niczym pyłek poruszał się w środku potężnej, fantastycznej maszyny wśród masywnych ścian i wirujących wałów napędowych, grzechoczących łańcuchów rozrządu, tysiące trzonów tłokowych połączonych z dobrze naoliwionymi wałami korbowymi, które obracały kołami zamachowymi wszelkich rozmiarów. Silniki szumiały, kompresory dyszały, aparaty zapłonowe iskrzyły, a milionami splecionych przewodów płynął prąd do wszystkich elementów maszynierii.

Lecz najbardziej fascynujące w tym nierealnym świecie było połączenie stalowej konstrukcji z częściami ludzkiego organizmu i stworzenie sztucznej istoty z organiczną tkanką. Jako pomp, konstruktor użył ludzkich serc, które pulsowały niezmiernie odwiecznym rytmem. Połączył je grubymi arteriami z systemem gumowych rur, których węzowe sploty niknęły w ścianach maszynierii. Niektóre z nich pompowały krew do elementów „ludzkich”, pozostałe zaś gęsty olej. W innych

częściach tej ogromnej maszyny zamontowano dziesiątki tysięcy worków płucnych jako filtry, a rury i gumowe węże połączono elastycznymi ludzkimi ścięgnami, bardziej wytrzymałymi niż sztuczne złącza.

Tak wyglądała doskonała organiczno-mechaniczna konstrukcja. Thomas Shaddack z zachwytem przemieszczał się po tym nieskończone wielkim, bajkowym pomieszczeniu. Mimo że był konstruktorem, sam do końca nie wiedział – i nie dbał zresztą o to – jaką ta maszyna pełni funkcję, co produkuje i czemu z takim oddaniem służy. Podniecała go ta perfekcyjnie działająca machina i to mu wystarczało.

Przez całe życie, a miał czterdzieści dwa lata, jak tylko pamiętał, walczył z niedoskonałością ludzkiego organizmu starając się wznieść nad przeznaczenie swego gatunku. Chciał być czymś więcej niż człowiekiem. Pragnął osiąść władzę boga i kształtować przyszłość całej ludzkości. W swej komorze, wyzwolony z niewoli zmysłów i inspirowany widokiem cybernetycznego organizmu, bliższy był owej wytęsknionej metamorfozy niż w realnym świecie, co dodawało mu sił.

Płynąc przez tę fantastyczną maszynę, patrząc jak pulsuje i drga, doznawał orgazmu ogarniającego każdy milimetr ciała. W rzeczywistości nie odczuwał erekcji i potężnych wytrysków, wywołujących skurcz, tylko wspaniałą rozkosz w całym organizmie, a nie jedynie w penisie. Mleczne strużki nasienia rozlewały się w ciemnym roztworze siarczanu magnezu.

Kilka minut później automat zapalił wewnętrzne światło i uruchomił cichy sygnał, co wyrwało Shaddacka z letargu. Wrócił do rzeczywistości Moonlight Cove.

Chrissie Foster przywykła do ciemności i szybko znalazła drogę w nieznanym terenie.

Dotarła do krawędzi wąwozu, przesunęła się między dwoma cyprysami i weszła na kolejny jeleni szlak, wiodący na południe. Tutaj bujne i gęste cyprysy, chronione przed wiatrem przez pobliskie drzewa, były inne niż te na odsłoniętym wybrzeżu o gałęziach poskręcanych niczym poroże jelenia. Chwile zastanawiała się, czy nie poszukać schronienia wysoko w zielonej gęstwinie, może prześladowcy przejdą dołem, nieświadomi jej obecności na drzewie. Ale nie odważyła się zaryzykować; gdyby wywęszyli ją albo odkryli w jakiś inny sposób, wspięliby się na drzewo odcinając drogę odwrotu.

Szybko ruszyła do przodu i wkrótce dotarła do prześwitu między drzewami. Dalej rozciągała się łąka. Wiatr wzmógł się płacząc bezustannie jej jasne włosy. Mgła również zgęstniała, ale światło księżycy przebijało i srebrzyło wysoką suchą trawę, falującą na wietrze.

Biegając przez pole do kolejnego zagajnika, zauważyła na autostradzie dużą ciężarówkę, obwieszoną światłami niczym choinka na Boże Narodzenie. Zrezygnowała z szukania pomocy na tej szosie, którą obcy ludzie zmierzali ku odległym miejscowościom, więc na pewno nie daliby wiary jej opowieści. Poza tym z gazet i telewizji wiedziała o mordercach włóczących się po drogach i bez trudu wyobraziła sobie nagłówki w brukowcach: *MŁODA DZIEWCZYNA ZAMORDOWANA I ZJEDZONA PRZEZ WĘDROWNYCH KANIBALI W FURGONETCE MARKI DODGE; PODANA NA PÓLMISKU PRZYBRANYM BROKUŁAMI I PIETRUSZKĄ.*

Opustoszała teraz szosa ciągnęła się wzdłuż wzgórz, ale Chrissie już wcześniej zrezygnowała z szukania tam pomocy, w obawie przed Tuckerem. Wśród dziwacznych krzyków prześladowców z pewnością rozróżniała trzy głosy, a to oznaczało, że Tucker porzucił samochód i towarzyszy rodzicom. Może jednak bezpieczniejsza byłaby na autostradzie?

Myślała o tym biegnąc przez łąkę. Ale zanim zdecydowała się zmienić kierunek, znów usłyszała za plecami przerażające krzyki. Dochodziły z lasu, lecz tym razem wydawały się bliższe. Miała wrażenie, że ściga ją sfora ujadających chartów myśliwskich, znacznie dzikszych niż zwykłe psy.

Nagle Chrissie trafiła na próżnię i spadała do dołu, który przez chwilę wydawał jej się potwornie głęboki. Ale był to tylko przecinający łąkę płytki rów odwadniający, więc wylądowała na dnie nie robiąc sobie krzywdy.

Prześladowcy zbliżali się wściekle wyjąc, a w głosach pobrzmiwało już zniecierpliwienie i nuta... tego pragnienia, głodu.

Z wysiłkiem wspinała się na ścianę rowu, gdy nagle zauważyła po lewej stronie tunel znikający w ziemi. Zastygła, myśląc o nowej drodze ucieczki.

Szarą, betonową rurę oświetlał migotliwy blask księżycy. Chrissie wiedziała, że to główny kanał

odprowadzający deszczówkę z autostrady i szosy, które biegły gdzieś wyżej. Sądząc po natężeniu przeraźliwych krzyków jej przewaga malała.

Koszmarnie bała się, że ją złapią, nim dotrze do krańca łąki. Może rura była ślepa i nie dawała lepszego schronienia niż cyprys, na który chciała wspiąć się, ale zaryzykowała.

Ześlizgnęła się z powrotem na dno rowu i popędziła do tunelu. Weszła nisko schylona. Po kilku krokach zatrzymał ją taki odór, że poczuła mdłości.

Leżało tu coś martwego i gnijącego, lecz w ciemności nic nie widziała. Tym lepiej, gdyż widok padliny był zapewne gorszy od smrodu. Pewnie jakieś chore dzikie zwierzę schroniło się tu i zdechło.

Wycofała się pośpiesznie, wciągając głęboko w płuca świeże, nocne powietrze.

Usłyszała płaczliwe jęki, które zjeżyły jej włosy na głowie.

Prześladowcy byli już niemal na krawędzi rowu.

Nie miała wyboru. Nagle zdała sobie sprawę, że odór gnijącego zwierzęcia może ją uratować, gdyż dziwne istoty nie zdołają wywęszyć jej zapachu.

Wróciła do ciemnego tunelu i ruszyła przed siebie po wklęsłym dnie wznoszącym się stopniowo w górę łąki. Po przejściu dziesięciu jardów nastąpiła na coś miękkiego i śliskiego. Poczowała potworny smród i zrozumiała, że wdepnęła w martwe zwierzę.

Co za paskudztwo, pomyślała.

Zakrzusiła się, ale zacisnęła zęby i siłą woli opanowała wymioty. Minąwszy cuchnącą masę stanęła, żeby oczyścić buty.

Po chwili pośpieszyła dalej na ugiętych kolanach, z głową wtuloną w ramiona, przypominając skrzata mknącego do sekretnej nory.

Po przejściu około sześćdziesięciu stóp przykucnęła i odwróciła się. Wyraźnie widziała rów w blasku księżyca, ponieważ przez kontrast z ciemnością w rurze noc na zewnątrz wydawała się jaśniejsza.

Panowała cisza.

Dołem rury unosił się łagodny wietrzyk od strony kratek, umieszczonych w nawierzchni dróg, rozwiewający smród rozkładającego się zwierzęcia. W powietrzu wyczuwała jedynie wilgoć i pleśń.

Nocą zawładnęła cisza.

Wstrzymała oddech i nasłuchiwała bacznie.

Cisza.

Wciąż w kucki przestępowała z nogi na nogę.

Cisza.

Zastanawiała się, czy iść dalej i czy tu są węże? Przecież to dla nich doskonałe schronienie przed chłodem nocy.

Cisza.

Gdzie podziali się rodzice? Tucker? Przed minutą znajdowali się o rzut kamieniem.

Cisza.

Na nadmorskich wzgórzach nie brakowało grzechotników, choć o tej porze roku nie były zbyt aktywne. Gdyby ich gniazdo...

Potwornie spięta z powodu przedłużającej się, nienaturalnej ciszy aż sama chciała krzyknąć, by zakłócić tę niesamowitą martwość.

Nagle echo przeraźliwego wrzasku odbiło się wśród ścian betonowego tunelu, jakby prześladowcy zbliżali się nie tylko od strony rowu, ale także z głębin odpływu.

Niewyraźne postaci przycupnęły tuż przy wylocie rury.

Sam znalazł meksykańską restaurację na Serra Street, dwie przecznice od motelu. W lokalu unosiły się smakowite zapachy świadczące o dobrej kuchni. Wciągnął nosem wonny bukiet złożony z przyprawy chilli, gorącego *chorizo*, słodkiego aromatu tortilli sporządzanych z *masa harina*, *cilantro*, papryki, ostrego *jalapeno chiles* i cebuli.

Restauracja Perezów była równie bezpretensjonalna jak nazwa. Na prostokątnej sali wzdłuż ścian rozmieszczono kabiny z niebieskim obiciem, na środku stoliki, a kuchnię na zapleczu. W przeciwieństwie do Burta Packama z pubu pod Rycerskim Mostem rodzina Perezów nie narzekała na brak klientów. Wolny był tylko dwuosobowy stolik, do którego poprowadziła Sama młodzieńca hostessa.

Kelnerzy i kelnerki przepasali dżinsy oraz swetry białymi fartuchami i to był jedyny akcent służbowego stroju. Sam nawet nie prosił o Guinnessa, którego nigdy nie serwowano w meksykańskich knajpkach, zamówił więc Coronę równie niezłą do smacznych dań.

Jedzenie było *bardzo* dobre, lepsze niż spodziewał się po tym nadmorskim miasteczku. Zajadał kukurydziane chipsy własnego wyrobu, grubą i kruchą *salsę*, pyszną zupę szczypiorkową. Zanim podano mu *enchiladas* w sosie pomidorowym, nieomal postanowił, że jak najszybciej przeprowadzi się do Moonlight Cove, nawet gdyby musiał w tym celu obrabować bank.

Gdy już nasycił się pyszną kolacją, zainteresował się innymi gośćmi. Po chwili zadziwiło go kilka rzeczy. W sali panował niezwykły spokój, a siedziało tu z dziewięćdziesiąt osób. Restauracje meksykańskie z dobrym jedzeniem, piwem i mocną margaritą były zazwyczaj pełne gwaru i radości. Lecz nie u Perezów.

Nalawszy sobie piwa z butelki, którą mu właśnie podano, zaczął obserwować kilku milczących gości. W kabinie po prawej stronie sali trzech mężczyzn w średnim wieku jedli w pośpiechu *tacos*, *enchiladas* i *chimichangas*, wpatrując się w talerz albo przed siebie. Naprzeciwko dwie pary nastolatków pochłaniały podwójny półmisek przekąsek bez chwili pogawędki czy wybuchu śmiechu, czego można by spodziewać się po młodych ludziach. Byli tak skupieni, że im dłużej Sam ich obserwował, tym wydawali mu się dziwniejsi.

Wszyscy goście bez względu na wiek skoncentrowali się na jedzeniu. Smakosze zajadali zupy, zakąski, sałatki, przystawki, a potem główne danie. Na zakończenie zamawiali dodatkowo kilka *tacos* albo *burito*, a potem jeszcze lody lub ciastko. Jedli łapczywie, niektórzy z otwartymi ustami, inni głośno połykali duże kęsy potraw. Mieli czerwone, spocone twarze zapewne po zjedzeniu ostro przyprawionych sosów, ale nikt nie wypowiedział uwagi typu, „chłopie, to naprawdę pikantne żarcie” albo „całkiem niezłe”. Żadnej towarzyskiej rozmowy.

Nieliczni tylko gwarzyli wesoło i jedli bez pośpiechu cechującego obżartuchów. Nieobyczajne zachowanie przy stole nie należało oczywiście do rzadkości. Większość gości przyprawiłaby Boga Dobrych Obyczajów o zapaść, gdyby odważył się biesiadować z nimi. Ich żarłoczność zdumiewała

Sama. Przypuszczał, że dobrze wychowani bywalcy przywykli już do niestosownego zachowania innych gości. Czyżby zimne morskie powietrze północnego wybrzeża aż *tak* pobudzało apetyt? Czy to jakieś regionalne dziwactwo, czy raczej braki w społecznym rozwoju Moonlight Cove i krzewieniu dobrych obyczajów, obowiązujących przy stole?

Każdy socjolog poszukujący tematu rozprawy doktorskiej zainteresowałby się dziwnym zachowaniem ludzi w restauracji Pereza. Sama ogarnęło lekkie obrzydzenie. Odliczył więc napiwek i położył pieniądze na stole. Jeszcze raz zlustrował tłum i uświadomił sobie, że żaden z żarłocznych gości nie pił piwa, margarity ani innego alkoholu. Raczyli się wodą z lodem, colą lub mlekiem. Zwykły śmiertelnik nie zauważyłby tego, ale przecież on był dobrym, spostrzegawczym policjantem.

Przypomniał sobie pusty pub Przy Rycerskim Moście. Jaka kultura czy też religia zaszczebiała wstręt do alkoholu, grubiaństwo i łakomstwo? Nic nie przychodziło mu do głowy.

Wypił piwo i stwierdził, że przesadza. W końcu nie widział całej sali i każdego z osobna. Ale wychodząc minął stół, przy którym trzy młode, atrakcyjne kobiety pożerały bez słów, jakby w transie, jedzenie.

Poczuł ulgę, gdy wyszedł na świeże powietrze.

Spocony po zjedzeniu pikantnych potraw w dusznej restauracji chętnie zdjąłby kurtkę, ale nie mógł odsłonić broni w kaburze. Rozkoszował się chłodną mgłą gnaną na wschód przez delikatną bryzę.

Chrissie ujrzała, jak wchodzą do rowu i przez chwilę sądziła, że chcą przedostać się na drugą stronę i ruszyć w kierunku łąki.

Wtem jeden z prześladowców na czworakach, ostrożnie podskoczył do wejścia. Choć Chrissie dostrzegła jedynie zarys sylwetki, z trudem mogła uwierzyć, że ta istota to jedno z rodziców, albo człowiek zwany Tuckerem.

Wchodząc do betonowej rury, drapieźnik wpatrywał się w ciemność. Oczy świeciły mu łagodnym, lekko fosforyzującym żółtozielonym blaskiem.

Chrissie zastanawiała się, czy ta istota widzi w ciemności. Z pewnością nie sięgała wzrokiem na odległość stu stóp do miejsca, gdzie przycupnęła dziewczynka. Taka dalekowzroczność byłaby nienaturalna.

Ale stwór patrzył prosto na nią.

Kto powiedział, że nie miała do czynienia z czymś nadprzyrodzonym?

Może rodzice stali się... wilkołakami.

Oblał ją zimny pot. Miała nadzieję, że odór martwego zwierzęcia stłumi jej zapach.

Prześladowca skulony powoli ruszył do przodu, dysząc ciężko.

Chrissie ledwo oddychała, by nie zdradzić swej obecności.

Nagle, po przejściu zaledwie dziesięciu stóp, stwór wychrypiął szybko jeden długi ciąg słów:

– *Chrissie, ty tam, ty, ty? Chodź mi, Chrissie, chodź mi, chodź mi, chcieć cię, chcieć, chcieć, potrzebować, moja Chrissie, moja Chrissie.*

Ten dziwaczny głos zrodził w jej umyśle przerażający obraz istoty będącej połączeniem jaszczurki, wilka, człowieka z czymś nieznanym. Podejrzewała jednak, że w rzeczywistości zjawa jest ohydniejsza niż wszystko, co tylko mogła sobie wyobrazić.

– *Pomóc ci, chcieć pomóc ci, pomóc, teraz, chodź mi, chodź, chodź, ty tam, tam, ty tam?*

Najgorsze, że ten zimny, szorstki, z pozoru obcy głos był znajomy. Chrissie rozpoznała matkę. Żołądek skurczył się jej ze strachu, ale wypełniał ją jeszcze inny ból. Wreszcie zdała sobie sprawę, że tak boli strata *prawdziwej* matki. Gdyby miała jeden z tych srebrnych ozdobnych krucyfiksów, jakie widywała w horrorach, prawdopodobnie ruszyłaby w stronę tej tajemniczej istoty i zażądała uwolnienia matki z niewoli opętania. Zapewne krzyż nie zdałby się na wiele, ponieważ realne życie to nie kino, poza tym rodziców spotkało coś znacznie dziwniejszego niż przeistoczenie się w

wampira, wilkołaka, czy demona z piekła rodem. Lecz z krucyfiksem spróbowalaby...

– *Śmierć, czuć śmierć, śmierć, śmierć.*

Matka pośpieszyła w głąb tunelu, aż do miejsca, gdzie Chrissie nadepnęła na śliską, gnijącą masę. Jasność świecących oczu najwyraźniej wiązała się z bliskością księżyca, ponieważ teraz przygasły. Stwór spojrział na martwe zwierzę.

Przy wejściu rozległy się uderzenia stóp o podłóżę, gruchot kamieni, po czym odezwał się inny głos, budzący taką samą grozę jak ten należący do istoty pochylonej nad padliną. Stwór stojący u wylotu rury zawołał:

– *Ona tam, tam ona? Co znaleźć, co, co?*

– *...szop...*

– *Co, co to, co?*

– *Martwy szop, gnić, robaki, robaki* – odpowiedział ten pierwszy.

Chrissie poraziła myśl, że zostawiła odcisk buta w gnijących resztkach.

– *Chrissie?* – spytał drugi stwór, wchodząc do tunelu.

Tucker. Ojciec zapewne szukał jej na łące lub w lesie.

Zjawy kręciły się bezustannie. Dziewczynka słyszała skrobanie o betonowe dno rury. Zdawało się, że ogarnia je panika. Nie, nie panika, ponieważ w ich głosach nie pobrzmiwał żaden strach. Byli szaleńczo pobudzeni, jakby silnik zamontowany w każdym z nich pracował na maksymalnych obrotach.

– *Tam, ona tam?* – dopytywał się Tucker.

Stwór podobny do matki podniósł oczy znad zdechłego szopa i wpatrywał się w czerń tunelu prosto w Chrissie.

Nie widzisz mnie, modliła się w myślach, jestem niewidzialna. Fosforyzujący blask oczu istoty zmalał do dwóch punkcików zmatowiałego srebra.

Chrissie wstrzymała oddech.

Tucker powiedział:

– *Trzeba jeść, jeść, chcieć jeść.*

Odezwała się zjawa-matka:

– *Znaleźć dziewczyna, dziewczyna, znaleźć najpierw dziewczyna, potem jeść, potem.*

Rozmawiali jak dzikie zwierzęta, w magiczny sposób obdarzone umiejętnością prymitywnej mowy.

– *Teraz, teraz, palić, jeść teraz, teraz, palić* – niecierpliwił się Tucker.

Chrissie trzęsa się jak osika, przerażona, że słyszc jej drzenie.

– *Palić, małe zwierzęta łąka, słyszeć je, czuć je, tropić, jeść, jeść, teraz* – majaczył Tucker.

Chrissie zamarła.

– *Nic tu* – powiedziała matka – *tylko robaki, cuchnąć, iść, jeść, potem ją znaleźć, jeść, jeść, potem ją znaleźć, iść.*

Wycofali się z tunelu i zniknęli.

Dziewczynka odetchnęła.

Po minucie niczym skrzat podreptała w głąb szukając po omacku bocznego korytarza. Pokonała co najmniej dwieście jardów, aż trafiła na odnogę połowę mniejszą od głównego odpływu. Wśliznęła się tam na plecach nogami do przodu, następnie położyła się na boku. Tu zamierzała spędzić noc. Gdyby prześladowcy wrócili i minęli miejsce z cuchnącym szopem, ona będzie znacznie dalej, więc nawet w przeciągu nie powinni wyczuć jej obecności.

Uspokoiła się nieco, ponieważ nieudana próba wejścia w głąb tunelu dowiodła, że stwory nie posiadają nadprzyrodzonych mocy. Byli nienaturalnie silni i szybcy, dziwni i przerażający, ale popełniali także błędy. Uwierzyła, że w dzień wydostanie się z lasu i znajdzie pomoc, zanim ją złapią.

Stojąc przed restauracją Perezów Sam spojrzął na zegarek. Dopiero siódma trzydzieści.

Wyruszył na spacer wzdłuż Ocean Avenue, zbierając się na odwagę, by zadzwonić do Scotta w Los Angeles. Perspektywa rozmowy z synem zafrapowała go na tyle, że nie myślał już o dziwnym zachowaniu gości w knajpie.

Wszedł do budki telefonicznej obok stacji Shella na rogu Juniper Lane i Ocean Avenue. Posłużył się kartą kredytową, by uzyskać połączenie międzymiastowe z domem w Sherman Oaks.

Szesnastoletni Scott uważał, że może zostawać w domu, gdy ojciec wyjeżdżał w sprawach służbowych. Co prawda Sam wolałby, aby chłopiec mieszkał z ciotką Edną, ale syn postawił na swoim, robiąc z życia Edny istne piekło.

Sam ciągle powtarzał Scottowi, żeby zamykał drzwi i okna, pamiętał gdzie są gaśnice, wiedział jak wydostać się na zewnątrz podczas trzęsienia ziemi lub innego nieszczęścia. Nauczył go też posługiwać się bronią. Według niego syn nie powinien jeszcze zostawać bez opieki, ale przynajmniej był dobrze przygotowany na każdą ewentualność.

Telefon po drugiej stronie zadzwonił dziewięć razy. Sam chciał właśnie odwiesić słuchawkę z ulgą, że nie musi rozmawiać, gdy odezwał się Scott.

– Halo.

– Tu ja, Scott, tata?

– No?

Wyła muzyka heavymetalowa. Syn prawdopodobnie siedział w swoim pokoju przy stereo rozkręconym na cały regulator, aż trzęsły się szyby w oknach.

– Możesz to ściszyć? – spytał Sam.

– Ja cię słyszę – wymamrotał Scott.

– Możliwe, ale ja nie słyszę ciebie.

– I tak nie mam nic do powiedzenia.

– Ścisz, proszę – Sam zaakcentował słowo „proszę”.

Scott rzucił słuchawkę na nocny stolik. Ostry trzask sprawił Samowi ból. Chłopiec nieznacznie ściszył muzykę.

– No? – odezwał się.

– Jak leci?

– Okay.

– Wszystko w porządku?

– A dlaczego nie?

– Po prostu pytam.

– Nie martw się. Nie robię przyjęcia, jeśli o to ci chodzi – stwierdził ponuro.

Sam policzył do trzech, by opanować się. Gęstniejąca mgła kłębiła się na zewnątrz budki.

– Co słyszeć w szkole?

– Myślisz, że nie byłem?

– Wcale nie.

– Nie ufasz mi?

– Ufam – skłamał.

– Sądzisz, że wagarowałem.

– A nie?

– No.

– No więc, jak było na lekcjach?

– Zabawnie. To samo stare gówno.

– Scott, prosiłem cię, żebyś nie używał takiego języka w rozmowie ze mną – Sam czuł, że wbrew woli wciąga się w kłótnię.

– Bardzo przepraszam. Ta sama stara *nuda*. – Scott powiedział to tak, że mogło odnosić się do szkoły, jak i ojca.

– Tu jest bardzo ładnie – ciągnął Sam.

Chłopak nie odpowiedział.

– Zalesione zbocza opadają wprost do oceanu.

– Więc?

Postępując zgodnie z radą psychologa rodzinnego, z którym widywali się razem z synem i oddzielnie, zacisnął zęby, policzył znowu do trzech i spróbował z innej strony.

– Jadłeś już obiad?

– No.

– Odrobiłeś lekcje?

– Nic nie było zadane.

Sam zawahał się, po czym milczał chwilę. Psycholog, doktor Adamski, byłby dumny z jego tolerancji i opanowania.

W końcu odezwał się:

– Co planujesz na wieczór?

– Właśnie *śluchałem* muzyki.

Samowi wydawało się, że muzyka heavymetalowa źle wpływała na chłopca, potęgując jego zgorzknienie. Ten monotony, otępiający łomot pozbawiony melodii mogły skomponować inteligentne maszyny długo po tym, jak z powierzchni ziemi zniknął ostatni człowiek. Po jakimś czasie Scott przestał interesować się tą muzyką na rzecz klasycznego U-2, ale zespół był zbyt staromodny, toteż wkrótce znów zafascynował się grupami heavy-metalowymi tym razem w wydaniu black, czyli wyznawcami satanizmu. Coraz bardziej zamykał się w sobie, stając się zgorzkniałym odludkiem. Sam najchętniej wyrzuciłby te płyty do śmieci, rozbiwszy je uprzednio na drobne kawałki, ale uznał to za absurdalne posunięcie. On też miał szesnaście lat, gdy na scenę wkroczyli Beatlesi i Rolling Stones, a rodzice rzucali gromy prorokując, że swoją muzyką doprowadzą Sama i całe młode pokolenie do zguby. Ale Sam jakoś wyszedł na ludzi i teraz chciał okazać synowi więcej tolerancji niż rodzice w stosunku do niego.

– No cóż, chyba będę kończył – powiedział Sam.

Chłopiec milczał.

– W razie kłopotów zadzwoń do ciotki Edny.

– Dam sobie radę, nie potrzebuję jej pomocy.

– Ona cię kocha, Scott.

– No pewnie.

– To siostra twojej matki: pragnie cię kochać jak syna. Daj jej tylko szansę. – Cisza przedłużała

się, Sam odetchnął głęboko i dodał: – Ja też cię kocham, Scott.

– Tak? Co to da? Czy sprawi, że będę słodki jak cukierek?

– Nie.

– Bo nie zmienię się.

– Po prostu stwierdziłem fakt.

Chłopiec najprawdopodobniej zacytował jedną z ulubionych piosenek:

„Nic nie trwa wiecznie
nawet miłość jest kłamstwem
narzędziem manipulacji
nie ma Boga w niebie”.

Trzask.

Sam chwilę słuchał sygnału. Pięknie. Był nie tyle sfrustrowany co wściekły i chętnie wyładowałby się udając, że niszczy kogoś lub coś, co odebrało mu syna.

Aż ścisnęło go w dołku, gdyż *naprawdę* kochał Scotta. Wyobcowanie chłopca niszczyło ojca.

Nie chciał jeszcze wracać do motelu. Nie czuł senności, a perspektywa oglądania kiczów w telewizji była nie do zniesienia.

Gdy otworzył drzwi, do budki wpełzła mgła jakby wyciągając go w nocną ciemność. Spacerował godzinę po ulicach Moonlight Cove. Zapуścił się do dzielnicy willowej, gdzie nie było latarni, a drzewa i domy niby unosiły się we mgle.

Minął cztery przecznice na północ od Ocean Avenue. Szedł szybko, by wyładować złość. Nagle usłyszał dziwny odgłos kroków, czyżby ktoś skradał się? Z pewnością nie przypominały zwykłego klap-klap-klap, charakterystycznego dla biegnącej osoby.

Rozejrzał się wzdłuż pogrążonej w mroku ulicy.

Kroki ucichły.

Księżyc przysłaniały chmury, więc światło docierało jedynie z okien willi rozsianych wśród sosen i jałowców po obu stronach ulicy. Tę od dawna zamieszkałą okolicę cechowała niska

zabudowa w stylu bawarskim, hiszpańskim i angielskim. Dwie posesje były oświetlone niskimi lampami ogrodowymi, przy kilku innych znajdowały się latarnie umieszczone na końcu frontowych ścieżek, ale mgła tłumiała te wysepki światła. Nikogo nie zauważył na Iceberry Way. Zanim dotarł do następnej przecznicy, znów usłyszał pospieszne kroki. Odwrócił się na pięcie. Pusto. Tym razem dźwięk ucichł, jakby ktoś zeskoczył z chodnika na miękką ziemię i zniknął między domami. Może odgłos docierał aż z innej ulicy? Zimne powietrze i mgła wywoływały takie akustyczne sztuczki.

Był ostrożny, ale i zaintrygowany. Wszedł na trawnik i po chwili dojrzał przy narożniku domu cztery tajemnicze, nisko pochylone sylwetki na ugiętych kolanach. Przebiegły trawnik, a ich fantastycznie wykrzywione cienie odbijały się w świetle lampy na białej ścianie willi. Przypadły do ziemi wśród gęstych krzewów, nim dostrzegł jakiegokolwiek szczegóły.

Pewnie dzieciaki coś knują, pomyślał.

Nie wiedział, dlaczego jest taki przekonany, że to dzieciaki. Może dlatego, że takie zachowanie po prostu nie pasowało do dorosłego. Pewnie chciały wykręcić jakiś numer nie lubianemu sąsiadowi, albo szły za Samem. Instynktownie wyczuwał, że jest śledzony.

Czy młodociani przestępcy stanowili problem w tej małej miejscowości?

W każdym mieście było paru łobuzów. Ale w miasteczkach takich jak Moonlight Cove nie działały gangi, nie dochodziło do rozbojów i napadów z bronią w ręku, rabunków, kradzieży czy brutalnych morderstw. Nastolatki w małych miasteczkach mogli na rauszu za szybko prowadzić samochody, rozrabiać z dziewczynami, dokonywać prymitywnych włamań, ale po ulicach nie krążyły bandy wyrostków jak w dużych miastach.

Jednak Sam nie ufał tej czwórce, która przycupnęła wśród paproci i azalii po drugiej stronie ulicy. Coś było nie w porządku w Moonlight Cove i prawdopodobnie wiązało się z młodocianymi przestępcami. Policja ukrywała prawdę o kilku zgonach w ostatnich miesiącach. Może kryła bezkarnych chłopaków z wpływowych rodzin? Sam nie bał się ich. Wiedział, że poradziłyby sobie z nimi i miał przy sobie swoją trzydziestkęósemkę. Z przyjemnością dałby szczeniakom nauczkę, lecz taka konfrontacja oznaczała też spotkanie z lokalną policją, a wolał nie ujawniać się dla dobra swej misji.

Dziwił się, że chuligani chcą go zaatakować w tej okolicy. Jednym okrzykiem zaalarmowałyby mieszkańców, czego zresztą chciał uniknąć. Stare powiedzenie, że lepsza rozwaga niż odwaga, znakomicie sprawdzało się w jego sytuacji. Pewien, że dzieciaki nie widzą go, planował wymknąć się z posesji i zgubić je.

Minął pośpiesznie willę i wszedł na podwórze, gdzie majacząca we mgle i ciemnościach huštawka wyglądała jak gigantyczny pajak sunący w jego stronę. Przeskoczył ogrodzenie, za którym ciągnęła się wąska alejka z garażami. Zamierzał wrócić do centrum kierując się na południe, ale intuicyjnie wybrał inną trasę. Przebiegł uliczkę zastawioną metalowymi śmietnikami i pokonawszy kolejny płot znalazł się przed domem przy ulicy równoległej do Iceberry Way.

Znowu usłyszał – tym razem głośniejszy – tupot stóp na asfalcie. Chuligani – jeśli to byli oni –

szybko zbliżali się od sąsiedniej przecznicy. Miał dziwne uczucie, że dzięki jakiemuś szóstemu zmysłowi wiedzą, gdzie schował się i dopadną go, nim dotrze do następnej ulicy.

Instykt podpowiedział mu, żeby ukrył się. Byłby głupcem sądząc, że mimo dobrej formy w wieku czterdziestu dwu lat prześcignie nastolatki.

Wpadł więc do pobliskiego, na szczęście otwartego garażu i zatrzasnąwszy za sobą drzwi usłyszał, jak ścigający zatrzymali się przed wejściem w drugim końcu garażu i prawdopodobnie zastanawiali się, w którą stronę uciekł.

Nadaremnie szukał po omacku haczyka albo zasuwki u drzwi. Chłopcy mamrotali coś do siebie, ale Sam nic nie rozumiał. W ich głosach brzmiało dziwne zniecierpliwienie.

Sam trzymał kurczowo gałkę przy drzwiach na wypadek, gdyby próbowali wejść do środka.

Uciszyli się.

Nasłuchiwał uważnie.

Nic.

Zimne powietrze pachniało smarem i kurzem. W tych egipskich ciemnościach przypuszczał jedynie, że stały tu dwa samochody.

Nie bał się, a jednak czuł się nieswojo. Dlaczego wpakował się w taką sytuację? Był dorosłym człowiekiem i znakomicie wyszkolonym agentem FBI z bronią w kaburze, a chował się w garażu przed dziećmi. Znalazł się tu ufając bezgranicznie instyktowi, ale...

Zesztywniał usłyszawszy ostrożne szuranie stóp na zewnątrz. Z całych sił przyciskał drzwi do framugi.

Kroki ucichły.

Wstrzymał oddech.

Minęło kilka sekund.

Otwórz ten cholerny zamek i zjeżdżaj stąd – zirytował się na siebie. Czuł się coraz bardziej głupio i już był gotów stanąć oko w oko z tym smarkaczem i posłać go do wszystkich diabłów, gdy wtem usłyszał inny dziwny głos. Choć nie miał zielonego pojęcia, co to jest, już nie żałował, że ukrył się. Ten nerwowy charkot był charakterystyczny dla oszalałego psychopaty, deliryka albo narkomana na długim głodzie:

– *Palić, potrzebować, potrzebować...*

Teraz rozległo się skrobanie do drzwi jakimś twardym przedmiotem. Sam próbował dociec, co to jest.

– *Karmić ogień, ogień, karmić to, karmić* – słyszał histeryczne łkanie w niczym nie przypominające głosu jakiegokolwiek nastolatka ani dorosłego człowieka.

Pomimo chłodnego powietrza czoło zlał mu pot.

Znów coś zaskrobało w drzwi.

Czyżby gówniarz był uzbrojony i lufę pistoletu przesuwał po drewnie? Albo ostrze noża? A może tylko patyk?

– ...*spalać, spalać...*

Pazur?

Nie mógł odpędzić tej szalonej wizji, wyraźnie widział krogulczy szpon wydłubujący otwór w drzwiach.

Ścisnął gałkę. Pot spływał mu po skroniach. Chłopak próbował otworzyć drzwi. Gałka przekreśliła się lekko w dłoniach Sama, ale przytrzymał ją mocniej.

– ...*och, Boże, to pali, pali, och Boże...*

Sam zaczął bać się, gdyż dzieciak zachowywał się dziwniej i groźniej niż ćpun po zażyciu narkotyków odlatujący z orbity Marsa w kosmos. Wystraszył się, ponieważ miał do czynienia z czymś nieznanym.

Chłopiec usiłował wtargnąć do środka.

Sam zaparł się mocno o drzwi.

Ciągle rozlegały się szybkie, nerwowe słowa:

– *karmić ogień, karmić ogień...*

Ciekawe, czy może mnie to *wywęszyc*, zastanawiał się i w tych okolicznościach ten dziwaczny pomysł nie wydał się bardziej szalony, niż wizja chłopaka z krogulczymi szponami.

Serce waliło mu młotem, a gryzący pot zalewał oczy. Potwornie bolały go ramiona i ręce od przytrzymywania drzwi.

Po chwili chłopak zrezygnował najwidoczniej uznawszy, że ofiary nie ma w garażu. Pobiegł z powrotem w stronę alejki, cicho zawodząc. Był to gardłowy płacz pełen bólu, pragnienia i zwierzęcego podniecenia, którego nie mógł opanować.

Sam słyszał z kilku stron szmer. To pozostali napastnicy przyłączyli się do chłopaka i szeptali coś w ekstazie, lecz Sam nie odróżniał słów. Nagle zamilkli, a w chwilę później niczym sfora wilków pobudzona zapachem zwierzyny lub zagrożeniem pognali ulicą na północ. Wkrótce ich kroki ucichły i

noc znów wypełniła grobowa cisza.

Jeszcze kilka minut Sam stał w ciemnym garażu, blokując drzwi.

Martwy chłopiec leżał rozciągnięty w rowie przy drodze na południowy wschód od Moonlight Cove. Miał pokrwawioną twarz. W blasku dwu policyjnych lamp umieszczonych na stojakach nad rowem jego szeroko otwarte oczy wpatrywały się w bezkres.

Loman Watkins zmusił się do spojrzenia na ciało. Rozpoznał swego chrześniaka, ośmioletniego Eddiego Valdoski. Loman chodził do szkoły z George'em, ojcem chłopca, i niemal dwadzieścia lat kochał się platonicznie w jego matce Nelli. Eddie był wspaniałym, bystrym, ciekawym życia i dobrze wychowanym dzieciakiem. A teraz... Okropnie posiniaczony, pogryziony, podrapany i poszarpany, ze skręconym karkiem był jedynie kupą rozkładających się resztek mięsa.

W ciągu dwudziestu jeden lat policyjnej służby Loman nie zetknął się z takim koszmarem. Powinien być głęboko wstrząśnięty, nawet zdruzgotany tym widokiem bliskiej osoby, a czuł tylko lekkie poruszenie, odrobinę smutku i gniewu.

Bary Sholnick, jeden z nowych funkcjonariuszy przysłanych dla wzmocnienia policji w Moonlight Cove, zrobił zdjęcie zwłok. Przez chwilę w oczach chłopca zamigotało światło lampy błyskowej.

Niemożliwość *odczuwania* – jak na ironię – śmiertelnie przerażała Lomana. Coraz bardziej niepokoił się swą emocjonalną obojętnością i skamieniałym sercem, co stało się jakby wbrew jego woli.

Był teraz jednym z Nowych Ludzi, ale wyglądał tak samo jak dawniej. Ponad pięć stóp wzrostu, krzepkiej budowy ciała, o szerokiej twarzy niewiniątka jakże kontrastującej z jego profesją. W rzeczywistości stał się zupełnie innym człowiekiem. Może kontrola nad emocjami i analityczne spojrzenie na świat świadczyły na korzyść zmiany. Ale czy faktycznie dobrze jest być zimnym jak gład? Mimo chłodu strużki potu spływały mu po ciele.

Koroner, doktor Ian Fitzgerald był zajęty gdzie indziej, więc Victor Callan, właściciel Domu Pogrzebowego i pomocnik koronera w jednej osobie, wraz z policjantem Julesem Timmermanem szukali w terenie śladów pozostawionych przez mordercę.

Tak naprawdę urządzali jedynie pokaz dla kilkudziesięciu mieszkańców zgromadzonych na poboczu. Nie aresztowaliby zabójcy Eddiego. Nie odbyłaby się żadna rozprawa. Załatwią rzecz po swojemu, by ukryć istnienie Nowych Ludzi przed zwykłymi śmiertelnikami. Według Thomasa Shaddocka morderca należał do grupy „regresywnych”, którzy zeszli na złą drogę. Bardzo złą.

Loman odwrócił się od martwego chłopca. Szedł powoli we mgle w stronę oddalonego kilkaset jardów na północ domu rodziców Eddiego.

Zignorował gapiów, choć jeden zawołał:

– Co się u licha dzieje, szefie?

Okolica przypominała wieś. Domy były porozrzucane, a nikłe światła nie rozjaśniały nocy. W połowie drogi do Valdoskiego poczuł się osamotniony, choć słyszał głosy ludzi pracujących na miejscu zbrodni. Drzewa powyginane przez morski wiatr szumiały nad dwupasmową szosą. Miał wrażenie, że coś rusza się wśród ciemnych gałęzi nad głową. Położył dłoń na kolbie rewolweru.

Loman Watkins od dziewięciu lat był szefem policji w Moonlight Cove i tylko w ostatnich miesiącach przelano tu więcej krwi niż w ciągu całej dotychczasowej służby. Nie wątpił, że najgorsze dopiero przed nimi, gdyż regresywni byli liczniejsi i bardziej kłopotliwi, niż Shaddack sądził lub był skłonny przyznać.

Watkins bał się ich prawie tak samo jak swego nowego – zimnego, bezlitosnego spojrzenia na świat.

W przeciwieństwie do szczęścia, żalu, radości czy smutku strach gwarantował przetrwanie, więc może dlatego Loman nie mógł uwolnić się od niego tak skutecznie, jak od innych uczuć. Ta myśl niepokoiła go, jak widma wśród drzew.

Czyżby tylko strach przetrwał w nowym, wspaniałym świecie, który właśnie powołujemy do życia? – zastanawiał się.

Tessa Lockland zjadła tłustego hamburgera z frytkami, wypila zimny Dos Equis w opustoszałej kawiarni motelu i wróciła do pokoju. Położyła się na łóżku i zadzwoniła do matki w San Diego. Maria podniosła słuchawkę już po pierwszym sygnale.

– Cześć mammo – powiedziała Tessa.

– Gdzie jesteś, Teejay? – Jako dziecko Tessa nie mogła zdecydować, czy woli swoje pierwsze czy drugie imię, więc matka zawsze zwracała się do niej inicjałami.

– W Cove Lodge – wyjaśniła.

– To miłe miejsce?

– Najlepsze, jakie znalazłam. Tu nie ma obiektów turystycznych pierwszej klasy. Gdyby nie piękny widok z okien, ten motel przetrwałby tylko dzięki pornosom w telewizji i wynajmowaniu pokoi na godziny.

– Czy jest tam choć czysto?

– Względnie.

– W razie brudów natychmiast więcej.

– Mammo, gdy kręcę film w plenerze, nie zawsze mieszkam w luksusowym apartamencie. W Ameryce Środkowej chodziłam z Indianami Miskito na polowania i spałam w błocie.

– Kochanie, nie wolno ci tak mówić. Świnie śpią w błocie. Mów mi, że warunki były ciężkie albo że nocowałaś na biwaku. Nawet przykre doświadczenia nabierają wartości, jeśli zachowujemy pewien styl.

– Wiem, mammo, chodziło mi tylko o to, że lepiej spać w Cove Lodge niż w błocie.

– Na biwaku.

– Dobrze, na biwaku – zgodziła się Tessa.

Milczały chwilę. Pierwsza odezwała się Marion:

– Do diabła, dlaczego mnie tam nie ma.

– Mammo, ze złamaną nogą?!

– Powinnam pojechać do Moonlight Cove, jak tylko dowiedziałam się, że znaleziono biedną

Janice. Nie pozwoliłabym spalić ciała, Bóg mi świadkiem, nie zrobiliby tego! Zażądałabym ponownej sekcji zwłok od *wiarygodnych* lekarzy, a wówczas nie musiałabyś się angażować w całą tę sprawę. Jestem taka zła na siebie.

Tessa opadła na poduszki i westchnęła.

– Mamo, nie rób sobie wyrzutów. Przecież złamałaś nogę trzy dni przed odnalezieniem ciała. To nie twoja wina.

– Dawniej nic nie powstrzymałoby mnie.

– Nie masz już dwudziestu lat, mamo.

– Tak, zestarzałam się – stwierdziła Marion smutno. – Czasem myślę z przerażeniem, jak bardzo jestem stara.

– Masz dopiero sześćdziesiąt cztery lata, nie wyglądasz nawet na pięćdziesiąt, a nogę złamałaś skacząc na spadochronie, więc na litość boską nie spodziewaj się, że będę się nad tobą użalać.

– Stara matka oczekuje od dobrej córki pociechy i współczucia.

– Słyszając, że nazywam cię starą Marion, albo lituję się nad tobą, dałabyś mi takiego kopniaka, aż wylądowałabym w Chinach.

– Kochanie, to jedna z przyjemności życiowych starej matki, że czasem kopnie córkę w tyłek. T.J. skąd, u diabła, wzięło się to drzewo? Skaczę od trzydziestu lat i nigdy nie zahaczyłam o drzewo. Przysięgłabym, że go tam nie było, gdy wybierałam miejsce do lądowania.

Niepoprawny optymizm i radość życia bardzo charakterystyczne dla rodziny Locklandów, a także nieustępliwość szczególnie cechowały Marion.

– Dziś wieczorem zaraz po przyjeździe poszłam na plażę, tam, gdzie ją znaleźli.

– To musi być dla ciebie okropne, Teejay.

– Wytrzymam.

Tessa badała skutki zbrodniczej wojny w Afganistanie, gromadząc dokumentację do filmu, gdy Janice zginęła. Matka zdołała zawiadomić ją o śmierci siostry dopiero dwa tygodnie po wyrzuceniu ciała na plażę.

Wracała z Afganistanu z poczuciem winy, że w jakiś sposób zawiodła Janice, ale powiedziała prawdę: jakoś to wytrzyma.

– Miałaś rację, mamo. Oficjalna wersja cuchnie.

– Czego dowiedziałaś się?

– Nic jeszcze. Ale stałam w miejscu, z którego rzekomo po zażyciu valium weszła do wody i gdzie znaleziono ją po dwóch dniach. Od razu zorientowałam się, że policja plecie bzdury. Czuję to, mam, i dojdę, co naprawdę wydarzyło się.

– Bądź ostrożna, kochanie.

– Dobrze.

– Jeśli Janice... zamordowano...

– Nic mi się nie stanie.

– Nie można ufać policji...

– Mam, mam niecałe pięć i pół stóp wzrostu, jasne włosy, niebieskie oczy, tupet i wyglądam tak samo groźnie jak wiewiórka z filmów Disneya. Przez całe życie walczę o to, by traktowano mnie poważnie. Inne kobiety odgrywają moją matkę albo starszą siostrę, a mężczyźni chcą zastąpić mi ojca albo ciągną do łóżka. Tylko nieliczni zauważają, że potrafię myśleć i mam większy nieco mózg niż komar. Więc wykorzystam teraz mój wygląd. Nikt nie dostrzeże w mojej osobie zagrożenia.

– Będziemy w kontakcie?

– Oczywiście.

– Jeśli wyczujesz niebezpieczeństwo, po prostu wracaj.

– Nic mi nie grozi.

– Obiecuj, że wyjedziesz, jeśli robi się gorąco – nalegała Marion.

– Przysięgam. A ty *mi* przysięgnij, że przez jakiś czas nie będziesz skakała z samolotów.

– Kochanie, mam zamiar skupić się na rzeczach odpowiednich dla tak wiekowej damy. Na przykład może nauczę się jazdy na nartach wodnych, o czym zawsze marzyłam.

– Kocham cię do szaleństwa, mam.

– Ja też cię uwielbiam, ponad życie, Teejay.

– Zapłacą za śmierć Janice.

– Jeśli w ogóle ktoś taki istnieje. Pamiętaj, że naszej Janice już nie ma, ale ty wciąż jesteś, a żywi są ważniejsi niż martwi.

George Valdosi siedział przy kuchennym stole i w drżących, spracowanych dłoniach kurczowo ścisnął szklanę whisky.

Loman wszedł i zamknął za sobą drzwi, lecz George nie podniósł nawet wzroku. Stracił jedyne dziecko.

Był wysokim, masywnym mężczyzną. Głęboko i blisko siebie osadzone oczy, wąskie usta i ostre rysy nadawały mu srogi wygląd złośliwca, choć mógł uchodzić za przystojnego. W rzeczywistości był to wrażliwy, cichy i miły człowiek.

– Jak się czujesz? – spytał Loman.

Przygryzł dolną wargę i skinął głową, jakby zapewniając, że przetrzyma ten koszmar, ale nie spojrzał Lomanowi w oczy.

– Zobaczę, co z Nellą – dodał Loman.

Gdy szedł po sterylnej czystej kuchni, twarde podeszwy jego butów piszczały na linoleum. Zatrzymał się przed małą jadalnią i spojrzał na przyjaciela.

– Znajdziemy tego drania. Przysięgam.

George w końcu podniósł wzrok znad whisky. W jego oczach błyszczały łzy, ale nie płakał. Był dumny, trzeźwo myślącym Polakiem, zdecydowanym zachowywać się po męsku.

– Eddie aż do zmroku bawił się na podwórku i cały czas widzieliśmy go przez okna. Kiedy Nella zawołała go na kolację, a on nie odpowiedział, pomyśleliśmy, że poszedł bez pytania do któregoś z kolegów. – Opowiadał o tym wszystkim już kolejny raz, ale wydawało mu się, że powtarzanie tej historii w kółko odmieni okropną rzeczywistość, jak odtworzenie kasety magnetofonowej tysiąc razy starłoby muzykę i zostawiło jedynie szum taśmy. – Zaczęliśmy go szukać bez żadnych obaw, raczej ze złością, że oddalił się samowolnie, ale później już martwiliśmy się i właśnie miałem dzwonić do ciebie po pomoc, gdy znaleźliśmy go w rowie, słodki Jezu, całego poszarpanego. – Odetchnął głęboko kilka razy i nie powstrzymał już łez. – Co za potwór zmasakrował tak dzieciaka, a potem jeszcze przyniósł go tu nam pod nos? To stało się gdzieś niedaleko... Słyszeliśmy krzyk. Co to za człowiek, Loman? Na litość boską, co za drań.

– Psychopata – z naciskiem odpowiedział Loman. Regresywni byli psychopatami. Shaddack określił ich stan jako psychozę pochodzenia metamorficznego. – Prawdopodobnie był naćpany – skłamał tym razem. Narkotyki nie miały nic wspólnego ze śmiercią Eddiego. Loman zdumiał się, z jaką łatwością oszukuje przyjaciela, do czego dawniej nie byłby zdolny. Amoralność kłamstwa bardziej pasowała do świata Dawnych Ludzi, ale dla Nowych Ludzi liczyły się tylko skuteczność i praktyczność działania. To były jedyne etyczne absoluty. – Teraz kraj aż cuchnie od naćpanych

pomyślników o wypranych mózгах, bez zasad moralnych. To nasza spuścizna po niedawnej epoce pod hasłem: „Rób Co Ci Się Podoba”. Ten facet to naćpany pomyślniec, George, i przysięgam ci, że go dopadniemy.

George pociągnął łyk i znowu powtórzył:

– Eddie bawił się na podwórku aż do zmroku, widzieliśmy go przez okna... – zamilkł.

Loman z niechęcią poszedł do sypialni Nelli.

Leżała na łóżku, oparta o poduszki, a doktor Jim Worthy siedział na krześle tuż obok. Był najmłodszym z trzech lekarzy, pracujących w Moonlight Cove. Miał trzydzieści osiem lat i szczere serce. Nosił starannie przystrzyżone wąsy, okulary w drucianej oprawie i muszkę.

Lekarską torbę postawił na podłodze przy nogach. Na szyi miał stetoskop. Nappełniał niezwykle dużą strzykawkę płynem z butelki. Spojrzeli na siebie bez słów. Wyczuwając obecność Lomana, Nella Valdosi otworzyła czerwone i spuchnięte od płaczu oczy. Wciąż była uroczą kobietą o płowych włosach i niezwykle delikatnych rysach, przypominających raczej rzeźbę, wygładzoną ręką mistrza. Roztrzęsiona powiedziała:

– Och, Loman.

– Dam jej środek uspokajający – odezwał się Worthy. – Musi odpocząć, najlepiej, gdy zaśnie.

– Nie chcę spać – zaproponowała. – Nie mogę po... nie po tym... nigdy więcej.

– Spokojnie – Loman gładził jej dłoń. – To ci naprawdę dobrze robi.

Kochał tę kobietę – żonę najlepszego przyjaciela – od dawna, ale nigdy nie poszedł za głosem uczucia wmawiając sobie, że to czysto platoniczna miłość. Teraz, patrząc na Nellę zrozumiał, jak bardzo jej pożądał.

Niepokojące było to, że... jego miłość, pożądanie, przyjemna melancholijna tęsknota wyciszyły się, jak większość emocjonalnych reakcji. Pozostało jedynie wspomnienie uczuć, należących do dawnej osobowości, które niczym duch opuściły ciało.

Worthy położył strzykawkę na nocnym stoliku. Rozpiął guziki, podwinął rękaw bluzki Nelli i przewiązał ramię gumową opaską.

Gdy dezynfekował ciało watką nasączoną spirytusem, kobieta spytała:

– Loman, co teraz zrobimy?

– Wszystko będzie dobrze – poklepał jej rękę.

– Jak możesz tak mówić? Przecież mój mały i słodki Eddie nie żyje. Nigdy już nie będzie dobrze.

– Wkrótce poczujesz się lepiej – zapewnił Loman. – Zanim się zorientujesz, ból minie. Będzie już bez znaczenia. Przynajmniej.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma z niedowierzaniem, ale wówczas nie wiedziała jeszcze, co się z nią stanie.

Worthy wbił jej igłę w ramię.

Drgnęła.

Złota ciecz wpływała do żył. Zrozpaczona Nella cicho płakała, nie dlatego, że zastrzyk sprawiał jej ból, ale dlatego, że straciła synka.

Może lepiej nic nie odczuwać niż kochać tak mocno, myślał Loman.

Strzykawka była pusta.

Worthy wyjął igłę z żyły.

Znów popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

Nella drgnęła.

Musiała dostać jeszcze dwa zastrzyki i przez kilka godzin wymagała opieki, by nie zrobiła sobie krzywdy podczas konwersji.

Ponownie drgnęła. Przeistaczanie się w Nową Osobę nie było bezbolesne.

Worthy przechylił głowę i w świetle lampy odbijającym się od okularów wyglądał niezwykle groźnie.

Tym razem gwałtowniejsze i dłuższe drgawki wstrząsnęły ciałem kobiety.

Od drzwi dobiegł głos George'a:

– Co tu się dzieje?

Loman skupiwszy uwagę na Nelli nie zauważył przyjaciela.

– Doktor uważa, że twoja żona potrzebuje...

– Po co ta końska igła? – George myślał o ogromnej strzykawce, gdyż sama igła była normalnej wielkości.

– To środek uspokajający – wyjaśnił doktor Worthy. – Ona powinna...

– Środek uspokajający? – przerwał George. – Wygląda na to, że dostała dawkę powalającą byka.

– Słuchaj, doktor wie, co... – wtrącił Loman.

Zastrzyk zaczął działać. Ciało Nelli zeszywniało, dłonie zwinęły się w pięści, a mięśnie zaciśniętych szczęk zgrubiały. Nabrzmiałe żyły na skroniach i szyi pulsowały gwałtownie. Oczy jej zasły mgłą i Nella znalazła się jakby w letargu.

– Co się z nią dzieje? – dopytywał się George.

Z wykrzywionych bólem warg dobył się dziwny, cichy jęk. Wygięła się w łuk dotykając łóżka jedynie rękami i piętami. Zdawało się, że rozsadza ją niepohamowana energia i za chwilę eksploduje niczym kocioł parowy pod nadmiernym ciśnieniem. Drżąc opadła na materac, zlane potem.

George spoglądał to na doktora, to na Lomana. Wiedział, że działo się coś niedobrego, choć nie rozumiał natury owego zła.

– Stój – Loman wyjął rewolwer, gdy przyjaciel cofnął się w stronę korytarza. – Kładź się obok Nelli.

Valdoski zdumiony i przestraszony zamarł w drzwiach na widok broni.

– Nie próbuj wyjść, bo wbrew woli zastrzelę cię – dodał Loman.

– Nie zrobisz tego – George liczył, że lata przyjaźni ocalą go.

– Owszem – wycedził Loman zimno – a oficjalna wersja wydarzeń z pewnością nie przypadłaby ci do gustu. Stwierdziłibyśmy, że plątałeś się w zeznaniach i że sam zabiłeś Eddiego, wymyślimy taką historyjkę o jakimś zboczeniu seksualnym. Gdy przedstawiliśmy ci dowody, wyszarpnąłeś mi rewolwer. Wywiązała się walka i zostałeś zastrzelony. Śledztwo zamknięte.

Taka groźba z ust bliskiego przyjaciela brzmiała na tyle potwornie, że George'a zatkało. Wchodząc z powrotem do pokoju, odezwał się po chwili:

– Pozwoliłbyś, aby wszyscy myśleli... że ja zrobiłem te straszne rzeczy Eddiemu? Dlaczego? Co ty, u diabła, robisz? Kogo... kryjesz?

– Kładź się na łóżku – rozkazał Loman.

Doktor Worthy przygotował dla George'a zastrzyk.

Nella ciągle wiła się w konwulsjach. Pot zalewał jej twarz, oczy miała otwarte, ale wydawała się całkiem nieświadoma. Loman nie wiedział, czy i co naprawdę widziała, gdyż sam nie pamiętał własnej konwersji, z wyjątkiem rozdzierającego bólu.

Niechętnie podchodząc do łóżka George spytał:

– Chryste, co tu się wyrabia, Loman?

- Wszystko będzie dobrze – zapewnił go przyjaciel. – To naprawdę dla twojego dobra.
- Co, na Boga?
- Połóż się i nie denerwuj.
- Co się dzieje z Nellą?
- Połóż się, George. To dla twojego dobra – powtórzył Loman.
- Tak – przytaknął doktor Worthy kończąc napełnianie strzykawki złotym płynem z nowej butelki.
- Zaufaj mi – Loman skinął rewolwerem w stronę łóżka z uspokajającym uśmiechem.

W domku Harry'ego Talbota, zbudowanym z czerwonej sekwoi, było mnóstwo okien. Stał po wschodniej stronie Conquistador Avenue ciągnącej się z centrum Moonlight Cove na południe. W tej okolicy biwakowali przed wiekami hiszpańscy najeźdźcy, towarzyszący katolickiemu duchowieństwu w zakładaniu misji na wybrzeżu kalifornijskim. Harry czasem fantazjował, że jest jednym z tych żołnierzy, maszerujących na północ ku nieznanemu lądowi i przynajmniej w wyobraźni nigdy nie był przykuty do wózka.

W Moonlight Cove domy przeważnie stały na zalesionych wzgórzach nad morzem. Posesja Harry'ego stanowiła doskonały punkt obserwacyjny zwłaszcza dla człowieka, który nie chodził. Z sypialni na drugim piętrze widział fragmenty wszystkich ulic pomiędzy Conquistador Avenue a zatoką. Oczywiście mieszkając w niższym domu, miałby znacznie gorsze pole widzenia. Harry posiadał doskonały teleskop i dobrą lornetkę.

Trzynastego października, w poniedziałek o wpół do ósmej wieczorem siedział w specjalnym fotelu, między dużymi oknami, przy teleskopie. Wysoki fotel miał poręczę i oparcie jak krzesło, cztery szeroko rozstawione nogi dla zachowania maksimum równowagi i wyważoną podstawę chroniącą przed wywróceniem, gdy Harry zsuwał się na fotel z wózka inwalidzkiego. Przypinał się szelkami, przypominającymi samochodowe pasy bezpieczeństwa, które pozwalały mu wychylać się do teleskopu bez obawy, że spadnie na podłogę.

Po wojnie w Wietnamie był sparaliżowany z lewej strony ciała. Na prawej nodze nie mógł utrzymać swego ciężaru w wyniku postrzału, więc polegał jedynie na zdrowej prawej ręce. Nawet przedostanie się z elektrycznego wózka na fotel było morderczym przedsięwzięciem, ale wartym wysiłku, gdyż życie Harry'ego Talbota ograniczało się do lornetki i teleskopu. Czasami nawet zapominał o kalectwie, na swój sposób uczestnicząc w normalnym życiu.

Swój ulubiony film *Okno na podwórze* z Jamesem Stewartem oglądał chyba ze sto razy.

Teleskop był skierowany na tyły jedyne w Moonlight Cove Domu Pogrzebowego Callana po wschodniej stronie Juniper Lane, równoległej do Conquistador Avenue. Harry widział część garażu, w którym parkowały karawany, a także tylne wejście do budynku i nowego skrzydła, gdzie zwłoki poddawano kremacji oraz balsamowano i przygotowano do wystawienia.

W ostatnich miesiącach Harry obserwował dziwne rzeczy u Callana, ale tego wieczoru nie zauważył jeszcze nic nadzwyczajnego.

– Moose?

Pies uniósł się z legowiska w kącie, przebiegł cicho ciemną sypialnię i zatrzymał się przy boku Harry'ego. Był to dorosły, czarny labrador, niewidoczny w ciemnościach. Trącił nosem prawą nogę pana, w której pozostało trochę czucia.

Harry poklepał psa po łbie:

– Przynieś mi piwo, staruszku.

Moose, specjalnie wytresowany dla potrzeb inwalidów, był szczęśliwy, gdy pan go potrzebował. Pośpieszył do małej lodówki w rogu pod barkiem, otwierającej się za przyciśnięciem pedału.

– Tam nic nie znajdziesz – powiedział Harry. – Zapomniałem przynieść z kuchni nowy karton.

Pies już zorientował się, że w lodówce nie ma piwa. Pobiegł w kierunku korytarza, stukając cicho pazurami o klepkę. W pokojach nie leżały dywany, ponieważ wózek lżej jeździł po gładkiej podłodze. Moose uderzył łapą przycisk windy i dom wypełniło skrzypienie maszyny.

Harry ciągle obserwował Dom Pogrzebowy. Mgła płynęła przez miasto na przemian to gęsta i nieprzenikniona, to rzadka. Ale latarnie oświetlające tyły kostnicy zapewniały dobrą widoczność.

Usłyszał za plecami rozsuwające się drzwi do windy. Moose wbiegł do środka i dźwig ruszył na dół.

Znudzony widokiem kostnicy powoli obrócił teleskop w lewo w kierunku południowym, ku dużej, nie zabudowanej posesji przylegającej do Domu Pogrzebowego. Nastawił ostrość, spojrzął ponad pustyni placem i ulicą aż na dom Gosdale'ów po wschodniej stronie Juniper. Zatrzymał teleskop na oknie jadalni.

Sprawną prawą ręką odkręcił okular i położył na wysokim, metalowym stole przy fotelu, po czym szybko zamontował mocniejszy. Ponieważ mgła w tym momencie zrzędła, widział wnętrze jadalni jak na dłoni. Herman i Louise Gosdale, jak zwykle w poniedziałkowy wieczór, grali w bezika z sąsiadami Dane i Verą Kaiser.

Winda dotarła na parter. Silnik przestał wycić i w domu znów zapanowała cisza. Moose dwa pietra niżej biegł korytarzem do kuchni.

W pogodne wieczory, gdy Dan Kaiser siedział plecami do okna, Harry widział nawet jego karty. Czasami kusiło go, żeby zadzwonić do Hermana i opisać mu karty przeciwnika, dodając kilka uwag, jak powinien grać.

Nie miał jednak odwagi przyznać się, jak spędza czas i uczestniczy z daleka w życiu innych. Nie zrozumieliby. Sprawni z miejsca uprzedzali się do kalek, przekonani, że ułomność fizyczna idzie w parze z umysłową. Uznaliby go co najmniej za wścibskiego, albo gorzej – za zбочeńca i podglądacza.

A Harry Talbot ściśle przestrzegał pewnych reguł. Po pierwsze, nigdy nie podglądał nagiej kobiety.

Amelia Scarlatti mieszkała naprzeciwko i kiedyś przypadkowo odkrył, że czasem wieczorem nago w sypialni słucha muzyki albo coś czyta. Zapalała tylko nocną lampkę, a przebywając z dala od okna nie zawsze zaciągała zasłony na przezroczyste firanki. Prawdę mówiąc, nikt inny nie mógł jej

widzieć. Amelia była urocza. Nawet za firanką, w przyćmionym świetle jawiła się Harry'emu w całej okazałości. Patrzył chyba z minutę zaskoczony niespodziewanym widokiem wspaniałego kobiecego ciała o jędrnych piersiach i długich nogach. Po czym, płonąąc ze wstydu i pożądania, przesunął teleskop w inną stronę. Choć nie kochał się z kobietą od dwudziestu lat, już nigdy nie obserwował sypialni Amelii. Rankami „towarzyszył” jej w schludnej kuchni przy śniadaniu, gdy popijała sokiem pomarańczowym grzanekę z jajkami. Nie potrafił wyrazić słowami, jak była piękną i zapewne miłą osobą. Zakochał się jak sztubak, ale nie został podglądaczem.

Odwracał też wzrok, gdy przyłapał sąsiadów w kłopotliwej sytuacji. Obserwował, jak kłócą się, śmieją, jedzą, grają w karty, objadają się skrycie, zmywają naczynia i wykonują mnóstwo innych codziennych czynności. Pragnął w ten sposób zintegrować się z nimi jak z rodziną; chciał *trochę* się o nich, by doświadczyć pełni emocjonalnego życia.

Winda znów zaszumiała. Moose pewnie dotarł do kuchni, otworzył lodówkę i chwyciwszy puszkę zimnego piwa, wracał do sypialni.

Harry Talbot był towarzyskim człowiekiem, więc po powrocie z wojny poradzono mu, by przeprowadził się do domu dla niepełnosprawnych. Terapeuci przestrzegali, że ludzie zdrowi może nieświadomie, lecz bezceremonialnie odtrącają go i w końcu pogrąży się w strasznej samotności. Ale perspektywa życia w domu opieki jedynie wśród kalek i opiekunów wydawała się Harry'emu gorsza niż samotność. Teraz mieszkał z Moose'em, czasem ktoś wpadł w odwiedziny i raz w tygodniu przychodziła gospodyni, pani Husbok, przed którą chował teleskop z lornetką w szafie. Terapeuci zapewne mieli rację, jednak nie brali pod uwagę zdolności Harry'ego cieszenia się życiem i towarzysztwem poprzez ukradkową obserwację sąsiadów.

Winda dotarła na drugie piętro. Drzwi rozsunęły się i Moose podbiegł wprost do wysokiego fotela.

Harry odsunął teleskop przymocowany do platformy na kółkach i poklepał psa. Wyjął zimną puszkę z jego pyska i postawił ją między nogami, sięgnął po latarkę leżącą na stole i oświetlił puszkę, by upewnić się, że to piwo, a nie cola.

Moose na ogół rozróżniał te dwa słowa, ale niekiedy zapominał się i wracał z niewłaściwą puszką. Zdarzało mu się też przynosić dziwaczne przedmioty nie mające nic wspólnego z poleceniem: pantofle, gazetę, psie herbatniki, jajko na twardo, które trzymał w zębach tak delikatnie, że na skorupce nie było żadnej rysy. I co najdziwniejsze – szczotkę do czyszczenia klozetu, należącą do gospodyni. Lecz wysłany powtórnie, nigdy już się nie pomylił.

Harry już dawno doszedł do wniosku, że psiak robi mu kawały. Dzięki bliskiemu związkowi z Moose'em uwierzył, że psy obdarzone są poczuciem humoru.

Tym razem jego czworonożny przyjaciel przyniósł to, o co prosił. Na widok piwa Harry poczuł jeszcze większe pragnienie.

Zgasiwszy latarkę, powiedział:

– Dobry, doooooobry pies.

Moose zapiszczał uszczęśliwiony. Czuwał w ciemności przy fotelu, gotów wykonać następne polecenie.

– Połóż się, Moose. Dobry pies.

Rozczarowany poczłapał w kąt sypialni i zwinął się w kłębek na posłaniu, a jego pan pociągnął spory łyk piwa.

Harry odstawił puszkę, przysunął teleskop i znów obserwował sąsiednie budynki.

Gosdale'owie i Kaiserowie wciąż grali w karty.

Dom Pogrzebowy Callana skrywała mgła.

Przecznicę dalej w miejscu oświetlonym przez lampy na podjeździe do willi Sternbacka zobaczył Raya Changa, właściciela jedyne go w mieście sklepu z telewizorami i sprzętem elektronicznym. Spacerował ze swym Jackiem, psem myśliwskim o złocistej sierści. Szli wolno, gdyż Jack obwąchiwał każde drzewko, szukając tego właściwego.

Znana scenka sprawiła Harry'emu przyjemność, ale dobry nastrój zniknął raptownie, gdy popatrzył na posesję Simpsonów. Ella i Denver Simpsonowie mieszkali w kremowym, krytym dachówkami domku w stylu hiszpańskim, dwie przecznice na północ za Conquistador, tuż za cmentarzem katolickim, niedaleko Ocean Avenue. Ponieważ nic nie przysłaniało tej posesji, Harry świetnie widział wszystkie okna. Nastawił ostrość na oświetloną kuchnię. Zobaczył Elle Simpson, którą mąż przyciskał do lodówki; usiłowała wyrwać się, drapiąc go po twarzy.

Harry poczuł dreszcze.

Od razu skojarzył to zdarzenie z innymi niepokojącymi go ostatnio obserwacjami. Denver pracował jako listonosz, a Ella z powodzeniem prowadziła salon piękności. Byli jednym z murzyńskich małżeństw po trzydziestce i – jak Harry zorientował się – tworzyli szczęśliwą parę. Ten konflikt między nimi bez wątpienia wiązał się z niewytłumaczalnymi i złowieszczymi wydarzeniami, których Harry był świadkiem.

Ella wyrwała się z uścisku, ale Denver walnął ją pięścią w szyję. Upadła.

Moose wyczuł napięcie pana. Uniósł łeb i szczeknął cicho.

Teraz Harry ujrzał jeszcze dwóch mężczyzn w kuchni. Chociaż nie mieli mundurów, rozpoznał Paula Hawthorne'a i Reese'a Dorna, policjantów z Moonlight Cove, co dowodziło, że cały ten incydent należał do tajemniczego, zbrodniczego spisku, który obserwował przez ostatnie tygodnie. Za wszelką cenę pragnął dowiedzieć się, co działo się w tym niegdyś spokojnym miasteczku. Hawthorne i Dorn podnieśli półprzytomną Ellę i trzymali ją mocno między sobą.

Denver mówił coś wściekły, aż Harry'emu zrobiło się zimno.

W polu widzenia pojawił się trzeci mężczyzna, który zmierzał prosto do okna, by zaciągnąć żaluzje. Od morza napłynęła gęsta mgła, ale Harry zdążył rozpoznać Iana Fitzgeralda, najstarszego, z blisko trzydziestoletnią praktyką lekarza w Moonlight Cove, nazywanego pieszczotliwie doktorem Fitzem. Był też osobistym lekarzem Harry'ego, ciepłym i troskliwym człowiekiem, ale w tej chwili przypominał górę lodową. Zanim żaluzje przysłoniły okno, Harry dostrzegł bezwzględny i jakże obcy wyraz twarzy doktora Fitz'a.

Zbyt mocno przyciskał oko do wizjera i poczuł tępy ból. Przeklinał gęstniejącą mgłę, ograniczającą widoczność.

Moose zaskomlał niecierpliwie.

Po chwili zapaliło się światło w pokoju na pierwszym piętrze. Harry natychmiast skierował teleskop na to okno. Sypialnia. Pomimo mgły widział, jak Hawthorne z Dornem wprowadzają Ellę. Rzucili ją na ogromne łożo, przykryte pikowaną, niebieską narzutą.

Za nimi weszli Denver i doktor Fitzgerald, który postawił czarną skórzaną torbę lekarską na nocnym stoliku. Denver zasłonił frontowe okno z widokiem Conquistador i podszedł do tego, które obserwował Harry. Chwilę wpatrywał się w ciemność, a Harry'emu wydawało się, że ten człowiek widzi go z tak daleka, jakby miał wzrok supermena albo biologiczny teleskop. To samo odczuwał znacznie wcześniej, nim w Moonlight Cove zaczęły dziać się dziwne rzeczy, wiedział zatem, że jest niewidoczny. Niemniej przestraszył się. Po chwili listonosz zaciągnął story, pozostawiając na szczęście szparkę między zasłonami.

Roztrzęsiony, zlany zimnym potem Harry dobierał odpowiedni okular, aż wreszcie obiektyw objął szczelinę. Wydawało mu się, że wręcz stoi w sypialni.

Hawthorne i Dorn przytrzymywali rzucającą się na łożku Ellę za ręce i nogi, nie dając jej żadnych szans, a Denver zakneblował jej usta.

Harry spostrzegł przerażoną twarz kobiety opierającej się prześladowcom.

– Cholera – zaklął.

Moose podszedł do niego.

W trakcie szamotaniny spódnica Elli podjechała w górę, odsłaniając żółte majtki, i rozpięła się zielona bluzka. Mimo to nic nie sugerowało gwałtu ani seksualnego napięcia. Cokolwiek chcieli zrobić, było to bardziej przerażające i okrutne niż gwałt.

Doktor Fitz podszedł do łóżka, zasłoniwszy Ellę i prześladowców. Bursztynowym płynem z butelki napełniał strzykawkę.

Dawali jej zastrzyk.

Ale z czego?

I po co?

Po rozmowie z matką Tessa Lockland usiadła na łóżku i obejrzała w telewizji film dokumentalny, krytykując głośno pracę kamerzysty, oświetlenie, montaż – słowem całą produkcję, aż wreszcie uzmysłowiła sobie, że to głupio tak gadać do siebie. Następnie znakomicie bawiła się parodiując krytyków telewizyjnych, wciąż jednak rozmawiała sama z sobą, co było zbyt ekscentryczne nawet jak na nonkonformistkę w wieku trzydziestu trzech lat, która nigdy nie pracowała na etacie. Przyjazd do miejsca, gdzie zginęła siostra, rozdrażnił ją. W farsie szukała odprężenia po tej ponurej pielgrzymce, ale momentami nawet niezmacona pogoda ducha Locklandów była nie na miejscu.

Zgasiła telewizor i wyjęła z komody pusty pojemnik na lód. Zostawiwszy uchylone drzwi, wzięła tylko kilka monet i skierowała się na pierwsze piętro do automatów z napojami i lodami.

Tessa chełpiła się tym, że uniknęła ośmiogodzinnego kieratu, co było absurdalne zważywszy, iż harowała po kilkanaście godzin dziennie wymagając od siebie więcej niż najsurowszy szef na normalnym etacie. Nie zarabiała kroci. Zdarzały się lata tłuste, ale przeważnie ledwie starczało jej na podstawowe utrzymanie. Od czasu ukończenia szkoły filmowej jej średni roczny dochód z dwunastu lat wynosił około dwudziestu jeden tysięcy dolarów i drastycznie zmniejszyłby się, gdyby nie dobry rok w perspektywie.

Choć nie była bogata, a zawód niezależnego filmowca-dokumentalisty nie gwarantował stabilizacji, czuła się człowiekiem sukcesu. Nie dlatego, że na ogół dobrze oceniali ją krytycy, ani też z wrodzonego optymizmu. Czuła satysfakcję, ponieważ przeciwstawiała się autorytetom, a praca dawała jej niezależność.

Dotarła do końca długiego korytarza, pchnęła ciężkie drzwi pożarowe i zeszła na półpiętro do automatów, ale ten z lodem był uszkodzony. Musiała zejść na parter. Jej kroki odbijały się głuchym echem od betonowych ścian niczym we wnętrzu ogromnej piramidy.

Na dole nie znalazła automatów, ale znak umieszczony na ścianie informował, że są w północnym skrzydle motelu. Przebyła tak długą drogę, że w pełni zasłużyła na colę słodzoną, a nie dietetyczną.

Gdy dotknęła klamki drzwi na korytarz, już na parterze wydało się jej, że słyszy skrzypienie drzwi piętro wyżej. Do tej pory sądziła, że jest jedynym gościem w motelu.

Zauważyła, że parter pokrywa również szkaradna pomarańczowa wykładzina. Dekorator wnętrz najwyraźniej preferował jaskrawe kolory godne klowna. Patrząc na wykładzinę musiała mrużyć oczy.

Gdyby odniosła większe sukcesy, pozwoliłaby sobie na bardziej luksusowy hotel. Ale nawet bogactwo nie uchroniłoby jej przed tym oślepiającym pomarańczowym blaskiem, gdyż zamieszkała w jedynym motelu w Moonlight Cove. Widok szarych betonowych ścian i schodów na dole wydał się kojący i przyjemny.

Tutaj automat do lodu działał. Otworzyła zbiornik i napełniwszy wiaderko postawiła je na

maszynie. Zamykając pojemnik z lodem usłyszała przeciągłe skrzypienie drzwi na piętrze.

Podeszła do automatu z colą, spodziewając się, że ktoś zejdzie na dół. Wrzucając monety uświadomiła sobie, że w *podejrzany* sposób otworzyły się drzwi piętro wyżej. To powolne skrzypienie... Czyżby ktoś wiedział, że zawiasy są nie nasmarowane i próbował zminimalizować hałas?

Tessa nasłuchiwała, nie włączając automatu.

Nic.

Martwa cisza.

Czuła się dokładnie tak samo jak na plaży, gdy usłyszała dziwny i odległy krzyk. Przeszyły ją dreszcze.

Wpadła jej do głowy szalona myśl, że ktoś specjalnie czekał, aż uruchomi automat i zagłuszy skrzypienie drzwi.

Jako współczesna, odważna kobieta powinna zlekceważyć taki głupi strach, ale zbyt dobrze знаła siebie. Nigdy nie popadała w histerię, więc ani przez chwilę nie myślała, że to śmierć Janice uczyniła ją nadwrażliwą. Bez wątpienia ktoś czaił się na schodach. W korytarzu było troje drzwi. Te, którymi weszła i mogła wrócić na parter, znajdowały się na południowej ścianie. Drugie, na zachodniej, prowadziły na wąski chodnik na tyłach motelu, usytuowany nad krawędzią morskiego urwiska, i przez trzecie na wschodniej ścianie mogła dostać się na parking. Odstawiła colę oraz wiaderko z lodem i podeszła szybko do południowych drzwi.

Zauważyła przelotnie jakiś ruch na krańcu korytarza. Ktoś przemknął przez wyjście pożarowe do południowej klatki schodowej.

Dostrzegła jedynie zarysy sylwetek.

Co najmniej dwóch mężczyzn skradało się w jej kierunku.

Wyżej zgrzytnęły zawiasy. Najwidoczniej tajemniczy mężczyzna zmęczył się czekaniem na hurkot automatu.

Nie mogła wyjść na korytarz, gdyż znalazłaby się w pułapce między dwoma prześladowcami.

Mogła zaalarmować krzykiem innych gości, lecz jeśli w motelu rzeczywiście nikt więcej nie mieszkał, nie sprowadziłaby pomocy, a prześladowcy przestaliby się ukrywać.

Ktoś skradał się po schodach.

Tessa wybiegła w mglistą noc na parking, za którym znajdowała się Cypress Lane. Zdyszana popędziła do wejścia i wpadła prosto do recepcji.

Za kontuarem siedział ten sam wysoki, tęgawy mężczyzna po pięćdziesiątce, który przyjmował ją parę godzin temu do motelu. Mimo gładko ogolonej twarzy i starannie przystrzyżonych włosów wyglądał trochę niechlujnie w brązowych, luźnych sztruksach i zielono-czerwonej flanelowej koszuli. Odłożył magazyn, który czytał, ściszył radio i aż wstał z fotela słuchając z szeroko otwartymi oczyma opowieści Tessy.

– No cóż, to jest spokojne miasteczko, proszę pani – powiedział, gdy skończyła. – Tutaj nie trzeba się martwić takimi rzeczami.

– Ale to się wydarzyło – nie ustępowała, zerkając nerwowo w ciemność panującą za drzwiami i oknami.

– Och, na pewno pani kogoś widziała i słyszała, ale nie ma w tym nic podejrzanego. Tu jest jeszcze paru gości. Najprawdopodobniej też wyszli po colę i lód – uśmiechnął się ciepło. – Przyznaję, opustoszały motel nie jest przytulny.

– Proszę posłuchać, panie...

– Gordon Quinn.

– Panie Quinn, to było zupełnie inaczej. – Czowała się jak kretyńska. – Nie myślę niewinnych gości hotelowych z bandytami i gwałcicielami. Ci faceci mieli złe zamiary.

– No cóż, w porządku, rozejrzyjmy się. – Quinn wyszedł zza kontuaru.

– Tak pan idzie?

– To znaczy jak?

– Nieuzbrojony.

Ponownie uśmiechnął się. Tessa znowu poczuła się głupio.

– Proszę pani – powiedział – przez dwadzieścia pięć lat pracy nie spotkałem gościa, z którym nie poradziłbym sobie.

Chociaż jego zarozumiały, protekcyjny ton złościł ją, poszła za nim do odległego skrzydła budynku. Facet był wysoki, ona zaś mała, więc czuła się trochę jak dziewczynka eskortowana do pokoju przez ojca, zdecydowanego udowodnić, że żaden potwór nie chowa się pod łóżkiem ani w szafie.

Otworzył metalowe drzwi, przez które wybiegała z północnej klatki schodowej, i weszli do środka. Nikt tam nie czekał.

Automaty z napojami i lodem szumiały cicho. Jej plastikowe wiaderko z kawałkami lodu wciąż stało na maszynie.

Quinn otworzył drzwi na parter.

– Nikogo tu nie ma – wskazał głowa cichy korytarz. Wyrżał też na zewnątrz.

Przywołał ją gestem, by również rozejrzała się z progu. Zobaczyła wąski chodnik z poręczami między motelem a nadmorskim urwiskiem oświetlony przez latarnie.

– O ile pamiętam, nie wzięła pani napoju po wrzuceniu monety? – spytał Quinn.

– Zgadza się.

– Czego się pani napije?

– Proszę dietetyczną colę.

Wcisnął odpowiedni guzik i do rynienki wpadła puszka. Podał jej, wskazując plastikowe wiaderko.

– Proszę nie zapomnieć lodu.

Niosąc wiaderko z lodem i colę, Tessa czerwona ze złości wspinała się za nim po schodach. Nikt tam nie czaił się. Nie nasmarowane zawiasy skrzypnęły, gdy wchodzili na pusty korytarz pierwszego piętra.

Drzwi do pokoju były nadal uchylone. Ociągała się z wejściem.

– Sprawdźmy – powiedział Quinn.

W małym pokoju, garderobie i łazience nie było nikogo.

– Lepiej się pani czuje? – spytał.

– Nic mi się nie przyśniło.

– Zapewne – stwierdził protekcyjnie.

Gdy skierował się w stronę korytarza, Tessa dodała:

– Oni tam byli, naprawdę, ale sądzę, że uciekli, gdy zorientowali się, że pobiegłam po pomoc.

– Cóż, w takim razie wszystko w porządku – zapewnił. – Jest pani bezpieczna. Jeśli już sobie poszli, to tak, jakby nigdy nie istnieli.

Tessa podziękowała ledwo powstrzymując się, by nie palnąć czegoś niegrzecznego. Zamknęła drzwi na zasuwę, zablokowała klamkę i założyła łańcuch.

Sprawdziła też okna. Nie otwierały się z zewnątrz, chyba że ktoś wybiłby szybę i zlikwidował blokadę. Poza tym pokój znajdował się na piętrze, więc intruz musiałby wspiąć się po drabinie.

Chwilę siedziała na łóżku nasłuchując odgłosów motelu. Teraz każdy dźwięk wydawał się dziwny. Zastanawiała się, czy był jakiś związek między tym niepokojącym wydarzeniem a śmiercią siostry ponad trzy tygodnie temu.

Po spędzeniu kilku godzin w kanale Chrissie Foster odczuwała klaustrofobię. Przedtem siedziała znacznie dłużej zamknięta w małej spiżarni, jednak ciemny, duszny tunel był znacznie gorszy.

Gdzieś wysoko z autostrady rozlegało się głucho dudnienie jadących ciężarówek, odbijające się echem w kanale. Zakryła uszy, gdyż ten grzmot doprowadzał ją do szału. Gdy tak leżała w ciemności nasłuchując w chwilach ciszy sygnałów oznaczających powrót rodziców z Tuckerem, wydawało się jej, że znajduje się w betonowej trumnie pogrzebana żywcem.

Głośno czytała wyimaginowaną książkę o swoich przygodach: *Młoda Chrissie nie wiedziała, że tunel lada moment zawali się, ziemia rozgniecie ją jak chrząszcza, grzebiąc na zawsze.*

Nie powinna opuszczać tunelu, gdyż ścigający wciąż mogli czaić się na łące i w lesie.

Niestety, zbyt wyobraźnia stanowiła jej przekleństwo. Choć bez wątpienia była sama w tym podziemiu, jawiły się jej odrażające węże, snujące się setki pajaków, karaluchy, szczury, stada krwiożerczych nietoperzy. W końcu wymyśliła, że przed laty wczołgało się do tunelu dziecko dla zabawy i zgubiwszy się umarło w potępieniu. A teraz ten upiór, wyczuwając obecność dziewczynki, wlecze ku niej swe przerażające szczątki... Dwunastoletnia Chrissie, rozsądna jak na swój wiek, bez przerwy powtarzała sobie, że duchy nie istnieją, ale natychmiast myślała o rodzicach i Tuckerze, którzy przypominali *wilkołaki*. Gdy ogromne ciężarówki przejeżdżały górą, nie zakrywała już uszu z obawy, że upiór dziecka podpełźnie bliżej.

Musi wydostać się stąd.

Po opuszczeniu ciemnego garażu, w którym – jak sądził – schronił się przed bandą narkomanów, Sam Booker udał się na Ocean Avenue do pubu Przy Rycerskim Moście, gdzie biesiadował przedtem dostatecznie długo, by teraz kupić karton piwa Guinnessa na wynos.

Później, pijąc piwo w pokoju w Cove Lodge, analizował fakty związane ze sprawą. Piątego września członkowie Narodowego Związku Farmerów – Julio Bustamante i jego siostra Maria z narzeczoną, Ramonem Sanchezem jechali czteroletnim brązowym chevroletem na południe, po zakończeniu rozmów z właścicielami winnic o nadchodzących zbiorach. Zatrzymali się w Moonlight Cove w restauracji Perezów i wypili do obiadu zbyt wiele drinków „margarita”, jak zeznali kelnerzy oraz inni goście. Wracając na autostradę z nadmierną szybkością weszli w niebezpieczny zakręt. Furgonetka przekoziółkowała i zapaliła się. Nikt nie ocalał.

Wersja ta nie wzbudziłaby podejrzeń i FBI nigdy nie zajęłoby się sprawą, gdyby nie kilka nieścisłości. Po pierwsze, według oficjalnego raportu policji z Moonlight Cove, samochód prowadził Julio Bustamante, a on w życiu nie siedział za kierownicą, w dodatku cierpiał na pewną odmianę nocnej ślepoty. Co więcej, zgodnie z zeznaniami świadków, wszyscy byli pod wpływem alkoholu, ale żaden znajomy nigdy nie widział Julia i Ramona pijanych, Maria zaś była abstynentką.

Postępowanie władz z Moonlight Cove wzbudziło także podejrzania rodzin ofiar mieszkających w San Francisco, które powiadomiono o wypadku dopiero po pięciu dniach. Szef policji Loman Watkins wyjaśnił, że dokumenty ofiar uległy zniszczeniu w czasie pożaru furgonetki i niemożliwa była szybka identyfikacja spalonych ciał na podstawie odcisków palców. Ciekawe, że Loman nie znalazł tablic rejestracyjnych przy samochodzie ani w pobliżu miejsca wypadku. Co więcej upoważnił koronera doktora Fitzgeralda do wypisania aktów zgonu, i tym samym pozbył się zwłok przez kremację, zanim odszukał najbliższych krewnych.

– Nie dysponujemy urządzeniami, jak w dużym mieście, do przechowywania ciał – wyjaśnił Watkins. – Nie wiedzieliśmy też, ile czasu potrwa identyfikacja tych ludzi. Mogli podróżować w interesach po kraju, albo nawet być nielegalnymi imigrantami, a wówczas nikt nie rozpoznałby ich.

Sprytnie, pomyślał Sam ponuro, przechylając się do tyłu na krześle i pociągając spory łyk Guinnessa.

Troje ludzi uznano za ofiary tragicznego wypadku i poddano kremacji przed powiadomieniem bliskich, zanim jakiegokolwiek inne władze mogły ustalić, stosując metody nowoczesnej medycyny sądowej, czy akty zgonu i raport policji zawierają całą prawdę. Rodziny podejrzewały szachrajstwo, a przewodniczący Związku Farmerów zażądał interwencji FBI twierdząc, że za śmierć Julia, Marii i Ramona odpowiedzialni są wrogowie związku. Zabójstwo podlegało jurysdykcji FBI tylko wtedy, gdy podejrzany o zbrodnię uciekał poza granice stanu albo popełnił morderstwo w jakimś okręgu, albo jak w tym wypadku, gdy władze federalne podejrzewały pogwałcenie praw cywilnych ofiar.

Dopiero dwudziestego szóstego września, po uporaniu się z absurdalnie piętrzoną przez

rządową biurokracją formalnościami, zespół agentów FBI – w tym trzech z Wydziału Naukowego – przyjechał na dziesięć dni do malowniczego Moonlight Cove. Przesłuchali policjantów, sprawdzili kartoteki w komendzie i w biurze koronera, zgromadzili zeznania świadków, goszczących w restauracji Perezów piątego września, zbadali dokładnie wrak furgonetki na złomowisku i przekopali miejsce wypadku poszukując najdrobniejszych nawet śladów. Ponieważ okolice Moonlight Cove nie należały do regionów rolniczych, nikt nie interesował się Związkiem Farmerów, słowem – zabrakło motywów, by zabijać związkowców.

W czasie śledztwa policja i koroner nad wyraz chętnie współpracowali z agentami. Loman Watkins i jego ludzie zgodzili się nawet poddać testom do wykrywania kłamstw i zdali je na piątkę, bez cienia podejrzeń o oszustwo. Koroner także w wyniku testu okazał się człowiekiem o nieskazitelnej uczciwości.

Coś jednak śmierdziało w tej sprawie.

Przedstawiciele miejscowych władz zbyt gorliwie współpracowali z FBI, agenci zaś odnosili wrażenie, że są obiektem pogardy i drwin. Co prawda nigdy nie zauważyli żadnych oznak kpin, ale nazywali to Instynktem Biura, który był równie wiarygodny jak instynkt dzikiego zwierzęcia.

Ponadto były jeszcze *inne* tajemnicze zgony.

Podczas śledztwa w sprawie Sanchez-Bustamante przejrzeni akta z ostatnich lat, by zapoznać się z rutynowymi działaniami władz Moonlight Cove i stwierdzić, czy obecne ich postępowanie różniło się od wcześniejszego, co wskazałoby na udział w spisku.

Odkryli rzeczy zagadkowe i niepokojące, ale *spodziewali się* znaleźć coś innego. Moonlight Cove okazało się nadzwyczaj bezpiecznym miejscem, aż do dwudziestego ósmego sierpnia, osiem dni przed śmiercią Sancheza i Bustamante, kiedy to w oficjalnych aktach odnotowano serię zgonów.

Rankiem dwudziestego ósmego sierpnia w pożarze domu poniosła śmierć rodzina Mayserów. Według władz mały Bili zaprószył ogień zapałkami. Ciała zwęgliły się do tego stopnia, że identyfikację przeprowadzono jedynie na podstawie uzębienia.

Sam sięgnął po drugą butelkę Guinnessa, ale zawahał się. Miał jeszcze mnóstwo pracy tego wieczoru, a czasami w ponurym nastroju pił piwo, aż urwał mu się film.

Z pustą butelką w ręku dla uspokojenia zastanawiał się, dlaczego chłopiec zobaczywszy ogień nie wołał pomocy, nie uciekał. Dlaczego nie było wzmianki o pożarze w oficjalnym raporcie? Zadziwiające, że nikt nie zdołał uciec, a dom i ciała zmieniły się w kupę popiołu, nim przybyli strażacy. Czyżby ktoś podsyczał ogień?

Kolejne sprytne posunięcie. Za namową Callana, właściciela Domu Pogrzebowego i asystenta koronera w jednej osobie, a tym samym podejrzanego o uczestniczenie w oficjalnym spisku, krewna Mayserów zgodziła się na kremację zwęglonych szczątków.

W ten sposób usunięto wszelkie ślady zbrodni.

Sprytnie – powiedział głośno Sam.

Cztery ofiary.

Następnie wypadek Bustamante i Sanchez piątego września. Kolejny pożar i pośpieszna kremacja.

Siedem ofiar.

Siódmego września, gdy swąd spalenizny unosił się jeszcze nad Moonlight Cove, dwudziestoletni Jim Armes wypłynął łodzią w morze na poranną przejażdżkę i nigdy już go nie ujrzano. Choć był doświadczonym żeglarzem, w pogodny dzień najprawdopodobniej zatonął wraz z łodzią w czasie odpływu, gdyż morze nie wyrzuciło na brzeg żadnego wraku.

Osiem ofiar.

Dziewiątego września, gdy ryby przypuszczalnie skubały ciało Armesa, Paulę Parkins rozszarpały doberman. Była dwudziestodwunastoletnią samotną kobietą zajmującą się hodowlą i tresurą psów obronnych w niewielkiej posiadłości na przedmieściu. Najwidoczniej jeden z psów zaatakował ją, a pozostałe, czując zapach krwi, też wpadły w szał. Jej poszarpane szczątki przesłano do rodziny w Denver w zapieczętowanej trumnie. Psy zastrzelono, przebadano na wściekliznę i spalono.

Dziewięć ofiar.

Drugiego października, sześć dni po rozpoczęciu śledztwa w sprawie Bustamante-Sanchez, FBI przeprowadziło ekshumację ciała Pauli Parkins na cmentarzu w Denver, która wykazała, że kobietę faktycznie pogryzły i rozszarpały zwierzęta.

Sam pamiętał najbardziej interesujący fragment protokołu posekcyjnego: „...ślady ugryzień, zadrapania, rany oraz specyficzne uszkodzenia na piersiach i organach płciowych niezupełnie odpowiadają tym, jakie powstają w wyniku ataku psa. Odciski zębów i wielkość ukąszeń nie są zgodne z użębieniem dobermana czy innego agresywnego zwierzęcia, zdolnego zaatakować człowieka”. Na końcu stwierdzono: „gatunek napastników nieznany”.

Jak naprawdę umarła Paula Parkins?

Kto próbował obwiniać doberman?

Jakiż to strach i mękę przeżyła?

Czy zbadanie psich ciał potwierdziłoby policyjną wersję?

Sam pomyślał o tajemniczym krzyku, który słyszał tej nocy, przypominającym wycie kojota albo rozpaczliwe miauczenie kota. I od razu skojarzył to sobie z niesamowitymi, niecierpliwymi głosami ścigających go dzieciaków. Wszystko układało się w jedną całość. Odezwał się w nim Instynkt Biura.

Gatunek nieznany.

Sam próbował ukoić nerwy Guinnessem. Stuknął pustą butelką o zęby.

Sześć dni po śmierci Pauli Parkins i na długo przed ekshumacją jej ciała w Denver, dwoje innych ludzi zginęło w Moonlight Cove. Steve'a Heinza i Laurę Dalcoe, mieszkających razem bez ślubu, znaleziono martwych w domu przy Iceberry Way. Heinz zostawił wystukaną na maszynie nie podpisaną notatkę, po czym zastrzelił z dubeltówki śpiącą Laurę, a następnie odebrał sobie życie. Raport doktora Fitzgeralda mówił o morderstwie i samobójstwie, sprawa zamknięta. Ponownie za namową koronera rodziny zmarłych zezwoliły na kremację zwłok.

Jedenaście ofiar.

Kremacje w tym mieście są na porządku dziennym – stwierdził głośno Sam, obróciwszy w rękę pustą butelkę po piwie.

A przecież zgodnie z ostatnią wolą większość ludzi balsamowano po śmierci i chowano w trumnach bez względu na stan, w jakim znajdowało się ciało. W wielu miastach zaledwie jedna kremacja przypadała na czterech – pięciu zmarłych.

Wreszcie, podczas śledztwa w sprawie Bustamante-Sanchez agenci z San Francisco stwierdzili, że Janice Capshaw przedawkowała valium. Jej zmasakrowane ciało wypłynęło na brzeg dwa dni po zniknięciu, a trzy przed przybyciem funkcjonariuszy z FBI.

Dwanaście zgonów w niecały miesiąc – dokładnie dwanaście razy więcej niż liczba przestępstw w Moonlight Cove w ostatnich *dwudziestu trzech miesiącach*.

Aż tyle tragicznych wypadków śmiertelnych w miasteczku zamieszkałym przez trzy tysiące ludzi w tak krótkim czasie to naprawdę szokujące.

Szefa policji Lomana Watkinsa również bulwersowała ta seria zadziwiających wydarzeń.

– To okropne i niepokojące. Tak długo panował tu spokój, że byliśmy na końcu w statystycznych wykazach.

Ale dwanaście wypadków nawet przez dwa lata w takim miasteczku też byłoby o wiele za dużo. Sześciu doświadczonych agentów nie znalazło nawet cienia dowodu na współudział lokalnych władz w tych zdarzeniach. I choć wykrywacz kłamstw nie dawał stuprocentowej gwarancji, z pewnością test, jaki przeszli Loman Watkins z podwładnymi oraz koroner z asystentem, wykazałby ich winę, a wyszli z niego nieskazitelni.

Jednakże...

Dwanaście zgonów. Czworo ludzi spłonęło w *pożarze* domu. Troje w rozbitym chevroletcie. Dwie osoby zginęły od strzałów, jedna przedawkowała lekarstwo, kolejna zaginęła na morzu. Ciała poddano kremacji w Domu Pogrzebowym Callana. W dodatku jedynej ofiary, której przeprowadzono sekcję, nie zagryzły psy, jak stwierdzono w raporcie koronera, lecz została rozszarpana przez tajemnicze zwierzę. Do diabła, dość, by nie zamykać śledztwa. Cztery dni po wyjeździe grupy dochodzeniowej podjęto decyzję o wysłaniu do Moonlight Cove tajnego agenta. A następnego dnia –

dziesiątego października – do biura FBI w San Francisco nadszedł list, potwierdzający konieczność dalszego zajmowania się sprawą.

Sam nauczył się tekstu na pamięć.

„Panowie, mam informacje o niedawnej serii zgonów w Moonlight Cove. Lokalne władze zatuszowały morderstwa. Wolałbym, panowie, byście skontaktowali się ze mną osobiście, ponieważ obawiam się podsłuchu telefonicznego. Nalegam na zachowanie absolutnej dyskrecji, gdyż jestem inwalidą na wózku – weteranem z Wietnamu i boję się o własne bezpieczeństwo.”

Podpisano: Harold Talbot.

Archiwa armii Stanów Zjednoczonych potwierdziły słowa Talbota. Wielokrotnie wymieniano go w raportach za odwagę w walce. Sam zamierzał odbyć z nim jutro poufne spotkanie.

Musiał jeszcze popracować tego wieczoru, a wciąż miał chęć na drugą butelkę piwa, którego karton stał przed nim na stole. Patrzył nań dłuży czas. Guinness, dobre meksykańskie jedzenie, Goldie Hawn i strach przed śmiercią. Smakowitą kolację już dawno strawił, a Goldie Hawn żyła gdzieś na rancho z Kurtem Russellem, zamiast z niepozornym, zgorzkniałym i pozbawionym złudzeń agentem federalnym. Myślał o dwunastu ofiarach, o ciałach piekących się w krematorium, aż pozostały z nich jedynie kawałki kości i popiół, o morderstwie i samobójstwie o rozszarpanej kobiecie, w końcu doszedł do gorzkiej konkluzji na temat ulotności życia. Wspomnił też zmarłą na raka żonę, rozmowę z synem i w końcu otworzył drugie piwo.

Opętana wizją upióra dziecka i atakujących ją pajaków, węży, szczurów i nietoperzy, oszołomiona rykiem ciężarówek Chrissie wyczołgała się z tunelu. Nagle znalazła się w pełnym błota rowie. Powietrze było czyste i słodkie. Choć stała między wysokimi ścianami, a blask księżyca przysłaniała mgła, powoli ustępowało uczucie klaustrofobii. Wciągnęła głęboko w płuca orzeźwiające powietrze oddychając jak najciszej.

Po chwili dotarły do niej te obco brzmiące krzyki niesione echem nad łąką od południowej strony lasu. Była pewna, że słyszy głosy matki, ojca i Tuckera. A zatem miała wolną drogę, którą przysła. Ominie północną część lasu i miejsce, gdzie zrzuciła ją Godiva, następnie skręci na wschód w stronę szosy i dotrze do Moonlight Cove, gubiąc prześladowców.

Musiała ruszać.

Wygrzebała się z rowu i pobiegła zgodnie z planem. Była zmęczona, obolała i głodna po siedzeniu w ciasnym, zimnym, betonowym kanale.

Nie martw się, przekonywała samą siebie, gdy dotarła do drzew na skraju łąki. Wolałabyś, żeby dopadł cię Tucker i „zmienił” w jedną z nich?

Loman Watkins opuścił dom Valdoskich, gdzie doktor Worthy nadzorował konwersję Elli i George'a. Widział w oddali, jak policjanci z koronerem umieścili zwłoki chłopca w karawanie. Tłum gapiów patrzył zafascynowany na tę scenę. Loman wsiadł do wozu i zapalił silnik. Mały ekran monitora rozblęsnął delikatnym, zielonym światłem. Łącze komputera zainstalowano na konsolce między przednimi siedzeniami. Zamigotało światelko, co oznaczało, że ktoś z New Wave ma dla niego wiadomość, której nie chciał nadać przez łatwe do podsłuchania policyjne radio.

Już kilka lat pracował na komputerach o mikrofalowych łączach, czasami jednak zdumiewał go widok monitora rozblęskującego w samochodzie. W dużych miastach, takich jak Los Angeles, większość radiowozów ostatnio wyposażono w sprzęt umożliwiający łączność z policyjnym bankiem danych, ale te elektroniczne cuda były wciąż rzadkością w mniejszych ośrodkach, a w okręgach tak małych jak Moonlight Cove po prostu o nich nie słyszano. W wydziale Lomana znalazły się urządzenia nowej generacji, nie dlatego, że w kasie miejskiej było za dużo gotówki. Zafundowała je firma New Wave, przodująca w produkcji przenośnych systemów danych o mikrofalowych łączach, traktując policję w Moonlight Cove jako coś w rodzaju pola doświadczalnego dla nowych wynalazków.

Między innymi w ten sposób Thomas Shaddack wkradł się w strukturę władz miasteczka, zanim sięgnął po rządy absolutne dzięki Projektowi Księżycowy Jastrząb. W owym czasie Loman był zbyt głupi, by zrozumieć, że hojność New Wave nie jest żadnym błogosławieństwem. Teraz już wiedział.

Miał dostęp do centralnego komputera w głównym komisariacie na Jacobi Street, dzięki czemu mógł uzyskać wszelkie informacje w banku danych lub porozumieć się przez komputer z dyżurnym dyspozytorem równie łatwo jak przez policyjne radio. Co więcej, nie wysiadając z samochodu łączył się z każdą instytucją należącą do ogólnonarodowej sieci elektronicznej Organów Ścigania.

Wprowadził swój numer identyfikacyjny, by uzyskać dostęp do systemu.

Do przeszłości należały czasy, gdy po dane trzeba było gdzieś chodzić. Teraz już tylko gliniarze na filmach uganiali się za najdrobniejszymi nawet informacjami, co było o wiele bardziej dramatyczne niż włączenie komputera.

Komputer zweryfikował numer Lomana.

Ekran przestał migotać.

Oczywiście, gdyby na świecie mieszkali tylko Nowi Ludzie i rozwiązano by problem regresywnych, nikt już nie popełniałby zbrodni i policjanci staliby się niepotrzebni. W nowej, nadchodzącej rzeczywistości wszyscy ludzie będą sobie równi, będą mieli te same pragnienia i cele, co zapobiegnie wszelkim konfliktom. Nowych Ludzi bowiem charakteryzuje doskonały wzór genetyczny. Taka była wizja Shaddacka.

Czasem Loman Watkins myślał, że w tym wszystkim nie ma miejsca na wolną wolę, ale nie przejmował się zbyt. Chwilami ta obojętność przerażała go nie na żarty.

Na ekranie pojawiły się jasnozielone litery na ciemnym tle.

DLA: LOMAN WATKINS

ŹRÓDŁO: SHADDACK

JACK TUCKER NIE ZGŁOSIŁ SIĘ Z DOMU FOSTERÓW, TELEFON NIE ODPOWIADA;
JAK NAJSZYBCIEJ WYJAŚNIĆ SYTUACJĘ. OCZEKUJĘ RAPORTU.

Shaddack podłączył swój komputer w domu na północnym krańcu zatoki do policyjnego, mógł więc zostawiać wiadomości przeznaczone wyłącznie dla Watkinsa lub jego ludzi.

Monitor zgasł.

Watkins zwolnił hamulec ręczny, wrzucił bieg i ruszył w kierunku stajni Fosterów, znajdującej się poza granicami miasta i jego rejonem. Nie przejmował się już takimi sprawami, jak rejonizacja czy procedury prawne. Musiał grać rolę policjanta, aż całe miasto zostanie poddane Zmianie. Był Nowym Człowiekiem i stare zasady nie dotyczyły go. Takie lekceważenie prawa oburzyłoby go jeszcze parę miesięcy temu, ale teraz arogancja dla zasad wyznawanych przez Dawnych Ludzi w ogóle go nie poruszała.

Z dnia na dzień, niemal z godziny na godzinę coraz mniej ulegał emocjom.

Odczuwał tylko strach jako element mechanizmu przetrwania bardziej użyteczny niż uczucia miłości, radości, nadziei czy przywiązania. Teraz właśnie bał się regresywnych i tego, że Projekt Księżycowy Jastrząb zostanie ujawniony oraz zniszczony, a wraz z nim on sam. Bał się jedyne władcy – Shaddacka. Czasami obawiał się także siebie i nadchodzącego świata.

Moose drzemał w kącie sypialni poszczekując cicho. Może gonił we śnie króliki, albo wykonywał polecenia pana. Harry, przypięty pasami do fotela stojącego przy oknie, obserwował tyły Domu Pogrzebowego. Widział jak Víctor Callan z pomocnikiem wytaczają wózek z czarnego caddilaca i zmierzają do skrzydła budynku, w którym balsamowano i kremowano zwłoki. Ciało w plastikowym worku było małe jak dziecko. Zamknęli drzwi i Harry nic więcej nie zobaczył.

Czasem nie zasłaniali dwóch wysokich, wąskich okien i wtedy przyglądał się balsamowaniu zwłok. Zazwyczaj dostrzegał więcej niż *chciał* widzieć, jednak tego wieczoru rolety spuszczone aż do parapetów.

Powoli przesuwiał teleskop wzdłuż spowitej mgłą alejki, prowadzącej do Domu Pogrzebowego między Conquistador i Juniper. Nagle ujrzał dwie zwinne groteskowe sylwetki. Szybko przedostały się na posesję przylegającą do domu Callana, poruszając się jakby na czworakach.

Zjawy.

Serce Harry'ego mocno zabiło.

Już kilka razy widział podobne istoty w ostatnich tygodniach, choć początkowo nie wierzył własnym oczom. Wydawało się, że są wytworem wyobraźni, toteż nazwał je Zjawami.

Były szybsze niż koty. Znikły w ciemnych, pustych zaułkach, zanim ochłonął ze zdumienia i skierował za nimi teleskop.

Lustrował teraz posesję wzdłuż i wszerz wypatrując ich w wysokiej trawie i zaroślach przysłoniętych mgłą.

Znalazł dwie przygarbione sylwetki wielkości człowieka, trochę jaśniejsze niż noc, w suchej trawie na środku posesji, obok potężnego świerku.

Drżąc poprawił ostrość, ale w ciemnościach i mgle nie widział żadnych szczegółów.

Choć było to kosztowne i trudne do zdobycia, żałował, że nie załatwił sobie wojskowymi kanałami teletronu, unowocześnionej wersji urządzenia noktowizyjnego, które pasowało do teleskopu. Zazwyczaj Harry'emu wystarczał blask księżyca lub światło żarówek w pomieszczeniach, lecz do obserwacji szybkich i skradających się zjaw czarną nocą we mgle potrzebował nowoczesnej techniki.

Dziwne istoty rozglądały się wokół, obracając głowy szybkim, płynnym ruchem niczym koty, choć z pewnością nie miały kociego wyglądu.

Jedna zerknęła w tył i Harry pierwszy raz ujrzał złote, lekko fosforyzujące oczy. Zdrętwiał, gdy dostrzegł coś znajomego w tym spojrzeniu.

Nagle poczuł chłód aż do szpiku kości i ogarnął go strach silniejszy od wszystkiego, co czuł od czasu wojny w Wietnamie.

Nawet Moose wstrząsnął się odganiając resztki snu i skomląc podszedł do fotela.

Harry na moment uchwycił twarz innej ze Zjaw w słabej poświacie księżyca, która pogłębiała tylko tajemniczość postaci.

Moose szczechnął, jakby chciał o coś spytać.

Harry wpatrywał się w małe oblicze nie mogąc oderwać oka od teleskopu, jakby od tego zależało jego życie. Był to przedziwny pysk – węższy, ohydniejszy i bardziej drapieżny niż u małpy. Może to są wilki albo jakieś gady? Miał wrażenie, że dojrzał błysk potwornie ostrych zębów w rozdziawionej paszczy. Lecz mogła to być gra cieni lub tylko wizja jego rozgorączkowanej wyobraźni. Kaleka na wózku *musiał* mieć bujną wyobraźnię, by jakoś żyć.

Stwory poruszały się ze zwierzęcą płynnością i prędkością, które przeraziły Harry'ego. Przesunął teleskop, by podążyć za nimi, a one dosłownie unosząc się w ciemności, zniknęły za ogrodzeniem na tyłach domu Claymore'ów.

Wreszcie Harry odsunął się od teleskopu i opadł na fotel. Moose natychmiast oparł się łapami o poręcz złakniony pieszczoł, jakby widział to, co jego pan i chciał upewnić się, że te złe duchy wcale nie wydostały się na wolność.

Roztrzęsiony Harry głaskał go po łbie sprawną ręką. Po chwili Moose uspokoił się.

Gdyby FBI odpowiedziało na list, który wysłał tydzień temu, chyba nie powiedziałby o Zjawach w obawie, że agenci uznają go za nieźrównoważonego, a nawet obłąkanego i z niedowierzaniem podejną do innych informacji. A był pewien, że stwory miały jakiś związek z zagadkowymi wydarzeniami w ostatnich tygodniach.

Czy jestem histerykiem? – zastanawiał się głaszcząc Moosa.

Może zwariowałem?

Po dwudziestu latach spędzonych na wózku inwalidzkim w czterech ścianach i uczestniczeniu w życiu innych dzięki teleskopowi może tak bardzo zapragnął włączyć się do świata zewnętrznego, poczuł taki głód mocnych doznań, że wymyślił tę historię, w której przeznaczył sobie główną rolę. Jedyne Człowieka Który Wiedział. Bzdury. Wojna okaleczyła jego ciało, lecz umysł miał trzeźwy i jasny, a nawet bystrzejszy niż dawniej. To, nie obłąd, było jego przekleństwem.

– Zjawy – powiedział do Moose'a.

Pies sapnął.

– Co dalej? Może pewnej nocy zobaczę na księżycu czarownicę na miotle?

Chrissie wyszła z lasu przy Pyramid Rock. Spojrzała w stronę domu i stajni, gdzie światła we mgle otaczała mieniąca się barwami tęczy aureola. Chwilę zastanawiała się, czy iść po konia, mogłaby nawet wśliznąć się do domu i zabrać jakąś kurtkę, ale za bezpieczniejszą uznała ucieczkę na piechotę. Poza tym, nie była tak beztroska jak filmowe bohaterki powracające do Złego Domu, mimo że czyhała na nie Zła Istota. Ruszyła przez łąkę do szosy.

Wykorzystując niezwykle spryt – czytała w myślach powieść przygodową – Chrissie odwróciła się od przekłętego domu i ruszyła w noc zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzy to miejsce swej młodości i czy znajdzie ukojenie w ramionach tak obcej teraz rodziny.

Wysoka, jesienna trawa chłostała jej nogi. Oddalała się od lasu czując się bezpieczniej na otwartej przestrzeni. Wątpiła, że w razie ataku prześcignie prześladowców, ale przynajmniej dawała sobie szansę.

Ochłodziło się, gdy ukrywała się w kanale. Flanelowa koszula grzała ją tak samo jak letnia bluzka z krótkimi rękawami. Gdyby szukała przygód, jak bohaterka z powieści Andre Norton, utkałaby płaszcz z trawy i innych roślin albo złapałaby jakieś futrzaki, z których wyczarowałaby śliczne, ciepłe okrycie.

Nie mogła dłużej myśleć o bohaterkach tych książek, gdyż dobijała ją własna niezaradność.

I tak głowa pękała jej od zmartwień. Była z dala od domu, głodna, zmarznięta, zagubiona i wystraszona. W dodatku ścigały ją dziwaczne i niebezpieczne istoty. Ale najbardziej cierpiała z powodu rodziców. Kochała ich, choć nigdy nie okazywali zbytnej czułości, a teraz odeszli dziwnie odmienieni, żywi, lecz pozbawieni duszy, jak zmarli.

Zbliżając się do dwupasmowej szosy zobaczyła światła, a po chwili z mgły wyłonił się radiowóz policyjny. Jechał bez włączonej syreny, ale na dachu migiała niebiesko-czerwona lampka. Kierowca zwolnił i skręcił na podjazd przy znaku wskazującym Stajnie Fosterów.

Chrissie już chciała krzyknąć i podbiec do samochodu, uczono ją bowiem, że policjanci są przyjaciółmi, nawet uniosła dłoń i zamachała, ale uświadomiła sobie, że skoro zawiedli ją nawet rodzice, nie powinna też ufać mundurowym.

Przerażona, że również są ofiarami konwersji, skryła się w trawie.

Wóz zakręcił w kierunku podjazdu, szczęśliwie nie oświetlając miejsca, gdzie przykucnęła. Noc i mgła z pewnością sprawiły, że ludzie z radiowozu nie zauważyli jej, a poza tym przysłaniała ją wysoka trawa. Ale nie chciała ryzykować. Patrzyła jak samochód oddala się. Zatrzymał się chwilę obok wozu Tuckera porzuconego w połowie drogi do domu, a następnie ruszył i wkrótce zniknął w gęstej mgle.

Wtedy podniosła się z trawy i pobiegła ku szosie wiodącej do Moonlight Cove. Czujna i ostrożna, ukryje się w rowie albo wśród drzew za każdym razem, gdy usłyszy nadjeżdżający samochód.

Nie pokaże się nikomu obcemu. Dopiero w mieście pójdzie do kościoła Matki Bożej Miłosierdzia i poprosi o pomoc ojca Castelli, który jako nowoczesny ksiądz, chciał, by go nazywano ojcem Jimmem, ale Chrissie *nigdy* nie zdobyła się na taką poufalość. Kiedyś niezmordowanie pomagała podczas letniego festiwalu kościelnego i wyraziła nawet pragnienie zostania ministrantką, ku ogromnemu zadowoleniu ojca Castelli. Była pewna, że ją lubi i uwierzy w tę nieprawdopodobną opowieść. Jeśli nie... cóż, wówczas zwróci się do swojej nauczycielki, pani Tokawa.

Dotarwszy do szosy zatrzymała się i spojrzała na świecące punkty we mgle, gdzie stał jej dom. Drżąc skierowała się do Moonlight Cove.

Frontowe drzwi domu Fosterów stały otworem. Loman Watkins przeszukał pomieszczenia od góry do dołu. Zaniepokoiło go jedynie przewrócone krzesło w kuchni i porzucona czarna torba Jacka Tuckera, wypełniona strzykawkami oraz ampułkami z lekiem, który powodował Zmianę, a także pojemnik WD-40 w aerozolu, leżący na podłodze w dolnym korytarzu.

Zamknął drzwi, wyszedł na ganek i wsłuchiwał się w cichą noc. Leniwy wietrzyk po chwili zupełnie ustał. Powietrze było nieruchome, a wszelkie odgłosy jakby rozplływały się we mgle, co sprawiało, że wokół panowała cmentarna cisza.

Patrząc w stronę stajni zawołał:

– Tucker! Foster! Jest tam kto?

Jego głos odbił się głuchym echem.

Nikt nie odpowiedział.

– Tucker? Foster?

W jednej ze stajni paliło się światło i były otwarte wrota. Pomyślał, że powinien rozejrzeć się tam.

W połowie drogi do stajni usłyszał z oddali przeraźliwy, gardłowy krzyk pełen gniewu, tęsknoty, podniecenia i pragnienia. Wrzask regresywnej istoty w trakcie polowania.

Nasłuchiwał w bezruchu pełen nadziei, że przesłyszał się.

Dźwięk powtórzył się. Tym razem rozróżnił kilka głosów. Rozbrzmiewały daleko, więc to niesamowite zawołanie nie było odpowiedzią na wołanie.

Krzyki zmroziły go.

I natchnęły dziwnym pragnieniem.

Nie.

Zacisnął pięści, aż paznokcie wbiły mu się w dłonie, zwalczając chęć przeistoczenia się w... Nie. Musi skoncentrować się na policyjnej pracy, na bieżących problemach.

Jeśli to krzyczeli Fosterowie i Jack Tucker, to gdzie była Chrissie?

Może uciekła, gdy przygotowywali ją do konwersji, co potwierdzały ślady w domu. Ścigając dziewczynkę, podnieceni polowaniem mogli ulec utajonej potrzebie regresji. A może folgowali sobie

przy innych okazjach, więc i teraz szybko przeszli w ten stan.

Nadal tropili ją w leśnej głuszy albo już dawno rozerwali na strzępy, lecz wciąż pozostawali w stanie regresywnym, gdyż odczuwali krwiożercze podniecenie.

Mimo chłodu Loman oblał się nagle potem.

Chciał... pragnął...

Nie!

Dzisiaj Shaddack powiedział mu, że Chrissie spóźniła się na szkolny autobus i wróciwszy do domu przyłapała rodziców na eksperymentach z nowymi możliwościami. Postanowili więc przyspieszyć jej Zmianę. A może Fosterowie kłamali, chcąc tylko chronić własne tyłki? Może dziewczynka zaskoczyła ich w głębokiej regresji, co pragnęli ukryć przed Shaddackiem, który uznałby ich za degeneratów wśród Nowych Ludzi.

Zmiana miała na celu wyniesienie rodzaju ludzkiego na wyżyny ewolucji.

Regresja jednakże była wynaturzeniem mocy, jaką dawała Zmiana, a ci, którzy jej ulegli, stali się wyrzutkami. Regresywni znajdujący podniecie w krwawych zabójstwach należeli do najgorszej kategorii psychopatów.

Znów usłyszał odległe krzyki.

Poczuł przyjemny dreszcz i owo potężne pragnienie, by zrzucić ubranie, pochylić się nad ziemią i pognać nago nocą długimi, pełnymi gracji susami przez rozległą łąkę, wprost do dzikiego i pięknego lasu, gdzie czekał łup, który można było dopaść, powalić, rozszarpać...

Nie.

Opanowanie.

Samokontrola.

Odległe krzyki przenikały go.

Musi wykazać się samokontrolą.

Serce waliło mu.

Krzyki. Słodkie, niecierpliwe, dzikie...

Loman zaczął drżeć, później trząść się gwałtownie, gdy oczyma duszy ujrzał siebie wyzwolonego z ludzkiej postaci i zachowań.

Gdyby wreszcie uwolnił się drzemiący w nim pierwotny człowiek, któremu pozwolono by żyć...

Nie. To niemożliwe.

Poczuł słabość w nogach i osunął się na ziemię, lecz nie oparł się na dłoniach, by nie ulec pierwotnym instynktom. Zwinął się w kłębek i leżąc na boku walczył z narastającą chęcią poddania się regresji. Jego ciało zrobiło się gorące jakby godzinami wygrzewał się na słońcu, ale zdawał sobie sprawę, że ten żar pochodzi z miliardów komórek, które przechowywały genetyczny materiał powodujący Zmianę. Samotny w ciemności i mgle przed domem Fosterów, zniewolony krzykami regresywnych wiedział, że jeśli ulegnie choć raz, stanie się degeneratem o wyglądzie Lomana Watkinsa, Mr. Hyde'em z którego na zawsze wygnano Dr. Jekylla. Z głową wtuloną w ramiona, patrzył na swoje dłonie zwinięte w pięści, przyciśnięte do piersi i wydawało mu się, że niektóre palce zmieniają się. Po prawej ręce przemknął ból, czuł jak kości trzeszczą i przybierają nowy kształt, kłykcie nabrzmiewają, palce wydłużają się, opuszki rozszerzają, ścięgna grubieją, a paznokcie przekształcają w twarde szpony.

Wrzasnął przerażony i zbuntowany zarazem i zapragnął całą siłą woli utrzymać swą człowieczą tożsamość. Jak szalony powtarzał przez zaciśnięte zęby swe imię i nazwisko niczym zaklęcie, zdolne zatrzymać tę koszmarną transformację. Nie wiedział, ile czasu minęło – minuta, czy godzina.

Powoli odzyskiwał przytomność. Z ulgą stwierdził, że wciąż leży na ziemi przed domem Fosterów nie zmieniony. Był zlany potem, lecz ustąpił rozpalający do białości ogień w jego ciele. Dłonie wyglądały normalnie.

Przez chwilę nasłuchiwał odgłosów nocy. Wokół panowała zbawienna cisza.

Nadal odczuwał przeraźliwy strach. Sprawdziły się koszmarnie podejrzenia, że również i on jest podatny na regresję. Lecz ulegając jej utraciłby zarówno świat, który znał przed konwersją, jak i nowy, wspaniały świat tworzony przez Shaddacka. Stałby się wyrzutkiem.

Gorzej: zaczynał wierzyć, że nie był wyjątkiem, że w rzeczywistości *wszyscy* Nowi Ludzie noszą w sobie zalążki degeneracji. Każdej nocy przybywało regresywnych.

Drżąc podniósł się na nogi.

Zimny pot oblepił jego skórę niczym powłoka z lodu. Jak lunatyk szedł do wozu zastanawiając się, czy odkrywcza teoria Shaddacka nie jest z gruntu fałszywa, a zatem wręcz niszczyielska po wdrożeniu w życie. Może to wszystko było czystym przekleństwem. Jeśli Nowi Ludzie rzeczywiście mieli zaszczepioną skłonność ku regresji, to wcześniej czy później...

Pomyślał o Thomasie Shaddacku znajdującym się gdzieś na północnym krańcu zatoki w dużym domu z widokiem na miasto, po którym włóczyły się w ciemnych zaułkach stworzone przez niego bestie, i strasznie posmutniał. Zawsze lubił czytać i teraz przypomniawszy sobie doktora Moreau z powieści H. G. Wellsa, zastanawiał się, czy Shaddack mógłby być takim Moreau epoki mikrotechnologii, opętany szaloną wizją transcendencji, polegającej na stworzeniu człowieka-maszyny. Z pewnością cierpiał na manię wielkości uważając, iż zdolny jest wynieść ludzkość na wyższy poziom, jak prawdziwy Moreau wierzył, że może przemienić dzikie zwierzęta w ludzi i pokonać Boga. Jeśli Shaddack nie był geniuszem, a tylko megalomanem, jak Moreau, to biada

wszystkim.

Loman wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi. Zapukał silnik oraz włączył ogrzewanie.

Ekran komputera zabłyśnął w oczekiwaniu polecenia.

Choć niedoskonały, Projekt Księżycowy Jastrząb był dla niego jedyną przyszłością, a zatem by go chronić założył, że Chrissie uciekła, a Fosterowie i Tucker nie złapali jej. Musi więc polecieć swoim ludziom, aby dyskretnie obserwowali szosę i ulice prowadzące na północny kraniec Moonlight Cove. Gdyby dziewczynka dotarła do miasta w poszukiwaniu pomocy, mogliby ją unieszkodliwić. Wielce prawdopodobne, że nieświadoma opowiedziała któremuś z Nowych Ludzi o szaleństwie rodziców, a to oznaczało jej koniec. Natomiast ludzie nie poddani jeszcze konwersji zapewne nie uwierzyliby jej. Ale nie mógł ryzykować.

Musiał porozumieć się z Shaddackiem i dopilnować służbowych obowiązków.

Musiał także zdobyć coś do jedzenia.

Był nieludzko głodny.

Działo się coś złego, coś niedobrego, coś...

Mike Peyser przemykał nagi do domu na południowo-wschodnim krańcu miasta, gnał między pagórkami przez zarośla z polowania, z krwią na ustach, wciąż podniecony ale i zmęczony po dwugodzinnych igraszkach z ofiarą. Uważnie omijał posesje sąsiadów, z których nie wszyscy przeszli konwersję. Domy w tej okolicy stały oddalone od siebie, więc swobodnie, szybko i cicho pełznął w ciemności wśród drzew, przez wysoką trawę, nisko przy ziemi, okryty nocą, szybko i zgrabnie, cicho i szybko, nago i cicho, mocno i szybko, prosto na ganek parterowej willi, gdzie mieszkał samotnie. Wpadł przez otwarte drzwi do kuchni, wciąż czując na ustach krew, ten cudowny płyn, ciągle podniecony polowaniem, ale także zadowolony z powrotu do domu, lecz...

Działo się coś złego.

Boże, płonął wewnątrz, pragnąc pokarmu i paliwa, paliwa, i to było normalne w tym zmienionym stanie, i ogień nie był zły, nie wewnętrzny ogień, nie to szalone, trawiące pragnienie pokarmu. Złe było to, że nie mógł, nie mógł, nie mógł...

Nie mógł powrócić do dawnej postaci.

Niezwykłe podniecony płynnym ruchem ciała, rozluźniając i napinając mięśnie włóczył się kilka minut po pokojach, widząc w ciemnościach lepiej niż zwykły człowiek, niemal z nadzieją, że znajdzie intruza, kogoś, kogo można zaatakować, kogoś zaatakować, zaatakować, gryźć i rozrywać, lecz dom był pusty. W sypialni zwinął się w kłębek na podłodze i wezwał swe ciało, by znów przybrało kształt człowieka, znajomą postać Mike'a Peysera. Czuł we wnętrzu dążenie do normalności, ożywienie w tkankach, ale zbyt słabe i ulotne, więc skupił się znowu i tym razem bez efektu. Tkwił zakleszczony, uwięziony, zamknięty, zamknięty, zamknięty w formie, której wcześniej pożył, tej formy wolności. Ale teraz nie była to już upragniona forma, ponieważ nie mógł porzucić jej, kiedy tylko zapragnął, był w niej uwięziony, uwięziony... Ogarnęła go panika.

Wybiegł z pokoju. Niechcący potrącił lampę, która przewróciła się z hukiem. Rozległ się brzęk szkła, ale on jak w transie podążał krótkim korytarzem do salonu. Chodnik wysunął mu się spod stóp. Czuł się jak w klatce. Jego przekształcone ciało stało się dlań więzieniem, poddane metamorfozie kości pełniły rolę krat, zagradzających dostęp do celi, czyniły z niego niewolnika. Miotał się po pokoju to tu, to tam, okrążał opętany, oszalały. Zasłony trzepotały w przeciągu. Krążąc między meblami przewrócił podręczny stolik. Mógł biec, ale nie uciec, gdyż był więźniem własnego ciała i to na zawsze. Nie było ucieczki. Nigdy. Ta świadomość sprawiła, że serce waliło mu jak oszalałe. Przerażony i przybity kopnął stojak na gazety, zwałił z barku ciężką szklaną tacę i dwa ozdobne dzbanuszki, podarł na strzepy poduszki na sofie, aż poczuł rozsadzający ból w czaszce. Chciał krzyczeć, ale bał się, bał się, że nie przestanie.

Pokarm.

Paliwo.

Sycić ogień, sycić ogień.

Nagle uświadomił sobie, że wszystkiemu winien jest brak energii, potrzebnej do gwałtownego przyspieszenia procesów metabolicznych związanych z transformacją. By przybrać postać człowieka, w ciągu kilku minut musiał wyprodukować tyle enzymów, hormonów i płynów, co przez lata normalnego rozwoju.

Głodny i złakniony Peyser popędził do ciemnej kuchni, szarpnął rączkę przy drzwiach lodówki otwierając je na oścież. Syknął, gdyż światło zakłuło go w oczy. Zobaczył trzyfuntowy kawał dobrej szynki z puszki na talerzu, chwycił go odrzuciwszy talerz, który roztrzaskał się o kredens, i jak pies na czworakach wgryzł się w ten kawał mięsa, głębiej i głębiej, jeszcze głębiej. Rwał go zębami, przeżuwał rozgorączkowany, oszalały.

Uwielbiał zrzucać z siebie ubranie i zamieniać się w zwierzę, pędzić po zapadnięciu zmroku do lasu za domem i na wzgórze, gdzie polował na króliki, szopy, lisy i wiewiórki ziemne, rozrywał je łapami i zębami podsycając głęboki wewnętrzny żar. Kochał to wcielenie nie dlatego, że czuł się wyzwolony, ale dawało mu ono poczucie boskiej mocy, nieporównywalnej z niczym, czego dotychczas doświadczył, poczucie dzikiej, nieokiełznanej siły, nagiej siły, siły tytana, który ujarzmiwszy naturę, pokonał wszelkie genetyczne ograniczenia, siły wiatru i sztormu, żywiołu, siły wyzwolonej z wszelkich ludzkich ograniczeń, uwolnionej, wyzwolonej.

Polował tej nocy w lesie jak drapieżca, przed którym nie ma ucieczki, ale spożył zbyt mało, by wrócić do postaci Michaela Peysera, twórcy systemów komputerowych, kawalera, właściciela porsche, zapalonego zbieracza wideo klipów, maratończyka, konsumenta wody Perrier.

Więc pożarł całe dwa funty szynki i szybko wyciągał z lodówki inne produkty. Wpychał je do pyska szponiastymi łapskami. Pochłonął pełną miskę zimnego rigatoni, i klopsa, i pół placka z jabłkami, który kupił wczoraj w piekarni, cztery surowe jajka, kawałek masła i wszystkie resztki jedzenia. Trawiący go ogień słabnął w miarę jak zaspokajał ten swój wściekły głód, dostarczając organizmowi niezbędnego paliwa. Tracił część żaru, kurczył się i przechodził od huczącego płomienia, poprzez strzelające języki, do słabego blasku gorących węgli.

Nasycony, Mike Peyser padł na podłogę przed ogołoconą lodówką i leżał wśród potłuczonych talerzy, resztek jedzenia, skorupki po jajkach i pojemników. Ponownie zwinął się w kłębek i próbował zmusić ciało do przybrania ludzkiej postaci, pod jaką znał go świat. Znowu poczuł *ożywienie* w szpiku i kościach, we krwi i organach, w ścięgnach i chrząstkach, w mięśniach i skórze. Wytwarzane hormony, enzymy i biologiczne płyny przepływały falami przez jego ciało, ale i tym razem nie nastąpiła transformacja i znowu zmierzał powoli ku dzikiej postaci, nieubłaganie ulegając regresji. Choć natęzał się i walczył ze wszystkich sił, by przybrać wyższą formę, pozostał w stanie regresji.

Drzwi lodówki zamknęły się automatycznie. Mike Peyser miał wrażenie, że ciemność nie tylko panuje wokół, ale tkwi także w nim.

W końcu krzyknął. Tak jak obawiał się, nie mógł przestać wrzeszczeć.

Przed północą Sam opuścił Cove Lodge. Miał na sobie brązową skórzaną kurtkę, niebieski sweter, dżinsy i sportowe buty.

W tym ubraniu wtopił się w noc i nie wzbudzał podejrzeń, choć może było zbyt młodzieńcze dla takiego ponuraka. Kurtka wyglądała zwyczajnie, ale miała kilka ukrytych i pojemnych kieszeni, w których schował narzędzia do otwierania samochodów. Wyszedł na chodnik na tyły motelu.

Gęsta mgła spowijała urwisko i przeciskała się za ogrodzenie, gnana morską bryzą, która w końcu zakłóciła spokój nocy. Dopiero po kilku godzinach wiatr przewieje mgłę w głąb lądu, co poprawi widoczność na wybrzeżu. Do tego czasu Sam skończy już swoją robotę i nie będzie potrzebował osłony mgły, zaśnie wreszcie, albo, co bardziej prawdopodobne, będzie walczyć z bezsennością leżąc na łóżku w swym pokoju.

Denerwował się. Nie zapomniał o bandzie nastolatków, przed którą uciekł na Iceberry Road tego wieczoru. Ich prawdziwa natura pozostawała zagadką. Choć uważał ich za punków, wiedział, że są czymś więcej niż tylko młodocianymi przestępcami. Miał dziwne wrażenie, że gdzieś głęboko w podświadomości *wie*, kim byli.

Obszedł południowe skrzydło motelu i w dziesięć minut okrężną drogą dotarł do siedziby władz miejskich na Jacobi Street. Budynek wyglądał dokładnie tak, jak opisali agenci Biura z San Francisco: dwie kondygnacje, na dole wyblakła cegła, biały tynk wyżej, dach pokryty płytkami, zielone okiennice i ogromne żelazne latarnie przy głównym wejściu. Z przyległym terenem zajmował połowę ulicy, ale architektonicznie harmonizował z okolicą. Na pierwszym piętrze nawet tak późno paliły się światła, gdyż oprócz biur zarządów miasta i wodociągów mieściła się tu również komenda policji, dyżurująca całą dobę. Sam obserwował budynek z naprzeciwka udając, że spaceruje wieczorem dla zdrowia. Chodnik przed głównym wejściem był pusty. Przez oszklone drzwi widział jasno oświetlony hall. Skręcił w boczną aleję, w stronę podjazdu, na parking wśród drzew i krzewów.

Teraz przedarł się przez wysoki żywopłot w rogu podwórka, przylegającego do parkingu. Dwie lampy rzucały ponury blask na samochody. Na parkingu stały cztery zdezelowane już zielone fordysy produkowane na potrzeby federalnych, stanowych i lokalnych władz, pick-up i furgonetka, należące do Zarządu Wodociągów, duża maszyna do zamiatania ulic, ogromna ciężarówka i cztery policyjne chevrolety.

Właśnie te czarno-białe radiowozy podłączone do centralnego komputera w Komendzie Policji interesowały Sama. W Moonlight Cove było aż osiem wozów patrolowych, o pięć więcej niż w innych miejscowościach tej wielkości i z pewnością zbyt wiele w stosunku do potrzeb nadmorskiego miasteczka.

W ogóle tutejsza policja była uprzywilejowana bardziej, niż wymagała tego sytuacja, co między innymi wzbudziło podejrzania agentów FBI, badających okoliczności śmierci Sancheza i Bustamante.

W Moonlight Cove zatrudniano dwunastu etatowych funkcjonariuszy, trzech w niepełnym wymiarze godzin oraz czterech pracowników pomocniczych.

Mnóstwo ludzi. Co więcej, mieli pensje jak policjanci w dużych miastach na zachodnim wybrzeżu, a więc zbyt wysokie jak na taką miejscinę. Nosili najlepsze mundury, mieli najnowocześniejsze meble biurowe, mały arsenał broni ręcznej i sprzętu do rozpędzania demonstracji, jakiego pozazdrościliby im chłopaki ze schronów atomowych Strategicznego Dowództwa Sił Powietrznych w Kolorado.

Skryty w pachnącym żywopłocie Sam kilka minut obserwował parking, by upewnić się, że radiowozy są puste i nikogo nie ma w pobliżu. Oświetlone okna na pierwszym piętrze przysłaniały żaluzje, więc nikt z wewnątrz nie widział parkingu.

Sam wyjął z kieszeni kurtki miękkie rękawiczki z kozłej skóry i włożył je.

Już chciał ruszyć naprzód, gdy nagle usłyszał jakiś szmer za plecami w alejce.

Wciskając się głębiej w żywopłot, spojrzął do tyłu. Pognieciony karton ślizgał się po asfalcie popychany wiatrem, aż zatrzymał się na śmietniku.

Płynąca aleją mgła przypominała dym, jakby całe miasto płonęło. Wpatrując się w gęstniejącą mgłę stwierdził z zadowoleniem, że jest sam, następnie odwrócił się i pobiegł do najbliższego z radiowozów, stojących na nie ogrodzonym parkingu.

Wóz był zamknięty.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki specjalny klucz, którym błyskawicznie otworzył drzwi nie uszkodzając mechanizmu zamka, wśliznął się za kierownicę i bezszelestnie zamknął samochód.

Wnętrze dostatecznie oświetlały latarnie, chociaż był na tyle doświadczony, że mógł pracować w kompletnej ciemności. W ciągu kilku sekund wyrwał obudowę stacyjki, odsłaniając przewody.

Z niechęcią myślał o następnej czynności. By włączyć monitor zainstalowany na desce rozdzielczej, musiał zapalić silnik. Komputer bowiem był o wiele potężniejszy niż podręczny model i łączył się z bankiem danych systemem mikrofalowym, pochłaniającym dużo energii, więc mogłby wyładować się akumulator. Spaliny rozpląną się we mgle, ale co z warkotem silnika? Radiowóz stał osiemdziesiąt stóp od budynku i mało prawdopodobne, by usłyszał go ktokolwiek w środku. Ale gdy ktoś wyjdzie przewietrzyć się, albo po to, by pojechać samochodem na wezwanie, zwróci uwagę na szum motoru. W takim przypadku Sama czekałaby konfrontacja, której – biorąc pod uwagę ostatnie tragiczne wydarzenia – mogłby nie przeżyć.

Westchnął cicho naciskając lekko prawą stopą pedał gazu, oddzielił przewody zapłonu od pozostałych i złączył końcówki. Silnik zaskoczył od razu bez niemiłego zgrzytu.

Ekran zabłysnął światłem. Ten skomplikowany policyjny system komputerowy zainstalowała bezpłatnie firma New Wave Microtechnology, przypuszczalnie traktując Moonlight Cove jako poligon doświadczalny dla swych poczynąń. Trudno było wytropić źródło ogromnych funduszy,

jakimi dysponowała świetnie wyposażona i wynagradzana miejscowa policja, chociaż podejrzewano, że również należą do New Wave albo do szefa Thomasa Shaddacka, posiadacza większości akcji firmy. Każdy obywatel miał prawo wspierać lokalną policję lub inne instytucje rządowe, korzystając z ulg podatkowych, ale dlaczego nie odnotowano tego oficjalnie? Żaden uczciwy człowiek potajemnie nie przeznaczają wielkich pieniędzy na cele społeczne. Jeśli Shaddack nie ujawnił, że wspomaga lokalne władze z prywatnych funduszy, to niewykluczone, iż miał te władze w swojej kieszeni. A jeśli gliniarze z Moonlight Cove byli żołnierzami w prywatnej armii Shaddacka, to wysoka liczba gwałtownych i tajemniczych zgonów w ostatnich tygodniach logicznie wiązała się z tym nieczystym przymierzem.

W prawym dolnym rogu monitora ukazał się znak New Wave, tak jak pojawiłby się na przykład IBM, gdyby sprzęt należał do tej firmy.

W czasie śledztwa w sprawie Sanchez-Bustamante jeden z lepszych agentów, Morris Stein, jechał radiowozem z podwładnym Watkinsa, Reese Dornem, który połączył się z centralnym komputerem, by uzyskać dane z kartoteki komendy. Już wcześniej Morris podejrzewał, że ten zainstalowany w samochodzie komputer ma bardziej wyrafinowany program niż ujawnili to policjanci, że dzięki niemu są bezkarni. Właśnie dlatego zapamiętał kod, którym Dorn włączył się w system. W siedzibie FBI w Los Angeles powiedział Samowi:

– Sądzę, że każdy gliniarz w tym pokręconym miasteczku ma osobisty kod, dający mu dostęp do danych. Sam, musisz rzucić okiem na menu, zobaczyć co tam jest, i trochę pobawić się tym, gdy Watkins i jego ludzie nie będą akurat patrzeć ci przez ramię. Wiem, gadam jak paranoik, ale oni mają za dużo tej supertechniki jak na swoje potrzeby, chyba że coś knują. Na pierwszy rzut oka to miasteczko niczym nie wyróżnia się, a nawet jest milsze niż większość podobnych, ale, cholera, po chwili masz wrażenie, że cała miejscina jest na podsłuchu, że zewsząd obserwują cię, że Wielki Brat zagląda ci przez ramię o każdej cholernej porze. Mówię szczerze, po paru dniach czujesz się jak w policyjnym mini-państwie, gdzie kontrola jest subtelna, niewidoczna, ale ciągła, absolutna, utrzymująca wszystko w żelaznym uścisku. Ci gliniarze nie są w porządku. Sam, tkwią w brudzie po uszy, może w handlu narkotykami, nie wiem, a komputer odgrywa ważną rolę w tej historii.

Sam wystukał na klawiaturze kod Reese Dorna: 262699. Symbol New Wave zniknął. Ekran przez moment był pusty. Po chwili ukazało się podstawowe menu.

WYBIERZ:

A. DYSPOZYTOR

B. CENTRALNA KARTOTEKA

C. BIULETYN

D. MODEM POZASYSTEMOWY

Pierwsza pozycja oznaczała, że funkcjonariusz na służbie mógł komunikować się z komendą nie tylko przez radiostację, lecz również przez złącze komputerowe. Ale po co trudzić się wystukiwaniem pytań do dyspozytora i odczytywaniem odpowiedzi z ekranu, gdy prędzej uzyskiwało się informacje przez radio? Chyba że... ci policjanci nie o wszystkim chcieli mówić na częstotliwości, którą mógł kontrolować każdy właściciel policyjnego odbiornika.

Sam nie chciał łączyć się z dyspozytorem, gdyż musiałby udawać Reese Dorna, więc lepiej od razu mógł zawołać: „Hej, jestem w jednym z waszych radiowozów i wtykam nos gdzie nie trzeba, więc możeście tu przyszli i go odrąbali”.

Zamiast tego wystukał kolejne menu. Czytał:

WYBIERZ:

A. BIEŻĄCE ARESZTOWANIA

B. BIEŻĄCE SPRAWY SĄDOWE

C. SPRAWY SĄDOWE W PRZYGOTOWANIU

D. REJESTR ARESZTOWAŃ DOKONANYCH W PRZESZŁOŚCI – OKRĘG

E. REJESTR ARESZTOWAŃ DOKONANYCH W PRZESZŁOŚCI – MIASTO

F. SKAZANI PRZESTĘPCY ZAMIESZKALI W OKRĘGU

G. SKAZANI PRZESTĘPCY ZAMIESZKALI W MIEŚCIE

Teraz wcisnął klawisz F, by uzyskać dane o skazanych z okręgu. Ukazało się następne menu, oferując kilka możliwości: ZABÓJSTWO, NIEUMYŚLNE ZABÓJSTWO, GWAŁT, PRZESTĘPSTWA SEKSUALNE, NAPAD I POBICIE, ROZBÓJ Z BRONIĄ W RĘKU, WŁAMANIE, WTARGNIĘCIE NA PRYWATNY TEREN, INNE KRADZIEŻE, DROBNE PRZESTĘPSTWA.

Wywołał kartotekę morderstw i odkrył nazwiska trzech skazanych za zabójstwa pierwszego i drugiego stopnia, z wyrokami od dwunastu do czterdziestu lat, przebywających na wolności po zwolnieniu warunkowym. Na ekranie pojawiły się ich nazwiska, adresy, numery telefoniczne, nazwiska ofiar oraz krótkie historie przestępstw. Żaden nie mieszkał w Moonlight Cove.

Sam spenetrował wzrokiem parking. Pusto. Mgła przepływająca obok samochodu sprawiła, że czuł się tak, jakby z batyskafu w morskiej głębinie obserwował wstęgi wodorostów poruszanych

przez prądy.

Skupił się znowu na komputerze. Wyszukał Biuletyn, który okazał się zbiorem wiadomości, jakie przekazywali sobie Watkins i podwładni w tak tajemniczych skrótach, że Sam nie rozszyfrowałby ich. Zresztą wątpił, czy są tego warte.

Teraz zainteresował się pozycją MODEM POZASYSTEMOWY. Otrzymał listę komputerów w całym kraju, z którymi mógł połączyć się przez modem telefoniczny z budynku władz miejskich. Lista zdumiała go: LOS ANGELES KP (czyli komenda policji), SAN FRANCISCO KP, SAN DIEGO KP, DENVER KP, HUSTON KP, DALLAS KP, PHOENIX KP, CHICAGO KP, MIAMI KP, NEW YORK CITY KP i kilkadziesiąt innych większych miast. Dalej – WYDZIAŁ POJAZDÓW MECHANICZNYCH W KALIFORNII, WYDZIAŁ ZAKŁADÓW KARNYCH, POLICJA DROGOWA i mnóstwo instytucji państwowych nie związanych z policją – jak: KARTOTEKA STANU OSOBOWEGO ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH, MARYNARKI czy SIŁ POWIETRZNYCH. Nie zabrakło też KARTOTEKI KRYMINALNEJ FBI, a nawet biura INTERPOLU w Nowym Jorku.

Na co, u diabła, są potrzebne te wszystkie źródła informacji małemu policyjnemu oddziałowi w prowincjonalnym miasteczku?

Według prawa, niektóre dane mogły być uzyskane tylko z nakazu sądowego, jak na przykład kartoteka TRW – firmy sprawdzającej wiarygodność kredytobiorcy, informacje z CIA w Wirginii, prawdopodobnie chronione przed każdym komputerem poza murami Agencji oraz tajne kartoteki FBI.

Zszokowany Sam zamyślił się.

Kilka dni temu Morris Stein zasugerował, że policja w Moonlight Cove może być zamieszana w handel narkotykami, a hojność New Wave w udostępnianiu programów wskazywałaby, że pracownicy firmy też maczają w tym palce. W Biurze podejrzewano również, że New Wave sprzedaje nielegalnie Rosjanom najnowszą technologię, a przekupieni policjanci w Moonlight Cove mieli sygnalizować wszelkie próby kontroli ze strony władz federalnych. Agenci nie wiedzieli jeszcze, jak to wszystko powiązać z serią zgonów, ale była to *jakaś* koncepcja wyjściowa.

Sam odrzucił teorię handlu z Rosjanami i sprzedaż narkotyków.

Stworzono tu bowiem sieć informacyjną dla potrzeb operacyjnych państwa, albo, uściślając – małego narodu. Małego, *wrogiego* narodu. Ten program dawał właścicielowi ogromną władzę. Wydawało się, że to malownicze miasteczko cierpi pod rządami megalomana łudzącego się, że stworzy nieduże królestwo, z którego wyruszy na podbój rozległego terytorium.

Dziś Moonlight Cove, jutro cały świat.

Co oni tu, kurwa, robią? – zaklął głośno.

Bezpieczna w hotelowym pokoju, ubrana do spania w kremowe majteczki i biały podkoszulek z uśmiechniętym obliczem Kermita – Tessa popijając colę próbowała oglądać powtórkę programu *Dziś Wieczór*. Nie mogła jednak skupić się na banalnych wywiadach z podrzędnymi artystami. Dietetyczna rozrywka umysłowa pasująca do dietetycznej coli.

Im więcej czasu upływało od niepokojących wydarzeń na korytarzu i schodach, tym bardziej wątpiła, że ktoś ją gonił. W końcu przejęła się śmiercią Janice przeświadczona, że było to raczej morderstwo, a nie samobójstwo. Poza tym, wciąż cierpiała na niestrawność po tłustym cheeseburgerze, który zjadła na kolację, przypominającym w smaku kawałek wysmażonej słoniny z tybetańskiego jaka. Podobnie jak Scrooge z *Opowieści Wigilijnej* Dickensa widział ducha Marleya, również zrozpaczona po wypadku siostry, Tessa zobaczyła wyimaginowane zjawy. I jeszcze to ohydne jedzenie.

Gdy telewizyjny gość zaczął opowiadać o weekendzie na festiwalu sztuki z Fidelem Castro, określając go mianem „wspaniałego i wesołego faceta, współczującego innym człowieka” Tessa wyszła do łazienki umyć twarz i zęby. Wyciskając pastę na szczoteczkę usłyszała, że ktoś próbuje otworzyć drzwi. Stała na progu i z odległości kilku stóp zobaczyła, jak gałka kręci się a ktoś manipulujący przy zamku nawet nie starał się zachowywać specjalnie cicho.

Drzwi uderzały z trzaskiem o framugę. Upuściła szczoteczkę i skoczyła do telefonu, który stał na nocnym stoliku.

Nie było sygnału.

Przesuwała wyłącznik dzwonka, wciskała klawisz łączący z centralą, ale nic nie działało. Centralę wyłączono. Telefon milczał.

Chrissie kilka razy chowała się w krzakach na poboczu przed samochodami. Jednym z nich był wóz policyjny zmierzający w kierunku miasta. Poznała, że ten sam podjechał pod jej dom. Przykucnęła w wysokiej trawie i czekała, aż tylne światła czarno-białego radiowozu zmalowały do czerwonych kropek, znikając wreszcie za zakrętem.

Wzdłuż półtoramilowego odcinka dwupasmówki stało kilka domów. Chrissie знаła mieszkających tam Thomasów, Stonesów, Elswicków. Kusiło ją, by zapukać do jakichś drzwi z prośbą o pomoc. Ale nie była pewna, czy ci ludzie wciąż są życzliwi. Także mogli zmienić się, jak jej rodzice. Coś nadprzyrodzonego lub pozaziemskiego zawładnęło mieszkańcami Moonlight Cove i okolic, a Chrissie obejrzała dostatecznie dużo horrorów i naczytała się dreszczowców, by wiedzieć, że gdy ma się do czynienia z *tymi* siłami, nie należy nikomu ufać.

Całą nadzieję pokładała w ojcu Castelli z kościoła pod wezwaniem Matki Bożej Miłosierdzia, ponieważ był wyświęcony, więc żadne piekielne demony nie mogły go opętać. Oczywiście, gdyby chodziło o przybyszy z innego świata, ojca Castelli nic nie chroniłoby, nawet to, że był bożym człowiekiem.

Odkrywszy, że i on jest wrogiem, uciekłaby prosto do pani Tokawa, swojej nauczycielki, najinteligentniejszej osoby, jaką знаła. Gdyby kosmici opanowali Moonlight Cove, pani Tokawa od razu zorientowałaby się, co się dzieje. Zabezpieczyłaby się i byłaby ostatnią osobą, w którą stwory zatopiłyby swoje szpony, macki, czy cokolwiek innego.

Więc Chrissie unikała samochodów, mijała chyłkiem domy wzdłuż drogi i powoli zbliżała się do miasta. Półksiężyc, widoczny spoza mgły, przewędrował już niemal całe niebo, by wkrótce zniknąć. Wiała zachodnia bryza, chwilami porywista, rozwiewając jej włosy, jakby jasny płomień wyskakiwał z głowy. Temperatura spadła tylko do 50° F, ale gwałtowny wicher sprawiał, że powietrze wydawało się zimniejsze. Tak dokuczały jej chłód i wiatr, że zapominała o nękającym głodzie.

Znaleziono bezdomne wygłodzone dziecko w szoku po spotkaniu z kosmitami – wyobraziła sobie kolejny nagłówek w *The National Enquirer*.

W pobliżu skrzyżowania szosy z Holliwell Road niemalże wpadła w ręce prześladowców.

Droga ciągnęła się na wschód przez wzgórza i potem pod autostradą, aż do starej, opuszczonej posesji zwanej Icarus Colony, gdzie stały zrujnowany dwunastopokojowy dom, wałaca się stodoła i budynki gospodarcze. W latach pięćdziesiątych grupa artystów próbowała założyć w tym miejscu idealną społeczność. Później były tu kolejno ośrodek hodowli koni, pchli targ, dom aukcyjny i restauracja ze zdrową żywnością. Dzieciaki znały je doskonale, ponieważ w okolicy straszło, więc niczym na poligonie sprawdzały tu swoją odwagę. W kierunku zachodnim Holliwell wiodła skrajem miasta, wzdłuż nowszych willi, siedziby New Wave Microtechnology i wreszcie docierała do północnego krańca zatoki, gdzie w ogromnym, o dziwacznej architekturze budynku mieszkał geniusz

komputerowy, Thomas Shaddack. Droga ta stanowała kamień milowy w wędrówce Chrissie, przekroczywszy ją dotarłaby do granic Moonlight Cove.

W odległości trzydziestu jardów od Holliwell usłyszała szybko narastający warkot silnika. Przeskoczywszy wąski rów przy poboczu przebrnęła przez chwasty i schowała się za grubą starą sosną. Zza drzewa obserwowała drogę i po chwili zobaczyła światła ciężarówki. Kierowca zignorował znak stopu i zatrzymał się na środku skrzyżowania. Wokół pojazdu kłębiła się mgła.

Dziewczynka dobrze widziała ten służący do przewozu ciężkich ładunków wehikuł, gdyż skrzyżowanie Holliwell z szosą jako niebezpieczne oświetlono latarnią dla polepszenia widoczności i ostrzeżenia kierowców. Na drzwiach ciężarówki widniał doskonale znany Chrissie symbol New Wave: białe-niebieskie koło wielkości talerza w połowie wypełnione spienioną falą. W samochodzie w ogromnej skrzyni za kabiną kierowcy jechało kilku mężczyzn.

Na skrzyżowaniu dwóch z nich wyskoczyło przez tylną klapę. Jeden poszedł do lasu w kierunku północno-wschodnim i zniknął między drzewami w odległości stu stóp od Chrissie. Drugi ruszył w przeciwną stronę i skrył się w gęstych zaroślach.

Ciężarówka szybko odjechała.

Dziewczynka podejrzewała, że pozostali zajmą stanowiska obserwacyjne w innych miejscach wzdłuż wschodniej granicy Moonlight Cove. Z pewnością wielu mężczyzn już wcześniej wysiadło z samochodu. Była przekonana, że szukają właśnie jej. Zobaczyła coś, czego nie powinna widzieć – rodziców zrzucających ludzką postać w trakcie odrażającej transformacji, a teraz ona miała stać się ofiarą konwersji, nim ostrzeże świat.

Ciężarówka oddalała się.

Wokół panowała cisza.

Gęsta, kłębiąca się mgła odpływała ku ciemnym wzgórzom.

Silny wiatr hulał w wysokich chwastach i krzewach. Uderzając w pobliski znak drogowy tworzył dziwnie smutną, przygnębiającą kakofonię dźwięków.

Chrissie zauważyła, gdzie schowali się dwaj mężczyźni, lecz nie widziała ich. Dobrze ukryli się.

Mgła przepływała wokół radiowozu w porywach silnego wiatru na wschód, a Samowi głowa pękała w szwach od natłoku myśli tak męczących, że wolałby stan kompletnego otępienia.

Wiedział z doświadczenia, że pewne dane programu komputerowego można zakamuflować. Wpatrywał się w podstawowe menu i nacisnął E, nie uwzględnione w wykazie.

Na ekranie ukazały się słowa: HALO, FUNKCJONARIUSZ DORN.

A więc *było E* w programie. Albo wszedł do tajnej bazy danych, do której dostęp umożliwiały hasła, albo do systemu konwersacyjnego. Wystukując złe hasło lub odpowiedź mógł znaleźć się w poważnych tarapatach. Zablokowany komputer uruchomiłby alarm w komendzie przekazując informację, że kodem Dorna posługuje się niewłaściwa osoba.

Z największą ostrożnością wystukał: HALO.

Pojawiło się pytanie: W CZYM MOGĘ POMÓC?

Sam zdecydował się postępować tak, jak z programem opartym na zasadzie pytań i odpowiedzi. Wystukał: MENU

Ekran mrugał chwilę, po czym ukazały się te same słowa: W CZYM MOGĘ POMÓC?

Spróbował jeszcze raz. Bez efektu.

Ten program zakładał wyszukiwanie prawidłowych poleceń metodą prób i błędów. Sam ponowił próbę. Bingo! Czytał na monitorze:

WYBIERZ:

A. NEW WAVE

B. PROJEKT KSIĘŻYCOWY JASTRZĄB

C. SHADDACK

Odkrył zatem sekretny związek pomiędzy New Wave, jej założycielem Thomasem Shaddackiem, a policją w Moonlight Cove. Ale nie wiedział jeszcze, jaki ma charakter i co oznacza.

Podejrzał, że naciskając C połączy się z osobistym komputerem Shaddacka, umożliwiającym

tajne porozumiewanie się. Jeśli miał rację, to Shaddack i policja faktycznie byli zamieszani w poważną aferę przestępczą wymagającą maksymalnych środków ostrożności. Nie tknął klawisza z literą C, gdyż nie potrafiłby udawać Dorna.

Pod literą A otrzymałby prawdopodobnie wykaz osób na kierowniczych stanowiskach, może z ich kodami, ale też nie chciał z żadnym z nich rozmawiać.

Poza tym czuł, że powinien kończyć. Jeszcze raz zlustrował parking, szczególnie wpatrując się w ciemne zaułki. Siedział w samochodzie już piętnaście minut, a jeszcze nikt nie pojawił się na zewnątrz. Wątpił, czy ta szczęśliwa passa potrwa długo, a chciał dowiedzieć się jak najwięcej.

PROJEKT KSIĘŻYCOWY JASTRZĄB był najbardziej zagadkową i interesującą pozycją, wcisnął więc B i na ekranie ukazało się kolejne menu.

WYBIERZ:

- A. PODDANI KONWERSJI
- B. OCZEKUJĄCY KONWERSJI
- C. LOKALNY PLAN KONWERSJI
- D. DRUGI ETAP

Wywołał pozycję A i na ekranie zobaczył nazwiska z adresami. Byli to mieszkańcy Moonlight Cove, a na początku znajdowała się adnotacja: 1967 – PODDANI KONWERSJI.

Konwersja? Czyżby spisek miał charakter religijny i chodziło o jakiś niesamowity kult, a słowo konwersja było eufemizmem?

Poczuł ciarki na plecach.

Przyjrzał się nazwiskom osób znanych mu ze słyszenia albo osobiście. Loman Watkins był na liście poddanych konwersji. Także Reese Dorn. Nie znalazł Burta Packhama, właściciela pubu Przy Rycerskim Moście, ale za to cała rodzina Perezów, z pewnością tych samych, którzy prowadzili restaurację, widniała w wykazie.

Sprawdził Harry'ego Talbota, z którym zamierzał spotkać się rano. Nie figurował w spisie.

Wielce zaintrygowany powrócił do głównego menu i wcisnął klawisz B: OCZEKUJĄCY KONWERSJI. Pojawiła się kolejna lista nazwisk z adresami, na której znalazł Burta Packhama i Harry'ego Talbota.

Teraz C: LOKALNY PLAN KONWERSJI. Ukazały się napisy:

A. PONIEDZIAŁEK, 13 PAŹDZIERNIKA, 18.00

DO WTORKU, 14 PAŹDZIERNIKA, 6.00

B. WTOREK, 14 PAŹDZIERNIKA, 6.00

DO WTORKU, 14 PAŹDZIERNIKA, 18.00

C. WTOREK, 14 PAŹDZIERNIKA, 18.00

DO PÓŁNOCY

Był wtorek trzydzieści dziewięć minut po północy, wrócił więc do pozycji A i przeczytał adnotację: 380 ZAPLANOWANYCH KONWERSJI.

Włosy zjeżyły mu się na głowie. Tajemnicze słowo „konwersja” przerażało go. Przypomniał mu się stary film z Kevinem McCarthy pt. *Inwazja porywaczy ciał*.

Pomyślał także o ścigającej go bandzie wyrostków. Czy ich... poddano konwersji?

Spostrzegł na liście konwersji przed szóstą nazwisko właściciela pubu. Na szczęście nie znalazł Harry'ego Talbota.

Samochód drgnął.

Sam błyskawicznie uniósł głowę i sięgnął po rewolwer ukryty pod kurtką. To tylko wiatr. Kilka silnych podmuchów rozwiało nieco mgłę i lekko zakołysało wozem. Serce Sama waliło aż do bólu.

Tessa odłożyła słuchawkę bezużytecznego telefonu, gałka przy drzwiach znieruchomiała. Chwilę nasłuchiwała przy łóżku, następnie ruszyła ostrożnie do foyer i przycisnęła ucho do drzwi. Usłyszała jakieś głosy w głębi korytarza, dziwaczne, niecierpliwe i chrapliwe szepty. Nie zrozumiała ani słowa. Była pewna, że ci sami osobnicy ścigali ją, gdy poszła po lód i colę. Teraz wrócili, uszkodzili telefony, by nie wezwała pomocy. Ta paranoja była prawdą.

Ich zawziętość wskazywała, że nie są to zwykli gwałciciele czy chuligani. Chcieli ją dopaść, gdyż postanowiła odkryć tajemnicę śmierci swojej siostry Janice. Zastanawiała się, jakim cudem dowiedzieli się o jej przyjeździe i dlaczego byli tacy bezwzględni? Nie obchodziło ich zupełnie, czy po załatwieniu spraw siostry po prostu nie wyjedzie. Tylko ona i matka wiedziały, że zamierza wszcząć prywatne śledztwo.

Tessa czuła się bezbronna w podkoszulku i majteczkach, podeszła więc szybko do garderoby i włożyła dzinsy oraz sweter.

Przecież nie mieszkała sama w motelu. Tak przynajmniej twierdził Quinn. Gdyby zaatakowali ją, zacznie krzyczeć, ktoś z gości usłyszy, a prześladowcy uciekną. Podniosła torbę, do której wcześniej wcisnęła białe skarpetki, i wróciła do drzwi.

Chrapliwe głosy ciągle dochodziły z odległego końca korytarza, pełne syku i pomruków, po czym w budynku rozległ się przenikliwy łoskot, aż wrzasnęła zaskoczona. Za chwilę drugi. Usłyszała huk wyważanych drzwi w którymś z pokoi i krzyki kobiety oraz mężczyzny. Ale to te *inne* dzikie głosy przerażały Tessę. Z korytarza dobiegały wilcze warczenie, przeraźliwy, pełen podniecenia skowyt i krwiożercze zawodzenie zmieszane z innymi, trudnymi do opisanego dźwiękami, ale najgorsze było to, że wśród tych nieludzkich odgłosów, najwyraźniej należących do bestii, wyróżniały się szybko wypowiedane słowa: *potrzebować, potrzebować... dostać ją, dostać... dostać, dostać... krew, suka, krew...*

Tessa, przyciskając się ze wszystkich sił do drzwi, wmawiała sobie, że to kobieta z mężczyzną tak charczą, ale wiedziała, że to nieprawda, ponieważ słyszała ich rozdzierające krzyki. Wstrząsające, nie do zniesienia wrzaski, jakby rozrywano tych ludzi na kawałki, odrywano kończynę po kończynie i wyciągano im wnętrzności.

Kilka lat temu Tessa, kręcąc w Irlandii Północnej film dokumentalny o przemocy, na nieszczęście uczestniczyła w pogrzebie kolejnego z rzeszy „męczenników” – katolika czy protestanta – bez znaczenia, obydwie strony konfliktu miały ich w nadmiarze – gdy tłum żałobników przerodził się w zgraję barbarzyńców. Z dziedzińca kościelnego wylewali się na pobliskie ulice szukając wyznawców innej wiary. Natknęli się na dwóch oficerów brytyjskich, po cywilnemu patrolujących okolicę w nie oznakowanym samochodzie. Tłum zablokował drogę otoczyli ich, zbili szyby i wyciągnęli biedaków na chodnik. Asystenci Tessy uciekli, ale ona wtargnęła w tę szalejącą cizbę z kamerą. Wydawało się jej, że widzi przez obiektyw piekło. Z szalonymi oczyma, twarzami wykrzywionymi nienawiścią i wściekłością, zapomniawszy o żalu, żądni jedynie krwi, żałobnicy

niezmordowanie kopali leżących Brytyjczyków, następnie postawili ich na nogi i okładali pięściami, i dźgali nożami. Tłukli nimi raz po raz o samochód, aż roztrzaskali im kręgosłupy i czaszki. Gdy upadli, deptali po nich i znów dźgali nożami już martwych. Wrzeszcząc, przeklinając i wyśpiewując jakieś niezrozumiałe slogany, niczym stado sępów szarpali zmasakrowane zwłoki. Właściwie nie przypominali ziemskich ptaków, myszołowów czy sępów, ale demony, które wyleciały z piekielnych czeluści i rzuciły się, by w przypiływie szalonej żądzы pożreć ich ciała i wykraść dusze. Dwóch rozjuszonych mężczyzn zauważyło Tessę. Roztrzaskali kamerę, a ją przewrócili na ziemię. Przez jedną straszną chwilę była pewna, że w obłędzie rozerwą ją na kawałki. Pochyleni szarpali jej ubranie. Z twarzami wykrzywionymi nienawiścią byli podobni do chimer. Niczym potwory wyrzekli się wszelkich ludzkich odruchów.

– Na litość boską, nie! – krzychała. – Proszę, na litość boską!

Może wzmianka o Bogu albo po prostu dźwięk ludzkiego głosu, który nie przerodził się w charczenie bestii, sprawiły, że puścili ją i zawahali się. Skorzystała z tego chwilowego odroczenia wyroku i uciekła w bezpieczne miejsce, przebijając się przez krwiożerczy tłum. To, co słyszała teraz w końcu korytarza, przypominało tamtą masakrę, a nawet coś gorszego.

Coraz bardziej spocony ze strachu i zdenerwowany każdym szarpnięciem samochodu przez wiatr Sam wywołał pozycję B, czyli wykaz osób do konwersji na dziś między szóstą a osiemną. Także na tej liście nie było nazwiska Harry'ego Talbota.

Znalazł je w ostatnim spisie wystukawszy zbiór C.

Obliczył w pamięci, że po zakończeniu tych trzech etapów konwersją zostanie objęta prawdopodobnie cała populacja Moonlight Cove. Zanim zegar wybije północ, za niespełna dwadzieścia trzy godziny, kolejni ludzie przejdą konwersję i diabli wiedzą, co to oznacza.

Już chciał kończyć, gdy na ekranie ukazało się słowo: ALARM. Przeraził się, że odkryli intruza buszującego w ich systemie. Na pewno niechcący uruchomił jakiś zakodowany w programie alarm.

Zamiast uciekać kilka sekund zaciekawiony obserwował ekran.

ANALIZA POŁĄCZEŃ TELEFONICZNYCH WSKAZUJE NA OBECNOŚĆ AGENTA FBI W MOONLIGHT COVE. MIEJSCE Z KTÓREGO TELEFONOWANO: BUDKA PRZY STACJI SHELLA, OCEAN AVENUE.

Alarm odnosił się do niego, ale nie wiedzieli, że siedzi teraz w radiowozie i rozpracowuje spiszek związany z New Wave i Projektem Księżycowy Jastrząb. Najwidoczniej dranie mieli dostęp do banku danych telekomunikacji miejskiej i sprawdzali wykaz rozmów nawet z budek telefonicznych, które zwykle zapewniały agentowi wysłanemu w tajnej misji bezpieczny kontakt. Byli wręcz paranoicznie ostrożni, a łączność elektroniczną doprowadzili do zdumiewającej perfekcji.

GODZINA ROZMOWY:

19.31, PONIEDZIAŁEK

13 PAŹDZIERNIKA.

Na szczęście nie sprawdzali komputerowego wykazu połączeń bez przerwy całą dobę tylko co sześć albo osiem godzin, gdyż szukaliby Sama zaraz po rozmowie ze Scottem.

Teraz ukazały się na ekranie jego numer telefoniczny, nazwisko i adres w Sherman Oaks. A po

chwili:

DOKONUJĄCY POŁĄCZENIA:

SAMUEL H. BOOKER.

ŚRODEK PŁATNICZY:

TELEFONICZNA KARTA KREDYTOWA.

TYP KARTY:

OPŁACANA PRZEZ PRACODAWCĘ.

ADRES PRACODAWCY:

FEDERALNE BIURO ŚLEDZCZE

WASHINGTON, DC.

Ponieważ zatrzymał się w jedynym motelu w Moonlight Cove, poszukiwania nie trwałyby długo. Zastanawiał się, czy zdąży pognać do Cove Lodge, wsiąść do samochodu i pojechać do Aberdeen Wells, skąd zadzwoniłby z nie kontrolowanego telefonu do biura FBI w San Francisco. Dowiedział się już dostatecznie dużo, by stwierdzić, że coś diabelnie niedobrego działo się w miasteczku, tak kosztownego, że usprawiedliwiało zaangażowanie władz federalnych i wszczęcie śledztwa na szeroką skalę.

Ale już następne słowa na monitorze przekonały go, że powrót do motelu równa się oddaniu w łapy podejrzanych i zapewne powiększyłyby statystyki wypadków.

Znali jego adres domowy, więc Scott również był w niebezpieczeństwie. Może nie teraz, ale w przyszłości...

WYWOŁANIE DIALOGU:

WATKINS: SHOLNICK, CZY MASZ WŁĄCZONY TERMINAL?

SHOLNICK: TAK.

WATKINS: SPRAWDŹ COVE LODGE.

SHOLNICK: JADĘ.

Wersja, jaką podał recepcjoniście, że jest maklerem z Los Angeles, rozważającym możliwość przejścia na wcześniejszą emeryturę i osiedlenia się w jakimś nadmorskim mieście – była spalona.

WATKINS: PETERSON?

PETERSON: JESTEM.

Nie musieli nawet wystukiwać nazwisk. Końcówka zainstalowana w samochodzie przekazywała ich dane do głównego komputera, więc nazwiska automatycznie pojawiały się przed krótkim sygnałem wejściowym. Proste rozwiązanie.

WATKINS: DOŁĄCZ DO SHOLNICKA.

PETERSON: ZROBIONE.

WATKINS: NIE ZABIJAĆ, PÓKI GO NIE PRZESŁUCHAMY.

W całym Moonlight Cove policjanci w radiowozach porozumiewali się przez komputer, a więc wyeliminowano podsłuch. Sam zdawał sobie sprawę, że występuje przeciwko potężnemu wrogowi, niemal tak wszechwiedzącemu, jak Bóg.

WATKINS: DANBERRY?

DANBERRY: JESTEM W KOMENDZIE.

WATKINS: ZABLOKUJ OCEAN AVENUE DO AUTOSTRADY.

DANBERRY: TAK JEST.

SHADDACK: CO Z DZIEWCZYNKĄ FOSTERÓW?

Sam z lękiem odczytał nazwisko Shaddacka na ekranie. Jego komputer również zareagował na wydarzenia, może zbudził go alarmem dźwiękowym?

WATKINS: WCIAŻ NA WOLNOŚCI.

SHADDACK: NIE MOŻNA RYZYKOWAĆ JEJ SPOTKANIA Z BOOKEREM.

WATKINS: MIASTO OTOCZONE POSTERUNKAMI. ZŁAPIĄ JĄ JAK PRZEKROCZY GRANICĘ MIASTA.

SHADDACK: WIDZIAŁA ZBYT DUŻO.

Sam czytał o Thomasie Shaddacku w prasie. Facet był osobistością, komputerowym geniuszem, ale wyglądał odpychająco.

Zafascynowany rozmową tak sławnego człowieka z przekupionymi przez niego policjantami dopiero po chwili pojął sens wypowiedzi Danberry'ego i Watkina.

Dotarło do niego, że Danberry jest tuż obok w komendzie policji i że lada moment może wsiadać do jednego z czterech wozów patrolowych.

– O, cholera – błyskawicznie rozłączył przewody od stacyjki.

Silnik prychnął i zgasł.

W sekundę później Danberry wybiegł z tylnych drzwi budynku władz miejskich na parking.

Gdy umilkły krzyki, Tessa ocknąwszy się chwyciła za telefon. Wciąż głucho. Co z Quinnem? W recepcji nikt nie pracował o tej godzinie, ale czyż właściciel nie mieszkał w sąsiednim apartamencie? Powinien zareagować na awanturę. A może był jednym z tych dzikusów w korytarzu? Mogli wyważyć teraz drzwi do jej pokoju.

Zablokowała je krzesłem.

Już nie wierzyła, że ścigali ją, ponieważ chciała odkryć prawdę o śmierci siostry. To nie tłumaczyło ataku na innych gości, nie mających nic wspólnego z Janice. Byli opętani. Kilku psychopatów, może to wyznawcy jakiegoś dziwnego kultu, coś w rodzaju rodziny Mansona, albo gorzej – szaleli w motelu. Zamordowali już dwoje ludzi, najwyraźniej dla samej przyjemności zabijania. Jej też groziła śmierć. Czowała się jak w piekle.

Zaraz ściany zaczną wybrzuszać się i płynąć, jak w koszmarach sennych, ale nic takiego nie nastąpiło. Przeżywała koszmar na jawie.

W szaleńczym tempie nakładała skarpetki i buty, przestraszona, że jest na bosaka, tak jak wcześniej czuła się bezbronna w samej bieliźnie, jakby ubranie mogło powstrzymać śmierć.

Znów słyszała te głosy, już coraz bliżej pokoju. Żałowała, że w drzwiach nie ma wizjerka, tylko na dole była szczelina, więc przypadła do podłogi, przycisnęła policzek do dywanu i mrużąc oczy spojrzała na korytarz. Coś szybko przebiegło obok pokoju, lecz w przelocie ujrzała stopy. Struchlała. To nie barbarzyńcy w ludzkiej skórze grasowali w motelu, jak niegdyś w Północnej Irlandii. Tu działo się coś niesamowitego, spoza normalnego świata. Zobaczyła bowiem zrogowaciałe, owłosione, o ciemnej skórze stopy, szerokie i płaskie, zadziwiająco długie, o palcach tak giętkich, że zdawały się pełnić funkcję rąk.

Coś mocno uderzyło o drzwi.

Tessa skoczyła na równie nogi i wybiegła z przedpokoju.

Znowu na korytarzu rozległy się te same chrapliwe, zwierzęce dźwięki, przerywane kaskadą chaotycznych słów.

Zbliżyła się do okna.

Drzwi ponownie zatrzęsły się. Uderzenie było tak silne, że Tessa miała wrażenie, iż siedzi wewnątrz bębna. Nie puściły dzięki krzesłu, ale długo już nie wytrzymają takiego naporu.

Usiadła na parapecie z nogami na zewnątrz i spojrzała w dół. Dwanaście stóp niżej lśnił zroszony mgłą chodnik w przyćmionym blasku lamp, oświetlających przejście służbowe. Łatwy skok. Kolejny, mocny łomot w drzwi, aż posypały się drzazgi. Odepchnęła się od parapetu i bezpiecznie wylądowała na mokrym chodniku.

W pokoju wyważano drzwi.

Znajdowała się blisko północnego krańca budynku. Chyba coś ruszało się w ciemności. Może to jedynie mgła pędzona wiatrem, ale nie chcąc ryzykować pobiegła na południe. Z prawej strony było czarne, rozległe morze. Ciszę nocną zakłóciło echo pękających drzwi i wycie zgrai, która wpadła do środka po ofiarę.

Danberry zauważyłby agenta wysiadającego z samochodu. Policjant dysponował czterema radiowozami, tak więc Sam miał siedemdziesiąt pięć procent szans, że nie zostanie odkryty. Wcisnąwszy się maksymalnie w siedzenie, skulił się przy konsoli z klawiaturą.

Danberry podszedł do sąsiedniego wozu.

Obserwując jak gliniarz otwiera drzwi Sam modlił się, by nie spojrzeć na radiowóz oświetlony przez parkingowe lampy, gdyż natychmiast dostrzegłby skuloną postać.

Gdy policjant zatrzasnął drzwi, Sam odetchnął z ulgą. Silnik zaskoczył i Danberry wyjechał z parkingu.

Sam chętnie włączyłby jeszcze raz komputer, by sprawdzić, czy Watkins i Shaddack wciąż rozmawiają, ale bał się zostać dłużej. W miarę jak obława nasilała się, w budynku z pewnością zapanuje ruch. Musiał zatrzeć po sobie ślady, przymocował więc obudowę stacyjki i wysiadł. Nie chciał wracać aleją, gdyż mógł nagle znaleźć się w świetle reflektorów nadjeżdżającego radiowozu. Przebiegł wąską uliczkę i otworzył furtkę w ogrodzeniu z prostych metalowych prętów. Wszedł na tyły podniszczonego, wiktoriańskiego domu. Właściciele wyhodowali tak gęste krzewy, iż wydawało się, że mieszka tu rodzina z jakiegoś makabrycznego komiksu. Spokojnie przemknął wzdłuż ściany willi i wy dostał się na Pacific Drive, jedną przecnicę dalej na południe od Ocean Avenue.

Ciszy nocnej nie zakłócały alarmowe syreny policyjne, krzyki ani bieganina. Sam wiedział jednak, że obudził niebezpieczną hydrę, która szuka go w całym mieście.

Mike Peyser, ogłupiały z przerażenia, nie wiedział, co robić.

Utracił zdolność logicznego i jasnego myślenia. Przeszkadzała mu dzika strona osobowości. Mimo że umysł pracował szybko, on sam nie mógł skupić się na jednej myśli dłużej niż kilka minut, co uniemożliwiało mu powrót do ludzkiej postaci.

Gdy wreszcie opanował krzyk i wstał z podłogi, popędził do ciemnej jadalni, następnie przez nie oświetlony salon krótkim korytarzem do sypialni, aż wreszcie wpadł do łazienki. Część drogi pokonał na czworakach. Niezdolny do wyprostowania się, mógł jedynie przyjąć postawę człowieka zgiętego wpół. Łazienkę oświetlał nikły blask księżyca, przenikający przez małe okienko nad kabiną z prysznicem. Chwycił się umywalki i patrzył uparcie w oszklone drzwiczki apteczki. Widział jedynie ciemne odbicie twarzy bez żadnych szczegółów.

Chciał wierzyć, że w rzeczywistości już normalnie wygląda, a uczucie zamknięcia w odmienionej postaci jest czystą halucynacją. Rozpaczliwie pragnął w to uwierzyć, choć nie mógł wyprostować się, miał szponiaste łapy, dziwacznie osadzoną głowę na karku i przedziwnie złączone plecy z biodrami. Musiał wierzyć.

Zapal światło – powiedział sobie.

Nie był w stanie tego zrobić.

Zapal światło.

Bał się.

Musiał spojrzeć na siebie w świetle.

Ciągle trzymał się kurczowo umywalki.

Zapal światło.

Zamiast tego, przesunął się do lustra i wpatrywał się intensywnie w niewyraźne odbicie. Widział bursztynowy blask dziwnych oczu.

Zapal światło.

Jęknął ze strachu. Potwornie cierpiał.

Shaddack, pomyślał nagle. Musi powiedzieć Shaddackowi, on wie co robić. Shaddack był największą, może jedyną nadzieją.

Puścił umywalkę i na czworakach pobiegł prosto do telefonu stojącego na nocnym stoliku w

sypialni. Cały czas to skomląc, to charcząc powtarzał jego nazwisko niczym magiczne zaklęcie:
Shaddack, Shaddack, Shaddack, Shaddack...

Tessa Lockland schroniła się w czynnej całą dobę, samoobsługowej pralni niedaleko Ocean Avenue. Chciała być w oświetlonym pomieszczeniu. W samotności siedziała na porysowanym plastikowym krześle, wpatrując się w rząd suszarek do bielizny, jakby natchnienie miało na nią spłynąć z jakiegoś kosmicznego źródła, a sygnały przekazywano właśnie przez te szklane okrągłe drzwiczki. Jako dokumentalistka umiała wiązać drobne nawet fakty w logiczną całość, bez trudu więc dostrzegła relacje między ciemnością, śmiercią i nieznanymi siłami w tym niespokojnym mieście. To niesamowite stwory z motelu z pewnością krzyczały wcześniej na plaży i bez wątpienia zabiły jej siostrę, kimkolwiek u diabła były, co poniekąd wyjaśniało naciski władz na Marion, by zgodziła się na kremację ciała Janice. Wcale nie dlatego, że szczątki rozkładały się, czy też na wpół zeżarły je ryby, po prostu dzięki temu uniknięto pytań, które z pewnością padłyby w trakcie obiektywnej sekcji koszmarnie poszarpanych i poranionych zwłok.

Zauważyła także ślady korupcji władz Moonlight Cove. Zbyt wiele wystaw sklepowych świeciło pustkami, a interesy kulały, co było niezrozumiałe w miejscowości, gdzie nie notowano bezrobocia. Zauważyła również, że ludzie na ulicy są jacyś poważni, zdeterminowani i śpieszą się gdzieś, co wydawało się dziwne w pogodnym nadmorskim miasteczku, do którego nie docierały wielkomięski zgiełk i problemy.

Nie rozumiała jednak, dlaczego policja zataiła prawdę o zabójstwie Janice, dlaczego miasto, mimo prosperity, wyglądało jak pogrążone w ekonomicznym kryzysie i czym, na litość boską, były te stwory z motelu.

Siedziała roztrzęsiona w blasku jarzeniówek, w smrodzie detergentów i niedopałków po papierosach zastanawiając się, co robić dalej. Bała się już odgrywać rolę samotnego detektywa. Potrzebowała wsparcia władz okręgu albo stanowych.

Przede wszystkim jednak musiała wydostać się żywa z Moonlight Cove.

Nie chciała wracać po samochód do Cove Lodge. Te... istoty pewnie wciąż tam grasowały albo obserwowały motel, ukryte wśród gęstych krzewów i drzew. Moonlight Cove zbudowano dosłownie w środku nadmorskiego lasu, podobnie jak Carmel, położone dalej na wybrzeżu kalifornijskim. Tessa kochała Carmel za wspaniałe połączenie dzieł ludzi i przyrody. Natomiast w Moonlight Cove jakby zatracono uroki natury. Tu pod cienkim płaszczkiem cywilizacji kryło się coś dzikiego, pierwotnego. Drzewa, ciemne ulice były siedliskiem nieznanego i śmierci, a nie piękna. Uznałaby Moonlight Cove za miejsce o wiele przyjemniejsze, gdyby aleje, trawniki i parki oświetlało równie dużo lamp, jak pralnię, w której schroniła się.

Może w motelu już pojawiła się policja, zaalarmowana krzykami i zamieszaniem, ale i tak nie czułaby się tam bezpiecznie. Policjanci pewnie przesłuchiwaliby ją w sprawie morderstw innych gości. Zorientowaliby się, że jest siostrą Janice i interesuje się jej tajemniczą śmiercią. Jeśli *uczestniczyli* w spisku, mającym na celu ukrycie prawdy, bez wahania zabiliby ją.

Musiała zapomnieć o samochodzie.

Niech to diabli, nie ruszy się stąd w nocy. Może nawet złapałaby jakąś okazję, zatrzymałaby jakiegoś uczciwego kierowcę ciężarówki, a nie zmotoryzowanego psychopatę, ale czy dotarłaby do autostrady w ciemnościach przez opustoszałe przedmieścia, gdzie ryzyko spotkania tych tajemniczych bestii, które wyważyły drzwi do jej pokoju, było z pewnością większe?

Zjawy ściagały ją także w uczęszczanych i oświetlonych miejscach, więc nie miała żadnych złudzeń, że jest bezpieczniejsza w tej samoobsługowej pralni niż w środku lasu. W obliczu prymitywnego okrucieństwa nigdzie nie było bezpiecznie, nawet na stopniach kościoła, o czym przekonała się w Irlandii Północnej.

Pomimo to lepiej pozostać bliżej światła i unikać ciemności. Przekroczyła niewidzialną granicę pomiędzy dobrze znaną rzeczywistością a innym, wrogim światem. W Świetlistej Strefie czuła się jednak spokojniejsza i mniej zagrożona niż w ciemnościach.

Postanowiła więc w pralni czekać na poranek. W świetle dnia zaryzykuje długi marsz do szosy.

Tępy wzrokiem wpatrywała się w suszarkę. Ćma uderzała cicho o mleczną plastikową osłonę jarzeniówki.

Nie mogąc swobodnie wkroczyć do Moonlight Cove, Chrissie wycofała się do lasu. Cicho i ostrożnie przemykała od drzewa do drzewa, by nie usłyszeli jej wartownicy, rozstawieni na skrzyżowaniu.

Po przejściu kilkuset jardów poruszała się już śmieiej. W końcu dotarła do jednego z domów, położonych wzdłuż szosy. Willa stała za ogromnym frontowym trawnikiem wśród sosen i świerków, ledwie widoczna w nikłym blasku księżyca. Żadne światła nie paliły się na zewnątrz ani w środku, a wokół panowała cisza.

Potrzebowała czasu do namysłu i miała dość tej zimnej, wilgotnej nocy. Z nadzieją, że nie ma tu psów, pobiegła do garażu omijając zwirowy podjazd, by nie hałasować tenisówkami na kamykach. Weszła do środka małym bocznym wejściem i zamknęła za sobą drzwi.

– *Chrissie Foster, tajny agent, przedostała się do wrogiego obiektu sprytnie korzystając z bocznych drzwi* – powiedziała cicho. Poblądłe światło zachodzącego księżyca przenikało przez oszklone wejście i dwa wąskie okna na zachodniej ścianie, mimo to w środku było ciemno. Dostrzegła jedynie kilka połyskujących zaokrągleń i przednią szybę, wystarczająco dużą, by rozróżnić dwa samochody.

Ruszyła do pierwszego jak niewidoma z rękoma wyciągniętymi przed siebie, bojąc się, że coś przewróci. Samochód był otwarty. Wśliznęła się za kierownicę nie zamykając drzwi, by nie zgasła żarówka przyjaźnie oświetlająca wnętrze. Ktoś z domu mógł zauważyć blask w oknach garażu, ale musiała zaryzykować.

Przeszukała schowek po stronie pasażera, kieszenie na mapy w drzwiach, zajrzała pod siedzenia łudząc się, że znajdzie coś do jedzenia. Większość ludzi trzymała w samochodzie batoniki, orzeszki, krakersy lub *cokolwiek* do schrupania w czasie jazdy. Jadła po południu, jeszcze zamknięta w spiżarni i już od dziesięciu godzin nie miała niczego w ustach. Burczało jej w brzuchu. Nie oczekiwała, że znajdzie deser lodowy albo kanapki z szynką, ale miała nadzieję na coś więcej niż nędzna guma do żucia i jeden oblepiony brudem drops, który wyciągnęła spod siedzenia.

Czytała w myślach nagłówek z brukowca: *Głód w Krainie Obfitości, współczesna tragedia. Ciało młodej dziewczyny znaleziono w garażu. Szukałam tylko kilku orzeszków – napisała własną krewią.*

W drugim samochodzie znalazła dwa batony z migdałami.

– Dzięki ci, Boże. Twoja przyjaciółka, Chrissie.

Jeden schowała na później, ale drugim rozkoszowała się jedząc po kawałeczku, pozwalając by rozpląwał się na języku.

Cały czas myślała o przedostaniu się do Moonlight Cove. Zanim skończyła jeść czekoladę, wymyśliła plan.

Już dawno minęła pora, gdy zazwyczaj kładła się spać, poza tym wyczerpana ucieczką marzyła, żeby przespać się kilka godzin w samochodzie z żołądkiem pełnym mlecznej czekolady i migdałów, zanim zrealizuje swój plan. Ziewnęła i wcisnęła się głęboko w siedzenie. Bolało ją całe ciało, a powieki ciążyły, jakby nadgorliwy przedsiębiorca pogrzebowy przykrył je monetami.

Ale tak zdenerwowała się wymyśloną historią o własnej śmierci, że natychmiast wysiadła z samochodu i zamknęła drzwi. Najprawdopodobniej nie obudziłaby się, aż właściciele znaleźliby ją rano w wozie. Może także padli ofiarami konwersji, jak jej rodzice, a w takim przypadku jej los byłby przesądzony. Trzęsąc się z zimna w podmuchach wiatru poszła z powrotem do szosy, a potem skręciła na północ. Minęła dwie ciemne, ciche posesje, leśny zagajnik i zbliżyła się do domu, również jednopoziomowego, z rodzaju tych jakie buduje się na ranczach, o dachu pokrytym gontami i ścianach z czerwonych desek.

Znała domowników. Pani Eulane prowadziła kawiarnię w szkole, a jej mąż był wziętym ogrodnikiem. Zawsze wczesnym rankiem jechał do miasta białą ciężarówką, wyładowaną kosiarkami, sekatorami, grabiami, łopatami, workami z kompostem, nawozem i wszelkimi ogrodniczymi akcesoriami. Pani Eulane wysiadała przy szkole, a on ruszał do swojej pracy. Chrissie pomyślała, że może ukryć się z tyłu ciężarówki. Wóz stał w otwartym garażu. Tutaj ludzie wciąż sobie ufali, co było miłe, tyle że dawało też najeźdźcom z kosmosu pole do popisu.

Małe okienko znajdowało się w ścianie niewidocznej z domku, więc Chrissie zaryzykowała i włączyła górne światło. Wspięła się cicho na ciężarówkę i przeciskała się wśród sprzętu ogrodniczego, zajmującego dwie trzecie skrzyni. Na przodzie, za kabiną obok pojemników z nawozem, leżał stos jutowych worków, w których pan Eulane wyrzucał na śmietnisko ściętą trawę. Chrissie mogła przespać się tu do rana, a później w ukryciu pod workami przejechać całą drogę do Moonlight Cove.

Zeszła ze skrzyni, zgasiła światło i po ciemku ponownie wdrapała się na ciężarówkę. Przygotowała sobie posłanie z worków. Były trochę szorstkie i przesiąknięte miłą, tylko przez chwilę, wonią świeżo skoszonej trawy. Ale przynajmniej po kilku minutach rozgrzała się pierwszy raz od dłuższego czasu.

I gdy zapadła głęboka noc – myślała – młoda Chrissie, maskując zdradziecki zapach ciała wonią trawy, którą przesiąknęły worki, sprytnie ukryła się przed ścigającymi ją istotami – może wilkołakami – o węchu niemal tak dobrym jak u psów myśliwskich.

Sam znalazł chwilowe schronienie na nie oświetlonym boisku szkoły podstawowej Thomasa Jeffersona przy Palomino Street, w południowej części miasta. Kołyszając się lekko na huśtawce, rozmyślał nad strategią działania.

Nie mógł opuścić Moonlight Cove samochodem. Wypożyczony wóz stał przy motelu, gdzie Sama złapano by błyskawicznie. Kradzież pojazdu też nie wchodziła w grę, gdyż pamiętał, że Watkins przez komputer polecił Danberry'emu blokadę Ocean Avenue między miastem i autostradą. Zastawili więc każdą drogę ucieczki. Mógł pieszo przemknąć ulicami aż na przedmieście, a potem zaroślami i polami do szosy. Ale Watkins wspomniał również coś o posterunkach wokół miasta, by złapać „dziewczynkę Fosterów”. Choć Sam polegał na swym instynkcie i umiejętnościach przeżycia, jednak od wojny, czyli ponad dwadzieścia lat nie działał w terenie. Jeśli miasto otoczyli „łowcy” dziewczynki, to zapewne on też wpadłby w ich łapy.

Nie mógł ryzykować do chwili złożenia w Biurze raportu i prośby o natychmiastową pomoc. Gdyby przedwcześnie znalazł się w statystyce tej światowej stolicy śmiertelnych wypadków, FBI przysłałoby nowych ludzi i prawda może za późno wyszłaby na jaw. „Kołyszając się delikatnie w rozwiewanej wiatrem mgłę, myślał o planach, które wykrył w komputerze. Wszyscy mieszkańcy zostaną poddani konwersji w ciągu najbliższych dwudziestu trzech godzin. Nie miał pojęcia, co to oznaczało, ale wzdrygał się na sam dźwięk tego wyrazu. I wyczuwał, że gdy akcja zakończy się, wykrycie prawdy będzie taką samą utopią jak otwieranie nieskończonej ilości pospawanych laserem pudełeczek, poukładanych na wzór chińskiej szkatułki.

Okay, najpierw dotrze do telefonu i powiadomi Biuro. Telefony w Moonlight Cove były kontrolowane, ale nie dbał o to, czy rozmowę zarejestruje komputer albo ktoś nagra słowo po słowie. Wystarczy mu niespełna minuta na kontakt z Biurem. W krótkim czasie wyruszyłyby ogromne posiłki. Jeszcze kilka godzin musiałby ukrywać się, aż przybyliby inni agenci.

Nie mógł zwyczajnie wejść do najbliższego domu, by zatelefonować, ponieważ nikomu nie ufał. Morris Stein ostrzegł, że już po dwudniowym pobycie w mieście człowieka przepęlnia paranoiczne uczucie, że zewsząd i wszędzie ktoś go obserwuje, a Wielki Brat jest zawsze na wyciągnięcie dłoni. Sam osiągnął ten stopień paranoi kilka godzin temu, i teraz był chyba jeszcze bardziej spięty i czujny niż podczas walki w dżungli przed dwudziestoma laty.

Budka telefoniczna. Ale nie na stacji Shella. Tylko głupiec wraca do miejsc znanych ścigającym.

Z wędrówek po mieście zapamiętał ze dwa inne automaty. Wstał z huśtawki, wsunął dłonie do kieszeni kurtki i skuliwszy się przed zimnym wiatrem ruszył przez boisko do ulicy. Myślał o dziewczynce Fosterów, o której wspomnieli Shaddock i Watkins w rozmowie przez komputer. Kim była? Co wiedziała? Podejrzywał, że jest kluczem do zrozumienia tego spisku. Cokolwiek zobaczyła, wyjaśniłoby konwersję.

Ściany zdawały się krwawić. Czerwona maź strużkami spływała po bladożółtej farbie. Stojąc w pokoju na pierwszym piętrze w Cove Lodge, Loman Watkins czuł odrazę na widok masakry... ale także dziwne podniecenie.

Ciało mężczyzny, okropnie pogryzione i porozrywane, leżało rozciągnięte obok zasłanego łóżka, kobiety zaś – a raczej jej szkarłatne strzępy na pomarańczowej wykładzinie na korytarzu.

Powietrze cuchnęło krwią, żółcią, kałem, moczem. Loman oswajał się z tym zapachem z każdym tygodniem i dniem, w miarę jak przybywało ofiar osobników regresywnych. Tym razem jednak, jak nigdy przedtem, w smrodzie poczuł wabiącą słodycz. Oddychał głęboko nie pojmując, dlaczego ten okropny fetor sprawia mu przyjemność. Pociągał go tak, jak psa myśliwskiego zapach lisa. Był przerażony swoją reakcją, a z im większą przyjemnością wdychał ten odór, tym zimniejsza wydawała się krew w jego żyłach.

Funkcjonariusz Barry Sholnick zjawił się w Cove Lodge w poszukiwaniu Sama Bookera, a znalazł śmierć i zniszczenie. Już prawie pół godziny przebywał w motelu, a zatem dostatecznie długo, by traktować ofiary z rutynową obojętnością, jakby martwe i zmasakrowane ciała nie były bardziej godnym uwagi szczegółem niż meble. Jednak Sholnick jak zahipnotyzowany wpatrywał się z rogu pokoju w zmasakrowane zwłoki, zniszczony sprzęt, zbryzgane krwią ściany. Wyraźnie zelektryzował go widok tych straszliwych szczątków ludzkich i okrucieństwa.

Nienawidzimy regresywnych i tego, co robią, myślał Loman, ale w jakiś chory sposób również im zazdrościmy i pragniemy tej absolutnej wolności.

Coś wzywało go, podobnie jak wszystkich Nowych Ludzi, by przyłączyć się do regresywnych. Poczul to w domu Fosterów. Chciał przenieść się w stan dzikości, gdyż wówczas nie nękałyby go myśli o celu i sensie życia, żadne intelektualne wyzwania. Byłby istotą o egzystencji określonej niemal całkowicie przez *odczuwanie* przyjemności, które stałyby się motorem wszelkich działań. Och, Boże, uwolnić się od ciężarów cywilizacji i wyższej inteligencji.

Sholnick westchnął głucho, a jego brązowe oczy płonęły dziką jasnością.

Loman odwrócił się od martwego mężczyzny. Czy też tak zbladłem jak Sholnick? – zastanawiał się. – Czy tak samo zapadły mi się oczy i dziwnie wyglądam?

Przez moment Sholnick patrzył na szefa, po czym odwrócił wzrok, jakby przyłapano go na bezwstydnym akcie.

Serce Lomana waliło młotem.

Sholnick podszedł do okna. Spojrzał na ciemne morze. Dłonie zaciśnięte w pięści przyciskał do boków.

Loman drżał.

Zapach, posępnie słodki. Woń łowów, zabijania.

Wyszedł na korytarz, gdzie dobił go widok na wpół nagiej kobiety z wnętrzościami na wierzchu. Bob Trott, jeden z kilku funkcjonariuszy przysłanych dla wzmocnienia oddziału policji, który rozrósł się do dwunastu ludzi, stał nad zmasakrowanym ciałem. Był postawnym mężczyzną, wyższym i tęższym od Lomana, z twarzą o twardych rysach. Wpatrywał się w ciało z głupawym uśmiechem.

Loman poczerwieniał i ledwo już widział na oczy, zmęczony i oślepiiony jarzeniowym światłem.

– Za mną, Trott – warknął. Ruszył korytarzem do drugiego pokoju, do którego włamano się. Gliniarz towarzyszył mu z widoczną niechęcią.

Nim dotarli na miejsce, inny podwładny, Paul Amberlay, wrócił z recepcji po sprawdzeniu książki hotelowej.

– Ci z pokoju dwadzieścia cztery nazywali się Sarah i Charles Jenks – relacjonował. Miał dwadzieścia pięć lat, był szczupłym, muskularnym i inteligentnym człowiekiem. Ze względu na pociąglą twarz i głęboko osadzone oczy zawsze kojarzył się Lomanowi z lisem.

– Przyjechali z Portland.

– A z trzydziestego szóstego?

– Tessa Lockland z San Diego.

Loman zamrugał powiekami.

– Lockland?

Amberlay przeliterował nazwisko.

– Kiedy wprowadziła się?

– Dopiero dzisiaj.

– Janice Capshaw, wdowa po pastorze, nosiła panięskie nazwisko Lockland – wyjaśnił. – Rozmawiałem z jej matką przez telefon, mieszka właśnie w San Diego. Stara, uparta baba. Zadawała milion pytań. Z trudem namówiłem ją, by zgodziła się na kremację ciała Janice. Powiedziała, że druga córka jest gdzieś bardzo daleko za granicą, ale przyjedzie tutaj w ciągu miesiąca i uporządkuje sprawy siostry. Więc to musi być ona.

Weszli do pokoju Tessy. Dwa apartamenty dalej mieszkał Sam Booker. Wiatr świszczął w otwartym oknie. Wewnątrz było pobożowisko połamanych mebli, podartej pościeli i szkła z rozbitego telewizora, ale żadnych śladów krwi. Policjanci już wcześniej przeszukali pokój. Nie znaleźli ciała. Zapewne dziewczyna uciekła przez okno, zanim regresywni wyłamali drzwi.

– Więc Booker jest gdzieś w mieście – stwierdził Loman – i zakładam, że widział albo słyszał jak regresywni zabijali tych ludzi. Wie, że coś jest nie w porządku. Nie rozumie tego, ale wie dostatecznie dużo... zbyt dużo.

– Założę się, że za wszelką cenę chce zadzwonić do cholernego Biura – powiedział Trott.

Loman przytaknął:

– A teraz jeszcze mamy tę dziwkę, Lockland. Na pewno już zorientowała się, że jej siostra nie popełniła samobójstwa, tylko zabili ją ci sami osobnicy, którzy załatwili tę parę z Portland.

– To logiczne, że zgłosi się na policję po pomoc – odezwał się Amberlay. – Wpadnie prosto w nasze objęcia.

– Może – wątpił Loman. – Pomóżcie mi znaleźć torebkę. Sądzę, że zostawiła ją wyskakując w pośpiechu przez okno.

Tkwiała pomiędzy łóżkiem a nocnym stolikiem.

Loman wysypał zawartość na materac. Chwyciwszy portfel przerzucał plastikowe okładki pełne kart kredytowych i zdjęć, aż trafił na prawo jazdy. Według danych Tessa miała pięć stóp i cztery cale wzrostu, sto cztery funty wagi, blond włosy i niebieskie oczy. Loman pokazał funkcjonariuszom zdjęcie.

– Niezła – ocenił Amberlay.

– Nie pogardziłbym kęsem jej ciała – dodał Trott.

Te słowa zmroziły Lomana. Zastanawiał się, co Trott rozumiał przez ten eufemizm: seks czy też pragnął rozszarpać tę kobietę, jak uczynili to regresywni z parą z Portland.

– Wiemy, jak wygląda – powiedział Loman. – A to bardzo dużo.

Na twarzy Trotta o twardych, ostrych rysach malowały się zwierzęcy głód i żądza okrucieństwa, które wrzały w nim gdzieś głęboko, a nie uczucie miłości czy zadowolenia.

– Chce pan, żeby ją przyprowadzić?

– Tak. Wie mało i dużo. Orientuje się, że parę z sąsiedniego pokoju zamordowano i zapewne widziała regresywnych.

– Może dopadli ją, a ciało leży w pobliżu motelu – zasugerował Amberlay.

– Niewykluczone – powiedział Loman – ale jeśli żyje, to musimy ją znaleźć.

– Dzwoniłeś do Callana?

– Tak – potwierdził Amberlay.

– Trzeba tu posprzątać – stwierdził Loman. – Obowiązuje nas tajemnica aż do północy, gdy już wszyscy zostaną poddani konwersji. Wówczas w Moonlight Cove będzie bezpiecznie, a my skoncentrujemy się na tropieniu i eliminowaniu regresywnych.

Trott i Amberlay spojrzeli na Lomana, a potem na siebie. Z tych oczu wywnioskował, że są potencjalnymi kandydatami na regresywnych, że czują ten pierwotny zew krwi. Nikt nie odważył się o tym mówić, gdyż byłoby to równoznaczne z przyznaniem, że Projekt Księżycowy Jastrząb jest głęboko skażony i wszyscy są zgubieni.

Mike Peyser słysząc w słuchawce sygnał manipulował przy tarczy z przyciskami, ale były zbyt małe i ściśnięte dla jego szponiastych palców. Nagle uświadomił sobie, że nie może zadzwonić do Shaddacka, *nie śmie* rozmawiać z nim, choć znali się przeszło dwadzieścia lat, od czasu wspólnych dni w Stanford. Bał się, że uznała go za istotę wyjętą spod prawa, za regresywnego, i zamknie w laboratorium, traktując z łagodnością badacza białych szczurów, albo zniszczy. Peyser zawył rozpaczliwie. Wyrwał kabel z gniazdka i rzucił telefon przez sypialnię, aż aparat rozbił się o lustro przy toalecie.

A więc Shaddack był wrogiem, a nie przyjacielem i doradcą. To była ostatnia, całkowicie jasna i racjonalna myśl, jaka zaświtała mu w głowie. Strach otworzył swoistą zapadnię, cofając go do stanu pierwotnego, któremu ulegał dla przyjemności nocnych łowów. Krążył po domu popadając to w szal, to w posępne przygnębienie. Nie pojmował, dlaczego jest na przemian podniecony, przybity, rozpalony dzikimi pragnieniami, dlaczego kieruje się raczej uczuciami niż intelektem.

Wysiusiał się w rogu pokoju, powąchał własny mocz, po czym udał się do kuchni w poszukiwaniu jedzenia. Od czasu do czasu jego umysł rozjaśniał się i wtedy próbował zmusić ciało do przybrania ludzkiej postaci, lecz tkanki nie poddawały się woli. Kilka razy otrzeźwiał na tyle, by uświadomić sobie całą ironię zmiany, która przecież miała wynieść go na wyżyny człowieczeństwa, ale to były zbyt ponure myśli, więc z ulgą pogrążał się znowu w barbarzyństwie. Myślał o Eddiem Valdoskim, miłym chłopcu, i drżał na wspomnienie krwi, słodkiej krwi, świeżej krwi, płynącej strugami w chłodnym nocnym powietrzu.

Chrissie mimo wycieńczenia nie mogła jednak zasnąć. Leżąc na jutowych workach pragnęła pogрузić się w nieświadomości.

Czuła się jak ograbiona z czegoś – i nagle zapłakała. Wcisnąwszy twarz w pachnący trawą szorstki materiał, szlochała niczym małe dziecko. Od lat tak nie rozpaczała. Płakała z tęsknoty za ojcem i matką, może utraconymi na zawsze. Zabrała ich nie zwykła śmierć, ale coś obrzydliwego, brudnego, nieludzkiego, satanicznego. Płakała z tęsknoty za utraconym dzieciństwem – koźmi, nadmorskimi pastwiskami, książkami czytanyimi na plaży. Płakała też z powodu straty, której nie umiała do końca wyrazić. Może chodziło o wiarę w triumf dobra nad złem...

Żadna z ulubionych literackich bohatererek nie pozwoliłaby sobie na taką słabość. Ale płacz był tak ludzkim odruchem jak błędzenie i może pragnęła udowodnić sobie, że żadne monstrualne nasienie nie tkwi w jej wnętrzu, nasienie z rodzaju tych, jakie rozrastały się w rodzicach. Płacząc była wciąż dawną Chrissie, której nikt nie ukradł duszy.

Zasnęła.

Sam zapamiętał budkę telefoniczną przy stacji obsługi Union siedemdziesiąt sześć, przecnicę za Ocean Avenue. Była nieczynna. W jednym z zakurzonych okien wisiała pośpiesznie nabazgrana kartka „NA SPRZEDAŻ”, jakby właścicielowi tak naprawdę nie zależało, czy ktoś to kupi, a wywieszkę sporządził dla świętego spokoju. Stosy suchych liści i sosnowych igieł, spadających z pobliskich drzew, zalegały wokół niczym śnieżne zaspasy.

Budka telefoniczna przylegająca do południowej ściany budynku była widoczna z ulicy. Sam wszedł do środka, ale nie zamknął drzwi, żeby nie zapaliła się żarówka. Zwróciłby uwagę policjantów, którzy mogli tędy przejeżdżać.

Telefon był głuchy. Wrzucił monetę z nadzieją, że wywoła sygnał. Nic z tego. Poruszył widelkami. Wyleciała moneta. Spróbował jeszcze raz, ale na próżno.

Czasem publiczne telefony na stacjach benzynowych i w sąsiednich budynkach były wspólne, a dochód dzielono między przedsiębiorstwo telekomunikacyjne i właściciela stacji. Może więc po jej zamknięciu wyłączono linię telefoniczną.

Przypuszczał jednak, że to policja przerwała łączność w Moonlight Cove wykrywszy, że w mieście działa tajny agent. Podjęto wszelkie kroki, by uniemożliwić mu kontakt ze światem.

Mógł oczywiście przeceniać ich możliwości. Spróbuje zatem jeszcze raz porozumieć się z Biurem, zanim zrezygnuje.

Na spacerze po kolacji minął samoobsługową pralnię, znajdującą się dwie ulice na zachód od Union siedemdziesiąt sześć. Był pewien, że przez ogromną szybkość zauważył telefon na tylnej ścianie za rzędem suszarek.

Trzymając się w miarę możliwości z dala od latarni, przemykał cichymi alejkami i ulicami w okolice, gdzie, jak pamiętał, znajdowała się pralnia. Żałował, że silny wiatr szybko rozwiewa mgłę.

Na skrzyżowaniu, nie opodal Ocean Avenue, znalazł się dokładnie w polu widzenia policjanta jadącego w kierunku centrum. Na szczęście gliniarz patrzył gdzie indziej, gdy Sam wkroczył na oświetlony teren, którego w żaden sposób nie mógł ominąć.

Rzucił się do tyłu i wcisnął w głęboką niszę z drzwiami do dwupiętrowego murowanego budynku, w którym mieszkało kilku specjalistów: na ogromnej wizytówce widniały nazwiska dentysty, dwu prawników, lekarza. Policjant prawdopodobnie zauważy Sama, jeśli skręci w lewo i przejedzie obok domu. Ale gdy ruszy prosto albo skręci w prawo, nie zobaczy go. Czekać, aż wlokący się samochód dotrze do skrzyżowania Sam uświadomił sobie, że w Moonlight Cove był dziwny spokój, a ulice wyjątkowo opustoszałe nawet jak na pierwszą trzydziestą w nocy. Małe miasteczka też miały swoich nocnych marków, więc od czasu do czasu powinni pojawić się jacyś przechodnie, *jakiś* oznaki życia, a nie tylko policyjne patrole.

Radiowóz skręcił na rogu w prawo i oddalał się od kryjówki Sama.

Choć niebezpieczeństwo minęło, został jeszcze w ciemnej wnęce, przypominając sobie drogę od Cove Lodge do budynku władz miejskich, stamtąd do stacji obsługi i wreszcie tutaj. W żadnym domu nie grała muzyka, nie migotał ekran telewizora, nie słyszał śmiechu biesiadników czy odgłosów zabawy. Nie widział całujących się par w samochodach. Restauracje oraz puby były najwidoczniej zamknięte, kino nieczynne, więc Moonlight Cove można by uznać za wymarłe miasto, gdyby nie obecność Sama i policji. Salony, sypialnie i kuchnie mogły wypełniać rozkładające się ciała albo roboty, udające ludzi, a w nocy, gdy nie trzeba już stwarzać iluzji życia, wyłączano je dla oszczędności energii.

Coraz bardziej zaniepokojony słowem „konwersja” i jego tajemniczym znaczeniem w kontekście Projektu Księżycowy Jastrząb, opuścił kryjówkę i pobiegł wzdłuż jasno oświetlonej ulicy do pralni. Pchnięciem otworzył drzwi i dostrzegł telefon.

Przebył już połowę pomieszczenia – minął suszarki po prawej stronie, podwójny rząd pralek na środku, kilka krzeseł, automaty ze słodyczami i proszkami do prania, ladę do pakowania bielizny – zanim zorientował się, że ktoś tu jest. Drobna blondynka w wypłowiałych dżinsach i niebieskim pulowerze siedziała na jednym z żółtych plastikowych krzeseł. Żadna pralka ani suszarka nie była włączona i kobieta raczej nie miała ze sobą kosza z bielizną.

Tak go wystraszyła – żywa osoba, żywa *cywilna* istota w środku tej grobowej nocy – że stanął jak wryty.

Spięta przycupnęła na brzegu krzesła z szeroko otwartymi oczami. Zaciśnięte ręce położyła na udach. Wydawało się, że nie oddycha.

Zdając sobie sprawę z tego, że ją przeraził, powiedział:

– Przepraszam.

Popatrzyła na niego jak królik stojący oko w oko z lisem. Świadomy tego, iż wygląda dziko czy jak wariat, dodał:

– Nie jestem groźny.

– Wszyscy tak mówią.

– Naprawdę?

– Za to ja *jestem* niebezpieczna.

Zmieszany spytał:

– Jaka?

– Niebezpieczna.

– Naprawdę?

Wstała.

– Mam czarny pas.

Na twarzy Sama, po raz pierwszy od wielu dni, pojawił się szczerzy uśmiech.

– Potrafi pani zabić gołymi rękoma?

Wpatrywała się w niego chwilę blada i drżąca, po czym powiedziała wkurzona:

– Ej, nie śmiej się ze mnie, dupku, bo tak ci przywalę, że odejdziesz stąd grzechocząc jak worek potłuczonego szkła.

Zdumiony jej tupetem Sam szybko przeanalizował sytuację. Nie działały pralki ani suszarki. Nie było kosza z brudną bielizną ani pudełka z proszkiem czy butelki z płynem do zmiękczenia rzeczy.

– Jakież problemy? – spytał podejrzliwie.

– Żadne, jeśli będzie się pan trzymał z daleka.

Zastanawiał się, czy ta kobieta orientuje się, że policjanci polowali na niego. Idiotyczne przypuszczenie. Skąd mogłaby wiedzieć?

– Co pani tu robi. Bo chyba nie pranie?

– Nie pański interes. Czy ta buda należy do pana?

– Nie. I proszę mi nie wmawiać, że należy do pani.

Spojrzała na niego. Uświadomił sobie, że jest bardzo atrakcyjna. Miała oczy błękitne jak czerwcowe niebo i czyste jak letnie powietrze, i zupełnie nie pasowała do tego ponurego październikowego wybrzeża, nie mówiąc już o zapuszczonej pralni o pierwszej trzydzieści w nocy. Dostrzegł również malujące się na jej twarzy przerażenie. Gdyby był potężnym, wytatuowanym motocyklistą z rewolwerem w jednej a nożem w drugiej dłoni i wpadł do pralni z okrzykiem na cześć szatana, zrozumiałby jej trupią bladość i koszmarny strach. Ale stał przed nią niepozorny Sam Booker, którego największą zaletą jako agenta był właśnie przeciętny wygląd i aura nieszkodliwości, jaką wokół siebie roztaczał. Zaniepokojony jej obawą, powiedział:

– Telefon.

– Co?

Wskazał na automat.

– Tak – powiedziała.

– Wszedłem, żeby zadzwonić.

– Okay.

Obserwując ją kątem oka poszedł do aparatu, wrzucił monetę, ale nie usłyszał sygnału. Spróbował ponownie. Bez powodzenia.

– Cholera – zaklął.

Blondynka przesunęła się nieznacznie w stronę drzwi. Stała, jakby pomyślała, że może siłą ją zatrzymać.

Moonlight Cove doprowadziło Sama do silnej paranoi. W każdym mieszkańcu upatrywał potencjalnego wroga. I nagle dotarło do niego, że dziwne zachowanie tej kobiety wynika z podobnego stanu umysłu.

– No tak, oczywiście, pani nie jest *stąd*, z Moonlight Cove.

– Więc?

– Ja też tu nie mieszkam.

– Więc?

– I coś pani zobaczyła?

Wpatrywała się w niego.

Powiedział:

– Coś wydarzyło się w pani obecności, i jest pani przestraszona. Założę się, że ma pani po temu cholerne powody.

Wyglądała tak, jakby chciała pognać w stronę drzwi.

– Proszę zostać – powstrzymał ją. – Jestem z FBI. – Głos złagodniał mu trochę. – Naprawdę.

Thomas Shaddack zawsze wolał spać w dzień. Był człowiekiem nocy. W wyłożonym boazerią indyjskim gabinecie pracował teraz przy terminalu nad jakimś fragmentem Projektu Księżycowy Jastrząb. Służący Evan zawiadomił go telefonicznie, że przy drzwiach wejściowych czeka Loman Watkins.

– Przyślij go do wieży – powiedział Shaddack. – Wkrótce tam przyjdę.

Rzadko nosił ostatnio coś innego niż dresy. Miał ich ponad dwadzieścia – dziesięć czarnych, dziesięć szarych i kilka ciemnoniebieskich. Były wygodniejsze niż garnitury, a poza tym nie marnował czasu na dobieranie odpowiedniego stroju, czego nigdy nie lubił. Moda go nie interesowała. Był zresztą niezgrabny miał duże stopy, patykowate nogi, wystające kolana, długie ręce, kościste ramiona – i zbyt chudy, by wyglądać dobrze nawet w świetnie skrojonych garniturach. Ubrania albo wisiały na nim, albo w dopasowanych przypominał kościotrupa, co jeszcze podkreślały jego biała jak mąka skóra, czarne włosy, ostre rysy i żółtawe oczy.

W dresie udawał się nawet na posiedzenie rady nadzorczej New Wave. Ludzie spodziewają się po geniuszu ekscentrycznego zachowania. A jeśli fortunę takiego faceta liczy się w setkach milionów, to bez komentarza akceptują wszystkie ekstrawagancje.

Jego supernowoczesny, betonowy dom nad urwiskiem przy północnym krańcu zatoki był jeszcze jednym wyrazem nonkonformizmu. Trzy kondygnacje wyglądały jak warstwy tortu różnej wielkości z największą na szczycie, a najmniejszą w środku. W świetle dziennym nadawały budowli kształt ogromnej awangardowej rzeźby, w nocy zaś, gdy w setkach okien jarzył się blask gwiazdnego statku z kosmitami na pokładzie.

Na tej ekscentrycznej konstrukcji stała równie ekscentryczna wieża. Wznosiła się ze środka trzeciej kondygnacji czterdzieści stóp nad całą budowlą. Była owalna i nie przypominała w niczym wieży, w której księżniczka usychała z tęsknoty za księciem, podążającym na wyprawę krzyżową, albo w której król więził i torturował wrogów. Kojarzyła się z wieżyczką łodzi podwodnej. Do ogromnego przeszklonego pokoju na szczycie docierało się windą albo po schodach, wijących się wzdłuż wewnętrznej ściany wokół metalowego cylindra, gdzie umieszczono windę.

Shaddack kazał Watkinsowi czekać dziesięć minut bez żadnego powodu, następnie zdecydował się wjechać. Wnętrze dźwigu wyłożono wypolerowanym mosiądzem i Shaddack miał wrażenie, że wznosi się zamknięty w karabinowej łusce, choć winda sunęła powoli.

Wieżę dodał do gotowego już projektu po dłuższym namyśle i z czasem stała się jego ulubionym miejscem w ogromnym domu. Z tej wysokości rozciągał się od zachodu widok na spokojne (albo wzburzone wiatrem), połyskujące słońcem (albo przykryte całunem nocy) morze. Gdy zwrócił się na wschód albo południe, patrzył z *góry* na całe Moonlight Cove, co potęgowało jeszcze jego poczucie wyższości. Kilka miesięcy temu, właśnie stąd, po raz trzeci w życiu zobaczył księżycowego jastrzębia, którego nieliczni mieli szczęście widzieć tylko raz. Uznał to za dowód, że los wybrał go

na władcę wszechczasów.

Winda stanęła. Drzwi otworzyły się.

Gdy Shaddack wszedł do pokoju z przyćmionym oświetleniem, Loman Watkins poderwał się z fotela i powiedział z szacunkiem:

– Dobry wieczór, sir.

– Proszę usiąść, szefie – odezwał się Shaddack łaskawie, a nawet przyjaźnie, ale z tym ledwo uchwytnym tonem podkreślającym, iż to on, a nie Watkins, decyduje o przebiegu i charakterze spotkania.

Był jedynym dzieckiem Jamesa R. Shaddacka, już nieżyjącego sędziego sądu okręgowego w Phoenix. Rodzina należała do średnio zamożnych i ta pozycja na finansowej drabinie w połączeniu z powagą zawodu dawały Jamesowi prestiż w jego społeczności. I wpływy. Przez całe dzieciństwo i wczesną młodość Tom obserwował zafascynowany, jak ojciec, działacz polityczny i sędzia dzięki władzy nie tylko osiąga korzyści materialne, ale także kontroluje innych, co najbardziej sobie cenił i co od najmłodszych lat głęboko poruszało jego syna.

A teraz Tom Shaddack sprawował władzę nad Lomanem Watkinsem i Moonlight Cove dzięki swemu bogactwu. I dlatego, że był głównym pracodawcą w mieście, że dzierżył wodze systemu politycznego i realizował Projekt Księżycowy Jastrząb, nazwany tak w związku z trzykrotną wizją. Ale umiejętnością manipulowania ludźmi bił na głowę ojca, starego wyjadacza sądowego i sprytnego polityka. Gdyby za godzinę uznał, że wszyscy muszą umrzeć, zginęliby przed północą. Co więcej, mógł zrobić to zupełnie bezkarnie, chyba że Bóg rzuciłby ogień na dzieło swego stworzenia.

Oświetlenie pokoju schowano pod ogromnymi oknami. Ukryte lampy otaczały komnatę pierścieniem i delikatnie oświetlały pluszowy dywan. W pogodną noc Shaddack przekręcał kontakt obok przycisku do windy, i w pokoju było ciemno, a widmowe odbicie w szybach jego sylwetki i prostych nowoczesnych mebli nie przysłaniało widoku świata, nad którym panował. Teraz nie zgasił jednak światła, ponieważ mleczna mgła kłębiła się za szklanymi ścianami, a sierpowaty księżyc ruszył w poszukiwaniu horyzontu.

Shaddack przeszedł na bosaka po czarno-szarym dywanie. Usadowił się w drugim fotelu, naprzeciwko Watkina, przy niskim stoliku z białego marmuru.

Czterdziestoczteroletni policjant, tylko trzy lata starszy od Shaddacka, był jego kompletnym fizycznym przeciwieństwem: miał ponad pięć stóp wzrostu, sto osiemdziesiąt funtów wagi, grube kości i szerokie bary. Twarz okrągłą i tak szczerą, jak nieprzenikniona i chytra była twarz Shaddacka. Tylko chwilę wytrzymał spojrzenie jego żółtobrązowych oczu, po czym wbił wzrok w dłonie tak mocno splecione na udach, że zdawało się, iż kłykcie przebiją napiętą skórę. Spod krótko ostrzyżonych włosów przebijała ciemna opalenizna.

Ta widoczna służalczość sprawiała Shaddackowi przyjemność, tym większą, że widział, iż policjant drży ze strachu. Dzięki Projektowi Księżycowy Jastrząb Loman Watkins był w jakiś sposób

wywyższony ponad innych ludzi, ale na zawsze pozostanie w niewoli Shaddacka, tak jak mysz laboratoryjna, podłączona do elektrod jest zdana na łaskę naukowca, który przeprowadza na niej eksperymenty. Słowem, Shaddack, stworzywszy Watkinsa posiadał w jego oczach pozycję i władzę boga.

Bujając się w fotelu czuł, jak nabrzmiewa i twardnieje mu penis. Nie podniecał go ten facet, ponieważ nie miał żadnych skłonności homoseksualnych. Pobudzała go świadomość własnego ogromnego autorytetu i władzy, jaką narzucał temu człowiekowi. Poczucie władzy pobudzało Shaddacka bardziej niż bodźce seksualne. Już przed laty przeglądając magazyny porno podniecał się nie widokiem nagich piersi, nie krągłością kobiecych pośladków czy zgrabnymi nogami, ale myślą o *dominacji* nad tymi kobietami, o całkowitej kontroli nad ich życiem, które miałyby w swych rękach. Przerażona kobieta bardziej podniecała go niż okazując pożądanie. Ponieważ silniej reagował na strach niż żądzę. Jego pobudzenie nie zależało od płci, wieku czy atrakcyjności osoby, która drżała jak osika w jego obecności.

Zadowolony z uległości policjanta spytał:

– Złapaliście Bookera?

– Nie, sir.

– Dlaczego?

– Sholnick nie znalazł go w Cove Lodge.

– Musicie go dopaść.

– Zrobimy to.

– I poddać konwersji. Nie tylko uniemożliwić przekazanie informacji... ale sprawić, by stał się jednym z nas *wewnątrz* Biura. To będzie dobre posunięcie. Jego pobyt w mieście może okazać się niewiarygodnym plusem dla projektu.

– Cóż, zobaczymy, ale jest coś gorszego. Regresywni zaatakowali kilku gości w motelu. Quinna uprowadzono, zabito i porzucono w nie znanym nam jeszcze miejscu... albo był jednym z nich i ukrywa się teraz, wyjąc do cholernego księżycy, co zwykle robią regresywni po udanym polowaniu...

Shaddack słuchał sprawozdania z rosnącym niesmakiem i niepokojem.

Watkins, siedząc na brzegu fotela, dodał zdenerwowany:

– Ci regresywni cholernie mnie niepokoją.

– Są kłopotliwi – zgodził się Shaddack.

W nocy, czwartego sierpnia otoczyli jednego z regresywnych, Jordana Coombsa, w kinie na

główniej ulicy. Pracował jako technik w New Wave. Tamtej nocy jednakże bardziej przypominał małpę niż człowieka, choć tak naprawdę nie był ani jednym, ani drugim, ale czymś tak dziwnym i dzikim, że nie sposób tego wyrazić jednym słowem. Termin „regresywny” okazał się nieadekwatny w zetknięciu z bestią. Nie oddawał przerażającego wyglądu tej istoty, podobnie jak inne określenia. Agresywnego i silnego Coombsa nie udało się wziąć żywcem. Musieli zastrzelić go w obronie własnej.

Watkins odezwał się:

– Są więcej niż kłopotliwi. Znacznie więcej. To... psychopaci.

– Wiem – zniecierpliwił się Shaddack. – Sam wymyśliłem termin określający ich stan: psychoza pochodzenia metamorficznego.

– Zabijanie sprawia im *przyjemność*.

Thomas Shaddack zmarszczył brwi. Nie przewidział problemu związanego z regresją i nie przyjmował do wiadomości faktu, że stanowią coś więcej niż drobną anomalię w skądinąd pozytywnej konwersji, jakiej poddano ludzi w Moonlight Cove.

– Zgoda, zabijanie sprawia im radość, w regresywnym stanie to ich przeznaczenie, lecz jest ich niewielu do zidentyfikowania i wyeliminowania, statystycznie rzecz biorąc to nieistotny ułamek wśród tych, którzy przeszli Zmianę.

– Nie sądzę – Watkins zawahał się, jak posłaniec przynoszący złe wieści. – Po ostatniej krwawej masakrze oceniam, że wśród tysiąca dziewięciuset poddanych konwersji do dzisiejszego ranka jest około sześćdziesięciu regresywnych.

– Bzdura!

Istnienie wielu regresywnych oznaczało, że zbyt prędko opuścił laboratorium i zastosował w praktyce wyniki badań, nie biorąc zbytnio pod uwagę możliwości porażki. Musiałby przyznać, że rewolucyjne odkrycia Projektu Księżycowy Jastrząb na ludziach z Moonlight Cove były tragiczną pomyłką. Nie był w stanie przyjąć tego do wiadomości.

Całe życie tęsknił za władzą absolutną, teraz prawie ją zdobył, i za nic nie wycofa się z obranej drogi. Całe dorosłe życie odmawiał sobie różnych przyjemności, żeby uniknąć konfliktu z prawem, za który zapłaciłby wysoką cenę. Te lata wyrzeczeń wywołały w nim ogromne wewnętrzne napięcie, które rozpaczliwie szukało ujścia. Sublimował się w pracy, wyżywał w społecznie akceptowanych przedsięwzięciach, które – o ironio – uczyniły go nietykalnym dla jakiegokolwiek władzy, a tym samym dawały mu wolną rękę. Wreszcie mógł bezkarnie robić wszystko, czego dusza zapagnie.

Poza tym zaszedł już zbyt daleko, by cofnąć się. Dał światu coś przełomowego. Za jego sprawą tysiąc dziewięciuset Nowych Ludzi przywędrowało na ziemię. Nie miał możliwości odwrócenia tego procesu, tak jak inni naukowcy nie mogli „wycofać się” z odkrycia na przykład bomby atomowej.

Watkins potrząsnął głową.

– Proszę nie gniewać się... ale nie sędzę, że to bzdura. Około sześćdziesięciu regresywnych, albo znacznie więcej.

– Potrzebuję przekonywających dowodów. Muszę poznać ich nazwiska. Czy zidentyfikował pan choć jednego oprócz Quinna?

– Alex i Sharon Foster, jak sędzę. I być może pański człowiek, Tucker.

– Niemożliwe.

Watkins opisał to, co zastał w domu Fosterów, a także wspomniał o krzykach w odległych lasach.

Shaddack niechętnie uznał, że Tucker może być jednym z degeneratów. Irytował go fakt, że nie sprawował nad swymi ludźmi kontroli absolutnej. Wobec tego jak mógł być pewien, że zdoła kontrolować całe masy?

– Może Fosterowie i Tucker są regresywni, to raptem znalazł pan czterech. Nie pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu. Po prostu *czterech*. Kim są pozostali, którzy, według pana, przebywają gdzieś na wolności?

Loman Watkins wpatrywał się w mgłę, przybierającą najrozmaitsze kształty wokół szklanych ścian wieży.

– Sir, obawiam się, że to nie takie proste. To znaczy... proszę pomyśleć. Gdyby władze stanowe albo federalne dowiedziały się o tym, co pan zrobił, *zrozumiały*, i naprawdę w to uwierzyły, wylazłyby ze skóry, żeby nam przeszkodzić w konwersji kogokolwiek poza Moonlight Cove. Prawda? W końcu poddani konwersji... chodzą nie rozpoznani wśród zwykłych ludzi. Wydajemy się tacy jak oni, nie zmienieni.

– Więc?

– Cóż... taki sam problem mamy z regresywnymi. Są Nowymi Ludźmi, jak my, ale tego zepsucia, które ich od nas odróżnia, nie widać. Nie różnią się od nas, tak jak my z wyglądu nie odróżniamy się od populacji Dawnych Ludzi.

Silna erekcja Shaddacka zelżała. Zniecierpliwiony pesymizmem Watkina, podniósł się z fotela i poszedł do najbliższego z wielkich okien. Z pięściami w kieszeniach dresu wpatrywał się w słabe, widmowe odbicie swej pociągłej, wilczej twarzy. Napotkał własne spojrzenie, a po chwili wbił wzrok w ciemność na zewnątrz, gdzie wędrowna morska bryza tkąła na krosnach nocy kruchą materię mgły. Stał tyłem do Watkina, by ten nie zauważył jego zatroskania. Unikał też odbicia w szybie własnych oczu, nie przyznając sam przed sobą, że jego troskę, niczym splekany marmur, przecinają żyłki strachu.

Nalegał, by usiedli na krzesłach niewidocznych z ulicy. Tessa wzdragała się przed zajęciem miejsca obok niego. Wyjaśnił, że działa w tajemnicy, a więc nie ma przy sobie legitymacji FBI, ale pokazał jej wszystkie pozostałe dokumenty w portfelu: prawo jazdy, karty kredytowe, biblioteczną i z wypożyczalni wideo, fotografię syna, zmarłej żony, kupon na bezpłatny baton czekoladowy w każdym sklepie Mrs. Fields, zdjęcie Goldie Hawn, wydarte z gazety. Czy zbrodniczy maniak nosiłby kupony na darmowe batony? Po chwili, gdy jeszcze raz kazał jej opowiedzieć historię masakry w Cove Lodge i bezlitośnie wypytywał o szczegóły, zaczęła mu ufać. Fałszywy agent nie odgrywałby tak świetnie roli.

– Ale nie widziała pani, by kogokolwiek zamordowano?

– Zostali zabici – upierała się. – Nie miałby pan żadnych wątpliwości, słysząc ich krzyki. W Irlandii Północnej stałam w tłumie potworów, i widziałam, jak katują ludzi na śmierć. Kiedyś kręciłam film dokumentalny o pracy w hucie i nastąpił wyciek roztopionego metalu, który poparzył ciała i twarze robotników. Byłam wśród Indian Miskito w Ameryce Środkowej, gdy podziurawiły ich miliony maleńkich cząsteczek ostrej stali z bomby, i słyszałam ich krzyki. Znam odgłos śmierci. A ten w motelu był najgorszy, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Patrzył na nią dłuższą chwilę. Potem odezwał się:

– Wygląda pani zwodniczo.

– Sprytnie?

– Tak.

– Więc niewinnie, naiwnie?

– Tak.

– To moje przekleństwo.

– I zaleta?

– Czasem – przyznała. – Pan coś wie, proszę mi powiedzieć, o co tu chodzi?

– Coś dziwnego dzieje się z ludźmi.

– Co?

– Nie wiem. Po pierwsze nie interesują się filmami. Kino jest nieczynne. I nie obchodzą ich luksusowe towary, drogie upominki, tego typu sprawy, ponieważ wszystkie sklepy z takimi towarami zostały zamknięte. Nie szukają też podniety w szampanie... – uśmiechnął się nieznacznie. – Knajpy są

puste. Zdaje się, że interesują się wyłącznie jedzeniem. I zabijaniem.

Wciąż stojąc przy oknie w wieży, Thomas Shaddack powiedział:

– W porządku, Loman, zrobimy tak. Wszyscy w New Wave zostali poddani konwersji, więc setką ludzi wzmocnię oddziały policji. Może ich pan wykorzystać w dowolny sposób i to od zaraz. Mając tylu ludzi do dyspozycji, z pewnością złapie pan jednego z regresywnych na gorącym uczynku... i znajdzie tego człowieka, Bookera.

Nowi Ludzie nie potrzebowali snu, a zatem posiłki mogły niezwłocznie przystąpić do działania.

Shaddack dodał:

– Patrolujcie ulice pieszo lub w samochodach, ale cicho, nie zwracając na siebie uwagi. Z taką pomocą schwytacie może nawet wszystkich regresywnych. Jeśli pochwycimy któregoś w tym... stanie, to będziemy mieć szansę *zbadania* go, może uda mi się opracować test, dzięki któremu odszukamy zdegenerowanych osobników wśród Nowych Ludzi.

– Nie czuję się powołany do tego typu zadań.

– To sprawa policji.

– Nie sędzę.

– Tak, jakby ścigał pan zwykłego zabójcę – stwierdził Shaddack poirytowany. – Proszę stosować zwyczajną procedurę.

– Ale...

– O co chodzi?

– Regresywni mogą być wśród wyznaczonych przez pana ludzi.

– Wykluczone.

– Ale... skąd ta pewność?

– Wykluczone – powtórzył ostro Shaddack, wciąż patrząc przez okno w mgłę i noc.

Zamilkli obydwaj.

Po chwili Shaddack odezwał się:

– Musi pan użyć wszelkich środków i złapać tych dewiantów. Wszystkich, słyszy pan? Chcę przebadać jednego, zanim poddamy pozostałych mieszkańców Zmianie.

– Myślałem...

– Tak?

– No więc...

– No, śmiało, śmiało. Cóż pan myślał?

– Może... wstrzymałby pan konwersje do czasu, aż zrozumiemy, co się dzieje.

– Nie, do diabła! – Wściekły spojrział na szefa policji, który cofnął się ze strachu. – Regresywni to żaden problem. Do cholery, co pan może o tym wiedzieć? To ja zaprojektowałem nową rasę, nowy świat. *Ja* to zrobiłem. To był mój sen, moja wizja. Miałem dość inteligencji i odwagi, by je urzeczywistnić. *Wiem*, że te anomalie nie świadczą o niczym, więc Zmiana przebiegnie zgodnie z planem.

Watkins patrzył na swoje pobielające dłonie.

Shaddack cały czas chodził boso wzdłuż szklanej ściany. Mamy aż nadto środków, by zająć się pozostałymi mieszkańcami miasta. Prawdę mówiąc rozpoczęliśmy już kolejny etap konwersji dziś wieczór. Setki przejdą na nową wiarę jeszcze przed świtem, pozostali przed północą. Dopóki wszyscy w mieście nie będą po naszej stronie, istnieje ryzyko wykrycia nas, ktoś może ostrzec zewnętrzny świat. Teraz, gdy już bez problemu produkujemy biochipy, musimy szybko zakończyć konwersje w Moonlight Cove. Wówczas upewnimy się, że nasza macierzysta baza jest bezpieczna. Zrozumiano?

Watkins skinął głową.

– *Zrozumiano?* – powtórzył.

– Tak, sir.

Shaddack usiadł w fotelu.

– No dobrze. A co z tą drugą sprawą, w której dzwonił pan do mnie wcześniej, z tą historią z Valdoskimi?

– Eddie Valdoski miał osiem lat – powiedział ciągle patrząc na ściśnięte do białości ręce, które dosłownie wykręcał, jakby chciał coś z nich wycisnąć, jak wyciska się wodę ze szmaty. – Kilka minut po ósmej znaleziono go w rowie przy szosie. Był... zmasakrowany... pogryziony, z wnętrznościami na wierzchu.

– Sądzi pan, że zrobił to regresywny?

– Z całą pewnością.

– Kto znalazł ciało?

– Ojciec. Chłopiec bawił się na podwórku, a potem zniknął przed zachodem słońca. Rodzice nie mogli go znaleźć, więc wystraszeni zadzwonili do nas. Szukali dalej, gdy byliśmy w drodze... i natknęli się na ciało tuż przed naszym przybyciem.

– Valdoscycy oczywiście nie przeszli konwersji?

– Właśnie teraz są poddawani.

Shaddack westchnął.

– To rozwiązuje problem śmierci chłopca.

Szef policji zdobył się na odwagę, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– Ale on nie żyje – stwierdził twardo.

– To oczywiście tragedia – powiedział Shaddack. – Lecz żaden wielki postęp w historii nie dokonał się bez ofiar.

– Był wspaniałym chłopcem – dodał policjant.

– Znał go pan?

Watkins zamrugał oczami.

– Chodziłem z jego ojcem do średniej szkoły. Eddie był moim chrześniakiem.

Shaddack starannie dobierał słowa:

– To okropne. Znajdziemy winnych. Wyeliminujemy wszystkich regresywnych. A tymczasem pocieszymy się, że Eddie umarł za wielką sprawę.

Watkins spojrział na niego z nie ukrywanym zdumieniem.

– Za wielką sprawę? Co ośmiolatek o tym wiedział?

– Jednakże – odezwał się ostro Shaddack – Eddie padł ofiarą ubocznego efektu konwersji mieszkańców Moonlight Cove, co czyni go uczestnikiem tego wspaniałego, historycznego wydarzenia. Wiedział, że Watkins przed konwersją był nieomal szowinistą, i przypuszczał, że coś z tych przekonań wciąż w nim tkwi, więc dodał: – Proszę mnie wysłuchać, Loman. Podczas Rewolucji, gdy koloniści walczyli o niepodległość, zginęło wielu niewinnych cywilów, kobiet oraz dzieci, i ludzie ci nie zginęli na próżno. Byli męczennikami w tym samym stopniu, co żołnierze, którzy padli na polu walki. Takie są prawa każdej rewolucji. Najważniejsze, by zapanowała sprawiedliwość i żeby o tych, którzy umierają, można było powiedzieć, że oddali życie dla szlachetnego celu.

Loman odwrócił wzrok.

Shaddack okrążył niski stolik i stanął obok policjanta. Patrząc na pochyloną głowę Watkinsa, położył mu dłoń na ramieniu.

Watkins aż skulił się pod tym dotykiem.

Shaddack nie cofnął ręki i zaczął przemawiać z żarliwością ewangelisty, choć był wyrachowany i zimny jak lód, a jego przesłanie nie miało nic wspólnego z gorącą wiarą, lecz świadczyło o potędze logiki i rozumu.

– Jest pan teraz jednym z Nowych Ludzi, a to nie *oznacza* jedynie większej sprawności fizycznej, odporności i siły niż u zwykłych ludzi, nie oznacza jedynie, że ma pan większą moc leczenia swych ran, niż ta, o której kiedykolwiek marzyli uzdrowiacze. Oznacza *również*, że ma pan jaśniejszy, bardziej racjonalny umysł niż Dawni Ludzie – więc rozważywszy śmierć Eddiego w kontekście tego cudu, jakiego dokonujemy. Zrozumie pan, że strata nie była zbyt wielka. Proszę nie podchodzić do tej sprawy emocjonalnie, Loman; to nie pasuje do Nowych Ludzi. Stworzymy świat bardziej uporządkowany i nieskończenie bardziej stabilny dzięki temu, że mężczyźni i kobiety posiadają moc kontrolowania uczuć, rozważania problemów i wydarzeń z analitycznym chłodem komputera. Niech pan potraktuje śmierć Eddiego jako jeszcze jeden z wielu faktów dotyczących narodzin Nowych Ludzi. Może pan teraz zapanować nad emocjami, a dokonawszy tego, po raz pierwszy w życiu zazna pan prawdziwego ukojenia i szczęścia.

Po chwili Loman Watkins uniósł głowę. Odwrócił się, by spojrzeć na Shaddacka.

– To naprawdę przyniesie ukojenie?

– Tak.

– Gdy już wszyscy przejdą konwersję, zapanuje wreszcie braterstwo?

– Tak.

– Spokój?

– Wieczny.

Talbot mieszkał przy Conquistador w dwupiętrowym czerwonym domu z sekwoi z całym mnóstwem dużych okien. Strome kamienne schody prowadziły z chodnika na mały ganek. Żadna latarnia nie oświetlała tej strony ulicy, schodów ani ogrodu, co cieszyło Sama.

Tessa Lockland stała na ganku tuż obok niego, gdy naciskał dzwonek. Tak samo blisko trzymała się całą drogę z pralni. Przez szum wiatru w koronach drzew przebijał odgłos dzwonka. Patrząc w stronę Conquistador powiedziała:

– Miasto czasem przypomina kostnicę, jednak...

– Jednak?

– ...pomimo ciszy i martwoty to miejsce emanuje dziwną, potężną, tłumioną energią, jakby pod ulicami, w głębi ziemi i w budynkach ukryto ogromną maszynę... podłączoną do prądu, którą za chwilę koła zębate i przekładnie wprawią w ruch.

Takie *dokładnie* było Moonlight Cove, ale Sam nie potrafił wyrazić swych uczuć słowami. Nacisnął dzwonek ponownie i powiedział:

– Nie sądziłem, że filmowcy są tacy mądrzy.

– Większość filmowców z Hollywood to maszyny do produkcji filmów, ale ja jestem dokumentalistką, więc wolno mi myśleć, dopóki nie robię z tego zbytniego użytku.

– Kto tam? – metaliczny głos dobiegł z mikrofonu. – Słucham?

Przestraszony Sam przysunął się do domofonu, którego wcześniej nie zauważył.

– Mr. Talbot? Harold Talbot?

– Tak. Kim pan jest?

– Sam Booker – wyszeptał, by jego głos nie rozległ się poza gankiem. – Przykro mi, że budzę pana, ale przychodzę w związku z listem z ósmego października.

Talbot milczał. Po chwili coś trzasnęło w mikrofonie i wyjaśnił:

– Jestem na drugim piętrze. Potrzebuję czasu, by zejść. Poślę na dół Moose'a. Proszę mu dać dowód tożsamości.

– Nie mam legitymacji FBI, gdyż przebywam w tajnej misji – wciąż szeptał.

– Prawo jazdy? – spytał Talbot.

– Tak.

– Wystarczy – wyłączył domofon.

– Moose? – zdziwiła się Tessa.

– Niech mnie diabli, nic nie wiem o nim – zdenerwował się Sam.

Czekali prawie minutę, bezbronni na odsłoniętym ganku, i znów wystraszyli się, gdy przez wahadłowe drzwiczki, których również nie spostrzegli, przecisnął się pies ocierając się o ich nogi. Przez chwilę Sam nie wiedział, co to jest i cofnął się zdumiony tracąc niemal równowagę.

– Moose? – Tessa pogłaskała psa.

Czarny pies był ledwie widoczny w ciemności. Sam kucnął przy nim i pozwolił polizać się po rękę.

– Mam ci dać dokumenty? – spytał.

Pies sapnął cicho, jakby na potwierdzenie tych słów.

– Przecież je zjesz.

– Nie zje – zaproponowała Tessa.

– Skąd pani wie?

– To dobry pies.

– Nie ufam mu.

– Sądzę, że na tym polega pański zawód.

– Hę?

– Wszystkich podejrzewać.

– Taką mam naturę.

– Proszę mu zawierzyć – nalegała.

Podał zwierzęciu portfel. Pies delikatnie chwycił go zębami i wrócił do domu tą samą drogą.

Stali na ciemnym ganku kilka minut. Sam próbował opanować ziewanie. Było już po drugiej i zastanawiał się, czy nie dodać do listy powodów, dla których warto żyć, punktu: *sen*. Szczęśliwy sen. W tym momencie usłyszał trzaski i zgrzyt pracowicie otwieranego zamka, aż wreszcie drzwi otworzyły się do wewnątrz.

Na korytarzu panował półmrok. Harry Talbot czekał w wózku elektrycznym, ubrany w niebieską piżamę i zielony szlafrok. Miał lekko przekrzywioną w lewo głowę, sprawiając wrażenie wiecznie zdumionego. Tę kontuzję też odniósł w Wietnamie. Był przystojnym czterdziestoletnim mężczyzną, choć przedwcześnie postarzałym. Gęste szpakowate włosy i udręczone oczy nadawały mu wygląd starca. Sparalizowana ręka z powykręcanyimi palcami zwisała na udzie bezużyteczna. Był żywym pomnikiem nie spełnionych nadziei i marzeń, które legły w gruzach.

Gdy Tessa i Sam weszli i zamknęli za sobą drzwi. Harry Talbot wyciągnął sprawną rękę i powiedział:

– Boże, jak się cieszę, że was widzę! – Uśmiech odmienił go nie do poznania. Był to promienny, ciepły i szczery uśmiech człowieka, który wierzył w przeznaczenie zadowolony z tego, co ma.

Moose oddał Samowi nienaruszony portfel.

Loman Watkins zanim pojechał na komendę, by skoordynować działania setki ludzi przysłanych z New Wave, wstąpił do siebie na Iceberry Road w północnej części miasta. Mieszkał wśród sosen w skromnym, dwupiętrowym domu z trzema sypialniami, zbudowanym w stylu Monterey.

Chwilę z podjazdu obserwował otoczenie. Kochał niegdyś ten dom, czując się tu jak w pałacu, ale nie miał już w sobie tej miłości. Pamiętał szczęście rodzinne, lecz nie *odczuwał* już go.

Wiódł radosne życie w tym miejscu, ale radość też zniknęła, a samo wspomnienie było zbyt słabe, by rozjaśnić twarz. Ostatnio w ogóle Loman z rzadka uśmiechał się, w dodatku sztucznie i wymuszenie, co wcale nie oznaczało dobrego humoru.

Najdziwniejsze, że śmiech i radość życia opuściły go dopiero w ciągu kilku ostatnich miesięcy, po Zmianie. I wydawały się już zamierzchną przeszłością.

Zabawne.

Bzdura. Nie ma w tym nic zabawnego.

Na parterze było ciemno i cicho. Nieznacznym zapach stęchlizny unosił się w opuszczonych pokojach. Wspiął się na pierwsze piętro i ujrzał słaby blask przy dolnej krawędzi drzwi do sypialni Denny'ego. Wszedł do środka i zastał chłopca przy komputerze, z dużym ekranem oświetlającym nieco pokój.

Denny nie oderwał oczu od terminalu.

Miał już osiemnaście lat, więc poddano go konwersji razem z matką, zaraz po Lomanie. Był o dwa cale wyższy od ojca i przystojniejszy. Zawsze dobrze uczył się, a w testach na inteligencję osiągał tak świetne wyniki, aż Loman wręcz niepokoił się, że dzieciak jest *taki* mądry. Zawsze był z niego dumny. Teraz, przyglądając mu się, próbował bezskutecznie wskrzesić tę dumę. Denny nie stracił jego łask; nie uczynił nic, co wywołałoby ojcowską dezaprobatę. Ale duma, podobnie jak inne uczucia, przeszkadzała w osiągnięciu przez Nowych Ludzi wyższej świadomości i kłóciła się z ich racjonalizmem.

Nawet przed Zmianą Denny był fanatykiem komputerów, jednym z tych chłopców, dla których komputer był nie tylko maszyną, oznaczał nie tylko gry i przyjemności, ale również sposób na życie. Po konwersji jego inteligencję i znajomość techniki wykorzystano w New Wave. Dostarczono mu nowoczesny terminal domowy i modem, dzięki któremu łączył się z superkomputerem w siedzibie firmy tajemniczo określanym Słońce, choć może tak rzeczywiście nazywał się, gdyż wykorzystywano go do wszelkich prac badawczych w New Wave, a więc wszystko obracało się wokół tej maszyny. Gdy Loman stał obok syna, na ekranie przesuwały się setki znaków. Słowa, liczby, wykresy ukazywały się i znikły z taką prędkością, że tylko ktoś spośród Nowych Ludzi, o wyostrzonych zmysłach i niezwyklej koncentracji, mógł je zrozumieć.

Loman niewiele pojmował, ponieważ nie uczestniczył w szkoleniu, jakie ukończył Denny w New Wave. Poza tym, nie miał ani czasu, ani potrzeby wykorzystywać w pełni swojej inteligencji.

Ale chłopak chłonał napływające w zawrotnym tempie dane, patrząc w ekran w bezruchu i bez cienia zmęczenia na twarzy. Od czasu konwersji przypominał robota połączonego z komputerem swoistą więzią wykraczającą poza relacje człowieka i maszyny, kiedykolwiek znane Dawnym Ludziom.

Loman wiedział, że syn zapoznaje się z Projektem Księżycowy Jastrząb, gdyż włączono go do specjalnego zespołu w New Wave, który ma stale udoskonalać program i sprzęt komputerowy związany z projektem, aby każde następne pokolenie Nowych Ludzi było lepsze.

Nie kończąca się rzeka danych płynęła przez ekran.

Denny patrzył bez zmrużenia powiek już tak długo, że przed Zmianą w jego oczach pojawiłyby się łzy.

Światło rzucane przez migające znaki tańczyło na ścianie, tworząc cienie.

Loman położył dłoń na ramieniu chłopca.

Ten ani drgnął. Poruszał wargami, ale z ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Mówił do siebie niepomny obecności ojca. Kiedyś Thomas Shaddack niczym nawiedzony opowiadał o dniu, w którym wynajdą ogniwo zespalające komputer z chirurgicznie wszczepionym w podstawę kręgosłupa gniazdkiem, a tym samym dokona się scalenie ludzkiej i sztucznej inteligencji. Loman nie rozumiał sensu takiego rozwiązania, więc Shaddack wyjaśnił: Nowi Ludzie są mostem łączącym człowieka z maszyną. Ale pewnego dnia osiągną *jedność* z maszyną i wówczas *całkowicie* zapanują nad emocjami, co gwarantuje perfekcję w działaniu.

– Denny – powiedział miękko ojciec.

Chłopiec nie odpowiedział.

Loman wyszedł z pokoju.

Po drugiej stronie na końcu korytarza znajdowała się sypialnia. Grace leżała w nieoświetlonym pokoju. Od czasu Zmiany nieźle widziała również w ciemności, ponieważ poprawił się jej wzrok. Dostrzegała – podobnie jak Loman – kształt mebli i kolor obicia, choć nie widziała zbyt wielu szczegółów. Noc nie była już dla nich czarna, ale ciemnoszara. Usiadł na brzegu łóżka.

– Cześć.

Nie odezwała się. Pogłaskał jej kasztanowe włosy. Dotknąwszy twarzy poczuł, że jest mokra od łez.

Płakała, co go poruszyło, ponieważ nigdy nie widział nikogo płaczącego wśród Nowych Ludzi.

Serce zabiło mu żywiej z cudowną nadzieją.

Może pozbawienie uczuć było stanem przejściowym.

– O co chodzi – spytał. – Dlaczego płaczesz?

– Boję się.

Koniec złudzeń. To strach i smutek doprowadziły ją do łez, a on już wiedział, że te właśnie uczucia należały do nowego wspaniałego świata.

– Czego?

– Nie mogę spać.

– Bo nie musisz.

– Nie?

– Nikt z nas nie musi spać.

Tylko zwykli ludzie potrzebowali snu, by zregenerować swe niedoskonałe ciało. Grace wiedziała o tym równie dobrze, jak on.

– Tęsknię za snem.

– To tylko przyzwyczajenie.

– Dzień ma teraz zbyt wiele godzin.

– Wypełnimy sobie czas. W nowym świecie człowiek będzie bardzo zajęty.

– Czym?

– Shaddack nam powie.

– A tymczasem...

– Cierpliwości – powiedział.

– Boję się.

– Cierpliwości.

– Odczuwam dotkliwy brak snu.

– Nie musimy spać – powtórzył łagodnie.

– Ale pragniemy – powiedziała tajemniczo.

Milczeli chwilę.

Ujęła jego dłoń i przysunęła ją do piersi. Była naga.

Próbował odsunąć się od niej, ponieważ bał się tego, co może się stać, a co działo się już po Zmianie, gdy uprawiali miłość. Nie. Nie miłość. Uprawiali seks pozbawiony delikatności i ciepła. Uderzali o siebie rytmicznie i szybko, zbliżali się i oddalali, wygięci i spleceni na przemian, starając się osiągnąć orgazm, ale każde z nich myślało tylko o sobie, o zaspokojeniu własnej żądz. Teraz brak życia emocjonalnego rekompensowali przyjemnościami fizycznymi, głównie jedzeniem i seksem. Jednakże bez uczucia każde doznanie było... puste, a tę pustkę próbowali wypełnić nadmiarem. Prosty posiłek stawał się ucztą, ucztą zaś przekształcała w obżarstwo. A seks zdegenerował się do postaci oszalałej zwierzęcej kopulacji.

Grace wciągnęła go do łóżka.

Poddał się jej woli. Nie *mógł* i nie chciał odmówić. Oddychając ciężko, drżąc z podniecenia szarpała na nim ubranie i przywierała do niego. Wydawała z siebie dziwaczne, niezrozumiałe dźwięki.

Podniecenie Lomana dorównało jej żądzy, potężniało... aż rzuciwszy się na nią wcisnął się głęboko, tracąc wszelkie poczucie czasu i miejsca. Istniał tylko po to, by podsycać ogień płonący w jego lędźwiach, zmienić go w nieznośny żar, żar, tarcie i żar, wilgotny i palący żar, podsycać do momentu, gdy całe ciało opanują płomienie. Zmieniał położenie ciała, miażdżył ją, wbijając się głęboko, głęboko, przyciągał ją do siebie tak mocno, że na jej ciele pojawiły się sińce, ale nie dbał o to. Wyciągnęła dłonie i wpiła się paznokciami w jego ramiona aż do krwi. On też ją szarpał, gdyż krew podniecała go, słodki zapach krwi, tak podniecający, krew. Nie miało znaczenia, że ranili się nawzajem, ponieważ po Zmianie rany goiły się w kilka minut. Znowu ich ciała były sprawne; i znów mogli rozrywać się, na nowo. To, czego naprawdę pragnął – czego obydwójce pragnęli – to uwolnić się, oddać we władanie dzikiemu instynktowi, odrzucić wszelkie zahamowania cywilizacyjne, po prostu zdziczeć, zmienić się w barbarzyńcę, cofnąć się, poddać, bowiem właśnie wtedy orgia wywoływała jeszcze większą ekstazę, dreszcz żądz i wypełniała się pustka. Gdy już dokona się ten akt seksualny, będą razem polować, polować i zabijać, szybko i cicho, sprawnie i szybko, gryźć i rozdzierać, gryźć, głęboko i mocno, polować i zabijać, sperma a potem krew, słodka pachnąca krew.

Chwilę Loman był oszołomiony.

Oprzytomniawszy zauważył uchylone drzwi. Denny mógł ich zobaczyć z korytarza, a z pewnością słyszał odgłosy, lecz Loman nie przejął się tym. Wstyd i skromność też były obce Nowym Ludziom.

Gdy już całkowicie wrócił do rzeczywistości, do jego serca wkradł się strach, więc nerwowo dotykał twarzy, ramion, klatki piersiowej, nóg, by upewnić się, że normalnie wygląda. W trakcie aktu rosła w nim dzikość i chwilami zdawało mu się, że czując nadchodzący orgazm naprawdę zmienia

się, ulega regresji. Ale na szczęście nigdy jeszcze do tego nie doszło.

Lepił się od krwi.

Zapalił nocną lampkę.

– Zgaś – powiedziała natychmiast Grace.

Ale on chciał obejrzeć ją z bliska w świetle, chciał zobaczyć, czy w jakiś sposób nie... zmieniała się.

Nie. Albo, jeśli *naprawdę* jej uległa, zdążyła już powrócić do dawnej postaci. Miała ciało we krwi, a na skórze pręgi od jego paznokci.

Zgasił światło i usiadł na brzegu łóżka.

Rany i zadrapania błyskawicznie znikwały.

Byli teraz odporni na choroby, ich silny system immunologiczny uniemożliwiał rozwój zakaźnych wirusów i bakterii. Shaddack wierzył, że każdy Nowy Człowiek przeżyje nawet setki lat. Można ich było oczywiście zabić, ale tylko ciosem w serce, albo roztrzaskując mózg czy płuca i odcinając dopływ tlenu do krwi. W przypadku uszkodzenia innego ważnego organu ciało funkcjonowałoby całe godziny, regenerując się. Nie byli jeszcze tak niezawodni jak maszyny, ponieważ maszyny nie umierały. Mając części zamienne maszynę można naprawić i odbudować, nawet ze szczątków. Ale staną się niezniszczalni prędzej, niż ktokolwiek poza Moonlight Cove mógł w to uwierzyć.

Życ setki lat...

Czasami Loman rozmyślał o tym.

Życ setki lat, znając tylko strach i fizyczne doznania...

Podniósł się z łóżka, przeszedł do sąsiadującej z sypialnią łazienki i wziął prysznic, by spłukać krew. Nie mógł spojrzeć w swoje oczy w lustrze. Potem w ciemności włożył świeży mundur, który wyjął z garderoby.

Grace wciąż leżała na łóżku.

– Szkoda, że nie mogę spać – powiedziała.

Wyczuł, że bezgłośnie płacze.

Zamknął za sobą drzwi.

Zebrał się w kuchni ku zadowoleniu Tessy, gdyż najszcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa i wczesnej młodości wiązały się z rodzinnymi konferencjami i pogawędkami, odbywającymi się właśnie w kuchni. Kuchnia była sercem domu i poniekąd całej rodziny. Najtrudniejsze problemy rozwiązywano w tym ciepłym, przytulnym pomieszczeniu pachnącym kawą i domowym ciastem. Tam Tessa czuła się bezpieczna.

Kuchnia Harry'ego Talbota była przestronna, przystosowana do potrzeb człowieka na wózku inwalidzkim, z masą wolnego miejsca między szafkami i kuchenką do gotowania, ze swobodnym dostępem do niskich kontuarów wzdłuż ścian, by można do nich sięgnąć z pozycji siedzącej. A poza tym była to kuchnia jak wiele innych. Meble i szafki miały przyjemny kremowy odcień. Cicho mruzczała lodówka. Żaluzje w oknach podnosiły się i opuszczały przy pomocy przycisku elektronicznego na jednym z kontuarów. Teraz Harry zasłonił szyby.

Stwierdziwszy, że telefon nie działa, zatem całe miasto odcięto od świata, Sam i Tessa usiedli przy okrągłym stole w rogu kuchni zachęceni przez Harry'ego, on zaś przygotował dzbanek dobrej, kolumbijskiej kawy z ekspresu.

– Wyglądacie na zmarzniętych stwierdził. To wam dobrze robi.

Zziębnięta, i zmęczona Tessa marzyła o kawie. Zafascynowana obserwowała Harry'ego, który pomimo tak poważnego kalectwa świetnie sobie radził w roli miłego gospodarza dla niespodziewanych gości.

Posługując się sprawną ręką wyjął bułeczki nadziewane jabłkami z pojemnika na pieczywo, ciasto czekoladowe z lodówki, talerze, widelce i serwetki. Gdy Sam i Tessa zaoferowali pomoc, odmówił grzecznie i z uśmiechem.

Wyczuwała, że nie próbuje udowodnić niczego ani im, ani sobie. Po prostu cieszył się z towarzystwa nawet o tak późnej godzinie i w tak dziwacznych okolicznościach. Może była to dla niego rzadka przyjemność.

– Nie mam śmietanki, tylko mleko – powiedział.

– Nic nie szkodzi – odezwał się Sam.

– No i brakuje eleganckiego porcelanowego dzbanuszka – stwierdził, stawiając na stole mleko w kartonie.

Tessa myślała o filmie dokumentalnym z Harrym, o jego odwadze życiowej i niezależności mimo kalectwa. Pociągała ją sztuka jaką uprawiała, na przekór wszystkiemu, co wydarzyło się w ostatnich godzinach. Już dawno temu stwierdziła, że oko filmowca nie zakrywało się równie łatwo jak obiektyw kamery. Choć czuła żal po stracie siostry, wciąż przychodziły jej do głowy pomysły

nowych filmów, interesujące kadry i ujęcia. Nawet w ogniu walk, uciekając z afgańskimi powstańcami pod ostrzałem radzieckich samolotów, była podekscytowana tym, co utrwała na taśmie filmowej i przyszłym montażem. Podobnie reagowali trzej koledzy z ekipy. Tak więc nie czuła się zażenowana czy winna, że nawet tragedie inspirują jej twórczą wyobraźnię. To było naturalne dla artysty.

Wózek Harry'ego wyposażono w hydrauliczny podnośnik unoszący siedzenie prawie do poziomu normalnego krzesła, tak że mógł siedzieć przy zwykłym stole albo biurku. Zajął miejsce obok Tessy naprzeciwko Sama.

Moose leżał w rogu, czujny, od czasu do czasu podnosząc głowę, jakby interesował się rozmową, choć zapewne przyciągał go zapach czekoladowego ciasta. Nie przybiegł, by skamleć o poczęstunek a Tessę zadziwiła ta jego karność.

Gdy częstowali się kawą i słodkościami, Harry stwierdził:

– Powiedziałaś, Sam, że sprowadza cię tu nie mój list, ale te wszystkie rzekome wypadki.

Spojrzał na Tessę, a ponieważ siedziała z prawej strony, jego przekrzywiona w lewo głowa sprawiała wrażenie, że odsuwa się od niej pełen rezerwy, ale jego przyjazne uczucia zdradzał ciepły uśmiech.

– Skąd się pani tu wzięła, miss Lockland.

– Tessa, proszę. No cóż... moją siostrą była Janice Capshaw.

– Żona Richarda Capshaw, luterańskiego pastora? – zdumiał się.

– Zgadza się.

– ...Odwiedzali mnie, choć nie należałem do ich kongregacji. Przyjaźniliśmy się. Nawet po jego śmierci Janice wpadała tu czasem. Twoja siostra była kochaną i wspaniałą osobą. – Odstawił filiżankę i wyciągnął do Tessy sprawną rękę.

– Była moim przyjacielem.

Ujęła jego dłoń, chropowatą, twardą od pracy, i bardzo mocną, jakby cała siła ze sparaliżowanego ciała znalazła ujście w tym jednym, sprawnym organie.

– Widziałem przez teleskop, jak wnoszono jej zwłoki do krematorium w zakładzie Callana – powiedział. – Jestem obserwatorem. Tym wypełniłem sobie życie. Po prostu obserwuję je. – Zaczerwienił się i ścisnął dłoń Tessy troszkę mocniej. – Nie jestem podglądaczem. W ten sposób... uczestniczę w życiu. Aha, lubię jeszcze czytać, mam mnóstwo książek, no i oczywiście bardzo dużo rozmyślam, ale głównie obserwowanie pozwala mi żyć. Pójdziemy potem na górę. Pokażę wam teleskop i cały zestaw. Mam nadzieję, że mnie rozumiecie. W każdym razie zauważyłem, jak kogoś wnosili tamtej nocy... choć nie wiedziałem, o kogo chodzi. Dopiero po dwóch dniach z miejscowej gazety dowiedziałem się, że to była Janice. Zaszokowało mnie, że popełniła samobójstwo. Wciąż w

to nie wierzę.

– Ani ja – dodała Tessa – i dlatego tu przyjechałam.

Harry niechętnie puścił jej dłoń.

– Tyle ostatnio ludzi zginęło, a ciała przeważnie lądowały nocą u Callana, pod nadzorem policji. Diabelnie dziwne, jak na małe, spokojne miasteczko.

– Dwanaście śmiertelnych wypadków i samobójstwo w niespełna dwa miesiące – podsumował Sam.

– Dwanaście? – zdziwił się Harry.

– Nie zdawałeś sobie sprawy, że aż tyle?

– Och, znacznie więcej.

Sam zamrugał oczami ze zdumienia.

– Według moich obliczeń dwadzieścia – uściślił.

Shaddack wrócił do terminalu po wyjściu Lomana. Uruchomił ponownie łącze ze Słońcem, superkomputerem w New Wave, i zasiadł do pracy nad trudnymi aspektami projektu. Choć była druga trzydzieści nad ranem, zamierzał popracować jeszcze kilka godzin, ponieważ kładł się do łóżka świtem.

Siedział już przy ekranie od kilku minut, gdy zadzwonił jego prywatny telefon. Dopóki nie zatrzymają Bookera, komputer telekomunikacji zezwalał na rozmowy tylko osobom poddanym konwersji. Pozostałe telefony odcięto, a połączenia zamiejscowe natychmiast przerywano. Ludzie dzwoniący do Moonlight Cove słyszeli nagraną na taśmę informację o uszkodzonej linii, obietnicę naprawy w ciągu dwudziestu czterech godzin i przeprosiny za powstałe niedogodności.

Tylko najbliżsi współpracownicy w New Wave łączyli się z Shaddackiem przez prywatną linię. Na wyświetlaczu przy aparacie pojawił się numer Peysera. Podniósł słuchawkę:

– Tu Shaddack.

Rozmówca oddychał ciężko, z przerwami, milczał.

Marszcząc brwi Shaddack zapytał:

– Halo?

Słyszał tylko oddech.

Uściślił:

– Mike, to ty?

Wreszcie rozległ się chrapliwy, gardłowy, momentami syczący głos i dziwne, bardzo dziwne słowa:

– ...*coś źle, źle, coś źle, nie móc zmienić, nie móc... źle... źle...*

Shaddack, nie przyznając sam przed sobą, że w tych niesamowitych zawodzeniach rozpoznał Peysera, zapytał:

– Kto mówi?

– ...*potrzebować, potrzebować... potrzebować, chcieć, potrzebować...*

– Kto mówi? – dopytywał się ze złością. – Co to jest? – zastanawiał się.

Człowiek po drugiej stronie wydawał z siebie bolesne pomruki, jęki, charczał i skowyczał

przeciągle, aż w końcu słuchawka wypadła mu z dłoni z ogłuszającym trzaskiem.

Shaddack odłożył swoją i przez komputer wysłał pilną wiadomość Lomanowi Watkinsowi.

Z ciemnej sypialni na drugim piętrze Sam Booker obserwował przez teleskop tyły kostnicy. Resztki mgły tańczyły na wietrze, uderzającym o szyby i trzęsącym drzewami na wzgórzach, gdzie zbudowano większą część Moonlight Cove. Lampy oświetlające podwórze zgaszono i Dom Pogrzebowy tonął w ciemności. Słabe światło sączyło się jedynie z zakrytych żaluzjami okien skrzydła z krematorium. Pracownicy bez wątpienia palili ciała ofiar z Cove Lodge.

Tessa siedziała na brzegu łóżka za Samem, głaszcząc Moose'a, który położył łeb na jej kolanach.

Harry znajdował się obok w fotelu. Przy świetle latarki studiował notatnik z wykazem niezwykłych wydarzeń w kostnicy.

– Pierwszy przypadek zarejestrowałem dwudziestego ósmego sierpnia – relacjonował. – Dwadzieścia minut przed północą przywieziono aż cztery ciała karawanem i karetką pod nadzorem policji. Ponieważ leżały w workach, nie widziałem szczegółów, ale gliniarze, sanitariusze i pracownicy Callana byli najwyraźniej... jak to określić... zdenerwowani. Dostrzegłem strach na ich twarzach. Rozglądali się cały czas w obawie, że ktoś ich zauważy, co mnie zdziwiło, ponieważ wykonywali jedynie swoją pracę. Mam rację? W każdym razie, później w lokalnej gazecie przeczytałem o rodzinie Mayserów, która zginęła w pożarze, i zrozumiałem, że to właśnie ich przywieziono do kostnicy tamtej nocy. Przypuszczam, że tak samo nie uszli z pożogi, jak twoja siostra popełniła samobójstwo.

– Prawdopodobnie – zgodziła się Tessa.

Wciąż obserwując tyły Domu Pogrzebowego, Sam powiedział:

– Mayserowie są na mojej liście. Ich sprawa wyszła na jaw przy okazji śledztwa Sanchez i Bustamante.

Harry odchrząknął i kontynuował:

– Sześć dni później, trzeciego września, tuż po północy do kostnicy znów przywieziono dwa ciała. Tym razem wszystko było jeszcze dziwniejsze, ponieważ na podwórze podjechały dwa radiowozy i z tylnych siedzeń wyciągnięto zwłoki, zawinięte w pokrwawione prześcieradła.

– Trzeciego września? upewnił się Sam. W moim wykazie nikt nie figuruje pod tą datą. Sanchez i Bustamante widnieją pod piątym. Żadnego świadectwa zgonu nie wydano trzeciego. A zatem ukryto te wypadki.

– W gazecie też nie wspomniano o żadnym zgonie – dodał Harry.

– Więc kim oni byli? – spytała Tessa.

– Może przejezdnymi, którzy na nieszczęście zatrzymali się w Moonlight Cove i wpadli w

tarapaty – wtrącił Sam. – Ludźmi, których śmierć można całkowicie zatuszować, tak by nikt nie dowiedział się, *gdzie* umarli. Wiadomo tylko, że zniknęli w podróży.

– Sanchez i Bustamante zginęli w nocy piątego września, a siódmego Jim Armes – informował dalej Harry.

– Przecież Armes zaginął na morzu – zdumiał się Sam, odrywając wzrok od teleskopu.

– Przywieźli jego ciało o jedenastej w nocy – powiedział Harry zerkając do notatnika. – Nie spuścili żaluzji w oknach, więc widziałem wszystko jak na dłoni. Ciało... w koszmarnym stanie. I twarz. Kilka dni później, gdy w gazetach podano informację ze zdjęciem o jego zaginięciu, rozpoznałem, że właśnie tego faceta wsadzili do pieca.

Ogromny pokój tonął w mroku. Tylko promyk z latarki padał na notatnik. Białe kartki wydawały się promieniować własnym światłem niczym stronicie magicznej książki. Przyćmiony odbłask padał też na zatroskaną twarz Harry'ego Talbota, podkreślając bruzdy i sprawiając, że wyglądał starzej niż w rzeczywistości. Każda bruzda oznaczała tragiczne doświadczenia i ból, o czym wiedział Sam. Wezbrało w nim głębokie współczucie. Nie litość. Nigdy nie litowałby się nad kimś tak zdeterminowanym jak Talbot. Ale dostrzegł smutek i samotność, jakie towarzyszyły życiu Harry'ego. Obserwując tego człowieka na wózku inwalidzkim czuł złość na jego sąsiadów. Dlaczego nic nie zrobili, by mógł uczestniczyć w ich życiu? Dlaczego nie zapraszali go częściej na obiady, brydza, uroczystą kolację? Dlaczego pozostawili go własnemu losowi do tego stopnia, że uczestniczył w życiu społeczności tylko patrząc na nie przez teleskop i lornetkę? Z rozpaczą pomyślał o tym, jak ludzie izolują się, stają się sobie obcy. Przecież on też nie mógł porozumieć się z własnym synem. Poczł się jeszcze podlej.

Spytał Harry'ego: – Co to znaczy, że ciało Armesa było w strasznym stanie?

– Pocięte. Poszarpane.

– Nie utonął?

– Nie wyglądał na topielca.

– Pocięte... Co dokładnie masz na myśli? – dociekała Tessa.

Sam wiedział, że pyta o ludzi, których krzyki słyszała w motelu, i o siostrę.

Harry powiedział z wahaniem:

– No cóż, widziałem go na stole w krematorium tuż przed tym, jak wsadzili go do pieca. Miał... wnętrzości na wierzchu. Oderwaną głowę. Okropne. Był... *rozszarpany*, wyglądał tak, jakby rozerwała go mina.

Milczeli przytłoczeni tym opisem. Tylko Moose wydawał się nieporuszony. Powarkiwiał cicho z zadowoleniem, gdy Tessa drapała go delikatnie za uchem.

Sam myślał, że nieźle byłoby żyć jak stworzenie reagujące jedynie zmysłami, nie skażone skomplikowanym intelektem. Albo wręcz przeciwnie... jak robot czy komputer wyposażony w superinteligencję, ale pozbawiony uczuć i odczuć. Ten ogromny ciężar uczuć oraz wyższej inteligencji przytłaczał jedynie rodzaj ludzki, czyniąc życie tak trudnym. Człowiek zawsze analizował swoje reakcje, zamiast dać się ponieść chwili. Albo zawsze chciał czuć to, co *powinien* w danej sytuacji. Emocje zaciemniały rozum, który z kolei hamował emocje. Czuć głęboko i myśleć logicznie zarazem, przypominało żonglerkę sześcioma maczugami w trakcie jazdy do tyłu po linie na cyrkowym rowerze.

– Po artykule na temat zniknięcia Armesa – odezwał się Harry – oczekiwałem sprostowania, ale niczego nie wydrukowano i wówczas dotarło do mnie, że wszystkie te dziwne zdarzenia u Callana są nie *tylko* dziwne, ale że to kryminał, w który zamieszana jest policja.

– Paulę Parkins podobno zagryzły dobermany – dodał Sam.

– Dobermany? – zdziwiła się Tessa.

Jeszcze w pralni Sam wyjaśnił jej, że śmierć Janice była jednym z wielu tajemniczych przypadków samobójstw i zgonów, ale nie wdawał się w szczegóły dotyczące innych. Teraz szybko opowiedział o Parkins.

– To nie sprawka psów – zgodziła się Tessa. – Kobietę rozszarpały te same istoty, co Armesa i ludzi w Cove Lodge dziś w nocy.

Harry Talbot pierwszy raz usłyszał o morderstwie w motelu. Sam wyjaśnił, co wydarzyło się i jak spotkał się Tessę w pralni. Na przedwcześnie postarzałej twarzy Harry'ego pojawił się dziwny wyraz. Zwrócił się do Tessy:

– uh... widziałaś tych osobników w motelu choć przez moment?

– Tylko stopę jednego z nich przez szparę pod drzwiami.

Harry otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Coś wie, pomyślał Sam. Więcej niż my.

Z jakichś powodów Harry nie chciał jeszcze nic wyjaśnić. Skupił się na notatniku, który trzymał na kolanach, i powiedział:

– Dwa dni po śmierci Pauli Parkins do kostnicy przywieziono jedno ciało około dziewiątej trzydzieści wieczorem.

– To znaczy jedenastego września? – uściślił Harry.

– Tak.

– Nie wydano żadnego świadectwa zgonu tego dnia.

– W gazecie też ani słowa.

– Dalej.

– Piętnastego września... – wyliczał dalej Harry.

– Steve Heinz i Laura Dalcoe.

– Przypuszczalnie to on ją zabił, następnie odebrał sobie życie – skomentował Sam. – Kłótnia kochanków, musimy w to uwierzyć.

– Kolejna pośpieszna kremacja – zauważył Harry. – A osiemnastego września przywieziono dwa następne ciała po pierwszej w nocy, kiedy już kładłem się spać.

– Także brak oficjalnego komunikatu – stwierdził Sam.

– Znow podróżni zjechali z autostrady, żeby zwiedzić miasteczko albo zjeść obiad? – ironizowała Tessa.

– To mógł być nawet ktoś z miejscowych – powiedział Harry. – Chodzi o to, że zawsze jacyś ludzie wynajmują domy i niewiele ich łączy z miejscową społecznością, więc łatwo zatuszować morderstwo, na przykład wymyślając historyjkę o nagłym wyjeździe w poszukiwaniu pracy, czy cokolwiek innego, a sąsiedzi kupią ją bez trudu.

Tym bardziej że są poddani konwersji i ukrywają te zbrodnie, pomyślał Sam.

– Dwudziestego trzeciego września przywieziono najprawdopodobniej ciało twojej siostry, Tessa – ciągnął Harry.

– Tak.

– Już wtedy wiedziałem, że muszę poinformować kogoś z władz. Ale kogo? Nie ufałem miejscowym, ponieważ niektóre ciała przywozili policjanci, a w gazecie nie było żadnej wzmianki. Szeryfa okręgu? Prędzej uwierzyłby Watkinsowi niż mnie, nieprawdaż? Cholera, każdy myśli, że kaleka to pomylenie, stawiając znak równości między niesprawnością fizyczną i psychiczną. Więc szeryf raczej potraktowałby mnie jak wariata. Bez wątpienia to jest niesamowita historia, te zmasakrowane ciała, kremacje dokonywane w tajemnicy... – przerwał z pochmurną twarzą. – Fakt, że jestem weteranem z odznaczeniami, nie uczyniłby mnie bardziej wiarygodnym, a może nawet wykorzystaliby to przeciwko mnie. Powietnamski syndrom stresu, powiedzieliby. Stary, biedny Harry dostał świra po tej wojnie.

Cały czas mówił ot tak sobie, bez szczególnych emocji. Ale te słowa raniły go jak żyłotka, ukazując głębię jego bólu, samotności, wyobcowania.

Głos załamał mu się kilka razy.

– I muszę powiedzieć, że nie zwierzyłem się nikomu, gdyż... bałem się. Nie wiedziałem, co się u

licha dzieje. Jaka jest stawka w tej grze. Nie wiedziałem, czy nie wpakują mnie do pieca którejś nocy. Pewnie sądzą, że takiemu jak ja już na niczym nie zależy, i nie obchodzi go, że może jeszcze coś stracić, a nawet umrzeć. Ale to nie tak, wcale nie. Bardziej cenię sobie życie niż wielu całych i zdrowych ludzi. To połamane ciało ogranicza mnie tak bardzo, że ostatnie dwadzieścia lat spędziłem z dala od huków, zgiełku i obowiązków, którymi żyje większość z was. Miałem czas *przyjrzeć* się światu, jego pięknu i złożoności. Zabrzmiało to paradoksalnie, lecz dzięki inwalidztwu doceniłem i pokochałem życie. Więc bałem się, że przyjdą po mnie, zabiją mnie, i wahałem się, czy powiedzieć komukolwiek o tym, co widziałem. Boże, gdybym dał znać wcześniej, gdybym wcześniej skontaktował się z Biurem, może ocaliłoby to kilku ludzi. Może... nie zginęłaby twoja siostra.

– Nie pleć bzdur – gwałtownie zaprotestowała Tessa. – Gdybyś postąpił inaczej, teraz popiół z twego ciała pracownicy Callana wyrzucaliby do morza. Los mojej siostry był przypieczętowany. Nie mogłeś tego zmienić.

Harry skinął głową, po czym zgasił latarkę, choć nie skończył jeszcze przeglądu informacji z notatnika. Sam podejrzewał, że słowa Tessy wzruszyły go do łez, które chciał ukryć.

– Dwudziestego piątego września – kontynuował bez ściągawki – o dziesiątej piętnaście przywieziono do kostnicy jedno ciało. To był także dziwny przypadek, ponieważ nie przywieziono go ani ambulansem, ani karawanem czy wozem policyjnym. Dostarczył je Loman Watkins.

– Szef policji – wyjaśnił Sam, spoglądając na Tessę.

– ...Ale przyjechał swoim prywatnym samochodem, po cywilnemu – dodał Harry. – Wyjęli ciało z bagażnika zawinięte w koc. Tej nocy też nie spuszczone żaluzji i mogłem zajrzeć do kostnicy przez teleskop. Nie rozpoznałem ciała, ale również było w strasznym stanie.

– Zmasakrowane? – spytał Sam.

– Tak. Wtedy właśnie do miasta *przyjechali* agenci w sprawie Sanchez-Bustamante. Z ogromną ulgą przeczytałem o tym w gazecie, ponieważ sądziłem, że wszystko wreszcie wyjdzie na jaw i koszmar skończy się. Ale w nocy czwartego października pojawiły się w kostnicy dwa następne ciała.

– Nasi ludzie byli wtedy w mieście – przypomniał Sam. – Nie stwierdzili, by w tym czasie wydano jakieś świadectwa zgonu. Twierdzisz, że to wszystko działo się pod ich nosem?

– Owszem. Nie muszę sprawdzać w notatniku, pamiętam dobrze. Ciała przywieziono w wozie kempingowym Reese Dorna, miejscowego policjanta, ale tamtej nocy był po cywilnemu. Wciągnęli sztywniaków do kostnicy i przenieśli do krematorium, wszyscy razem, jakby naprawdę śpieszyło się im. Jeszcze więcej zamieszania było siódmego późną nocą, ale nic nie widziałem w gęstej mgle, więc nie wiem, ile wnoszono ciał. I w końcu... dzisiaj, wczesnym wieczorem przywieziono ciało małego dziecka.

– Plus tych dwoje z Cove Lodge – dodała Tessa. – W sumie dwadzieścia dwie ofiary, a nie dwanaście. Sam, masz mnóstwo zbrodni do wykrycia. Miasto stało się *rzeźnią*.

– Ta liczba może być jeszcze większa, niż sądzimy.

– Jakim cudem?

– No cóż, nie obserwowałem kostnicy bez przerwy. Chodzę spać przed drugą. Kto powiedział, że nie przywożono ciała głuchą nocą?

Rozmyślając nad tym wszystkim, Sam ponownie popatrzył przez teleskop. Na tyłach Domu Pogrzebowego było ciemno i spokojnie. Powoli skierował teleskop w stronę sąsiednich budynków.

– Ale *dłaczego* ich zabito? – spytała Tessa.

Nikt nie znał odpowiedzi.

– W jaki sposób? – dociekała.

Sam obserwował chwilę cmentarz w dalszej części Conquistador, po czym westchnął, podniósł wzrok znad teleskopu i opowiedział im, co go spotkało tej nocy na Iceberry Way.

– Sądziłem, że to dzieciaki, chuligani, ale teraz uważam, że ci właśnie osobnicy zabili ludzi w motelu.

Nawet w ciemności wyczuwał zdumienie Tessy.

– Ale *czym* oni są? – spytała.

Harry Talbot stwierdził po chwili wahania:

– To Zjawy.

Wyłączywszy syrenę i światła na ostatnim odcinku drogi, Loman zajechał dwoma wozami pod dom Mike'a Peysera o trzeciej dziesiąt nad ranem, w asyście pięciu ludzi, uzbrojonych w strzelby. Miał nadzieję, że tylko zastraszą go karabinem. Czwartego września podczas jedyne, jak na razie, spotkania z regresywnym Jordanem Coombsem – zaskoczeni wściekłą reakcją musieli strzelić mu w głowę w obronie własnej. Shaddack zbadał więc tylko zwłoki. Wściekł się utraciwszy szansę poznania psychiki i budowy jednego z tych metamorficznych psychopatów. Wystrzelenie środków uspokajających też nie zdałoby się na wiele, ponieważ regresywni jako Nowi Ludzie, tyle że zdegenerowani, również odznaczali się radykalnie zmienionym metabolizmem. Błyskawicznie regenerowali się, zdrowieli i równie szybko rozkładali toksyczne substancje. Osobnik regresywny uspokoiłby się wyłącznie pod ciągłym działaniem kroplówki, ale jak skłonić do tego tak dziką istotę?

Peyser mieszkał w parterowym, dobrze utrzymanym domku z gankami od frontu i z tyłu, schowanym wśród kilku ogromnych słodkich gumowców, które nie straciły jeszcze liści. W oknach nie paliły się światła.

Loman wysłał jednego z ludzi, by pilnował strony północnej a drugiego południowej, w razie gdyby Mike chciał wyskoczyć przez okno. Trzeci ochraniał drzwi wejściowe. Z Sholnickiem i Penniworthem okrążyli budynek i weszli cicho po schodach na tylny ganek.

Teraz widoczność była dobra, gdyż mgła już rozproszyła się. Ale silny wiatr zagłuszał dźwięki, które mogłyby zdradzić obecność Peysera.

Dwaj towarzyszący Lomanowi policjanci osłaniali go, gdy próbował otworzyć drzwi. Były otwarte. Pchnął je na oścież i cofnął się o krok.

Zastępcy weszli do ciemnej kuchni ze strzelbami gotowymi do strzału. Powinni złapać Peysera żywcem, nie zamierzali jednak narażać się tylko po to, by dostarczyć Shaddackowi żywą bestię. Po chwili jeden z nich znalazł kontakt.

Loman wszedł za nimi też z karabinem w rękę. Puste miseczki, potłuczone talerze i brudne pojemniki walały się po podłodze, a także kilka rigatoni z sosem pomidorowym, pół klopsa, skorupki od jajek, kawałek pasztetu, i resztki innego jedzenia. Jedno z drewnianych krzeseł było przewrócone, inne roztrzaskane na blacie szafki, który popękał od uderzeń.

Naprzeciwko drzwi od ganku znajdowało się przejście do jadalni.

Po lewej stronie obok lodówki też było jakieś wejście. Barry Sholnick otworzył je ostrożnie i ujrzał półki z żywnością w puszkach. Schody prowadziły do piwnicy.

– Sprawdzimy to po przeszukaniu domu – stwierdził Loman.

Sholnick cicho zablokował drzwi krzesłem, żeby nikt nie wydostał się z piwnicy niepostrzeżenie.

Chwilę nasłuchiwali.

Wiatr uderzał o ściany domu. W oknie brzęczała szyba. Na stryszku trzeszczały belki, a na dachu klekotała obluźowana dachówka.

Policjanci wymownie spojrzeli na Lomana jakby prosząc o instrukcje. Penniworth miał dopiero dwadzieścia pięć lat i tak młodzieńczą, szczerą twarz, że mógł uchodzić za osiemnastoletniego sprzedawcę religijnych broszur, a nie glinę. Sholnick był o dziesięć lat starszy i wyglądał na twardziela.

Loman skierował ich do jadalni.

Weszli tam zapalając po drodze światło. Nikogo nie zastali, skierowali się więc ostrożnie do salonu.

Penniworth przekręcił kontakt i zajaśniała chromowana, mosiężna lampa, której jakimś cudem nie roztrzaskano. Poduszki na sofie i krzesłach były pocięte, a kłęby gąbki ze środka walały się wszędzie jak kolonie trujących grzybów. Książki leżały na podłodze rozdarte na kawałki. Porcelanowa lampa, wazony i szklany blat stolika rozbito. Z szafki na telewizor wyrwano drzwiczki, a ekran strzaskano. Szalały tutaj ślepa furia i brutalna siła.

W pokoju cuchnęło moczem... i czymś dziwnym. Może istotą, która dokonała tego zniszczenia. Wyczuwało się kwaśny zapach potu i coś bliżej nieokreślonego, przejmującego Lomana strachem.

Z lewej strony znajdował się hall, również prowadzący do sypialni i łazienek. Loman wycelował broń w tamtą stronę. Policjanci weszli do przedpokoju. Garderoba była po prawej stronie, zaraz przy drzwiach frontowych. Sholnick stanął twarzą do niej, z bronią gotową do strzału. Penniworth szarpnięciem otworzył garderobę. Wewnątrz wisiały tylko płaszcze.

Teraz czekało ich trudniejsze zadanie. Mieli przed sobą wąski korytarz z trojgiem uchylonych drzwi, prowadzących do ciemnych pokoi. Było tu ciasno i dużo zakątków, z których napastnik mógł zaatakować. Nocny wiatr szumiał pod okapami dachu i grał w rynnie, wydając niski, żalobny ton.

Loman nigdy jako dowódca nie wysyłał ludzi przodem w niebezpieczne miejsce, sam pozostając z tyłu. Choć już obce stały mu się duma i szacunek dla siebie, a także poczucie obowiązku podobnie jak inne cechy i emocje Dawnych Ludzi, ten odruch w nim pozostał. Pierwszy pobiegł na koniec hallu i otworzył kopnięciem drzwi. W blasku dochodzącym z korytarza ujrzał małą pustą łazienkę.

Penniworth zajął się pierwszym pokojem po lewej stronie. Zapalił światło, nim Loman pojawił się na progu. Był to gabinet z biurkiem, dwoma krzesłami, szafkami, wysokimi regałami pełnymi książek o kolorowych grzbietach i dwoma komputerami. Loman wkroczył do środka i wycelował w szafę, a tymczasem Penniworth ostrożnie przesuwiał oszklone drzwi.

Pusto.

Barry Sholnick stał na zewnątrz z bronią skierowaną w pokój, którego jeszcze nie spenetrowali. Gdy pozostali przyłączyli się do niego, lufą pchnął drzwi cofając się raptownie, pewien, że coś

zaatakuj go z ciemności. Nic takiego nie stało się. Z wahaniem przekreślił kontakt. O, mój Boże przerażony wyskoczył na korytarz.

Stojący obok Loman ujrzał w głębi dużej sypialni przy ścianie odrażającą skuloną postać. Niewątpliwie był to odmieniony Peyser, ale różnił się od Jordana Coombsa w postaci regresywnej.

Loman przekroczył próg:

– Peyser? – odezwał się.

Istota zamrugła na jego widok. Poruszając wykrzywionymi ustami wydobyła z siebie gardłowe, dzikie i zarazem udręczone rżenie:

– *Peyser, Peyser, Peyser, ja, Peyser, ja, ja...*

Tutaj także wyczuwał zapach moczu i tą inną ostrą woń piżma.

Loman wszedł do pokoju, a za nim Penniworth. Sholnick pilnował drzwi. Zatrzymali się dwanaście stóp od Mike'a, a Penniworth stanął z bronią gotową do strzału. Jordan Coombs, którego otoczyli w starym kinie czwartego września, przypominał potężnego, przygarbionego goryla. Znacznie szczuplejszy Mike, gdy tak kuczał przyciśnięty do ściany, wyglądał raczej jak wilk niż małpa. Nie mógł ani stać, ani siedzieć w pozycji wyprostowanej, nogi zaś wydawały się zbyt krótkie w udach, a za długie w łydkach. Ciało pokrywała gęsta sierść, ale nie na tyle gęsta, by mówić o futrze.

– ...*Peyser, ja, ja, ja...*

Na twarzy Coombsa zostało nieco ludzkich rysów, choć krzaczaste brwi, spłaszczony nos, i wystająca szczeka z wielkimi kłami upodabniały go do goryla. Natomiast odrażająco zmienione oblicze Peysera miało w sobie coś z wilka albo psa o zdeformowanym pysku. Usta i nos wydłużyły się, potężne brwi były małpie, choć o wiele większe, ale w przekrwionych, dzikich ślepiach czaiły się całkowicie ludzkie uczucia rozpacz i strachu.

Peyser wysunąwszy łapę w stronę Lomana, powiedział:

– *pomóc mi, pomóc mi, coś źle, źle, źle, pomóc...*

Watkins wpatrywał się w nią przerażony i zdumiony, przypominając sobie, jak jego ręce zaczęły zmieniać się w szponiaste łapy, gdy poczuł zew krwi regresywnych w domu Fosterów. Cholera, pomyślał, takie same widziałem w kinie, a już z pewnością na kasecie z horrorem *Skowyt*. Rob Bottin. Tak nazywał się specjalista od efektów specjalnych, który stworzył wilkołaka. Pamiętał to, gdyż Denny przed konwersją miał hyzja na punkcie efektów specjalnych. Ręce, na które patrzył teraz, ludzako przypominały właśnie łapy wilkołaka.

To szaleństwo. Urzeczywistniono fantazję. W końcu dwudziestego wieku naukowcy mogli spełnić wszystkie marzenia ludzkości o lepszym życiu, albo stworzyć wcale nie zamierzony koszmar na ziemi. Peyser pojawił się niczym zły sen, przed którym, niestety, nie można było uciec po prostu

budząc się. Nie zniknąłby jak mary pojawiające się tylko w snach.

– Jak ci pomóc? – spytał ostrożnie Loman.

– Zastrzel go – powiedział Penniworth.

– Nie! – zaproponował ostro Loman.

Mike patrzył na szponiaste łapy, jakby widział je pierwszy raz. Mruknął i żałośnie załkał.

– ...*zmienić, nie móc zmienić, nie móc, próbować, chcieć, potrzebować, potrzebować, nie móc, próbować, nie móc...*

– Mój Boże, zablokowało go, jest w pułapce. Myślałem, że regresywni w każdej chwili powracają do dawnej postaci odezwał się stojący w drzwiach Sholnick.

– To prawda – powiedział z naciskiem Loman.

– *On* nie może – stwierdził Sholnick.

– To właśnie nam powiedział – Penniworth był najwyraźniej zdenerwowany.

– Tak i nie – zauważył Loman. – Inni regresywni przybierają ludzką postać, w przeciwnym razie już dawno wszyscy wpadliby w nasze ręce. A tak chodzą wśród nas.

Peysner wydawał się nieświadomy ich obecności. Wpatrując się w dłonie skomlał przerażony.

Naraz te ręce zaczęły zmieniać się.

– Patrzcie – krzyknął Loman.

Nigdy nie obserwował transformacji. Był zaciekawiony, zdumiony i wystraszony zarazem. Szpony zanikały. Ciało zaś teraz giętkie jak ciepły wosk pęczniało, wyrzuszało się i pulsowało, nie w rytm przepływającej w arteriach krwi, ale dziwacznie, wręcz obscenicznie.

Przybierało nową formę niczym pod ręką niewidzialnego rzeźbiarza. Loman słyszał jak kości trzeszczą i rozłupują się, jakby je łamano i składano od nowa. Ciało roztapiało się i tężało, z przyprawiającym o mdłości bulgotem. Dłonie stały się niemal normalne. Po chwili nadgarstki i przedramiona zaczęły nabierać trochę ciała, również twarz Mike'a łagodniała. Najwyraźniej ludzki duch chciał odpędzić dziką istotę. Wydawało się, że ten biedak w postaci bestii był jedynie odbiciem w tafli wody, z której właśnie wyłania się normalny człowiek.

Loman nie był naukowcem ani geniuszem mikrotechnologii, a tylko policjantem ze średnim wykształceniem, lecz wiedział, że tak głęboka i szybka transformacja to coś więcej niż udoskonalony metabolizm Nowych Ludzi. Bez względu na to, jak dużo hormonów, enzymów i innych biologicznych substancji ciało Peysera wytwarzało na zawołanie, kości i tkanki nie mogły przybrać nowego kształtu w tak krótkim czasie. Owszem, w kilka dni czy tygodni, ale nie w parę *sekund*. Z pewnością było to

niemożliwe, a jednak działo się. A zatem Mike posiadał jakąś tajemną i przerażającą moc.

Wtem transformacja ustała. Loman widział, że Peyser za wszelką cenę chce wrócić do ludzkiej postaci, zaciskając już w połowie człowiecze, jednak wciąż wilcze szczęki i zgrzytając zębami, z wyrazem desperacji i żelaznej determinacji w swych dziwnych oczach, ale na próżno. Wydawało się, że lada moment przekroczy granicę, za którą reszta metamorfozy dokonałaby się niemal automatycznie, z łatwością, z jaką strumień spływa ze zbocza. Ale zabrakło mu siły.

Penniworth westchnął ciężko, jakby podzielał rozpacz Mike'a. Po twarzy spływały mu strużki potu.

Spojrząwszy na zastępcę Loman uświadomił sobie, że on też jest zlany potem. W domu co prawda było ciepło, gdyż grzał piecyk olejowy, ale ich oblał zimny pot strachu, i jeszcze coś. Watkins czuł również ucisk w klatce piersiowej i zgrubienie w gardle, utrudniające przełykanie. Oddychał gwałtownie, jakby wbiegł na schody liczące setki stopni.

Z przenikliwym, pełnym udręczenia krzykiem Peyser znów ulegał regresji. Z trzaskiem zmieniających kształt kości i bulgotem rozdzieranego i zrastającego się ciała, rodziła się dzika istota, przypominająca diabelską bestię, potwora obdarzonego niezwykłą mocą oraz swoistym, dziwnym i strasznym pięknem.

Milczeli.

Peyser skulił się na podłodze.

W końcu odezwał się Sholnick:

– Mój Boże, on *jest* uwięziony.

Choć ten przypadek wskazywał zapewne na jakiś błąd w programie Przemiany, Loman podejrzewał, że Mike nie wykorzystuje całej mocy, aby powrócić do ludzkiej postaci, że mógłby stać się znowu człowiekiem, gdyby tego naprawdę chciał. Po prostu uznał stan regresywny za bardziej podniecający i satysfakcjonujący niż życie ludzkie.

Peyser uniósł głowę i spojrzał kolejno na przybyłych. Rozpacz i przestrah już zniknęły z jego oczu. Wykrzywiając pysk jakby w uśmiechu, znów stawał się bestią.

– ...*polować, polować, ścigać, polować, zabijać, krew, krew, potrzebować, potrzebować.*

– Jak, u diabła, wziąć go żywcem? – odezwał się Penniworth dziwnie grubym i bełkotliwym głosem.

Mike podrapał się po genitaliach, lekko i jakby od niechcienia, spojrzał ponownie na Lomana, a potem w ciemność za oknami.

– Czuję... – Sholnick nie dokończył zdania.

Penniworth także nie potrafił wysłować się.

– Jeśli... no, mogliśmy...

Loman czuł coraz większy ucisk w klatce piersiowej. Miał ściśnięte gardło i wciąż pocił się.

Peysler miękko, płacząco krzyknął ze zwierzęcym wyzwaniem rzuconym nocy, potęgą oraz wiarą we własną moc i spryt. To łkanie na pozór nieprzyjemne i chrapliwe w czterech ścianach sypialni wzbudziło w Lomanie tę samą niewypowiedzianą nostalgię, jak przed domem Fosterów, gdy słyszał regresywnych nawołujących się daleko w ciemności. Usiłował oprzeć się temu straszemu impulsowi, zaciskając zęby aż do bólu szczęk.

Peysler ponownie wrzeszczał:

– *biec, polować, wolny, wolny, potrzebować...*

Watkins uświadomił sobie, że opuścił strzelbę kierując lufę – w podłogę, zamiast w Peysera.

– *...biegać, wolny, wolny... potrzebować...*

Za plecami Lomana rozległ się przerażający, orgiastyczny krzyk wyzwolenia. Odwróciwszy się zauważył, że Sholnick rzucił broń. Na jego dłoniach i twarzy pojawiły się nieznaczne zmiany. Ściągnął czarną watowaną kurtkę od munduru i rozdarł koszulę. Kości policzkowe i szczeka zaczęły wysuwać się do przodu. Najwyraźniej pragnął dołączyć do Mike'a.

Harry Talbot skończył opowieść o Zjawach. Sam przesunął teleskop, nastawiając ostrość na pustą posesję za domem Callana, gdzie grasowały Zjawy.

Właściwie nie wiedział, czego szuka... Przecież nie wróćą akurat teraz, by dokładnie je obejrzał. Toteż nie znalazł ich w zaciemnionych miejscach, w trawie czy zaroślach, gdzie czaiły się jeszcze kilka godzin temu. Raczej próbował sobie wyobrazić te stwory w prawdziwym świecie, umiejscowić je w pustej posesji, a tym samym uczynić bardziej konkretnymi, by wreszcie pojąć, czym były.

Siedzieli w ciemnym pokoju, jakby przy wygasłym ognisku słuchali legend o duchach. Harry miał w zanadrzu jeszcze jedną historię. Opowiedział im, jak gliniarze wnieśli bezwładną Ellę Simpson do sypialni, gdzie wstrzyknięto jej potężną dawkę jakiegoś złotego płynu.

Sam, według wskazówek Harry'ego, skierował teleskop na dom Simpsonów po drugiej stronie Conquistador na północ od cmentarza katolickiego. Było tam ciemno i pusto. Tessa leżała na łóżku, wciąż trzymając na kolanach łeb psa.

– To wszystko łączy się w logiczną całość: „przypadkowe” zgony, przemoc na Elli Simpson i... Zjawy – powiedziała.

– Tak – zgodził się Sam – a kluczem jest New Wave Microtechnology.

Zrelacjonował swoje odkrycia z wozu policyjnego za budynkiem władz miejskich.

– Księżycowy Jastrząb? – zastanawiała się Tessa. – Konwersja? Co oni, na Boga, robią z ludźmi?

– Nie wiem.

– Może stąd pochodzą... Zjawy?

– Nie sądzę. Już prawie dwa tysiące mieszkańców poddano temu procesowi, cokolwiek to u licha jest, więc miasto roiłoby się od Zjaw jak zoo w *Strefie Mroku*.

– Dwa tysiące – powiedział Harry – to dwie trzecie ludzi...

– A pozostałych czeka to przed północą, za niespełna dwadzieścia jeden godzin – dodał Sam.

– W tym i ja? – spytał Harry.

– Tak. Sprawdziłem cię na listach. Jesteś wyznaczony do konwersji w ostatnim etapie, czyli jutro między osiemnastą a północą. Mamy więc około piętnastu godzin, zanim przyjdą po ciebie.

– Nonsens – powiedziała Tessa.

– Tak – zgodził się Sam – kompletna bzdura.

– Niemożliwe – potwierdził Harry – wobec tego, dlaczego jeżą mi się włosy na głowie?

Ten pocisk *musiał* rozszarpać serce. Ciało uniosło się z podłogi, gdy przesywała je kula. Monstrualna twarz Mike'a wykrzywiła się, po czym zamarła z szeroko otwartymi i pozbawionymi wyrazu oczyma. Wargi odsłaniały ogromne kły.

Ktoś krzyknął za plecami Watkinsa.

Ujrzał, jak istota będąca kiedyś Sholnickiem zmierza do niego. Wystrzelił trzeci pocisk, a potem czwarty, trafiając w klatkę piersiową i żołądek.

Policjant zwałił się na podłogę i zaczął pełznąć do hallu.

Neil Penniworth leżał zwinięty w kłębek przy łóżku.

Zawodził, ale nie o żądy krwi czy wolności; raz za razem wypowiadał imię matki, jakby chciał uchronić się przed złem, które miało nim zawładnąć.

Serce Lomana waliło, aż wydawało mu się, że ktoś uderza w bębny w innym pokoju. Jak przez mgłę docierało do niego, że całe ciało pulsuje i w takt tych uderzeń dokonuje się w nim nieznaczną, ale okropną zmianą.

Ruszył za Sholnickiem i przycisnął mu lufę do pleców na wysokości serca. Pociągnął za spust. Sholnick przeraźliwie wrzasnął czując dotyk karabinu, ale nie zdołał przekręcić się i odepchnąć broni. Zamilkł na zawsze.

W pokoju parowała krew, a jej słodka woń zastąpiła uwodzicielskie zawodzenie Mike'a, popychając Lomana do regresji.

Oparł się o komodę i zacisnąwszy powieki próbował zapanować nad sobą. Mocno przywarł do strzelby dłońmi, nie po to, by w razie potrzeby obronić się, gdyż nie miał już naboju. Po prostu broń była *narzędziem*, wytworem cywilizacji, przypomnieniem, że on wciąż jest człowiekiem, i nie wolno mu ulec pokusie odrzucenia wszystkich narzędzi i wiedzy w zamian za najbardziej pierwotne przyjemności i rozkosze, jakie odczuwa bestia. Ale zapach krwi tak nęcił i wabił...

Rozpaczliwie przypominał sobie, jak bardzo niegdyś kochał Grace. Ale teraz nie czuł miłości, tak jak wszyscy Nowi Ludzie, więc myśli o żonie nie mogły go uratować. Wspomnił niedawną, zwierzęcą kopulację. Tak naprawdę żona była dla niego po prostu *samicą* i to wspomnienie tylko podnieciło go, wzmagając regresję.

Wydawało mu się, że znajduje się w jakiejś kipieli i pomyślał, że tak zapewne czuł się nowo narodzony wilkołak, gdy patrzył nocą w niebo i widział się nad horyzontem księżyc w pełni. W jego wnętrzu wrzało:

...krew...

...wolność...

– *nie. Umysł, wiedza*

...polować...

...zabijać...

– *nie. Odkrywać, poznawać*

...żreć...

...biec...

...kopulować...

...zabijać...

– *nie, nie! Muzyka, sztuka, język*

Podniecał się coraz bardziej.

Nie mogąc oprzeć się dzikiej sile pomyślał o synu. Musi trwać przy człowieczeństwie, choćby ze względu na Denny'ego. Próbował wskrzesić w sobie ojcowską miłość, by wreszcie ją wykrzyzczyć, ale pozostało jedynie wrażenie tego uczucia, głęboko ukryte w zakamarkach umysłu. Zdolność do miłości opuściła go tak samo, jak materia opuściła centrum istnienia, gdy Wielki Wybuch stworzył wszechświat. Miłość do Denny'ego była tak odległa w czasie i przestrzeni, że przypominała gwiazdkę gdzieś na krańcach wszechświata. Jednak nawet dla tak nikłego uczucia warto zachować siebie jako człowieka, człowieka przede wszystkim i zawsze człowieka, nie przemieniać się w istotę, która biegła na czworakach albo wlokła kłykcie po ziemi, ale człowieka, człowieka.

Jego ogłuszający oddech uspokoił się nieco i rozszalałe tętno spadło może do stu dwudziestu uderzeń na minutę. Oprzytomniał, choć nie do końca, ponieważ zapach krwi wciąż wabił jak dobre perfumy, od których trudno uciec.

Odepchnął się od komody i chwiejnym krokiem podszedł do Penniwortha, który wciąż leżał skulony na podłodze, ze śladami zwierzęcia na dłoniach i twarzy, ale nie stracił zupełnie ludzkiego wyglądu. Imię matki widać poskutkowało, podobnie jak kruche wspomnienie miłości do syna w przypadku Lomana.

Wypuściwszy ze skurczonej dłoni broń, chwycił go za ramię.

– Dalej chłopcze, wynośmy się stąd, wydostańmy się z tego smrodu.

Penniworth zrozumiał i z wysiłkiem podniósł się na nogi. Wsparty o Watkinsa pozwolił wyprowadzić się na korytarz, a następnie do salonu. W pokoju zostali dwaj regresywni.

Odór moczu przytłaczał woń krwi wydostającą się z sypialni. Teraz to nie był odrażający zapach, jak im się poprzednio wydawało, ale cierpki i orzeźwiający.

Loman posadził Penniwortha na fotelu, jedynym całym meblu w pomieszczeniu.

– Dobrze się czujesz?

Penniworth podniósł głowę i przytaknął z wahaniem. Wszystkie ślady zwierzęcia zniknęły z jego dłoni i twarzy, choć dziwnie bryłowate ciało wciąż przekształcało się. Twarz wyglądała jak spuchnięta od uczulenia. Duże, czerwone zgrubienia biegły od czoła aż do brody i uszu, a obok widniały ukośne krwawe pręgi. W miarę jak Loman patrzył na niego objawy te zanikały i Neil stawał się normalnym człowiekiem, przynajmniej z wyglądu.

– Jesteś pewny? – spytał Loman.

– Tak.

– Zostań tutaj.

– Dobrze.

Watkins wyszedł na korytarz i otworzył drzwi wejściowe. Policjant dyżurujący na zewnątrz był tak spięty z powodu strzelaniny i krzyków dochodzących z domu, że niemal wystrzelił do szefa.

– Co jest, do cholery?

– Połącz mnie przez komputer z Shaddackiem. Natychmiast musimy spotkać się.

Sam zaciągnął ciężkie, niebieskie zasłony, a Harry zapalił nocną lampkę. Nawet to słabe i przyciemnione światło zakłuło zmordowaną Tessę w oczy.

Właściwie dopiero teraz zobaczyła skromnie umeblowany pokój. Stały tu: fotel, wysoki stół, teleskop, czarna komoda, dwa identyczne stoliki nocne, mała lodówka w rogu oraz szpitalne łóżko o regulowanej wysokości i królewskich rozmiarach. Bez narzuty, ale z mnóstwem poduszek i pościelą niemal we wszystkich kolorach tęczy, tak pstrokatą jak gigantyczne płótno malowane przez oszalałego i nieczułego na barwy abstrakcjonistę.

Harry, zauważywszy zdumienie Tessy i Sama na widok łóżka, powiedział:

– Słuchajcie, to cała historia. Wyjaśnię wam od początku. Moja gospodyni, pani Hunsbok, wpada raz na tydzień i robi dla mnie większość zakupów. A Moose'a wysyłam codziennie po drobne sprawunki i gazetę. Nosi na grzbiecie... coś w rodzaju juków. Wkładam do toreb kartkę z pieniędzmi i pies biegnie do osiedlowego sklepiku. Nigdy nie pójdzie gdzie indziej, nawet nie pogoni kota, gdy ma na sobie te torby, chyba że jest ze mną. Właściciel sklepu, Jimmy Ramis, zna mnie bardzo dobrze. Czyta listę zakupów, ładuje do pojemników mleko w kartonie, batony czekoladowe, czy co tam potrzebuję, i resztę pieniędzy, a Moose posłusznie wszystko przynosi. To świetnie wyszkolony pies, mogę na nim polegać.

Pies podniósł łeb z kolan Tessy, sapnął i odsłonił zęby, jakby przyjął pochwałę do wiadomości.

– Pewnego dnia wrócił z kilkoma sprawunkami, po które go posłałem, i z tym kompletem pościelowym. Dzwonię więc do sklepu i, rozumiecie, pytam, co to jest, a Jimmy mówi, że nie ma pojęcia i nigdy nie widział na oczy żadnych poszewek. Ale jego ojciec ma przy szosie sklepik z tanimi towarami. Skupuje niechodliwe artykuły za grosze i handluje nimi. Myślę sobie, że tej pościeli nikt nie kupiłby nawet w jego sklepie, a Jim na pewno ją zobaczył, choć wyglądała groteskowo, i wpadł na pomysł, żeby mi zrobić kawał.

Ale przez telefon powiada: – Harry, naprawdę nic nie wiem o tej pościeli.

Więc ja na to: – Chcesz mi wmówić, że to Moose kupił z własnej woli za swoje pieniądze?

A Jimmy: – No, niezupełnie, myślę, że gdzieś zwędził.

Ja: – I osobiście zapakował do toreb?

A Jimmy odpowiada: – Nie wiem, Harry, ale to cholernie cwany pies, choć nie wydaje się, żeby miał dobry gust.

Tessa wyczuła, jak bardzo Harry lubi tę historię i rozumiała również, dlaczego wspomina z tak ogromną przyjemnością. Przede wszystkim traktował psa jak dziecko, brata i przyjaciela zarazem. Był dumny, że ludzie uważali Moose'a za inteligentnego. I co najważniejsze, żarcik Jimmy'ego

sprawił, że Harry zaistniał w społeczności, z uwięzionego w domu inwalidy stał się uczestnikiem życia w swoim mieście.

– Bo *ty jesteś* mądrym psem – Tessa zwróciła się do Moose’a.

– W każdym razie – powiedział Harry – kazałem pani Hunsbok powlec tę pościel, tak dla żartu, ale później zwyczajnie polubiłem ją.

Sam, zasłoniwszy drugie okno, usiadł w fotelu i powiedział patrząc na Harry’ego:

– To najbardziej jaskrawe poszewki, jakie kiedykolwiek widziałem. Nie przeszkadzają ci spać?

– Nic mi nie przeszkadza. Śpię jak dziecko. Ludzie godzinami rozmyślają w nocy o przyszłości. Ja najgorsze *już* mam za sobą. Albo leżą myśląc o przeszłości, o straconych szansach, ale ja tego nie robię, bo nie mam odwagi. – Jego uśmiech przygasał w miarę mówienia. – No, co teraz? Co robimy?

Tessa delikatnie odsunęła psi łeb z kolan, wstała i strzepnąwszy kilka kłaków ze spodni powiedziała:

– No cóż, telefony nie działają, więc Sam nie może powiadomić Biura, a jeśli spróbujemy opuścić miasto na piechotę, ryzykujemy spotkanie z patrolami Watkinsa, albo ze Zjawami. A ponieważ nie znamy żadnego krótkofalowca, który udostępniłby nam sprzęt, pozostaje nam wyjazd samochodem.

– Nie zapominaj o blokadach na drogach – ostrzegł Harry.

– Sądzę – ciągnęła – że musimy zdobyć ciężarówkę, duży i mocny wóz, przebić się przez tą cholerną blokadę na autostradę i wydostać się z tej okolicy. Tym lepiej, jeśli zaczną nas gonić gliny z okręgu. Sam powie im, żeby skontaktowali się z Biurem, i dostaniemy pomoc.

– Kto tu właściwie jest agentem federalnym? – spytał Sam.

Tessa zaczerwieniła się.

– Przepraszam. Widzisz, dokumentalista to czasem jednocześnie producent, reżyser i scenarzysta. Chcąc nakręcić dobry film w pierw trzeba zająć się biznesem, więc przywykłam do planowania. Nie zamierzałam wchodzić ci w drogę.

– Cały czas to robisz.

Uśmiechnął się, a ona polubiła jego uśmiech. Sam nawet pociągał ją trochę. Nie był ani przystojny, ani brzydki, ani też, jak to określają ludzie, „nijaki”. Był raczej... trudny do określenia, ale atrakcyjny. Wyczuwała w nim jakąś ciemność, dręczyło go coś więcej niż wydarzenia w Moonlight Cove. Może smutek po jakiejś stracie, albo pesymizm wynikający z częstego stykania się w pracy z najgorszym elementem społeczeństwa. Ale uśmiech zmieniał go całkowicie.

– Naprawdę zamierzasz uciekać w ciężarówce? – spytał Harry.

– W ostateczności – powiedział Sam. – Najpierw musielibyśmy znaleźć i ukraść dostatecznie duży wóz, a to już cała operacja. Poza tym, gliniarze z blokady mogą mieć broń załadowaną pociskami magnum, albo automatyczną do rozpędzania tłumów. Nie chciałbym znaleźć się pod takim ostrzałem nawet w ciężarówce Macka. Czołgiem można wjechać i do piekła, a i tak diabeł dorwie cię w swoje łapy, więc lepiej się tam nie pchać.

– No to co robimy? – spytała Tessa.

– Prześpijmy się – odpowiedział. – Istnieje jakiś sposób, żeby wydostać się stąd i zawiadomić Biuro. Ale potrzebuję kilku godzin snu, żeby oprzytomnieć i jasno pomyśleć.

Tessa chętnie zgodziła się. Też była wyczerpana, choć słuchając krzyków konających i dzikich wrzasków zbrodniarzy w motelu nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek zaśnie.

Shaddack zjawił się w domu Peysera o trzeciej pięćdziesiąt pięć nad ranem. Przyjechał szarym furgonem o przyciemnionych szybach, a nie mercedesem, ponieważ to w furgonetce zamontowano terminal. Noc, jak dotychczas, obfitowała w wiele wydarzeń, więc lepiej mieć pod ręką elektroniczne łącza, oplatające niczym jedwabną pajęczyną całe Moonlight Cove. Zaparkował na poboczu asfaltowej dwupasmówki, dokładnie naprzeciwko domu.

Idąc przez podwórko do ganku, słyszał odległy grzmot Pacyfiku. Silny wiatr przeganiający mgłę na wschód, przyniósł także sztorm z zachodu. Niebo pokryły ciężkie, czarne chmury i zapadła ciemna noc. Drżał ubrany w lekki kaszmirowy płaszcz i dres.

Zza pokrytych kurzem szyb radiowozów patrzyli na niego bladzi policjanci. Sprawiała mu przyjemność myśl, że traktują go z nabożnym strachem i czcią, ponieważ w pewnym sensie był ich stwórcą.

Loman Watkins czekał na niego w zdemolowanym salonie. Neil Penniworth siedział w jedynym całym fotelu. Wyglądał na roztrzęsionego i nie wytrzymał spojrzenia Shaddacka. Loman krążył. Miał poplamiony krwią mundur, ale nie wyglądał na rannego. Może rany już zagoiły się, ale raczej ubrudził się od kogoś innego.

– Co się stało? – spytał Shaddack.

Watkins zwrócił się do policjanta ignorując pytanie.

– Idź do samochodu, Neil. Trzymaj się blisko kolegów.

– Tak, sir – Penniworth siedział skulony na krześle i wpatrywał się w czubki butów.

– Wszystko będzie dobrze.

– Może.

– Na pewno. Nie pytałem cię, lecz stwierdziłem. Masz dość siły, by oprzeć się, i już to udowodniłeś.

Penniworth skinąwszy głową ruszył do drzwi.

– O co tu chodzi? – ponownie spytał Shaddack.

Watkins skierował się na korytarz.

– Niech pan idzie za mną.

Miał twardy i zimny jak lód głos, pełen strachu i gniewu, ale wyraźnie pozbawiony respektu, z

jakim zawsze zwracał się do niego po konwersji.

Niezadowolony z tej zmiany Shaddack zmarszczył brwi i ruszył za nim w głąb hallu.

Policjant zatrzymał się przy zamkniętych drzwiach i spojrzał na Shaddacka.

– Mówił pan o poprawie naszej biologicznej wydajności dzięki wstrzyknięciu tych... biochipów.

– To niedokładne określenie. To są niewiarygodnie małe mikrosfery.

Pomimo regresywnych i kilku innych problemów związanych z projektem był niewzruszenie dumny ze swych osiągnięć. Drobne niedociągnięcia wyeliminuje się z systemu. Jest przecież geniuszem swego wieku. Wiedział o tym równie dobrze jak to, gdzie spojrzeć, by zobaczyć wschodzące słońce.

Geniusz...

Prosty krzemowy mikroukład scalony, który zrewolucjonizował komputery, był wielkości paznokcia. Zawierał milion obwodów umieszczonych techniką fotolitografii. Najmniejszy miał szerokość jednej setnej ludzkiego włosa. W końcu skonstruowano mikroukład z *miliardem* obwodów o rozmiarach jednej tysięcznej szerokości włosa, co jeszcze zwiększało możliwości i szybkość pracy komputera.

W New Wave wynaleziono mikrosfery wielkości jednej czterotysięcznej mikroukładu scalonego z dwustu pięćdziesięcioma tysiącami obwodów. Osiągnięto to stosując supernowoczesną rentgenowską litografię, umożliwiającą umieszczenie obwodów scalonych na zdumiewająco małej powierzchni bez potrzeby unieruchamiania tychże płaszczyzn.

Konwersja polegała na wprowadzeniu do krwioobiegu setek tysięcy tych mikrosfer w płynie. Niektóre były sercotroficzne, a więc osiadały wokół naczyń krwionośnych serca. Inne wątrobo-, płuco-, nerko-, jelito-, mózgotroficzne i tak dalej. Gromadziły się w tych organach, łącząc się obwodami.

Tworzyły w organizmie znacznie większy potencjał dla przetwarzania danych niż w największych komputerach lat osiemdziesiątych. W pewnym sensie w ludzkim ciele umieszczono superkomputer.

W Moonlight Cove i okolicy odbywała się ciągła transmisja mikrofalowa, wysyłana z anten zainstalowanych na szczycie głównego budynku New Wave. Ułamek tych transmisji obsługiwał policyjny system komputerowy, a inne mogły dostarczać energię mikrosferom w organizmach Nowych Ludzi.

Niedużą liczbę sfer, zbudowaną z innego materiału, wykorzystywano do przetwarzania i dystrybucji mocy. Zaczynały one działać po trzecim wstrzyknięciu mikrosfery do ciała. Sfery mocy przekształcały wówczas mikrofalowe transmisje w prąd elektryczny, dostarczając go do wszystkich części układu.

Jeszcze inne specjalistyczne sfery tworzyły jednostki pamięci, były nośnikami programu, dzięki

któremu funkcjonował system. Program zaczął działać z chwilą zasilania.

Shaddack powiedział:

– Już od dawna wiem, że głównym problemem jest skrajnie emocjonalna natura człowieka. Uwalniając was od uczuć sprawiłem, że staliście się zdrowsi psychicznie i fizycznie.

– Jak? Jak dokonuje się Zmiana?

– Masz teraz organizm cybernety, stałeś się jakby maszyną w ludzkiej skórze. Ale nie *musisz* tego rozumieć, Loman. Korzystasz z telefonu, choć nie umiałbyś go zbudować. Tak samo obsługujesz komputer, który ktoś inny wymyślił. Więc nie *musisz* wiedzieć, jak działa komputer, który jest w tobie, by go używać.

W oczach Watkinsa pojawił się strach.

– Czy to ja korzystam z tego komputera... czy raczej odwrotnie?

– Oczywiście, że ty!

– Oczywiście...

Shaddack zastanowił się, co wydarzyło się w tym domu, że Loman tak przeraził się. Zaintrygowany, jak najszybciej chciał wejść do sypialni, na progu której stali. Ale widział także, że Watkins jest niebezpiecznie pobudzony, więc musiał go uspokoić.

– Loman, te mikrosfery w twoim ciele nie tworzą *umysłu*, ty nad nimi panujesz. To sługa, twój sługa. Uwalnia cię tylko od szkodliwych emocji.

Silne uczucia nienawiści, miłości, zazdrości, zawiści, cała długa lista ludzkich wrażliwości regularnie destabilizowały biologiczne funkcje ciała. Badacze udowodnili, że emocje stymulują wytwarzanie różnych substancji mózgowych, pobudzających z kolei liczne organy i tkanki, które zwiększają, redukują albo zmieniają swe funkcje, co pochłania energię. Shaddack był przekonany, że człowiek kierujący się emocjami nie może być całkowicie zdrowy i *nigdy* nie osiągnie absolutnej jasności myślenia.

Mikrosferowy komputer wewnątrz każdego Nowego Człowieka kontrolował cały organizm.

Wykrywszy, że organizm wytwarza różnorodne aminokwasy i inne substancje chemiczne, reagując na silne uczucia, przesyłał elektryczny bodziec na mózg i inne organy, eliminujący fizyczne konsekwencje emocji, jeśli nie same emocje. Jednocześnie pobudzał produkcję związków tłumiących uczucia, a zatem likwidował przyczyny i skutki słabości.

– Uwolniłem was od wszelkich emocji, z wyjątkiem strachu koniecznego do przetrwania. Teraz – powiedział Shaddack – możesz jaśniej myśleć.

– Rozumiem, że nagle stałem się geniuszem.

– No cóż, może nie od razu odczujesz umysłową jasność, ale z czasem na pewno.

– Kiedy?

– Wtedy, gdy twoje ciało całkowicie oczyści się z emocji narosłych przez całe życie. Wewnętrzny komputer – tu lekko poklepał klatkę piersiową Watkinsa – zaprogramowano tak, aby w międzyczasie złożone bodźce elektryczne pobudzały ciało do tworzenia całkowicie nowych aminokwasów, uwalniających naczynia krwionośne od zatorów i skrzepów, zabijających od razu komórki rakowe i spełniających kilkadziesiąt innych zadań. Dzięki temu jesteś o wiele zdrowszy niż zwykli ludzie i bez wątpienia będziesz dłużej żył.

Shaddack przewidywał szybką regenerację organizmu u Nowych Ludzi, ale zdumiewało go niemal cudowne tempo gojenia się ran. Nadal nie rozumiał do końca, jak nowe tkanki tak prędko regenerują się i właśnie teraz pracował nad wyjaśnieniem tego zjawiska. Podczas niewiarygodnie przyspieszonego metabolizmu spalał się w ogromnych ilościach zgromadzony w ciele tłuszcz. Człowiek chudł, był odwodniony i potwornie głodny.

Watkins zmarszczył brwi i otarł drżącą ręką spoconą twarz.

– Rozumiem, że szybko goją się rany, ale co umożliwi nam tak całkowitą zmianę postaci, regresję? Całe wiadra tych biologicznych związków nie zdołałyby zniszczyć i odbudować naszych ciał w kilka minut. Jak to odbywa się?

Shaddack chwilę patrzył mu w oczy, po czym odwróciwszy wzrok odkaslnął i powiedział:

– Słuchaj, wyjaśnię ci to wszystko później. Teraz chcę zobaczyć Peysera. Mam nadzieję, że nie uszkodziliście go zbytnio?

Sięgnął do drzwi, ale Watkins chwycił go za nadgarstek. Shaddack był zaszokowany. Nie pozwalał, by ktokolwiek go dotykał.

– Zabierz rękę.

– W jaki sposób ciało tak szybko odkształca się?

– Powiedziałem ci już, przedyskutujemy to później.

– Teraz.

Twarz Watkinsa stężała, aż pojawiły się głębokie bruzdy.

– Teraz. Jestem tak wystraszony, że nie mogę logicznie myśleć ani normalnie funkcjonować. Spójrz na mnie. Trzęsę się. Mam wrażenie, że wybuchnę i rozlecę się na milion kawałków. Nie wiesz, co tu wydarzyło się dzisiejszej nocy, bo czułbyś się tak samo. Więc powiedz mi, jakim cudem nasze ciała mogą zmieniać się tak błyskawicznie?

Shaddack zawahał się:

– Właśnie pracuję nad tym.

Watkins, zdumiony, puścił jego nadgarstek:

– Czyżbyś... nie wiedział?

– To niezamierzony efekt. Już zaczynam go rozumieć, ale czeka mnie jeszcze dużo pracy – kłamał.

Przede wszystkim musiał pojąć fenomenalne zdolności Nowych Ludzi do samouzdrawienia, bez wątpienia łączące się z procesem regresji.

– Eksperymentujesz na nas, nie znając skutków?

– Żaden naukowiec nie przewidzi wszystkich ubocznych efektów – niecierpliwił się Shaddack. – Zakłada natomiast, że wszelkie uboczne efekty, jakie mogą wystąpić, nie przewyższą korzyści.

– Ale one je *przewyższają* – powiedział Watkins, tak bliski gniewu, jak to było tylko możliwe dla Nowego Człowieka. – Mój Boże, jak mogłeś nam to zrobić?

– Zrobiłem to *dla* was.

Watkins wpatrywał się w niego, po czym otworzył na oścież drzwi do sypialni:

– Popatrz.

Shaddack wszedł. Dywan był nasiąknięty, a ściany umazane krwią. Skrzywił się poczuwszy smród. Wszelkie biologiczne wonie wzbudzały w nim wstręt może dlatego, że przypominały, iż istoty ludzkie są znacznie mniej wydajne i czyste niż maszyny. Najpierw przyjrzał się zwłokom leżącym twarzą do podłogi tuż przy drzwiach, po czym jego wzrok padł na drugie ciało.

– Zabiliście dwóch regresywnych osobników? Zmarnowaliście dwie szansę na zbadanie psychiki tych degeneratów?

Watkins słuchał obojętnie.

– To była kwestia życia i śmierci. Nie mieliśmy wyboru.

Zdawało się, że jest zbyt rozgniewany jak na Nowego Człowieka, choć może tak wyrażał swój strach, jedyne uczucie, które akceptowano w nowym świecie.

– Mike ulegał regresji, gdy tu dotarliśmy – ciągnął. – Znaleźliśmy go w tym pokoju.

Shaddacka opanował niepokój, którego nie chciał ujawnić i do którego nawet nie chciał przyznać się. Odezwał się wzburzony, ukrywając strach.

– Chcesz mi wmówić, że obaj twoi ludzie są regresywni, a może i ty również?

– Zgadza się. Sholnick był takim osobnikiem. Natomiast mnie i Penniworthowi udało się zapanować nad przemianą.

Śmiało patrzył w oczy Shaddacka, ani razu nie odwracając wzroku, co jeszcze bardziej go zaniepokoiło.

– Dokładnie o tym mówiłem ci w twoim domu parę godzin temu: każdy z nas jest potencjalnym osobnikiem regresywnym. To nie żaden margines wśród Nowych Ludzi. To tkwi w każdym z nas. Nie stworzyłeś nowych i lepszych ludzi, tak jak Hitler nie stworzył rasy panów. Jesteś doktorem Moreau, a nie Bogiem.

– Nie rozmawiaj ze mną tym tonem – zareagował ostro Shaddack. Nie pamiętał, kim był doktor Moreau. – Nie zapominaj, z kim rozmawiasz.

Watkins uspokoił się. Przecież Shaddack mógł zgładzić Nowych Ludzi równie łatwo, jakby zdmuchiwał świecę. Ale wciąż mówił z mocą i bez zbytniego respektu.

– Nie zareagowałeś na najgorszą wiadomość.

– A o co chodzi?

– Czy ty mnie słuchasz? Powiedziałem, że Peyser był *uwięziony*. Nie mógł przemienić się w człowieka.

– Wątpię. Nowi Ludzie kontrolują swoje ciała bardziej niż kiedykolwiek przewidywałem. Jeśli nie wrócił do ludzkiej postaci, to znaczy, że tak naprawdę wcale nie chciał.

Watkins chwilę wpatrywał się w niego, wreszcie potrząsnął głową:

– Naprawdę jesteś taki tępy? *To jest to samo*. Do diabła, nieważne czy szwankował układ mikrosferyczny, czy też była to wyłącznie niechęć. Tak czy owak, skutek jest ten sam: został uwięziony, zamknięty w zdegenerowanej formie.

– Nie mów do mnie w ten sposób – powtórzył Shaddack z uporem, jakby oczekiwał efektu jak przy tresurze psa.

Pomimo całej fizycznej i umysłowej wyższości, Nowi Ludzie wciąż w jakimś stopniu byli *ludźmi*, a tym samym mniej sprawnymi maszynami. W komputerze wystarczyło tylko raz zaprogramować polecenie. Przyjmował je i niezmiennie działał według niego. Shaddack zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się udoskonalić Nowych Ludzi tak, aby przyszłe pokolenia działały z perfekcją przeciętnego komputera osobistego IBM.

Mokry od potu, blady, z nawiedzonymi oczyma Watkins był przerażającą postacią. Gdy przysunął się do Shaddacka, ten przestraszył się i aż chciał się cofnąć, ale tkwił na miejscu i patrzył mu w oczy. Tak samo hipnotyzowałby groźnego owczarka niemieckiego, gdyby pies przyparł go do muru.

– Spójrz na Sholnicka. – Watkins odwrócił martwego na plecy końcem buta.

Bez wątpienia był to mutant. Najbardziej przerażały jego martwe oczy, żółte z czarnymi tęczęwkami, wąskie jak u węża ślepie.

Ciszę nocną za oknem rozdarł potężny grzmot.

– Nadal twierdzisz, że ci degeneraci przechodzą zamierzoną zmianę – odezwał się Watkins.

– Zgadza się.

– Powiedziałeś, że cała historia ludzkiej ewolucji jest zawarta w genach, że wciąż nosimy w sobie ślady pierwotnego człowieka i że regresywni jakoś wykorzystują ten materiał genetyczny.

– Do czego zmierzasz?

– To obłądne wyjaśnienie pasuje do Coombsa, którego w sierpniu dopadliśmy w kinie. Przypominał bardziej małpę człekokształtną niż człowieka.

– Nie ma w tym nic obłądnego, to całkowicie racjonalne.

– Na Boga, spójrz na Sholnicka. *Spójrz* na niego! Zmienił się w połowie w jakąś przeklętą istotę, niby człowieka, a po części... cholera, nie wiem, jaszczurkę, czy węża. Chcesz mi powiedzieć, że nosimy w sobie geny jaszczurów sprzed dziesięciu milionów lat?

Shaddack wepchnął dłonie do kieszeni płaszcza, by nie zdradzić niepokoju nerwowym gestem albo drżeniem.

– Pierwsze życie na ziemi istniało w morzu, a potem jakaś ryba z zaczątkiem nóg wypełzła na ląd i rozwinęła się w gada, a gdzieś po drodze odłączyły się ssaki. Jeśli nie ma w nas genów wczesnych gadów, a wierzę, że są, to wystarczy zakodowana pamięć o tym etapie ewolucji.

– Opowiadasz bzdury, Shaddack.

– A ty mnie *irytujesz*.

– Guzik mnie to obchodzi. No zbliż się, obejrzyj dokładnie Peysera. To twój stary przyjaciel, nieprawdaż? Przyjrzyj się dobrze i długo, czym był w chwili śmierci.

Mike leżał na plecach, nagi, z prawą nogą wyprostowaną, a lewą zgiętą – z jedną ręką odrzuconą na bok, drugą zaś na klatce piersiowej, rozerwanej pociskami. Ciało i twarz, a raczej zwierzęcy pysk z kłami – mimo wszystko nieco przypominające Mike'a należały do ohydneho stwora, psa-człowieka, czy wilkołaka, czegoś co nadawało się do przebrania na karnawałową maskaradę albo znanego ze starych horrorów. Skóra była szorstka, niejednolite futro sztywne, a dłonie zamieniły się w potężne, szponiaste łapy.

Ponieważ fascynacja Shaddacka przewyższała obrzydzenie i strach, podciągnął płaszcz, by nie poplamieć materiału krwią, i przykucnął przy ciele, by lepiej mu się przyjrzeć. Watkins przyklęknął naprzeciwko niego.

Oczy martwego były zbyt ludzkie w porównaniu z resztą wykrzywionego oblicza.

– Chcesz mi wmówić, że gdzieś po drodze wyodrębniliśmy się z psów czy wilków? – spytał Watkins.

Shaddack milczał.

Policjant nie dawał za wygraną:

– Powiadasz, że nosimy w sobie geny psa, które wykorzystujemy w przemianie? Czy mam uwierzyć, że Bóg najpierw z żebra jakiejś prehistorycznej Lassie zrobił człowieka, zanim stworzył kobietę z żebra Adama?

Shaddack zaciekawiony dotknął łapy Peysera, stworzonej do zabijania, niczym żołnierski bagnet. W dotyku przypominała ciało.

– Tego nie wytłumaczysz biologią – powiedział Watkins, patrząc z wściekłością na Shaddacka. – Tej wilczej postaci Mike nie stworzył z pamięci zawartej w genach. Więc jakim cudem tak zmienił się? Twoje biochipy nie mają z tym nic wspólnego. To coś innego... dziwniejszego.

Shaddack przytaknął podniecony, gdyż przyszła mu do głowy pewna koncepcja.

– Zgadza się, coś o wiele bardziej niezwykłego... i być może wiem, o co chodzi.

– Więc wyjaśnij mi. *Chciałbym* to naprawdę dobrze zrozumieć. Niech mnie diabli, naprawdę dobrze, zanim stanie się to ze mną.

– Według pewnej teorii forma jest funkcją świadomości.

– Hę?

– Możemy wykreować każdą postać, co wcale nie oznacza przemiany w psa czy kota na *życzenie*. To znaczy, że *fizycznie* jesteśmy zdolni do zmian swojej postaci, do ożywienia genetycznego dziedzictwa.

– To bełkot – zniecierpliwiał się Watkins.

Shaddack wstał. Ponownie włożył ręce do kieszeni.

– Posłuchaj. Teoria zakłada, że świadomość jako największa siła wszechświata może zmieniać świat fizyczny wedle życzenia.

– Chodzi o dominację umysłu nad materią?

– Zgadza się.

– Niczym media zginające łyżeczki albo zatrzymujące zegarek, które oglądamy w telewizji? –

powiedział Watkins.

– To są zazwyczaj oszuści, albo może naprawdę posiadamy taką moc. Po prostu nie wiemy, jak ją wykorzystać. Od milionów lat nie panujemy nad światem zewnętrznym. Z przyzwyczajenia, bezwładu, czy dlatego, że przedkładamy chaos nad porządek. Ale to – wskazał na ciała – jest o wiele bardziej złożone i tajemnicze niż zginanie łyżeczki siłą woli. Peyser pragnął regresji z niezrozumiałych dla mnie powodów. Może dla czystej przyjemności...

– Czystej przyjemności – powtórzył Watkins szeptem pełnym strachu i psychicznej udręki, co niezwykle zaniepokoiło Shaddacka. – Zwierzęca siła sprawia tę przyjemność. Zwierzęce pragnienia. Czujesz dziki głód, żądzę, łakniesz krwi – i to wszystko pociąga cię, ponieważ wydaje się takie... proste, potężne, naturalne zarazem. To wolność. – Loman mówił jak w transie.

– Wolność?

– Wyzwolenie od odpowiedzialności, zmartwień, ucisku cywilizowanego świata, konieczności intensywnego *myślenia*. Pokusa regresji jest tak straszliwie silna, gdyż życie wydaje się wówczas o wiele prostsze i bardziej podniecające. – Watkins jakby relacjonował to, co czuł, ulegając przemianie. – Gdy stajesz się bestią, życie jest tylko czuciem, bólem i przyjemnością, bez potrzeby analizowania czegokolwiek. Tak to wygląda.

Shaddack milczał poruszony pasją, z jaką zazwyczaj mrukliwy Watkins mówił o pragnieniu regresji.

Potworne grzmoty znów rozległy się na zewnątrz, aż zatrzęsły się okna w sypialni.

Zszokowany powiedział:

– W każdym razie ważne jest, że gdy Peyser poczuł chęć przemiany w bestię, w myśliwego, to regresja nie przebiegła wzdłuż genetycznej linii człowieka. Widać dla niego wilk był największym z myśliwych wśród drapieżników, więc siłą woli przybrał zbliżoną postać.

– Ot, tak po prostu – zauważył Watkins sceptycznie.

– *Zgadza się*, tak po prostu. Umysł przewyższa materię. Ta metamorfoza jest przede wszystkim procesem *umysłowym*. Oczywiście, zachodzą przy okazji fizyczne zmiany, ale nie możemy mówić o całkowitym przekształceniu materii... tylko biologicznych struktur.

Głos mu zamierał w miarę jak rosło jego podniecenie, aż do utraty tchu. Osiągnął znacznie więcej, niż spodziewał się realizując Projekt. Cieszył się i bał zarazem: obdarzył ludzi zdolnością kształtowania ciała, a może całej materii po prostu siłą woli, lecz nie był pewien, czy Nowi Ludzie nauczą się właściwie korzystać z tej mocy i... czy on zdoła kontrolować ich.

– Stworzyłem wam psychikę wspomaganą komputerem i uwolniłem od emocji, co daje umysłowi władzę nad materią. Pozwala świadomości rządzić formą.

Watkins potrząsnął głową, najwyraźniej poruszony słowami Shaddacka:

– Czyżby Peyser i Sholnick narzucili sobie nową postać? Niech mnie diabli, jeśli ja też to zrobię. Walczyłem z regresją niczym narkoman usiłujący stłumić głód heroiny. Nie chciałem jej. Opanowała mnie... z siłą, z jaką księżyc w pełni działa na wilkołaka.

– Nie – powiedział Shaddack – podświadomie *naprawdę* chciałeś zmienić się i bez wątpienia pragnąłeś tego również na poziomie świadomości, gdyż z ogromnym przekonaniem mówiłeś o zaletach regresji. Oparłeś się mocy umysłu nad ciałem tylko dlatego, że uznałeś metamorfozę za bardziej przerażającą niż pociągającą. Jeśli twój strach zmniejszy się... albo gdy nowa postać okaże się trochę bardziej pociągająca... cóż, wówczas przekształcisz się. Ale nie pod wpływem jakiejś siły zewnętrznej, tylko siłą woli.

– Więc dlaczego Mike nie powrócił do dawnej postaci?

– Po prostu nie chciał.

– Był uwięziony.

– Tylko przez własne pragnienie.

Watkins spojrzał w dół na groteskowe ciało.

– Co z nami zrobiłeś, Shaddack?

– Nie pojąłeś moich słów?

– Co z nami zrobiłeś?

– To wielki dar.

– Nie odczuwać żadnych emocji z wyjątkiem strachu?

– Przecież to właśnie uwalnia twój umysł i daje ci władzę nad ciałem – mówił rozgorączkowany. – Nie rozumiem tylko, dlaczego wszyscy regresywni przyjęli zwierzęcą postać. Z pewnością masz w sobie siłę, dzięki której przekraczasz w ewolucji poziom zwykłego człowieczeństwa dążąc do czegoś doskonalszego, a może nawet moc, by stać się istotą złożoną z czystej świadomości o intelekcie pozbawionym *jakiegokolwiek* fizycznej formy. Więc dlaczego ci Nowi Ludzie wybrali regresję?

Watkins uniósł głowę z martwym wyrazem oczu, jakby wchłonał śmierć na widok zwłok.

– Jaki sens ma posiadanie boskiej władzy, jeśli nie można doświadczać zwykłych ludzkich przyjemności.

– Ależ możesz robić i doświadczać wszystkiego, czego pragniesz. – Shaddack zirytował się znowu.

– Ale nie miłości.

– Czego?

– Miłości, nienawiści, radości, niczego z wyjątkiem strachu.

– Nie *potrzebujesz* ich. To wyzwala cię.

– Nie jesteś głupkiem – powiedział Watkins – a nie rozumiesz mnie, więc chyba jesteś psychicznie... skrzywiony, wypaczony – stwierdził.

– Nie mów do mnie w ten...

– Cały czas tłumaczę ci, dlaczego oni przemienili się w dzikie stwory. Stało się tak, ponieważ istota rozumna nie odczuwa przyjemności w oderwaniu od emocji. Odbierając ludziom uczucia, pozbawiasz ich też przyjemności, więc wybiorą stan pierwotny, w którym uczucia i przyjemność nie są powiązane – a zatem życie bezmyślnej bestii.

– Nonsens. Jesteś...

Watkins znów przerwał mu rozgniewany:

– Słuchaj mnie, na litość boską! Nawet Moreau czasami wysłuchiwał stworzone przez siebie istoty.

Twarz miał teraz rozpaloną, a nie bladą. W oczach pojawiła się dzikość. Stał blisko Shaddacka i choć był niższy, zdawało się, że góruje nad nim. Wyglądał na bardzo przestraszonego – i niebezpiecznego.

– Na przykład seks – ciągnął – jedna z podstawowych ludzkich przyjemności. *Satysfakcjonuje* tylko z uczuciem miłości, czy choćby sympatii. Psychopatę seks może zadowolić na przykład w powiązaniu z nienawiścią. Nawet negatywne uczucia mogą ten akt uczynić przyjemnym, ale seks uprawiany *bez żadnych uczuć* jest bezsensowny, głupi, staje się prokreacyjnym impulsem zwierzęcia, rytmiczną pracą maszyny.

Błyskawica rozpalila niebo i widniała chwilę w oknach sypialni, po czym rozległ się huk, który wstrząsnął domem. To niebiańskie światło przez moment było jaśniejsze niż blask lampy i Shaddackowi zdawało się, że twarz Lomana... *jakoś zmienia się*. Ale błyskawica zgasła, Watkins wyglądał zwyczajnie, więc zapewne wszystko było owocem wyobraźni Shaddacka.

Loman wciąż mówił z ogromną pasją zrodzoną z czystego strachu:

– Tu nie chodzi tylko o seks, lecz o inne doznania. Na przykład jedzenie. Tak, nadal czuję smak czekolady, ale jem ją właściwie bez przyjemności. Zauważyłeś to?

Shaddack milczał i miał nadzieję, że nic go nie zdradzi, iż sam nie poddał się konwersji. Cekał naturalnie, aż ten proces zostanie udoskonalony, co z pewnością nie spodobałoby się Watkinsowi. Stwórca nie poddał się błogosławieństwu, którym obdarzył innych.

– A wiesz, dlaczego tak się dzieje? – ciągnął Loman. – Przed Zmianą czekolada wywoływała w nas tysiące skojarzeń. Jedząc ją podświadomie przypominaliśmy sobie pierwszą tabliczkę, wszystkie następne, przypominaliśmy sobie też święta i różne miłe uroczystości, z którymi ten smak tak często kojarzył się, dlatego, że *czuliśmy się dobrze*. Teraz został jedynie dobry smak i wspomnienie, że coś takiego jak „dobre samopoczucie” towarzyszyło kiedyś jedzeniu czekolady. To jest teraz puste doznanie, jego bogactwo mi ukradziono, podobnie jak bogactwo innych doznań, z wyjątkiem strachu. I teraz wszystko jest szare, dziwne, bezbarwne, monotonne – jakbym na wpół umarł.

Lewa strona jego głowy wybrzuszyła się. Kości policzkowe zgrubiały, a uszy zrobiły się spiczaste.

Shaddack zszokowany cofnął się.

Watkins ruszył za nim, mówiąc niewyraźnie, podniesionym głosem, w którym pobrzmiwały strach i niepokojąca nuta dzikości.

– U diabła, dlaczego pozbawiać nas przyjemności przeżywania emocji. Rozkosze intelektualne nie wystarczą, Shaddack. Życie to coś więcej. Życie sprowadzone do czystego intelektu jest nie do zniesienia.

Brwi znikały mu z twarzy niczym śnieg w promieniach słońca, a wokół oczu narastały kości.

Shaddack oparł się o komodę.

Zbliżając się Watkins krzyknął:

– Jezu! Czy jeszcze nie rozumiesz? Nawet człowiek przykuty do szpitalnego łóżka, sparaliżowany, ma coś więcej w życiu niż intelektualne zainteresowania. Nikt mu nie ukradł wszystkich uczuć; nikt go nie zredukował do strachu i czystego intelektu. Potrzebujemy przyjemności, Shaddack, przyjemności, przyjemności. Życie bez niej jest przerażające i nic nie wart.

– Przestań!

– Sprawileś, iż nie doświadczamy żadnych emocji, a więc również przyjemności cielesnych. Ponieważ należymy do istot wyższego rzędu, nie odczuwamy fizycznej rozkoszy „na zimno”. Przyjemności i uczuć nie można wyrzucić z życia człowieka.

Watkins przycisnął do boków zwinięte w pięści dłonie. Teraz powiększały się, puchły, a spiczaste paznokcie brązowiały jak tytoń.

– Ty przekształcasz się – powiedział Shaddack.

Ignorując go, mówił coraz grubszym głosem:

– Więc cofnęliśmy się do pierwotności. Uciekliśmy od intelektu. Pod postacią bestii, naszą *jedyną* przyjemnością jest przyjemność ciała, ciała, ciała... ale przynajmniej już nie pamiętamy, co utraciliśmy, więc przyjemność jest intensywna, głęboka i słodka, słodka, tak słodka. Uczyniłeś...

uczyniłeś nasze życie nieznośnym, szarym i martwym, martwym, całkiem martwym, martwym... więc degenerując się... odnajdujemy sens egzystencji. Musimy... musimy uciekać... od straszego życia... które nam dałeś. Ludzie nie są maszynami... ludzie... ludzie nie są *maszynami*...

– Na litość boską, Loman, ulegasz regresji!

Watkins zatrzymał się zdezorientowany. Po chwili potrząsnął głową, jakby chciał otrzeźwić się. Przyjrzał się dłoniom i krzyknął przerażony. Spojrzawszy w lustro przy komodzie wrzasnął jeszcze głośniejsze i przeraźliwiej.

Nagle Shaddack uświadomił sobie, że odór krwi, do którego już nieco przywyknął, silnie podnieca Watkinsa, choć nie czuł on obrzydzenia, o nie, lecz podniecenie.

Błysnęło, nocą wstrząsnął kolejny grzmot, i deszcz zabębnił o szyby i dach.

Watkins przeniósł spojrzenie z lustra na Shaddacka, przesłonił się dłonią jakby w geście obronnym, po czym wytoczył się do hallu, uciekając od ostrego zapachu krwi.

Zwinąwszy się w kłębek na podłodze drgał gwałtownie, krztusząc się, pojękując, warcząc i zawodząc: – nie, nie, nie, nie.

Odzyskawszy nad sobą władzę oparł się o ścianę. Znów był zlany potem i słaby z głodu. Częściowa transformacja i energia, jaką zużył by jej zapobiec, wyczerpały go. Odczuwał ulgę, ale także niespełnienie, jakby nagle odebrano mu wspaniałą nagrodę.

Wokół słyszał głuchy szmer. Z początku sądził, że to szumi mu w głowie od rozpalających się i zamierających w walce z regresją komórek mózgowych. Po chwili uświadomił sobie, że to deszcz uderza o dach. Ujrzał też wyraźnie Shaddacka w drzwiach sypialni. Chudy, o pociągłej twarzy, dostatecznie blady, by uchodzić za albinosa, z tymi swoimi żółtawymi oczami, w czarnym płaszczu wyglądał jak wysłannik piekieł, a nawet sama Śmierć.

Gdyby to *była* Śmierć, Loman objąłby ją serdecznie.

Czekając na siły, by podnieść się, powiedział:

– Musisz zaprzestać konwersji. – Shaddack milczał. – Ani ci to w głowie, co?

Ten po prostu wpatrywał się w niego.

– Jesteś obłąkany – ciągnął Loman – absolutny szaleniec, ale ja nie mam wyboru, muszę robić to, co zechcesz... albo zabić się.

– Nigdy więcej nie rozmawiaj ze mną w ten sposób. Nigdy. Nie zapominaj, kim jestem.

– Pamiętam o tym – odpowiedział. Kołowaty jeszcze stanął z wysiłkiem na nogi. – Eksperymentowałeś na mnie bez mojej zgody. Nadejdzie czas, że nie oprę się regresji, a gdy zanurzę się w dzikości i już nie będę się ciebie tak cholernie bał, to jakoś wysilę resztki umysłu, by przypomnieć sobie, *gdzie* jesteś i przyjdę po ciebie.

– Grozisz mi?

– Nie – powiedział Loman – to niewłaściwe słowo.

– Świetnie. Jeśli coś mi się stanie, Słońce, zgodnie z programem, wyśle rozkaz do mikrosfer, znajdujących się w tobie – i...

– Zabije nas wszystkich – dokończył. – Tak, wiem. Mówiłeś o tym. Jeśli odejdziesz, my zginiemy z tobą, tak jak ludzie w Jonestown kilka lat temu pijąc zatruty eliksir umierali z wielbnym Jimem. Ty jesteś naszym wielbnym Jimem Jonesem wieku techniki, Jimem Jonesem o krzemowym sercu i mózgu z półprzewodników. Nie, ja ci nie grożę, Wielbny Jimie, ponieważ brzmiałoby to zbyt dramatycznie w tej sytuacji. Grozić może ktoś potężny, płonący gniewem. Ja jestem Nowym Człowiekiem i wyłącznie boję się. To wszystko, co potrafię. Bać się. Więc nie jest to groźba, tylko *obietnica*.

Shaddack wyszedł do hallu. Zdawało się, że wraz z nim powiało chłodem.

Patrzyli na siebie dłuższą chwilę.

W końcu Shaddack odezwał się:

– Będziesz nadal robił to, co każe.

– Nie mam wyboru – zauważył Loman. – Takim mnie uczyniłeś. Oto należę do ciebie, Panie, ale to nie miłość mnie trzyma, lecz strach.

– Tym lepiej – zakończył Shaddack.

Odwróciwszy się plecami do Lomana minął salon, wyszedł z domu i zniknął w nocy i deszczu.

CZEŚĆ DRUGA

ŚWIT W HADESIE

Nie mogłem przerwać czegoś, co, jak wiedziałem, było niewłaściwe i straszne.

Przepęłniało mnie okropne poczucie bezsilności.

– ANDRIEJ SACHAROW

Władza doprowadza do obłędu w stopniu większym, niż demoralizuje,

uciszając głos sumienia i wyostrając chęć działania.

– WILL I ARIEL DURANT

Tuż przed świtem, po niecałej godzinie snu Tessę Lockland obudził szybki, gorący dotyk języka na prawej dłoni.

Bez tchu poderwała się na łóżku. Śniła o masakrze w Cove Lodge, o zwinnych bestiach z przeraźliwymi kłami i szponami ostrymi jak noże. Pomyślała, że koszmar urzeczywistnił się, że Zjawy wtargnęły do domu Harry'ego, a gwałtowne lizanie jest preludium przed nagłym, okrutnym ukąszeniem.

Ale to był tylko Moose. Widziała go niewyraźnie w przyćmionym blasku z drzwi z hallu, gdzie paliła się nocna lampa. Odetchnęła z ulgą. Pies oparł się przednimi łapami o materac, ale był zbyt dobrze wychowany, by wskoczyć na łóżko. Popiskiwał cicho, jakby domagając się pieśczoł.

Pamiętała, że zamknęła drzwi przed snem. Jednak przekonała się już dostatecznie o inteligencji Moose'a i wiedziała, że sam je otworzył, jeśli naprawdę tego chciał. Dotarło do niej, że wszystkie drzwi w domu Talbota tak skonstruowano, aby ułatwić Moose'owi zadanie. Miały zwykłe klamki, a nie gałki, otwierały się więc przez naciśnięcie ręką albo psią łapą.

– Samotny? – spytała, drapiąc go delikatnie za uchem.

Pies zaskomlał znowu, poddając się pieśczoł.

Deszcz stukał mocno w okno. Tak lało i wiało, aż trzeszczały drzewa na zewnątrz. Wiatr groźnie napierał na ściany domu.

– No cóż, koleś, czujesz się opuszczony, ale ja jestem tysiąc razy bardziej śpiąca, więc chyba musisz sobie pójść.

Kiedy przestała go pieścić, zrozumiał. Niechętnie zeskoczył na podłogę, poczłapał do drzwi, jeszcze popatrzył na nią chwilę, po czym wyszedł na korytarz i powędrował w lewo.

Światło z hallu, choć słabe, denerwowało ją. Wstała i zamknęła drzwi, ale nim wróciła w ciemności do łóżka, wiedziała, że nie zaśnie od razu.

Po pierwsze miała na sobie dżinsy, bawełnianą koszulkę i sweter. Zdjęła tylko buty, więc nie było jej wygodnie, lecz bała się rozebrać, gdyż czułaby się wówczas bezbronna i w ogóle nie zasnęłaby. Po wydarzeniach w Cove Lodge chciała być gotowa do szybkiej ucieczki.

Ponadto gościła w jedynej urządzonej sypialni, a materac i pikowana narzuta pachniały stęchlizną po latach leżenia. Niegdyś mieszkał tu ojciec Harry'ego, ale stary Talbot zmarł przed siedemnastoma laty, wkrótce po powrocie syna z wojny. Tessa uparła się, że prześpi się bez pościeli. Gdy zmarznie, wśliznie się pod narzutę, na goły materac. Przeszły ją dreszcze, więc przykryła się jednak narzutą, czując nieznaczny, ale nieprzyjemny odór pleśni.

Wśród bębnienia i szumu deszczu usłyszała odgłos wjeżdżającej windy. Pewnie Moose ją przywołał. Czy zawsze tak łąził po nocy? Mimo wyczerpania gnębiły ją różne myśli.

Nie chodziło o masakrę w Cove Lodge czy odrażającą historię ze zwłokami palonymi w krematorium niczym śmieci. Ani o panią Parkins, rozerwaną na strzępy przez tajemnicze istoty. Ani o przerażających nocnych prześladowców. Wszystkie te makabryczne obrazy stały się przede wszystkim ponurym tłem dla osobistych rozważań o sensie bytu.

Otarłszy się ostatnio o śmierć bardziej niż zwykle uświadomiła sobie kres życia, o czym zwykle zapominało w pracy i codziennej krzątaninie. Teraz ciągle o tym myślała. Czy nie traktowała życia zbyt lekko, a ono przeciekało jej przez palce? Praca dawała jej satysfakcję. Była szczęśliwą kobietą, ale gdy pochodziło się z rodziny Locklandów, cholernie trudno być nieszczęśliwym, biorąc pod uwagę ich wrodzony optymizm. Ale uczciwie przyznała, że nie spełniła swych pragnień. Jeśli nadal będzie tak żyć, to nigdy ich nie spełni.

Marzyła bowiem o własnej rodzinie. Naturalnie, miała wspaniałe dzieciństwo i młodość w San Diego, gdzie podziwiała siostrę Janice i cieszyła się miłością rodziców. To ogromne szczęście i poczucie bezpieczeństwa, jakich zaznała w młodości, pozwoliły jej znosić nieszczęścia, rozpacz i przerażenie, z którymi czasem stykała się jako dokumentalista. Te lata pełne radości równoważyły wszystko, co nastąpiło później.

Winda dotarła już na pierwsze piętro i uderzywszy głucho, zjeżdżała z charakterystycznym szumem. Zaintrygowało ją, że Moose, przyzwyczajony do windy, gdy wykonywał polecenia pana, korzystał z niej w nocy, choć schodami pobiegłby szybciej. Także psy miały nawyki.

Z dzieciństwa pamiętała swoich czworonożnych przyjaciół. Najpierw był ogromny złoty chart o imieniu Barney, a potem irlandzki seter wabiący się Mickey Finn...

Janice wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu, gdy Tessa miała osiemnaście lat, a ślepa niszczycielska siła przeznaczenia rozbiła sielskie życie w San Diego. Trzy lata później zmarł ojciec i wkrótce po pogrzebie Tessa wyruszyła w świat, by kręcić swoje filmy dokumentalne, i choć kontaktowała się regularnie z matką i siostrą, złote czasy przeminęły.

A teraz odeszła Janice. Marion też nie będzie żyła wiecznie, nawet jeśli zrezygnuje ze skoków spadochronowych. Tessa marzyła o stworzeniu własnego szczęśliwego domu. Wyszła za mąż w wieku dwudziestu trzech lat za człowieka, który bardziej pragnął dzieci niż jej. Odszedł, gdy okazało się, że jest bezpłodna. Adopcja mu nie wystarczyła. Pragnął własnych dzieci. Czternaście miesięcy po ślubie rozwiedli się. Bardzo ją to zraniło.

Potem rzuciła się w wir pracy z pasją, jakiej nigdy przedtem nie okazywała. Zdawała sobie sprawę, że przez sztukę chce dotrzeć do całego świata niczym do jednej dużej rodziny. Na taśmie filmowej pragnęła przekazać kwintesencję życia.

Rozmyślając tak z otwartymi oczyma w sypialni Harry'ego Talbota wiedziała, że nigdy nie będzie w pełni zadowolona, jeśli radykalnie nie zmieni życia. Nie można uważać się za człowieka o bogatej osobowości nie kochając ludzi, lecz taka miłość „w ogóle” stawała się ulotna i bezsensowna bez

własnej rodziny; ponieważ właśnie u bliskich dostrzega się na co dzień to, co z kolei pozwala kochać innych. Była fanatykiem konkretności w sztuce, a brakowało jej w życiu uczuciowym.

Wdychając kurz i nieznaczny odór pleśni czuła się samotna i opuszczona jak ta sypialnia. Nie spotykała się z nikim całe lata po miłosnym zawodzie, więc jakże teraz w wieku trzydziestu czterech lat otworzyć serce na sprawy, przed którymi uciekała? Poczowała ciężar największy od czasu, gdy dowiedziała się, że nie może mieć dzieci. W tym momencie bardziej zapragnęła zmienić swe życie niż odkryć tajemnicze Zjawy.

Otarcie się o śmierć zaowocowało szczególnymi myślami.

W końcu zmęczenie wzięło górę nad rozterkami i zasnęła. Chwilę jeszcze rozważała, czy Moose przybiegł do niej wyczuwając w domu coś złego i próbował ostrzec ją, ale z pewnością byłby wówczas bardziej niespokojny. Zaszczekałby wyczuwając prawdziwe niebezpieczeństwo.

Uspokojona zasnęła.

Shaddack wrócił na krótko do domu przy północnym krańcu zatoki. Do przenośnej lodówki schował trzy sandwicze z szynką i kilka puszek coli. Zapakował lodówkę do furgonetki oraz koce i poduszkę. Z szafy na broń wyjął rewolwer Smith and Wesson 0.375 Magnum, półautomatyczną strzelbę Remingtona z uchwytem pistoletowym i mnóstwo amunicji. Tak wyposażony wyruszył w tę burzową noc na inspekcję Moonlight Cove i okolic. Przez komputer śledził realizację pierwszej fazy Projektu, która miała zakończyć się za niespełna dziewięć godzin, o północy.

Przestraszył się groźby Watkinsa, ale o północy utrwali przecież władzę. Wtedy zajmie się gliniarzem.

Złapie go i zakuje w kajdany przed transformacją. Wówczas w laboratorium zbada jego psychikę i budowę, by rozwiązać problem regresji.

Nie akceptował wyjaśnień Watkinsa. Regresja nie była ucieczką od życia Nowych Ludzi. Uznawszy tę teorię, musiałby przyznać, że Projekt to absolutna klęska, a Zmiana nie była dla ludzkości dobrodziejstwem, lecz przekleństwem. A zatem, że geniusz popełnił tragiczny w skutkach błąd. Nie mógł uznać niczego podobnego.

Jako twórca i pan Nowych Ludzi, zasmakował we władzy absolutnej i nie miał ochoty z niej zrezygnować.

Po pustych ulicach w strugach deszczu przejeżdżały jedynie samochody policyjne i cywilne, w których siedzieli mężczyźni poszukujący Bookera, Tessy Lockland, dziewczynki Fosterów albo regresywnych polujących na zdobycz. Doskonale wiedzieli, kto jeździ furgonetką.

Shaddack znał wszystkich, ponieważ pracowali w New Wave i przekazał ich do dyspozycji komendy policji zaledwie parę godzin temu. Za zlanymi deszczem szybami te blade twarze bez wyrazu przypominały oblicza manekinów albo robotów. Inni patrolowali miasto pieszo, skrywając się w ciemnych zakątkach i alejkach. Minał również dwa zespoły dokonujące konwersji, szybko i cicho przemykające do domów. Za każdym razem po zabiegu ludzie z zespołu wprowadzali dane do terminalu zamontowanego w samochodzie, na bieżąco informując centralny system w New Wave o realizacji planu.

Stojąc na światłach przy skrzyżowaniu sprawdził w komputerze aktualną listę. Zostało tylko pięć osób do konwersji między dwudziestą czwartą a szóstą. Rzęsisty deszcz zacinał od zachodu połyskując srebrzyście niczym lód w świetle reflektorów. Drzewa trzęsły się, jakby opanowane strachem. A Shaddack krążył w nocnej ciemności jak tajemniczy ptak drapieżny, który poluje w czasie burzy.

Z Tuckerem na czele polowali i zabijali, gryźli i szarpali, rozdzierali pazurami i gryźli, polowali i zabijali, i pożerali zdobycz, pili krew, krew ciepłą i słodką, gęstą i słodką, słodką i gęstą krew, sycąc wewnętrzny żar.

Tucker odkrył, że z upływem czasu słabł szarpiący trzewia ogień, co ułatwiało *pozostanie* w zwierzęcej postaci. Coś mówiło mu, że nie powinien tego robić, ale tak naprawdę nie przejął się, gdyż już nie mógł racjonalnie myśleć dłużej niż kilka sekund.

Biegali więc po polach i wzgórzach w blasku księżyca, biegali, włóczyli się, wolni, tak bardzo wolni w blasku księżyca i mgłę, we mgłę i wietrze, a Tucker im przewodził. W przerwach zabijali i żarli, albo kopulowali z samicą, rozkoszując się dziką i podniecającą agresywnością.

Potem nadszedł deszcz.

Zimny.

Zacinający.

Grzmoty i oślepiające błyskawice na niebie.

Tucker niby wiedział, co to za postrzępione błyski rozdzierają niebo, ale wystraszony nie przypomniał sobie i szukał schronienia wśród drzew, gdy to światło dopadło go na otwartej przestrzeni, i kulił się z drugim samcem i samicą, aż niebo znów pociemniało.

Szukał kryjówki przed burzą. Wiedział, że powinni wrócić tam, skąd wyruszyli, do suchych pokoi ze światłem, ale nie pamiętał dokładnie, gdzie są. Poza tym, powrót oznaczałby rezygnację z wolności i przybranie ludzkiej postaci. A tego nie chciał. Drugi samiec i samica też woleli biegać, włóczyć się, zabijać i kopulować wyzwoleni. Wracając utraciliby wolność, więc przekradali się z dala od domów w stronę wyższych wzgórz.

Tucker wiedział, że muszą znaleźć schronienie jeszcze przed świtem. Jakąś jaskinię, gdzie w ciemności zwinęliby się w kłębek wokół siebie, dzieląc się ciepłem, ciemnością i ciepłem, rozkoszując się wspomnieniem krwi i rui. Byliby tam bezpieczni, z dala od świata, do którego już nie należeli. A nocami znów włóczyliby się i zabijali, gryźli i żarli, aż może nadejdzie moment, gdy nie będą już w mniejszości i zaczną wychodzić w dzień, ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie.

Dotarli do błotnistej drogi i Tucker jak przez mgłę przypomniał ją sobie. Czuł, że droga ta zaprowadzi ich do świetnej kryjówki. Szedł wzdłuż niej ku wzgórzom, przywołując kompanów gardłowymi pomrukami. Po kilku minutach dotarli do ogromnego, zniszczonego domu z wybitymi szybami i połamanymi drzwiami. W strugach deszczu majaczyły walące się budynki gospodarskie i stodoła.

Na ścianie domu pomiędzy oknami na pierwszym piętrze widniały ogromne, ręcznie malowane

tablice. Wiedział, że te napisy coś *znaczą*, ale nic nie mógł przeczytać, zapomniawszy języka istot, do których kiedyś należał.

Pozostali członkowie grupy również wpatrywali się w czarne litery na białym tle. Niejasne symbole majaczyły w deszczu i mroku. Niesamowicie tajemnicze znaki.

KOLONIA IKARA

A pod spodem:

RESTAURACJA KOLONII IKARA

ŻYWNOŚĆ NATURALNA

Na zniszczonej stodole wisiała inna tablica – PCHLI TARG. Te słowa były dla Tuckera równie niejasne, jak poprzednie, więc doszedł do wniosku, że nie musi ich rozumieć. Ważne, że nikt nie szwendał się tutaj. Nie czuł żadnego świeżego zapachu i wibracji wywołanej przez istoty ludzkie, więc schronienie, którego poszukiwał, było właśnie tutaj; nora, jaskinia, ciepłe i ciemne miejsce, bezpieczne i ciemne.

Sam położył koc i poduszkę na sofie w salonie, przy hallu wejściowym na dole. Z ostrożności wolał spać na parterze, by w porę wykryć intruzów. Zgodnie z harmonogramem, który widział na ekranie terminalu w radiowozie, Harry'ego Talbota przewidziano do konwersji następnego wieczoru. Wątpił, że przyspieszą akcję tylko dlatego, iż w Moonlight Cove ujawnili agenta FBI. Ale nie chciał ryzykować.

Sam często cierpiał na bezsenność, lecz nie tej nocy. Zdjąwszy buty wyciągnął się na sofie i wkrótce zasnął.

Często nękały go koszmary senne. Teraz powrócił obraz utraconej żony Karen, jak zwykle w snach plującej krwią i wychudzonej w ostatnim stadium raka po nieskutecznej chemioterapii. Nie mógł jej uratować. Czuł się mały, bezradny i okropnie przerażony.

Ale ten koszmar go nie obudził.

Akcja we śnie przeniosła się ze szpitala do ciemnego, walącego się budynku, przypominającego hotel projektu Salvadora Dali: labirynt korytarzy różnej wielkości, w których ściany i podłogi łączyły się pod niesamowitymi kątami, a drzwi do pokoi miały różne rozmiary. Niektóre były tak małe, że mogła prześliznąć się jedynie mysz, w innych mieścił się normalny człowiek, a jeszcze inne były odpowiednie dla mierzącego trzydzieści stóp giganta.

Ciągnęło go do niektórych pomieszczeń, a w każdym spotykał znajomych z przeszłości albo z obecnego życia.

W kilku pokojach natknął się na Scotta i dyskutował z nim chaotycznie. Rozmowa kończyła się niezrozumiałym wybuchem wrogości ze strony syna. Koszmar potęgował zmieniający się wiek Scotta: raz był przygaszonym szesnastolatkiem, czasem miał dziesięć, albo zaledwie cztery czy pięć lat. Ale w każdym wcieleniu był wyobcowany, zimny, rozgniewany, zionący nienawiścią.

– To nie tak, to nieprawda, jesteś zupełnie inny – przekonywał Sam siedmioletniego Scotta, a chłopak odpowiadał wulgarnie.

W każdym pokoju, bez względu na wiek, Scotta otaczały ogromne plakaty z muzykami black-metalowymi, ubranymi w skóry i obwieszonymi łańcuchami, z symbolami satanistów na czołach i dłoniach. Światło migotało dziwnie. W ciemnym kącie Sam dostrzegł jakąś przyczajoną istotę. Scott nie bał się jej, Sam zaś był śmiertelnie przerażony.

I ten koszmar nie obudził go.

W innych komnatach tego psychodelicznego hotelu widział umierających, zawsze tych samych ludzi agentów Arnie Tafta i Carla Sorbino, z którymi pracował i którzy zginęli na jego oczach.

Do jednego z pokoi wchodziło się przez błyszczące drzwi samochodowe starego wehikułu buicka

z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego. W ogromnej, wyłożonej szarą tapetą komnacie leżały przednie siedzenie, tablica rozdzielcza i kierownica niczym części prehistorycznego szkieletu na pustyni. Za kierownicą siedziała kobieta w zielonej sukience, z głową odwróconą tak, że nie widział jej twarzy. Wiedział oczywiście, kim była i chciał natychmiast wyjść, ale nie mógł. Coś go do niej ciągnęło. Usiadł więc obok i nagle znów miał siedem lat, jak w dniu wypadku, choć mówił dorosłym głosem: – Cześć, mamó. Odwróciła się do niego i zobaczył zmiażdżoną prawą część twarzy z kością policzkową na wierzchu i puste oczodoły. Z policzka wystawały połamane zęby, więc powitała go odrażającym grymasem.

Nagle retrospekcja. Znaleźli się w *prawdziwym* samochodzie. Z daleka, na autostradzie, zmierzał ku nim zygzakiem pijany kierowca w białym pick-upie, pędząc z dużą szybkością. Sam krzyknął: – Mamó! – ale ona nie zdołała uciec i nastąpiło czołowe zderzenie. Tak jak trzydzieści pięć lat temu. Zbliżał się do nich, jakby do magnesu. Pomyślał, że tak wygląda centrum wybuchu bomby – przeraźliwy huk i zgrzyt rozdieranego metalu. Wszystko poczerniało. Wyplął z tej ciemności uwięziony we wraku naprzeciwko martwej matki. Zaczął krzyczeć.

I ten koszmar nie obudził go.

Teraz był w jakimś szpitalu, podobnie jak po wypadku, kiedy to pierwszy raz był bliski śmierci. W przeszłości sześciokrotnie wymykał się kostusze. Leżał na stole operacyjnym już jako dorosły człowiek, trafiony w klatkę piersiową podczas tej samej strzelaniny, w której zginął Carl Sorbino. Gdy chirurdzy operowali go, opuścił ciało i obserwował ich. Zdziwił się, ale nie przeraził, tak jak wtedy, gdy *nie* był to sen.

Następnie pędził tunelem ku oślepiającemu światłu po Drugiej Stronie. Wiedział, co znajdzie na końcu, ponieważ był już tam kiedyś w realnym życiu.

Wystraszył się, nie chciał ponownie spojrzeć Poza Granicę. Ale biegł coraz szybciej, szybciej, szybciej, prędej, przez tunel, mknął niczym *pocisk*, a przerażenie rosnęło razem z prędkością. Nieuchronnie zbliżał się do Drugiej Strony. To było gorsze niż awantury ze Scottem, niż zmasakrowana twarz matki, nieskończenie gorsze. (Szybciej, szybciej) nie do zniesienia, więc zaczął krzyczeć (szybciej) i wrzeszczeć (szybciej) i wyc...

Ten koszmar obudził go.

Poderwał się na sofie i zdusił w sobie wrzask.

Chwilę później dotarło do niego, że nie jest sam. Coś poruszało się obok, więc błyskawicznie wyszarpnął rewolwer z kabury, którą położył przy kanapie.

To był Moose.

– Hej, chłopie.

Pies sapnął cicho.

Sam chciał pogłaskać czarny łeb, ale pies podszedł do ciemnego okna, oparł się łapami o parapet

i przysunął nos do szyby.

– Chcesz wyjść? – spytał Sam, choć wypuścili go przecież przed pójściem spać.

Nie zareagował, tylko zjeżony warował przy oknie.

– Znalazłeś coś? – dopytywał się Sam, choć znał odpowiedź.

Szybko, lecz ostrożnie przemierzał ciemny pokój. Wpadł na jakiś mebel, ale nic nie przewrócił i po chwili stanął obok Moose'a.

W tych egipskich ciemnościach i strugach deszczu dostrzegł sąsiedni dom oddalony około trzydziestu stóp. Wokół rosły krzewy i kilka sosen, które kołysały się na porywistym wietrze.

Szybko zauważył dwie Zjawy, gdyż szły pod wiatr tworząc ostry kontrast z gwałtownym tańcem roślinności. Zmierzały w dół ulicy, ku Conquistador. Po przygarbionych sylwetkach i niezgrabnym, ale dziwnie płynnym kroku zorientował się, że nie byli to zwykli ludzie. Gdy stanęli przy sośnie, jeden z osobników spojrzął na dom Talbota i Sam ujrzał jarzące się, bursztynowe ślepia. Patrzył chwilę sparaliżowany strachem i zdumieniem, zanim dotarło do niego, że Zjawa ruszyła nagle susami w stronę okna.

Sam wcisnął się pod parapet pociągając Moose'a. Pies wyczuł niebezpieczeństwo, gdyż ani pisnął i przywarł do podłogi nieruchomy i cichy.

W ułamek sekundy później z szumu wiatru i deszczu Sam wyłowił ostrożny ruch na zewnątrz. Ciche kroki. Drapanie w ścianę.

W prawej ręce trzymał pistolet na wypadek, gdyby stwór wtargnął do środka tłukąc szybę, lewą zaś gładził po karku Moose'a. Wyczuwał jego drżenie.

Puk – puk – puk.

To nagłe pukanie po dłuższej ciszy wystraszyło Sama, gdyż uznał, że istota już odeszła.

Puk – puk – puk – puk.

Stukała w okno, jakby sprawdzając wytrzymałość szyby albo przywoływała człowieka, którego dostrzegła.

Puk – puk.

Przerwa.

Puk – puk.

Tucker z towarzyszami ubłoceni i zmoknięci weszli na ganek zrujnowanego domu. Deski trzeszczały pod ich ciężarem. Jedyna ocalała okiennica uderzała na wietrze o ściany.

Starał się im powiedzieć o swoich zamiarach, ale z trudem przypominał sobie i artykułował słowa. Wydając warknięcia, szczeknięcia i zwierzęce pomruki, wykrztusił:

– ...*tutaj... chować... bezpiecznie...*

Drugi samiec chyba w ogóle utracił zdolność mówienia. Samica zaś ledwo wydukała:

– ...*bezpiecznie...tu...dom.*

Tucker uświadomił sobie, że zmienili się po ostatnich nocnych wyprawach. Początkowo samica była zgrabna, giętka, miała spiczaste uszy i ostre zęby, które obnażała sycząc ze strachu, gniewu, czy seksualnego pożądania.

Teraz przypominała wilkołaka z dużym łbem o podłużnym pysku, wilczymi biodrami i stopami, łapskami o szponiastych pazurach, dłuższymi i bardziej morderczymi niż u prawdziwego wilka. Drugi samiec, przedtem podobny raczej do gada, również upodobił się do wilkołaka.

Na mocy milczącego porozumienia Tucker został przywódcą grupy. Akceptując jego rządy, towarzysze najwyraźniej chcieli przybrać tę samą postać. Uznał to za proroctwo.

Nie wiedział jednak, dlaczego tak niepokoi się, ale nie umiał już skoncentrować się na tym zagadnieniu długo, by wreszcie je rozwiązać. Frapowała go bardziej nagląca sprawa.

...*tu...bezpiecznie...tu...*

Wprowadził ich przez rozwalone drzwi do przedpokoju. Tynk był podziurawiony i spękany, a miejscami wystawały drewniane listwy zbrojenia niczym żebra z rozkładających się ciał.

Podarta tapeta zwisała ze ścian w pustym salonie, jakby mury zrzucały skórę w równie dramatycznym procesie metamorfozy jak ten, któremu poddano Tuckera i towarzyszy.

Chodząc po domu kierował się węchem, co było bardzo interesujące, nie podniecające, ale z pewnością ciekawe. Kamraci szli za nim, gdy badał połączenie pleśni, zagrzybione wilgotne kąty jadalni, kolonie lekko fosforyzujących grzybów w pokoju po drugiej stronie korytarza, szczurze odchody, wyschnięte resztki ptaka, który wleciał do środka przez wybite okno i złamał skrzydło uderzając o ścianę, ciało najwyraźniej niedawno padłego kojota, który wczołgał się do kuchni, by zdechnąć.

Podczas penetracji Tucker doszedł do wniosku, że dom nie gwarantuje idealnego schronienia. Pokoje były zbyt duże i zimne, gdyż wybito okna. Mimo że w powietrzu nie unosił się zapach

człowieka, wyczuł, że ktoś tu bywa, nie codziennie, ale dostatecznie często, by sprawić kłopoty.

W kuchni znalazł zejście do piwnicy i ta podziemna kryjówka zafascynowała go. Zeszli trzeszczącymi schodami w głęboką ciemność, gdzie nie docierały zimne przeciągi, podłoga oraz ściany były suche, a w powietrzu unosił się zapach wapna ze ścian.

Na pewno rzadko ktokolwiek zapuszczał się aż tutaj. A nawet gdyby... to żadnym cudem nie ucieknie.

To była doskonała, pozbawiona okien jaskinia. Tucker obszedł pomieszczenie, uderzając i trąc pazurami o podłogę. Obwąchał kąty oraz spenetrował zardzewiały piec. Uznał miejsce za bezpieczne. Tu przyczają się, spokojni, że nikt ich nie odnajdzie, a w razie zagrożenia odetną intruzowi jedyną drogę ucieczki i rozprawią się z nim szybko.

W tej kryjówce mogą przybierać dowolną postać bez żadnych świadków.

Ostatnia myśl zaniepokoiła go.

Nie był pewien, kiedy pierwszy raz przyszła mu do głowy i co naprawdę oznaczała. Pojął, że już nie panuje nad regresją, że jakaś bardziej prymitywna część umysłu bezustannie bierze górę. Ogarnęła go panika. Zmieniał postać już wiele razy i zawsze wracał do ludzkiej. Ale teraz... tylko chwilę czuł strach, już za długo analizował ten problem, nie pamiętał nawet, co znaczyło słowo regresja. Rozpraszała go samica, która chciała z nim kopulować.

Po chwili cała trójka kłębiła się, uderzając łapami, szarpiąc i szturchając. Ich przeraźliwe orgiastyczne krzyki niosły się echem po opuszczonym domu, jak głosy duchów w nawiedzonym miejscu.

Puk – puk – puk.

Sama kusiło, żeby wyrzeć przez okno i stanąć twarzą w twarz z tą istotą.

Stwory groźnie wyglądały, więc konfrontacja z pewnością zakończyłaby się atakiem oraz strzelaniną, co zaalarmowałoby sąsiadów i policję. Nie mógł ujawnić się, ponieważ w tej chwili nie miał innego schronienia.

Ścisnął w jednej dłoni rewolwer, a drugą przytrzymał Moose'a, i tkwił pod parapetem. Słyszał głosy tak niewyraźne i przytłumione, że nie rozróżniał słów, tylko porozumiewawcze pomruki.

Nastąpiła cisza.

Sam czekał jeszcze chwilę, aż rozlegną się głosy, albo bestia o bursztynowych oczach zapuka ponownie – *puk – puk* – ale nic się nie działo. Wreszcie, gdy w mięśniach nóg poczuł skurcz, wstał ostrożnie. Spodziewał się, że zobaczy zniekształconą twarz przyciśniętą do szyby, ale nikogo nie było.

Z psem przy boku obejrzał wszystkie okna w pokojach na parterze. Nie zdziwiłby się, gdyby Zjawy próbowały wtargnąć do środka.

Ale tylko deszcz bębnił o dach i woda szemrała w rynnie. W domu panowała cisza.

Doszedł do wniosku, że dziwne istoty poszły sobie. Zainteresowały się domem przypadkowo, nie szukając konkretnie jego. Prawdopodobnie dostrzegły kogoś w oknie, ale uznały, że nie mogą ryzykować stłuczenia szyby i hałaśliwej konfrontacji w sercu miasta. Były istotami płochliwymi. Zdarzało się, że biegały swobodnie z niesamowitymi okrzykami, które niosły się echem po Moonlight Cove, ale tylko w stanie dzikiej ekstazy. I na ogół atakowały ludzi w pomieszczeniach.

Wrócił więc do pokoju, wsunął rewolwer do kabury i wyciągnął się na sofie.

Moose obserwował go chwilę z niedowierzaniem, że Sam spokojnie kładzie się spać, gdy coś skradało się w deszczu.

– Nieraz mam gorsze sny, piesku – wyjaśnił. – Więc gdybym tak łatwo dostawał pietra, pewnie nigdy nie zasnąłbym.

Pies ziewnął i poszedł do windy w ciemnym hallu. Silnik szumiał cicho, gdy Moose jechał na górę.

Sam marzył, że we śnie znajdzie się we wspaniałej meksykańskiej restauracji z Goldie Hawn, jeszcze bardziej promienną niż zwykle. Będzie popijał pyszne dania zimnym Guinnessem i śmiał się.

Gdy wreszcie zasnął, przyśnił mu się ojciec, odrażający alkoholik, w którego łapy dostał się w wieku siedmiu lat, po śmierci matki w wypadku samochodowym.

Skryta pod stosem worków na ciężarówce, należącej do ogrodnika, Chrissie obudziła się, gdy automatyczne drzwi garażu uniosły się z piskiem i trzaskiem. Zdziwiona wychyliła się, niemal zdradzając kryjówkę. Ale natychmiast z powrotem wsunęła głowę pod materiał.

Słyszała deszcz uderzający o dach garażu. Woda spływała tuż przy wejściu na żwirowy podjazd, szumiąc jak tysiące płatków bekonu na ogromnym ruszcie. Była wściekle głodna.

– Masz moje pudełko z lunchem, Sara?

Chrissie nie знаła pana Eulane na tyle dobrze, by rozpoznać go po głosie, ale z odpowiedzi Sary Eulane, którą znała, wywnioskowała, że to on:

– Ed, proszę, wróć do domu, gdy odwieziesz mnie do szkoły. Weź sobie wolny dzień. Nie powinieneś pracować w takiej ulewie.

– Fakt, nie mogę ścinać trawy – powiedział – ale załatwię inne sprawy. Włożę tylko przeciwdeszczową kurtkę z kapturem. Nie przepuści nawet kropli. Możliwe przeszedłby w niej suchą nogą Morze Czerwone, nie czekając na cud Boży.

Oddychając przez szorstki, pachnący trawą materiał Chrissie czuła męczące łaskotanie w nosie. Bała się, że kichnie. *Głupia dziewczynka, kichnięciem zdradziwszy swoją kryjówkę żarłocznym kosmitom, została zjedzona żywcem; była małym smacznym kąskiem – mówi królowa kosmicznego rajy – dajcie nam więcej waszych jedenastoletnich blondynek.*

Otwierając drzwi po stronie pasażera, kilka stóp nad kryjówką Chrissie, Sara powiedziała:

– Zabijasz się, Ed.

– Sądzisz, że ze mnie taki delikatny fiołek? – spytał figlarnie, wsiadając do wozu.

– Raczej stary, uschnięty mlecz.

Roześmiał się.

– Ostatniej nocy tak nie myślałaś.

– Owszem. Ale jesteś *moim* starym, uschniętym mleczem i nie chcę, żeby cię zdmuchnęło na wietrze.

Trzasnęły drzwi.

Chrissie wysunęła głowę i ścisnąwszy palcami nos, oddychała przez usta, aż łaskotanie ustało.

Ed Eulane uruchomił silnik, który pracował chwilę na wolnych obrotach, i wyjechał tyłem z garażu. Chrissie słyszała ich rozmowę w kabinie. Nie rozumiała wszystkiego, ale chyba wciąż żartowali.

Zimny deszcz chłostał ją po twarzy, więc znowu schowała głowę pod worki, zostawiając jedynie małą szparkę, by docierało do niej świeże powietrze. Gdyby kichnęła w czasie jazdy, ulewa i warkot silnika zagłuszyłyby ją.

Państwo Eulane wzbudzili zaufanie Chrissie. Jako istoty z obcej planety, nie opowiadaliby głupich żarcików i słodkich bzdurek. Albo tak właśnie zachowywaliby się dla kamuflażu. Bzdura, nie wtedy, gdy byli sami. Obcy przybysze we własnym gronie mówiliby pewnie o... planetach, które plądrowali, pogodzie na Marsie, cenie paliwa do latających spodków i przepisach kulinarnych dotyczących przyrządzania istot ludzkich. Kto wie? Ale na pewno nie rozmawialiby tak, jak Ed z żoną.

Ale z drugiej strony...

Może kosmici uzewnętrzniali się w Edzie i Sarze jedynie nocą, a ponieważ nie czuli się zbyt pewnie w rolach ludzi, udawali nawet wtedy, gdy byli sami. To jasne jak słońce, że gdyby Chrissie ujawniła się, wysunęliby ze swoich piersi macki i krabie szczypce, i zjedliby ją bez przypraw, albo zamrozili przytwierdzając do specjalnej płyty, by zabrać ją i powiesić na ścianie swej jaskini. Albo wyjęliby jej mózg i zamontowali na statku kosmicznym jako tani mechanizm kontrolny dla pokładowego automatu do kawy.

Podczas inwazji kosmitów trzeba wszystkich traktować z najwyższą ostrożnością. Postanowiła trzymać się pierwotnego planu.

Plastikowe worki z nawozem, mierzwą i przynętą na ślimaki, zwalone po obu stronach kryjówki, chroniły ją przed deszczem. Ale górna warstwa materiału przemokła. Chrissie było względnie sucho i ciepło na początku drogi, lecz teraz ubranie zwilżyła woda o zapachu trawy i dziewczynka zmarzła na kość.

Co chwilę patrzyła na drogę. Gdy skręcili z szosy w Ocean Avenue, wysunęła się spod worków.

W kabinie z tyłu było okienko, więc państwo Eulane mogli ją zauważyć, ale musiała przygotować się do skoku przy kościele Matki Bożej Miłosierdzia.

Na czworakach przeciskała się między materiałami i narzędziami ogrodniczymi. Przycupnęła przy klapie drżąca i bezbronna w strugach deszczu.

Przeięli Shasta Way, pierwsze skrzyżowanie na obrzeżach miasta i skierowali się ku centrum handlowemu przy Ocean Avenue. Od kościoła dzieliły ich bodaj cztery przecznice.

Chrissie zadziwiły opustoszałe chodniki i jezdnie. Spojrzała na zegarek. Siódma trzydzieści. Niemożliwe, żeby wszyscy o tej porze spali. A może po prostu nie wychodzili na taki deszcz.

Istniała jeszcze jedna możliwość: kosmici opanowali tak dużą część populacji, że już nie udawali,

iż życie toczy się normalnie. Do całkowitego podboju pozostały tylko godziny, więc za wszelką cenę chcieli odszukać tych, których jeszcze nie opętali. To było zbyt przerażające, by dłużej o tym myśleć.

Gdy od kościoła dzieliła ich tylko jedna przecznica, Chrissie przerzuciła nogi na zewnątrz opierając je o zderzak. Cały czas kurczowo trzymała się klapy. Widziała karki państwa Eulane przez okienko w tylnej ścianie kabiny. Zauważyliby ją, odwracając się bądź zerkając w lusterko.

Bała się, że jakiś przechodzień ją dostrzeże i krzyknie:

– Hej, ty, na tej ciężarówce, zwariowałaś czy co? Ale nikt nie chodził po ulicach i spokojnie dojechała do skrzyżowania.

Hamulce zapiszczały, gdy pan Eulane zwolnił przed znakiem stopu.

Wóz zatrzymał się i Chrissie puściła klapę.

Ogrodnik skręcił w lewo, do szkoły podstawowej przy Palomino, gdzie pracowała Sara. Chrissie też wysiadłaby i poszła do szóstej klasy w normalny czwartkowy poranek.

Pognała przez skrzyżowanie wpadając w strumień brudnej wody przy krawężniku i dalej schody prowadzące do wrót kościoła. Dostała aż wypieków na twarzy z emocji, że wbrew wszelkim przeciwnościom dotarła do sanktuarium.

Z ręką na ozdobnej mosiężnej klamce przy rzeźbionych, dębowych drzwiach, zerknęła na ulicę. Okna sklepów, biur i mieszkań przypominały oczy zaatakowane kataraktą.

Mniejsze drzewa ugiwały się pod naporem silnego wiatru, a większe drżały i był to jedyny widoczny ruch na ulicy oprócz zacinającego deszczu. Wicher momentami tworzył z ulewy potężne leje wody, tocząc je po Ocean Avenue. Zamknawszy oczy mogłaby uwierzyć, nie zwracając oczywiście uwagi na chłód, że znajduje się w pustynnym mieście-widmie, w którym diabelskie tumany kurzu wirują po nawiedzonych ulicach.

Na rogu, nie opodal kościoła, przed znakiem stopu zatrzymał się radiowóz, w którym siedziało dwóch mężczyzn. Żaden nie patrzył w jej stronę.

Już wcześniej podejrzewała, że policji nie można ufać. Pchnęła drzwi i szybko wśliznęła się do środka.

W przedsionku wyłożonym dębowym drzewem odetchnęła głęboko zapachem mirry i ziół. Poczula się bezpieczna. Weszła do nawy pod łukowatym sklepieniem, zanurzyła palce w marmurowej chrzcielnicy ze święconą wodą i ruszyła do ławki.

Uklękła, ponownie przeżegnała się i usiadła.

Z ubrania ściekały strugi wody na ławkę, ale nic nie mogła na to poradzić.

Właśnie odprawiano mszę. Oprócz niej modliło się tylko dwoje wiernych, co zakrawało na kpinę.

Z rodzicami zawsze chodziła na niedzielne nabożeństwa. Tylko raz wiele lat temu zabrali ją w dzień powszedni, więc nie wiedziała, czy na codziennych mszach w ogóle zjawia się więcej wiernych. Podejrzewała jednak, że to obecność w Moonlight Cove kosmitów lub diabłów, nieważne, wypłoszyła ludzi z kościoła. Bez wątpienia przybysze nie wierzyli w żadnego Boga, albo, co gorsza, uznawali jakieś ciemne bóstwo o imieniu Yahgag czy Scogblatt.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że mszę celebruje młody ksiądz O'Brien przysłany z archidiecezji w sierpniu.

Na imię miał Tom i za przykładem proboszcza nalegał, by parafianie nazywali go ojcem Tomem. Był miły i mądry, choć nie dorównywał oczywiście ojcu Castelli. Chrissie nie śmiała zwracać się do niego po imieniu, podobnie jak do wielebnego Castelli. Równie dobrze mogłaby nazywać papieża Johnym. Rodzice pochwalali te zmiany w kościele, ona natomiast żałowała, że nie urodziła się i nie wychowała w czasach, gdy mszę odprawiano po łacinie z należnym dostojenstwem i powagą, a takie zwyczajne gesty jak „znak pokoju” przekazywany przez wiernych, były nie do pomyślenia. Podczas wakacji raz poszła na uroczystą mszę do katedry w San Francisco, odprawianą po łacinie, zgodnie z dawną liturgią, i wpadła w *zachwy*t. Produkowanie ponaddźwiękowych samolotów, kolorowej telewizji, ratowanie życia dzięki postępowi w medycynie, zamiana tych nieporęcznych starych płyt gramofonowych na kompaktowe – wszystkie te unowocześnienia były pożądane i dobre. Ale pewnych rzeczy w życiu nie powinno się zmieniać, ponieważ właśnie za tę niezmiennność kochało się je. Jeśli egzystowało się w świecie nieustannych zmian we *wszystkim*, to gdzie pośród tego hałasu i wrzawy poszukiwać stabilności, miejsca zgody, ciszy i spokoju. Ta prawda wydawała się Chrissie tak oczywista, że nie rozumiała, dlaczego dorośli tego nie pojmują. Czasem byli naprawdę tępi.

Modliła się tylko kilka minut, prosząc Błogosławioną Dziewicę o wstawiennictwo, po czym upewniła się, że ojciec Castelli nie siedzi w ławce jak zwykły wierny, co czasem czynił, ani w żadnym z konfesjonałów. Następnie wstała, przyklękła, przeżegnała się i wróciła do przedsionka, gdzie żarówki w kształcie świec migotały niewyraźnie w bursztynowych szklanych kloszach. Uchyliwszy drzwi wejściowe zerknęła na zalaną deszczem ulicę. Właśnie kolejny wóz policyjny sunął w dół Ocean Avenue. Funkcjonariusz najwyraźniej szukał kogoś.

Na rogu w pobliżu kościoła minął go inny samochód, który nadjechał z dołu od morza. Nie radiowóz, ale niebieski chevrolet. Dwaj mężczyźni z za szyb również uważnie obserwowali okolicę, wypatrując czegoś w deszczu. I chociaż ludzie w samochodach nie pomachali do siebie ani nie przekazali sobie żadnych sygnałów, Chrissie wyczuła, że uczestniczą w tym samym pościgu. Policjanci wraz z cywilami tropili coś, albo kogoś.

Mnie, pomyślała.

Szukali jej, ponieważ wiedziała zbyt dużo. Wczoraj rano w korytarzu na piętrze ujrzała w rodzicach obcych przybyszy i teraz stanowiła jedyną przeszkodę na drodze do całkowitego podboju świata. A może dlatego, że smakowałyby dobrze, ugotowana z jakimiś marsjańskimi ziemniakami.

Nie miała wątpliwości, że kosmici opętują niektórych ludzi, ale i żadnych dowodów na to, że również ich zjadają. Jednak wierzyła, że gdzieś, właśnie teraz posilają się ciałem ludzkim. Po prostu *czuła to*.

Gdy patrole zniknęły, pchnęła drzwi kilka cali i rozejrzała się wokół. Upewniwszy się ostatecznie, że nie ma ani samochodów, ani pieszych, zadowolona pomknęła w kierunku wschodniego narożnika kościoła, skręciła i popędziła wzdłuż kościoła na plebanię.

Jednopiętrowy murowany budynek z ozdobnymi rzeźbami z granitu nad oknami i gankiem pomalowanym na biało, z fryzowanym daszkiem, prezentował się jak przystało na siedzibę proboszcza. Stare platanowce rosnące wzdłuż chodnika chroniły przed deszczem, ale Chrissie i tak już przemokła. W końcu dotarła do ganku i podeszła do drzwi.

Już chciała przycisnąć dzwonek, ale zawahała się. Bała się, że może znaleźć się wśród kosmitów. Było to mało prawdopodobne, lecz możliwe. Pomyślała też, że ojciec O'Brien odprawia mszę, by starszy, zmęczony ksiądz zdrzemnął się nieco, a nie chciałaby go budzić, gdyby faktycznie tak było.

Młoda Chrissie – fantazjowała – odważna i sprytna, ale zbyt grzeczna, co obróciło się przeciwko niej. Gdy stała na ganku, i zastanawiała nad stosownością tej ранnej wizyty, nagle pochwycili ją obleśni kosmici o dziewięciorgu oczach i pożarli na miejscu. Szczęśliwie już martwa nie słyszała, jak im się odbijało i psuli powietrze po tej uczcie, gdyż uraziłoby to jej niezwykle delikatną naturę.

Dwukrotnie nacisnęła dzwonek.

Po chwili dziwnie bryłowata postać ukazała się za ozdobnymi szybami w górnej części drzwi. Wystraszona chciała uciekać, ale uzmysłowiła sobie, że to szkło tak zniekształciło sylwetkę.

Ojciec Castelli otworzył drzwi i ujrawszy ją zdumiał się niepomiernie. Miał na sobie luźne czarne spodnie, czarną koszulę, koloratkę i znoszony zapinany sweter, więc nie spał, dzięki Bogu. Był korpulentnym mężczyzną o czarnych, posiwiałych na skroniach włosach. Nawet z dumnie zakrzywionym nosem, ale o miękkich rysach twarzy wyglądał na spokojnego i litościwego człowieka. Zdziwiony zamrugał oczami. Dziewczynka pierwszy raz widziała go bez okularów.

– Chrissie? – jakby upewniał się.

Uśmiechnął się i już wiedziała, że postąpiła słusznie przychodząc tutaj, ponieważ jego uśmiech był ciepły, otwarty i pełen miłości.

– Cóż cię sprowadza tak rano w taką pogodę? – Patrzył poza nią na ganek i ścieżkę. – Gdzie twoi rodzice?

– Ojciec – powiedziała łamiącym się głosem – muszę z tobą porozmawiać.

Jego uśmiech przygasł.

– Stało się coś złego?

– Tak, ojciec, coś potwornego.

– Wobec tego wejdź. Przemokłaś! – Wprowadził ją do hallu i zamknął drzwi. – O co *chodzi*,

drogie dziecko?

– Kosmici, o-o-jcze – wyjąkała dygocąc z zimna.

– Chodźmy do kuchni – powiedział – to najcieplejsze miejsce w całym domu. Właśnie przygotowywałem śniadanie.

– Zniszczę dywan – wskazała na orientalny chodnik przykrywający dębową klepkę w korytarzu.

– Och, nie przejmuj się. To stara rzecz nie do zdarcia. Trochę jak ja. Wypijesz gorące kakao? Między innymi przygotowałem duży garnek pysznego gorącego kakao.

Podążyła za nim pełna wdzięczności słabo oświetlonym hallem, w którym pachniało olejkiem cytrynowym, sosnowym odświeżaczem powietrza i kadzidłem.

Kuchnia była przytulna. Wysłużone, żółte linoleum na podłodze. Kremowe ściany. Ciemne, drewniane szafki z porcelanowymi rączkami. Szare i żółte blaty ze sztucznego tworzywa, i typowe wyposażenie: lodówka, kuchnia gazowa i mikrofalowa, toster, elektryczny otwieracz do konserw. Chrissie zdziwiła się, choć niby dlaczego miałyby znaleźć tu coś innego niż w przeciętnym domu. Księża też potrzebowali zwykłych urządzeń. Nie mogli po prostu wezwać jakiegoś ognistego anioła, który upiekłby grzankę albo wyczarował dzbanek gorącego kakao.

Pachniało wspaniale wrzącym kakao, ciepłą grzanką i kielbaskami skwierczącymi na małym ogniu gazowego piecyka.

Ojciec Castelli posadził ją na jednym z czterech krzeseł i zajął się nią niczym kwoka pisklęciem. Pośpieszwszy na górę wrócił z dwoma czystymi, puchatymi ręcznikami kąpielowymi:

– Jednym wysusz włosy oraz ubranie, a drugim owiń się jak szalem, to rozgrzejesz się. – Następnie poszedł do łazienki przy wejściowym hallu i przyniósł dwie aspiryny. Położył je na stole ze słowami: – Przyniosę trochę soku pomarańczowego do popicia. Zawiera mnóstwo witaminy C i razem z tabletkami to jak podwójne uderzenie, zawczasu wypędzi z człowieka zaziębienie.

Wracając z sokiem, chwile patrzył na nią z góry, potrząsając głową i Chrissie pomyślała, że pewnie wygląda żałośnie, jak zmokła kura.

– Droga dziewczyno, *na Boga*, co się z tobą działo? – spytał jakby nie słysząc tego, co mówiła o kosmitach. – Nie, poczekaj. Opowiesz mi przy śniadaniu. Zjesz coś?

– Tak, ojcze, proszę. Umieram z głodu. Od wczorajszego popołudnia zjadłam tylko dwa batony czekoladowe.

– Nic więcej? – westchnął. – Czekolada jest jednym z darów bożych, ale również narzędziem szatana, by wieść nas na pokusę łakomstwa. – Poklepał się po okrągłym brzuchu. – Ja sam bardzo często spożywam te dary, ale *nigdy* – podkreślił to słowo i mrugnął do niej – przenigdy nie popełniłem grzechu łakomstwa! Widzisz, od samej czekolady psują się zęby. Więc... mam mnóstwo kielbasek, którymi podzielę się z tobą. Chcę także usmażyć kilka jajek. Zjesz?

– Tak, proszę.

– I grzanki?

– Tak.

– Na stole są wspaniałe, słodkie bułeczki z cynamonem. I gorące kakao, naturalnie.

Chrissie popijała dwie aspiryny, sokiem pomarańczowym.

Uważnie rozbijając jajka na gorącej patelni, ojciec Castelli ponownie na nią zerknął.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, ojcze.

– Na pewno?

– Tak, teraz już wszystko w porządku.

– Miło, że towarzyszysz mi przy śniadaniu – powiedział.

Chrissie dopiła sok.

– Ojciec O'Brien nigdy nie może jeść po odprawieniu mszy. Taki nerwowy – zachichotał ojciec Castelli. – Wszyscy nowi mają kiepskie żołądki. Przez pierwsze miesiące śmiertelnie przerażeni stoją przy ołtarzu. To taki święty obowiązek celebrowanie nabożeństwa, rozumiesz, a młodzi księża zawsze boją się, że popełnią jakiś błąd, który będzie... och, nie wiem... obrażą Boga, jak sądzę. Ale Bóg tak łatwo nie obraża się! W przeciwnym razie już dawno dałby sobie spokój z rodzajem ludzkim. Z czasem młodzi księża przekonują się o tym i wtedy są już w porządku. Po odprawieniu mszy na jedno śniadanie pochłaniają tygodniowy budżet na jedzenie.

Wiedziała, że mówi tak, by ją odprężyć. Zauważył, jak była roztrzęsiona. Musiała ochłonać na tyle, by mogli spokojnie i rozsądnie porozmawiać. Nie miała nic przeciwko temu. Pragnęła, by ktoś ją *uspokoił*.

Wrzucił na patelnię jajka, odwrócił widelcem kielbaski, po czym wyjął z szuflady łopatkę, którą położył na blacie obok patelni. Nakrywając powiedział.

– Chrissie, jesteś tak wystraszona, jakbyś zobaczyła ducha. Opanuj się. Jeśli młody ksiądz, po latach nauki i ćwiczeń, drży, że popełni jakiś błąd w czasie mszy, to w takim razie każdy ma prawo bać się czegoś. Zazwyczaj lękamy się iluzji, więc możemy się ich pozbyć równie łatwo, jak je przywołaliśmy.

– Ale nie tej – stwierdziła Chrissie.

– Zobaczymy.

Nałożył jajka i kiełbaski na talerze.

Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin świat wydał się normalny. Gdy ojciec Castelli postawił jedzenie na stole i zachęcił ją do posiłku, wygłodniała Chrissie westchnęła z ulgą.

Shaddack kładł się zazwyczaj o świcie, więc o siódmej rano we wtorek ziewał i tarł oczy, krążąc po Moonlight Cove w poszukiwaniu miejsca, gdzie ukryłby furgonetkę i przespałby się kilka godzin z dala od Lomana Watkinsa.

Dzień wstał pochmurny, szary i ciemny, jednak światło raziło go w oczy.

Przypomnił sobie Paulę Parkins, którą rozszarpali we wrześniu regresywni. Jej posiadłość leżała na odludziu w najdzikszym zakątku miasta.

Rodzina zmarłej z Kolorado wystawiła posesję na sprzedaż za pośrednictwem miejscowego agenta obrotu nieruchomościami, ale nabywca nie znalazł się. Shaddack pojechał tam, zaparkował w pustym garażu i zamknął za sobą drzwi.

Zjadł kanapkę z szynką, wypił colę i położył się na kocach w tylnej części furgonetki. Zasnął.

Nigdy nie cierpiał na bezsenność, zapewne dlatego, że przekonany o swej misji i przeznaczeniu, nie odczuwał żadnych trosk dotyczących jutra. Nie wątpił, że zrealizuje w przyszłości swój plan.

Przez całe życie odbierał znaki mówiące o jego wyjątkowości i przepowiadające triumf w każdym przedsięwzięciu.

Początkowo wskazywał mu je Indianin Rączy Jeleń (Shaddack nigdy nie dowiedział się, z jakiego szczepu pochodził ten czerwonoskóry), który pracował w ich domu rodzinnym jeszcze w Phoenix jako ogrodnik i złota rączka.

Rączy Jeleń był szczupły, zwinny, o ogorzałej twarzy, zwiotczonych mięśniach i stwardniałych dłoniach. Czarne oczy lśniły mu jak węgiel z niespotykaną siłą, aż czasami strach było w nie patrzeć... i momentami przyciągały jak magnes, wbrew woli.

Indianin zainteresował się młodym Tomem, który czasem pomagał mu w ogrodzie lub przy naprawach sprzętu domowego, gdy nie było w pobliżu rodziców. Oni nie aprobowali tego, by ich syn pracował fizycznie, czy też zadawał się z „nizinami społecznymi”. W rzeczywistości chłopak między piątym a szóstym rokiem życia prawie bez przerwy przebywał z Rączym Jeleniem, ponieważ zapracowani rodzice rzadko bywali w domu.

Jedno z najwcześniejszych wspomnień dotyczyło właśnie Indianina i znaku węża, który pożerał sam siebie...

Miał wtedy pięć lat. Bawił się w patio na tyłach dużego domu w Phoenix, ale bardziej interesował się Rączym Jeleniem niż miniaturowymi samochodami. Indianin był bez koszuli, w dżinsach i długich butach. W jasnym pustynnym słońcu przycinał krzewy ogromnym sekatorem o drewnianej rączce. Muskuły na plecach, ramionach oraz rękach napinały mu się i rozluźniały, a Tommy fascynował się jego tężyzną. Sędzia bowiem był kościsty i blady, a pięcioletni jasnowłosej Tom,

wysoki i przeraźliwie chudy, wyglądał na nieodrodnego syna swego ojca. Indianin pracował u Shaddacków od dwu tygodni i chłopiec coraz bardziej Ignął do niego. Rączy Jeleń często uśmiechał się i opowiadał mu zabawne historie o mówiących kojotach, grzechotnikach i innych pustynnych zwierzętach. Czasem nazywał go „Małym Wodzem”. To był pierwszy przydomek, jaki mu nadano. Matka zawsze zwracała się do niego Tom albo Tommy, ojciec zaś Thomas. Więc leżał tak wśród zabawek i jak urzeczony obserwował Rączego Jelenia.

Nie wiedział, jak długo już tak leży zafascynowany w ocienionym patio, w gorącym pustynnym powietrzu, gdy zdziwiony usłyszał głos:

– Mały Wodzu, chodź i spójrz na to.

Był tak oszołomiony, że w pierwszym momencie nie zareagował. Ręce i nogi odmówiły mu posłuszeństwa, jakby skamieniał.

– Dalej, Mały Wodzu. *Musisz* to zobaczyć.

Wreszcie pobiegł przez trawnik do żywopłotu okalającego basen.

– To rzadka okazja – Indianin z powagą wskazał na zielonego węża wygrzewającego się na chodniku.

Tommy cofnął się wystraszony.

Czerwonoskóry przytrzymał go za ramię i powiedział.

– Nie bój się, to nieszkodliwy wąż ogrodowy. Nic ci nie zrobi. Tak naprawdę przysłano go jako znak dla ciebie.

Tommy patrzył szeroko otwartymi oczyma na osiemnastocalowego gada, zwiniętego w literę O, z ogonem w paszczy, jakby sam siebie pożerał. Leżał nieruchomo, szklane oczy ani drgnęły. Chłopiec sądził, że wąż jest martwy, ale Rączy Jeleń zapewnił go, że żyje.

– To wielki i potężny znak znany wszystkim Indianom – wyjaśnił. Przykucnął przed wężem, pociągając za sobą małego i szeptał: – Ten nadprzyrodzony znak wielkie duchy wysyłają tylko małym chłopcom, więc na pewno przeznaczyły go dla ciebie.

Wpatrując się z zaciekawieniem w gada, Tom powiedział:

– Jaki znak? Co ty mówisz? Przecież to jest wąż.

– Omen. Przeczucie. Święty znak – przekonywał Rączy Jeleń.

Pochylili się nad wężem, a Indianin wyjaśniał chłopcu te tajemne sprawy spiętym, cichym głosem, cały czas trzymając Toma za ramię. Słońce odbijało się od chodnika przy basenie, a wokół drgały fale gorącego powietrza. Wąż tak znieruchomiał, że przypominał niezwykle misterny naszyjnik z łuskami jak szmaragdy i oczami jak rubiny. Po chwili Tommy znów pogrążył się w dziwnym transie,

a głos Rączego Jelenia niczym wąż wpełzał mu głęboko pod czaszkę, wijąc się i oplatając mózg. Miał dziwne wrażenie, że to gad przemawia do niego. Niemal zapomniał o obecności Indianina. Był zniewolony i podniecony, choć nie wszystko rozumiał. To znak władzy i przeznaczenia, mówił wąż, zostaniesz potężnym władcą, będziesz o wiele mocniejszy niż twój ojciec. Przed tobą inni pochyłają głowy i będą ci posłuszni, a ty nigdy nie poczujesz strachu przed przyszłością, ponieważ sam ją stworzysz. Osiągniesz wszystko, czego zapragniesz, wszystko na świecie. Ale na razie, zaznaczył wąż, to musi być nasz sekret. Nikt nie może dowiedzieć się, że przyniosłem ci posłanie, że znak został ci dany. Jeśli rozniesie się, że twoim przeznaczeniem jest panowanie nad ludźmi, z pewnością zabiją cię, poderzną ci w nocy gardło, wyrwą serce i zakopią cię w głębokim grobie. Nie mogą wiedzieć, że jesteś przyszłym królem, bogiem na ziemi, zmiażdżą cię, nim twoja potęga w pełni rozkwitnie. Pamiętaj, to nasz sekret. Jestem pożerającym się wężem. Spełniłem misję, więc pożrę teraz samego siebie. Zniknę, by zatrzeć ślady. Ufaj tylko Indianinowi.

Nikommu więcej. Nigdy.

Tommy padł na chodnik, a potem chorował dwa dni. Doktor był zbity z tropu. Chłopiec nie gorączkował, gruczoły limfatyczne nie powiększyły się, nie wymiotował, nic go nie bolało. Dopadła go jakaś tajemnicza dolegliwość, dziwny letarg, że nie chciał nawet czytać komiksów. Nie oglądał też telewizji. Stracił apetyt. Spał czternaście godzin na dobę, a potem leżał otępiały.

– Może to lekki udar słoneczny – stwierdził lekarz. – Jeśli nie wyjdzie z tego przez najbliższe dni, położymy go do szpitala, żeby zrobić testy.

W dzień ojciec był w sądzie albo spotykał się w interesach, a matka przebywała w klubie lub uczestniczyła w jednym z przyjęć dobroczynnych. Rączy Jeleń przekradał się więc do domu, by trochę posiedzieć przy łóżku chłopca. Opowiadał mu różne historie cichym, drgającym dziwnie głosem.

Pani Karval, mieszkająca z nimi gospodyni i niania wiedziała, że rodzice nie zgadzali się na żadne kontakty Indianina z chłopcem.

Ale była dobrą kobietą i nie pochwalała tego, że państwo Shaddack zaniedbują swą latorośl. No i lubiła Indianina. Przymykała więc oczy, ponieważ nie dostrzegała w tym wszystkim nic złego, a Tommy przyrzekł, że nie zdradzi się przed rodzicami.

Już zdecydowano o wysłaniu go do szpitala, gdy na szczęście wyzdrowiał, toteż przyjęto diagnozę doktora o udarze. Od tego czasu każdego dnia Tommy prawie nie odstępował Indianina, aż ojciec albo matka wrócili z pracy. Gdy rozpoczął naukę w szkole, zaraz po lekcjach biegł do domu. Nigdy nie bawił się z innymi dziećmi, nie gościł w ich domach, ponieważ wolał spędzić kilka godzin z Rączym Jeleniem, zanim późnym popołudniem zjawiali się rodzice.

I tak mijały tygodnie, miesiące i lata. Indianin objaśniał Tommy'emu kolejne znaki, wróżące jego wielkie, choć jeszcze nie do końca sprecyzowane, przeznaczenie. Pasma czterolistnej koniczyny pod oknem sypialni chłopca. Martwy szczur w basenie. Kilkadziesiąt świerszczy, grających w jednej z szuflad biurka, które odkrył kiedyś po powrocie ze szkoły. Od czasu do czasu znajdował monety w różnych dziwnych miejscach – centówki w każdym bucie w garderobie; miesiąc później –

dziesięciocentówki w kieszeniach spodni; kiedy indziej błyszczącą srebrną dolarówkę w *środku* jabłka, które Rączy Jeleń obrał dla niego. Indianin z lękiem wyjaśniał, że monety to jedne z najbardziej potężnych znaków.

– Sekret – wyszeptał złowieszczo nazajutrz po dziewiątych urodzinach Tommy’ego, gdy ten opowiedział mu o cichych dzwonkach, które słyszał w środku nocy pod oknem.

Wstał, ale dostrzegł tylko świeczkę płonąca na trawniku. Ostrożnie, by nie obudzić rodziców, wymknął się z domu, lecz świeczka już zniknęła.

– Nie mów nikomu o tych znakach, bo gdy zorientują się, że jesteś dzieckiem przeznaczenia, że pewnego dnia zawładniesz nimi, zabiją cię, póki jesteś słabym chłopcem.

– Kim są „oni” – spytał Tommy.

– Oni, tamci, wszyscy – odpowiedział tajemniczo Indianin.

– Ale kto taki?

– Na przykład twój ojciec.

– Nie.

– Zwłaszcza on – wyszeptał Rączy Jeleń. – To człowiek władzy. Uwielbia górować nad innymi, zastraszać, usuwać z drogi. Widziałeś, jak ludzie płaszcą się przed nim.

Rzeczywiście, Tommy zauważył, z jakim szacunkiem ludzie zwracali się do ojca, zwłaszcza przyjaciele z grona miejscowych polityków, lecz dostrzegał też, jak patrzyli na sędziego, gdy był odwrócony plecami. Z pozoru uwielbiali go, a nawet czcili, spoglądając w twarz, lecz gdy nie widział, okazywali wręcz nienawiść.

– Jest zadowolony tylko wówczas, gdy ma w rękę całą władzę i nie odda jej łatwo nikomu, nawet synowi. Jeśli dowie się, że możesz w przyszłości dominować nad nim... nikt cię nie uratuje. Nawet ja.

Tommy z trudem pogodziłby się z tym, gdyby w ich rodzinie było więcej miłości. Ale ojciec zwykle zamieniał z nim tylko kilka zdawkowych słów – nigdy tak naprawdę nie objął go i *nigdy* nie pocałował.

Czasami Rączy Jeleń przynosił chłopcu słodki prezencik.

– To domowy cukierek kaktusowy – wyjaśnił.

Zawsze po jednym dla każdego z nich i zwykle delektowali się razem w patio, gdy Indianin miał przerwę na lunch lub gdy Tommy towarzyszył swemu mentorowi w pracy. Zaraz po zjedzeniu cukierka chłopiec popadał w dziwny nastrój. Czuł euforię, wydawało mu się, że płynie. Widział jaśniejsze i weselsze kolory. Ze szczególną ostrością postrzegał Rączego Jelenia: miał

nieprawdopodobnie czarne włosy i cudownie brązową skórę, zęby promieniujące białe i oczy tak ciemne jak kraniec wszechświata. Każdy dźwięk – nawet suche *trzask – trzask – trzask* sekatora, ryk samolotu lecącego wysoko w górze do lotniska w Phoenix, czy szum pompy basenowej – stawały się muzyką: świat był pełen muzyki, a najpiękniej brzmiała w głosie Rączego Jelenia. Zapachy kwiatów, ściętej trawy, oleju, którym Indianin smarował narzędzia, też stawały się ostrzejsze. Nawet woń potu wydawała się przyjemniejsza. Indianin pachniał dziwną mieszaniną świeżo upieczonego chleba, siana i miedzianych monet.

Tommy po zjedzeniu cukierków rzadko pamiętał, o czym mówił Indianin. Wiedział tylko, że opowiadał coś z wyjątkową żarliwością o znaku księżycowego jastrzębia.

– Wielkie duchy zsyłają ten znak by zapewnić ci, że otrzymasz władzę absolutną i będziesz niepokonany. Niepokonany! Ale jeśli *naprawdę* ujrzysz księżycowego jastrzębia, będzie to znaczyło, że wielkie duchy oczekują od ciebie działania, którym potwierdzisz swą wartość.

Tommy zapamiętał tylko tyle.

Zazwyczaj po godzinie ogarniało go zmęczenie i szedł do pokoju, żeby zdrzemnąć się. Miał wtedy wyjątkowo wyraziste, realistyczne sny, w których zawsze występował Indianin. Przerazały i koły zarazem.

W którąś deszczową, październikową niedzielę, już jako dziesięcioletek siedział na taborecie w końcu garażu i patrzył, jak Rączy Jeleń naprawia elektryczny nóż, którym sędzia kroił indyka na święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie.

Było cudownie chłodno i wilgotno jak na Phoenix. Rozmawiali o deszczu, nadchodzących wakacjach i tym, co wydarzyło się ostatnimi czasy w szkole. Nie zawsze dyskutowali o znakach i przeznaczeniu, gdyż Tommy mógłby zniechęcić się do Indianina. Czerwonoskóry był wspaniałym słuchaczem. Skończywszy naprawę, wsadził wtyczkę do kontaktu i wcisnął włącznik. Ostrze poruszało się tak szybko, że ząbkowana krawędź tworzyła jednolitą plamę. Tommy przyklasnął.

– Widzisz to? – Rączy Jeleń uniósł nóż, patrząc na niego zmrużonymi oczyma w blasku jarzeniówek.

Drgające ostrze rzucało błyski, jakby cięło światło.

– Co? – spytał chłopiec.

– Nóż, Mały Wodzu. To jest maszyna. Drobiazg w porównaniu z samochodem, samolotem czy elektrycznym wózkiem na kółkach. Mój brat jest... kaleką... i musi poruszać się na wózku inwalidzkim. Wiedziałeś o tym, Mały Wodzu?

– Nie...

– Drugi nie żyje.

– Przykro mi.

– Właściwie to są moi przyrodni bracia, ale jedyńi, jakich mam.

– Jak to się stało? Dlaczego?

Rączy Jeleń zignorował pytania.

– Nawet jeśli tym nożem kroi się tylko indyka, którego równie dobrze można poćwiartować ręcznie, i tak jest to przydatny i pomysłowy przyrząd. Ludzie nie dorównują maszynom.

Indianin odwrócił się do Tommy'ego i trzymając ten warczący mechanizm między nimi, patrzył ponad drgającym ostrzem w jego oczy. Chłopiec poczuł, że wpada w trans jak po zjedzeniu kaktusowego cukierka.

– Biali wierzą w maszyny – powiedział Rączy Jeleń. – Sądzą, że są o wiele pewniejsze i mądrzejsze od ludzi. Jeśli chcesz panować w świecie białego człowieka, Mały Wodzu, musisz maksymalnie upodobnić się do maszyny. Musisz być niezawodny i bezlitosny jak maszyna, zdecydowany w realizacji celów nie pozwalając, by rozpraszały cię pragnienia czy uczucia.

Powoli przysuwał warczące ostrze do twarzy Tommy'ego i nieomal dotykał jego oczu.

– Tym nożem mógłbym obciąć ci nos, wargi, policzki i uszy.

Chłopiec chciał ześliznąć się z taboretu i zwać.

Ale nie zdołał poruszyć się.

Uświadomił sobie, że Indianin trzyma go za nadgarstek, lecz nawet swobodny nie uciekłby. Struchlał, nie tylko ze strachu. Coś pociągało go w całej tej sytuacji. Możliwość dokonania okrutnego czynu w zadziwiający sposób... podniecała chłopca.

– ...oskalpować cię, odsłonić kości i wykrwawiłbyś się na śmierć, albo umarł z innej przyczyny, ale...

Ostrze znajdowało się niespełna dwa cale od nosa.

– ...*ale* to narzędzie pracowałoby nadal...

Jeden cal.

– ...nóż warczałby i ciął, warczał i ciął...

Pół cala.

– ...ponieważ maszyny nie umierają...

Tommy czuł podmuch wywołany bezustannym ruchem ostrza.

– ...maszyny są skuteczne i niezawodne. Jeśli chcesz coś osiągnąć w świecie białego człowieka, Mały Wodzu, musisz działać jak maszyna.

Rączy Jeleń odłożył nóż na bok.

Nie puścił Tommy'ego.

Przysunawszy się blisko dodał:

– Jeśli pragniesz być wielki jak duchy i spełnić ich przesłanie, gdy ześlą ci znak księżycowego jastrzębia, stań się zdecydowany, bezlitosny, zimny, skupiony, niepomny konsekwencji swych poczynań, po prostu *jak maszyna*.

Po tym wydarzeniu, zwłaszcza gdy jedli razem kaktusowe cukierki, często rozmawiali na ten temat. W okresie dojrzewania Tom rzadziej śnił o dziewczynach niż o księżycowym jastrzębiu i ludziach normalnie wyglądających, ale zbudowanych z przewodów, tranzystorów i trzaskających metalowych wyłączników.

Pewnego letniego dnia, gdy ukończył dwanaście lat, a już siedem spędził w towarzystwie Indianina, dowiedział się wreszcie coś niecoś o przyrodnych braciach Rączego Jelenia, reszty domyślił się.

Jedząc w patio lunch obserwował tęcze, które pojawiały się w mgiełce wody ze spryskiwaczy trawników. Kilkakrotnie pytał o braci po dniu spędzonym w garażu, ale Indianin milczał. Tak minęło ponad półtora roku i teraz Rączy Jeleń, wpatrując się w odległe, zamglone góry, powiedział:

– *Zdradzę ci tajemnicę.*

– W porządku.

– Tajemnicę tak wielką, jak znaki, które otrzymywałeś.

– Pewnie.

– Kilku białych ludzi, ot chłopaki z college'u jeździli pijani samochodem po okolicy, może szukając kobiet, a już na pewno kłopotów. Przypadkiem spotkali moich braci na parkingu przed restauracją. Jeden był z żoną, a panowie z college'u zabawiali się w „dogadywanie – Indianom”, ale przede wszystkim spodobała się im kobieta. Byli tak wstawieni, że chcieli ją po prostu zabrać. Wywiązała się walka. Ich pięciu przeciwko dwóm. Jednego zatłukli metalowym kluczem do kół. Drugi nigdy nie będzie chodził. A żonę mojego brata zgwałcili.

Toma zaszokowała ta opowieść.

– *Nienawidzę białych ludzi – odezwał się wreszcie.*

Rączy Jeleń roześmiał się.

– Naprawdę – przekonywał Tommy. – Co się stało z tymi facetami? Czy siedzą w więzieniu?

– Skądże! – Indianin uśmiechnął się z sarkazmem.

– Ich ojcowie byli potężnymi ludźmi. Pieniądze. Wpływy. Więc sędzia zwolnił chłopców z „braku dowodów”.

– Mój ojciec powinien ich sądzić. Nie wypuściłby ich.

– Nie?

– Nigdy.

– Jesteś pewien?

Tom zaniepokoił się:

– No cóż... oczywiście, że tak.

Czerwonoskóry milczał.

– Nienawidzę białych ludzi – powtórzył, jakby chciał przypodobać się Indianinowi.

Ten znowu roześmiał się i poklepał go po ręku.

Lato już kończyło się. Rączy Jeleń przyszedł do Tommy'ego o zmierzchu pewnego sierpniowego dnia, i tajemniczo obwieścił:

– W nocy będzie pełnia księżyca, Mały Wodzu. Wyjdź na podwórze i przyjrzyj się chwilę. Wierzę, że zobaczysz wreszcie najważniejszy znak.

Tuż po zapadnięciu mroku pojawił się księżyc. Tommy wyszedł i stanął na krawędzi basenu, gdzie przed siedmiu laty obserwował pożerającego się węża. Dłuższy czas wpatrywał się w wielką żółtą tarczę tuż nad horyzontem.

Po chwili w patio zjawił się sędzia.

– Co robisz, Thomas? – spytał.

– Obserwuję...

– Co?

Właśnie w tym momencie chłopiec dostrzegł jastrzębia na tle księżyca. Całe lata mówiono mu, że ujrzy go pewnego dnia, przygotował się na jego pojawienie i na wszystko, co oznaczał. Aż nocny jastrząb ukazał się zastygły w locie na tle kuli księżyca.

– Tam! – Zapominał, że może ufać tylko Indianinowi.

– Co „tam?” – spytał sędzia.

– Nie widziałeś go?

– No... księżyc.

– Nie patrzyłeś, bo zobaczyłbyś go.

– Kogo?

A zatem naprawdę jest wybrańcem losu i znak przeznaczono wyłącznie dla jego oczu, co przypominało mu, że nie może ufać nawet własnemu ojcu.

– Ee... spadającą gwiazdę – skłamał.

– Obserwujesz spadające gwiazdy?

– Właściwie meteory – wyjaśniał nerwowo – widzisz, dziś w nocy ziemia znajdzie się w strumieniu meteorów.

– Od kiedy to interesujesz się astronomią?

– Nie interesuję się – wzruszył ramionami. – Po prostu ciekawiło mnie, jak to wygląda. Całkiem nudno. – Odwrócił się i poszedł do domu, a sędzia po chwili przyłączył się do niego.

Następnego dnia, w środę, chłopiec opowiedział wszystko Rączemu Jeleniowi.

– Ale nie otrzymałem żadnej wiadomości, więc nie wiem, co zrobić, by dowieść swej siły.

Indianin z uśmiechem przyglądał się mu w milczeniu. Wreszcie odezwał się:

– Mały Wodzu, porozmawiamy o tym podczas lunchu.

Pani Karval miała wolne, więc byli w domu sami. Siedzieli obok siebie na krzesłach w patio. Indianin przyniósł tylko kaktusowe cukierki, a Tommy nie miał ochoty na nic innego. Już od dawna nie smakował ich jak słodczy, ale wprost pożerał je dla efektu, jaki dawały, i z biegiem lat potrzebował ich coraz bardziej.

Po chwili chłopiec znalazł się w upragnionym świetle wypełnionym jasnymi kolorami, głośnymi dźwiękami i ostrymi zapachami, a wszystko to było kojące i przyjemne.

Rozmawiali prawie godzinę i pod koniec Tommy zrozumiał, że wielkie duchy chcą, by za cztery dni zabił ojca, czyli w niedzielę rano.

– To mój wolny dzień – powiedział Rączy Jeleń – więc nie pomogę ci. Ale pewnie o to chodzi, abyś sam przekonał duchy o swej sile. Przez te kilka dni zaplanujemy wszystko wspólnie, tak, że gdy nadejdzie niedziela, będziesz gotów.

– Tak – powtórzył chłopiec sennie. – Zaplanujemy to wspólnie.

Niebawem sędzia wrócił ze spotkania w interesach, które odbyło się bezpośrednio po sesji sądu. Narzekając na upał udał się prosto na górę, pod prysznic. Matka wróciła do domu pół godziny wcześniej. Siedziała w salonie na fotelu, z nogami na wyściełanym taborecie, czytając najnowszy numer *Miasta i Wsi*, i sącząc to, co nazywała „koktajlem przed koktajlem”. Ledwie raczyła podnieść głowę, gdy sędzia wychylił się z hallu i powiedział, że idzie wykąpać się.

Ojciec zniknął w łazience, a Tom udał się do kuchni i ze stojaka przy piecyku wyjął nóż rzeźnicki.

Rączy Jeleń kosił trawnik.

Chłopiec wszedł do salonu i pocałował matkę w policzek. Zdziwiła ją ta czułość, ale jeszcze bardziej nóż, który Tom dwukrotnie wbił jej w klatkę piersiową. Teraz udał się na górę i zatopił nóż w brzuchu sędziego, gdy ten wychodził spod prysznica. Wrócił do swojego pokoju i rozebrał się. Na koszuli było mnóstwo krwi. Umył się szybko nad umywalką i spłukał wszelkie czerwone ślady, po czym włożył czyste ubranie. Starannie zawinął pokrwawione *rzeczy* w stary ręcznik i ukrył je na strychu za workiem marynarskim. Pomyślał, że pozbędzie się ich później. Zszedł na dół, minął salon nie spojrzawszy nawet na ciało matki i skierował się prosto do gabinetu sędziego. Wysunąwszy z biurka dolną szufladę wyjął spod pliku teczek rewolwer.

Zgasił w kuchni jarzeniową lampę i światło docierało jedynie przez okna, dość jasne, ale pomieszczenie częściowo tonęło w zimnych cieniach. Położył nóż rzeźnicki na blacie szafki obok lodówki, właśnie w cieniu, rewolwer zaś na jednym z krzeseł przy stole, które wysunął spod blatu, tak, by mógł łatwo sięgnąć po broń, a zarazem ją skryć.

Wyszedł przez szklane drzwi łączące kuchnię z patio i zawołał Rączego Jelenia. Ten nie usłyszał chłopca, gdyż hałasowała kosiarka, ale przypadkowo podniósł wzrok i zobaczył, że Tommy macha ręką. Zdziwiony wyłączył maszynę i skierował się do domu przez w połowie skoszony trawnik.

– Tak, Thomas? – zapytał nieco oficjalnie wiedząc, że sędzia z żoną są w domu.

– Matka chce, żebyś jej w czymś pomógł wyjaśnił Tommy – poprosiła mnie, bym cię zawołał.

– Pomógł?

– Tak. W salonie.

– O co chodzi?

– Potrzebuje... chodź, pokażę ci.

Indianin poszedł za chłopcem. Weszli przez ogrodowe drzwi do ogromnej kuchni i ruszyli w stronę hallu obok lodówki.

Tommy zatrzymał się nagle i powiedział:

– Aha, przypomniałem sobie, matka kazała, żebyś wziął nóż, ten na szafce przy chłodziarce.

Rączy Jeleń odwrócił się i wziął nóż leżący na zacienionym, wyłożonymi kafelkami blacie. Zdumiony otworzył szeroko oczy.

– Mały Wodzu, na nim jest krew. Krew...

Tommy wcześniej chwycił rewolwer z krzesła. Gdy czerwonoskóry zdziwiony odwrócił się do niego, chłopiec trzymając broń w obu rękach strzelał, aż opróżnił magazynek, choć odrzut nieomal zbijał go z nóg. Co najmniej dwa pociski trafiły Indianina, a jeden rozerwał mu gardło.

Upadł ciężko na podłogę. Nóż potoczył po wykładzinie. Tommy przysunął nogą ostrze do ciała, aby upozorować, że trzymał je Indianin.

Chłopiec zrozumiał posłanie wielkich duchów lepiej niż jego mentor. Chciały, by natychmiast uwolnił się od *wszystkich*, którzy sprawowali nad nim nawet nieznaczną władzę: od sędziego, matki i Rączego Jelenia. Tylko wówczas mógł osiągnąć wzniosły cel: zagarnąć władzę absolutną.

Zaplanował trzy morderstwa z wyrachowaniem godnym komputera i popełnił je, beznamiętnie i skutecznie, właśnie jak maszyna. Nie czuł nic. Uczucia nie przeszkadzały mu w czynach. Może tylko nieco bał się i trochę podniecił, nawet uradował, ale to go nie rozpraszało.

Przyjrząwszy się chwilę ciału, podszedł do telefonu w kuchni, zadzwonił na policję i historycznie relacjonował, że Indianin, z okrzykami zemsty, zabił rodziców, i że on, Tommy, zastrzelił go z broni ojca. Oczywiście nie opowiadał tego wszystkiego tak płynnie. Udawał roztrzęsionego i zdezorientowanego tym, co wydarzyło się, aż policjanci uspokajali go cierpliwie kilka minut. Wreszcie przestał bełkotać i podał im nazwisko oraz adres. Ćwiczył tę scenę w wyobraźni całe popołudnie. Teraz był niezmiernie zadowolony, że tak przekonująco grał.

Przed domem na podjeździe czekał na policję. I naprawdę płakał, ale były to łzy ulgi. Jeszcze dwukrotnie zobaczył księżycowego jastrzębia. Zawsze wtedy, gdy czuł potrzebę i pragnął zapewnienia, że podąża właściwą drogą.

Ale nigdy już nikogo nie zabił. Tylko dlatego, że nie musiał.

Dziadkowie ze strony matki wzięli go do domu w innej części Phoenix. Ponieważ przeżył taką tragedię, pozwalali mu prawie na wszystko, jakby odmówienie czegokolwiek było zbyt okrutne. Jako jedyny spadkobierca odziedziczył majątek ojca, którego wartość zwielokrotniły wysokie polisy na życie. Tak więc miał zagwarantowane pierwszorzędne wykształcenie i mnóstwo pieniędzy po ukończeniu uniwersytetu. Świat stał przed nim otworem. A dzięki Rączemu Jeleniowi wiedział ponad wszelką wątpliwość, że jest wybrańcem losu, przyszłym władcą świata i ludzi.

Tylko szalenciec zabijał bez potrzeby.

Pomijając nieliczne wyjątki morderstwo *skutecznie* nie rozwiązywało problemów.

Teraz, skulony w tylnej części furgonetki, ukrytej w ciemnym garażu Pauli Parkins przypomniawszy

sobie, że jest przecież dzieckiem przeznaczenia i że widział księżycowego jastrzębia trzykrotnie. Wyrzucił z myśli strach przed Watkinsem i możliwość przegranej. Wreszcie zasnął. Jak zwykle śniła mu się ogromna maszyna w ludzkim ciele. Słyszał uderzenia stalowych tłoków. Ludzkie serce niezawodnie pompowało olej. Krew i olej, żelazo i kości, plastik i ścięgna, przewody i nerwy.

Chrissie zdumiała się, że księża tak dużo jedzą. Stół w kuchni probostwa ugiął się pod ciężarem jadła: znalazły się bowiem na nim ogromny talerz z kiełbaskami, jajka, stos grzanek, paczka drożdżówek i bułeczek nadziewanych owocami, miska pieczonych ziemniaków, świeże owoce i torebka ciastek do kakao. Ojciec Castelli bez wątpienia był tęgi. A Chrissie zawsze myślała, że duchowni są wstrzemięźliwi we wszystkich sprawach, i tak jak małżeństwa wyrzekli się również przyjemności jedzenia oraz picia. Jeśli ojciec Castelli zjadał tyle na jeden posiłek, to powinien ważyć dwa, nie, trzy razy więcej!

Przy śniadaniu mówiła o kosmitach, którzy zawładnęli duszami rodziców. Z szacunku dla wielebnego, który tłumaczył całą sprawę fantazją, i po to, by bardziej zainteresować go sprawą, dopuściła możliwość opętania przez diabła, choć o wiele bardziej odpowiadała jej teoria o inwazji kosmitów. Opowiedziała, co widziała wczoraj w korytarzu, o tym, jak siedziała zamknięta w spiżarni, a później ścigali ją rodzice z Tuckerem w nowych i dziwnych wcieleniach.

Ksiądz wyraził zdziwienie i troskę, kilkakrotnie prosił o więcej szczegółów, lecz ani na moment nie przerwał jedzenia. Właściwie jadł tak łapczywie, że zapominał o manierach. Chrissie była równie zdumiona tym niechlujstwem, co obżarstwem. Po brodzie ściekało mu żółtko, a gdy zdobyła się na odwagę, by mu o tym powiedzieć, zażartował i z miejsca wytarł twarz. Chwilę później znowu utyłał się jajkiem. Upuścił kilka ciastek, ale zdawał się tego nie dostrzegać. Czarna koszula była upstrzona okruchami z grzanek, słodkich bułek, kawałkami kiełbasy, pomidorów...

Najwyraźniej ojciec Castelli tak samo grzeszył łakomstwem, jak każdy człowiek.

Mimo to kochała go, ponieważ ani razu nie podał w wątpliwość jej poczytalności i uwierzył w tę szaloną opowieść. Słuchając z zainteresowaniem i najwyższą powagą, wydawał się szczerze zatroskany, nawet wystraszony.

– No cóż, Chrissie, nakręcono tysiące filmów o inwazjach kosmitów, wrogich istot z innych planet i napisano setki tysięcy książek na ten temat. Zawsze powtarzam, że człowiek wyobrazi sobie wszystko, co może zdarzyć się w świecie stworzonym przez Boga. Więc kto wie, hmm? Skąd pewność, że w Moonlight Cove nie wylądowali kosmici? Jestem zapalonym kinomanem i zawsze najbardziej lubiłem horrory, ale nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego rozegra się w *prawdziwym* życiu ze mną w jednej z ról. – Był szczery i nie traktował jej protekcyjnie.

Wciąż jadł łapczywie, a Chrissie skończyła śniadanie i opowieść jednocześnie. Ubranie szybko wyschło w ciepłej kuchni i tylko siedzenie spodni oraz tenisówki były trochę mokre. Już dostatecznie odpoczęła, by zastanowić się nad tym, co dalej.

– Co robimy? Powinniśmy wezwać wojsko, nie sądzisz ojcze?

– Może armię i marines – powiedział po chwili zastanowienia – mogą być lepsi w tego typu sprawach.

– Czy ojciec sądzi...

– O co chodzi, drogie dziecko?

– Czy ojciec sądzi, że jest jakaś szansa... no, nadzieja, że odzyskam rodziców? To znaczy takich, jakimi niegdyś byli?

Odłożył bułkę ujął jej dłoń. Palce trochę potłuścił masłem, ale nie zwracała na to uwagi, gdyż był tak bardzo troskliwy i opiekuńczy.

– Połączysz się z rodzicami – zapewnił z ogromnym współczuciem. – Gwarantuję ci to.

Zagryzła dolną wargę, powstrzymując łzy.

– Gwarantuję – powtórzył.

Raptem jego twarz zaczęła *puchnąć*. Nie równomiernie jak nadmuchiwany balon, lecz falowała i pulsowała miejscami, jakby pod skórą, w czaszce zmienionej w miękką masę, skręcały się i wiły robaki.

– *Gwarantuję to!*

Chrissie zbyt przeraziła się, by krzyżeć. Zamarła ze strachu, przykuta do krzesła, niezdolna nawet mrugnąć czy zaczerpnąć powietrza. Słyszała, jak jego kości trzeszcza, chrzęszcza, pękają, rozszczepiają się, rozkładają i odkształcają z nieprawdopodobną prędkością. Jego ciało odrażająco bulgotało, poddając się nowej formie niczym gorący wosk.

Czaszka księdza wydłużyła się tworząc kościsty grzebień, a twarz przedstawiała zadziwiająca mieszaninę skorupiaka, osy i szakala.

Wreszcie Chrissie wrzasnęła gwałtownie: „Nie!” Serce waliło jej tak mocno, że każde uderzenie sprawiało ból.

– Nie, odejdz, zostaw mnie, puść.

Rozszerzył szczęki w przerażającym grymasie, odsłaniając dwa rzędy ogromnych, ostrych zębów.

– Nie! Nie!

Próbowała wstać.

Uświadomiła sobie, że wciąż trzyma jej rękę.

Przemówił głosem dziwnie przypominającym głos matki i Tuckera.

– ...*potrzebować, potrzebować...chcieć... daj mi... daj mi... potrzebować...*

Wyglądał inaczej niż opętani rodzice. Dlaczego kosmici nie byli do siebie podobni?

Otworzył szeroko paszczę i zasyczał na nią, a gęsta, żółta ślina oplatała, niczym nitki, zęby. Dziwny język wysuwał się w jej kierunku, jak figurka na sprężynie wyskakująca z pudełka. *Wewnątrz* paszczy były następne szczęki, tyle że mniejsze i z jeszcze ostrzejszymi zębami, osadzonymi na ruchomym trzonie, by rozszarpać ofiary ukryte w trudno dostępnych miejscach.

Ojciec Castelli przeistaczał się w przerażającego potwora z filmu *Obcy*, choć różnił się szczegółami.

Była więźniem horroru na jawie, bez wątpienia ulubionego filmu ojca Castelli. Czyżby mógł przybierać każdą postać, jakiej tylko zapragnął? Czy stawał się bestią dlatego, że sprawiało mu to przyjemność, tak jak kosmitom z opowieści Chrissie?

To było szaleństwem.

Całe ciało księdza zmieniało się. Koszula wisiała luźno w kilku miejscach, a w innych trzeszczała w szwach, gdy na torsie pojawiły się wybrzuszenia i zwierzęce narośle. Po chwili guziki oderwały się, materiał postrzępił się, a pęknięta koloratka przekrzywiła się na obrzydliwie odkształconym karku.

Dysząc i wyjąc próbowała uwolnić się z uchwytu. Wstała przewracając krzesło, ale on wciąż trzymał ją mocno. Był bardzo silny. Nie mogła wyrwać się.

Jego ręce także zmieniły się. Wydłużone palce pokryte gładką, czarną rogowatą substancją przypominały raczej kleszcze niż normalne dłonie.

– ...*potrzebować...chcieć, chcieć... potrzebować...*

Chwyciła widelec i z całej siły wbiła go tuż za nadgarstkiem, gdzie ciało wciąż miało ludzki wygląd.

Miała nadzieję, że przygwoździ rękę do stołu, ale nie czuła, że ostrze przebiło ciało i utkwilo w drewnianym blacie.

Stwór ryknął tak przeraźliwie, że wycie aż przeniknęło ją do szpiku kości.

Opancerzona, demoniczna łapa rozwarła się w drgawkach. Chrissie wyrwała rękę. Na szczęście zrobiła to dostatecznie szybko, gdyż łapsko zatrzasnęło się ułamek sekundy później, przecinając tylko opuszki jej palców.

Drzwi kuchni znajdowały się za księdzem, więc musiała odwrócić się do niego plecami, by ich dopaść.

Z dzikim skowytym odrzucił widelec na bok. Zmiotł talerze z jedzeniem zamaszystym ruchem dziwnie wydłużonego ramienia. Wyzierało z rękawa czarnej koszuli koszmarne pokrzywione, płaskie albo haczykowate, pokryte chitynową substancją, która zastąpiła skórę.

Mario, Matko Boża, módl się za mną, Matko najświętsza, módl się za mną, Matko niepokalana, módl się za mną. Błagam – myślała Chrissie.

Ksiądz złapał stół i trzasnął o lodówkę, jakby mebel ważył zaledwie kilka uncji.

Teraz już nic nie ich oddzielało.

Zrobiła kilka kroków udając, że chce pobiec ku drzwiom. Ksiądz, a raczej *coś*, co przebierało się czasami za niego, rzucił się w prawo, by odciąć drogę ucieczki i złapać ją.

Zawróciła gwałtownie, tak jak od początku zamierzała, i pognała w przeciwnym kierunku do hallu na parterze, przeskakując porozrzucane na podłodze grzanki i kiełbasę. Udało się. Mokre buty piszczały na linoleum, gdy minęła księdza, nim zorientował się, że wywiodła go w pole.

Podejrzewała, że jest równie prędko jak silny i bez wątpienia szybszy od niej.

Słyszała, że pędzi za nią.

Oby tylko dotrzeć do frontowych drzwi, wydostać się na ganek i podwórze. Wówczas byłaby bezpieczna. Podejrzewała, że nie ścigałby jej na ulicy w obawie, iż ktoś go zauważy. Z pewnością kosmici nie opętali wszystkich w Moonlight Cove i dopóki nie zawładnęli ostatnią duszą, nie mogli paradować w tej zmienionej postaci po mieście, pożerając bezkarnie młode dziewczęta.

Pokonała już dwie trzecie drogi, spodziewając się w każdej chwili, że jakiś szpon rozedrze jej bluzkę, gdy otworzyły się przed nią drzwi.

Ojciec O'Brien stanął w progu zdumiony. Natychmiast uświadomiła sobie, że jemu też nie może zaufać. Mieszkał w jednym domu z ojcem Castelli, więc nosił w sobie obce nasienie jakiegoś zalążka śliskiego pasożyta, ducha, albo czegośkolwiek innego, co wtłoczono mu siłą albo wstrzyknięto.

Mając odciętą drogę z tyłu i przodu, nie chcąc wpaść do salonu jak w pułapkę, chwyciła się słupka balustrady, który właśnie mijała, i skoczyła na schody. Ile sił w nogach pognała na piętro.

Drzwi wejściowe zatrzasnęły się.

Usłyszała, że obaj księża wbiegają na górę.

Na piętrze w hallu o białych ścianach, z ciemną klepką i sufitem z drewna po obu stronach znajdowały się pokoje.

Na końcu korytarza wbiegła do sypialni, w której stały jedynie prosta komoda, nocny stolik, podwójne łóżko z koronkową białą narzutą, półka pełna książek w miękkich oprawkach i wisiał krucyfiks na ścianie. Zatrzasnęła drzwi, nie zwracając sobie głowy kluczem czy zasuwką. Nie było czasu. I tak wyważyliby je w kilka sekund.

Powtarzając bez tchu, rozpaczliwym szeptem – Maryjo Matko Boża, Maryjo Matko Boża – podbiegła do okna za szmaragdowozieloną zasłoną. Po szybie spływał deszcz.

Prześladowcy byli tuż, a ich kroki dudniły w całym domu.

Chwyciwszy klamkę u dołu framugi szarpnęła do góry. Ani drgnęło. Penetrowali już pokoje na początku korytarza.

Okno unieruchomiła wyschnięta farba, albo spaczyło się od wilgoci. Cofnęła się.

Drzwi otworzyły się na oścież i coś zawarczało.

Nie oglądając się pochyliła głowę, zakryła twarz ramionami i rzuciła się na okno. Zastanawiając się, czy zginie skacząc z pierwszego piętra oceniła, że wszystko zależy od miejsca lądowania. Dobra byłaby trawa. Chodnik zły, a ostre pręty żelaznego ogrodzenia *naprawdę* fatalne.

Dźwięk tłuczonego szkła wciąż niósł się w powietrzu, gdy grzmotnęła o dach ganku, dwie stopy poniżej okna. Graniczyło to z cudem, gdyż była cała, więc bezustannie powtarzając *Maryjo Matko Boża*, toczyła się w strugach deszczu ku krawędzi pokrytego gontem dachu. Na skraju przytrzymała się chwilę chybotałej rynny i spojrzała na okno.

Coś wilkowatego i groteskowego podążało za nią.

Spadła. Wylądowała na chodniku na lewym boku, potwornie obolała i potłuczona. Zęby uderzyły o siebie z taką siłą, że bała się, iż wypadną z jej ust w kawałkach. Ale nie użalała się długo nad sobą. Pozbierała się jakoś i chciała wybiec na ulicę.

Niestety, znajdowała się na tyłach probostwa na podwórzu, otoczonym wysokim murem.

Mur i drzewa przesłaniały pobliskie domy w alei za posesją. Sąsiedzi więc nie zauważą jej nawet przez okna.

To dlatego ta wilcza istota odważyła się wyjść na dach i ścigać ją w biały, a właściwie szary i ponury dzień.

Zastanawiała się, czy nie wrócić do domu przez kuchnię, i wydostać się frontowymi drzwiami na ulicę, ponieważ była to ostatnia rzecz, jakiej spodziewaliby się po niej. Ale wówczas pomyślała: – *czy oszalałaś?*

Nie próbowała nawet wzywać pomocy. Serce tak jej łomotało, że z trudnością oddychała, o mało nie tracąc przytomności. Z ledwością poruszała się. Nawet nie miała siły krzyknąć. A poza tym, ludzie słysząc wołanie o pomoc, mogliby jej wcale nie znaleźć. Wówczas bestie rozszarpałyby ją, albo opętały, ponieważ krzyk opóźniłby jej ucieczkę o tę jedną lub dwie fatalne sekundy.

Kulejąc lekko, by oszczędzić naciągnięty mięsień w lewej nodze, przemierzała rozległy trawnik. Wiedziała, że nie pokona gładkiego muru o wysokości siedmiu stóp na tyle szybko, by uratować się, zwłaszcza że boleśnie otarła rękę, więc przyglądała się drzewom. Szukała blisko muru, żeby wdrapać się po gałęziach i zeskoczyć na ulicę albo sąsiednie podwórko.

Z chlupotu i bębnienia deszczu wyłowiła głuche warczenie. Odważyła się odwrócić. W strzępach

koszuli, bez spodni i butów, wilcza istota, niegdyś ojciec O'Brien, zeskoczyła z ganku i ruszyła w pościg.

Wreszcie Chrissie dostrzegła odpowiednie drzewo, a chwilę później furtkę w murze w południowo-zachodnim narożniku. Brama wyłoniła się wśród krzewów, które właśnie mijała.

Ledwo dysząc pochyliła głowę, przycisnęła ręce do boków i pobiegła do furtki. Szarpnęła zasuwkę, która gładko odsunęła się, i wypadła na ulicę. Skręciła w Jacobi Street. Oddalając się od Ocean Avenue biegła przez głębokie kałuże i dopiero przy następnej przecznicy obejrzała się.

Nic nie podążało jej śladem od furtki probostwa.

Już dwukrotnie wpadła w ręce kosmitów i uciekła. Wiedziała, że za trzecim razem nie dopisze jej tyle szczęścia.

Tuż przed dziewiątą, po niespełna czterech godzinach snu. Sama Bookera obudził cichy brzęk i stukot w kuchni, gdzie ktoś krzątał się. Usiadłszy na sofie przetarł zaspane oczy, włożył buty, przypiął kaburę i wyszedł na korytarz.

Tessa Lockland nuciła cicho ustawiając patelnię, miski i jedzenie na niskim blacie obok piecyka. Przygotowywała śniadanie.

– Dzień dobry – przywitała pogodnie Sama.

– Dobry? – zdziwił się.

– Posłuchaj deszczu – powiedziała – deszcz zawsze sprawia, że czuję się świeża i czysta.

– A mnie przygnębia.

– I tak przyjemnie w cieplej, suchej kuchni słuchać burzy.

Podrapał się po zarośniętych policzkach.

– Trochę tu duszno. jak na mój gust.

– No cóż, w każdym razie żyjemy i *to* liczy się.

– Tak sędzę.

– Na Boga – huknęła pustą patelnią w piecyk i spojrzała na niego ostro. – Czy wszyscy agencji FBI są tacy jak ty?

– To znaczy?

– Wszyscy są smutasami?

– Nie jestem smutasem.

– Tylko klasycznym ponurakiem.

– No cóż, życie to nie zabawa.

– Nie?

– Jest ciężkie i podłe.

– Może. Ale również bywa zabawne.

– Czy wszyscy dokumentaliści są tacy jak ty?

– To znaczy?

– Jak Pollyanna?

– To śmieszne. Nie jestem Pollyanna.

– Ach tak?

– Nie.

– Ugrzęźliśmy w mieście, gdzie rzeczywistość wydaje się fikcją, nieznane istoty rozrywają ludzi na strzępy, Zjawy włóczą się nocą po ulicach, jakiś obłąkany geniusz komputerowy wywraca do góry nogami ludzką biologię, gdzie możemy zginąć albo ulec konwersji przed północą, a ty jesteś rozpromieniona, wesoła i nucisz piosenkę Beatlesów.

– Nie.

– Hę?

– Rolling Stonesów.

– A co za różnica?

Westchnęła:

– Słuchaj, jeśli chcesz zjeść ze mną śniadanie, pomóż mi i nie stój naburmuszony.

– No dobrze, co robić?

– Przede wszystkim zadzwoń z domofonu do Harry'ego i sprawdź, czy nie śpi. Powiedz mu, że śniadanie będzie za... hmm... czterdzieści minut. Naleśniki z jajkami i pieczona szynka.

Sam nacisnął guzik:

– Halo, Harry. – Ten odpowiedział natychmiast całkiem przytomny, że zejdzie za pół godziny.

– Co teraz? – spytał.

– Wyjmij z lodówki jajka i mleko, ale na litość boską, nie otwieraj pojemników.

– Dlaczego?

– Bo stłuczysz jajka i skwasisz mleko – zażartowała z uśmiechem.

– Bardzo zabawne.

– Tak myślałam.

Wyrobiła ciasto naleśnikowe, wbiła sześć jaj do szklanej miski, by w odpowiedniej chwili wrzucić je na gorącą patelnię i poprosiła Sama, by nakrył stół oraz wyręczył ją, krojąc cebulę i szynkę. Cały czas nuciła utwory Patti La Belle i Pointer Sisters. Sam wiedział, co to za muzyka, ponieważ anonsowała każdą piosenkę, jak prezenter na dyskotecę, przy okazji ucząc go i bawiąc. Tańczyła w miejscu, poruszała pośladkami, kołysała biodrami, kręciła ramionami i naprawdę zatracala się w tym.

Świetnie bawiła się, ale także wiedziała, że drażni go, co sprawiało jej przyjemność.

Sam ciągle był w ponurym nastroju, i nie odwzajemniał uśmiechu, lecz widział jak *diabelnie* jest atrakcyjna. Miała potargane włosy, twarz bez makijażu, zmięte ubranie, ale ten trochę zaniedbany wygląd dodawał jej tylko uroku.

Czasem przerywała śpiew, zadając mu jakieś pytanie, po czym dalej nuciła i tańczyła w miejscu, gdy odpowiadał.

– Zastanowiłeś się już, jak wydostaniemy się z tej pułapki?

– Mam pewien pomysł.

– Czy twój plan to niezgłębiona tajemnica?

– Nie. Ale muszę od Harry’ego uzyskać parę informacji, więc powiem przy śniadaniu.

Krojąc ser na cienkie plastry pochylał się w jej stronę, gdy pytała o coś.

– Dlaczego powiedziałeś, że życie jest ciężkie i podłe?

– Bo jest.

– Ale także pełne radości.

– Nie.

– I piękna.

– Nie.

– I nadziei.

– Bzdura.

– Prawda.

– Nie.

– Owszem.

– Nie.

– Dlaczego jesteś takim pesymistą?

– Bo chcę.

– Dlaczego?

– Jezu, aleś uparta.

– Pointer Sisters, Neutron Dance. – Nuciła tańcząc w miejscu i wyrzucając skorupki od jajek oraz inne resztki do kosza na śmieci. Po chwili znowu spytała: – Cóż takiego przytrafiło ci się, że uważasz życie za podłe i ciężkie?

– Wcale cię to nie obchodzi.

– Owszem.

Skończywszy kroić ser odłożył nóż.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Matka zginęła w wypadku samochodowym, gdy miałem zaledwie siedem lat. Jechałem z nią i omal nie umarłem. Tkwiliśmy uwięzieni we wraku ponad godzinę, twarzą w twarz. Patrzyłem w jej pusty oczodół i zmiażdżoną głowę. Po wypadku musiałem mieszkać z ojcem, z którym rozwiodła się, a był to złośliwy sukinsyn, alkoholik i nie potrafię ci powiedzieć, ile razy mnie zbił albo groził, że zbije. Zostawiał mnie też na kilka godzin przywiązanego do krzesła w kuchni, aż już nie wytrzymując siusiałem w spodnie. Wtedy dopiero wracał, żeby mnie uwolnić, a widząc, co zrobiłem, bił mnie znowu.

Zdumiał się, że z taką łatwością wyrzucił to wszystko z siebie, jakby podniósł śluzę, spuszczając cały brud, który wzbierał w nim przez lata panowania nad sobą.

– Więc natychmiast po skończeniu średniej szkoły opuściłem ten dom i uczyłem się w college'u, śpiąc w tanich kwaterach, co noc dzieląc łóżko z armią karaluchów. Potem zgłosiłem się do Biura chcąc uczestniczyć w *zaprowadzeniu* sprawiedliwości na świecie, być może dlatego, że tyle zła doznałem w życiu. Ale szybko odkryłem, że sprawiedliwość triumfuje zbyt rzadko. Żli faceci wykręcali się sianem bez względu na to, z jakim trudem przyskrzyniło się ich. Żli faceci są bardzo często cholernie cwani, a dobrzy nigdy nie pozwalają sobie na zachowanie niezgodnie z prawem, choć dzięki temu doprowadziliby sprawę do końca. Agent widzi to wszystko, babrze się w brudach, ma do czynienia z szumowinami i z każdym dniem staje się coraz bardziej cyniczny, brzydzi się i ma dosyć.

Mówił tak szybko, że niemal zabrakło mu tchu.

Tessa zamilkła.

Ciągnął dalej, niezwykle jak na siebie wzburzony, tak prędko, że zdania zlewały się nieraz w nieprzerwany potok słów.

– I umarła mi wspomniała żona, Karen, polubiłabyś ją. wszyscy ją lubili, ale zmarła na raka, cierpiąc strasznie, nie tak lekko jak robiła to Ali McGraw na ekranie, westchnienie, uśmiech i ciche do widzenia. Nie, to była długotrwała agonია. A potem straciłem także syna. Och, żyje, miał dziewięć lat, gdy umarła jego matka, a teraz ma szesnaście. Jest dobrze rozwinięty fizycznie i umysłowo, ale martwy, wypalony w sercu, zimny jak lód w środku. Lubi gry komputerowe i telewizję, słucha też black-metalu. Wiesz, co to jest? Taka muzyka heavy-metalowa z domieszką satanizmu, więc on to lubi, ponieważ w satanizmie odrzucającym wartości moralne odnajduje siebie. Wiesz, co mi kiedyś powiedział?

Tessa zaprzeczyła.

– Ludzie nie są ważni. Ludzie nie liczą się. Tylko *rzeczy* są ważne. Pieniądze, alkohol, stereo, wszystko, co sprawia mi przyjemność, jest ważne, nie ja sam. Mówił, że bomby atomowe są ważne, gdyż któregoś dnia zniszczą te wszystkie miłe rzeczy. Cóż, zabijają też ludzi, ale w końcu ci są niczym, tylko zwierzętami, które psują i zanieczyszczają świat. Takie ma przekonania. Twierdzi, że może to udowodnić. Na przykład mówi, żebym dokładnie przyjrzał się twarzom ludzi stojących wokół porsche, a zobaczę, że bardziej obchodzi ich wóz niż oni siebie nawzajem. Nie podziwiają ludzkich zdolności i mistrzostwa, słowem tych, którzy *zrobili* samochód, lecz zachwycają się rzeczą, jakby spadła z nieba. Samochód jest bardziej *żywy* niż oni. Czerpią energię z pięknego kształtu, mocy, więc staje się bardziej rzeczywisty i o wiele ważniejszy niż którykolwiek z podziwiających go ludzi.

– Bzdura – powiedziała Tessa.

– Ale on mi to wszystko mówi. Wiem, że to idiotyzm, spieram się z nim, lecz syn ma na wszystko odpowiedź. I czasem zastanawiam się... gdybym nie był tak zniechęcony do życia i zmęczony czy potrafiłbym przekonać go, że nie ma racji? Może miałbym większe szansę na uratowanie syna?

Przerwał.

Uświadomił sobie, że drży.

Milczeli obydwójce przez chwilę.

Wreszcie odezwał się:

– *Dlatego* mówię, że życie jest ciężkie i podłe.

– Przykro mi, Sam.

– To nie twoja wina.

– Twoja też nie.

Zawinął ser w celofan i schował do lodówki, a ona zajęła się naleśnikami.

– Ale miałaś Karen – powiedziała. – Przeżyłeś miłość i piękno w życiu.

– Pewnie.

– W takim razie...

– Jej już nie ma.

– Nic nie trwa wiecznie.

– Właśnie o tym mówię.

– Co wcale nie znaczy, żeby nie cieszyć się tym, co posiadamy. Jeśli zawsze będziesz zakładał, że każda radość kiedyś skończy się, nigdy nie doznasz prawdziwej przyjemności w życiu.

– Właśnie o tym mówię.

Zostawiła drewnianą łyżkę w dużej metalowej misce i odwróciła się, by na niego spojrzeć.

– Ale to nie jest *śluszne*. Przecież w życiu zdarzają się cudowne, przyjemne, radosne chwile... tylko trzeba cieszyć się nimi w danym momencie i nie myśleć o tym, że przeminą. W przeciwnym razie nie będzie w nas nadziei i radosnych wspomnień, które pozwolą przetrwać złe czasy.

Wpatrywał się w nią z zachwytem. Ale wówczas pomyślał o tym, że kiedyś zestarzeje się, osłabnie i umrze, tak jak wszystko umiera, i nie mógł już dłużej na nią patrzeć. Przeniósł wzrok na splukiwane deszczem okno.

– Cóż, przykro mi, jeśli cię zasmuciłem, ale sama o to prosiłaś. Koniecznie chciałaś wiedzieć, dlaczego ze mnie taki ponurak.

– Och, to zbyt delikatne określenie – zaproponowała. – Jesteś nieuleczalnym pesymistą.

Wzruszył ramionami.

Obydwoje powrócili do kulinarnych zajęć.

Po ucieczce przez furtkę na tyłach probostwa, Chrissie krążyła po mieście ponad godzinę, zastanawiając się, co robić dalej. Początkowo założyła, że uda się do szkoły i opowie wszystko pani Tokawa, gdy ksiądz Castelli jej nie pomoże. Ale teraz już nikomu nie wierzyła. Po przygodzie z duchownymi zdała sobie sprawę, że kosmici prawdopodobnie zawładnęli wszystkimi przedstawicielami władz w Moonlight Cove, co było pierwszym krokiem do całkowitego podboju. Wiedziała już, że opętali księży oraz policję, więc pewnie i nauczycieli.

Na przemian błogosławiła i przeklinała deszcz. Buty, džinsy oraz koszula znów przemokły, a ona przemarzła do szpiku kości, ale ciemnoszare światło dnia i ulewa sprawiały, że ludzie siedzieli w domach, więc Chrissie była bezpieczniejsza.

Ponadto, gdy wiatr zamierał, od morza napływała zimna mgła, nie tak gęsta, jak poprzedniej nocy, po prostu rzadka mgiełka, czepiająca się drzew, ale wystarczająca, by osłonić dziewczynkę, przemykającą nieprzyjawnymi ulicami.

Grzmoty i błyskawice też ustały, więc minęło niebezpieczeństwo, że usmaży się w ogniu nagłego pioruna, co pocieszyło ją nieco.

Młodą dziewczynę upieczoną na frytkę przez błyskawicę zjedli kosmici; istoty z innych planet lubią chipsy z ludzkich ciał. Gdybyśmy potrafili robić z nich ruffles, mówi królowa kosmitów, smakowałyby wspaniale z cebulowym sosem.

Poruszała się w miarę możliwości bocznymi alejkami i podwórkami, przechodząc szybko przez jezdnię tylko wtedy, gdy było to konieczne. Dostrzegła bowiem w samochodach zbyt wielu mężczyzn o zaciętych twarzach, najwyraźniej patrolujących okolicę. Dwukrotnie omal nie wpadła na nich w zacisznych uliczkach i musiała chować się, by jej nie zauważyli. Po około piętnastu minutach od ucieczki, na ulicach pojawiło się znacznie więcej wozów i pieszych patroli, które przerażały ją najbardziej. Mężczyźni w nieprzemakalnych płaszczach chodzący parami mogli dokładniej przeszukiwać teren i trudniej było skryć się przed nimi. Truchlała ze strachu, że niespodziewanie natknie się na nich.

Prawdę powiedziawszy, dłużej siedziała w ukryciu, niż wędrowała.

To przykucnęła za śmietnikami w alejce, to pod świerkiem, którego niskie gałęzie niczym spódniczka dotykały ziemi, tworząc ciemną i w miarę suchą kryjówkę. Dwa razy leżała jakiś czas pod samochodami.

Zmieniała miejsce co kilka minut bojąc się, że jakiś wścibski osobnik opętany przez kosmitów dostrzeże ją i wezwie policję.

Nim dotarła do opuszczonej posesji przy Juniper Lane obok Domu Pogrzebowego Callana i przycupnęła w gęstych i kłujących krzewach na wysuszonym trawniku. Zastanawiała się, czy w ogóle

może prosić kogokolwiek o pomoc. Po raz pierwszy od chwili, gdy zaczął się ten koszmar, traciła nadzieję.

Ogromny modrzew zwieszał gałęzie nad częścią posesji, ona zaś przed najgorszym deszczem schroniła się w kępie zarośli pod drzewem. Co ważniejsze, w tym ukryciu nikt nie zobaczy jej z ulicy lub z okien pobliskich domów.

Jednak co minutę ostrożnie wysuwała głowę, by rozejrzeć się szybko wokół, czy nikt nie skrada się do niej.

W pewnym momencie ujrzała fragment dużego, drewnianego i oszklonego domu Talbota po wschodniej stronie Conquistador. Natychmiast przypomniała sobie człowieka na wózku inwalidzkim.

Pojawił się w szkole rok temu na spotkaniach z pięcio- i sześcioklasistami w czasie Dni Pamięci. Program był nudny, chociaż on zainteresował młodzież, rozmawiając o trudnościach i zadziwiających możliwościach ludzi niepełnosprawnych.

Z początku Chrissie litowała się nad nim. Wyglądał tak żałośnie na wózku, sparaliżowany, zdolny poruszać tylko jedną ręką, z głową przekrzywioną w jedną stronę. Ale później, gdy go słuchała, uświadomiła sobie, że ma wspaniałe poczucie humoru i wcale nie lituje się nad sobą, więc uzalanie się nad nim zakrawało na absurd. Zadawali mu różne pytania, a on tak chętnie dyskutował o smutkach i radościach w swoim życiu, że z miejsca pokochała go.

Równie wspaniały był Moose.

Teraz, patrząc na ten czerwony dom przez połyskującą od deszczu trawę, wspominając Harry'ego Talbota i Moose'a, zastanawiała się, czy znajdzie tu pomoc.

Wcisnęła się głębiej w zarośla i myślała o tym kilka minut.

Z pewnością kaleka na wózku był ostatnią osobą, którą kosmici pragnęliby zawładnąć.

Natychmiast zawstydzila się. Przecież inwalida nie należał do istot gorszego rodzaju. Mógł kosmitom zaoferować akurat tyle, co inni. Z drugiej strony... czy banda kosmitów miała pojęcie o niepełnosprawnych? Może jednak przeceniała ich? W końcu, to byli *kosmici*. Uznawali inne wartości niż ludzie. Jeśli krążyli wokół zaszczepiając właśnie ludziom załóżki, zarazki czy też śluzowate małe ślimaki, albo cokolwiek innego – i zjadali ich, to z pewnością nie traktują niepełnosprawnych ulgowo, niczym staruszki przechodzące przez ulicę.

Harry Talbot.

Rozmyślając o nim nabierała pewności, że na razie nie wpadł w łapy kosmitów.

Sam wlał na patelnię olej do smażenia naleśników.

Tessa włączyła piecyk i postawiła na nim talerz, na który układała naleśniki, by nie wystygły.

Następnie odezwała się normalnym tonem, jakby zmuszając go do ponownego zastanowienia się nad ponurym stosunkiem do życia.

– Powiedz mi...

– Możesz już dać spokój?

– Nie.

Westchnął.

– Jeśli jesteś takim cholernym ponurakiem, dlaczego nie...

– Zabiję się?

– Właśnie.

Roześmiał się gorzko:

– Jadąc tu z San Francisco bawiłem się taką małą grą liczyłem powody, dla których warto żyć. Doliczyłem się tylko czterech, ale jak widać wystarczy, bo jakoś ciągnę.

– Możesz je wymienić?

– Pierwszy – dobre meksykańskie jedzenie.

– Zgadzam się.

– Drugi – piwo Guinnessa.

– Ja lubię Heinekena.

– Też dobre, ale mnie Guinness motywuje do życia.

– A trzeci?

– Goldie Hawn.

– Znasz ją?

– Nie. I nawet lepiej, bo rozczarowałbym się. Mówię o jej ekranowym wizerunku, o wyidealizowanej Goldie Hawn.

– To twoja dziewczyna z marzeń, co?

– Więcej. Ona... do diabła, nie wiem... wydaje się nietknięta przez życie, witalna, szczęśliwa, niewinna, i...radosna.

– Sądysz, że kiedykolwiek ją spotkasz?

– Chyba żartujesz?

– Wiesz co? – spytała.

– Co?

– Gdybyś naprawdę spotkał Goldie Hawn na przyjęciu, a ona powiedziałaaby do ciebie coś zabawnego, błyskotliwego i zachichotała w ten swój sposób, nawet byś jej nie rozpoznał.

– Bzdura.

– Nie. Byłbyś tak pochłonięty rozmyślaniami o niesprawiedliwym, nieuczciwym, ciężkim, okrutnym, ponurym, smętnym i głupim życiu, że umknąłby ci ten moment. Przegapiłbyś go. Otaczałaby cię zbyt gęsta mgła przygnębienia. No, a czwarty powód?

Zawahał się.

– Strach przed śmiercią.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Nie rozumiem. Jeśli życie jest okropne, to dlaczego bać się śmierci?

– Przeżyłem swoją śmierć. Podczas operacji wyjmowano mi kulę z klatki piersiowej, a ja, o krok od śmierci, opuściłem własne ciało i uniosłem się pod sufit. Obserwując chirurgów zorientowałem się, że pędzę coraz szybciej przez ciemny tunel w stronę oślepiającego światła – jak według jakiegoś obłądnego scenariusza.

Poruszona i zaintrygowana wyjąkała:

– I?

– Zobaczyłem to, co jest po drugiej stronie.

– Poważnie?

– Cholernie poważnie.

– Chcesz mi powiedzieć, że istnieje życie pozagrobowe?

– Tak.

– Bóg?

– Tak.

– Przecież wiara w Boga oznacza zarazem wiarę w cel i sens życia – zdumiała się.

– Więc?

– Widzisz, to właśnie wątpliwości co do sensu życia wywołują smutek i depresję. Gdyby większość z nas doświadczyła tego, co ty... cóż, mielibyśmy dość siły, by radzić sobie z przeciwnościami losu, właśnie dlatego, że istnieje życie po śmierci. Więc co z tobą, mój panie? Skąd ten pesymizm? Czy jesteś po prostu upartym osłem?

– Osłem?

– Odpowiedz na moje pytanie.

Rozległ się szum windy wjeżdżającej na górę.

– To Harry – powiedział Sam.

– Odpowiedz mi – powtórzyła.

– Załóżmy, że to, co zobaczyłem, nie nappełniło mnie nadzieją, tylko śmiertelnie przeraziło.

– No i? Nie trzymaj mnie w niepewności. Co było po drugiej stronie?

– Jeśli ci powiem, uznasz, że oszalałem.

– Nie masz nic do stracenia. I tak już uważam cię za wariata.

Potrząsnął głową żalując, że w ogóle zaczął tę rozmowę. Jak Tessa sprawiła, że zwierzył się?

Winda zatrzymała się na drugim piętrze.

Tessa odsunęła się od kuchennego blatu:

– Do diabła, powiedz co widziałeś.

– Nie zrozumiesz.

– Czy jestem kretynką?

– Och, że nie pojdziesz, co to dla mnie znaczyło.

– A ty rozumiesz?

– O, tak – odpowiedział poważnie.

– Czy wyjaśnisz mi dobrowolnie, czy mam wziąć widelec i wydusić to z ciebie?

Winda zjeżdżała z drugiego piętra.

Spojrzał w kierunku hallu.

– Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.

– Czyżby?

– Nie.

– Widziałeś Boga, ale będziesz milczał?

– Zgadza się.

– Większość facetów, którym objawił się Bóg, chce mówić *tylko* o tym. Większość facetów, którym objawił się Bóg, tworzy religie w oparciu o tę wizję i przekazuje ją *milionom* ludzi.

– Ale ja...

– Czytałam, że zazwyczaj ci, którzy przeżyli własną śmierć, zmieniają się pod wpływem tego doświadczenia. I zawsze na lepsze. Pesymiści stają się optymistami, ateści wierzącymi. Zmieniają się ich wartości, uczą się kochać życie. Są diabelnie rozpromienieni! Ale nie ty. Nie, ty jesteś jeszcze bardziej zimny, posepny i ponury.

Winda dotarła do parteru.

– Harry zjechał – zauważył Sam.

– Powiedz mi, co widziałeś.

– Może *ci* opowiem. – Zdziwił się, że naprawdę chce z nią o tym porozmawiać, – lecz później, we właściwym czasie i miejscu.

Do kuchni wbiegł Moose dysząc i szczerząc do nich zęby, a po chwili pojawił się Harry.

– Dzień dobry – przywitał się ożywiony.

– Dobrze spałeś? – Tessa obdarzyła go promiennym uśmiechem sympatii, co wzbudziło zazdrość Sama.

– Jak kamień, ale nie snem wiecznym, dzięki Bogu – odpowiedział Harry.

– Zjesz naleśniki? – spytała Tessa.

– Całe fury, proszę.

– Jajka?

– Tuziny.

– Grzanki?

– Bochenki.

– Lubię mężczyzn z apetytem.

– Biegając całą noc, zgłodniałem.

– Biegałeś?

– W snach. Ścigały mnie Zjawy.

Harry wyjął z szafki paczkę z psim jedzeniem i napełnił miskę Moose'a, a Tessa wlała olej na patelnię, powiedziała Samowi, żeby pilnował jajek, i smażyła naleśniki. Po chwili zapowiedziała:

– Patti La Belle, „Stir it up” – i nucąc znów tańczyła w miejscu.

– Hej, włączę muzykę, jeśli chcesz – odezwał się Harry.

Podjechał na wózku do małego, schowanego pod blatem szafki radia, którego nie zauważyli, i trafił na stację nadającą piosenkę *I heard It through the Grapevine* w wykonaniu Gladys Knight z zespołem Pips.

– Świetnie – Tessa kołysała się i przysiadła zwawo.

Sam nie pojmował, jakim cudem smaży takie okrągłe, równiutkie placki na naleśniki.

Harry ze śmiechem obracał się na wózku, jakby razem z nią tańczył.

– Czy nie zdajecie sobie sprawy, że zbliża się koniec świata – spytał Sam.

Zignorowali go, na co chyba sobie zasłużył.

Podążając okrężną drogą pod osłoną deszczu, mgły i cieni, Chrissie dotarła do alejki na wschód od Conquistador. Weszła na posesję Talbota przez furtkę w czerwonym drewnianym ogrodzeniu i posuwała się ostrożnie między krzewami, dwukrotnie niemal wdeptując w psie odchody (Moose był niezwykłym psem, ale miał wady), aż wreszcie dotarła do schodów przy ganku na tyłach domu. Słyszając muzykę, poznała stary przebój z czasów, gdy rodzice byli nastolatkami. Bardzo lubili tę piosenkę. Nie pamiętała tytułu, ale przypomniała sobie nazwę zespołu – Junior Walker i All Stars.

Uznawszy, że śpiew i bębniący deszcz zagłuszą każdy hałas, wczołgała się po schodach na drewniany ganek i przesunęła się w kucki do najbliższego okna. Skulona pod framugą przysłuchiwała się chwilę odgłosom dobiegającym z wewnątrz. Domownicy rozmawiali, śmiali się, nucili piosenki.

Nie wyglądali na kosmitów, lecz na absolutnie normalnych ludzi.

Czyż to możliwe, by kosmici lubili Stevie Wondera i Four Tops lub Pointer Sisters? Mało prawdopodobne. Ludziom muzyka kosmitów przypominałaby zapewne dźwięki wydawane przez rycerzy w zbrojach, grających na kobzach i spadających jednocześnie z wysokich schodów pośród wycia stada psów.

Wreszcie uniosła się na tyle, by zerknąć przez szparę w zasłonie. Ujrzała pana Talbota na wózku, Moose'a i obcą kobietę z mężczyzną. Pan Talbot wybijał zdrową ręką rytm na oparciu, a pies merdał zawzięcie ogonem, choć nie w takt melodii. Nieznajomy przekładał łąpatką smażone jajka z patelni na talerze, zerkając od czasu do czasu ze złością na kobietę, może wkurzony jej tańcem, ale również rytmicznie podrygiwał.

Kobieta przekładała gotowe naleśniki na talerz na piecu, by nie wystygły, cały czas tańcząc w miejscu. Dobrze ruszała się.

Chrissie przykucnęła ponownie, zastanawiając się nad tym wszystkim. Jeśli byli ludźmi, zachowywali się całkiem normalnie, przecież kosmici nie podskakiwaliby w takt muzyki nadawanej przez radio. Chrissie nie wierzyła, że obcy przybysze, jak ta istota udająca ojca Castelli, mają poczucie humoru albo rytmu. Z pewnością zajmowali się głównie polowaniem na kolejne ofiary i wyszukiwaniem przepisów kulinarnych o przyrządzaniu pulchnych dzieci.

Zdecydowała jednak, że nie ujawni się, aż ujrzy ich przy jedzeniu. Z tego, co matka i Tucker mówili poprzedniej nocy na łące i co widziała w czasie śniadania z ojcem Castelli wywnioskowała, że kosmici są potwornie żarłoczni. Każdy z osobna je za pół tuzina mężczyzn. Jeśli Harry Talbot z gośćmi nie będą zachowywać się jak prosięta przy śniadaniu, zaryzykuje.

Loman nadzorował porządki w domu Peysera i wynoszenie ciał do samochodu Callana. Nie chciał powierzyć tego swoim ludziom w obawie, że widok ciał regresywnych albo zapach krwi wywołają u nich chęć przemiany. Wiedział, że wszyscy, on zresztą też, stąpają po linie rozciągniętej nad otchłanią. Dlatego pojechał za karawanem do Domu Pogrzebowego i towarzyszył Callanowi oraz pomocnikowi do chwili, aż ciała Peysera i Sholnicka wylądowały w płomieniach krematorium.

Sprawdził, czy przypadkiem nie schwytano Bookera, kobiety o nazwisku Lockland, albo Chrissie Foster i zmienił pozycje kilku patroli. Był w komendzie, gdy nadeszła informacja od ojca Castelli, więc od razu udał się do probostwa, by usłyszeć relację z pierwszej ręki, jak dziewczynka wymknęła się. Księża dość mętnie opowiadali o całym zdarzeniu, więc Loman podejrzewał, że ulegli regresji dla samej przyjemności, a w trakcie harców z Chrissie przez nieuwagę pozwolili jej uciec. Oczywiście nie przyznali się do regresji.

Watkins zwiększył patrole w najbliższej okolicy, ale nie natrafili na ślad małej. Zapadła się pod ziemię. Jeśli tylko krążyła po mieście, i nie wydostała się na szosę, mieli szansę złapać ją i poddać konwersji przed końcem dnia.

O dziewiątej rano Loman wrócił do domu przy Iceberry Road na śniadanie. Ubranie zwisało na nim luźno, gdyż schudł kilka funtów zwalczając regresję w zbrzyzganej krwi sypialni Peysera.

Dom był ciemny i cichy. Denny bez wątpienia siedział na górze przed komputerem, jak poprzedniej nocy, a Grace wyszła do pracy w szkole Jeffersona, gdzie była nauczycielką. Musiała zachowywać pozory normalnego życia, aż wszyscy w Moonlight Cove zostaną poddani konwersji.

Do tej pory oszczędzano dzieci poniżej dwunastego roku życia, ponieważ technicy z New Wave pracowali nad określeniem dokładnej dawki dla młodszych kandydatów. Właśnie rozwiązali problem i tej nocy dzieci także miały stać się wyznawcami nowej wiary.

Loman słuchał w kuchni deszczu uderzającego o szyby i tykania zegara.

Wypił kilka szklanek wody z kranu. Był odwodniony i spragniony po tej mordędze w domu Mike'a.

Lodówka była zapchana pięcioletnimi kawałkami szynki, rostbefem, połówką indyka, talerzem kotletów, piersiami kurczaka, paczkami kiełbasy i suszonej wołowiny. Przyspieszony metabolizm Nowych Ludzi wymagał wysokoproteinowej diety... Poza tym, bardzo łaknęli mięsa.

Wyjąwszy z pojemnika bochenek razowca zasiadł do stołu, na którym postawił rostbef, szynkę i słoik musztardy. Krojąc albo odrywając grube kawały mięsa kładł je na posmarowany musztardą chleb i szarpał duże kęsy zębami. Nie delectował się jedzeniem jak dawniej. Teraz zapach i smak żywności wzbudzały w nim jedynie zwierzęce podniecenie, dreszcz łapczywości i żarłoczność. Czuł pewną odrazę do siebie za to, że szarpał jedzenie i połykał, nim zdążył je przeżuć, ale każda próba

powstrzymania tej łapczywości wkrótce doprowadzała go do jeszcze dzikszego łaknienia, więc żarł jak zahipnotyzowany. W pewnym momencie uświadomił sobie, że pochłania surowe piersi z kurczaka, ale znów szybko zapadł w przynoszący ulgę trans. Po zjedzeniu poszedł na górę do Denny'ego.

Gdy otworzył drzwi do pokoju chłopca, wszystko wyglądało jak poprzedniej nocy. Zastony były zaciągnięte, a w pomieszczeniu panował mrok. Jedynie zielonkawe światło płynęło z ekranu komputera.

Denny siedział pochłonięty informacjami przepływającymi przez ekran.

Wtedy Loman ujrzał coś i poczuł dreszcze.

Zamknął oczy.

Otworzył.

To nie iluzja.

Zrobiło mu się niedobrze. Chciał wyjść do hallu i zamknąć drzwi, zapomnieć o tym, co widział, odejść. Ale stał jak wryty.

Denny postawił obok krzesła na podłodze klawiaturę i usunął frontową płytę komputera. Ręce trzymał na kolanach, ale jakże zmienione. Na końcu wydłużonych jak u zwierza palców widniały, zamiast paznokci, metaliczne grube jak sznur od lampy przewody, których węzowe sploty ginęły w komputerze.

Chłopiec nie potrzebował już klawiatury.

Stał się częścią systemu. Przez łącze komputera z New Wave Denny i Słońce stanowili jedność.

– Denny?

Dokonała się w nim Zmiana, ale nie taka, jakiej pragnęli inni regresywni.

– Denny!

Chłopiec nie odpowiedział.

– *Denny?*

Dziwne, ciche trzaski i elektroniczne pulsujące dźwięki dochodziły z komputera.

Loman z ociąganiem wszedł do pokoju i zbliżył się do biurka.

Spojrzał na syna i znowu wstrząsnął nim dreszcz.

Z otwartych ust ciekła mu po brodzie ślina. Tak zespolił się z komputerem, że nie troszczył się już o to, by wstać, zjeść coś albo pójść do łazienki; siusiał w spodnie.

Zamiast oczu pojawiły się dwie srebrne, błyszczące kulki. Niczym w lustrze odbijały się w nich setki danych, przepływających przez ekran.

Pulsujące dźwięki, ciche elektroniczne drgania nie dobiegały z komputera, ale z wnętrza Denny'ego.

Jajka były dobre, naleśniki jeszcze smaczniejsze, a kawa dostatecznie mocna i gorąca, by rozpuścić wzorek na filiżankach.

W czasie jedzenia Sam pokrótce przedstawił plan przekazania wiadomości z miasta do Biura.

– Twój telefon jest wciąż głuchy, Harry. Sprawdzałem rankiem. I sędzę, że nie powinniśmy przedzierać się do szosy pieszo ani samochodem, z patrolami i blokadami na karku. To ostateczność. W końcu my tylko wiemy, że coś naprawdę... niesamowitego dzieje się tutaj, i że koniecznie trzeba to powstrzymać. I może jeszcze ta dziewczynka Fosterów, o której rozmawiali ostatniej nocy policjanci za pośrednictwem komputera.

– Jeśli jest faktycznie małym dzieckiem, czy nawet nastolatką, to ma niewielkie szansę w konfrontacji z nimi. Załóżmy, że ją złapią, jeśli już tego nie zrobili – stwierdziła Tessa.

Sam skinął głową:

– O ile nas także dopadną w trakcie ucieczki z miasta, nie pozostanie nikt, kto wykonałby zadanie. Więc zacniemy od najmniej ryzykownych posunięć.

– *Czy jakiegokolwiek* rozwiązanie jest mało ryzykowne? – zastanawiał się Harry, zgarniając z talerza kawałkiem grzanki resztkę żółtka. Jadł powoli i z wzruszającą precyzją, posługując się sprawną ręką.

Sam, polewając naleśniki sokiem, dziwił się, że pochłania mnóstwo jedzenia. Wilczy apetyt przypisywał myśli, iż to może ostatni posiłek w życiu.

– Więc... miasto jest okablowane – stwierdził.

– Okablowane?

– Łączami komputerowymi. New Wave przekazało policji komputery, chcąc podłączyć się do sieci.

– I szkołom – dodał Harry. – Czytałem o tym w gazecie wiosną czy latem. Przekazali mnóstwo sprzętu i oprogramowania szkole podstawowej oraz średniej jako wyraz obywatelskiego zaangażowania. Tak to określili.

– Teraz brzmi złowieszczo, co? – spytała Tessa.

– Jak diabli.

– Wygląda na to, że również szkoły, podobnie jak policję, powiązali ściśle z New Wave, by je obserwować i kontrolować – zauważyła Tessa.

Sam odłożył widelec.

– New Wave zatrudnia około jednej trzeciej mieszkańców miasta.

– Prawdopodobnie – zgodził się Harry. – Moonlight Cove tak naprawdę rozwinęło się z chwilą założenia siedziby tej firmy przed dziesięciu laty. To jest miasto tradycyjne, w którym życie zależy od jednego pracodawcy i w dużym stopniu koncentruje się wokół niego.

Po łyku kawy, tak mocnej, że działała niemal jak brandy, Sam powiedział:

– Jedna trzecia mieszkańców... czyli blisko czterdzieści procent dorosłych.

– Tak sędzę – potwierdził Harry.

– Przypuszczalnie już wszystkich pracowników poddano konwersji – dodał Sam.

Tessa skinęła głową.

– To nawet pewne.

– I oczywiście wszyscy z tytułu pracy interesują się komputerami, więc zakładam, że mają je w domu – ciągnął Sam.

Harry przytaknął.

– I bez wątplenia łączą się bezpośrednio z New Wave przez modem, więc mogą pracować wieczorami albo w weekendy, w razie konieczności. Założę się, że teraz ludzie z New Wave harują na okrągło kończąc konwersje. Dane będą przepływać po ich liniach telefonicznych do północy. Więc jeśli Harry wskaże mi kogoś z sąsiedztwa, kto pracuje dla New Wave... – Sam przerwał.

– Jest parę takich osób – powiedział Harry.

– ...to przemknąłbym się w deszczu do jednego z domów. O tej porze domownicy są zapewne w pracy, więc może uda mi się skorzystać z telefonu – dokończył.

– Zaraz, zaraz – wtrąciła Tessa – o co chodzi z tymi telefonami? Przecież nie działają.

Sam zaprzeczył:

– Wiemy tylko, że wyłączono telefony publiczne, i u Harry'ego. Ale pamiętajcie: New Wave kontroluje telekomunikację miejską. Założę się, że nie odcięli linii u ludzi po konwersji, gdyż pozbawiliby łączności *samych siebie*. Zwłaszcza teraz, gdy mają kłopoty i finiszują z planem. Wykorzystamy tę szansę.

Strach przenikał Lomana Watkina, wypełniał go tak bardzo, że gdyby dał się wycisnąć, spływałby z ciała strugami jak deszcz z opętanego burzą nieba. Bał się o siebie i tego, czym jeszcze może stać się. O Denny'ego, który siedział odmieniony przy komputerze. I bez wątplenia czuł strach *przed* synem, był śmiertelnie przerażony i niezdolny nawet go dotknąć.

Potok danych przepływał przez ekran zielonymi falami.

Połyskliwe, srebrzyste oczy Denny'ego bez mrugnięcia powiek, niczym plamki rtęci w oczodołach, odbijały świetliste fale liter, liczb, wykresów i tabel.

Loman przypomniał sobie słowa Shaddacka, gdy ten ujrzał w domu Peysera człowieka przybierającego wilczą postać. Regresja nie była zwykłym procesem fizycznym, lecz przejawem panowania umysłu nad materią, świadomości nad formą. Regresywni po prostu zniechęcili się do życia Nowych Ludzi, więc poszukiwali wcieleń, w których było ono łatwiejsze do zniesienia. I chłopak znalazł *tę* formę, siłą woli przemienił się w groteskową istotę.

– Denny?

Milczał.

W jego wnętrzu ucichły już nawet elektroniczne odgłosy. Metaliczne przewody w końcówkach palców bezustannie wibrowały, czasem drgały, jakby pulsowała w nich gęsta ciecz niczym krew krążąca między organicznymi i nieorganicznymi częściami mechanizmu.

Serce Lomana waliło tak szybko, jakby przebierał nogami uciekając. Ale znieruchomiał sparaliżowany strachem. Oblał go pot. Ledwie powstrzymywał się, by nie zwymiotować obfitego śniadania.

Rozpaczliwie myślał, co robić. Już wie. Poprosi Shaddacka o pomoc. On na pewno zrozumie, co się stało i przywróci Denny'emu ludzką postać.

Ale to tylko pobożne życzenie. Projekt Księżycowy Jastrząb wymknął się już spod kontroli, o północy dokona się makabra, której Shaddack nigdy nie przewidział i nie mógł zapobiec.

Ponadto, nie wystraszyłby się widokiem Denny'ego. Wręcz przeciwnie, byłby zachwycony, radosny. Uznałby transformację chłopca za wyższy poziom przemiany, czego pragnął równie mocno jak pogardzał niepożądaną degeneracją regresywnych. Oto spełniły się marzenia Shaddacka: nastąpiła ewolucja człowieka w maszynę. Nawet teraz Loman słyszał go przemawiającego gorączkowo w zbryzganej krwią sypialni Peysera: – *...nie potrafię zrozumieć, dlaczego wszyscy regresywni zdecydowali się na przyjęcie tej zwierzęcej postaci. Z pewnością masz w sobie siłę, która sprawia, że podlegasz ewolucji sięgając po wyższą, czystsza, doskonalszą formę.*

Bez wątplenia śliniące się, srebrzystookie wcielenie Denny'ego nie było wyższą ani doskonalszą

formą ludzkiej egzystencji, lecz taką samą degeneracją, jak regresja Mike'a w wilkołaka.

Denny też uciekł przed życiem Nowej Osoby pozbawionej uczuć, wyrachowanej, zimnej. Zamiast bestią stał się jednym z przetworników danych w skomplikowanym superkomputerowym systemie. Pozbył się ostatniej człowieczej cechy – umysłu – i był czymś prostszym, niż olśniewająco złożona istota ludzka.

Kropla śliny spadła z brody Denny'ego tworząc mokre kółko na udzie.

Czy odczuwasz teraz lęk? – zastanawiał się Loman. Nie umiesz kochać, ja też nie. Ale czy boisz się teraz czegokolwiek?

Na pewno nie. Maszyny nie czują przerażenia.

Choć po przemianie Loman doświadczał wyłącznie strachu, a dni i noce stały się jednym długim pasmem bojaźni o różnym natężeniu, w jakiś perwersyjny sposób pokochał ten strach i pielęgnował w sobie, ponieważ łączył go z Watkinsem sprzed konwersji. Gdyby zabrano mu również strach, stałby się jedynie maszyną w ludzkim ciele i jego życie nie miałoby żadnego ludzkiego wymiaru.

Denny wyrzekł się również i tego uczucia, pozostawiając jedynie logikę, rozumowanie, nie kończące się łańcuchy kalkulacji, wieczne wchłanianie i przetwarzanie faktów. O ile Shaddack nie mylił się mówiąc o długowieczności Nowych Ludzi, mogło to trwać wieki!

Nagle niesamowity elektroniczny hałas znów dobiegł z wnętrza chłopca, odbijając się echem od ścian.

Te dźwięki przypominały dziwne żałobne pieśni i krzyki stworów zamieszkujących morskie głębiny.

Wezwanie Shaddacka, by zobaczył chłopca, oznaczało zachęcenie tego szaleńca do kontynuowania obłąkańczej i strasznej misji. Ujrzawszy Denny'ego mógłby nakłonić lub zmusić wszystkich Nowych Ludzi do przemiany w identyczne, niezawodne cybernetyczne jednostki. Ta wizja spotęgowała przerażenie Lomana.

Istota, która była jego synem, ponownie zamilkła.

Loman potwornie drżącą dłonią wyciągnął z kabury rewolwer.

Dane coraz szybciej pędziły przez ekran i jednocześnie w szklistych oczach chłopca.

Patrząc na niego Loman przywoływał wspomnienia z dawnego życia, próbując rozpaczliwie przypomnieć sobie uczucia do Denny'ego – miłość ojcowską, słodki ból dumy, nadzieję związaną z przyszłością chłopca. Przywołał wspomnienia wspólnych wypraw wędkarskich, wieczorów przed telewizorem, dyskusji o ulubionych książkach, długie godziny wspólnego opracowywania projektów do szkoły. Pomyślał o Bożym Narodzeniu, gdy Denny dostał pierwszy rower pod choinkę, i pierwszej randce chłopaka, gdy zdenerwowany przedstawiał rodzicom córkę Talmadgeów...

Jednak te pełne szczegółów obrazy z przeszłości nie poruszały go. Wiedział, że powinien coś *czuć*, coś więcej niż strach, zamierzając zabić jedyne dziecko, ale nie był już do tego zdolny. Jeśli została w nim resztką ludzkiej istoty, powinien uронić choć jedną łzę strzelając ze swego Smith and Wessona, ale oczy miał suche.

Bez ostrzeżenia coś wyskoczyło z czoła Denny'ego.

Loman zdumiony cofnął się z krzykiem na ustach.

Z początku pomyślał, że to robak, ponieważ było oleiście błyszczące i rozczłonkowane, grubości ołówka. Gdy wysuwało się coraz dalej, zauważył, że jest raczej metaliczne, a nie organiczne, zakończone wtyczką w kształcie rybiego pyska o przekątnej trzykrotnie większej niż sam *robak*. Jak czułki wyjątkowo odrażającego owada wilo się przed twarzą Denny'ego, wysuwając się coraz dalej, aż sięgnęło komputera.

On *chce*, by to się stało.

Tak wyglądało panowanie umysłu nad materią, okiełznanie oszalałej biologii, więc jeśli takiego życia chłopiec pragnął, dlaczego nie pozwolić mu na to?

Odrażający robakowaty przewód zagłębił się w odsłonięty mechanizm komputera. Zniknął wewnątrz tworząc połączenie, które pomogło chłopcu nawiązać jeszcze intymniejszy kontakt ze Słońcem, niż pozwalały na to jego nowe ręce i rtęciowe oczy.

Głuchy, elektroniczny, mrozący krew w żyłach płacz dobiegał z gardła chłopca, choć wargi i język ani drgnęły.

Lomana ogarnął większy strach przed bezczynnością niż przed działaniem. Zrobił więc krok do przodu i przystawiwszy lufę rewolweru do prawej skroni chłopca, wystrzelił dwa razy.

Nisko pochylona na ganku, przyciśnięta do ściany domu Chrissie od czasu do czasu zerkała ostrożnie przez okno na ludzi przy kuchennym stole upewniając się coraz bardziej, że może im zaufać. Przez zamknięte okno docierały do niej jedynie strzępy rozmowy, zagłuszanej dodatkowo szumem deszczu. Jednak zorientowała się, że wiedzą o wydarzeniach w Moonlight Cove. Dwoje nieznajomych chyba ukrywało się w domu pana Talbota, tak jak ona, uciekając przed pościgiem. Najwyraźniej omawiali plan uzyskania pomocy z zewnątrz.

Zdecydowała, że nie zapuka do drzwi z solidnego drewna bez szyb, gdyż i tak nie zobaczą jej. Usłyszała dostatecznie dużo, by wiedzieć, że byli spięci i zdenerwowani. Niespodziewane pukanie przyprawiłoby ich o zawał serca albo chwyciwszy za broń, roztrzaskaliby drzwi z nią włącznie.

Więc wyprostowała się i zastukała w szybę.

Pan Talbot zdumiony podniósł głowę i wskazał ręką okno, podczas gdy mężczyzna z kobietą zerwali się na równe nogi z gwałtownością marionetek podskakujących na sprężynie. Moose szczeknął kilka razy. Troje ludzi i pies patrzyli w zdumieniu na Chrissie. Wyglądali tak, jakby ujrzeli maniaka wymachującego piłą mechaniczną w skórzanym kapturze zakrywającym zniekształconą twarz, a nie umęczoną jedenastoletnią dziewczynkę.

Zdawała sobie sprawę, że w opanowanym przez kosmitów Moonlight Cove nawet żalosna, przemoczona i wyczerpana dziewczynka może przerażać tych, którzy nie wiedzieli, czy wciąż jest ludzką istotą. W nadziei, że pokonają strach, błagała przez szybę:

– Pomóżcie mi. Proszę, pomóżcie mi.

Maszyna w skórze Denny'ego krzyczała. Dwa pociski roztrzaskały jej czaszkę, zmiotły z krzesła i rzuciły na podłogę sypialni. Runęła pociągając krzesło. Wydłużone palce oderwały się od komputera, a przypominający robaka przewód złamał się w połowie długości między komputerem i czołem, z którego wyskoczył. Istota leżała na podłodze drgając i trzęsąc się. Loman musiał widzieć w niej maszynę, a nie syna, gdyż inaczej byłoby to zbyt przerażające.

Roztrzaskana kulami twarz przypominała niesamowitą maskę. Srebrzyste oczy poczerniały. Wydawało się, że to olej, nie rtęć, wypełnia oczodoły tej istoty.

Wśród zmiądzonych kości czaszki Loman ujrzał coś przypominającego zwinięty przewód i połyskliwe, ceramiczne odłamki o dziwnych geometrycznych kształtach, a nie szarą masę mózgu. Nad krwawiącymi ranami unosiły się wiązki niebieskiego dymu.

Maszyna wciąż krzyczała.

Te elektroniczne odgłosy nie dochodziły teraz z wnętrza chłopca, ale z komputera. Równie nie pasowały do maszyny z elementami żywego organizmu, jak i do chłopca, będącego w połowie maszyną.

Loman uświadomił sobie, że elektroniczne łkania mają ludzkie brzmienie.

Dane zniknęły z ekranu, a jedno słowo powtarzało się setki razy, tworząc ciągłą linię: NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, NIE.

Nagle pojął, że Denny jest tylko w połowie martwy. Zniszczony został mózg chłopca, ale część jego świadomości żyła w jakiś sposób w komputerze.

Właśnie ta część jego istoty krzyczała zimno-mechanicznym głosem.

Na ekranie przepływały słowa:

GDZIE JEST RESZTA MOJEJ ISTOTY, GDZIE JEST RESZTA MOJEJ ISTOTY... NIE NIE NIE. NIE, NIE, NIE, NIE, NIE...

Loman czuł się tak, jakby w jego żyłach płynęła lodowata maź, pompowana przez serce, stwardniała jak mięso w zamrażalniku. Jeszcze nigdy nie czuł takiego chłodu.

Odsunął się od poskręcane go ciała, które wreszcie przestało drgać i wycelował w komputer, rozbijając go na kawałki. Wystrzelał cały magazynek. Żaluzje i zasłony były zaciągnięte, więc w

pokoju panowała ciemność. Tysiące iskier tryskały niczym fontanna z komputera, rozjaśniając wnętrze. Wreszcie rozległy się trzask, huk i maszyna znieruchomiła. Znow zapadł mrok.

Powietrze cuchnęło spaloną izolacją. I czymś gorszym.

Loman opuściwszy pokój chwilę stał przy schodach, opierając się o poręcz, po czym skierował się do hallu.

Naładował ponownie rewolwer i wsadził go do kabury.

Wyszedł na deszcz.

Szybko wsiadł do samochodu i włączył silnik.

– Shaddack – powiedział głośno i złowróźnie.

Tessa bezzwłocznie zajęła się dziewczynką. Zaprowadziła ją na górę, pozostawiając Harry'ego, Sama i Moose'a w kuchni, i zdjęła z niej mokre ubranie.

- Dzwonisz zębami z zimna, kochanie.
- To szczęście, że mogę nimi jeszcze dzwonić.
- Masz całkowicie siną skórę.
- To cud, że wciąż ją noszę – odpowiedziała Chrissie.
- Zauważyłam równie, że kulejesz.
- Skręciłam kostkę.
- Jesteś pewna, że tylko nadwerżyłaś?
- Naprawdę, nic poważnego. Poza tym...
- Wiem – wtrąciła Tessa – Wspaniale, że *masz* kostki.
- Właśnie. Dla kosmitów to wyjątkowy przysmak, jak dla niektórych ludzi golonka.

Siedziała w pokoju gościnnym na brzegu łóżka, otulona wełnianym kocem czekając, aż Tessa wyjmie z bieliźniarki prześcieradło i kilka agrafek z pudełka z przyborami do szycia.

– Ubrania Harry'ego są na ciebie o wiele za duże, więc na razie zawinę cię w prześcieradło, a twoje rzeczy wrzucę do suszarki. Potem zejdziemy na dół i opowiesz nam wszystko – powiedziała Tessa.

- Przeżyłam prawdziwą przygodę.
- Owszem, wyglądasz, jakbyś dużo przeszła.
- Można by napisać o tym powieść.
- Lubisz książki?
- Uwielbiam.

Zaczerwieniona odrzuciła koc i pozwoliła owinać się prześcieradłem, które Tessa starała się upiąć w coś przypominającego togę.

W międzyczasie Chrissie zwierzała się:

– Myślę, że pewnego dnia napiszę książkę pod tytułem *Plaga kosmitów* albo *Królowa Gniazda*. Oczywiście zatytułuję ją tak, gdy okaże się, że gdzieś naprawdę istnieje gniazdo królowej. Kto wie, może kosmici rozmnażają się jak warzywa, a nie jak insekty czy zwierzęta. Wówczas musiałabym zatytułować książkę *Ziarna z zaświatów* albo *Warzywa z otchłani* lub *Mordercze Marsjańskie Muchomory*. Czasem dobrze brzmi aliteracja w tytule. Nie podoba ci się to słowo? Brzmi tak ładnie. Lubię słowa. Oczywiście, zawsze można wymyślić bardziej poetycki, niezwykły tytuł, jak *Kosmiczne Korzenie*, czy *Kosmiczne Liście*. Hej, jeśli to są rośliny, to mamy szczęście, w końcu zniszczą je mszyce... albo inne robactwo. Nie ochronią się przed ziemskimi chorobami. Przecież kilka małych zarazków zabiło potężnych Marsjan w *Wojnie światów*.

Tessa z przyjemnością słuchała tej dziecięcej paplaniny, więc nie sprostowała, że ich wrogowie twardo stąpają po ziemi i wcale nie przylecieli z kosmosu. Po chwili zauważyła zranioną aż do żywego ciała rękę Chrissie.

– Spadłam w probostwie z dachu ganku – wyjaśniła dziewczynka.

– Z dachu?

– Tak. O rany, *to* było naprawdę niesamowite. Widzi pani, ten wilkowaty stwór wyskoczył za mną przez okno, a ja nie miałam innej drogi ucieczki. Wtedy potłukłam się, a później pędziłam przez podwórze do furtki, żeby mnie nie złapał. Wie pani...

– Mów mi Tessa, proszę.

Chrissie nie zwykła zwracać się do dorosłych po imieniu, więc zmarszczywszy brwi rozważała tę propozycję. Po chwili najwidoczniej uznała, że byłaby niegrzeczna ignorując taką prośbę.

– W porządku... Tessa. W każdym razie nie wiem, co jeszcze kosmici z nami robią, jeśli nas złapią. Może zjedzą nasze nerki. A może w ogóle nas nie zjedzą. Może wcisną nam do uszu małe kosmiczne chrabąszcze, które wpłyną do naszych mózgów i odmienią je. Tak czy owak uważam, że warto spaść z dachu, żeby uciec.

Tessa upięła togę i zaprowadziła Chrissie do łazienki, gdzie w apteczce znalazła buteleczkę jodyny, zużytą w połowie rolkę plastra samoprzylepnego i pożółkłą ze starości paczkę tamponów z gazy, ale sama gaza wyglądała świeżo i biało, a jodyna nie była przeterminowana.

Bosa, owinięta w prześcieradło, ze skreconymi, wilgotnymi jeszcze włosami Chrissie siedziała na sedesie i ze stoickim spokojem, nawet nie pisnąwszy z bólu, znosiła opatrywanie rany.

Ale *wciąż* mówiła:

– Już drugi raz spadłam z dachu, więc chyba czuwa nade mną anioł stróż. Wiosną, bodaj półtora roku temu, szpaki zbudowały gniazdo na dachu jednej z naszych stajni, a ja po prostu *musiałam* zobaczyć pisklęta. Gdy moich rodziców nie było w pobliżu, wzięłam drabinę i czekałam, aż samica polecą po jedzenie, wtedy wspierałam się szybko, by popatrzeć na nie chwilę. Słuchaj, małe ptaszki to najbrzydsze stworzenia na świecie, z wyjątkiem kosmitów, oczywiście. Są wysuszone,

pomarszczone, widać tylko oczy, dziób i krótkie skrzydełka jak poskręcane ramiona. Gdyby noworodki wyglądały tak okropnie, to pierwotni ludzie wrzucaliby potomstwo do klozetu, o ile mieliby takowy, nie odważyliby się rodzić więcej dzieci i wówczas nasza rasa wymarłaby.

Tessa z trudem powstrzymywała uśmiech, gdy Chrissie tak opowiadała z przejęciem.

– Wtedy przyleciały tata-ptak i mama-ptak i zobaczyły mnie przy gnieździe. Przyfrunęły do mojej twarzy z potwornym jazgotem. Tak przestraszyłam się, że spadłam z dachu. Nic mi się nie stało, tyle że wylądowałam w końskim łajnie. Nieszczerólnie przeżycie, musisz przyznać. Kocham konie, ale byłyby jeszcze bardziej kochane, gdyby korzystały z pojemnika na odchody, jak koty.

Tessa oszalała na punkcie tego dzieciaka.

Sam, wsparty łokciami o stół, słuchał uważnie Chrissie Foster. Choć Tessa zobaczyła w przelocie jedną ze Zjaw podczas masakry w Cove Lodge, Harry obserwował je z daleka w ciemności i we mgle, a Sam dostrzegł dwie ostatniej nocy przez okno, to jedynie dziewczynka kilkakrotnie widziała je z bliska.

Ale nie tylko doświadczenia z istotami przyciągały jego uwagę. Był również urzeczony jej żywiołowym sposobem bycia, humorem i bogactwem języka. Z pewnością miała dużo hartu ducha, dzięki czemu przeżyła poprzednią noc i rano. A jednak pozostała czarująco niewinną, twardą, ale nie cyniczną dziewczynką. Takie dzieciaki sprawiają, że patrzy się z nadzieją na cały cholerny rodzaj ludzki.

Takim dzieciakiem był niegdyś Scott.

I właśnie dlatego Sama zafascynowała Chrissie Foster. Ujrzał w niej odbicie syna przed Zmianą. Z przejmującym żalem i ściśniętym gardłem obserwował dziewczynkę i słuchał jej nie tylko po to, by uzyskać informacje, ale również by zrozumieć, dlaczego jego syn takim nie pozostał.

Skryci w ciemnościach piwnicy Tucker ze zgrają nie spali, ponieważ nie potrzebowali snu. Leżeli skuleni w głębokiej ciemności. Od czasu do czasu kopulowali z samicą i atakowali się w dzikim szaleństwie, rozdierając sobie ciała, które goiły się natychmiast, i z rozkoszą wdychali zapach krwi przeciwnika.

Z każdą godziną Tucker coraz mniej pamiętał dawną egzystencję, tracił poczucie własnego ja. Indywidualizm był czymś niewskazanym podczas krwiożerczych polowań, a w jaskini jeszcze mniej pożądaną cechą. Zachowanie harmonii w tym klaustrofobicznym pomieszczeniu bez okien wymagało zespolenia z grupą.

Przedstawiały mu się ciemne, dzikie kształty, pełzające przez otulone nocą lasy i księżycowe łąki. Gdy chwilami wspomniął ludzką postać, jej pochodzenie było dla niego tajemnicą, co więcej, wystraszony tym wspomnieniem szybko znowu fantazjował o bieganinie – polowaniu – zabijaniu – kopulowaniu, gdy był jedynie częścią zgrai, elementem jednego organizmu, wyzwolony z potrzeby myślenia, pozbawiony jakichkolwiek pragnień z wyjątkiem tego, by istnieć.

W pewnym momencie uświadomił sobie, że pozbywa się wilkowatej postaci, gdyż nie chce już dłużej przewodzić zgrai i ponosić zbytej odpowiedzialności. W ogóle pragnął tylko być. Po prostu *być*.

Wyczuwał, że kompani świadomi tej degradacji szli za jego przykładem.

Czuł, jak jego ciało mięknie, kości roztapiają się, a organy i naczynia krwionośne stopniowo zanikają. Cofał się poza stadium małpy człekokształtnej i czteronogiej istoty, która wypełzła z pradawnego morza przed tysiącami lat, aż wreszcie stał się masą pulsującej tkanki, protoplazmową pulpą drgającą w ciemnościach piwnicy.

Loman nacisnął dzwonek przy drzwiach domu Shaddacka na północnym krańcu zatoki. Otworzył służący Evan.

– Przykro mi, komendancie Watkins, ale pana Shaddacka nie ma w domu.

– Gdzie jest?

– Nie wiem.

Evan był jednym z Nowych Ludzi. Loman strzelił mu dla pewności dwa razy w głowę, a później w klatkę piersiową, miażdżąc jego mózg i serce. Albo procesor danych i pompę. Która terminologia była właściwa?

W jakim stopniu stali się już maszynami?

Zamknawszy drzwi przestąpił ciało Evana i po załadowaniu rewolweru przetrząsnął ogromny dom, pokój po pokoju, piętro po piętrze w poszukiwaniu Shaddacka.

Żałował, że nie kierują nim głód zemsty ani furia, że nie czerpie satysfakcji z tych poczynań. Odebrano mu uczucia. Śmierć syna też nie stopiła lodu w jego sercu. Nie potrafił odczuwać żalu czy wściekłości.

Ale kierował nim strach. Chciał zniszczyć Shaddacka, zanim ten szalenie przemieni ich w coś jeszcze gorszego.

Zabijając go uruchomił program, który wysłał mikrofalami rozkaz śmierci. Ta transmisja dotrze do wszystkich mikrosfer w tkankach Nowych Ludzi. Po otrzymaniu polecenia każdy biologicznie współaktywny komputer w Nowej Osobie natychmiast unieruchomi serce właściciela, więc wszyscy poddani konwersji w Moonlight Cove umrą. On też.

Ale nie dbał już o to. Odczuwał słabszy strach przed śmiercią niż przed życiem, zwłaszcza taką egzystencją, jaką wiedli regresywni czy ta odrażająca istota, którą stał się Denny.

Oczyma wyobraźni widział siebie w tym żalonym stanie – połyskliwe, rtęciowe oczy, podobna do robaka macka wyskakująca bezkrwawo z czoła w poszukiwaniu obscenicznego połączenia z komputerem...

Nie znalazłszy Shaddacka w domu, wyruszył do siedziby New Wave. Stwórca nowego świata bez wątplenia przebywał w biurze, pracowicie projektując osiedla dla tego piekła, które nazywał rajem.

Tuż po jedenastej Tessa wyszła z Samem na ganek. Harry i Chrissie zostali w kuchni. Wysokie drzewa na tyłach posesji chroniły podwórze przed wzrokiem sąsiadów, nawet tych z wyżej położonych domów.

– Słuchaj – powiedziała – to bez sensu, żebyś szedł sam.

– To ma sens.

Powietrze było chłodne i wilgotne, więc skuliła ramiona.

– Mogłabym zadzwonić do drzwi – nie ustępowała odciągając uwagę kogoś w środku, a ty przemknąłbyś się od tyłu.

– Niepokoiłbym się o ciebie.

– Poradzę sobie.

– O tak, wiem.

– Więc?

– Ale ja pracuję w pojedynkę. – Uśmiechnął się nieznacznie: – Znów zaczniemy się kłócić o to, czy życie jest przyjęciem, gdzie częstują herbatą, czy piekłem na ziemi?

– To nie była kłótnia, lecz dyskusja.

– No cóż, w każdym razie od dawna wykonuję tajne operacje sam. Już nie chcę żadnego partnera Tessa, by nie patrzeć, jak umiera.

Zrozumiała, że myśli nie tylko o agentach, którzy zginęli w czasie akcji, ale także o żonie.

– Zostań i zaopiekuj się dziewczynką w razie potrzeby. W końcu ona jest taka jak ty.

– Co?

– Potrafi kochać życie bez względu na to, co się dzieje. To rzadki i cenny dar.

– Ty też.

– Nie. Nigdy nie umiałem.

– Do diabła, każdy rodzi się z miłością do życia. Ona wciąż w tobie jest, Sam, możesz ją znów odnaleźć.

– Zajmij się małą. – Odwrócił się i zszedł po schodach ganku prosto w deszcz.

– Lepiej wróć, do licha. Obiecałeś, że mi powiesz, co widziałeś po Drugiej Stronie.

Oddalał się w strugach srebrnego deszczu i szarej mgle.

Patrząc za nim Tessa zdała sobie sprawę, że gdyby nawet nie opowiedział o Drugiej Stronie, i tak chciała, by wrócił, z wielu innych złożonych i zadziwiających powodów.

Coltrane'owie mieszkali dwa budynki dalej, na Conquistador, w dwupoziomowym domu z wyblakłymi cedrowymi ścianami i zadaszonym patio zamiast ganku.

Przemykając szybko wzdłuż tylnej ściany domu, gdzie deszcz spływał z daszku patio z odgłosem przypominającym trzask płomieni, Sam zajrzał przez rozsuwane oszklone drzwi do mrocznego salonu, a potem przez okno do ciemnej kuchni. Gdy dotarł do drzwi kuchennych, wyjął z kabury pod skórzaną kurtką rewolwer i trzymał go lufą w dół.

Mógł od frontu nacisnąć dzwonek, co byłoby mniej podejrzane dla domowników, ale musiałby wyjść na ulicę. A tam czyhały patrole i wścibskie oczy sąsiadów.

Zapukał więc do tylnych drzwi. Cztery krótkie uderzenia. Cisza. Zapukał kilka razy głośniejsze. Nikt nie pojawił się.

Marley i Sue Coltrane na pewno siedzieli w New Wave. Drzwi zamknęli na klucz, miał nadzieję, że na zamek bez zasuwki. Większość narzędzi zostawił u Harry'ego. Wziął tylko giętką metalową płytkę. Na filmach telewizyjnych używano kart kredytowych jako wytrycha, ale zbyt często klinowały się w szczelinie między drzwiami a framugą lub łamały, zanim zamek odskoczył. Wolał sprawdzone narzędzia. Wsunąwszy płytkę poniżej zamka podsuwał ją do góry, aż ten puścił. Pchnął i drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem. Na szczęście nie było zasuwki.

Wszedł. Upewniwszy się, że zamek nie zatrzaśnie się, delikatnie zamknął drzwi. W razie ucieczki nie straci czasu na mocowanie się z zamkiem.

Kuchnię nieco rozjaśniało ponure światło deszczowego dnia. Wykładzina na podłodze, tapety i glazura na ścianach miały chyba najbledszy z możliwych kolorów i w tym mroku wszystko zlewało się w szarość.

Prawie minutę nasłuchiwał uważnie w bezruchu.

Słyszał tykanie kuchennego zegara.

O dach patio uderzał deszcz.

Mokre włosy przykleiły mu się do czoła. Odsunął je sprzed oczu.

Gdy poruszał się, skrzypiały mu wilgotne buty.

Podszedł prosto do telefonu wiszącego na ścianie nad narożną komodą. Podniósł słuchawkę, w której rozległy się dziwne odgłosy: trzaski, głuche buczenie, ciche drgania, a wszystko zlewało się w żalobny i obcy elektroniczny tren.

Sam poczuł chłód na karku.

Ostrożnie, cicho odłożył słuchawkę na widełki. Zastanawiał się, co za dźwięk wydaje telefon, służący jako łącze między dwoma komputerami, wyposażonymi w modem. Może ktoś pracował teraz w domu i właśnie kontaktował się z New Wave przez komputer?

Czuł, że tych odgłosów w słuchawce tak łatwo nie wytłumaczy się. To było cholernie niesamowite.

Jadalnia znajdowała się za kuchnią. W ogromnych oknach wisiały firanki tłumiąc i tak słabe światło dnia. Bufet, stół i krzesła jawiły się jako skupiska czarnoszarych cieni.

Ponownie nasłuchiwał. Spokój. Dom zbudowano według typowego kalifornijskiego projektu, bez hallu na dole. Wszystkie pokoje przylegały do siebie na przestronnym parterze. Przez łukowate przejście wszedł do dużego salonu, zadowolony, że podłogę pokrywa wykładzina tłumiąca kroki.

Było tu jaśniej niż w innych pomieszczeniach, które dotychczas widział, ale równie szaro.

Okna na zachodniej ścianie osłaniał frontowy ganek, ale po tych wychodzących na północ lały się strugi deszczu. Ołowiane światło dnia wypełniało pokój cieniami setek kropeł, spływających po szybach i Sam był tak spięty, że niemal czuł, jak te fantomy pełzają mu po ciele.

Miał wrażenie, że ogląda czarno-biały film, jeden z tych ponurych francuskich *czarnych* obrazów. Nagle z ostatniego pokoju, może z gabinetu, dobiegł przenikliwy trel przyprawiający o ból zębów, a potem żalony krzyk, niepodobny do głosu człowieka ani maszyny, jakiś pośredni metaliczny dźwięk pełen strachu i rozpacz.

Następnie rozległo się elektroniczne pulsowanie, przypominające uderzenia potężnego serca.

A potem nastąpiła cisza.

Uniósł rewolwer przed siebie, gotów strzelać do wszystkiego, co ruszy się. Ale wokół panowała martwa cisza.

Trel, niesamowity krzyk i pulsowanie z pewnością nie pochodziły od Zjaw, których do tej pory najbardziej obawiał się. Teraz bardziej przeraził się nieznaną istotą, czającej się gdzieś w pokoju.

Czekał.

Nic nie wydarzyło się.

Miał niesamowite wrażenie, że coś tajemniczego śledzi każdy jego ruch, równie intensywnie, jak on nasłuchiwał tego czegoś.

Marzył o powrocie do Harry'ego, by zastanowić się nad innym sposobem przesłania wiadomości do Biura. Meksykańskie jedzenie, Guinness i filmy z Goldie Hawn wydawały się teraz cenne ponad wszystko. Nie były już tylko żalonymi powodami, dla których warto żyć, ale wręcz przyjemnościami nie do opisania.

Jedynie Chrissie Foster powstrzymała go przed paniczną ucieczką. Wspomnienie jej jasnych oczu i niewinnej twarzy, entuzjazmu i ożywienia, z jakim opisywała przygody. Zawiódł Scotta i może już nie zdoła uratować go, ale Chrissie wciąż żyła w pełnym znaczeniu tego słowa fizycznie, intelektualnie, emocjonalnie – a to życie zależało od niego. Nikt inny nie uratuje jej przed konwersją.

Do północy pozostało niespełna dwanaście godzin.

Wydostał się ostrożnie z salonu i cicho przeszedł na drugą stronę foyer. Stał, przyciśnięty plecami do ściany obok uchylonych drzwi do pokoju, z którego dochodziły dziwne odgłosy.

Coś stukało w środku.

Zesztywniał.

Głuche, ciche stuki. Nie *puk – puk – puk* pazurów na szybie jak w nocy. Raczej długa seria płotków, wywracanych przez biegacza, kilkadziesiąt przekręcanych kontaktów, spadające kostki domina:

klik – klak – klik – klak – klak – klik – klik – klak...

I znów cisza.

Z rewolwerem w dłoniach pchnął stopą drzwi. Przekroczywszy próg, przyjął pozycję strzelca.

Okna zasłaniały wewnętrzne okiennice, a światło docierało jedynie z komputerów. Czarny tekst ukazywał się na bursztynowym tle, więc pomieszczenie tonęło w złotawej poświacie.

W przeciwległych rogach pokoju przed ekranami siedziało dwoje ludzi plecami do siebie.

– Nie ruszać się – krzyknął.

Ani drgnęli i nie odezwali się. W pierwszej chwili pomyślał, że nie żyją.

Ów dziwny blask, choć silniejszy niż światło dnia, wcale nie rozpraszał mroku w pokoju. Oswoiwszy się z ciemnością zobaczył, że przy komputerach tkwią nienaturalnie sztywne istoty nie będące już właściwie ludźmi. Zbliżył się do nich koszmarnie przerażony.

Nieświadomy obecności Sama nagi mężczyzna, prawdopodobnie Harley Coltrane, siedział na obrotowym krześle połączony z komputerem dwoma przewodami o calowej grubości. W bursztynowym blasku wyglądały bardziej organicznie niż metalicznie. Wychodząc z komputera wtapiały się bezkrwawo poniżej żeber w goły tors mężczyzny.

– Dobry Boże – wyszeptał Sam.

Od łokci na rękach były tylko kości, przypominające zgrabne metalowe kończyny robota. Te szkieletowe dłonie, niczym para imadeł, ścisnęły mocno przewody.

Sam zauważył, że kości nie są oddzielone, lecz częściowo stopione ze sobą i pokryte żyłkami metalu. Oniemiały patrzył, jak przewody pulsowały coraz silniej, aż do szaleńczej wibracji. Tylko dlatego, że mocno przytrzymały je zaciśnięte dłonie, nie oderwały się od człowieka ani od maszyny.

Wydź.

Wewnętrzny głos mówił mu, żeby uciekał. Był tak przerażony, że czuł się jak mały, bezbronny Sam.

Obezwładniający strach zazwyczaj wpędza nas w zapomniany i nieznośny stan bezradności, w jakim upływa większość dzieciństwa.

Wydź, biegnij, biegnij, wydź!

Oparł się pragnieniu ucieczki.

Chciał zrozumieć, co się działo? Czym stali się ci ludzie? *Dlaczego?* Co to miało wspólnego ze Zjawami włóczącymi się po nocy? Najwidoczniej, dzięki mikrotechnologii, Thomas Shaddack wynalazł sposób radykalnej i nieodwracalnej zmiany ludzkiej biologii. To wszystko, co wiedział, ale wiedzieć tylko tyle, to jak przeczuwać, że coś żyje w morzu, choć nigdy nie widziało się nawet ryby.

A w głębi kryło się o wiele więcej...

Wydź.

Mężczyzna siedzący przed nim i kobieta po drugiej stronie pokoju najwyraźniej nie byli świadomi jego obecności, więc nie groziło mu bezpośrednio niebezpieczeństwo.

Biegnij, mówił mu przestraszony mały Sam.

Rzeka danych, liczb i wykresów płynęła przez bursztynowy ekran, a Harley Coltrane wpatrywał się nieruchomo w ten połyskujący obraz. Nie widział jak zwyczajny człowiek, ponieważ jego oczy zastąpiono zbitką czujników: małe paciorki rubinowego szkła, małe wiązki przewodu, ostre ceramiczne końcówki wyzierały z głębokich, czarnych oczodołów.

Sam trzymał teraz rewolwer tylko jedną dłonią, dotykając bezpiecznika, a nie spustu, gdyż trząsał się tak bardzo, że mógł niechcący wystrzelić.

Pierś człowieka-maszyny wznosiła się i opadała, a z otwartych ust zionął gorzki cuchnący oddech.

Skronie i okropnie nabrzmięte arterie szyjne pulsowały szybko. Drgały także czoło, szczęki, brzuch i przedramiona, na których widniały zgrubiałe naczynia krwionośne, obciążone skórą.

Wydawało się, że system krążenia zmodyfikowano i wzmocniono, by służył nowym funkcjom ciała, a owo pulsowanie przebiegało w dziwnym rytmie, jakby wewnątrz biły co najmniej dwa serca.

Wrzask dobył się z rozdziawionych ust istoty, Sam drgnął i krzyknął zaskoczony. Ten dźwięk przypominał niesamowite głosy, które słyszał w salonie. Wówczas sądził, że dochodzą z komputera.

Coraz piskliwszy elektroniczny płacz aż świdrował boleśnie w uszach. Sam przeniósł wzrok z otwartych ust człowieka-maszyny na „oczy”. Czujniki wciąż sterczały w oczodołach. Paciorki rubinowego szkła świeciły od wewnątrz i Sam zastanawiał się, czy ta istota widzi go w podczerwieni, czy jakoś inaczej. Czy w ogóle go widzi? Może postrzega ludzki świat w innym wymiarze i Sam jest dla niego czymś nieważnym, ulotnym.

Wrzask urwał się gwałtownie.

Sam bezwiednie podniósł rewolwer i z odległości około osiemnastu cali wymierzył w twarz Coltrane’a. Stwierdził z przestraszeniem, że palec ześliznął mu się z bezpiecznika na spust i zamierza zniszczyć tę istotę.

Zawahał się. Mimo wszystko, to wciąż był człowiek. Może pragnął obecnego stanu bardziej niż normalnego życia? Kto miał prawo twierdzić, że był nieszczęśliwy? Sam czuł się nieswojo w roli sędziego, a jeszcze gorzej w roli kata. Ponieważ przeżywał piekło na ziemi, brał pod uwagę i taką możliwość, że Coltrane po prostu uciekł do czegoś lepszego.

Kable łączące człowieka z komputerem *zabrzęczały*. Grzechotały, uderzając o szkieletowate dłonie, w których tkwiły jak w imadle.

Oddech Coltrane’a zionął smrodem rozkładającego się mięsa i przegrzanych części elektronicznych.

Błyszczące czujniki poruszały się w oczodołach bez powiek.

Wydawało się, że twarz Coltrane’a zastygła w nie kończącym się krzyku. Pulsujące na szczękach i skroniach naczynia krwionośne wyglądały niczym pasożyty wijące się pod skórą. Z dreszczem obrzydzenia Sam pociągnął za spust. W tym niewielkim pomieszczeniu wystrzał zabrzmiał jak grzmot.

Trafiona z bliska głowa odskoczyła w tył, a potem opadła brodą na pierś, dymiąc i krwawiąc.

Odrażające przewody wciąż nabrzmiewały i kurczyły się rytmicznie, tłocząc wewnętrzny płyn.

Sam wyczuł, że ten człowiek jeszcze żyje. Skierował broń w ekran komputera.

Jedna ze szkieletowych rąk puściła przewód. Z *klekotem* – *stukotem* – *trzaskiem* nagich kości wysunęła się błyskawicznie i złapała Sama za nadgarstek.

Krzyknął przerażony.

Pokój wypełniły elektroniczne brzęki, trzaski, buczenie i świergot.

Piekielna dłoń ścisnęła go tak mocno, że kościste palce wgniotły się w ciało. Czuł, jak ciepła

krwawo wypływa spod rękawa koszuli. Struchlał, że ten nieludzko silny człowiek-maszyna zmiażdży mu nadgarstek i uczyni go kaleką, a w najlepszym razie ścierpnie mu ręką i wypuści rewolwer.

Coltrane próbował unieść na wpół strzaskaną głowę.

Sam przypomniał sobie matkę uwięzioną we wraku samochodu, matkę z rozłupaną twarzą, szczerzącą do niego zęby, milczącą i nieruchomą.

Kopnął wściekle krzesło z nadzieją, że potoczy się dalej, ale kółka były zablokowane.

Koścista dłoń zacisnęła się mocniej i Sam krzyknął. Wzrok zachodził mu mgłą z bólu.

Wciąż jednak widział unoszącą się powoli głowę.

Jezu, nie chcę patrzeć na tę zmasakrowaną twarz.

Z całej siły kopał w przewody łączące Coltrane'a z komputerem, aż oderwały się od jego ciała z odrażającym odgłosem, mężczyzna zaś opadł na krzesło. Jednocześnie szkieletowa dłoń puściła nadgarstek i uderzyła z metalicznym grzechotem o plastikową matę na podłodze.

Dudniące elektroniczne impulsy odbijały się echem od ścian, a spośród nich przebijało piszczenie.

Zszokowany Sam przytrzymał lewą ręką krwawiący nadgarstek, jakby chciał uśmierzyć kłujący ból.

Coś otarło się o jego nogi.

W dole zobaczył na wpół organiczne przewody, przypominające bezgłowe węże pełne życia. Wypelzały z komputera coraz dłuższe. Jeden owinał się wokół jego lewej kostki, a drugi piął się po prawej łydce.

Sam próbował wyrwać się.

Trzymały go mocno.

Wyczuł instynktownie, że szukają nagiego ciała powyżej pasa, by wdążyć się i uczynić go częścią systemu.

Wciąż trzymał rewolwer w skrwawionej dłoni. Wycelował w ekran, na którym widniała teraz twarz Coltrane'a. Wydawało się, że widzi Sama, gdyż patrząc mu prosto w oczy mówił: *...potrzebować... potrzebować... chcieć... potrzebować... chcieć.*

Sam pojął tylko to, że Coltrane nie umarł i jakimś cudem tkwił żywy w tej maszynie.

Jakby na potwierdzenie szklany ekran powoli przybierał kształty twarzy. Szkło, płynne jak żelatyna, wysuwało się do przodu. Zdawało się, że to Coltrane wyłania się z wewnątrz.

Niewiarygodne, a jednak działo się. Harley Coltrane kontrolował materię siłą umysłu, który nie był już nawet powiązany z ludzkim ciałem.

Sam stał jak zahipnotyzowany z palcem na spuście. Do świata, który znał i nagle pokochał, przenikała koszmarna rzeczywistość wypełniona bezmiarem zła.

Jeden z węzowatych przewodów, dotarłszy do klatki piersiowej, prześlizgiwał się pod swetrem do nagiego ciała. Sam, czując dotknięcie jakby rozpalonego do białości żelaza, oprzytomniał nagle. Strzelił do komputera dwa razy. Najpierw wpackował kulę w ekran o twarzy Coltrane'a.

Wbrew obawom, że nabój przeleci bez efektu, kineskop eksplodował do wewnątrz, jakby wciąż był ze szkła. Drugim wystrzałem doszczętnie zniszczył wnętrze komputera, zabijając wreszcie to, czym stał się Coltrane.

Blade, połyskujące macki puściły go. Pokryły się bąblami i bulgocąc, rozkładały się w oczach.

Niesamowite elektroniczne buczenie, trzaski i modulacje, teraz nieco cichsze, ale dziwnie przenikliwe, wciąż wypełniały pokój.

Sam zobaczył, że śluzowate przewody łączące kobietę z drugim komputerem wydłużyły się, ona zaś obróciła się na krześle w jego stronę. Wyglądała nieco inaczej, choć nie mniej odrażająco niż jej mąż. W wielkich oczodołach zamiast sensorów tkwiły czerwone kule, trzykrotnie większe od zwykłych oczu. Przypominały raczej nieruchome receptory z wąskim polem widzenia i Sam dostrzegł w nich swój odwrócony obraz. Na nogach, brzuchu, piersiach, rękach i twarzy tuż pod skórą przebiegały nabrzmięte naczynia krwionośne. Zdawało się, że rozciągnęły się do granic możliwości.

W niektórych może płynęła krew, ale z innych wydobywało się zielonawo-pomarańczowe pulsujące światło.

Mackowata sonda grubości ołówka wystrzeliła jak pocisk z czoła i w ułamku sekundy trafiła Sama nad prawym okiem, nim uchylił się. Końcówka przewodu wgrzyła się pod skórę. Usłyszał turkoczący odgłos, jakby maleńkie łopatkki wirowały z prędkością tysiąca obrotów na minutę. Krew spływała mu z brwi wzdłuż nosa. Gdy sonda pędziła w jego stronę, zdążył celnie wystrzelić dwa ostatnie pociski. Jeden przeszył tułów kobiety, drugi zamienił komputer w płomień tryskający iskrami aż pod sufit. Węzowata sonda sflaczała i odpadła, zanim połączyła jego mózg z mózgiem kobiety.

Do pokoju przenikało tylko szare światło przez cienkie jak papier szczeliny w okiennicach.

Sam dotarł do drzwi i włączył lampę. Baczenie obserwując ciała ładował rewolwer nabojami, które wy dobył z kieszeni kurtki.

W pokoju panowała nienaturalna cisza.

Nic nie poruszało się.

Serce waliło mu z taką siłą, że przy każdym uderzeniu czuł tępy ból.

Dwa razy upuścił kule, gdyż trzęsły mu się ręce. Nie schylił się po nie w obawie, że jedna z martwych istot nagle ożyje i dopadnie go jak błyskawica, zanim uskoczy. Stopniowo docierał do niego odgłos deszczu. Lało teraz mocniej niż poprzedniej nocy, gdy rozpętała się burza, choć nie grzmiało. Miał nadzieję, że sąsiedzi nie słyszeli strzałów, stłumionych przez wściekłe walenie deszczu i grube ściany domu. Modlił się o to do Boga. W przeciwnym razie już są w pobliżu, by sprawdzić, co się dzieje, uniemożliwiając mu ucieczkę.

Wciąż krwawił i trochę krwi dostało się do prawego oka, więc łzawiło. Wylał je rękawem.

Nadgarstek bolał go jak wszyscy diabli, ale w razie potrzeby chwyci rewolwer w lewą rękę. Po naładowaniu broni ostrożnie zbliżył się do dymiącego komputera, przy którym na krześle tkwiło bezwładne ciało Harleya Coltrane'a.

Zerkając jednym okiem na martwego człowieka-maszynę, zdjął telefon z modemu i powiesił na ścianie. Następnie podniósł słuchawkę, w której zadźwięczał sygnał. Co za ulga.

W ustach miał tak sucho, że nie wiedział, czy zdoła wyraźnie wydusić z gardła choć słowo.

Wystukał numer Biura w Los Angeles.

Rozległ się trzask.

Przerwa.

I włączyło się nagranie: Przepraszamy za brak połączenia.

Odwiesił słuchawkę i spróbował ponownie. Nic.

Wiedział, że teraz w Moonlight Cove połączy się tylko z wybranymi numerami w ramach skomplikowanej centrali obsługującej osoby poddane konwersji.

Odchodząc od telefonu usłyszał z tyłu jakiś ruch. Odwrócił się i zobaczył kobietę w odległości trzech stóp. Już odłączyła się od zniszczonego komputera, lecz jeden przewód wychodzący z kręgosłupa włókł się za nią po podłodze, z końcem wetkniętym do gniazdka elektrycznego.

Przerażony Sam pomyślał: nie potrzebujemy już twoich niezgrabnych latawców, doktorze Frankenstein, ani burz z piorunami; teraz po prostu podłączamy potwory do kontaktu w ścianie i częstujemy je bezpośrednio wstrząsem elektrycznym dzięki uprzejmości Zakładów Energetycznych.

Kobieta z gadzim sykiem ruszyła do niego. Zamiast palców z dłoni wyrastały trzy wielobolcowe wtyczki, podobne do łączników, za pomocą których składało się domowy komputer, choć te bolce były ostre jak gwoździe.

Sam uskoczył w bok, wpadając na krzesło z bezwładnym ciałem Harleya Coltrane'a i niemal upadł, strzelając jednocześnie do kobiety. Opróżnił pięciostrzałową trzydziestkęósemkę.

Pierwsze trzy strzały zwały ją z nóg. Pozostałe trafiły w ścianę, gdy wystraszony pociągał za

spust, a kobieta już leżała na podłodze.

Próbowała wstać.

Jak przeklęty wampir, pomyślał.

Przydałaby mu się jakaś supernowoczesna czarodziejska srebrna kula, kółko, krzyż...

Sieć arterii w jej nagim ciele wciąż pulsowała światłem, a trafione miejsca iskrzyły się jak zniszczone komputery.

W rewolwerze nie było naboji.

Przetrzęsnał kieszenie.

Nie znalazł ładunków.

Wyjdź.

Z jej ust dobywał się elektroniczny lament bardziej szarpiący nerwy, niż tysiące ostrych paznokci drapiących po szkolnej tablicy.

Znowu dwa mackowate przewody wystrzeliły w jego stronę. Opadły na ziemię kilka cali przed nim, co może oznaczało wyczerpywanie się energii, i wróciły do kobiety, jak strużki rtęci do większego źródła.

Lecz ta wciąż unosiła się.

Sam ruszył chwiejnie w stronę drzwi. Pochwycił dwa naboje, które upuścił ładując broń. Wysypał z bębena puste łuski i załadował rewolwer.

– potrzeboować...

Jęcząc zmierzała do niego.

Tym razem ściskając w obydwu dłoniach, rewolwer wycelował starannie i strzelił w głowę.

Wykończ procesor, pomyślał w przebłysku czarnego humoru. Jedyne sposob, by powstrzymać maszynę. Zniszcz procesor, a zostanie płatanina śmiecia.

Runęła bezwładnie na podłogę. Czerwone światło zgasło i oczodoły poczerniały. Nagle z rozłupanej czaszki buchnęły płomienie, trysnęły z ran, oczu, nozdrzy i otwartych ust.

Doskoczył do gniazdka i kopnięciem wyrwał końcówkę przewodu łączącego się z ciałem.

Wciąż wyskakiwały z niej płomienie.

Nie mógł dopuścić do pożaru, gdyż wówczas znaleziono by ciała i dokładnie przeszukano całą

okolicę z domem Harry'ego włącznie. Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś do stłumienia ognia, ale płomień wystrzelający z czaszki już zanikał.

Po chwili wypalił się zupełnie.

Powietrze wypełnił odór nie do zniesienia.

Kręciło mu się w głowie i mdliło go. Zakrztusił się, ale zacisnąwszy zęby powstrzymał wymioty.

Pragnął jak najszybciej uciec, ale wyłączył jeszcze z kontaktu komputery. Choć były doszczętnie zniszczone, irracjonalnie bał się, że podłączone do prądu jakimś cudem ożyją, podobnie jak stworzone przez doktora Frankensteina monstrum, pokazywane w kolejnych wersjach filmowych.

Drżąc wsparł się jeszcze o framugę przy drzwiach, by chwilę odsapnąć, i przyjrzał się dziwnym ciałom. Myślał, że martwe powrócą do normalnej postaci, jak filmowe wilkołaki trafione srebrną kulą w serce lub uderzone laską ze srebrną gałką. Na nieszczęście to było coś gorszego niż wilczy obłąd. Ludzie sami stworzyli ten koszmar bez pomocy demonów, duchów czy nocnych upiórów. Coltrane'owie pozostali monstrualnymi twórcami, składającymi się w połowie z ciała i metalu, z krwi i krzemu. Nie pojmował, *jak* stali się tymi ludźmi-maszynami, ale po chwili przypomniał sobie termin *Cyborg*: czyli osoba, której fizjologiczne funkcje były wspomagane i zależne od jakiegoś mechanicznego czy elektronicznego urządzenia. Zaliczali się do nich na przykład ludzie z wszczepionymi rozrusznikami serca i chorzy poddawani dializie. Takie połączenie człowieka z maszyną było pożyteczne i wręcz niezbędne. Ale w przypadku Coltrane'ów doprowadzono je do absurdu, do koszmaru cybernetycznego, ponieważ zarówno fizjologiczne, jak i umysłowe funkcje były sztucznie wspomagane i z pewnością zależne od maszyny.

Sam znów zakrztusił się. Szybko wycofał się z zadymionego pokoju i tą samą drogą, którą przyszedł, dotarł do drzwi kuchennych, po czym wydostał się na dwór.

Był pewien, że lada moment usłyszy za plecami ten ludzko-elektroniczny głos – *chcieeeeeeeć* – i zobaczy wlokącego się za nim Coltrane'a, ożywionego ostatnim zapasem energii z akumulatora.

Wartownik przy głównej bramie New Wave Microtechnology, ubrany w czarny płaszcz przeciwdeszczowy ze znakiem firmowym na piersi, wpatrywał się uważnie w nadjeżdżający radiowóz.

Rozpoznał Lomana, więc skinął ręką, by jechał dalej. Wszyscy go tu dobrze znali jeszcze z dawnych czasów, nim stali się Nowymi Ludźmi.

Potęgi i bogactwa New Wave nie skrywano w jakiejś skromnej siedzibie. Całość zaprojektował wzięty architekt, preferujący zaokrąglone narożniki, owalne kąty, ciekawe kombinacje asymetrycznych ścian niektóre wklęsłe, inne wypukłe. W dwóch ogromnych, trzykondygnacyjnych budynkach wyłożonych piaskowym kamieniem były wielkie przyciemnione okna, które współgrały z krajobrazem.

Z tysiąca czterystu zatrudnionych, prawie tysiąc mieszkało w Moonlight Cove. Pozostali pochodzili z pobliskich miejscowości. Naturalnie wszyscy mieszkali w zasięgu działania mikrofalowej anteny, umieszczonej na dachu głównego budynku.

Jadąc w stronę parkingu drogą dojazdową, Loman myślał: to pewne jak diabli, że Shaddack jest naszym wielbnym Jimem Jonesem. Zabierze ze sobą nawet ostatniego z żarliwych wyznawców. Współczesny faraon. Umierając zabije również tych, którzy mu służą, jakby oczekiwał, że nadal będą mu wierni na tamtym świecie. Cholera. Czy w ogóle wierzymy jeszcze w tamten świat?

Nie. Religijna wiara była pokrewna nadziei, a ta wymagała emocjonalnego zaangażowania.

Nowi Ludzie tak samo wierzyli w Boga jak w świętego Mikołaja, uznając jedynie potęgę maszyny i cybernetyczne przeznaczenie ludzkości.

A niektórzy nie wierzyli nawet w to.

Tak, jak Loman.

Firma New Wave świetnie prosperowała, pozyskując najlepsze talenty w dziedzinie mikrotechnologii, co odzwierciedlały drogie samochody na obu parkingach. Mercedes. BMW. Porsche. Corvette. Cadillac Seville. Jaguar. Same luksusowe wozy.

Parking był wypełniony tylko w połowie. Wyglądało na to, że sporo ludzi pracuje w domach. Ilu upodobiło się już do Denny'ego?

Stojące na mokrym asfalcie samochody przypominały Lomanowi rzędy cmentarnych nagrobków. Te milczące silniki, połyskliwy metal, złane deszczem szyby odbijające szare jesienne niebo, wszystko jakby zapowiadało śmierć. Pomyślał, że parking symbolizuje przyszłość miasta: ciszę, martwość, straszny i odwieczny spokój cmentarza.

Gdyby oficjalne władze spoza Moonlight Cove dowiedziały się o miejscowych wydarzeniach albo okazało się, że wszyscy Nowi Ludzie są regresywni – lub gorzej – że Projekt Księżycowy Jastrząb to klęska, wówczas trującym eliksirem, jak w Jonestown, byłby śmiertelny rozkaz wysłany przez mikrofały do mikrosfer wewnątrz Nowych Ludzi. Natychmiast tysiące serc zatrzymałyby się i Moonlight Cove stałoby się w sekundzie cementarzystem.

Loman wjechał na drugi parking i skierował się do stanowisk dla kierownictwa. Jeśli Shaddack uświadomi sobie, że Projekt ma błędy i zechce zabrać nas ze sobą, rozważał, to nie zrobi tego, żeby zatrzeć ślady. Nie ten cholerny pająkowany albinos. Zlikwiduje nas dla samej przyjemności, by odejść z wielkim hukiem, żeby świat zmarł, porażony potęgą człowieka, który rozkazał tysiącom umrzeć wraz z nim.

Paru szaleńców uznałoby go za bohatera i idola, a kilku młodych geniuszy chciałoby go prześcignąć. Bez wątpienia o to mu chodziło. W razie powodzenia Projektu, Shaddack zapanuje nad światem, w którym całą ludzkość poddano konwersji. Natomiast ginąc stanie się mityczną mroczną postacią, a legenda o nim może zachęcić do naśladownictwa legiony szaleńców, opętanych żądzą władzy. Wówczas stałby się Hitlerem ery komputerowej.

Loman drżącą ręką wytarł spoconą twarz.

Pragnął rzucić wszystko i wieść wolną od wszelkich problemów egzystencję osobnika regresywnego.

Ale powstrzymał się siłą woli.

Zabijając Shaddacka zbrukałby legendę. Mimo że umarłby w parę sekund później, jak wszyscy Nowi Ludzie, świat dowiedziałby się, że ten Jim Jones ery technicznej zginął z rąk istoty, którą stworzył. Okazałoby się, że jego władza ma kres, że jest bogiem ze skazą, którego udziałem stały się zarówno pycha jak i los Wellsowskiego Moreau, a dzieło Shaddacka powszechnie uznano by za wybryk natury.

Loman skręcił w prawo do stanowisk dla kierownictwa i rozczarował się, że nie ma mercedesa ani szarej furgonetki. Może Shaddack przyjechał do biura z kimś innym, albo zaparkował w innym miejscu.

Wjechał na stanowisko zarezerwowane dla szefa. Wyłączył silnik. Broń trzymał w kaburze przy biodrze. Już dwukrotnie upewniał się, że jest naładowana, ale teraz sprawdził ponownie.

Wcześniej zatrzymał się na poboczu drogi i napisał notatkę, którą zamierzał zostawić przy ciele Shaddacka. Wyjaśniał, że jest zabójcą swego stwórcy. Gdy do Moonlight Cove wkroczą władze z zewnątrz, znajdą notatkę i poznają prawdę.

Loman nie kierował się żadnym szlachetnym celem. Takie wzniosłe poświęcenie wymagało uczuć, do których nie był już zdolny. Zamorduje Shaddacka wyłącznie z panicznego strachu, że ten dowie się o Dennym lub innych ludziach-maszynach i wówczas zrobi to samo z nimi.

Oczy wypełnione płynnym srebrem.

Ślina ciekąca z otwartych ust...

Mackowaty przewód wystrzelający z czoła chłopca w poszukiwaniu energii w komputerze...

Nieustannie widział te mrozące krew w żyłach obrazy.

Zabije Shaddacka dla własnego ocalenia, a zniszczenie legendy o tym szaleńcu stanowi jedynie korzystny dodatek.

Włożył broń do kabury i wysiadł z samochodu. Pobiegł w deszczu do głównego wejścia, pchnął drzwi z ciętego szkła i wszedł do hallu o marmurowej podłodze. Skręciwszy w prawo obok windy zbliżył się do głównej recepcji. Pod względem przepychu i luksusu miejsce to rywalizowało z konkurencyjnymi siedzibami firm komputerowych w słynnej Dolinie Krzemowej, położonej dalej na południe. Wspaniałe marmurowe gzymsy, kryształowe kinkiety i ozdobne żyrandole świadczyły o sukcesie New Wave.

W recepcji dyżurowała tylko rok starsza Dora Hankins, którą znał od dzieciństwa. W szkole średniej parę razy umawiał się z jej siostrą.

W milczeniu spojrzała na niego.

– Shaddack? – spytał.

– Nie ma go.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Kiedy wróci?

– Spytaj sekretarkę.

– Pojadę na górę.

– Świetnie.

Wsiadł do windy i wcisnął przycisk z cyfrą trzy. Wspomnił pogawędki, jakie ucinali sobie z Dorą przed Zmianą. Rozmawiali swobodnie o rodzinie i pogodzie. Teraz nie. Po konwersji nie czuli takiej potrzeby. Nawet nie pamiętał, dlaczego kiedykolwiek uważał rozmowę towarzyską za coś przyjemnego, czym warto zawracać sobie głowę.

Apartament Shaddacka znajdował się w północno-wschodnim skrzydle drugiego piętra. Tuż przy windzie był hall recepcji, wyłożony ekskluzywnymi dywanami, gdzie stały obszerne skórzane kanapy i mosiężne stoliki o szklanych blatach. Na ścianie wisiał oryginalny obraz Jaspera Johnsa.

Co stanie się z artystami w przyszłości? – rozmyślał.

Ale znał odpowiedź. W ogóle ich nie będzie. Sztuka wyraża emocje poprzez obrazy, słowa, w muzyce rozbrzmiewającej w sali koncertowej. A zatem jest nierealna w Nowym Świecie, chyba że wyrażałaby wyłącznie strach. Pisarze najczęściej używaliby synonimów pojęcia ciemność, kompozytorzy tworzyliby jedynie pieśni pogrzebowe, a malarze obrazy w różnych odcieniach czerni.

Vicky Loenardo, sekretarka Shaddacka, siedziała przy biurku.

– Nie ma szefa – powiedziała.

Z tyłu widniały otwarte drzwi do ogromnego, prywatnego gabinetu. Lampy były zgaszone i tylko słabe światło deszczowego dnia przenikało między żaluzjami.

– Kiedy będzie?

– Nie wiem.

– Jakież umówione spotkania?

– Nie.

– Wiesz, gdzie jest?

– Nie.

Loman wyszedł. Szybko spenetrował opustoszałe korytarze, inne biura, laboratoria i pokoje obsługi, w nadziei, że natknie się na Shaddacka.

Jednak przekonał się, że ten nie ukrywa się w firmie. Najwidoczniej wielki człowiek jeździł po mieście w dniu zakończenia konwersji.

To przeze mnie, pomyślał Loman. Wystraszył się tego, co mu powiedziałem zeszłej nocy u Peysera. Dlatego kręci się po okolicy, albo ukrył się dobrze.

Wrócił do radiowozu i wyruszył na poszukiwanie swego stwórcy.

Sam siedział bez koszuli na skrzyni w łazience, a Tessa opatrywała mu rany, podobnie jak przedtem Chrissie. Ale Sam odniósł poważniejsze obrażenia.

Na czole, nad prawym okiem miał wyrwane aż do kości ciało i dziurę wielkości dziesięciocentówki. Zatomowanie krwi z tych drobnych poszarpanych naczyń krwionośnych wymagało kilku minut ciągłego uciskania, następnie wysmarowania jodyną i maścią gojącą, po czym zabandażowania. Ale nawet po tych wszystkich zabiegach na gazie pojawiła się czerwona plama.

Tessa zajmowała się Samem, on zaś opowiadał przejścia:

– ...więc gdybym nie strzelił jej wtedy w głowę... gdybym spóźnił się o sekundę lub dwie, to ta cholerna rzecz, sonda czy cokolwiek innego, zagłębiałby się w mózg, i kobieta połączyłaby się ze mną jak z komputerem.

Zrzuciwszy toę z prześcieradła na rzecz suchych dzinsów i bluzki Chrissie stała poblądła na twarzy, ale gotowa wysłuchać wszystkiego do końca.

Harry podjechał na wózku do drzwi.

Moose leżał u stóp Sama, jakby rozumiejąc, że w tym momencie gość bardziej potrzebuje pociechy niż pan.

Sam trząsał się z zimna, już nie dlatego, że przemarzył na deszczu. Drżał tak, momentami dzwoniły mu zęby.

Im dłużej mówił, tym chłodniej robiło się Tessie i po pewnym czasie ją również przeszywały dreszcze.

Harley Coltrane potężną kościstą łapą przeciął mu prawy nadgarstek. Na szczęście żadne większe naczynie krwionośne nie zostało uszkodzone, więc Tessa szybko zatamowała krwawienie. Posiniaczone i stłuczone miejsca dokuczały mu bardziej niż rany. Potwornie bolały go stawy i ledwo ruszał ręką, ale Tessa wykluczyła złamanie czy zmiżdżenie kości.

– ...Jakby mogli przybierać dowolny kształt – relacjonował drżącym głosem – umysł całkowicie panuje nad materią, to samo Chrissie opowiadała nam o księdzu, który zmieniał się w upiora z filmu...

Dziewczynka skinęła głową.

– Przekształcali się *na moich oczach*, wysuwali te czułki, próbowali mnie przebić. Z tą niewiarygodną władzą nad ciałem, nad fizyczną substancją, chcieli przemienić się w coś... w jakiegoś potwora z koszmarnego snu.

Rana na brzuchu była najmniejsza. Tak jak na czole, miał zdartą skórę, ale macka nie wyrwała ciała, tylko wypaliła kółko wielkości dziesięciocentówki.

Harry odezwał się z wózka:

– Sam, myślisz że ci ludzie naprawdę świadomie stali się maszynami, czy raczej wbrew woli, w jakiś sposób zostali opanowani przez maszyny?

– Nie wiem – odpowiedział – obydwa warianty są możliwe.

– Ale jakim cudem aż tak zmieniły się ich ciała? I jaki to ma związek ze Zjawami?

– Niech mnie diabli, jeśli wiem – powiedział Sam. – Wszystko jakoś łączy się z New Wave, ale nikt z nas nie ma pojęcia o najnowszych osiągnięciach w tej dziedzinie, więc nie wymyślimy nic mądrego. Trzeba by poddać Moonlight Cove kwarantannie, opanować laboratoria New Wave i zbadać dokumentację. Inaczej nie dowiemy się prawdy. Tak jak rzeczoznawcy rekonstruuja przyczyny pożaru badając popiół.

– Popiół? – zdziwiła się Tessa. Sam wstał, a ona pomagała mu włożyć koszulę. – Te wzmianki o pożarze i popiołach sugerują, że to wszystko zmierza szybko ku eksplozji, czy czemuś podobnemu.

– Bo tak jest – potwierdził.

Próbował zapiąć koszulę jedną ręką, ale po chwili pozwolił, by zrobiła to za niego. Zauważyła, że Sam ciągle trzęsie się z zimna.

– Te morderstwa, które próbują zatuszować, te stwory, skradające się po nocy... – przerwał na chwilę. – Można wyczuć, że wszystko przebiega inaczej, niż zamierzali i lada moment nastąpi katastrofa. – Głęboko odetchnął. – To, co widziałem w domu Coltrane'ów... nie przypominało niczego, co ktokolwiek mógłby zaplanować, niczego, co *chciałoby* się zrobić ludziom albo do czego ludzie dążyliby. To wszystko wyglądało jak eksperyment, który wymyka się spod kontroli, jakaś oszalała biologia, rzeczywistość wywrócona do góry nogami. I dam sobie uciąć rękę, że jeśli *takie rzeczy* dzieją się w wielu domach tego miasta, to natychmiast musi zareagować New Wave. To wszystko już wybucha, właśnie teraz, to będzie jedna wielka cholerna eksplozja, a my jesteśmy w jej centrum.

Sam nerwowo dotykał ich od momentu, gdy zmoknięty i pokrwawiony, potykając się przekroczył próg kuchni. Tessę przestraszyło to bardziej niż jego bladość i dreszcze. Objął ją, gdy zabrakło jej tchu na widok krwawej dziury w czole; tulił ją zapewniając, że to nic, głupstwo. Ale przede wszystkim chciał upewnić się, że to z nią, z Chrissie i Harrym jest wszystko w porządku, jak gdyby bał się, że po powrocie znajdzie ich... odmienionych. Objął również przerażoną Chrissie i uspokajał jak córkę dobrze, wszystko będzie dobrze. Harry zatroskany wysunął dłoń, a Sam chwycił ją i trzymał kurczowo. W łazience, gdy Tessa opatrywała mu rany, ciągle dotykał jej ręk, ramion, a raz nawet położył dłoń na policzku, jakby dziwił się miękkości skóry. To znowu poklepał po ramieniu Chrissie. Do tej pory był powściągliwy, opanowany, chłodny. Ale po wstrząsających przejściach w domu Coltrane'ów ta skorupa na nim pękła. Nagle odczuł potrzebę zbliżenia się do innych, co jeszcze

niedawno nie równało się z meksykańskim jedzeniem, piwem Guinnessa i filmami z Goldie Hawn.

Rozmyślając, jak straszny koszmar odmienił tak gwałtownie i całkowicie tego twardziela, Tessa przeraziła się bardziej niż kiedykolwiek. Sam Booker przypominał bowiem bezbożnika, który ujrzawszy piekło na łożu śmierci, rozpaczliwie szuka pociechy i ukojenia u Boga.

Czyżby już nie wierzył, że uciekną? Może pragnął kontaktu z ludźmi po latach samotności, gdyż wiedział, że dosłownie za kilka godzin pochłonie ich wielka, niezgłębiona ciemność.

Shaddack ocknął się z kojących marzeń sennych o ludzkich i mechanicznych częściach połączonych w ogromny silnik o nieobliczalnej mocy oraz tajemniczym przeznaczeniu. Zbudził się, jak zwykle, wypoczęty i ożywiony tą wizją.

Wysiadł z furgonetki i przeciągnął się. Korzystając z narzędzi, jakie znalazł w garażu, wyłamał drzwi do domu zmarłej Pauli Parkins. Skorzystał z toalety, następnie umył ręce i twarz.

Po powrocie do garażu podniósł drzwi wjazdowe i wyprowadził furgonetkę na zewnątrz, gdzie panowały lepsze warunki dla przesłania i odbioru danych w transmisji mikrofalowej.

Wciąż padał deszcz i zagłębienia w trawniku wypełniła woda. Smużki mgły już unosiły się w powietrzu, co zwiastowało, że niebawem napłynie od morza gęsta mgła.

Jedząc kolejną kanapkę i popijając colę sprawdzał w komputerze dane z realizacji Projektu Księżycowy Jastrząb. Wciąż wykonywano konwersje, zaplanowane między szóstą a osiemną. Teraz była dwunasta pięćdziesiąt, zatem niespełna siedem godzin do zakończenia programu, a już wstrzyknięto pełną dawkę mikrosfer większości osobników. Zespoły przeprowadzające konwersję wyprzedzały harmonogram.

Sprawdził też, jak przebiegają poszukiwania Samuela Bookera i kobiety o nazwisku Lockland. Niestety, nie znaleziono ich.

Shaddack nie przejmował się tym. Przecież widział Księżycowego Jastrzębia aż trzy razy, więc nie wątpił, że osiągnie cel.

Dziewczynka Fosterów też zniknęła, czym również nie zawracał sobie głowy. Prawdopodobnie spotkało ją coś złego nocą. Czasami regresywni byli przydatni.

Może Booker i Lockland padli ofiarami tych samych istot. Co za ironia losu, gdyby regresywni – ta jedyna poważna skaza w całym Projekcie – przyczynili się do zachowania tajemnicy Księżycowego Jastrzębia.

Próbował skontaktować się z Tuckerem w New Wave i w domu. ale nigdzie nie złapał go. Czyżby nie mógł przybrać ludzkich kształtów? Może czaił się teraz gdzieś w zaroślach, uwięziony w zmienionej postaci.

Shaddack z westchnieniem wyłączył komputer.

Pomimo że o północy dokona się konwersja wszystkich mieszkańców, pierwsza faza Projektu nie zakończy się. Zostanie trochę śmieci do uprzątnięcia.

Trzy istoty zamieszkujące piwnicę w Kolonii Ikara zlały się w jedno. Powstała jakaś pozbawiona wyraźnego kształtu, kości i rysów masa pulsującej tkanki, która żyła, choć nie miała mózgu, serca, naczyń krwionośnych, ani innych organów. Była czymś pierwotnym, świadomą, choć bezmózgową mazią, widzącą bez oczu, słyszącą bez uszu i pozbawioną jelit, ale łaknącą.

Skupiska krzemowych mikrosfer roztopiły się w owej mazi. Wewnętrzny komputer już nie funkcjonował w tej całkowicie odmiennej substancji, a *ta* z kolei nie potrzebowała już biologicznego wsparcia mikrosfer. Odłączyła się od Słońca, komputera w New Wave. Gdyby mikrofalowy przekaźnik wysłał rozkaz unicestwienia, żyłaby nadal.

Stała się władczą samej siebie ze świadomością równie prostą jak amorficzne, galaretowate ciało, które wypełniała. Istota wyrzekła się pamięci, ponieważ wspomnienia dotyczyły wydarzeń i działań o określonych konsekwencjach, te zaś – dobre czy złe – wskazywały na odpowiedzialność za czyny. Właśnie ucieczka od odpowiedzialności w pierwszym rzędzie doprowadzała do regresji. Następną istotną przyczyną wyeliminowania pamięci był ból – cierpienie wywołane wspomnieniami tego, co się straciło.

Istota wyrzekła się również zdolności myślenia o przyszłości, planowaniu, marzeniach.

Nie istniała już przeszłość, której była świadoma, a pojęcia przyszłości nie znała. Żyła jedynie chwilą bieżącą, nie myśląc, nie czując, nie troszcząc się.

Miała tylko jedną potrzebę: przeżyć.

Aby przeżyć, potrzebowała jednej rzeczy: pokarmu.

Naczynia po śniadaniu uprzątnięto ze stołu, gdy Sam walczył z potworami w domu Coltrane'ów. Najwidoczniej były częściowo ludźmi, komputerem, a po części zombi, i można by je porównać do opiekacza do grzanek. Chrissie przysiadła się do Sama, Tessy i Harry'ego, by posłuchać jak dyskutują, zebrani wokół kuchennego stołu o tym, co dalej.

Moose tkwił u jej boku, patrząc na nią pełnymi oddania brązowymi ślepiami, jakby wielbił dziewczynkę nad życie. Pieściła i drapała go za uchem, czego pragnął równie gorąco.

– Największym problemem naszych czasów jest to, jak wykorzystywać osiągnięcia techniczne, by służyły nam w życiu, nie ulegając ich potędze – powiedział Sam. – Czy możemy użyć komputera, by zmieniał nasz świat, nie padając przed nim na kolana choć przez jeden dzień? – Mrugnął do Tessy. – To nie jest głupie pytanie.

– Nic takiego nie twierdziłam – zirytowała się – czasem pokładamy w maszynach ślełą wiarę, zakładając, że cokolwiek komputer powie, to ewangelia...

– Zapominając o starej maksymie, że ze śmieci rodzą się tylko śmieci... – wtrącił Harry.

– Dokładnie – zgodziła się. – Nieraz ślepo wierzymy w dane z komputera zakładając, że maszyny są niezawodne. A to jest niebezpieczne, gdyż program mógł wymyślić jakiś szaleniec albo geniusz, który nie przewidział wszystkich skutków, choć miał dobre intencje, co na jedno wychodzi.

– Jednak ludzie w głębi duszy pragną uzależnić się od maszyn – odezwał się Sam.

– Tak – zgodził się Harry – to nasza przeklęta potrzeba unikania odpowiedzialności, kiedy tylko można. Owo niemęskie pragnienie nosimy w naszych genach, przysięgam, że to prawda, i jedynym sposobem, by zrobić cokolwiek na tym świecie, jest ciągła walka z tą naturalną skłonnością do wyzbycia się odpowiedzialności. Czasem zastanawiam się, czy właśnie *tego* nie dostaliśmy od diabła, gdy Ewa posłuchała węża i zjadła jabłko – awersji do odpowiedzialności. W tym tkwią korzenie zła.

Chrissie zauważyła, że ten temat porusza Harry'ego. Podpierając się zdrową ręką i nogą, z wypiekami na uprzednio bladej twarzy, aż uniósł się na fotelu. Wpatrywał się intensywnie w zaciśniętą pięść, jakby trzymał coś cennego, jakąś ideę, której nie chciał stracić, dopóki nie wykorzystał jej w pełni.

Powiedział:

– Ludzie kradną, zabijają, kłamią i oszukują, ponieważ nie czują odpowiedzialności za innych. Politycy chcą władzy i pokłasku odnosząc sukcesy, ale rzadko pokazują się w blasku reflektorów w przypadku porażki. Świat jest pełen ludzi, którzy uczą cię, jak przeżyć życie i stworzyć raj na ziemi, ale gdy idee diabli biorą i wszystko kończy się na przykład w Dachau, gułagu albo masowymi

zbrodniami, jak po naszym odwróceniu z Południowo-Wschodniej Azji, udają, że nie ponoszą odpowiedzialności za rzeź.

Drżał i Chrissie też trzęsła się, choć nie była taka pewna, czy wszystko dokładnie zrozumiała.

– Jezu ciągnął – rozmyślałem o tym tysiące razy po wojnie.

– W Wietnamie? – uściśliła Tessa.

Harry skinął głową. Wciąż wpatrywał się w pięść.

– By przeżyć wojnę, trzeba być odpowiedzialnym w każdej minucie za siebie i swoje postępowanie, za kumpli, ponieważ przetrwania nie zapewnia działanie na własną rękę. To chyba jedyna pozytywna strona wojny – uświadomienie sobie, że poczucie odpowiedzialności oddziela ludzi dobrych od złych. Nie żałuję, że walczyłem, mimo iż zostałem kaleką. Nauczyłem się bowiem odpowiedzialności za wszystko. Czasem płaczę w nocy rozpamiętując jak porzuciliśmy ludzi na pastwę śmierci, masowych grobów, a oni byli ode mnie zależni. Częściowo jestem odpowiedzialny za to, że ich zawiodłem.

Zapanowało milczenie.

Chrissie poczuła szczególny ucisk w piersiach. To samo czuła w szkole, gdy nauczyciel zaczynał mówić o czymś nowym, co zmieniało jej spojrzenie na świat. Nie zdarzało się to często, ale zawsze było straszne i wspaniałe zarazem. To uczucie opanowało ją teraz, gdy słuchała Harry'ego, ale stokroć silniejsze niż podczas omawiania nowego tematu na lekcji geografii, matematyki czy biologii.

– Wydaje mi się, Harry, że akurat w tym wypadku obarczysz się nadmierną odpowiedzialnością – odezwała się Tessa.

Podniósł wreszcie głowę:

– Nie. Odpowiedzialność wobec innych nigdy nie może być nadmierna. – Uśmiechnął się. – Poznałem cię już niezłe, więc wiem, że doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. – Spojrzawszy na Sama dodał: – Niektórzy moi towarzysze broni nie dostrzegają w wojnie niczego dobrego. Chyba nie nauczyli się tej lekcji o odpowiedzialności, toteż unikam ich, choć może niesłusznie, ale nic na to nie poradzę. Natomiast gotów jestem zawierzyć życie człowiekowi, który wrócił z wojny przyswoiwszy sobie tę wielką lekcję. Do licha, nawet oddałbym duszę, którą zdaje się chcą mi ukraść. Wyciągniesz nas z tego, Sam. – W końcu otworzył pięść. – Nie wątpię w to.

Tessa wydawała się zaskoczona.

– Byłeś w Wietnamie? – spytała Sama.

Skinął głową.

– Zanim rozpocząłem pracę w FBI.

– Nigdy o tym nie wspomniałeś. Dziś rano podczas przygotowywania śniadania tłumaczyłeś mi, dlaczego patrzysz na świat inaczej, mówiłeś o śmierci żony, zamordowaniu twoich partnerów, konflikcie z synem, ale nie o tym.

Sam wpatrywał się w zabandażowany nadgarstek i wreszcie powiedział:

– Wojna to najbardziej osobiste doświadczenie mojego życia.

– Co za dziwaczna opinia.

– Wcale nie dziwaczna – zaproponował Harry. – Najbardziej intensywne i osobiste.

– Jakoś uporałem się ze wszystkim, w przeciwnym razie pewnie gadałbym o tym bez końca. Ale *doszedłem* ze sobą do ładu. Zrozumiałem. Rozmowa z kimś przypadkowym po prostu... trywializuje wszystko – wyjaśnił Sam.

Tessa spojrzała na Harry'ego.

– Wiedziałeś, że był w Wietnamie?

– Tak.

– *Zorientowałaś* się w jakiś sposób?

– Tak.

Sam jeszcze przed chwilą nachylał się nad stołem. Teraz wyprostował się na krześle.

– Harry, przysięgam, że zrobię wszystko, by wydostać nas z tego. Szkoda, że nie orientuję się dobrze w tym, co tutaj dzieje się. Wszystkie nitki prowadzą do New Wave. Ale co oni konkretnie zrobili i jak to powstrzymać? Jak mam dać sobie radę z czymś, czego nawet *nie rozumiem*.

Do tej chwili Chrissie mało co pojmowała z rozmowy, choć fascynowała ją i wzbudzała owo podniecające pragnienie poznawania nowych rzeczy. Ale teraz musiała wtrącić się:

– Naprawdę jesteście pewni, że to nie kosmici?

– Tak – Tessa uśmiechnęła się, a Sam delikatnie potargał jej włosy.

– No cóż – ciągnęła – chodzi o to, że może całe zło bierze się stąd, że w New Wave wylądowali kosmici i założyli tam bazę. Pewnie chcą nas zmienić w maszyny, jak Coltrane'ów, byśmy służyli im jako niewolnicy, co jest sensowniejsze niż zjedzenie nas. W końcu są kosmitami, a zatem mają kosmiczne żołądki i soki trawienne, ale my bylibyśmy ciężkostrawni, więc męczyłaby ich zgaga, może nawet biegunka.

Sam ujął delikatnie dłonie Chrissie, by nie urazić jej otartej ręki i swojego zranionego nadgarstka.

– Nie wiem, czy słuchałaś uważnie Harry’ego...

– O, tak – odpowiedziała bez wahania.

– W takim razie rozumiesz, że zwalenie na kosmitów tych przerażających rzeczy uwalnia od odpowiedzialności nas, ludzi, bo to my posiadamy swoiste zdolności do wyrządzania sobie krzywdy. Trudno uwierzyć, że ktokolwiek, nawet szaleniec chciałby zamienić Coltrane’ów w takie potwory, ale ktoś najwidoczniej tego pragnął. Jeśli zrzucimy winę na kosmitów, diabła, Boga, tajemnicze duszki, czy cokolwiek innego, nie rozpoznamy sytuacji na tyle, by uratować się. Rozumiesz?

– Chyba tak.

Uśmiechnął się do niej. Miał bardzo miły uśmiech, choć nieczęsto go pokazywał.

– Myślę, że świetnie wszystko pojęłaś.

– *Zgadza się* – przytaknęła. – Ale z kosmitami poszłoby nam łatwiej. Musielibyśmy tylko znaleźć ich siedlisko, czy ul, i wypalić doszczętnie, może jeszcze wysadzić statek kosmiczny, i skończyłoby się raz na zawsze, Ale jeśli to wszystko zrobili ludzie, tacy jak my, to może trwać wiecznie.

Loman Watkins coraz bardziej zniecierpliwiony jeździł po Moonlight Cove w strugach deszczu, polując na Shaddacka. Ponownie zlustrował jego dom na północnym krańcu zatoki, a także sprawdził w garażu, którego samochodu brakuje. Teraz szukał czarno-szarej furgonetki z przyciemnionymi szybami.

Zauważył, że wszędzie działają zespoły konwersyjne, a na ulicach jest mnóstwo patroli.

Było mało prawdopodobne, że ludzie jeszcze nie poddani konwersji dostrzegą coś niezwykłego w tych mężczyznach krążących po mieście.

Przy blokadach na północnej i południowej stronie szosy oraz przy wylocie na autostradę policjanci kontrolowali przejezdnych.

Spaliny kłębiły się nad radiowozami z włączonymi silnikami, mieszając się z pasemkami mgły w deszczu. Czerwone i niebieskie światła alarmowe odbijały się od mokrej nawierzchni, więc wydawało się, że strumienie krwi płyną wzdłuż krawężnika.

Niewiele samochodów przejeżdżało tędy, ponieważ miasto nie było ani siedzibą okręgu, ani centrum handlowym dla ludzi mieszkających w pobliskich miejscowościach. Ponadto, leżało na uboczu, przy końcu szosy, za którą ciągnęło się pustkowie.

Tych, którzy chcieli wjechać do Moonlight Cove, zniechęcano w miarę możliwości historyjką o toksycznym wycieku z New Wave. Natomiast opornych aresztowano, przewożono do więzienia i zamykano w celach do chwili podjęcia decyzji, czy poddać ich konwersji, czy zabić. Od momentu ogłoszenia we wczesnych godzinach rannych zakazu opuszczania domów tylko kilkadziesiąt osób zatrzymano przy blokadach i jedynie sześć aresztowano.

Shaddack dobrze wybrał teren do doświadczeń: małe i ustronne, a tym samym łatwiejsze do kontroli miasteczko.

Loman zamierzał zlikwidować blokady i udać się do Aberdeen Wells, by opowiedzieć całą historię szeryfowi okręgu. Chciał rozbić Projekt Księżycowy Jastrząb w pył.

Już nie obawiał się groźnego Shaddacka ani śmierci. No... może nie całkiem, ale ani jedno, ani drugie nie napawało go takim przerażeniem jak perspektywa upodobnienia się do Denny'ego. Wolał zdać się na łaskę szeryfa i władz federalnych, a nawet naukowców, którzy, badając tajemnice Moonlight Cove, zechcą zrobić mu sekcję niż pozwolić, by regresja albo jakieś koszmarnie zaślubiny ciała z komputerem zniszczyły w nim resztki człowieczeństwa.

Jednak rozkaz opuszczenia posterunków wzbudziłby podejrzenia ludzi bardziej lojalnych wobec Shaddacka, ponieważ panicznie bali się go. Wciąż czuli koszmarny strach przed panem z New Wave, gdyż nie widzieli Denny'ego i nie zdawali sobie sprawy, że może czeka ich coś jeszcze gorszego niż

regresja. Niczym bestie doktora Moreau stali nieugięci na straży prawa, nie ważąc się – przynajmniej na razie – zdradzić swego stwórcy. Prawdopodobnie powstrzymaliby Lomana przed sabotażem i zginąłby albo, co gorsza, wylądował w celi więziennej.

A zatem ujawniając swe zamiary zaprzepaściłby szansę rozprawienia się z Shaddackiem. Oczyma wyobraźni widział siebie zamkniętego w więzieniu i Shaddacka uśmiechającego się do niego zimno przez kraty, podczas gdy jego ludzie niosą komputer, z którym zamierzają go jakoś połączyć.

Migoczące srebrne oczy...

Krążył więc po mieście w tym deszczowym dniu, obserwując teren zmrużonymi oczyma przez ociekającą wodą szybę samochodu. Wycieraczki uderzały miarowo, jakby odmierzały czas. Nieuchronnie zbliżała się północ.

Był człowiekiem-pumą na łowach, a Moreau krył się gdzieś na porośniętej jak dżungla wyspie, jaką obrazowało Moonlight Cove.

Z początku dopiero co ukształtowana istota zadowalała się tym, co znalazła, wsuwając cienkie macki w różne szpary, zagłębienia w podłodze piwnicy, szczeliny w ścianach, dołki w wilgotnej ziemi. Chrząszcze, larwy, dżdżownice. Nie pamiętając już nazw spożywała je z zapalem.

Szybko jednakże wyjadła insekty i robaki w promieniu dziesięciu jardów wokół domu. Potrzebowała konkretniejszego posiłku.

Wrzała i kipiała jakby zmuszając amorficzne tkanki do przybrania kształtu, w którym mogłaby opuścić piwnicę i poszukać łupu.

Ale nie miała pamięci, w której przechowywałyby wspomnienie dawnych form i nie odczuwała widać dość silnego pragnienia, by narzucić sobie nową postać.

Ta galaretowata masa, pozbawiona nawet nikłego poczucia tożsamości, zachowała jednak zdolność przekształcenia się. Nagle w tej płynnej masie pojawiły się liczne i bezzębne usta bez warg, wydały dźwięk, właściwie nieuchwytny dla ludzkiego ucha. W tej ruderze nad piwnicą we wszystkich pomieszczeniach zadomowiły się myszy, biegały i skubały jedzenie, budowały gniazda. Gdy z piwnicy dobiegło to wołanie, zatrzymały się jak na komendę. Istota wyczuła ich obecność, traktując je wyłącznie jak ciepłe masy żywego mięsa. Pożywienia. Paliwa. Pragnęła ich. *Potrzebowała ich.*

Przywoływała je dziwacznymi nieartykułowanymi dźwiękami.

W każdym zakątku domu myszy spłoszyły się. Ocierały pyszczki łapkami, jakby przedzierały się przez pajęczyny i teraz próbowały oczyścić futerko z tych lepkich, cieniutkich pasemek.

Na strychu żyło stadko ośmiu nietoperzy. One również zareagowały na to nagłace wezwanie. Oderwały się od belek i fruwały jak oszalałe o mało nie rozbijając się o ściany czy siebie nawzajem.

Ale ani myszy, ani ptaki nie zeszły do istoty ukrytej w piwnicy. Wezwanie, choć dotarło do zwierzątek, nie odniosło spodziewanego skutku.

Bezkształtny stwór zamilkł.

Jego rozliczne usta zamknęły się.

Nietoperze na strychu powróciły na miejsca.

Myszy czały się chwilę, jakby w szoku, po czym wróciły do zajęć.

Po kilku minutach zmieniająca się bestia spróbowała raz jeszcze przywołać je, tym razem wydając bardziej wabiące dźwięki, wciąż niesłyszalne dla ludzi.

Nietoperze znowu fruwały po strychu z taką wrzawą, że przypadkowy obserwator mógłby pomyśleć, iż są ich setki. Uderzały skrzydłami głośniejsz niż ulewny deszcz o przeciekający dach.

Myszy uniosły się na tylnych łapkach. Te na parterze, blisko źródła dźwięku, drżały gwałtownie, jakby ujrzały szczerzącego zęby kota.

Nietoperze z potwornym skrzekiem runęły przez dziurę w podłodze strychu do pustego pokoju na pierwszym piętrze, gdzie zataczały koła, wznosiły się i opadały bez końca.

Dwie myszy na parterze ruszyły do kuchni, gdzie drzwi do piwnicy stały otworem. Ale obydwie zatrzymały się na progu, przestraszone i zagubione.

Bezkształtna istota, skryta w czeluściach domu, nawoływała coraz gwałtowniej.

Jedna z myszy w kuchni nagle padła martwa.

Na górze zdezorientowane nietoperze obijały się o ściany.

Istota zmniejszyła nieco natężenie dźwięku.

Nietoperze natychmiast wyfrunęły na korytarz, następnie wzdłuż schodów w dół, a wraz z nimi mknęły stada myszy.

W piwnicy rozliczne usta istoty połączyły się, tworząc jeden wielki otwór w samym środku pulsującej masy.

W rozwarte gardło kolejno wpadały nietoperze, niczym czarne karty do gry do kosza na śmieci. Szybko ginęły w ciekłej protoplazmie rozpuszczone przez silne kwasy trawienne.

Mnóstwo myszy i cztery szczury, a nawet dwie wiewiórki ziemne, które skwapliwie porzuciły gniazdo w ścianie jadalni, pędziły stłoczone po stromych piwnicznych schodach, przewracając się i piszcząc w podnieceniu, by nakarmić sobą oczekującą istotę.

Po tym wybuchu wrzawy w domu zapanowała cisza.

Stwór przerwał na chwilę zniewalającą pieśń.

Funkcjonariusz Neil Penniworth patrolował północno-wschodni kwartał Moonlight Cove. Jeździł sam, gdyż nawet przy stu dodatkowych pracownikach New Wave, przekazanych do dyspozycji komendy policji, brakowało ludzi.

Wolał pracować bez partnera. Od czasu wydarzeń w domu Mike'a, gdy jego widok i zapach krwi skłoniły Penniwortha do regresji, bał się przebywać blisko ludzi. Zeszłej nocy cudem uniknął absolutnej degeneracji... Gdyby znowu był świadkiem czyjejś regresji, tym razem poddałby się temu mrocznemu pragnieniu.

Tak samo bał się samotności. Walka o zachowanie resztek człowieczeństwa i poczucia odpowiedzialności oraz przeciwstawienie się chaosowi wyczerpały go. Chciał uciec od tego życia. Osamotniony, widząc kogoś podlegającego regresji, byłby zgubiony.

Strach wręcz dławił go. Chwilami miał kłopoty z oddychaniem, jakby płuca spięła stalowa klamra.

Miał wrażenie, że radiowóz kurczy się, aż poczuł się skrępowany niczym w kaftanie bezpieczeństwa. Jednostajne uderzenia wycieraczek wydawały się coraz głośniejsze, w końcu brzmiały jak nie kończąca się kanonada dział. Dzisiaj często zjeżdżał na pobocze, wychodził na deszcz i wciągał hausty zimnego powietrza.

Jednak z upływem dnia nawet świat na zewnątrz samochodu wydawał się mniejszy niż niegdyś. Zatrzymał się na Holliwell Road, pół mili na zachód od siedziby New Wave, i wysiadł z radiowozu, ale nie poczuł się lepiej. Niski pułap szarych chmur zasłaniał bezkresne niebo.

Niczym zwiewne zasłony z najciemniejszego jedwabiu, deszcz i mgła odgradzały go od reszty świata. Spienione, błotniste strugi wody płynęły rynsztokami wzdłuż krawężników, deszcz kapał z każdej gałęzi i liścia drzew na chodnik, stukał głucho o radiowóz, szumiał, bulgotał, chichotał i chłostał go po twarzy z taką siłą, iż wydawało się, że powalają go tysiące młoteczków za słabych, by coś zdziałać pojedynczo, ale groźnych w masie.

Neil z ulgą wsiadł z powrotem do samochodu.

Zrozumiał, że wcale nie uciekał przed deszczem ani ciasnym wnętrzem wozu, przyprawiającym o klaustrofobię. Tak naprawdę dręczyło go życie Nowej Osoby. Odczuwając jedynie strach miał wrażenie, że jest zamknięty w małej klatce, w której nie mógł poruszyć się. Dusił się nie z powodu zewnętrznych uwarunkowań, lecz był spętany od wewnątrz tym, co uczynił z niego Shaddack.

A to oznaczało, że nie ma ucieczki.

Z wyjątkiem regresji.

Neil nie znosił życia, jakie teraz prowadził. Z drugiej strony nappełniała go odrazą i przerażeniem

myśl o przekształceniu się w jakąś koszmarną postać.

Ten dylemat przypominał węzeł gordyjski.

Był tak samo udręczony myślą o swym położeniu, co niemożnością wyjścia z sytuacji. Drążyło to bezustannie jego umysł. Odprężał się na chwilę tylko wtedy, gdy zasiadł przy komputerze w wozie patrolowym. Sprawdzał biuletyn, czy nie ma dla niego jakichś wiadomości, wywoływał schemat Projektu Księżycowy Jastrząb, by dowiedzieć się, jak przebiegały konwersje, lub cokolwiek innego. Tak bardzo koncentrował się na współdziałaniu z urządzeniem, że szybko uspokajał się, a dręczące poczucie klaustrofobii zanikało.

Neil interesował się komputerami od wczesnej młodości, choć nigdy nie włamał się do systemów komputerowych. Naturalnie, zaczął od gier komputerowych, a z czasem modyfikował sprzęt za pieniądze zarobione w wakacje. Komputer bawił go, ale w granicach zdrowego rozsądku.

Teraz w samochodzie zaparkowanym przy Holliwell Road, rozmyślał o tym, że świat komputerów jest cudownie przejrzysty, nieskomplikowany, zaplanowany i normalny. A więc niepodobny do egzystencji Nowych czy Dawnych Ludzi. Rządziły nim logika i rozum. Przyczyna, skutek i efekt uboczny były zawsze analizowane i wyjaśniane. Tu wszystko było czarno-białe lub szare, ale tę szarość skrupulatnie mierzono, liczono i szeregowano. Fakty okazały się prostsze niż uczucia. Wszechświat składający się wyłącznie z danych, uwolniony od materii i zdarzeń, wydawał się cudowniejszy – niż pełna sprzeczności rzeczywistość, targana śmiercią, bólem i strachem.

Wywołując kolejne menu, Neil jak nigdy dotąd skrupulatnie analizował Program Księżycowego Jastrzębia, zawarty w Słońcu. Nie potrzebował tych danych, ale ich wyszukiwanie przynosiło mu ulgę.

Teraz postrzegał komputer jako okno na inny, prosty świat faktów, wolny od skomplikowanych problemów, odpowiedzialności i uczuć. *Uczucia* były przekleństwem ludzkiej egzystencji.

Okno na inny świat.

Neil dotknął ekranu.

Pragnął znaleźć się w miejscu, gdzie panowały rozum, porządek, spokój.

Palcami prawej dłoni zakreślał kółka na ciepłym, szklanym ekranie.

Niespodziewanie pomyślał o Dorotce i jej psie Toto, porwanych przez tornado z nizin Kansas i przeniesionych z ponurych lat kryzysu w ciekawszy świat. Gdyby tylko jakieś elektroniczne tornado wystrzeliło z komputera i zaniósło go w lepsze miejsce...

Palcami przeniknął w ekran.

Zdumiony cofnął rękę.

Szkoło było całe, a morze słów i liczb jaśniało na ekranie jak przedtem.

Z początku przekonywał siebie, że uległ halucynacji, ale nie wierzył w to.

Zgiął palce. Nie krwawiły.

Spojrzał na ociekającą wodą szybę. Wycieraczki były wyłączone. Deszcz zniekształcał obraz świata. Na zewnątrz wszystko wydawało się wykrzywione, odmienione, dziwne. W takim miejscu nigdy nie zapanuje porządek, normalność i spokój. Z wahaniem jeszcze raz dotknął ekranu. Tym razem był twardy.

Znów pomyślał o wspianym świecie komputera – i jak poprzednio – jego dłoń przeniknęła szkło aż do nadgarstka. Ekran otworzył się i przylgnął ściśle do ręki niczym organiczna membrana. Dane migwały na ekranie wokół dłoni.

Serce biło mu jak szalone. Czuł strach i podniecenie. Próbował poruszyć palcami w tym tajemniczym, ciepłym wnętrzu. Nic nie czuł, jakby rozpuściły się albo zostały odcięte. Bał się, że wyciągnie skrwawiony kikut.

Ręka była cała.

Ale... ciało po zewnętrznej stronie, od paznokci aż do nadgarstka, pokryły żyłki miedzi i pasemka szkła. W tych świecących szklanych włóknach uderzał miarowo puls. Od wewnątrz dłoń przypominała lampę oscyloskopową. Migwały na niej różne znaki i zielone litery na ciemnym szklanym tle. Na dłoni i ekranie komputera widniały identyczne dane.

Pojął nagle, że regresja w postaci bestii nie stanowiła jedynej drogi ucieczki. Otwierał się przed nim świat elektronicznej myśli i magnetycznej pamięci, świat świadomości pozbawionej cielesnego pożądania i uczuć. Nie było to nagłe olśnienie czy intuicja, lecz z jakiegoś głębszego niż intelekt poziomu rozumowania docierało do niego, że może przekształcić się jeszcze bardziej, niż sprawił to Shaddack.

Przesunął dłoń z ekranu na procesor, na konsolce między siedzeniami. Z taką samą łatwością, jak w szklany ekran, wsunął dłoń przez klawiaturę i osłonę do wnętrza urządzenia.

Nicznym duch przenikał ściany, a raczej jak istota ektoplazmiczna.

Poczuł zimno pełną po dłoni.

Na ekranie pojawiły się teraz tajemnicze wzory świetlne.

Odchylił się na siedzeniu.

Chłód dotarł do ramienia.

Westchnął.

Czuł, że coś dzieje się z jego oczami. Nie był pewien, co. Nie zadał sobie trudu, by spojrzeć w lusterko. Postanowił zamknąć oczy i poddać się procesowi drugiej, bardziej skomplikowanej

konwersji. Ten stan bardziej pociągał go niż regresja.

Nie mógł się temu oprzeć.

Chłód dotarł do twarzy. Nie czuł warg.

Coś działo się również z mózgiem, który przemieniał się jakby w pojemnik zwojów i złączy komórkowych. Stracił czucie w ciele. Nie potrafił nawet określić, czy było mu ciepło, czy zimno, dopóki nie skoncentrował się na zebraniu odpowiednich danych. Jego ciało stało się po prostu obudową maszyny i nośnikiem czujników.

Zimno dotarło już do czaszki.

Odczuwał je jako dziesiątki, setki, w końcu tysiące lodowatych pajaków, drążących mózg.

Nagle przypomniał sobie, że Dorotka uznała krainę Oz za istny koszmar i w końcu rozpaczliwie szukała drogi powrotnej do Kansas... Także Alicja znalazła szaleństwo i przerażenie w norze królika, po drugiej stronie lustra...

Milion zimnych pajaków.

Wewnątrz czaszki.

Miliard.

Zimnych, zimnych.

Biegnących.

Wciąż krążąc po Moonlight Cove w poszukiwaniu Shaddacka, Loman dostrzegł dwóch regresywnych przebiegających ulicę.

Znajdował się na Paddock Lane, na południowym krańcu miasta. Po obu stronach w głębi ulicy stały jednopiętrowe domy o lekko spadzistych dachach, a obok małe prywatne stajnie. Posesje otoczono metalowymi ogrodzeniami lub białymi płotami.

Dwóch regresywnych wyskoczyło zza rzędu rozłożystych, wysokich na trzy stopy azalii, jeszcze pięknych, choć bez kwiatów o tak późnej porze roku. Przebiegli na czworakach ulicę, przeskoczyli przez rów odpływowy i zniknęli w żywopłocie.

Wzdłuż Paddock Lane rosły potężne sosny pogłębiające mrok dnia cieniami, ale Loman był pewny tego, co zobaczył. Przypominały bardziej senne widziadła niż jakiegokolwiek zwierzęta z realnego świata, jakies wilczo-kocie, a po części gadzie stwory. Byli zwinni i wyglądali potężnie. Jeden z nich obrócił w jego stronę łeb i oczy zaświeciły w mroku jak różowo-czerwone ślepia szczura.

Zwolnił, ale nie zatrzymał się. Nie przejmował się już tropieniem regresywnych. Po pierwsze dlatego, że już zidentyfikował ich. Byli nimi wszyscy poddani konwersji. Wiedział, że powstrzyma ich jedynie eliminując Shaddacka. Polował zatem na znacznie grubsze zwierza.

Zaniepokoił się jednak, że grasują bezczelnie w biały dzień, o drugiej trzydzieści po południu. Do tej pory skrywali się wstydliwie w nocy, przybierając odmienną postać dopiero po zachodzie słońca.

Jeśli wyszli na łowy przed zmrokiem, to znaczyło, że już nikt nie panował nad Projektem, co nastąpiło szybciej, niż się tego spodziewał. Moonlight Cove nie balansowało już na krawędzi piekła, ale przekroczywszy ją spadało w otchłań.

Znów siedzieli w sypialni Harry'ego na drugim piętrze, gdzie od półtorej godziny spierali się i dyskutowali o wszystkich możliwych rozwiązaniach. Nie paliły się żadne lampy. Białe popołudniowe światło dnia pogłębiało ponury nastrój.

– Więc zgadzamy się, że są dwa sposoby przesłania wiadomości z miasta – powiedział Sam.

– Ale w obu wypadkach musisz przebyć kawał drogi, nim dotrzesz do celu – zdenerwowała się Tessa.

Wzruszył ramionami.

Tessa i Chrissie siedziały na łóżku bez butów, opierając się plecami o poduszki. Dziewczynka najwyraźniej pragnęła przebywać blisko niej, niczym świeżo wyklute z jajka pisklę tulące się do dużego ptaka, nawet gdy nie jest matką.

– To nie będzie takie proste, jak przedostanie się dwa domy dalej do Coltrane'ów. Nie w dzień – odezwała się Tessa.

– Sądysz, że powinienem czekać do zmroku? – spytał Sam.

– Tak. Poza tym przed wieczorem nadciągnie mgła.

Była przekonana o swojej racji, choć martwiła ją ta zwłoka, gdyż zostanie poddanych konwersji znacznie więcej ludzi. Moonlight Cove stanie się miejscem jeszcze bardziej niebezpiecznym i groźnym.

Sam spojrzał na Harry'ego:

– O której ściemnia się?

Harry siedział na wózku inwalidzkim. Moose wrócił już do niego. Wcisnąwszy swój potężny łeb pod oparcie fotela, wsparł się na kolanach pana. Choć było mu niewygodnie, z zadowoleniem poddawał się pieszczotom.

– Zmrok zapada przed szóstą – odpowiedział Harry.

Sam siedział przy teleskopie, choć nie korzystał z niego w tym momencie. Nieco wcześniej obserwował ulice i zauważył mnóstwo samochodów oraz pieszych patroli.

Najwyraźniej spiskowcy kryjący się za Projektem Księżycowy Jastrząb coraz śmielej sobie poczynali, wiedząc, że już większość mieszkańców poddano konwersji.

Sam odezwał się spoglądając na zegarek:

– Nie powiem, żeby spodobał mi się pomysł zmarnowania trzech lub więcej godzin. Im prędzej prześlemy informację, tym więcej ludzi uratujemy od... tego, co z nimi robią, cokolwiek by to było.

– Ale jeśli cię złapią – wtrąciła Tessa – to wówczas szansę uratowania *kogokolwiek* będą zerowe.

– Tessa ma rację – powiedział Harry.

– Owszem – dodała Chrissie. – Fakt, że nie są kosmitami, wcale nie oznacza, że łatwiej rozprawisz się z nimi.

Ponieważ nieliczne czynne telefony łączyły się jedynie z wybranymi numerami w obrębie miasta, zrezygnowali z pomysłu telefonowania. Lecz Sam uświadomił sobie, że każdy komputer połączony modemem ze Słońcem, czyli z superkomputerem w New Wave – może być elektroniczną autostradą, dzięki której uzyskają kontakt ze światem, pokonując ograniczenia na złączach telefonicznych i blokady drogowe.

Pracując przy terminalu w wozie policyjnym odkrył, że Słońce podłączono do wielu komputerów, w tym do kilku banków danych FBI, zarówno tych ogólnie dostępnych, jak i tajnych, przeznaczonych wyłącznie dla agentów. Połączywszy się ze Słońcem z jakiegoś komputera nadałby sygnał SOS, który ukazałby się na wszystkich monitorach w Biurze i w wydrukach z laserowych drukarek zainstalowanych w siedzibach FBI.

Zakładali oczywiście, że z blokady na łączach telefonicznych w mieście wyłączono te, po których Słońce łączyło się z zewnętrznym światem. W przeciwnym razie znaleźliby się w sytuacji bez wyjścia.

Zrozumiałe, że Sam z niechęcią myślał o wkraczaniu do domów pracowników New Wave. Bał się, że spotka tam więcej osobników podobnych Coltrane'om. Istniały tylko dwa sposoby realizacji planu.

Po pierwsze, może znowu włamać się do radiowozu i skorzystać z komputera, jak ostatniej nocy. Ale oni już wiedzieli o jego obecności, co znacznie utrudniało taką akcję. Ponadto, pewnie wszystkie wozy były zajęte, gdyż policjanci pilnie go poszukiwali i Tessy zresztą także. Nawet gdyby jakiś radiowóz stał za budynkiem władz miejskich, z pewnością panował tam spory ruch.

Po drugie, mogli skorzystać z komputerów w szkole średniej na Rashmore Way. New Wave przekazało je bezpłatnie nie w szlachetnej trosce o poziom lokalnych szkół, ale po to, by zwiększyć wpływy na społeczność Moonlight Cove. Sam nie wątpił, że szkolne komputery są na tyle pojemne, by łączyć się ze Słońcem.

Ale Moonlight Cove Central, jak nazywano szkołę średnią, znajdowała się po zachodniej stronie Roshmore Way, trzy przecznice od domu Harry'ego. W normalnych warunkach trasę tę pokonywało się w pięć minut, lecz pod ścisłą kontrolą terenu, gdy każdy dom stanowił punkt obserwacyjny pełen wrogów, przemknąć się było równie łatwo jak przejść bez szwanku przez pole minowe.

– Poza tym – dodała Chrissie – w szkole wciąż są zajęcia. Nie można po prostu wejść i skorzystać z komputera, zwłaszcza że nauczycieli zapewne w pierwszej kolejności poddano konwersji.

– O której kończą się lekcje? – spytał Sam.

– W Jeffersonie o trzeciej, ale w Central mają jeszcze dodatkowe pół godziny.

– Czyli o trzeciej trzydzieści.

– Za czterdzieści siedem minut – obliczył Harry patrząc na zegarek. – Ale i tak będą jeszcze zajęcia pozalekcyjne, nieprawdaż?

– Pewnie – powiedziała Chrissie – orkiestra, prawdopodobnie trening futbolistów, spotkania w klubach.

– Więc o której wszyscy wynoszą się?

– Wiem, że orkiestra ćwiczy między trzecią czterdzieści pięć a czwartą czterdzieści pięć – powiedziała Chrissie. – Przyjaźnię się z chłopakiem z tej orkiestry. Ja gram na klarncie i chciałabym też grać w przyszłym roku. O ile będzie orkiestra. Jeśli będzie przyszły rok.

– W takim razie... przed piątą szkoła jest pusta.

– Trening futbolistów trwa dłużej.

– Będą kopać piłkę w ulewnym deszczu?

– Chyba nie.

– Jeśli zamierzasz czekać do piątej, to równie dobrze możesz wyruszyć po zmroku – powiedziała Tessa.

– Tak sędzę – przytaknął Harry. – Sam, zapominasz o czymś – dodał.

– O czym?

– Tuż po twoim wyjściu, pewnie punktualnie o szóstej, przyjdą poddać mnie konwersji.

– Jezu, racja! – krzyknął.

Moose poderwał łeb z kolan pana i wysunął się spod poręczy fotela. Usiadł wyprostowany z uszami na sztorc, jakby rozumiał, co się mówi i już nasłuchiwał dzwonka czy pukania do drzwi.

– Sędzę, że *naprawdę* musisz poczekać do zmroku – powiedział Harry – ale w takim razie zabierzesz ze sobą Tessę i Chrissie. Nie będą tu bezpieczne.

– Pan i Moose też tu nie zostanieie – z miejsca wtrąciła Chrissie. – Nie wiem, czy poddają konwersji psy, ale na wszelki wypadek musimy go wziąć. Po co martwić się, że zamienią go w maszynę, czy coś w tym rodzaju.

Moose fuknął.

– Czy można na nim polegać? – spytała Chrissie – lepiej, żeby nie szczeknął na coś w nieodpowiednim momencie. Myślę, że można zabandażować mu pysk, co jest trochę okrutne i prawdopodobnie zraniłoby jego uczucia, gdyż założenie takiego kagańca oznacza brak zaufania, ale później wynagrodzimy mu to soczystym stekiem, albo...

Dziewczynka zdała sobie nagle sprawę, że jej towarzysze milczą wymownie, więc także zamilkła. Zdziwiona spojrzała na Harry'ego, Sama, potem na Tessę.

Czarne chmury przykryły niebo i w pokoju też pociemniało. Lecz Tessa wyraźnie widziała twarz Harry'ego wśród tych głębokich cieni w pełni świadoma, jak bardzo stara się ukryć strach, zdobywając się na niewymuszony uśmiech i spokojny ton głosu. Ale wyraz jego oczu mówił sam za siebie.

– Nie pójdę z wami, kochanie – zwrócił się do Chrissie.

– Och – westchnęła, a jej wzrok ześliznął się na wózek inwalidzki. – Ale przecież zjawił się pan kiedyś w szkole na spotkaniu. Czasami wychodzi pan z domu. Musi istnieć jakiś sposób, dzięki któremu wydostaje się pan na zewnątrz.

Harry uśmiechnął się:

– Winda zjeżdża do garażu. Nie prowadzę już samochodu, więc jest pusty i mogę swobodnie wytoczyć wózek na podjazd, a potem na chodnik.

– Więc sprawa załatwiona – stwierdziła Chrissie.

Harry zwrócił się teraz do Sama:

– Ale nie mogę poruszać się po stromych miejscami ulicach bez pomocy. Wózek ma hamulce, a silnik nieźle ciągnie, lecz jest za słaby na te pagórki.

– My panu pomożemy – powiedziała poważnie Chrissie.

– Kochane dziecko, nie zdołacie przekraść się szybko przez trzy przecznice, ciągnąc mnie ze sobą – zdecydowanie zaoponował Harry. – Przede wszystkim musicie trzymać się z dala od ulic, w miarę możliwości, przeskakiwać z podwórka na podwórko, kluczyć między domami, a ja mogę poruszać się tylko po chodniku, zwłaszcza w taki deszcz, gdy grunt jest grząski.

– Możemy pana nieść.

– Nie – wtrącił się Sam. – Nie w sytuacji, gdy chcemy dotrzeć do szkoły, by wysłać wiadomość

do Biura. To niedaleka, ale pełna niebezpieczeństw droga, więc musimy mieć swobodę ruchów. Przykro mi, Harry.

– Nie przepraszajcie mnie – powiedział. – Myślicie, że chciałbym być wleczony, albo niesiony na ramionach przez miasto jak wór cementu?

Najwyraźniej niezadowolona Chrissie, zeskoczywszy z łóżka, stanęła z piąstkami przyciśniętymi do boków. Błagalnie patrzyła na Tessę i Sama, by wynaleźli sposób na uratowanie Harry’ego.

Niebo przykrywały ciężkie, czarne chmury.

Deszcz zelżał, ale Tessa wyczuwała, że to chwilowa przerwa, po której rozszaleje się jeszcze większa ulewa.

Ponury nastrój, zarówno w ich sercach jak i za oknem, pogłębiał się.

Moose popiskiwał cicho.

W oczach Chrissie zaświeciły łzy i zdawało się, że nie może spojrzeć na Harry’ego. Podeszła do północnego okna i wpatrywała się w sąsiedni dom oraz ulice, stojąc dostatecznie daleko, by nikt jej nie zauważył.

Tessa pragnęła ją pocieszyć.

Pragnęła też dodać otuchy Harry’emu.

Co więcej... chciała, by wszystko grało. Jako scenarzysta-producent-reżyser była pełna inicjatywy i energii, potrafiła rządzić, kierować sprawami. Zawsze rozwiązywała problemy, nie poddawała się w krytycznych chwilach. Ale teraz opuściła ręce bezradna. Rzeczywistość przerosła jej siły, podobnie jak czasem nie przystawała do scenariusza filmowego. Może właśnie dlatego wybrała karierę kosztem rodziny, choć jako dziecko zaznała wspaniałej domowej atmosfery. Codzienne życie było niespójne, pełne niespodzianek, niekonsekwencji i sprzeczności. Nie mogła liczyć na to, że uda jej się poskładać je tak samo, jak przy realizacji starannie przygotowanego filmu. Życie toczyło się swoim torem, bogate i skomplikowane... a film był jedynie kwintesencją życia. Może dlatego lepiej radziła sobie z dokumentem na taśmie, niż z bytem w całej jego złożoności.

Wrodzony optymizm Locklandów, niegdyś jasny jak słońce, nie opuścił jej, choć z pewnością przygasł na jakiś czas.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił Harry.

– Jakim cudem? – spytał Sam.

– Prawdopodobnie jestem ostatni na liście – tłumaczył. – Przecież kaleki i niewidomi są nieszkodliwi. Nawet wiedząc, co się dzieje i tak samodzielnie nie wydadzą się z miasta. Pani Sagerian mieszkająca dalej na Pinecrest jest niewidoma i założy się, że ona też znalazła się na końcu listy. Będą zwlekać z nami aż do północy. Więc wystarczy, że dostaniecie się do szkoły,

zaalarmujecie Biuro i sprowadzicie pomoc przed północą, a wtedy uratuję się.

Chrissie odwróciła się od okna z policzkami mokrymi od łez.

– Naprawdę sądzi pan, że nie przyjdą przed północą?

Harry mrugnął do dziewczynki, ale chyba tego nie dostrzegła.

– Kochanie, jeśli cię oszukuję, to niech Bóg porazi mnie piorunem.

Deszcz padał, ale żaden piorun nie strzelił.

– Widzisz? – Harry uśmiechnął się szeroko.

Chrissie najwyraźniej uwierzyła w tę bajkę, ale Tessa wiedziała, że w każdej chwili grozi mu niebezpieczeństwo. W tym, co powiedział, był rzeczywiście jakiś sens, ale brzmiało to zbyt pięknie. Niczym fabuła w scenariuszu, lecz prawdziwego życia nie da się zaplanować. Rozpaczliwie przekonywała się, że Harry spokojnie przetrwa do ostatnich minut przed północą, ale prawda wyglądała tak, że od szóstej będzie zagrożony.

Shaddack siedział w garażu Pauli Parkins prawie całe popołudnie.

Dwukrotnie podnosił duże drzwi, zapalał silnik i wyprowadzał furgonetkę na podjazd, by obserwować w komputerze realizację Projektu Księżycowy Jastrząb. Za każdym razem usatysfakcjonowany wjeżdżał z powrotem do garażu i opuszczał drzwi.

Mechanizm działał. On go zaprojektował, zbudował i nacisnął włącznik. Teraz pracował już bez jego pomocy.

W samochodzie marzył o chwili, gdy zakończy się ostatni etap Projektu i cały świat przyjmie nową wiarę.

Już nie będzie Dawnych Ludzi, a on na nowo zdefiniuje słowo „władza”, bowiem jeszcze żaden człowiek w historii nie posiadał tak absolutnej kontroli nad innymi. Teraz mógłby zaprogramować cały rodzaj ludzki dla swoich potrzeb. Ludzkość stałaby się jednym wielkim ułem, bzyzącym pracowicie i służącym jego wizji. Te marzenia wywołały silną erekcję, aż odczuł tępy ból.

Shaddack znał wielu naukowców szczerze przekonanych, że postęp techniczny ma na celu polepszenie losu ludzkości, wydzwignięcie jej z błota i wzniesienie do gwiazd. On widział sprawy inaczej. Według niego, dzięki rozwojowi nauki zdobywał władzę. Niedoszli odnowiciele świata opierali się na przemocy. Hitler, Stalin, Mao, Pol Pot i inni zdobywali wpływy przez zastraszenie i masowe zbrodnie. Brnęli do tronu przez jeziora krwi i w końcu żaden nie osiągnął tego, czym krzemowy obwód obdarzył właśnie Shaddacka. Wieczne pióro nie pokonało miecza, ale mikroprocesor był potężniejszy niż ogromne armie.

Zapewne wszyscy ludzie nauki, dowiedziawszy się o jego przedsięwzięciu i snach o podboju świata, ogłosiliby go zbrodźcą, chorym, obłąkanym. Nie dbał o to. Wiedział, że nie zdawali sobie sprawy, iż był dzieckiem Księżycowego Jastrzębia. Bezkarne zabił naturalnych rodziców, co dowodziło, że został wyniesiony ponad zasady obowiązujące innych ludzi. *Prawdziwymi* matką i ojcem Shaddacka były potężne siły duchowe. To one chroniły go przed karą, ponieważ morderstwa w Phoenix były świętą ofiarą złożoną prawdziwym przodkom, wyznaniem wiary i ufności, jakie w nich pokładał. Inni naukowcy zrozumieliby to opacznie, nieświadomi, że wszechświat istniał tylko dlatego, że *on* istniał, a gdyby kiedykolwiek umarł, co było nieprawdopodobne, to nastąpi zagłada.

Był centrum stworzenia, jedynym człowiekiem, który liczył się. Powiedziały mu to wielkie duchy. Szeptaly mu te prawdy we śnie i na jawie ponad trzydzieści lat.

Dziecko Księżycowego Jastrzębia...

Pod wieczór coraz bardziej ekscytował się zakończeniem pierwszej fazy Projektu. Nie mógł już znieść odosobnienia w garażu Pauli Parkins, choć wiedział, że powinien trzymać się z dala od miejsc, w których mógłby go znaleźć Loman Watkins. Koszmarne wydarzenia w domu Mike'a

Peysera poprzedniej nocy teraz uznał po prostu za zwykłe niepowodzenie. Był pewien, że w końcu rozwiąże problem regresywnych. Jego geniusz zrodził się z więzi z duchowymi siłami, więc pokona wszelkie trudności, ponieważ owe wielkie duchy pragnęły jego powodzenia. Stopniowo zapominał o strachu przed Watkinsem, aż groźby szefa policji wydały mu się puste, a nawet żałosne.

Był dzieckiem Księżycowego Jastrzębia. Zdziwił się, że umknęła mu ta ważna prawda i uciekł wystraszony. Cóż, nawet Jezus odczuwał strach walcząc z demonami. Garaż Pauli Parkins był dla Shaddacka gajem oliwnym, gdzie schronił się, by pozbyć się ostatnich wątpliwości.

Był dzieckiem Księżycowego Jastrzębia.

O czwartej trzydzieści podniósł drzwi garażu.

Uruchomił furgonetkę i wyjechał na podjazd.

Był dzieckiem Księżycowego Jastrzębia.

Skręcił na drogę do miasta.

Był dzieckiem Księżycowego Jastrzębia, spadkobiercą korony, który o północy wstąpi na tron.

Pack Martin, a właściwie Packard, ponieważ matka nazywała go tak na pamiątkę samochodu, który był dumą jej ojca – mieszkał w starej przyczepie na południowo-zachodnim krańcu miasta. Lakier zbladł i popękał jak emalia na starożytnej wazie. Ta przerdzewiała w kilku miejscach i powgniatana buda stała na betonowych podporach na zachwaszczonyj posesji. Pack wiedział, że dla wielu ludzi w Moonlight Cove to było szkaradne miejsce, ale miał to w nosie.

Przyczepę podłączył do sieci elektrycznej, miał olejowy piec i kibelek, co w pełni zaspokajało jego potrzeby. W ciepłym, suchym pomieszczeniu mógł wypić swoje piwo. Czuł się jak w prawdziwym mieszkaniu.

Najważniejsze, że spłacił przyczepę dwadzieścia pięć lat temu za pieniądze odziedziczone po matce, zatem nie wisiała mu nad głową żadna hipoteka. Pozostało mu coś jeszcze ze spadku, ale rzadko naruszał kapitał. Procent wynosił prawie trzysta dolarów miesięcznie, a miał jeszcze rentę po wypadku, jaki zaaranżował w trzy tygodnie po wcieleniu do armii. Jediną prawdziwą pracą, którą Pack kiedykolwiek naprawdę wykonał, było skrupulatne przestudiowanie najbardziej złożonych i subtelnych symptomów poważnego uszkodzenia kręgosłupa, jakie zgłosił przełożonym zgodnie z instrukcjami w karcie powołania. Był stworzony do leniuchowania o czym wiedział od najwcześniejszych lat. On i praca wykluczały się. Wyobrażał sobie, że powinien wżenić się w bogatą rodzinę, ale coś nie wyszło i skończył jako syn kelnerki, dostatecznie pracowitej, by odziedziczył spory spadek.

Ale nie zazdrościł nikomu. Co miesiąc kupował dwanaście albo czternaście opakowań taniego piwa w sklepie z przecenionymi towarami przy autostradzie, no i miał jeszcze telewizor, a gdy od czasu do czasu zjadł kanapkę z kielbasą i musztardą oraz chrupki, to wystarczało mu do szczęścia.

Nim wybiła czwarta w to wtorkowe popołudnie, Pack zagłębiony w zniszczonym fotelu wypił sporo piwa z drugiego sześciobutelkowego kartonu. Oglądał teleturniej, w którym cudowna dziewczyna wręczająca nagrody, zawsze występująca w skąpych sukienkach, była o wiele bardziej interesująca niż pytania i prowadzący program uczestnicy.

Pytanie: – A więc, jaki numer państwo wybierają? Jeden, dwa czy trzy?

Pack zwrócił się do telewizora.

– Wezmę to, co kryje się pod strojem tej niezwyklej panienki, dziękuję bardzo – i łyknął piwa.

Właśnie w tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

Pack nie zareagował. Nie miał przyjaciół, więc goście nie interesowali go. Zazwyczaj nachodzili go chętni do ścinania chwastów i uporządkowania posesji, czego nie chciał, ponieważ lubił swoje chwasty.

Znów pukanie.

Pack zgłosił telewizor.

Zapukali mocniej.

– Odejdźcie – krzyknął.

Zaczęli dosłownie *walić* w drzwi, aż trzęsła się przyczepa.

– Co, do cholery? – wkurzył się. Wyłączył odbiornik i wstał.

Walenie ustało, ale usłyszał dziwne drapanie o ściany.

Całe domostwo zatrzeszczało na betonowych podstawach, co czasami zdarzało się przy silnym wietrze. Ale teraz nie wiało.

– Dzieciaki – stwierdził.

W rodzinie Aikhornów, mieszkającej po drugiej stronie szosy w odległości dwustu jardów na południe, były tak wredne bachory, że powinno się je uspić zastrzykami, zakonserwować w formaldehydzie i pokazywać w jakimś muzeum przestępczości. Te szczeniaki zabawiały się odpalaniem petard wciśniętych między betonowe słupki i budziły go w nocy.

Drapanie o ścianę ucichło, ale teraz z kolei dzieciaki chodziły po dachu.

Tego już za wiele. Co prawda metalowy dach nie przeciekał, ale w każdej chwili mógł wygiąć się albo nawet pęknąć na złączach.

Pack otworzył drzwi i wyszedł na deszcz, przeklinając głośno intruzów. Dostrzegł jakieś stwory z filmów grozy z lat pięćdziesiątych, wielkości człowieka, o kłapiących szczękach i wybałuszonych oczach, wokół których widniały małe kleszcze. O zgrozo, na tym koszmarnym obliczu zauważył kilka cech ludzkiej twarzy, przypominającej Daryla Aikhorna, ojca dzieciaków. *Pooo-trzeeeeboować*, zasyczała istota. Skoczyła w jego stronę, a z odrażającego ciała wysunęło się ostre żądło. Zanim długa piłowata włócznia przeszła mu brzuch na wylot, Pack uświadomił sobie, że dni pełne piwa, kanapek i chrupek, zasiłków dla niepełnosprawnych i pięknych dziewcząt z teleturnieju minęły bezpowrotnie.

Czternastoletni Randy Hapgood maszerował przez brudną, sięgającą łydek wodę w przepelnionym rynsztoku, uśmiechając się pogardliwie, jakby chciał powiedzieć, że natura musiałaby ustawić tysiąc razy większą zaporę, by zbić go z pantałyku. Nie nosił czegoś tak staromodnego jak płaszcz przeciwdeszczowy czy kalosze. Wspaniałe blondynki nie przytulają się do ramienia idiotów z parasolami. Szczerze mówiąc, szalowych blondynek nie widziało się również u boku Randy'ego, ale zakładał, że po prostu jeszcze nie zauważyły, jakim był świetnym chłopakiem, jak obojętnie traktował pogodę i wszystko, co zaskakiwało innych małych.

Przemoczony i zły gwizdał wesoło dla niepoznaki. Dotarł ze szkoły do domu za dwadzieścia piąta, po ćwiczeniach orkiestry skróconych z powodu złej pogody. Moką kurtkę dzinsową powiesił na drzwiach od spiżarni.

Zdjął także przesiąknięte wodą tenisówki.

– Jestem tuuuuuuuutaaaaaj – wrzasnął, parodiując małą dziewczynkę z filmu *Duch*.

Cisza.

Wiedział, że rodzice są w domu, ponieważ paliło się światło i drzwi wejściowe były otwarte. Ostatnio coraz częściej pracowali w domu nad jakimś produktem z New Wave.

Randy wyjął puszkę coli z lodówki i pociągnął spory łyk, po czym skierował się na górę, by wyschnąć i opowiedzieć rodzicom, jak minął dzień. Nie mówił do nich tata i mama, co wcale im nie przeszkadzało. Byli w porządku. Czasem myślał, że są aż za bardzo w porządku. Jeździli porsche, nosili supermodne ubrania dużo wcześniej niż inni, i szczerze jak kumple rozmawiali z nim o *wszystkim*, włącznie z seksem. Toteż obawiał się, że gdy spotka wymarzoną szalową blondynkę, dziewczyna, poznawszy rodziców uzna jego tatę za nieskończenie równiejszego i wspanialszego niż on. Czasami żałował, że Pete i Marsha nie są grubi, fatalnie ubrani i nie molestują, by zwracał się do nich per tata i mama. Szkolne współzawodnictwo o stopnie i popularność zupełnie mu wystarczały. Nie chciał konkurencji w domu.

Dotarł do szczytu schodów i zawołał słowami współczesnego amerykańskiego intelektualisty, Johna Rambo: Yo!, co oznaczało – witam was.

Znowu nie odpowiedzieli.

Zbliżając się do pracowni przy końcu korytarza poczuł coś w rodzaju dreszczy. Drgnął i zmarszczył się, ale nie przystanął, gdyż okazywanie strachu nie licowało z jego przekonaniem o własnej dorosłości.

Przekroczył próg, mając na końcu języka dowcipny komentarz na temat ich milczenia i skamieniał ze strachu.

Pete i Marsha siedzieli po przeciwnych stronach dużego stołu, na którym stały dwa komputery. Nie siedzieli – byli powiązani z krzesłami i komputerami mnóstwem obrzydliwych, mechowatych kabli niknących w podłodze. Ich twarze, choć obłądnie zmienione, wciąż w jakimś stopniu przypominały dawne oblicza.

Randy nie mógł oddychać.

Ale po chwili niepewnie cofnął się.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Odwrócił się na pięcie.

Organiczno-metaliczne macki wystrzeliły ze ścian. Cały pokój ożył niczym w koszmarnym śnie. Macki błyskawicznie oplotły go, zamykając w potrzasku i odwróciły w stronę rodziców. Wciąż tkwili na krzesłach, ale nie siedzieli już twarzą do komputerów. Wpatrywali się w niego promieniującymi zielonymi oczyma, które jakby bulgotały w oczodołach.

Randy krzyknął. Szarpnął się, ale macki trzymały go mocno.

Pete otworzył usta i sześć srebrzystych przedmiotów, jak duże kulki łożyskowe, uderzyło chłopca w pierś.

Kilka sekund czuł rozrywający ból, a potem lodowaty dreszcz przenikał całe jego ciało, aż do twarzy.

Próbował ponownie krzyknąć, ale z ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Macki chowały się z powrotem w ścianie, ciągnąc go z sobą, aż plecami przywarł do tynku.

Uczucie zimna wypełniało teraz jego głowę.

I znów chciał krzyknąć. Tym razem wydał z siebie cienki, elektroniczny pogłos.

We wtorkowe popołudnie, ubrana w luźne, wełniane spodnie, bawełnianą koszulę i sweter, Meg Henderson siedziała przy kuchennym stole pod oknem, ze szklanką chenin blanc, talerzem cebulowych krakersów, kawałkiem sera gouda i książką Rex Staouta, której bohaterem był Nero Wolfe. Wieki temu przeczytała wszystkie książki o Wolfe, ale teraz wracała do nich. Lektura starych powieści przynosiła jej ulgę, ponieważ bohaterowie nigdy nie zmieniali się. Wolfe wciąż był geniuszem i światowcem, Arche człowiekiem czynu, a Fritz nadal prowadził najlepszą prywatną jadłodajnię. Żaden również nie zestarzał się od czasu ostatniego spotkania, co było sztuczką, którą chciałyby poznać.

Meg miała 80 lat i bez złudzeń – wyglądała na tyle. Czasami patrzyła zdumiona na siebie w lustrze, jak na obcą osobę. Spodziewała się, że jakimś cudem zobaczy odbicie młodości, ponieważ w głębi serca była dziewczynką. Na szczęście nie czuła osiemdziesięciu lat. Nie dokuczał jej artretyzm i inne poważne schorzenia, dzięki Bogu, a mięśnie miała prężne jak Jabby z trzeciej części *Gwiezdnych Wojen*, którą oglądała tydzień temu na wideo.

Wciąż mieszkała w bungalowie na Concord Circle, dziwnej, małej uliczce w kształcie półksiężyca, która zaczynała się i kończyła przy Sierra Avenue na wschodnim krańcu miasta. Czterdzieści lat temu kupili z Frankiem ten dom, gdy oboje byli nauczycielami w szkole Jeffersona. Od śmierci Franka już czternaście lat mieszkała sama. Krzątała się, sprzątała i gotowała dla siebie, za co dziękowała Bogu.

Jeszcze bardziej błogosławiła swoją sprawność umysłową. Koszmarne obawiała się sklerozy albo wylewu. Ćwiczyła umysł czytając dużo książek i oglądając mnóstwo filmów na kasetach, unikała natomiast jak ognia ogłupiającej sieczki, która w telewizji uchodziła za rozrywkę.

Przed czwartą trzydzieści po południu we wtorek przeczytała już połowę książki, choć robiła przerwę po każdym rozdziale, by spojrzeć na deszcz. Lubiła deszcz. Lubiła każdą pogodę, jaką Bóg zesłał na świat – burze, grad, wiatr, zimno, upał.

W ulewnym deszczu za oknem nagle zobaczyła trzy duże, ciemne i całkowicie fantastyczne istoty, wynurzające się zza drzew na końcu posesji. Zatrzymały się na chwilę, a cienka mgiełka owijała się wokół ich stóp. Przypominały koszmarnie mary senne, które równie szybko znikają jak pojawiają się. Ale te zjawy popędziły w stronę tylnego ganku.

Gdy zbliżały się, upiorne wrażenie nie opuszczało Meg. Nic podobnego nie widziała na tej ziemi... chyba że ożyły chimery na dachach katedr i zeszyły na dół. Była przekonana, że to wczesne stadium rozległego wylewu, czego zawsze obawiała się najbardziej. Tylko zdziwiła się, że zaczynała się taką niesamowitą halucynacją.

Ale tak to wyglądało – halucynacja poprzedzająca pęknięcie uciskającego mózg krwiaka. Czekwała na ostry ból głowy, po którym zostanie sparaliżowana.

Nawet wówczas, gdy jedna z chimer wpadła do środka tłukąc szybę i skoczyła na Meg z wyszczerzonymi zębami i wysuniętymi szponami, staruszka dziwiła się, że wylew wywołuje tak realistyczną wizję, choć nie zaskoczył jej potworny ból. Zawsze wiedziała, że śmierć będzie boleć.

Dora Hankins, recepcjonistka w głównym hallu New Wave, przyzwyczała się, że ludzie wychodzą z budynku o czwartej trzydzieści, choć praca oficjalnie kończyła się o piątej. Wiele osób wykonywało obowiązki w domu, więc nie wymagano ośmiogodzinnego siedzenia. Od chwili konwersji wszyscy i tak pracowali dla tej samej idei, dla nowego świata, a wystarczającym rygiem był wszechobecny strach przed Shaddackiem.

Dora zaniepokoiła się, gdy około czwartej pięćdziesiąt pięć jeszcze nikt nie wyszedł z firmy. W budynku było dziwnie cicho, choć setki ludzi pracowały w biurach i laboratoriach na parterze i dwóch piętrach. Prawdę powiedziawszy, gmach wydawał się wyludniony.

O piątej Dora postanowiła sprawdzić, co się dzieje. Opuściwszy stanowisko przy recepcji, udała się na koniec tego dużego marmurowego hallu i przeszła do skromniejszego korytarza, z podłogą wyłożoną winylowymi płytkami i biurami po obu stronach. Zajrzała do pierwszego pokoju z lewej strony, gdzie pracowało osiem kobiet, będących do dyspozycji szefów mniejszych wydziałów, którzy nie mieli osobistych sekretarek.

Wszystkie siedziały przy komputerach. W tym fluorescencyjnym oświetleniu bez trudu dostrzegła, że ich ciała łączyły się z maszynami.

W ostatnich tygodniach Dora odczuwała jedynie strach. Sądziła, że poznała już wszystkie jego odcienie i natężenia. Ale tak upiornego lęku jak teraz nie doświadczyła wcześniej.

Połykliwy przewód wystrzelił ze ściany po prawej ręce Dory. Był bardziej metaliczny niż pozostałe, choć ociekał żółtawym śluzem. Ruszył w stronę jednej z sekretarek i bezkrwawo wkręcił się w tył jej głowy. Z czaszki innej kobiety wystrzeliła następna sonda i uniosła się jak wąż tańczący w takt fletu zaklinacza. Zatrzymała się na chwilę, po czym z ogromną prędkością pomknęła w stronę sufitu, przeniknęła przez jedną z płyt wyciszających i zniknęła gdzieś w pokojach na górze.

Dora zrozumiała, że wszystkie komputery i ludzie zatrudnieni w New Wave połączyli się jakoś w jedną całość, nierozzerwalnie związaną z budynkiem. Chciała uciekać, ale nie mogła poruszyć się może dlatego, że zdawała sobie sprawę, iż każda próba ucieczki skazana jest na niepowodzenie.

Chwilę później została włączona do systemu.

Betsy Soldonna starannie przyklejała ogłoszenie na ścianie za biurkiem w bibliotece miejskiej w Moonlight Cove. Dotyczyło Fascynującego Tygodnia Fikcji, kampanii zachęcającej dzieci do czytania książek.

Była asystentką bibliotekarki, ale we wtorki szefowa Cora Danker miała wolne. Lubiła Corę, ale chętnie zostawała sama. Cora była okropną gadułą, bez przerwy plotkowała albo nudziła na temat swoich ulubionych programów w TV. Betsy, od lat zagorzały bibliofil z obsesyjną wręcz miłością do książek, z zachwytem rozmawiała by bez końca o lekturach, ale Cora, choć szefowa biblioteki, bardzo mało czytała.

Betsy oderwała z rolki czwarty kawałek taśmy klejącej i przymocowała do ściany ostatni róg plakatu. Cofnęła się o krok, by podziwiać pracę.

Była dumna ze swego skromnego talentu artystycznego. Narysowała chłopca i dziewczynkę z książkami w rękach, którzy z wytrzeszczonymi oczyma wpatrywali się w otwarte strony, a włosy stały im dęba. Brwi dziewczynki i uszy chłopca zdawały się odrywać od twarzy. Nad nimi widniał napis: KSIĄŻKI TO DOMY RADOŚCI PEŁNE DRESZCZU I DZIWNOCI.

Z tyłu, zza półek z książkami w końcu biblioteki, dobiegł dziwny odgłos – pomruk, duszący kaszel, a po chwili jakby warknięcie. Następnie bez wątpienia rozległ się łoskot książek spadających z regału na podłogę.

W bibliotece był jeszcze Dale Foy, emeryt, który przedtem pracował jako kasjer w supermarkecie Lucky. Zawsze szukał nowych autorów thrillerów i narzekał, że żaden nie jest tak dobry jak stare wygi. Myślał raczej o Johnie Buchanie, a nie R. L. Stevensonie.

Nagle przyszła jej do głowy okropna myśl, że pan Foy dostał ataku serca i tak bełkotliwie wzywał ją na pomoc, i że zwałił książki chwytając się półek. Oczami wyobraźni widziała, jak zwija się w agonii, z posiniałą twarzą i krwawą pianą na ustach...

Lata czytania wyostrzyły jej wyobraźnię, aż stała się równie ostra jak brzytwa z doskonałej niemieckiej stali.

Wybiegła zza biurka i ruszyła wzdłuż wysokich regałów.

– Panie Foy, czy wszystko w porządku?

Dotarła do rozwalonych książek, ale nie znalazła go. Zdziwiona odwróciła się, by udać się z powrotem do biurka, a za nią stał *jednak* pan Foy. Tak zmieniony, że nawet w swej bujnej wyobraźni Betsy nie wymyśliłaby takiej istoty, ani tego, co chciał z nią uczynić. Mijały minuty pełne niespodzianek jak w setkach książek, które przeczytała, tyle że zabrakło szczęśliwego zakończenia.

Ciemne, burzowe chmury nad Moonlight Cove potęgowały zmierzch, a całe miasto zdawało się świętować Fascynujący Tydzień Fikcji, który właśnie trwał w bibliotece. Ten zamierający dzień był dla wielu pełen dreszczy i tajemnic, niczym gabinet osobliwości w najbardziej makabrycznym wesołym miasteczku, jakie kiedykolwiek rozbiło namioty.

Sam oświetlił latarką strych. Na podłodze z surowych desek nie było nic z wyjątkiem ton kurzu, pajęczyn i mnóstwa wysuszonych pszczoł, które zbudowały gniazda pod belkami, a potem zginęły w wyniku jakiejś zarazy albo po prostu ich życie dobiegło kresu. Zadowolony, wrócił do kłapy w podłodze i zszedł po drabinie do garderoby przy sypialni Harry'ego na drugim piętrze. Wcześniej usunęli ubrania, by otworzyć klapę na strych i spuścić składaną drabinę.

Tessa, Chrissie, Harry i Moose czekali na niego w ciemnej sypialni.

– Owszem, może być – stwierdził Sam.

– Ostatni raz włąziłem tam przed wojną – powiedział Harry.

– Trochę brudu, kilka pajaków, ale dobra kryjówka. O ile *przyjdą* po ciebie wcześniej i znajdą pusty dom, nigdy nie pomyślą o strychu. No bo jak wgramoliłby się tam sparaliżowany człowiek?

Sam nie był pewien, czy wierzy w to, co mówi. Ale dla własnego i Harry'ego spokoju – chciał wierzyć.

– Mogę zabrać Moose'a? – spytał Harry.

– Weź strzelbę, o której wspominałeś, ale nie psa – wtrąciła Tessa. – Choć jest dobrze wytresowany, może zaszczekać w nieodpowiednim momencie.

– Czy Moose będzie bezpieczny tu na dole... kiedy *oni* przyjdą? – zastanawiała się Chrissie.

– Na pewno tak – powiedział Sam. – Nie zależy im na psach, tylko na ludziach.

– Lepiej wnieśmy Harry'ego na górę – powiedziała Tessa. – Wkrótce musimy wyjść.

Sypialnia wypełniła się cieniami niemal tak szybko, jak kieliszek krwawoczerwonym winem.

CZEŚĆ TRZECIA

NOC NALEŻY DO NICH

*Montgomery powiedział mi, że Prawo... stawało się
dziwnie nieskuteczne wraz z zapadnięciem nocy; że
wówczas zwierzęta pokazywały swą siłę; duch
przygody budził się w nich o zmroku; zdobywały się
na czyny, o których nie śniły w świetle dnia.*

H. G. WELLS

„WYSPA DR. MOREAU”

Na zarośniętych wzgórzach wokół opuszczonej Kolonii Ikara susły, myszy polne, króliki i lisy wygrzebały się z nor i drżały na deszczu, nasłuchując. W dwóch pobliskich zagajnikach, gdzie rosły sosny, gumowce i nagie jesienne brzozy, znieruchomiały wiewiórki i szopy.

Ptaki zareagowały pierwsze. Pomimo deszczu sfrunęły z gniazd skrytych w koronach drzew, w rozpadającej się stodole i pod zniszczonymi okapami domu. Kracząc i skrzecząc wzniosły się spiralą w górę, zniżyły i zanurkowały, po czym pofrunęły prosto w stronę domu. Szpaki, strzyżyki, wrony, sowy i jastrzębie nadleciały w hałaśliwej i trzepoczącej gromadzie. Niektóre uderzały uparcie o ściany, aż skrzyły sobie łebki lub połamały skrzydełka i spadły na ziemię, gdzie rzucały się, popiskiwały i wyczerpane zdychały.

Inne, równie oszalałe, trafiały w otwarte drzwi i okna, nie robiąc sobie krzywdy.

Choć stworzenia w promieniu dwustu jardów usłyszały wołanie, tylko zwierzęta z bliskiej okolicy zareagowały nań. Króliki kicały, wiewiórki mknęły, kojoty i lisy pędziły, a szopy kołysały się w ten swój dziwny sposób przez mokrą trawę, chwasty i błoto w stronę źródła syreniego śpiewu. Drapieżniki i z natury bojaźliwe ich ofiary teraz posuwały się w zgodnej gromadzie. Scena zupełnie jak z rysunkowego filmu Disneya – żyjący po sąsiedzku mieszkańcy pól i lasów biegną na wezwanie słodkiej gitary czy harmonijki starszego Murzyna, który opowie im historie o czarach i wspaniałych przygodach. Ale tam, dokąd zmierzały te stworzenia, nie było przyjaznego gawędziarza, a przyciągały je ponure, zimne i pozbawione melodii dźwięki.

Sam z wysiłkiem podsadził Harry'ego na drabinę i pomagał mu dostać się na strych, a Tessa i Chrissie zniosły wózek do garażu. Był to ciężki, wyposażony w silnik fotel, a nie lekkie składane krzesło, i nie zmieściłby się we włączu na strych. Specjalnie postawiły go w dużych drzwiach, co sugerowało, że Harry dotarł na wózku do tego właśnie miejsca i odjechał samochodem z jakimś przyjacielem.

– Sądysz, że nabiorą się? – spytała Chrissie z troską w głosie.

– Jest szansa – odpowiedziała Tessa.

– Może nawet pomyślą, że Harry wyjechał z miasta wczoraj, zanim ustawili zapory na ulicach.

Tessa zgodziła się z nią, choć obydwie wiedziały, że ten numer ma małe szanse powodzenia. Sam i Harry tak naprawdę też nadrabiali miną. Na strychu wcale nie było bezpiecznie, bo nie ukryli tam również Chrissie, zamiast zabierać ją do chłostanego deszczem koszmarnego świata Moonlight Cove.

Wróciły windą na drugie piętro, gdzie Sam właśnie składał drabinę i zamykał klapę. Moose obserwował go zaciekawiony.

– Piąta czterdzieści dwie – powiedziała Tessa, patrząc na zegarek.

Sam chwycił podpórkę, którą wcześniej usunął spod klapy, i umieścił ją w uchwytach.

– Pomóż mi zawiesić ubrania.

Koszule i spodnie, wciąż na wieszakach, wcześniej przenieśli na łóżko i teraz podawali sobie jak ludzie wiadra wody przy gaszeniu pożaru. Szybko uporządkowali garderobę.

Tessa zauważyła ślady świeżej krwi na obandażowanym prawym nadgarstku Sama. Rany otwierały się przy wysiłku. Nie były śmiertelne, lecz zapewne bardzo bolesne, a wszystko, co osłabiało lub rozpraszało go, zmniejszało szansę na sukces.

Zamykając drzwi Sam powiedział:

– Boże, to okropne, że go tu zostawiamy.

– Piąta czterdzieści sześć – przypomniała Tessa.

Ładował rewolwer, ona zaś nakładała skórzaną marynarkę, a Chrissie kurtkę przeciwdeszczową Harry'ego. Sam zużył wszystkie naboje, jakie wziął do domu Coltrane'ów. Ale Harry posiadał rewolwer kaliber 0.45 i pistolet 0.38, które zabrał ze sobą na strych, oraz skrzynkę amunicji do nich, więc Sam wziął kilkadziesiąt pocisków kalibru 0.38.

Przypinając broń, przez teleskop obserwował ulice, prowadzące do Szkoły Centralnej.

– Wciąż duży ruch – stwierdził.

– Patrole? – spytała Tessa.

– Ale także ulewa, poza tym szybko napływa gęsta mgła.

Choć resztki ponurego światła przebijały wśród skłębionych chmur, dzięki burzy wcześniej zapadały ciemności.

– Piąta pięćdziesiąt – naciskała Tessa.

– Mogą zjawić się lada chwila, jeśli pan Talbot jest na początku tej listy – odezwała się Chrissie.

Odwracając się od teleskopu Sam stwierdził:

– W porządku. Wynosimy się.

Tessa z Chrissie podążyły za nim i wszyscy zeszli schodami na parter.

Moose zjechał windą.

Tej nocy Shaddack był dzieckiem.

Krążąc po Moonlight Cove nie mógł przypomnieć sobie, kiedy miał lepszy nastrój. Zmieniał pozycje patroli dla pewności, że każdy kwartał ulic w mieście jest pod kontrolą. Widok domów i pieszych w deszczu działał na niego jak nigdy dotąd, ponieważ teraz wiedział, że należeli do niego i że może zrobić z nimi, co zechce.

Wypełniały go uczucia podniecenia i oczekiwania, podobnie jak przed wielu laty w wigilię Bożego Narodzenia. Moonlight Cove było ogromną zabawką i za parę godzin, gdy wybije północ, ta ciemna wigilia zmieni się niepostrzeżenie w radosne święto. Od tej chwili spełni wszystkie pragnienia, nawet te najbardziej okrutne. Nie będzie sędziów i władz, które mogłyby go ukarać.

Niczym dziecko, które zakrada się do garderoby, by zwędzić na lody monety z ojcowskiego płaszcza, był tak pochłonięty marzeniami, że zupełnie zapomniał o możliwości porażki. Groźni regresywni zniknęli z jego świadomości, jak przez mgłę pamiętał o Lomanie Watkinsie, ale nie kojarzył już, dlaczego cały dzień ukrywał się w garażu Pauli Parkins przed szefem policji.

Ponad trzydzieści lat morderczej samokontroli, żmudnej i wyczerpującej pracy badawczej od dnia zamordowania rodziców i Rączego Jelenia, trzydzieści lat tłumienia potrzeb i pragnień wieńczyło w końcu spełnienie się snu. *Nie mógł wątpić* w swoją misję lub martwić się o wynik, gdyż to oznaczało zwątpienie w święte przeznaczenie i obrazę wielkich duchów, które obdarzyły go łaską. Nie dostrzegał więc nawet cienia porażki, wyrzucił z umysłu wszelką myśl o klęsce.

W burzy wyczuwał obecność wielkich duchów.

Czuł, jak sekretnie krążą po mieście.

Przybyły, żeby świętować jego wstąpienie na tron przeznaczenia.

Nie jadł kaktusowego cukierka od dnia, w którym zabił matkę, ojca i Indianina, ale przez te wszystkie lata nachodziły go wizje.

Pojawiały się niespodziewanie. Nagle przenosił się do tego niesamowitego świata, do barwnej krainy o jaskrawych, ale subtelnych kolorach i wielowymiarowych przedmiotach, gdzie on, Shaddack, unosił się w przestrzeni niczym balon i gdzie przemawiały do niego głosy wielkich duchów. Owe wizje nachodziły go dwa razy w tygodniu w roku poprzedzającym zbrodnię, jakie popełnił, później były rzadsze, choć równie intensywne. Te zwiady senne, przypominające fugę muzyczną, zazwyczaj trwały godzinę lub dwie, ale zdarzało się, że i pół dnia. Po części z tej przyczyny wśród rodziny i nauczycieli uchodził za dziecko oderwane od rzeczywistości. Wszyscy mu oczywiście współczuli, sądząc, że zaciążył na nim jakiś głęboki uraz.

Teraz, krążąc w furgonetce po okolicy, zapadał powoli w ten stan, wywoływany niegdyś przez

kaktusowy cukierek. Wizja ogarnęła go niespodziewanie, ale nie *nagle*, jak w innych sytuacjach. On jakby... zanurzał się w niej coraz głębiej, głębiej. Im dłużej trwała, tym bardziej upewniał się, że tym razem nic nie wyrwie go brutalnie z tego królestwa. Od tej chwili miał zamieszkiwać oba światy, na podobieństwo wielkich duchów. Myślał nawet, że teraz ulega swoistej konwersji, tysiąc razy głębszej niż ta, jakiej poddał mieszkańców Moonlight Cove.

Wszystko wydało mu się niezwykle i zdumiewające. Światła mrugające w strugach deszczu przypominały klejnoty rozrzucone w zapadającej nocy, a srebrzyste piękno kropel zadziwiło go równie mocno jak szybko ciemniejące, wspaniale skłębione w chmurach niebo.

Gdy zatrzymał się na skrzyżowaniu Paddock Lane i Saddleback Drive, dotknął piersi wyczuwając telemetryczne urządzenie na łańcuszku. Nie pamiętał, co to jest, i *to* też wydawało się tajemnicze i cudowne. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że urządzenie przesyłało dane o pracy jego serca do odbiornika w New Wave w promieniu pięciu mil, nawet wówczas, gdy znajdował się w czterech ścianach. Gdyby dane nie docierały ponad minutę, Słońce wysłałoby przez mikrofałę rozkaz zniszczenia do mikrosfer komputerów wewnątrz wszystkich Nowych Ludzi.

Nieco później, na Bastenchurry Road, gdy znowu dotknął urządzenia, wyczuł jego ogromną moc. Ktokolwiek je nosił, miał w ręku życie innych. To był amulet, którym obdarowały go wielkie duchy, jeszcze jeden znak mówiący o tym, że tkwił jednocześnie w dwóch światach, na ziemi zwykłych ludzi i w królestwie wielkich duchów, bogów kaktusowego cukierka.

Ta wizja, jak lekarstwo działające z opóźnieniem, przeniosła go w czasy, gdy znajdował się w mocy Rączego Jelenia. Był małym chłopcem. I półbogiem, ulubionym dzieckiem Księżycowego Jastrzębia, więc mógł zrobić wszystko z *każdym*. Jadąc fantazjował o tym...

Od czasu do czasu śmiał się cicho i trochę piskliwie, a oczy świeciły mu jak oczy okrutnego i zdeprawowanego chłopca, przyglądającego się spustoszeniu, jakie czynił ogień wśród złapanych przez niego mrówek.

Moose biegał w koło merdając ogonem z taką siłą, że zachodziła obawa, iż może oderwać się, Chrissie zaś czekała w kuchni wraz z Tessą i Samem, aż znikną resztki światła zamierającego dnia.

Wreszcie Sam odezwał się:

– No dobrze. Trzymajcie się blisko mnie. Przez całą drogę róbcie tylko to, co mówię.

Patrzył na nie dłuższą chwilę, zanim otworzył drzwi. Objęli się bez słowa. Tessa pocałowała Chrissie w policzek, potem cmoknął ją Sam, wreszcie Chrissie ucałowała ich gorąco. Nie trzeba było jej tłumaczyć, dlaczego wszyscy poczuli nagle taki przyływ tkliwości. Należeli do ludzi, *prawdziwych* ludzi, więc uzewnętrznili swe uczucie, ponieważ przed końcem nocy mogli już nie być ludźmi, mogli stracić zdolność odczuwania.

Kto wiedział, co czują ci odmieńcy o dziwacznych kształtach? Kogo to w ogóle interesowało?

Poza tym groziło im, że złapie ich jedna z grup poszukiwawczych albo Zjawy, toteż teraz wykorzystali może ostatnią szansę pożegnania.

Wreszcie wyszli na ganek.

Chrissie ostrożnie przyciągała drzwi. Moose nie próbował wybiec na zewnątrz. Był zbyt dobrym i szlachetnym psem, by imać się takich tanich sztuczek. Ale wetknąwszy mordę w zwięzającą się szparę wachał dziewczynkę i próbował polizać jej rękę, więc bała się, że przytrzaśnie mu nos. Wycofał się w ostatniej chwili, a drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem.

Sam sprowadził je ze schodów i przemykali przez podwórze w kierunku sąsiedniego domu. Nie paliły się żadne światła. Chrissie miała nadzieję, że nie ma tam nikogo, ale wyobrażała sobie, że przy jednym z ciemnych okien tkwi jakaś monstrualna istota, wpatrująca się w nich i oblizująca wargi.

Deszcz wydawał się zimniejszy niż w czasie ucieczki poprzedniej nocy, ale może to było pierwsze wrażenie po wyjściu z ciepłego, suchego domu. Tylko nikła szara poświata nieco rozjaśniała niebo na zachodzie. Lodowate kropelki jakby wyrwały chmurom resztki światła i wbijały je w ziemię, ściągając głęboką, wilgotną ciemność. Zanim dotarli do ogrodzenia oddzielającego posesję Harry'ego od sąsiedniej, Chrissie ucieszyła się, że ma na sobie tę wielką, nieprzemakalną kurtkę z kapturem, choć czuła się w niej, jak dziecko przymierzające dla zabawy ubrania rodziców w garderobie.

Bez trudu pokonawszy płot z palików, podążały za Samem przez posesję sąsiada do kolejnego ogrodzenia. Chrissie przeszła przez nie swobodnie i dopiero po chwili zorientowała się, że wylądowali na podwórzu Coltrane'ów.

Spojrzała na ciemne okna i ucieszyła się: gdyby światła *paliły* się, oznaczałoby to, że ktoś znalazł pobojuwisko po bitwie z Samem.

Przemykając przez podwórze do następnego parkanu, Chrissie bała się, że Coltrane'owie w jakiś sposób ożyli po tym, jak Sam wpakował w nich te wszystkie kule, i przez okno w kuchni teraz widzą swego śmiertelnego wroga z dwiema towarzyszami. Spodziewała się, że za chwilę przez tylne drzwi wyskoczą z chrzęstem dwa roboty o metalowych ramionach i potężnych ruchomych dłoniach, trochę podobne do chodzących nieboszczyków ze starych filmów, z małymi radarami na głowach i parą uchodzącą z sykiem z otworów wentylacyjnych w ich ciałach.

Ze strachu zwolniła trochę i Tessa niemal wpadła na nią. Ponagliła ją lekkim pchnięciem. Dziewczynka, schylona nisko, pobiegła przez podwórze.

Sam pomógł jej przejść przez metalowe ogrodzenie o zastrzonych niczym włócznie prętach.

W następnym domu byli ludzie, więc Sam zza krzewów obserwował teren. Chrissie i Tessa szybko przyłączyły do niego.

Dziewczynka, gramoląc się przez ogrodzenie, skaleczyła lewą dłoń, choć była obandażowana. Bolało ją, ale zacisnęła zęby i nie wypowiedziała słowa skargi.

Rozgarniając gałęzie morwy, wpatrywała się w pobliski dom. Dostrzegła cztery osoby w kuchni. Przygotowywali wspólnie kolację. Małżeństwo w średnim wieku, mężczyzna o siwych włosach i kilkunastoletnia dziewczynka.

Zastanawiała się, czy już poddano ich konwersji. Podejrzewała, że nie, ale nie mogła upewnić się. A ponieważ roboty i Zjawy skrywały się czasem sprytnie w ludzkim przebraniu, nie należało wierzyć nikomu, nawet najlepszemu przyjacielowi... czy rodzicom.

Prawie jak podczas inwazji kosmitów.

– Nie zobaczą nas, nawet jeśli wyjrzą przez okno – stwierdził Sam. – Chodźmy.

Chrissie wyszła zza krzewów morwowych i pobiegła w kierunku kolejnej posesji, dziękując Bogu za gęstniejącą z każdą minutą mgłę.

Wreszcie dotarli do domu przy końcu ulicy. Południowa część trawnika przylegała do przecznicy Bergenwood Way, łączącej się z Conquistador.

Gdy znajdowali się już niespełna dwadzieścia stóp od ulicy, zza zakrętu wyjechał samochód i ruszył szosą w dół. Idąc za przykładem Sama dziewczynka padła plackiem na grząskim trawniku, gdyż w pobliżu nie było żadnych krzewów.

Szczęśliwie Bergenwood nie oświetlały lampy uliczne, a z nieba zniknęły ostatnie promienie dnia.

Samochód sunął powoli z powodu złej pogody albo dlatego, że siedzący w nim ludzie patrolowali ulicę. Blask reflektorów rozpraszała mgła, która zdawała się promieniować własnym światłem.

Wszystko wokół było dziwacznie zniekształcone w tych ścielących się po ziemi świetlnych chmurach.

W wozie oddalonym już tylko o jedną przecznicę ktoś jadący na tylnym siedzeniu włączył latarkę i przez boczną szybę oświetlał posesję na południowej stronie Bergenwood. Ale zanim odjechaliby, mogliby wpaść na pomysł zlustrowania domostw leżących na północ od ulicy, czyli tam, gdzie kryli się uciekinierzy.

– Wycofujemy się – zdecydował Sam – ale czołgajcie się, czołgajcie.

Samochód dotarł do zbiegu ulic, w połowie drogi do skrzyżowania. Chrissie przedzierała się przy ziemi za Samem w stronę pobliskiej willi. Nie dostrzegła żadnego miejsca nadającego się na kryjówkę. Balustrada przy tylnym ganku nie stanowiła żadnej osłony, nie rosły tu żadne większe krzewy. Może Sam chciał za rogiem domu przeczekać, aż wóz przejedzie, ale wątpiła, czy dobiegną tam w porę.

Przez ramię zobaczyła, że strumień światła wciąż omiata frontowe trawniki i myszkuje między zabudowaniami po stronie południowej. Jednak światło reflektorów samochodowych już za kilka sekund mogło przesunąć się po *tym* trawniku.

Właściwie ślizgała się na brzuchu bez wątpienia rozgniatając mnóstwo ślimaków i dżdżownic, które wypełzły z radością na mokrą trawę, co wprawiało ją w rozpacz. Dotarła do betonowej ścieżki w pobliżu domu. Sam gdzieś zniknął.

Skulona rozglądała się nerwowo wokół.

U jej boku pojawiła się Tessa.

– Schody do piwnicy, kochanie. Szybko.

Brnąc do przodu odkryła betonowe schody. Sam przycupnął na dole, gdzie deszczówka szmerząc spływała do ścieku znajdującego się przed drzwiami do piwnicy. Chrissie przyłączyła do Sama, a Tessa poszła za jej przykładem.

Jakieś cztery sekundy później strumień światła przesunął się po ścianie domu, a chwilę nawet tańczył kilka cali nad ich głowami.

Tkwili tak w milczeniu, bez ruchu jeszcze minutę po odjeździe samochodu. Chrissie była pewna, że jakiś tajemniczy stwór słyszał ich i zaraz otworzą się drzwi za plecami Sama, z których wyskoczy, warcząc i bucząc wilkołako-komputer o paszczy pełnej zębów i klawiszy, i powie coś w rodzaju: – Aby zostać zabitym, proszę wcisnąć ENTER.

Poczuła ulgę, gdy Sam wreszcie wyszeptał:

– Idziemy.

Ponownie przecięli trawnik w kierunku Bergenwood Way. Tym razem ulica była wyludniona.

Wzdłuż Bergenwood biegł kamienny kanał ściekowy, w którym Harry ponoć bawił się jako dziecko. Był szeroki na trzy, a głęboki może na pięć stóp i teraz przepływał nim wartki strumień

deszczówki.

Kanał był znacznie bezpieczniejszą trasą niż nieosłonięta ulica. Przeszli kilka jardów w górę ulicy, nim znaleźli stalowe szczeble prowadzące do kanału. Sam zszedł na dół pierwszy, za nim Chrissie, a Tessa na końcu. Sam przygarbił się, by głowa nie wystawała mu na ulicę, Tessa również musiała pochylić się, natomiast Chrissie mogła iść wyprostowana. Czasami jedenastolatkom nie było tak źle, zwłaszcza gdy uciekało się przed wilkołakami, żarłocznymi kosmitami, robotami albo nazistami. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin naprawdę cudem uszła z życiem przed jakimiś strasznymi bestiami, chwala Bogu, nie przed nazistami, choć kto wiedział, co jeszcze wydarzy się.

Wzburzona woda ziębiła jej stopy i łydki. Mimo że dość płytka, jednak płynęła ze znaczną siłą, co zdumiało dziewczynkę. Napierała i ciągnęła bezlitośnie niczym żywa istota, przepelniona wrednym zamiarem przewrócenia jej. Dopóki stała na szeroko rozstawionych nogach, nie groził jej upadek, ale nie wiedziała jak długo utrzyma równowagę w ruchu. Kanał biegł stromo w dół ulicy, a stare kamienne dno przez kilka deszczowych sezonów doskonale wygładził prąd wody. To wszystko sprawiało, że był drugą wspaniałą rzeczą po wodnej zjeżdźalni w wesołym miasteczku.

Upadając zjechałaby w pobliże uskoku, gdzie kanał rozszerzał się i opadał prosto w głąb ziemi. Harry wspomniał o kratkach dzielących ściek na małe szczeliny tuż przed spadkiem, ale wyobraziła sobie, że tych krtek nie ma lub przerdzewiały, otwierając drogę ku przepaści. Kanał wychodził u podnóża urwiska morskiego, następnie biegł częściowo przez plażę, a woda wylewała się na piasek albo, w czasie przyływu, do morza.

Oczywiście wyobraźni widziała jak koziółkuje bezradnie, krztusząc się brudną wodą, rozpaczliwie, ale bez powodzenia szuka oparcia i nagle spada kilkaset stóp w dół, objając się o ściany pionowego szybu, łamiąc kości, rozbijając głowę na kawałki, uderzając o dno z...

No tak, mogła to sobie wyobrazić, ale nagle pomyślała, że nie zachowuje się zbyt mądrze.

Na szczęście Harry uprzedził ich o wszystkim, więc Sam przygotował się do tej eskapady. Odwiązał teraz linę, którą uprzednio owinał się pod kurtką wokół pasa. Zdjął ją w garażu Harry'ego ze starego kołowrotu twierdząc, że jest jeszcze dostatecznie mocna, a Chrissie miała nadzieję, że Sam nie myli się. Przełożywszy drugi koniec liny przez pasek Chrissie owinał również talię Tessy, zostawiając między nimi odstępów ośmiu stóp. Gdyby ktoś upadł – cóż, prawdę powiedziawszy, to Chrissie głównie groziło, że porwie ją prąd wody ku mokrej i krwawej śmierci – pozostali staliby mocno na nogach czekając, aż podniesie się.

Tak w każdym razie planowali.

Powiązani ruszyli w dół kanału.

Zgodnie z instrukcjami Sama, trzymała linę obiema rękami napinając ją, gdy zbliżała się do niego, a rozluźniając, gdy zostawała kilka stóp w tyle. Idąca za nią Tessa robiła to samo, gdyż Chrissie wyczuwała lekkie szarpnięcia liny na pasku.

Posuwali się w kierunku wejścia do tunelu przy Conquistador, który wiódł pod najbliższym skrzyżowaniem i pod dwoma kolejnymi kwartałami ulic, aż do Rushmore.

Chrissie co chwila zerkała ponad ramieniem Sama na wejście do tunelu. Było okrągłe, betonowe raczej niż kamiennie, szersze od prostokątnego kanału na tyle, by weszli do środka robotnicy i oczyścili je, gdyby zatkało się gruzem. Jednak to nie kształt ani rozmiary wjazdu napawały ją obawą, lecz absolutna czerń sprawiała, że czuła mrowienie na karku. Był ciemniejszy niż noc na samym dnie kanału – tak absolutnie czarny, że wydawało się jej, iż podążają ku otwartej paszczy jakiegoś prehistorycznego potwora.

Po Bergenwood i Conquistador krążyły wozy policyjne. Ich światła załamywały się w kłębach napływającej mgły, ale niewiele z tej niesamowitej poświaty docierało do koryta kanału, a przy wlocie do tunelu panowała zupełna ciemność. Sam wkroczył do środka i po dwóch krokach zniknął z pola widzenia, dziewczynka bez wahania poszła za nim, choć drżała ze strachu. Posuwali się bardzo wolno po nierównym i stromym dnie, jeszcze bardziej zdradzieckim niż kamienny kanał.

Sam miał latarkę, ale Chrissie wiedziała, że nie chce jej zapalać blisko wjazdu w obawie, że odbłask przyciągnie uwagę patrolu.

W tunelu było równie ciemno jak w brzuchu wieloryba. Co prawda nie wiedziała jak jest wewnątrz wielorybiego brzucha, ale wątpiła, czy jest tam choćby lampka nocna w kształcie kaczoza Donalda, jaką miała, gdy była młodsza. Porównanie z wielorybim brzuchem wydawało się trafne, ponieważ Chrissie ogarnęło nieprzyjemne wrażenie, że ta rura to żołądek, a mknąca woda jest sokiem trawiennym, w którym już rozpuszczają się jej tenisówki i nogawki dżinsów.

I wtedy upadła. Pośliznęła się na czymś, może na jakimś grzybie na dnie kanału. Puściła się liny i zamachała rękami, próbując utrzymać równowagę, ale zwała się z okropnym pluskiem i natychmiast porwała ją woda.

Miała na tyle przytomności umysłu, by nie krzyknąć. Łapiąc ustami powietrze i krztusząc się wodą uderzyła nogami w Sama i podcięła go. Zastanawiała się, jak długo będą leżeć, martwi i gnijący na dnie tego ścieku u podnóża morskiego urwiska, nim ktoś odnajdzie ich wzdęte, fioletowe szczątki.

W grobowej ciemności Tessa usłyszała, jak dziewczynka pada, i natychmiast z całej siły zaparła się szeroko rozstawionymi nogami o wygięte dno. Ścisnęła linę w obu dłoniach. Po sekundzie sznur napiął się, gdy woda porwała Chrissie.

Sam stęknął i Tessa zorientowała się, że dziewczynka wpadła na niego. Lina rozluźniła się na chwilę, a potem pociągnęła ją do przodu, co zapewne oznaczało, że Sam jeszcze próbuje utrzymać się na nogach, na które napiera niesiona przez wodę Chrissie; gdyby jego również porwał rwący prąd, szarpnięcie byłoby tak silne, że zbiłoby Tessę z nóg.

Usłyszała przed sobą plusk i ciche przekleństwo Sama.

Poziom wody podwyższył się. Z początku myślała, że to tylko złudzenie, ale po chwili uświadomiła sobie, że strumień sięga powyżej kolan.

Najgorsza była ta przeklęta ciemność, całkowita ślepotą, niepewność tego, co się dzieje.

Nagle znów poczuła szarpnięcie. Dwa, trzy – o Boże – sześć kroków.

Sam, nie upadaj!

Potykając się, niemal tracąc równowagę, Tessa rozpaczliwie ciągnęła linę do tyłu.

Chwiała się. Sznur wrzynał się jej w talię tak naprężony, że nie mogła owinać go wokół dłoni, by wykorzystać całą siłę ramion.

Woda napierała na nią od tyłu.

Ślizgała się.

Dziwne myśli kłębiły się jej w głowie jak taśma wideo przesuwaną się w przyspieszonym tempie przez stół montażowy. Wszystkie bez ładu i składu, ale kilka zaskoczyło ją. Myślała o życiu, przetrwaniu, o tym, że nie chce umierać. I nie było w tym nic dziwnego, ale pomyślała również o Chrissie, że nie chce zawieść tej dziewczynki, i oczyma duszy ujrzała wyraźnie siebie z nią gdzieś w przytulnym domu, jak matkę z córką, i zdumiała się tym pragnieniem. Przecież rodzice Chrissie żyli i może ich konwersję – czy cokolwiek to było – dałoby się po prostu cofnąć. Wówczas rodzina znów połączyłaby się, choć wydawało się to mniej prawdopodobne niż perspektywa, że ona i Chrissie będą razem. Ale mogło tak zdarzyć się. A potem pomyślała o Samie, o tym że nigdy nie kochała się z nim i tą myślą przestraszyła się. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że Sam pociąga ją w jakiś romantyczny sposób. Wzruszał ją jego hart ducha, a absolutnie poważna teoria o czterech-powodach-dla-których-warto-żyć stanowiła interesujące wyzwanie. Czy mogła dać mu piąty? Albo zając miejsce Goldie Hawn jako czwarty? Dopiero teraz, na krawędzi śmierci, uświadomiła sobie, jak bardzo zafascynował ją w tak krótkim czasie.

Znów ślizgała się. Dno w tunelu było o wiele bardziej gładkie niż w kamiennym kanale, jakby na betonie rósł mech. Tessa próbowała wbić w podłoże obcas butów.

Sam kłął pod nosem. Chrissie kaszłała i krztusiła się.

Woda podniosła się do prawie dwudziestu cali.

Lina napięła się mocno, a po chwili całkowicie rozluźniła.

Tessa pomyślała, że sznur pękł, a Sam i Chrissie zostali porwani w głąb tunelu.

Szmer, chlupot, plusk potoku odbijał się wielokrotnym echem od ścian i serce Tessy waliło tak głośno, aż słyszała je, ale słyszała również krzyki porwanych przez wodę przyjaciół. Na jedną okropną chwilę *zamilkli* obydwójce.

Potem Chrissie znów zakaszłała, na szczęście gdzieś blisko.

Zapłonęło światło latarki, którą Sam przysłaniał dłonią.

Chrissie przywarła plecami i rękami do ściany tunelu, chroniąc się przed najsilniejszym prądem.

Sam stał w szerokim rozkroku. Woda kłębiła się i pieniała wokół jego nóg. Odwrócił się. Patrzył teraz w stronę wejścia do tunelu.

Na szczęście lina nie pękła, a napięcie zelżało, ponieważ Sam i Chrissie odzyskali równowagę.

– Wszystko w porządku? – szepnął Sam do dziewczynki.

Kiwnęła głową, wciąż krztusząc się brudną wodą. Wykrzywiła twarz z obrzydzenia, splunęła kilka razy i w końcu wydobyła z siebie:

– mhm.

Sam spojrzał na Tessę:

– Okay?

Zatkało ją, jakby miała kamień w gardle. Przełknęła ślinę i chwilę mrugała powiekami, aż w końcu poczuła ogromną ulgę, uwalniając się od nieznośnego ucisku w piersi. Wreszcie wydukała:

– Okay. Tak. Okay.

Sam odprężył się, gdy już bez żadnych przygód dobrnęli do końca kanału. Uszczęśliwiony patrzył w niebo. Właściwie mało co widział w gęstej mgłę, ale to był nic nie znaczący szczegół. Odczuwał ulgę na otwartej przestrzeni, choć wciąż tkwił po kolana w zamulonej wodzie.

Znaleźli się teraz w najprawdziwszej rzece. Albo na wzgórzach na wschodnim krańcu miasta padał tak rzęsisty deszcz, albo przerwała się gdzieś tama. Woda sięgała już Samowi do uda, Chrissie zaś prawie do pasa. Strumień wypływający z kanału uderzał ich w plecy z taką siłą, że ledwo utrzymywali równowagę.

Odwróciwszy się przyciągnął do siebie dziewczynkę.

– Od tej chwili będę cię mocno trzymał.

Skinęła głową.

Noc była grobowo ciemna i nawet z odległości kilku cali widział jedynie niewyraźne zarysy jej twarzy. Spojrzawszy na Tessę stojącą kilka stóp dalej, zobaczył jedynie czarny nieokreślony kształt.

Ściskając mocno Chrissie popatrzył przed siebie.

Tunel biegł pod dwoma kolejnymi skrzyżowaniami, po czym ścieki znowu wypływały do odkrytego kanału, co Harry zapamiętał z dzieciennych czasów, kiedy to wbrew zakazom rodziców bawił się w tym wodnym raju i powiedział im o tym. Dzięki Bogu za nieposłuszne dzieci.

Ten odcinek przechodził w betonowy tunel przy następnym skrzyżowaniu i – według Harry’ego – kończył się przy wlocie do długiego ścieku na zachodnim krańcu miasta. Przepuszczalnie na odcinku ostatnich dziesięciu stóp znajdował się rząd żelaznych prętów z dwunastocalowymi prześwitami, sięgających stropu, przez które przepływały tylko woda i mniejsze przedmioty. A zatem nie istniało niebezpieczeństwo, że prąd poniesie ich w dół przez dwieście stóp aż do wylotu.

Ale Sam nie chciał ryzykować. Nie mogli sobie pozwolić na kolejne wywrotki.

Przez całe życie czuł, że sprawia ludziom zawód. Choć miał tylko siedem lat, gdy w wypadku zginęła jego matka, zawsze zżerało go poczucie winy, że nie uratował jej pomimo młodego wieku i tego, że razem z nią był uwięziony we wraku samochodu. A potem zawsze rozczarowywał tego pijanego, podłego, żalostnego sukinsyna – ojca – i cierpiał strasznie z powodu swej klęski. Czuł, jak Harry, że zawiódł ludzi z Wietnamu, choć decyzję o porzuceniu ich na pastwę losu podjęły władze na wysokim szczeblu, na co nie miał wpływu. Żaden z dwóch agentów FBI, którzy ponieśli śmierć w jego obecności, nie zginął *przez* niego, a jednak czuł, że wobec nich także nawalił. Zawiódł w jakimś sensie Karen, choć wszyscy przekonywali go, że jest szalony sądząc, że ponosi jakąkolwiek odpowiedzialność za jej chorobę. Jego zaś dręczyła myśl, że kochając ją bardziej, siłą woli przezwyciężyłby raka. I Bóg świadkiem, że zawiódł swego syna, Scotta.

Chrissie ścisnęła go za rękę.

Odwzajemnił jej uścisk.

Wydawała się taka mała.

Wcześniej tego dnia rozmawiali w kuchni Harry'ego o odpowiedzialności. A teraz nagle uświadomił sobie, że jego poczucie odpowiedzialności graniczyło z obsesją, ale nadal zgadzał się z Harrym: nigdy dość poświęcenia dla innych, zwłaszcza przyjaciół i rodziny. Nie przypuszczał, że będzie roztrząsał kluczowe zagadnienie życia stojąc niemal po pas w błotnistej wodzie w kanale odpływowym podczas ucieczki przed tajemniczym wrogiem, ale tak właśnie było.

Nieoczekiwanie zdał sobie sprawę, że to wcale nie problem odpowiedzialności tak go nęka, nie, na Boga, lecz brak umiejętności radzenia sobie z niepowodzeniem. Wszyscy ludzie doznawali od czasu do czasu porażek i często naprawdę decydowało o tym zrządzenie losu. W takiej sytuacji człowiek nie tylko musiał nadal działać, ale również *cieszyć* się ową kontynuacją. Klęska nie mogła pozbawić go radości życia. To byłoby bluźnierstwem, jeśli wierzyło się w Boga – i po prostu głupie, jeśli nie stało wiary. To tak, jakby powiedzieć sobie: „Ludzie upadają, ale *ja* nie powinienem, ponieważ jestem czymś więcej niż człowiekiem, jestem gdzieś między aniołami i Bogiem”. Zrozumiał, że stracił Scotta, ponieważ wyzbył się miłości życia. Nie umiał już dzielić się z chłopcem wszystkim, co naprawdę miało znaczenie i w porę nie umiał zapobiec nihilizmowi syna.

W tym momencie, gdyby policzył powody dla których warto żyć, lista zawierałaby więcej niż cztery pozycje. Byłyby ich setki. *Tysiące*.

Zrozumiał to wszystko w jednej chwili, trzymając dłoń Chrissie, jakby czas uległ jakiemuś kaprynowi względności. Uświadomił sobie, że gdyby coś stało się z dziewczynką albo Tessą, a on wyplątałby się z tej całej historii, nie potrafiłby cieszyć się swoim wybawieniem i żyć dalej. Choć sytuacja była kiepska, a nadzieja niewielka. Sam radował się, nieomal śmiejąc się na głos. Żywy koszmar, jakiego doświadczyli w Moonlight Cove, wstrząsnął nim głęboko, uświadamiając z całą brutalnością ważne prawdy, prawdy tak proste, że już dawno powinien dostrzec je przez długie lata cierpienia. Ale teraz przyjął z wdzięcznością. Może prawda wydaje się oczywista dopiero wtedy, gdy już się ją znalazło.

No dobrze, okay, może i żyłby dalej zawiódłszy innych, nawet straciwszy Chrissie i Tessę – ale, do cholery, nie *zamierzał* ich tracić. Niech go diabli, jeśli dopuści do tego.

Niech go diabli.

Ściskając dłoń Chrissie ostrożnie posuwał się wzdłuż kamiennego kanału, błogosławiąc wolne od śliskiego mchu dno. Woda była dość głęboka, więc czując się trochę niepewnie, zamiast stawiać stopy, sunął nogami po dnie.

Po niespełna minucie dotarli do żelaznych prętów wmurowanych w ścianę kanału. Tessa przyłączyła do nich i chwilę stali tam trzymając się tych szczebli, wdzięczni za oparcie.

Nieco później, gdy deszcz nagle zelżał, Sam był gotowy ruszyć dalej. Ostrożnie, by nie nadepnąć na rękę Tessy albo Chrissie, wspiał się po kilku szczeblach i wyrzwał na ulicę.

Nic nie poruszało się, z wyjątkiem mgły.

Ten odcinek otwartego kanału okrążał Centralną Szkołę w Moonlight Cove. Boisko do lekkiej atletyki znajdowało się zaledwie kilka stóp dalej, a za nim majaczył w ciemności i mgle budynek szkolny, oświetlony jedynie na zewnątrz przez kilka słabych lamp.

Teren otoczono parkanem o wysokości dziewięciu stóp. Ale Sam nie przejmował się tym. W ogrodzeniach zawsze były bramy.

Harry czekał na strychu, pełen nadziei i najgorszych przeczuć. Siedział oparty o ścianę w długiej nie oświetlonej izbie w najodleglejszym kącie od wjazdu. W tym pustym pomieszczeniu nie było żadnej osłony.

Ale gdyby ktoś posunął się tak daleko, by opróżnić garderobę przy głównej sypialni, odsunąć kłapę, spuścić składane schodki i rozejrzeć się, może nie spenetrowałby dokładnie każdego zakątka w pomieszczeniu. Zobaczywszy nagie deski i uciekające pająki przy pierwszym błysku latarki, może wycofałby się.

Bzdura. Każdy, kto zada sobie trud i dotrze na strych, przeszuka go. Ale uczepił się tej zgoła absurdałnej myśli, wedle swej życiowej zasady: niech żywi nie tracą nadziei. Potrafił przyrzucić treściwą zupę z najbardziej wodnistej cieczy, ponieważ przez połowę życia właśnie nadzieja podtrzymywała go na duchu.

Było mu dość wygodnie. Przygotował się do przebywania na zimnym strychu. Korzystając z pomocy Sama nałożył wełniane skarpety, ciepłe spodnie i dwa swetry.

Zabawne, jak wielu ludzi sądziło, że sparaliżowany człowiek nie ma żadnego uczucia. Niekiedy tak rzeczywiście zdarzało się.

Ale były tysiące rodzajów uszkodzenia kręgosłupa. Gdy nie doszło do całkowitego zniszczenia rdzenia kręgowego, chory odbierał wiele bodźców.

Harry, choć stracił zupełnie władzę w ręce oraz jednej nodze i prawie całkowicie w drugiej, wciąż odczuwał ciepło i gorąco. Gdy coś go ukuło, odbierał to jak lekki ucisk.

Bez wątpienia fizycznie odczuwał znacznie mniej niż jako pełnosprawny mężczyzna. Ale nie wszystkie uczucia były natury fizycznej. Zapewne tylko nieliczni uwierzyliby mu, że kalectwo naprawdę wzbogaciło jego życie emocjonalne. Z konieczności stał się odludkiem, jednak wynagradzał sobie tę samotność. Pomogły mu książki. Otworzyły przed nim świat. I teleskop. Ale to przede wszystkim dzięki niezłomnej chęci życia zachował zdrowy umysł i serce.

Zdmuchnie świecę bez goryczy, jeśli nastąły jego ostatnie godziny. Żałował tego, co stracił, ale co ważniejsze, cieszył się z tego, co zachował. W ostatecznym rozrachunku ocenił, że wiódł na ogół dobre i wartościowe życie.

Miał przy sobie broń. Rewolwer kaliber 0.45 i pistolet 0.38. Gdyby szukali go na strychu, najpierw wystrzelałby magazynkę z pistoletu, a potem uraczył ich pociskami z rewolweru, wszystkimi z wyjątkiem jednego. Ostatni zachował dla siebie.

Nie potrzebował zapasowej amunicji. W sytuacji kryzysowej człowiek z jedną sprawną ręką nie był w stanie załadować broni na tyle szybko, by cały wysiłek nie przerodził się w komiczną klęskę.

Walenie deszczu o dach osłabło. Zastanawiał się, czy to kolejna przerwa w burzy, czy ulewa kończy się na dobre.

Chciałby znów zobaczyć słońce.

Bardziej martwił się o Moose'a niż o siebie. Biedne psisko siedziało na dole osamotnione. Liczył na to, że Zjawy albo ich twórcy nie skrzywdzą poczciwiny. A gdyby dotarli aż na strych i zmusili go do strzelenia sobie w łeb, miał nadzieję, że Moose rychło znajdzie dobry dom.

Krażącemu po ulicach Lomanowi, Moonlight Cove wydawało się wymarłe i jednocześnie tętniące życiem.

Na zewnątrz przypominało pustą skorupę, czy wypalone przez słońce wymarłe miasto gdzieś w sercu Mohave. Sklepy, bary i restauracje były zamknięte. Nawet w zwykle zatłoczonej knajpie Perezów zaciągnięto zasłony. Nikt nie miał zamiaru jej otwierać.

Na chodnikach poruszały się tylko piesze patrole i zespoły przeprowadzające konwersję, a jezdnie należały do radiowozów i dwuosobowych patroli w prywatnych samochodach.

A jednak miasto wrzało swoistym życiem. Kilkakrotnie dostrzegł dziwne, zwinne postaci przemykające ukradkiem we mgle, ale o wiele śmieiej niż w poprzednie noce. Gdy zatrzymał się albo zwalniał, by przyjrzeć się tym maruderom, niektórzy z nich też przystawali w głębokim cieniu i wpatrywali się w niego nienawistnymi, żółtymi, zielonymi lub krwawymi oczyma, jakby chcieli wywlec go z radiowozu, zanim odjedzie. Przyglądając się im pragnął zostawić wóz, zrzucić ubranie a wraz z nim ograniczenia ludzkiej postaci i przyłączyć się do prostego świata łowów, jedzenia i rui. Jednak za każdym razem szybko odjeżdżał zanim oni – lub on – ulegli żywiołowi. Od czasu do czasu mijał domy, w których płonęły dziwaczne światła, a w oknach poruszały się tak groteskowe i niesamowite cienie, że serce zaczynało mu walić i dłonie wilgotniały, choć najprawdopodobniej znajdował się poza zasięgiem ich działania. Nie sprawdzał, jakież to istoty zamieszkują tam i co robią, ponieważ czuł, że przypominają Denny'ego i pod wieloma względami są niebezpieczniejsze od regresywnych.

Żył teraz w świecie pierwotnych i kosmicznych sił, monstrualnych stworów skradających się po nocy, gdzie ludzi zredukowano do roli bydła, a chrześcijański świat Boga zastąpiono wytworem sił zderzanych przez żądze, rozmiłowanych w okrucieństwie i nigdy niesytych władzy. W powietrzu, napływającej mgle, wśród ociekających wodą drzew, w ciemnych alejkach i nawet w żółtym blasku latarni przy głównej ulicy coś szeptało, że nic dobrego nie nastąpi tej nocy... ale może wydarzyć się wszystko *inne*, bez względu na to, jak będzie fantastyczne albo dziwaczne.

Przeczytał mnóstwo książek w ostatnich latach, między innymi powieści M. P. Lovecrafta, choć nie lubił go nawet w jednej setnej tak bardzo jak Louisa L'Amoura. Ten ostatni bowiem pisał o rzeczach realnych, podczas gdy Lovecraft uprawiał czystą fantastykę. Albo tak wówczas wydawało się Lomanowi. Teraz już wiedział, że człowiek jest zdolny stworzyć z otaczającej rzeczywistości piekło, o jakim obdarzeni nawet największą wyobraźnią pisarze mogą jedynie śnić.

Rozpacz i przerażenie, typowe dla książek Lovecrafta, zalewały Moonlight Cove strumieniami większymi, niż teraz strugi deszczu. Jadąc przez odmienione ulice, Loman trzymał w zasięgu ręki służbowy rewolwer na przednim siedzeniu.

Shaddack.

Musi znaleźć Shaddacka.

Zmierzając na południe wzdłuż Juniper zatrzymał się na skrzyżowaniu z Ocean Avenue.

W tym samym czasie przed znakiem stopu stanął inny radiowóz, dokładnie naprzeciwko Lomana.

Ocean Avenue była pusta. Opuściwszy szybę Loman przejechał powoli przez skrzyżowanie i zahamował przy tym radiowozie, w odległości jednej stopy.

Dzięki numerowi na drzwiach wywnioskował, że jest to samochód Neila Penniwortha. Ale nie zobaczył młodego funkcjonariusza. Dostrzegł coś, co mogło nim być niegdyś, coś w pewnym stopniu ludzkiego. Istota siedziała w blasku szybkościomierza i obrotomierza, ale głównie oświetlał ją ekran terminalu. Z czaszki Penniwortha wyrastały przewody podobne do tych, które wyskoczyły z czoła Denny'ego, by związać go ściślej z komputerem. W słabym świetle wydawało się, że jeden przechodził przez kierownicę i nikał w tablicy wskaźników, drugi zaś zwieszał się w kierunku komputera.

Czaszka też zmieniała się koszmarnie. Wydłużona, pokryła się sterczącymi elementami, zapewne czujnikami, które połyskiwały delikatnie jak polerowany metal. Ramiona były powiększone, dziwacznie skrzycone i spiczaste. Przypominał robota w stylu barokowym. Jego ręce nie spoczywały na kierownicy, ale może w ogóle ich nie miał. Loman podejrzewał, że chłopak stopił się w jedno nie tylko z komputerem, ale i z radiowozem.

Penniworth powoli obrócił twarz w jego stronę.

W pozbawionych źrenic oczodołach wiły się i tańczyły białe, trzaskające pałeczki elektryczności.

Shaddack powiedział, że wolni, bo pozbawieni uczuć Nowi Ludzie mogą dowolnie wykorzystywać daną im siłę umysłu, nawet w stopniu uniemożliwiającym kontrolę nad formą i materią. Teraz świadomość dyktowała im formę. Uciekając od świata bez uczuć, przybierali różne postaci wedle woli i chęci, ale nie mogli znowu stać się Dawnymi Ludźmi. Penniworth znalazł widać ukojenie w tym monstrualnym wcieleniu.

Ale co teraz odczuwał? Jaki miał cel? Czy naprawdę chciał trwać w takim kształcie? A może po prostu nie mógł powrócić do ludzkiej postaci, podobnie jak Mike?

Loman sięgnął po rewolwer.

Mackowaty przewód wyskoczył z drzwi po stronie pasażera, nie niszcząc metalu, i uderzył z cichym trzaskiem w szybę przy głowie Lomana.

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w przewód, bezskutecznie usiłując natrafić spoconą ręką na rewolwer.

Szyba nie pękła, ale pojawiła się na niej plama wielkości ćwierć-dolarówki, która pokryła się bąblami i stopiła w ciągu sekundy szkło. Przewód wkręcił się do środka zmierzając ku twarzy Lomana. Był zakończony paszczą niczym węgorz, ale małe, ostre zęby wyglądały jak stalowe.

Watkins cofnął raptownie głowę i zapomniawszy o rewolwerze wcisnął gaz do dechy. Chevrolet jakby stanął dęba, po czym wystrzelił do przodu.

Przez chwilę przewód łączący samochody wydłużał się i musnąwszy czubek nosa Lomana, zniknął w wozie Penniwortha.

Jechał szybko aż do końca Juniper, zwolniwszy dopiero przed zakrętem. W pękniętej szybie gwizdał wiatr.

Sprawdzały się najgorsze obawy Lomana. Nowi Ludzie, którzy nie wybrali regresji, zmieniali się sami, bądź na rozkaz Shaddacka, w diabelską hybrydę człowieka i maszyny.

Znajdź Shaddacka. Zabij twórcę i uwolnij jego żalosne monstra.

Chrissie z chłupotem maszerowała przez grząskie boisko. Miejscami błotnista maź przytrzymywała jej buty, i dziewczynka pomyślała, że hałasuje jak jakiś idiotyczny kosmita przesuający się na stopach z przyssawkami. I wówczas zaświtało jej, że w pewnym sensie *jest* obcym przybyszem w mieście tej właśnie nocy, istotą inną niż to, czym stała się większość mieszkańców Moonlight Cove.

Pokonali już dwie trzecie boiska, gdy zatrzymał ich przeraźliwy krzyk, który rozdarł noc niczym ostra siekiera suchy sag drewna. Nieludzki wrzask wznosił się i opadał, dziki i tajemniczy, ale znajomy. Przypominał wołanie jednej z bestii, które uznała za kosmitów. Choć deszcz już nie padał, powietrze było pełne wilgoci, dlatego ten niesamowity ryk brzmiał tak wyraźnie jak czysty niczym uderzenia dzwonu odgłos trąbki.

Co gorsza, na to wołanie natychmiast odpowiedział jakiś podniecony krewniak bestii. Rozległo się co najmniej sześć równie przerażających jęków, od Paddock Lane na południu aż do Holliwell Road na północy, od wysokich wzgórz na wschodnim krańcu miasta po urwiska nad plażą oddalone kilka ulic na zachód.

Chrissie zatęskniła nagle do zimnego, ciemnego kanału ze wzburzoną, sięgającą pasa wodą, tak obrzydliwą, że mogłaby płynąć z wanny samego diabła. Ta otwarta przestrzeń wydawała się dziko niebezpieczna w porównaniu z kanałem.

Po chwili ciszy znowu rozniosło się wycie, znacznie bliższe niż to wcześniejsze. Zbyt bliskie.

– Wejźmy do środka – ponaglił Sam.

Chrissie przyznała, że mimo wszystko nie nadaje się na bohaterkę powieści Andre Norton.

Była wystraszona, zmarznięta, głodna i padała z wyczerpania. Miała serdecznie dość przygód. Tęskniła za ciepłym domem i dniami wypełnionymi czytaniem książek i chodzeniem do kina, i podwójnymi porcjami ciasta karmelowego. Prawdziwa bohaterka powieści sensacyjnej dawno już wymyśliłaby genialne fortele, by zniszczyć bestie w Moonlight Cove i przerobić ludzi-robotów w nieszkodliwe maszyny do mycia samochodów. Byłaby na najlepszej drodze do przyjęcia tytułu koronowanej księżniczki królestwa przez aklamację pełnych szacunku i wdzięcznych obywateli.

Pobiegli na koniec boiska, omijając ławki dla publiczności, i przecięli pusty parking na tyłach szkoły.

Nic ich nie zaatakowało.

Dzięki Ci, Boże. Twoja przyjaciółka, Chrissie.

Coś zawyło ponownie.

Nawet Bóg bywał przewrotny.

Na tyłach budynku znajdowało się sześcioro drzwi.

Przechodzili od jednych do drugich, a Sam chciał otworzyć je w świetle osłoniętej ręką latarki. Najwyraźniej nie szło mu, co rozczarowało Chrissie. Wyobrażała sobie, że agenci FBI są tak dobrze wyszkoleni, że w razie potrzeby włamują się do skarbca w banku przy pomocy różni i szpilki do włosów.

Spróbował także uchylić kilka okien, poświęcając z pozoru mnóstwo czasu na świecenie latarką po szybach. Sprawdzał nie pomieszczenia, ale wewnętrzne parapety i framugi.

Przy ostatnich drzwiach, jedynych z szybą, wyłączył latarkę i spojrzawszy z powagą na Tessę wyszeptał:

– Raczej nie ma tu systemu alarmowego, choć może myłę się. Ale nigdzie nie zauważyłem przewodów.

– A inne rodzaje alarmów? – spytała szeptem Tessa.

– No cóż, istnieją systemy reagujące na ruch, wychwycony przez przekaźnik dźwiękowy albo fotokomórkę. Ale to zbyt wyrafinowane jak na szkołę.

– Więc co teraz?

– Teraz wybiję szybę.

Chrissie spodziewała się, że wyjmie z kieszeni płaszcza rolkę taśmy maskującej i zaklei szybę, by zagłuszyć brzęk szkła i zapobiec rozsypaniu się kawałków na podłogę. Tak właśnie działo się w książkach. Ale on po prostu odwrócił się bokiem, wbił łokieć w dolny prawy róg oszklonej części drzwi.

Szkoło posypało się z okropnym hukiem. Może zapomniał wziąć taśmę?

Przez otwór wymacał zamek, otworzył drzwi i pierwszy wszedł do środka. Chrissie podążyła za nim, omijając odłamki szkła. Zapalił latarkę. Nie zasłaniał już jej dłonią, choć oczywiście zważał, by strumień światła nie padał na okna.

Znajdowali się w długim hallu pełnym cedrowo-sosnowego zapachu ze środka dezynfekcyjnego i pochłaniacza kurzu zarazem. Dozorcy przez lata rozsypywali te zielone kulki na podłodze, a później wzbijali w górę miotłami, aż podłoga i ściany nasączyły się wonią. Znała ją z podstawówki Thomasa Jeffersona i rozczarowała się, czując również tutaj. Zawsze myślała o szkole średniej jako o szczególnym i tajemniczym miejscu, ale co to za wyjątkowe i tajemnicze miejsce, skoro używano tu identycznego środka dezynfekcyjnego, co w podstawówce?

Tessa cicho zamknęła drzwi.

Chwilę nasłuchiwali.

W budynku panowała cisza.

Idąc wzdłuż korytarza zaglądali do klas, ubikacji i magazynków w poszukiwaniu sali komputerowej. Po przejściu stu pięćdziesięciu stóp doszli do następnego hallu. Zatrzymali się wytężając słuch.

Cisza.

I ciemność. Jedyne światłem był blask latarki, którą Sam wciąż trzymał w lewej ręce, ale już odsłoniętą, bowiem w prawej ścisnął rewolwer.

W końcu stwierdził:

– Nikogo tu nie ma.

Co wydawało się prawdą.

Po chwili Chrissie poczuła się lepiej i bezpieczniej.

Z drugiej jednak strony, jeśli Sam naprawdę wierzył, że są jedynymi ludźmi w szkole, to dlaczego wyjął broń?

Jadąc niczym pan przez włości niecierpliwie oczekiwał północy. Jeszcze pięć długich godzin. Thomas Shaddack cofnął się niemal do poziomu dziecka. Teraz, gdy był bliski triumfu, mógł skończyć z tym przebraniem dorosłego człowieka i zrobić to z ulgą. Tak naprawdę, nigdy nie dorósł, jego rozwój emocjonalny zatrzymał się w wieku dwunastu lat, gdy otrzymał przesłanie Księżycowego Jastrzębia, które wypełniło go bez reszty. Od tej pory udawał dojrzałość emocjonalną, odpowiadającą fizycznemu rozwojowi.

Już nie musiał udawać.

W głębi duszy zawsze wiedział, jaki jest naprawdę, co uważał za wielką siłę i przewagę nad tymi, którzy zostawili dzieciństwo daleko za sobą. Dwunastolatek pielęgnował marzenia z większą determinacją niż dorosły, ponieważ dorosłych zawsze gnębiły i rozpraszały sprzeczne potrzeby oraz pragnienia. A chłopiec u progu dojrzewania potrafił skoncentrować się i poświęcić niezłomnie jednemu Wielkiemu Marzeniu. Odpowiednio ukształtowany, był doskonałym „monomaniakiem”.

Projekt Księżycowy Jastrząb, ten Wielki Sen o boskiej władzy, nie stałby się jawą, gdyby on normalnie dojrzywał emocjonalnie. Swój bliski triumf zawdzięczał mentalności dziecka.

Znów był chłopcem, ale już otwarcie chciał zaspokoić każdy kaprys, wziąć, czego tylko zapragnął, łamać ustalone zasady. Dwunastolatek z przyjemnością czynił wszystko na przekór i atakował autorytety. W skrajnych przypadkach chłopcy w tym wieku byli urodzonymi anarchistami, na granicy hormonalnej rebelii.

Ale on wyrósł na kaktusowym cukierku, który, choć zjedzony dawno temu, ukształtował jego psychikę. Był chłopcem świadomym swej boskości. A zdolność jakiegokolwiek chłopca do okrucieństwa bladła w porównaniu z okrucieństwem bogów.

Oczekując północy, wyobrażał sobie, jak wykorzysta władzę, gdy wszyscy w Moonlight Cove znajdą się pod jego rozkazami. Niektóre z pomysłów napawały go dziwną mieszaniną podniecenia i obrzydzenia.

Na Iceberry Way zdumiony zobaczył obok siebie na miejscu pasażera Rączego Jelenia. Zatrzymawszy furgonetkę na środku drogi patrzył z niedowierzaniem, zszokowany i przestraszony.

Ale Indianin nie odezwał się słowem, tylko spoglądał przed siebie.

Shaddack powoli zrozumiał, że posiadał na własność jego ducha. Wielkie duchy ofiarowały mu Indianina jako doradcę w nagrodę za sukces Projektu Księżycowy Jastrząb. Ale teraz *on* kontrolował sytuację i czerwonoskóry będzie mówił tylko wtedy, gdy Shaddack zwróci się do niego.

– Witaj, Rączy Jeleniu – powiedział.

– Witaj, Mały Wodzu.

– Należysz teraz do mnie.

– Tak, Mały Wodzu.

Przez mgnienie Shaddack pomyślał, że to iluzja szaleńca. Ale cierpiący na monomanię chłopcy nie analizowali zbyt długo swego stanu umysłowego i myśl o błędzie opuściła go równie szybko, jak pojawiła się.

Zwrócił się do Rączego Jelenia:

– Zrobisz to, co powiem.

– Zawsze.

Nadzwyczaj zadowolony, Shaddack zdjął nogę z hamulca i ruszył do przodu. W świetle reflektorów ukazała się na chodniku istota o bursztynowych oczach i o fantastycznym kształcie, pijąca wodę z kałuży. Nie przyjąwszy do wiadomości faktu, że niezamierzenie stworzył ją, pozwolił, by zniknęła z jego pamięci tak szybko, jak z otulonej nocą ulicy.

Chytrze patrząc na Indianina, powiedział:

– Wiesz, co zamierzam zrobić pewnego dnia?

– Co takiego, Mały Wodzu?

– Gdy już poddam konwersji nie tylko ludzi w Moonlight Cove, ale wszystkich na świecie i już nikt nie będzie mi się opierał, poświęcę trochę czasu na wytropienie całej twojej rodziny – braci, sióstr, nawet kuzynów. Odszukam też wszystkie *ich* dzieci, żony i mężów tych dzieci, również ich rodziny... i zapłacą mi za twoje zbrodnie, wierz mi, naprawdę zapłacą. – W jego głosie zabrzmiała piskliwa nuta rozdrażnienia, co nie spodobało mu się, mimo to nadal mówił poirytowany. – Zabiję wszystkich mężczyzn i sam pokroję ich na krwawe strzępy. Powiem im, że cierpią dlatego, gdyż są związani z tobą, więc będą tobą pogardzać i przeklinać twoje imię, i żałować, że kiedykolwiek istniałeś. Zgwałcę również wszystkie kobiety i pokaleczę je, zadam im głębokie rany, a potem pozabijam. Co o tym myślisz? He?

– Jeśli tego pragniesz, Mały Wodzu.

– Jasne jak słońce, że pragnę.

– Więc zrób to.

– Jasne jak słońce, że to zrobię.

Shaddack zdumiał się, gdy poczuł łzy w oczach. Stał na skrzyżowaniu.

– To, co ze mną zrobiłeś, było złe. – Indianin milczał. – Powiedz!

– To było złe, Mały Wodzu.

– Pod każdym względem.

– To było złe.

Shaddack wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nos. Przetarł oczy. Wkrótce łzy obeschły.

Uśmiechnął się do nocnego krajobrazu za szybą samochodu. Westchnął. Zerknął na Rączego Jelenia.

Indianin patrzył przed siebie szeroko otwartymi oczyma. Milczał.

Shaddack odezwał się:

– Naturalnie, bez ciebie nigdy nie zostałbym dzieckiem Księżycowego Jastrzębia.

Pracownia komputerowa znajdowała się na parterze u zbiegu korytarzy. Okna wychodziły na boisko, ale były niewidoczne z ulicy, więc Sam zapalił górne światła.

Salę urządzono jak laboratorium językowe. Każdy komputer stał w kabinie. Trzydzieści wyrafinowanych urządzeń z twardym dyskiem ustawiono wzdłuż trzech ścian i w dwóch rzędach pośrodku.

Przyglądając się temu nowoczesnemu sprzętowi Tessa stwierdziła:

– New Wave z pewnością było hojne, co?

– Raczej przewidujące – poprawił ją Sam.

Daremnie szukał linii telefonicznych i modemów.

Tessa i Chrissie obserwowały przez drzwi ciemny korytarz.

Sam włączył jeden z komputerów. Na środku ekranu pojawił się znak New Wave.

Może rzeczywiście przekazano je szkole wyłącznie w celach edukacyjnych, bez zamiaru wciągania dzieci do Projektu Księżycowy Jastrząb.

Po chwili na ekranie ukazało się menu. Ponieważ urządzenia te miały ogromną pojemność, były już zaprogramowane i gotowe do pracy w momencie włączenia. Menu oferowało 5 możliwości.

A. TRENING 1

B. TRENING 2

C. WORD PROCESSING

D. KSIĘGOWOŚĆ

E. INNE

Zawahał się. Nagle poczuł strach przed skorzystaniem z komputera. Z całą wyrazistością przypomniał sobie Coltrane'ów. Choć wydawało się, że dobrowolnie stopili się ze sprzętem, a transformacja zaczęła się w nich samych, nie miał żadnej pewności, że nie było akurat odwrotnie. Może właśnie komputery w jakiś sposób *zawładnęły* nimi. Ale z obserwacji Harry'ego wynikało, że

ludzi w Moonlight Cove przemieniał zastrzyk, a nie jakaś podstępna siła przenikająca z klawiszy na opuszki palców. Ciągle jednak wahał się.

Wcisnął w końcu E. Wyskoczyła lista przedmiotów szkolnych:

A. JĘZYKI

B. MATEMATYKA

C. NAUKI PRZYRODNICZE

D. HISTORIA

E. ANGIELSKI

F. INNE

Teraz F. Ukazało się trzecie menu i cała procedura powtórzyła się, aż wreszcie doszedł do menu z New Wave. Gdy wystukał tę nazwę, po ekranie przesuwały się słowa:

WITAJ STUDENCIE

KONTAKTUJESZ SIĘ TERAZ

Z SUPERKOMPUTEREM

W FIRMIE NEW WAVE MICROTECHNOLOGY

NAZYWAM SIĘ SŁOŃCE

JESTEM DO TWOJEJ DYSPOZYCJI

Komputery szkolne podłączono do New Wave, a zatem modemy – były zbędne.

CZY CHCIAŁBYŚ ZOBACZYĆ POSZCZEGÓLNE MENU?

CZY SPRECYZUJESZ ZAINTERESOWANIA?

Wziąwszy pod uwagę różnorodność programu komputerowego komendy policji, z którym zapoznał się poprzedniej nocy w radiowozie, pomyślał, że cały wieczór może przeglądać kolejne menu, nim znajdzie to, co go interesuje. Wstukał:

MOONLIGHT COVE KOMENDA POLICJI.

PLIK ZASTRZEŻONY

PROSZĘ NIE PODEJMOWAĆ PRÓB KONTYNUACJI

BEZ OPIEKI NAUCZYCIELA

Nauczyciele zapewne mieli indywidualny numer kodów i tylko poddanym konwersji udostępniono skądinąd zastrzeżone dane. Jedynie tworząc przypadkowe kombinacje cyfr mógł poznać któryś z kodów. Ale istniały miliony, wręcz miliardy możliwości. Groziło mu zatem, że posiwieje i zęby mu wypadną, a i tak nie trafi na właściwy numer.

Poprzedniej nocy użył kodu funkcjonariusza Reese Dorna i rozważał teraz, czy działał on tylko w wyznaczonym terminalu połączonym z komendą policji, czy też zostanie przyjęty przez każdy komputer powiązany ze Słońcem. Próba nic nie kosztowała. Wystukał 262699

Ekran rozjaśnił się i Sam przeczytał:

WITAM FUNCJONARIUSZU DORN

Tym razem udało się.

WYBIERZ:

A. DYSPOZYTOR

B. CENTRALNA KARTOTEKA

C. BIULETYN

D. MODEM POZASYSTEMOWY

Wcisnął D.

Ukazała się ogólnokrajowa lista komputerów, z którymi mógł łączyć się przez modem w komendzie policji.

Nagle zwilgotniały mu dłonie. Był pewien, że coś nawali, choćby dlatego, że od chwili gdy zjawił się w mieście, wszystko szło jak po grudzie.

Zerknął na Tessę.

– W porządku?

Popatrzyła zmrużonymi oczyma w ciemny korytarz, a później mrugnęła do niego.

– Chyba tak. Masz coś?

– Mhm... może. – Ponownie odwrócił się do komputera i powiedział cicho: – Proszę...

Przestudiował długą listę połączeń pozasystemowych. Odszukał FBI KEY, najnowszą i najbardziej wyrafinowaną sieć komputerową Biura z maksymalnie zabezpieczonym systemem pamięci oraz wyszukiwania i transmisji danych. Zainstalowano ją w głównej siedzibie w Waszyngtonie zaledwie przed rokiem, a korzystali z niej zapewne jedynie wybrani agenci w centrali i biurach terenowych, posługujący się specjalnymi kodami.

Koniec z asekuracją.

Wciąż oczekując kłopotów wybrał FBI KEY. Menu zniknęło. Po chwili ukazał się złotoniebieski symbol FBI, a pod spodem słowo: KEY.

Przez ekran płynęła teraz seria pytań: – JAKI JEST TWÓJ NUMER IDENTYFIKACYJNY? NAZWISKO? DATA URODZENIA? DATA WSTĄPIENIA DO BIURA? NAZWISKO PANIENSKIE MATKI? – Gdy odpowiedział na wszystkie, został nagrodzony dostępem do systemu.

– Bingo! – powiedział z odrobiną optymizmu.

– Co się stało? – spytała Tessa.

– Wszedłem do głównego systemu Biura w Waszyngtonie.

– Jesteś włamywaczem komputerowym – stwierdziła Chrissie.

– Ale udało się.

– Co teraz? – dociekała Tessa.

– Zaraz wywołam dyżurnego operatora. Ale najpierw prześlę pozdrowienia do każdego cholernego oddziału w kraju, by pracownicy usiedli i uświadomili sobie pewne rzeczy.

– Pozdrowienia?

Z bogatego menu Sam wybrał G – NATYCHMIASTOWA TRANSMISJA MIĘDZYODDZIAŁOWA. Chciał zawiadomić wszystkie filie, a nie wyłącznie najbliższą w San Francisco, skąd liczył na szybką pomoc. Istniała jedna szansa na milion, że operator w centrali wśród zalewu innych transmisji przeoczy tę wiadomość, pomimo nagłówka ALARM. W takiej sytuacji ktoś dzierzący w rękę ster spałby w najmniej odpowiednim momencie, co szczęśliwie nie trwałoby długo, ponieważ wszystkie oddziały w kraju wzywałyby centralę, prosząc o informacje dotyczące Moonlight Cove.

Niewiele rozumiał z tego, co działo się w mieście. Ale szybko ułożył odpowiednią notatkę z nadzieją, że ludzie z FBI ruszą tyłki i zaczną działać.

SYTUACJA ALARMOWA MOONLIGHT COVE KALIFORNIA

* DZIESIĄTKI ZABITYCH. SYTUACJA POGARSZA SIĘ.

* W NAJBLIŻSZYCH GODZINACH MOGĄ UMRZEĆ KOLEJNE SETKI

* NEW WAVE MICROTECHNOLOGY ZAMIESZANE W BEZPRAWNE EKSPERYMENTY NA LUDZIACH BEZ ICH WIEDZY. SPISEK O DUŻYM ZASIĘGU.

* TYSIĄCE ZARAŻONYCH

* POWTARZAM, CAŁA POPULACJA MIASTA ZAGROŻONA

* SYTUACJA SKRAJNIE NIEBEZPIECZNA

* ZARAŻENI OBYWATELE CIERPIĄ NA ZANIK WŁADZ UMYSŁOWYCH, WYKAZUJĄ SKŁONNOŚĆ DO SKRAJNEGO OKRUCIEŃSTWA.

* POWTARZAM, SKRAJNEGO OKRUCIEŃSTWA.

* PROŚBA O NATYCHMIASTOWĄ KWARANTANNĘ PRZEPROWADZONĄ SIŁAMI SPECJALNYMI ARMII. PROŚBA O NATYCHMIASTOWE MASOWE WSPARCIE SIŁ FBI.

Podał swoją pozycję w szkole na Rushmore, aby śpieszący na pomoc wiedzieli, gdzie ich szukać, choć nie był pewien, czy doczekają tu bezpiecznie tej chwili. Na końcu podał nazwisko i numer

identyfikacyjny.

Wiadomość miała sprawić, by służby specjalne zjawiły się tu przygotowane na każdą ewentualność.

Wystukał TRANSMISJA, ale po chwili zastanowienia zmienił hasło na: TRANSMISJA WIELOKROTNA.

Komputer zapytał: LICZBA POWTÓRZEŃ?

Odpowiedź Sama: 99

Polecenie zostało przyjęte.

Znów powtórzył: TRANSMISJA i wcisnął ENTER.

JAKIE ODDZIAŁY?

Wystukał: WSZYSTKIE.

Ekran przygasł. Po chwili pojawiło się słowo: PRZESYŁAM.

W tym momencie drukarki laserowe w oddziałach Biura w całym kraju drukowały pierwszy z 99 egzemplarzy notatki. Wszyscy dyżurni będą wkrótce chodzić po ścianach.

Niemal westchnął z ulgą.

Ale jeszcze nie koniec tego całego bałaganu.

Szybko powrócił do programu KEY i wybrał A – NOCNY OPERATOR.

Pięć sekund później skontaktował się z agentem obsługującym komputer w centrum łączności Biura w Waszyngtonie. Na ekranie pojawił się identyfikator i nazwisko ANNE DENTON. Z niebywałą satysfakcją korzystał z tej supernowoczesnej technologii, by doprowadzić do upadku Thomasa Shaddacka, New Wave i Projektu Księżycowy Jastrząb. W tej bezgłośnej elektronicznej rozmowie z Anną Denton zamierzał dokładniej opisać okropności w Moonlight Cove.

Loman nie interesował się już działaniami komendy policji, mimo to włączał terminal w samochodzie mniej więcej co dziesięć minut, by sprawdzić, co się dzieje. Spodziewał się, że Shaddack skontaktuje się z pracownikami komendy od czasu do czasu. Przy odrobinie szczęścia przechwyci jakąś rozmowę i namierzy tego łajdaka.

Wyłączał komputer, ponieważ bał się Shaddacka. Nie tego, że wysie mu mózg, czy coś w tym rodzaju, ale on sam mógł ulec pokusie upodobnienia się do Denny'ego i Penniwortha, podobnie jak w pobliżu regresywnych ogarniała go przemożna chęć przemiany.

Zjechał na pobocze Holliwell Road i wyłączył silnik. Zamierzał właśnie skontrolować kanał dialogowy, gdy na ekranie ukazało się słowo: ALARM. Cofnął dłoń z klawiatury, jakby coś go uszczypnęło.

Teraz wyświetlił się tekst: SŁOŃCE WYWOŁUJE DIALOG.

Słońce? Superkomputer w New Wave? Dlaczego włącza się w system komputerowy komendy policji?

Zanim inny funkcjonariusz z komendy albo radiowozu zażądał wyjaśnień, Loman przejął inicjatywę i wystukał: DIALOG ZAAPROBOWANY.

WYJAŚNIAM – stwierdziło Słońce.

Loman wystukał TAK, co oznaczało KONTYNUUJ.

Słońce spytało: CZY POŁĄCZENIA TELEFONICZNE Z NUMERÓW NIEZAAPROBOWANYCH W MOONLIGHT COVE I ZAMIEJSCOWYCH WCIĄŻ SĄ ZABRONIONE?

TAK.

CZY POWYŻSZY ZAKAZ OBEJMUJE ZASTRZEŻONE LINIE TELEFONICZNE OBSŁUGIWANE PRZEZ SŁOŃCE?

Zaskoczony, Loman wystukał – NIEJASNE.

Słońce cierpliwie wyjaśniło, że obsługuje własne linie telefoniczne poza oficjalnym spisem, z których użytkownicy mogli łączyć się z innymi komputerami w całym kraju.

Teraz Słońce powtórzyło ostatnie pytanie.

Gdyby interesował się komputerami jak Denny, od razu zrozumiałby, co się dzieje, ale wciąż miał wątpliwości.

Wystukał więc: DLACZEGO – co oznaczało – DLACZEGO PYTASZ?

MODEM POZASYSTEMOWY W UŻYCIU.

KTO Z NIEGO KORZYSTA?

SAMUEL BOOKER.

Loman roześmiałby się, gdyby nadal odczuwał radość. Agent FBI znalazł łącze poza Moonlight Cove i całe to gówno trafi wreszcie do wentylatora.

Zanim zapytał o działalność i miejsce pobytu Bookera, w lewym górnym rogu ekranu ukazało się nazwisko SHADDACK. A więc Moreau z New Wave włączył się do tego dialogu. Loman zadowolony nie przeszkadzał swemu stwórcy i Słońcu w konwersacji.

Shaddack poprosił o więcej szczegółów.

Słońce odpowiedziało: DOSTĘP DO SYSTEMU FBI KEY.

Loman wyobraził sobie, w jakim szoku znalazł się teraz Shaddack. Na ekranie ukazało się kolejne żądanie okrutnego władcy: OPCJE. Co oznaczało, że pragnął rozpaczliwie, by Słońce przedstawiło mu propozycje opanowania sytuacji.

Komputer podał pięć możliwości i Shaddack wybrał ostatnią: ZAMKNIĘCIE SYSTEMU.

W chwilę później Słońce ogłosiło: POŁĄCZENIE Z SYSTEMEM FBI KEY ZAMKNIĘTE.

Loman miał nadzieję, że Booker przekazał już dostatecznie dużo, by wykończyć tego szaleńca i zniszczyć Projekt. Na ekranie ukazało się pytanie Shaddacka:

TERMINAL BOOKERA?

PYTASZ O MIEJSCE POBYTU?

TAK

SZKOŁA CENRALNA W MOONLIGHT COVE,

PRACOWNIA KOMPUTEROWA.

Lomana dzieliły od szkoły trzy minuty drogi.

Zastanawiał się, gdzie znajduje się Shaddack. Właściwie nie miało to znaczenia, blisko czy daleko. Zrobi wszystko, by powstrzymać Bookera od skompromitowania Projektu, albo zemścić się, jeśli agent już wszczął alarm.

Wreszcie dowiedział się, gdzie znajdzie swego stwórcę.

Sam zdążył wymienić z Anne Denton w Waszyngtonie zaledwie sześć zdań, gdy połączenie zostało przerwane. Ekran był pusty.

Chciał wierzyć, że to zwykłe zakłócenia gdzieś na linii. Ale wiedział, że tak nie jest.

Zerwał się na równe nogi przewracając krzesło. Chrissie podskoczyła zdumiona, a Tessa spytała:

– Co się dzieje? Coś nie tak?

– Odkryli nas – wyjaśnił. – Nadchodzą.

Harry usłyszał dzwonek do drzwi na dole. Poczł skurcz w żołądku. Człł się tak, jakby siedział w roller coasterze i włłśnie się rozpędzał. Dzwonek odezwał się ponownie.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Wiedzieli, że jest kaleką. Dawali mu czas na otwarcie drzwi.

W końcu znów zadzwonili.

Spojrzał na zegarek. Dopiero siódma czterdzieści pięć. Najwyraźniej nie umieścili go na końcu listy.

Dzwonek rozbrzmiewał teraz nieprzerwanie. Z parteru dobiegł przytłumione szczekanie Moose'a.

Tessa chwyciła dziewczynkę za rękę. Wraz z Samem wybiegli z pracowni komputerowej. Latarka coraz słabiej świeciła.

Miała nadzieję, że nie zgaśnie zanim znajdą wyjście. Nagle szkoła zaczęła przypominać labirynt, gdy w popłochu szukali bezpiecznej drogi ucieczki przed śmiercią.

Przeszli przez cztery korytarze i skręcili w kolejny, nim Tessa zorientowała się, że idą w złym kierunku.

– Nie szliśmy tędy.

– Nieważne – powiedział Sam – wydostaniemy się przez jakiekolwiek drzwi.

W słabym świetle z latarki na końcu korytarza ukazała się ściana.

– Tędy – Chrissie wyrwała się do przodu, w ciemność, zmuszając ich, by podążyli za nią, albo porzucili ją.

Shaddack uznał, że nie włamałoby się do szkoły od ulicy, gdzie byliby widoczni – więc podjechał na tyły budynku.

Ominąwszy stalowe drzwi, które stanowiły zbyt poważną przeszkodę, szukał stłuczonego okna.

Niebawem zauważył w świetle reflektorów puste miejsce po szybie w prawym dolnym rogu ostatnich drzwi.

– Tam – powiedział do Rączego Jelenia.

– Tak, Mały Wodzu.

Zaparkował samochód tuż obok i chwycił załadowaną strzelbę Remingtona.

Pudełko zapasowej amunicji leżało na siedzeniu pasażera. Kilka pocisków wepchnął do kieszeni płaszcza, jeszcze sześć wziął w rękę, wysiadł z furgonetki i skierował się do drzwi z wybitą szybą.

Rozległy się trzy uderzenia, które dotarły nawet na strych, i Harry usłyszał gdzieś w oddali brzęk tłuczonego szkła.

Moose szczekał jak oszalały. Przypominał najbardziej wściekłego psa obronnego, jakiego kiedykolwiek wyhodowano, a nie sympatycznego czarnego labradora. Może chciał udowodnić, że wbrew łagodnemu usposobieniu jest gotów bronić domu i pana.

Nie rób tego, chłopie, myślał Harry. Nie próbuj być bohaterem. Wciśnij się gdzieś w kąt, pozwól im wejść, nawet poliz ich w rękę, ale nie...

Pies zawył i zamilkł.

Nie, pomyślał Harry i poczuł przejmujący żal. Stracił nie tylko psa, ale również najlepszego przyjaciela.

Moose też miał poczucie obowiązku.

W domu zapanowała cisza. Pewnie przeszukiwali parter.

Harry czuł, jak żal i strach ustępują miejsca złości. Moose. Cholera, biedny, nieszkodliwy psiak. Poczul wściekłość. Chciał zabić ich wszystkich.

Sprawną ręką położył pistolet na kolanach. Wiedział, że nie znajdą go od razu, ale czuł się pewniej z bronią.

W wojsku zdobywał medale w zawodach strzeleckich z broni długiej i krótkiej. Było to dawno temu. Już ponad dwadzieścia lat nie strzelał nawet dla wprawy. Od czasu, gdy walczył na tej dalekiej, pięknej azjatyckiej ziemi i pewnego słonecznego ranka został kaleką na całe życie. Czyścił oraz oliwił swoje pistolety, głównie z przyzwyczajenia. Żołnierskie lekcje i nawyki pozostawały na całe życie – teraz cieszył się z tego.

Brzęk.

Szum i łomot maszynarii.

Winda.

W końcu znaleźli się we właściwym korytarzu. Z przygasającą latarką w lewej, a rewolwerem w prawej dłoni Sam dogonił Chrissie i w tej samej chwili usłyszał narastający odgłos syreny na zewnątrz. Nie mógł ustalić, czy wóz patrolowy podjeżdżał na tyły szkoły, gdzie właśnie zmierzali, czy też zbliżał się do głównego wejścia.

Wyglądało na to, że Chrissie też nie wiedziała, gdyż zatrzymała się i spytała:

– Dokąd Sam? Dokąd?

– Sam, wejście! – krzyknęła Tessa.

Dopiero po chwili zorientował się, że na końcu korytarza w odległości jakichś trzydziestu jardów otwierają się drzwi, przez które weszli do budynku. Do środka wkroczył jakiś człowiek. Syreny wciąż wyły, więc nadjeżdżały posiłki, chyba cały pluton. W progu majaczyła postać wysokiego, ponad sześć stóp wzrostu, faceta nieznacznie rozjaśniona przez lampę znajdującą się na zewnątrz przy wejściu.

Sam wystrzelił ze swojej trzydziestkiósemki, nie zastanawiając się, czy człowiek ten był wrogiem, ponieważ wszyscy tu nim byli, każdy z osobna w całym legionie – i spudłował. Po upadku w kanale jak diabli bolał go nadgarstek. Odrzut wystrzału wywołał przeszywający ból aż do ramienia. Jezu, rozlał się niczym kwas od głowy po czubki palców. Niemal upuścił rewolwer.

Gdy huk wystrzału odbił się od ścian i powrócił do Sama, facet otworzył ogień ze swojej strzelby, jak z ciężkiej artylerii. Na szczęście był kiepskim strzelcem. Celował zbyt wysoko, zapominając, że kopnięcie podniesie broń. W rezultacie pocisk trafił w sufit tylko dziesięć jardów od miejsca, w którym stał, rozbijając jedną ze zgaszonych jarzeniówek i kilka płytek dźwiękoszczelnych. Teraz z kolei wziął zbyt dużą poprawkę na odrzut, opuszczając lufę zbyt nisko i druga kula uderzyła w podłogę, z dala od celu.

Sam nie obserwował biernie tej kanonady. Pchnął Chrissie w drzwi prowadzące do ciemnej sali, nie zważając na to, że naboje dziurawią winylową podłogę. Tessa wbiegła do środka tuż za nim. Zatrzasnąwszy drzwi oparła się o nie, jakby wydawało się jej, że jest superkobietą i pociski bez śladu odbijają się od pleców.

Sam podał jej załośnie świecącą latarkę.

– Z moim nadgarstkiem muszę trzymać pistolet w obu dłoniach.

Tessa omiotła pomieszczenie słabym, żółtawym strumieniem światła. Wylądowali w sali koncertowej. Na prawo od drzwi przy ścianie stały krzesła i stojaki na nuty dla orkiestry. Na lewo widniało sporo pustego miejsca, a w głębi pulpit dyrygencki z jasnego drewna i metalu. I dwoje otwartych drzwi do sąsiednich pomieszczeń.

Chrissie bez popędzania szybko podążała za Tessą, Sam zaś na końcu krył drzwi, którymi weszli z korytarza.

Syreny zamilkły. Należało się spodziewać mnóstwa ludzi ze strzelbami.

Przeszukali już parter i pierwsze piętro. Teraz byli w sypialni na drugim piętrze.

Harry usłyszał przez sufit rozmowę, ale nie za bardzo ich rozumiał.

Niemal liczył na to, że zauważą kłapę i wejdą na strych. Wtedy wykończy choć kilku z nich. Za Moose'a. Po dwudziestu latach bycia ofiarą, miał śmiertelnie dosyć. Pokaże im, że Harry Talbot wciąż jest człowiekiem, z którym trzeba liczyć się: Moose był tylko psem, ale zabicie go nie ujdzie im bezkarnie.

Loman dojrzał w tumanach mgły, że obok furgonetki Shaddacka zaparkował radiowóz, z którego wysiadł Paul Amberlay.

Był jednym z najlepszych funkcjonariuszy. Szczupły, muskularny i bardzo inteligentny, ale teraz wyglądał jak wystraszone chłopię ze szkoły średniej.

Podszedł do Lomana roztrzęsiony z bronią w ręku.

– Tylko pan i ja? Do cholery, gdzie reszta? Mamy alarm.

– Gdzie są inni? – powtórzył Loman. – Posłuchaj tylko, Paul. Posłuchaj.

Z każdej części miasta dobiegały dziesiątki dzikich głosów, układających się w niesamowitą pieśń, nawołujących się albo wyjących do księżyca, skrytego pod skłębionymi chmurami.

Loman rzucił się do bagażnika. Wszystkie radiowozy wyposażono w broń do rozpędzania demonstracji, której nigdy jeszcze nie użył w spokojnym Moonlight Cove. Ale hojne New Wave nie oszczędzało na sprzęcie, nawet jeśli uznawano go za zbędny. Teraz wyciągnął broń z uchwytów zamocowanych na bocznej ścianie bagażnika.

Amberlay przyłączył się do niego:

– Chce mi pan powiedzieć, że cała policja uległa regresji, z wyjątkiem nas?

– Tylko posłuchaj – powtórzył Loman, opierając broń o zderzak.

– Ależ to szaleństwo! – upierał się Amberlay. – Jezu Chryste, chce mi pan wmówić, że całe to cholerne draństwo zwali się nam na głowy?

Loman chwycił pudełko z pociskami ze schowka na koło zapasowe i otworzył je.

– Ty nie *czujesz* tego wezwania, Paul?

– Nie – zbyt szybko zaprotestował.

– A ja tak – powiedział Loman, ładując broń. – Och, Paul, czuję jak cholera. Chcę zrzucić z siebie ubranie i zmienić się, *zmienić*, po prostu biegać wyzwolony. Wędrować z nimi, polować, zabijać i szaleć.

– Ja nie, nie, nigdy – oponował Amberlay.

– Kłamca – stwierdził Loman i strzelił z bliska, rozwalając mu głowę.

Nie mógł zaufać młodemu funkcjonariuszowi, obrócić się do niego plecami, gdy ten czuł tak silne pragnienie regresji, słysząc wabiącą pieśń.

Gdy wpychał do kieszeni pociski na zapas, ze szkoły dobiegł go odgłos strzałów.

Zastanawiał się, który strzelał, Booker czy Shaddack. Z całych sił tłumiąc szalejący w nim strach i przemożną chęć zrzucenia ludzkiej postaci wszedł do środka, by poznać ofiarę strzelaniny.

Tommy Shaddack usłyszał kolejny wystrzał, ale nie zwrócił nań uwagi. W końcu to była wojna, wystarczyło po prostu posłuchać krzyków dobywających się z gardeł bojowników, niesionych echem od wzgórz aż do morza. Skoncentrował się na obcych przybyszach w szkole, ponieważ wiedział, że kobieta musi być tą suką o nazwisku Lockland, a dziewczynka to Chrissie Foster, choć nie pojmował jakim cudem są razem.

Wojna. Więc postępował tak, jak żołnierze na dobrych filmach, otwierający kopniakiem drzwi i strzelający do środka, zanim przekroczyli próg. Nikt nie krzyknął. Pomyślał, że spudłował, więc wypalił jeszcze raz, i znów cisza. Wywnioskował, że już uciekli. Wszedł i odszukał po omacku kontakt. Zapaliwszy światło zobaczył pustą salę koncertową.

Najwidoczniej wydostali się przez jedne z dwojga drzwi. Zrozumiawszy to rozgniewał się, naprawdę wkurzył się. Tylko raz w życiu użył broni, gdy zabił Indianina z rewolweru ojca, ale wtedy strzelał z bliska, więc trafił. Wciąż wierzył, że będzie *dobrze* strzelał. W końcu, na litość boską, obejrzał mnóstwo filmów wojennych, westernów, seriali policyjnych w TV i nie wydawało się to trudne. Zwyczajnie celowało się i pociągało za spust. Cóż, widać mylił się, toteż ogarnęła go wściekłość. Dlaczego było to takie łatwe w kinie i kretyńskiej TV, gdy w rzeczywistości broń podskakiwała w rękę jak żywa.

Teraz już wiedział, jak to jest, więc rozstawi szeroko nogi i przygotowuje się odpowiednio, aby nie wybijać dziur w suficie czy podłodze. Następnym razem przygwoździ ich na dobre i pożałują, że zmusili go do pościgu, a nie położyli się po prostu i umarli, gdy *chciał* tego.

Znaleźli się w hallu, gdzie było dziesięć dźwiękoszczelnych pokoi, w których uczniowie rzępolili całymi godzinami, nikomu nie przeszkadzając. Tessa pchnęła drzwi na końcu tego wąskiego korytarza i w nikłym świetle latarki zobaczyła salę równie dużą jak koncertowa, także z podium dla orkiestry. Napis na ścianie, sporządzony ręką jakiegoś ucznia, uzupełniony rysunkiem śpiewających skrzydlatych aniołów głosił, że to siedziba Najlepszego w Świecie Chóru.

Gdy Chrissie i Sam weszli za Tessą, w oddali zagrzmiął wystrzał.

Wydawało się, że dobiega z zewnątrz.

Zamknęli drzwi i usłyszeli kolejne huki, już bliżej, prawdopodobnie przy wejściu do sali koncertowej.

W tym pokoju było również dwoje drzwi, ale jedne prowadziły do gabinetu dyrektora chóru.

Rzucili się więc do drugich. Wskoczyli na korytarz oświetlony jedynie czerwonym neonem z napisem SCHODY, co oznaczało, że jest to wewnętrzna klatka schodowa bez wyjścia na zewnątrz.

– Weź ją na górę – Sam ponaglił Tessę.

– Ale...

– Szybko! Wchodzą na parter prawdopodobnie wszystkimi wejściami.

– A ty...

– Postoję tu chwilę – powiedział.

Drzwi do sali otworzyły się z impetem i natychmiast padły strzały.

– Uciekajcie – wyszeptał Sam.

Harry usłyszał skrzypnięcie drzwi garderoby. Na strychu było zimno, ale pot lał się po nim strumieniami, jakby siedział w saunie. Chyba niepotrzebnie włożył dwa swetry. Odejdźcie, myślał, odejdźcie.

Do diabła, nie, no dalej, chodźcie tu. Sądzicie, że chcę żyć wiecznie?

Sam przyklęknął na jedno kolano, bowiem ta pozycja ułatwiała mu celowanie osłabionym prawym nadgarstkiem. Uchylił drzwi na sześć cali i obydwie dłonie wysunął przez szczelinę, podpierając prawą dłoń z bronią drugą ręką.

W blasku dochodzącym z korytarza dostrzegł tego faceta w głębi sali. W jego postaci było coś znajomego.

Uzbrojony człowiek nie widział Sama. Przezornie walił na oślep gradem kul. W końcu suchy trzask rozniósł się po pomieszczeniu. Koniec amunicji.

Sam zmienił plany. Zerwał się na równe nogi i rzucił z powrotem do sali. Nie mógł czekać, aż facet zapali światło i naładuje karabin. W biegu opróżnił swoją trzydziestkęósemkę, starając się za wszelką cenę trafić. Mężczyzna przy drzwiach pisnął. Boże, pisnął jak dzieciak wysokim i drżącym głosem, znikając w korytarzu.

Sam posuwał się do przodu, chwytając lewą ręką zapasowe ładunki z kieszeni, a prawą wytrząsał łuski z bębena. Gdy dotarł do zamkniętych drzwi, za którymi zniknął wysoki mężczyzna, przycisnął się plecami do ściany i załadował rewolwer.

Kopnąwszy drzwi zajrzał do hallu oświetlonego neonówkami.

Pusto.

Ani kropli krwi na podłodze.

Cholera. Prawa dłoń zdrętwiała mu. Czuł jak nadgarstek puchnie pod bandażem, przesiąkniętym świeżą krwią. Wziąwszy pod uwagę, że z każdą minutą coraz gorzej strzelał, musiałby poprosić tego drania, żeby chwycił lufę między zęby, wtedy z pewnością trafiłby go.

Pięć pokoi ćwiczeń po każdej stronie hallu było zamkniętych, a światło paliło się jedynie w pomieszczeniu na końcu korytarza. Może tam skrył się przybysz. Ale gdziekolwiek był, zapewne wpakował już kilka pocisków w strzelbę, więc odpowiedni moment na pościg minął.

Sam cofnął się, zwalniając drzwi między hallem a salą chóru. W ostatniej chwili przed zamknięciem mignął mu wysoki człowiek w progu sali koncertowej.

To pojawił się sam Shaddack.

Zabrzmiała kanonada.

Dźwiękoszczelne drzwi zatrzasnęły się w krytycznym momencie. Były dostatecznie grube, by zatrzymać pociski.

Sam wpadł do hallu i skierował się na schody, gdzie wcześniej wysłał Tessę z Chrissie.

Znalazł je w korytarzu na piętrze pod kolejnym czerwonym neonem: SCHODY.

Na klatkę schodową wszedł Shaddack.

Sam stanął na pierwszym stopniu, wychylił się przez poręcz i zauważywszy sylwetkę prześladowcy, wystrzelił dwa razy.

Ten znów pisnął jak chłopiec i schronił się przy ścianie, z dala od otwartej przestrzeni, gdzie był widoczny.

Sam nie wiedział, czy trafił. Może. Ale *na pewno* nie zranił go śmiertelnie. Shaddack wciąż pokonywał stopień po stopniu, trzymając się blisko ściany. A gdy już dotrze do pierwszego podestu, zbliży się nagle do poręczy i strzeli do nich.

Sam wycofał się bezgłośnie do hallu. Czerwony napis SCHODY odbijał się na twarzach Chrissie i Tessy krwawym blaskiem.

Pobrzękiwanie. Szuranie.

Brzdęk – szur. Brzdęk – szur.

Harry wiedział, że to odgłos wieszaków na ubrania przesuwanych po metalowym drągu.

Jak na to wpadli? Niech to diabli, pewnie go wywąchali. W końcu pocił się jak koń. Może konwersja wyostrzyła ich zmysły.

Pobrzękiwanie i szuranie ustały.

W chwilę później usłyszał, jak usuwają pręt na wieszaki, by opuścić klapę.

Blednące światło latarki migąło bezustannie, więc Tessa potrząsnęła nią, by poruszyć baterie i zyskać kilka sekund słabego blasku.

Z hallu weszli do laboratorium chemicznego z czarnymi marmurowymi stołami, stalowymi zlewami i wysokimi drewnianymi taboretami. Żadnej osłony. Wyjrżeli przez okna z nadzieją, że jest pod nimi jakiś dach. Nie. Dwupiętrowy goły mur, aż do betonowego chodnika.

Przez drzwi przy końcu laboratorium wkroczyli do magazynku o powierzchni dziesięciu stóp kwadratowych, pełnego chemikaliów w zapieczętowanych pojemnikach i butelkach, z etykietami o trupich czaszkach albo czerwonym napisem: NIEBEZPIECZEŃSTWO. Przypuszczała, że można by ich użyć jako broni, ale nie mieli czasu na szukanie odpowiednich substancji. Poza tym, nigdy nie była dobrą uczennicą z nauk przyrodniczych, nic nie pamiętała z chemii i zapewne wysadziłaby się w powietrze po otwarciu pierwszej z brzegu butelki. Z wyrazu twarzy Sama domyśliła się, że on też nie widzi możliwości wykorzystania tych chemikaliów.

Tylne drzwi schowka prowadziły do pracowni biologicznej. Na ścianach wisiały przekroje anatomiczne. Tu również nie znaleźli kryjówek.

Przyciskając Chrissie do boku, Tessa wyszeptała do Sama:

– Co teraz? Czekać tu z nadzieją, że nas nie znajdzie... czy iść dalej?

– Sądzę, że bezpieczniej będzie wynieść się – odpowiedział. – Jeśli zostaniemy, może nas zaskoczyć.

Zgodziła się.

Ruszył przodem między stołami w stronę drzwi do hallu.

Z tyłu, gdzieś w ciemnym magazynie lub laboratorium chemicznym, rozległ się cichy, ale wyraźny *trzask*.

Sam przepuścił Chrissie i Tessę obserwując wyjście z magazynu.

Tessa podeszła do drzwi na korytarz i przekręciwszy powoli gałkę ostrożnie je pchnęła.

Z mroku wynurzył się Shaddack wciskając jej lufę karabinu w żołądek.

– Będzie ci naprawdę przykro – powiedział podniecony.

Opuścili klapę. Snop światła z garderoby dotarł aż do belek sufitu, ale nie rozjaśnił odległego kąta, w którym siedział Harry.

Bezwładną dłoń ułożył na udzie, a sprawną zawzięcie ścisnął pistolet.

Serce waliło mu mocniej i szybciej niż kiedykolwiek w minionych dwudziestu latach od czasu walk w Południowo-Wschodniej Azji.

Czuł skurcz w żołądku. Gardło miał tak ściśnięte, że z trudem oddychał. Ze strachu kręciło mu się w głowie. Ale, jak Bóg na niebie, z pewnością czuł się żywy.

Rozległy się zgrzyty i trzaski. Rozkładali drabinę.

Tommy Shaddack wpakował jej lufę w brzuch, prawie wypruwając wnętrzności, nim uświadomił sobie, że była *ładna*, i wówczas już nie chciał jej zabić, przynajmniej nie od razu. Przedtem każe jej robić z nim pewne rzeczy, a raczej robić te pewne rzeczy *jemu*. Wszystko, czego tylko zapagnie, cokolwiek powie, albo rozgniecie ją o ścianę. Tak, należała do niego, i lepiej żeby to sobie uświadomiła albo pożałuje, gdyż sprawi, że będzie jej naprawdę przykro.

Potem zauważył Chrissie przy jej boku, ładną, *małą* dziewczynkę, która podnieciła go jeszcze bardziej. Więc weźmie ją najpierw, później tę starszą, w dowolny, wyrafinowany sposób, a potem skończy z nimi. Takie miał prawo, nie mogli mu się przeciwstawić, nie jemu, ponieważ cała władza spoczywała teraz w jego ręku, przecież widział Księżycowego Jastrzębia *trzy* razy.

Wtargnął do sali z bronią wciśniętą w brzuch kobiety, ona zaś cofała się ciągnąc dziewczynkę.

Za nimi stał przerażony Booker. Tommy Shaddack powiedział:

– Rzuć pistolet i odsuń się albo rozwalę tę sukę na miazgę, słowo daję, więc radzę ci pospieszyć się.

Booker zawahał się.

– Rzuć to – nalegał Shaddack.

Agent wypuścił z ręki rewolwer i odszedł na bok.

Lufą Remingtona popychał kobietę do kontaktu, aż zapaliła światło.

– W porządku – stwierdził – a teraz siadajcie wszyscy na taboretach przy stole laboratoryjnym, tak, właśnie tam i bez żadnych kawałów.

Trzymał ich na muszce. Wyglądali na wystraszonych i to go rozbawiło.

Był coraz bardziej podekscytowany. Zdecydował, że zabije Bookera na oczach kobiety i dziewczynki, powoli, najpierw strzeli mu w nogi i pozwoli, żeby wił się na podłodze chwilę. Potem trafi w brzuch, ale nie wykończy go od razu, tylko zrani. Niech kobieta i dziewczynka patrzą, on im pokaże, jaki to z niego gość, jaki cholerny twardziel. One zaś okażą wdzięczność, że oszczędził je, wdzięczność tak wielką, iż padną na kolana i pozwolą, by *robił* z nimi wszystko, co chce, czego odmawiał sobie przez trzydzieści lat. By wypuścił z siebie parę, zbierającą się w nim przez te lata, tu, tego wieczoru...

Z zewnątrz przez otwory wentylacyjne w okapach dobiegało na strych niesamowite wycie, najpierw pojedyncze, potem chór.

Brzmiało tak, jakby otwarły się na oścież bramy piekieł, a stwory z otchłani zalały Moonlight Cove.

Harry martwił się o Sama, Tessę i Chrissie.

Ludzie z zespołu dokonującego konwersji umocowali już drabinę. Jeden z nich wspinał się na strych.

Harry zastanawiał się, jak wyglądają. Czy to po prostu zwykli ludzie? – Stary doktor Fitz ze strzykawką i dwoma zastępcami szeryfa do pomocy? A może są ludźmi-maszynami, o których mówił Sam?

W otwartym włazie pokazał się doktor Worthy, najmłodszy lekarz w mieście.

Harry zastanawiał się, czy strzelić do niego, gdy ten stał jeszcze na drabinie. Ale nie używał broni od dwudziestu lat i nie chciał marnować cennej amunicji. Lepiej poczekać, aż zbliży się.

Worthy nie potrzebował latarki. Od razu spojrzał w najciemniejszy kąt, gdzie siedział Harry oparty o ścianę.

– Skąd wiedziałeś, że przyjdziemy, Harry?

– Intuicja kaleki – odpowiedział z sarkazmem.

Pośrodku strychu było na tyle wysoko, że Worthy wyprostował się. Wówczas Harry strzelił do niego dwukrotnie.

Za pierwszym razem chybił, ale druga kula trafiła w klatkę piersiową.

Worthy zwałił się ciężko na gołe deski. Leżał chwilę wstrząsany drgawkami, następnie usiadł, zakaszłał i podniósł się na nogi.

Na rozerwanej białej koszuli widniała krew. Tak poważnie ranny, a jednak wyzdrowiał w kilka sekund.

Harry przypomniał sobie, co Sam mówił o Coltrane'ach. *Rozwał ich procesory.*

Wycelował w głowę i znów wypalił dwa razy, ale strzelając z odległości około dwudziestu pięciu stóp pod fatalnym kątem, musiał chybić. Zawahał się. W magazynku zostały tylko cztery naboje.

Przez właz wchodził następny człowiek.

Harry strzelił, próbując strącić go w dół.

Tamten szedł dalej, niewzruszony.

Trzy ostatnie naboje.

Doktor Worthy odezwał się z bezpiecznej odległości:

– Harry, nie chcemy cię skrzywdzić. Projekt to niezła rzecz...

Głos mu zamarł. Przechylił głowę, jakby nasłuchiwał tych dzikich nawoływań wypełniających noc. Po twarzy przemknął mu dziwny wyraz tęsknoty, widoczny nawet w słabym świetle z włazu.

Otrząsnął się. Przypomniawszy sobie, że próbował sprzedać cudowny eliksir opornemu klientowi.

– To niezła rzecz, Harry. Zwłaszcza dla ciebie. Zacznesz chodzić. Znów będziesz pełnosprawny, gdyż po Zmianie twoje ciało zregeneruje się. Uwolnisz się od paraliżu...

– Dzięki. Nie za tę cenę.

Worthy wznosił ręce ku górze.

– Spójrz na mnie. Jaką cenę zapłaciłem, Harry?

– Może cenę duszy? – spytał.

Po drabinie wspinał się trzeci mężczyzna.

Ten drugi cały czas nasłuchiwał płaczliwych jęków, docierających na strych przez otwory wentylacyjne. Zaciśnął zęby i szybko mrugał powiekami. Zakrył dłońmi twarz, jakby ogarnął go gwałtowny żal.

– Vanner, dobrze się czujesz? – spytał zaniepokojony Worthy.

Dłonie Vannera... zmieniły się. Nadgarstki nabrzmiały, palce wydłużyły się, a pod skórą rysowały się kości. Wszystko to trwało parę sekund. Gdy odjął ręce od twarzy, ukazała się szczeka wysunięta do przodu, jak u wilkołaka. Koszula pękła w szwach, gdy ciało zmieniło kształt. Zawarczał i błysnął zębami.

– ...*potrzebować* – wycharczał – ...*potrzebować, potrzebować, chcieć, potrzebować*.

– Nie – krzyknął Worthy.

Trzeci człowiek potoczył się po podłodze, przybierając jakąś owadzią, potwornie odrażającą postać.

Harry odruchowo opróżnił trzydziestkęósemkę strzelając do owadziej istoty, odrzucił broń na bok, chwycił rewolwer, znowu wypalił trzy razy i trafił w głowę. Stwór zaczął wierzgać, drgać, aż spadł w dół przez właz i już nie wrócił.

Vanner upodobił się do wilkołaka. Wzorował się chyba na jakimś filmie, ponieważ jego wygląd wydawał się Harry'emu znajomy, jakby również oglądał ten film, ale teraz nie pamiętał tytułu. Vanner wrzasnął przenikliwie, odpowiadając istotom, których krzyki rozdzierały nocną ciszę.

Szarpiąc szaleńczo ubranie Worthy też zmieniał się w bestię, ale całkiem inną niż jego towarzysze. Było to jakieś groteskowe wcielenie obłąkańczych pragnień.

Harry'emu zostały tylko trzy pociski, z których jeden musiał zachować dla siebie.

Po przeżyciach w kanale Sam obiecał sobie, że nauczy się przegrywać, co nie wydawało się takie dobre w obecnej sytuacji.

Nie mógł zawieść, nie teraz, gdy odpowiadał za Tessę i Chrissie.

W ostateczności rzuci się na Shaddacka, gdy zauważy, że ten chce pociągnąć za spust.

Ale Shaddack wyglądał i zachowywał się jak szaleniec, więc mógł strzelić nieoczekiwanie w trakcie jednego z tych piskliwych, nerwowych chłopięcych wybuchów śmiechu.

– Zejdź ze stołka – zwrócił się do Sama.

– Co?

– Słyszysz dobrze, cholera, złaź. Kładź się, tam, albo pożałujesz jak diabli – wskazał miejsce końcem lufy. – No rób, co każę, *już*.

Sam wiedział, że ten obłąkaniec chce odseparować go od Chrissie i Tessy tylko po to, by go zastrzelić.

Jednak po chwili wahania spełnił żądanie, gdyż nie miał wyjścia. Przecisnął się między dwoma stołami i stanął na otwartej przestrzeni.

– Padnij – rozkazał Shaddack – chcę widzieć, jak płaszczysz się na podłodze.

Sam przyklęknął i wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki. Wyciągnął metalową płytkę, przy pomocy której otworzył zamek w domu Coltrane'ów, i odrzucił ją błyskawicznie.

Płytką przemknęła tuż nad podłogą w kierunku okna, aż trzasnęła w taboret i odbiła się z brzękiem od stołu.

Szaleniec skierował lufę Remingtona w stronę, skąd dobiegł hałas.

Z okrzykiem wściekłości zdeterminowany Sam runął na Shaddacka.

Tessa odciągnęła dziewczynkę od walczących mężczyzn pod ścianę blisko wyjścia. Miała nadzieję, że znalazły się poza linią ognia.

Sam dopadł broni, zanim Shaddack zdołał ochłonąć. Chwycił lufę lewą ręką, a słabszą pchnął go do tyłu, aż ten uderzył z impetem o stół laboratoryjny.

Krzyknął z bólu, a Sam mruknął z satysfakcji, jakby i *on* zmieniał się w stwora wyjącego po nocy.

Tessa zobaczyła, jak z całej siły kopnął Shaddacka prosto w krocze. Mężczyzna zawył.

– *Dobrze* – stwierdziła Chrissie z radością.

Gdy Shaddack dławił się, jęczał i skręcał bezwiednie z bólu, Sam wyrwał mu strzelbę i cofnął się o krok... Wówczas do pomieszczenia wszedł człowiek w policyjnym mundurze z karabinem w ręku.

– Nie! Rzuć broń. Shaddack jest *mój*.

Istota, która niegdyś była Vannerem, ruszyła do Harry'ego warcząc, a z pyska ciekła żółtawa ślina. Harry wypalił celnie dwa razy, ale nie zabił jej. Rany zamykały się na jego oczach. Został ostatni nabój.

...potrzebować, potrzebować...

Wsadził lufę swojej czterdziestkapiątki w usta, krztusząc się od rozgrzanej strzałami stali.

Odrażająca, wilkowata istota górowała nad nim. Miała ogromny łeb, nieproporcjonalny do reszty ciała, z wielką paszczą, z której wystawały nie wilcze, ale zakrzywione kły rekina. Vanner najwyraźniej chciał przekształcić się w coś bardziej morderczego i niszczycielskiego, niż kiedykolwiek śniła natura.

Gdy nachylił się, by go ukąsić, Harry wyciągnął rewolwer z ust. – Nie, do diabła – i strzelił straszliwej bestii w łeb. Przewróciła się, upadła z łoskotem do tyłu i znieruchomiła.

Wykończ jej procesor.

Harry'ego ogarnęło krótkotrwałe uniesienie. Odmieniony Worthy oszalał widząc tę masakrę, podjudzany jeszcze nasilającymi się wrzaskami na zewnątrz. Obrócił płonące oczy na Harry'ego, a czał się w nich niehumaniczny głód.

Koniec naboju.

Sam stał dokładnie naprzeciwko broni trzymanej przez policjanta, bez możliwości manewru. Musiał odrzucić Remingtona, którego odebrał Shaddackowi.

– Jestem po waszej stronie – powiedział policjant.

– Nikt z was nie sprzyja nam – stwierdził Sam.

Shaddack łapiąc ustami powietrze próbował wyprostować się. Patrzył na funkcjonariusza z przerażeniem i wstrętem zarazem.

Z dziką premedytacją, jakiej Sam nigdy nie widział, bez cienia jakiegokolwiek emocji, nawet gniewu, policjant wycelował w obojętnego Shaddacka i wystrzelił cztery razy. Ten przeleciał nad dwoma stołkami i walnął w ścianę, niczym porażony przez potężnego giganta.

Policjant, odrzuciwszy broń, szybko podszedł do martwego mężczyzny. Rozdarł bluzę dresu i zerwał mu z szyi dziwny prostokątny medalion, zawieszony na złotym łańcuchu.

Trzymając w górze ten zagadkowy przedmiot oznajmił:

– Shaddack nie żyje. Bicie serca nie jest już transmitowane, więc Słońce realizuje teraz końcowy program. Za pół minuty zaznamy ukojenia. Nareszcie.

W pierwszej chwili Sam pomyślał, że wszyscy wkrótce umrą, bo zabije ich ten dziwny amulet, może to jakaś bomba albo coś w tym rodzaju. Cofnął się szybko w stronę drzwi i zobaczył, że Tessa najwidoczniej ma te same obawy.

Jak na bombę była niezwykle cicha i o podejrzenie małym zasięgu rażenia, gdyż policjant tylko wyszeptał błagalnie „Boże” i padł martwy. Prawdziwej przyczyny tej śmierci Sam nie poznał.

Sama zdziwiła niezwykła cisza, gdy wyszli przez tylne drzwi, którymi dostali się do szkoły. Przerażliwie krzyki regresywnych nie rozbrzmiewały już echem w spowitym mgłą mieście.

W stacyjce furgonetki tkwiły kluczyki.

– Prowadź – powiedział do Tessy.

Pierwszy raz miał tak spuchnięty nadgarstek, a rwący ból przenikał każde włókno ciała.

Usadowił się na miejscu pasażera.

Chrissie skuliła się na jego kolanach i Sam objął ją ramionami. Milczała, co było niezwykle. Co prawda niemal mdlała z wyczerpania, ale Sam wiedział, że jej milczenie nie wynika tylko ze zmęczenia.

Tessa zatrzasnęła drzwi i włączyła silnik. Nie musiał jej mówić, dokąd jechać.

Wracając do domu Harry'ego zauważyli, że ulice zasłane są trupami. Nie były to ciała zwyczajnych mężczyzn i kobiet – co w pełni ukazały światła samochodu – ale fantasmagorycznych istot z obrazów Hieronima Boscha. Powoli wymijała je i kilka razy musiała wjechać aż na chodnik, by ominąć większą grupę, która padła razem, najwidoczniej powalona przez tę samą tajemniczą siłę, która odebrała życie policjantowi.

Shaddack nie żyje... Bicie serca nie jest już transmitowane, więc Słońce realizuje teraz końcowy program...

Po chwili Chrissie przytuliła się do Sama, nie chcąc patrzeć przez szybę.

Powtarzał sobie, że martwe istoty są fantomami i nic takiego nie mogło żyć, nawet przy zastosowaniu supertechniki czy magii. Spodziewał się, że znikną, ilekroć mgła na chwilę zakrywała je, ale gdy odpłynęła, wciąż leżały poskręcane na jezdni, chodnikach, trawnikach.

Znajdując się w centrum tego horroru i brzydoty nie mógł sobie darować, że stracił najwspanialsze lata życia w smutku, nie dostrzegając piękna świata. Był wyjątkowym głupcem. Z nowym dniem już nigdy nie ominie obojętnie cudownego kwiatu, którego stworzenie przekraczało ludzkie możliwości.

– Powiesz mi teraz? – spytała Tessa, gdy znaleźli się w pobliżu domu Harry'ego.

– Co?

– O doświadczeniu ze śmiercią. O tym, co widziałeś po Drugiej Stronie śmiertelnie wystraszony.

Roześmiał się nerwowo.

– Byłem idiotą.

– Zapewne – stwierdziła. – Ale opowiedz mi o wszystkim i pozwól, że sama ocenię.

– Cóż, trudno mówić o tym wprost. To było raczej *rozumienie* niż widzenie, postrzeganie duchowe, a nie wizualne.

– Więc co rozumiałeś?

– Że opuszczamy ten świat – powiedział – i potem istnieje drugie życie na innej płaszczyźnie, życie po życiu na nieskończonej liczbie płaszczyzn... albo że odradzamy się na tej samej płaszczyźnie, po prostu ulegamy reinkarnacji. Nie jestem pewien, o którą z tych możliwości chodziło, ale czułem to głęboko, *wiedziałem*, gdy dotarłem do końca tunelu i zobaczyłem olśniewające światło.

Zerknęła na niego.

– I *właśnie* to cię przeraziło?

– Tak.

– Że żyjemy ponownie?

– Tak. Ponieważ życie wydawało mi się takie ponure, rozumiesz, było po prostu serią tragedii, zwykłego bólu. Nie potrafiłem docenić jego piękna, radości, więc wolałem żyć, by nie męczyć się od nowa. W *tym* życiu stałem się przynajmniej twardy, odporny na cierpienie, co było lepsze, niż rozpoczynanie od dziecka w jakimś nowym wcieleniu.

– Więc czwartym powodem, dla którego warto żyć, nie był strach przed śmiercią?

– Strach przed ponownym życiem.

Chrissie wierciła się przez sen na jego kolanach. Głaskał jej wilgotne włosy.

Wreszcie powiedział:

– Teraz znów *pragnę* żyć.

Harry usłyszał hałas na dole – odgłos windy, potem jakieś osoby kręciły się w sypialni na drugim piętrze. Zesztywniał, bo wydawało mu się, że dwa cuda nie zdarzają się naraz, ale wtedy usłyszał, że Sam woła go z garderoby.

– W porządku! Nic mi nie jest.

W chwilę później Sam wspiął się na strych po drabinie.

– Tessa? Chrissie? – spytał Harry niespokojnie.

– Są na dole. Obydwie czują się dobrze.

– Dzięki Bogu – wydał z siebie długie westchnienie, jakby wstrzymywał je przez godziny. – Spójrz na te potwory, Sam.

– Lepiej nie.

– Może Chrissie miała rację, mówiąc o najeźdźcach z kosmosu.

– To było coś bardziej niezwykłego.

– Co? – spytał, gdy Sam uklęknął i ostrożnie zepchnął mu z kolan znieruchomiłe ciało Worthy'ego.

– Do czarta, nie wiem i wcale nie chcę wiedzieć.

– Nastaje era, w której tworzymy rzeczywistość, nieprawdą? W coraz większym stopniu nauka daje nam taką możliwość. Kiedyś tylko szaleńcy byli do tego zdolni.

Sam milczał.

Harry ciągnął:

– Może ingerencja w świat zewnętrzny nie jest zbyt mądra. Może najlepszy jest naturalny porządek świata.

– Może. Z drugiej strony on też jest niedoskonały. Sądzę, że musimy próbować i tylko pokładać nadzieję w Bogu, że nie zajmują się tym tacy jak Shaddack. Dobrze czujesz się, Harry?

– Całkiem nieźle, dzięki – uśmiechnął się. – Z wyjątkiem tego, oczywiście, że wciąż jestem kaleką. Widzisz ten ciężki zewłok, który kiedyś był Worthym? Chciał rozerwać mi gardło, nie miałem nabozi, właśnie przysuwał szpony do mojej szyi i nagle padł martwy, bach. Cud, czy co?

– Cud w całym mieście – powiedział Sam. – Zdaje się, że wszyscy umarli razem z Shaddackiem... byli jakoś powiązani. Dobra, trzeba cię ściągnąć na dół z tego bałaganu.

– Zabili Moose'a, Sam.

– Akurat. A nad kim skaczą Tessa i Chrissie?

Harry osłupiał.

– Ale słyszałem...

– Wygląda na to, że ktoś kopnął go w łeb, aż ma krwawą ranę. Padł bez przytomności, ale wątpię, by doznał wstrząsu mózgu.

Chrissie jechała w tylnej części furgonetki z Harrym i Moose'em. Harry obejmował ją zdrową ręką, a pies trzymał łeb na jej kolanach. Czuła się już lepiej. Zmieniła się i może nigdy nie będzie dawną Chrissie, ale zdecydowanie miała lepsze samopoczucie.

Zmierzali do parku u szczytu Ocean Avenue na wschodnim krańcu miasta. Tessa przejechała przez krawężnik, trzęsąc pasażerami i zaparkowała na trawie.

Sam otworzył tylne drzwi, więc Chrissie i Harry, zawinięci w koce, patrzyli, jak on z Tessą pracują.

Sam śmieiej chyba niż dzielna Chrissie wkroczył na pobliskie posesje omijając martwe istoty i uruchamiał samochody zaparkowane wzdłuż chodników. Potem razem z Tessą wjechali nimi do parku tworząc ogromny krąg z światłami skierowanymi do środka.

Ten świetlisty krąg wskaże we mgle lądowisko helikopterom z oddziałów specjalnych FBI. Oświetlony przez reflektory dwudziestu samochodów był jasny jak słoneczne południe.

Chrissie spodobała się ta jasność.

Tymczasem na ulicach pojawili się ludzie, żywi ludzie i w ogóle wyglądali dziwnie bez kłów, żądeł i szponów, na dodatek w pozycji wyprostowanej. Wyglądali zupełnie normalnie. Ale Chrissie przekonała się już, że wygląd nie do końca świadczy o człowieku, ponieważ w środku można być wszystkim; czymś, co zdumiałoby nawet wydawców *National Enquirer*.

Nie można być pewnym nawet własnych rodziców.

Nie chciała o tym myśleć.

Nie *odważyła się* myśleć o ojcu i matce. Wiedziała, że ludzi się płoną nadzieją, iż uratowali się, mimo to pragnęła w to wierzyć jeszcze jakiś czas.

Ludzie, którzy pojawili się na ulicach, zmierzali do parku. Tessa i Sam kończyli ustawiać samochody. Przybysze wyglądali na oszołomionych. Im bliżej podchodzili, tym Chrissie bardziej denerwowała się.

– Wszystko w porządku – zapewnił Harry, otaczając ją zdrowym ramieniem.

– Skąd ta pewność?

– Przecież są kurewsko przestraszeni. O rany. Może nie powinienem uczyć cię brzydkich słów.

– Nie ma nic złego w słowie kurewski – uspokoiła go.

Moose pisnął i przesunął się na jej kolanach. Prawdopodobnie bolał go łeb tak mocno, jak mistrzów karate głowa po rozbiciu nią stosu cegieł.

– No więc – powiedział Harry – spójrz na nich, są przerażeni, więc chyba należą do naszego gatunku. Czy widziałaś, by któryś z tamtych bał się?

Zastanawiała się nad tym chwilę.

– Owszem, ten policjant, który zastrzelił Shaddacka w szkole. Nigdy u nikogo nie widziałam w oczach tyle strachu, co u niego.

– Cóż, ci ludzie są w porządku – powtórzył Harry. – Na pewno byli przeznaczeni do konwersji przed północą, ale nikt do nich nie dotarł. Inni pewnie siedzą zabarykadowani w domach i boją się wyjść, myślą, że cały świat oszalał i tak jak i ty wyobrażają sobie, że to inwazja kosmitów. Poza tym jako odmieńcy śmiało podchodziliby do nas. W podskokach wpadliby tutaj i zjedli nasze nosy, i wszystkie inne części ciała, które uznaliby za wyjątkowe delikatesy.

To wyjaśnienie przemówiło do niej, nawet uśmiechnęła się i trochę odprężyła.

Chwilę później Moose uniósł raptownie łeb, zeszywniał i zerwał się.

Ludzie zbliżający się do furgonetki krzyczeli zdumieni i przerażeni, a Chrissie usłyszała słowa:

– Co jest, do jasnej cholery?

Odrzuciwszy ciepły koc wysiadła, by zobaczyć, co się dzieje.

– Coś nie w porządku? – spytał Harry, choć dopiero co próbował ją uspokoić.

Wówczas ujrzała zwierzęta. Pędziły gromadnie przez park – myszy, brudne szczury, koty wszelkiej maści, psy i może ze dwa tuziny wiewiórek. Mnóstwo myszy, szczurów i kotów wbiegło do tego stada z ulic łączących się z Ocean Avenue. Zwierzęta gnały jak oszalałe, na złamanie karku. Przecięły park i skręciły w stronę szosy. Przypominały jej coś, o czym kiedyś czytała. Błyskawicznie przypomniała sobie: lemingi. Od czasu do czasu, gdy ich populacja rozrosła się nadmiernie, te małe stworzenia zmierzały w stronę morza i wpadając w spienione fale topiły się. Teraz te wszystkie zwierzęta zachowywały się jak lemingi. Pędziły zgodnie, nie zważając na przeszkody, przyciągane jakąś tajemną siłą.

Moose wyskoczył z furgonetki i przyłączył do pędzącego stada.

– Moose, nie! – krzyknęła.

Potknął się, jakby pod wrażeniem tego okrzyku, spojrzął za siebie, potem gwałtownie zarzucił łbem w stronę szosy i ruszył pędem.

– Moose!

Znowu potknął się i tym razem przekoziółkował, ale stanął na łapy.

Jakimś siódmym zmysłem Chrissie wyczuła, że porównanie z lemingami ma sens, że te zwierzęta, choć oddalały się od morza, pędzą po śmierć.

Musi zatrzymać Moose'a.

Pies biegł przed siebie.

Pognała za nim.

Była wycieńczona, czuła ból w każdym mięśniu i stawie, ale znalazła w sobie siłę woli, by ścigać psinę, ponieważ chyba nikt inny nie rozumiał, że Moose i te wszystkie zwierzaki zginą. Tessa i Sam, choć inteligentni, nie pojęli, co się dzieje. Bezmyślnie gapili się na ten spektakl. Więc Chrissie podparła się pod boki, napięła mięśnie nóg i pobiegła tak szybko, jak tylko potrafiła. – *Najmłodsza w świecie Mistrzyni Maratonu Olimpijskiego okrąży stadion, a publiczność wiwatuje z trybun: Chrissie, Chrissie, Chrissie, Chrissie...* – myślała w duchu. Biegając krzyczała na Moose'a, by zatrzymał się. Pies, słysząc swoje imię, potykał się i wahał, dzięki czemu zmniejszył się dzielący ich dystans. Na skraju parku Chrissie omal nie runęła do głębokiego przydrożnego rowu. Przeskoczyła w ostatniej chwili tylko dlatego, że nie odrywała wzroku od Moose'a i widziała, jak dał susa przez coś. Gdy Moose kolejny raz zwolnił słysząc swoje imię, Chrissie złapała go za obrozę. Zawarczał i kłapnął na nią zębami.

– Moose – powiedziała z wyrzutem, by go zawstydzić. Ten jedyny raz próbował ją ugryźć, chcąc za wszelką cenę wyrwać się. Resztkami sił przytrzymała go, mimo to ciągnął ją kilkadziesiąt stóp wzdłuż drogi. Potem ogromne łapy skrobały w miejscu o asfalt, gdy usiłował biec za stadem znikającym w nocy i mgle.

Do Chrissie dołączyli Tessa i Sam.

– Co się dzieje? – spytał Sam.

– Pędzą po śmierć – wyjaśniła. – Nie mogłam pozwolić, by Moose pognał z nimi.

– Po śmierć? Skąd wiesz?

– Nie wiem. Ale... po cóż innego by biegły?

Stali chwilę na zamglonej i ciemnej drodze, wypatrując zwierząt w ciemności.

Tessa powiedziała:

– Rzeczywiście, po cóż innego?

Mgła zrzędała nieco, ale widoczność wciąż była ograniczona do ćwierć mili. Sam usłyszał helikoptery tuż po dziesiątej, stojąc wraz z Tessą w środku koła utworzonego z samochodów. Ponieważ dźwięk rozpraszał się we mgle, nie wiedział, z której strony zbliżają się. Domyślał się tylko, że lecą od południa wzdłuż wybrzeża, z dala od wzgórz, niebezpiecznych we mgle. Choć wyposażone w najbardziej wyrafinowany sprzęt mogłyby lecieć na oślep. Piloci unosząc się na wysokość pięciuset stóp z powodu złej pogody mieli okulary noktowizyjne.

Ponieważ FBI utrzymywało ściśle kontakty z siłami zbrojnymi, zwłaszcza Marines, Sam doskonale wiedział, czego może się spodziewać. Zapewne wysłano Jednostkę Rozpoznawczą typową w takich sytuacjach: helikopter C-46 z dwunastoma ludźmi z Jednostki Uderzeniowej Marines na pokładzie i dwa uzbrojone helikoptery Cobra.

Rozglądając się Tessa powiedziała:

– Nie widzę ich.

– I zobaczysz dopiero wtedy, gdy będą prawie nad nami – wyjaśnił Sam.

– Latają bez świateł?

– Nie. Są wyposażone w niebieskie światła niewidoczne z ziemi, dzięki którym widzą cholernie dobrze przez te noktowizyjne gogle.

W przypadku typowego aktu terroru, CH-46 – oficjalnie „Morski Rycerz”, ale w żołnierskim żargonie „Żaba” – wylądowałby pod eskortą Cobry na północnym krańcu miasta. Trzy czteroosobowe zespoły uderzeniowe przeczesalyby Moonlight Cove do krańca południowego, oceniając, czy konieczna jest ewakuacja.

Ponieważ jednak nie chodziło o terrorystów i – jak wynikało z informacji Sama – sytuacja była rzeczywiście wyjątkowo dziwna, podjęto bardziej otwarte działania.

Helikoptery przelatywały raz po raz nad miastem, schodząc na wysokość mniej więcej dwudziestu albo trzydziestu stóp nad koronami drzew. Chwilami błyskały ich dziwne niebieskavo-zielone światła, ale kształt i rozmiary były niewidoczne. Latały niemal bezgłośnie dzięki śmigłom z włókna szklanego, a nie metalu, więc wydawało się, że zbliżają się pojazdy kosmitów z dalekiego, o wiele dziwniejszego świata, niż rzeczywistość w Moonlight Cove.

W końcu zawisły nad oświetlonym lądowiskiem w parku. Nie wylądowały od razu. Rozganiając potężnymi śmigłami mgłę, omiatały jednocześnie reflektorami ludzi stojących poza światłem i kilka minut krążyły nad groteskowymi ciałami zalegającymi ulicę.

Wreszcie Cobry zostały w górze, a CH-46 osiadł jakby niechętnie na trawniku. Z helikoptera wyszli mężczyźni uzbrojeni w broń automatyczną, ale poza tym nie wyglądali jak żołnierze. W

związku z wiadomościami od Sama, mieli na sobie odzież chroniącą przed skażeniem biologicznym i aparaty tlenowe na plecach. Przypominali raczej astronautów, a nie Marines.

Porucznik Ross Dalgood o chłopięcej twarzy, skrzywionej za maską hełmu, podszedł prosto do Sama i Tessy, przedstawił się i przywitał, zwracając się po imieniu do Sama. Najwyraźniej znał go ze zdjęcia, jakie mu pokazano przed akcją.

– Czy istnieje biologiczne zagrożenie, agencie Booker?

– Nie sądzę – odpowiedział Sam.

– Ale nie jest pan pewien?

– Nie – przyznał.

– Stanowimy zwiad – wyjaśnił Dalgood – znacznie większe siły są już w drodze. Regularne oddziały armii i ludzie z Biura nadjeżdżają autostradą. Wkrótce tu będą.

Cała trójka przeszła między otaczającymi lądowisko samochodami i zbliżyła się do jednej z martwych istot leżących na chodniku przy parku.

– Trudno było mi w to uwierzyć, gdy patrzyłem z góry – stwierdził Dalgood.

– Niech pan lepiej uwierzy – odezwała się Tessa.

– Co to jest, u diabła? – spytał.

– Zjawy – powiedział Sam.

Tessa martwiła się o Sama. Wróciła do domu z Chrissie i Harrym o pierwszej nad ranem, po trzykrotnym przesłuchaniu przez ludzi z Marines. Choć dręczyły ich okropne koszmary, przespali się parę godzin, a Sama nie było jeszcze o jedenastej w środę, gdy kończyli śniadanie.

– Może myśli, że jest niezniszczalny – zauważyła Tessa.

– Martwisz się o niego – stwierdził Harry.

– Oczywiście, że jestem zmartwiona.

– Powiedziałem – *o niego*.

– No... nie wiem.

– A ja wiem.

– Ja też – wtrąciła Chrissie.

Wrócił o pierwszej, brudny i szary na twarzy. Przygotowała wolne łóżko ze świeżą pościelą, a on zakopał się w nim w ubraniu. Od czasu do czasu pomrukiwał i rzucał się, wołał je po imieniu i niekiedy Scotta – jakby ich szukał wędrując przez niebezpieczny i opustoszały teren.

Ludzie z FBI ubrani w odzież ochronną przyszli po niego o szóstej wieczorem. Zdołał przespać się niespełna pięć godzin. Zniknął znowu na całą noc.

Już wcześniej wszystkie ciała regresywnych zebrano z ulic, oznakowano i zapieczętowano w plastikowych workach, po czym umieszczono w lodówkach jako materiał dla specjalistów z dziedziny anatomii patologicznej.

Tej nocy Tessa i Chrissie spały w jednym łóżku. Abażur przykryły ręcznikiem, co miało zastąpić nocną lampkę, więc w pokoju panował półmrok. Chrissie powiedziała:

– Odeszli.

– Kto?

– Mama i tata.

– Tak sędzę.

– Nie żyją.

– Przykro mi, Chrissie.

– Och. Wiem, że ci przykro. Jesteś bardzo miła. – Płakała chwilę w jej ramionach.

Znacznie później, tuż przed zaśnięciem, spytała:

– Rozmawiałaś z Samem. Czy domyślają się... chodzi o te zwierzęta zeszłej nocy... dokąd one wszystkie pobieły?

– Jeszcze nie wiedzą – odpowiedziała.

– To mnie niepokoi.

– Mnie też.

– Chodzi mi o to, że nie wiedzą.

– Zgadza się z tobą – wyjaśniła.

Do czwartku rano zespoły techników z Biura i konsultantów z zewnątrz przejrzały dostatecznie dużo danych o Księżycowym Jastrzębiu zawartych w Słońcu, by stwierdzić, że Projekt dotyczył implantacji niebiologicznego mechanizmu kontrolnego, wywołującego głębokie zmiany psychofizyczne ofiar, ale nikt jeszcze nie pojmował, jak to działało, jak mikrosfery powodowały tak radykalne metamorfozy. Wyeliminowano bakterie, wirusy czy jakieś inne wyhodowane organizmy. Była to kwestia czysto mechaniczna.

Oddziały wojska, pilnujące miasta przed najazdem intruzów z wszelkich możliwych massmediów i zwykłych poszukiwaczy sensacji, nadal wykonywały swoje zadania, ale żołnierze z ulgą pozbyli się gorącej odzieży ochronnej, podobnie setki naukowców i agentów FBI, którzy biwakowali w całym mieście.

Choć wiadomo było, że Sam musi wrócić do miasta w najbliższych dniach, otrzymał zezwolenie na wyjazd z Tessą i Chrissie wczesnym rankiem w piątek. Przychylnie nastawiony sąd wraz z radą składającą się z federalnych i stanowych przedstawicieli przyznali Tessie tymczasową opiekę nad dziewczynką. Cała trójka powiedziała Harry'emu „do zobaczenia wkrótce”, a nie „żegnaj” i odlecieli helikopterem FBI typu Jet Ranger.

By zapobiec sensacyjnym i nieścisłym relacjom z badań, zarządzono absolutną blokadę informacji o Moonlight Cove. Sam nie zdawał sobie w pełni sprawy z konsekwencji całej tej historii, aż dolecieli nad posterunek wojskowy przy autostradzie. Setki wozów prasowych parkowały wzdłuż drogi i na polach. Pilot leciał dostatecznie nisko, więc Sam dokładnie widział wszystkie kamery filmujące ich przelot.

– Równie tłoczno jest na drodze przy Holliwell Road, przy drugim posterunku – powiedział pilot. – Tam koczują reporterzy z całego świata, śpią na ziemi, a nie w motelu w obawie, że przebudziwszy się stwierdzą, iż do Moonlight Cove właśnie wpuszczono dziennikarzy, kiedy oni chrapali w najlepsze.

– Mogą spać spokojnie – powiedział Sam. – Miasto nie będzie otwarte ani dla prasy, ani kogokolwiek innego przez najbliższe tygodnie.

Helikopterem dotarli na Międzynarodowe Lotnisko w San Francisco, gdzie mieli trzy rezerwacje na lot liniami PSA do Los Angeles. W poczekalni Sam przeczytał kilka nagłówków w kioskach z gazetami:

SZTUCZNY UMYSŁ PRZYCZYNĄ TRAGEDII W COVE. SUPERKOMPUTER WPADA W SZAŁ.

Oczywisty nonsens. Superkomputer New Wave – Słońce – nie był sztucznie wyprodukowanym umysłem. Nic takiego jeszcze nie stworzono na ziemi, choć całe legiony naukowców prześcigały się w badaniach nad stworzeniem prawdziwego myślącego elektronicznego umysłu. Słońce nie oszalało; wykonywało jedynie polecenia, tak jak wszystkie inne komputery.

Parafrazując Szekspira, Sam pomyślał: błąd leży nie w technologii, ale w nas samych.

Współcześni ludzie jednak chętnie zrzucali winę za niepowodzenie w systemie na komputery, tak jak żyjący przed wiekami obarczali winą niesprzyjający układ planet.

Tessa w milczeniu wskazała na inny tytuł:

TAJNY EKSPERYMENT PENTAGONU PRZYCZYNĄ ZAGADKOWEJ KATASTROFY.

Dla niektórych kręgów Pentagon był ulubioną Zjawą, niemal kochaną za rzeczywiste i wyimaginowane postęпки, ponieważ wiara, że tam tkwią korzenie wszelkiego zła, czyniła życie prostszym. Tym, którzy tak myśleli, Pentagon jawił się niczym stary bełkoczący potwór stworzony przez Frankensteina, w za dużych butach i ciasnym czarnym garniturze, przerażający, ale zrozumiały i przewrotny zarazem. Stwór, którego należy unikać, ale ostatecznie łatwiejszy do zaakceptowania niż jacyś stokroć gorsi i zagadkowi złoczyńcy.

Chrissie wyciągnęła ze stojaka z prasą specjalne wydanie jednego z większych brukowców o zasięgu ogólnokrajowym, wypełnione historyjkami o Moonlight Cove. Pokazała im najważniejszy nagłówek:

KOSMICI LĄDUJĄ NA KALIFORNIJSKIM WYBRZEŻU. NIENASYCENI POŻERACZE CIAŁ NISZCZĄ MIASTO.

Chwilę patrzyli na siebie z powagą, po czym uśmiechnęli się. Chrissie śmiała się po raz pierwszy od paru dni. Co prawda nie tak bez troski i serdecznie, raczej chichotała gorzko z nutą ironii, zbyt ostrą jak na jedenastoletnią dziewczynkę, ale *był* to jednak śmiech.

Słyszac go, Sam poczuł się lepiej.

Joel Ganowicz z United Press International przebywał w pobliżu Moonlight Cove od środy rano, to przy jednym, to przy drugim posterunku. Sypiał w śpiworze na ziemi, załatwiał się w zaroślach i płacił bezrobotnemu stolarzowi z Aberdeen Walls za przynoszenie jedzenia. Pierwszy raz w całej swojej karierze tak zaangażował się i poświęcił historii, jaką miał opisać. I właściwie nie wiedział, dlaczego. Było to, oczywiście, największe wydarzenie dekady, a może nawet coś więcej. Ale dlaczego odczuwał potrzebę tkwienia tu, by dotrzeć do każdego skrawka prawdy? Dlaczego ogarnęła go taka obsesja? Własne zachowanie dziwiło go niezmiernie.

Nie był w tym odosobniony.

Choć o wydarzeniach w Moonlight Cove przez trzy dni wspomniano marginalnie w środkach przekazu, a potem ujawniono je w najdrobniejszych szczegółach na czterogodzinnej konferencji w czwartek wieczorem, choć reporterzy skrupulatnie przepytali większość z dwustu ocalałych, nikt nie był w pełni usatysfakcjonowany. Sam fakt masakry prawie trzech tysięcy ludzi, co znacznie przewyższało liczbę zmarłych w Jonestown – zaszokował czytelników prasy i widzów TV, bez względu na to, czy śledzili uważnie wszystkie szczegóły. W piątek rano nastąpiła kulminacja wydarzeń.

Joel wyczuwał, że to nie potworność faktów ani też spektakularne statystyki fascynują ludzi. To było coś głębszego.

W piątek rano, o dziesiątej, siedział w pobliżu szosy na zwiniętym śpiworze, zaledwie dziesięć jardów od policyjnego posterunku na północ od Holliwell. Wygrzewał się na słońcu w ten zdumiewająco ciepły październikowy poranek rozmyślając o sprawie. Może cała ta historia wywołała takie poruszenie, ponieważ nie chodziło tu o współczesny konflikt między człowiekiem i maszyną, ale o odwieczny konflikt natury ludzkiej między odpowiedzialnością i jej brakiem, między cywilizacją i dzikością, wykluczającymi się ludzkimi dążeniami do wiary i nihilizmu.

Nagle wstał i poszedł, z każdą chwilą coraz szybciej, jak w transie.

Nie był sam. Co najmniej połowa z dwustu ludzi koczujących przy posterunku jak na komendę ruszyła na wschód przez pole. Zdeterminowani maszerowali zwartym szeregiem, przecinając pochyłą łąkę, pokonując pokryte zaroślami wzgórza i zagajniki.

Ten tajemniczy pochód wystraszył pozostałych i kilku reporterów podążało chwilę za idącymi, wykrzykując pytania. Żaden z uczestników pochodu nie odpowiedział.

Joel czuł nieodparcie, że podąża do szczególnego miejsca, gdzie nie trzeba się już niczym przejmować, ani martwić o przyszłość. Nie wiedział, jak to magiczne miejsce wygląda, ale był pewien, że je rozpozna. Gnał do przodu podniecony, zmuszony, *przyciągany*.

Istotę schowaną w piwnicy na Kolonii Ikara opanowało dzikie pragnienie. Nieumarła, jak inne dzieci Księżycowego Jastrzębia, ponieważ mikrosferowy komputer w jej wnętrzu rozpuścił się, gdy wyzwoliła się w formie bezkształtnej masy. A zatem nie przyjęła transmitowanego przez mikrofałę rozkazu śmierci, wysłanego przez Słońce. Nawet gdyby odebrała polecenie, trafiłoby w próżnię, ponieważ stwór nie miał serca, które mogłoby zatrzymać się.

Potrzebować.

Pulsowała i skręcała się czując pragnienie, głębsze niż zwykłe pożądanie, straszniejsze niż jakikolwiek ból.

Potrzebować.

Kłapała wargami, rozsianymi po całej powierzchni. Wołała z pozoru niemym głosem, ale wezwanie to kierowała nie do uszu, lecz do umysłów ofiar.

A ofiary już nadchodziły.

Wkrótce zaspokoi pragnienia.

Kwatera oficera dowodzącego, pułkownika Lewisa Tarkera znajdowała się w parku przy wschodnim krańcu Ocean Avenue. Właśnie otrzymał pilną wiadomość od sierżanta Sperimonta, dowódcy posterunku na szosie. Zameldował on stratę sześciu z dwunastu ludzi, którzy odeszli po prostu jak zombi, z grupą może stu reporterów, również znajdujących się w transie.

– Coś się dzieje – stwierdził – cała ta historia jeszcze trwa.

Tarker natychmiast skontaktował się z Oranem Westromem z FBI, który nadzorował śledztwo w sprawie Księżycowego Jastrzębia i koordynował wszystkie wojskowe operacje.

– To nie koniec – zameldował. – Sądzę, że ci piechurzy są jeszcze dziwniejsi, niż opisał to Sperimont. *Znam* go i wiem, że przestraszył się bardziej, niż okazuje.

Westrom natychmiast wysłał helikopter FBI.

Wyjaśnił pilotowi, Jimowi Lobbowskiemu sytuację i powiedział:

– Sperimont chce, by kilku jego ludzi sprawdziło, gdzie oni, u diabła, zmierzają i dlaczego. Na wypadek trudności, obserwuj ich z powietrza.

– Wyruszam – powiedział Lobbow.

– Tankowałeś?

– Zbiorniki są pełne.

– Dobrze.

Jim Lobbow nie potrafił nic innego z wyjątkiem latania helikopterem. Trzykrotnie żenił się i rozwodził. Żył z tyloma kobietami, że gubił się już w rachunkach. Nie chciał dłuższych znajomości. Miał jedyne go syna z drugiego małżeństwa, ale nie widywał chłopca częściej niż trzy razy do roku i tylko przez jeden dzień. Chociaż wychowany w wierze katolickiej, a bracia i siostry regularnie uczęszczali na mszę, on nie interesował się tym. W niedzielę najchętniej dłużej pospał, a pracę dzień w dzień uważał za zbyt kłopotliwą. Choć marzył o własnym przedsiębiorstwie, nigdy nie rozkręcił żadnego interesu. Zawsze stwierdzał z przestrochą, że to takie pracochłonne i prędzej czy później wszystko stawało się zbyt męczące.

Ale nie było lepszego pilota, niż Jim Lobbow. Latał bez względu na pogodę, gdy inni zostawali na ziemi, lądował i startował na każdym terenie i w każdych warunkach.

Wsiadł do Jet Rangera na rozkaz Westroma i błyskawicznie dotarł do pobliskiego posterunku na szosie. Żołnierze, którzy zostali przy barykadzie, machaniem rąk skierowali go na wschód, ku wzgórzom.

Lobbow poleciał tam i po niespełna minucie zobaczył piechurów wspinających się z wysiłkiem na porośnięte krzewami wzgórze, zdzierających buty, drących ubrania, ale brnących szaleńczo do przodu. To było zadziwiające.

Usłyszał zabawne buczenie. Pomyślał, że coś nie w porządku ze słuchawkami i zdjął je na chwilę, ale buczenie nie ustawało. W rzeczywistości to nie był dźwięk, ale *uczucie*.

Co jest? – zastanawiał się.

Próbował otrząsnąć się.

Piechurzy posuwali się łukiem w kierunku wschodnio-południowym, a on leciał przed nimi, wypatrując jakiegoś szczegółu na ziemi, czegoś niezwykłego, ku czemu zmierzali. Nieoczekiwanie spostrzegł walący się dom w stylu wiktoriańskim, stodołę i rozwalone budynki gospodarcze.

Coś przyciągało go do tego miejsca.

Zatoczył kilka łuków.

Choć była to kompletna ruina, przyszła mu do głowy szaleńcza myśl, że będzie tu szczęśliwy, wolny, beztroski, pozbędzie się eks-żony i alimentów.

Od wzgórz pędzili gromadnie piechurzy. Potykali się i upadali, ale podnosili się i znów biegli.

Jim wiedział, dlaczego nadciągali. Zatoczył nad domem jeszcze jedno koło i poczuł, że to

najwspanialsze miejsce, jakie kiedykolwiek widział, źródło ukojenia. Pragnął tej wolności, wyzwolenia, bardziej niż czegokolwiek w życiu. Skierował helikopter ostro w górę, wypoziomował, zanurkował w kierunku południowym, potem na zachód, północ i wschód, znów wykonał koło i poleciał w stronę tego wspaniałego domu. Runął wprost na ganek w drzwi, które zwisały się na zawiasach, i uderzył w ścianę, przebijając się do serca domu, grzebiąc helikopter w sercu...

Potrzebować.

Niezliczone usta istoty śpiewały o pragnieniu i wiedziała, że już za chwilę nasyci się. Pulsowała z podniecenia.

Nagle wszystko zatrzęsło się potwornie. Poczula żar.

Nie skurczyła się pod wpływem gorąca, gdyż pozbyła się nerwów i złożonej biologicznej struktury, rejestrującej ból. Więc żar nie miał dla niej żadnego znaczenia z wyjątkiem tego, że nie był jedzeniem, a zatem nie zaspokajał jej pragnień.

Wciąż próbowała śpiewem przywołać to, czego pragnęła, ale szalejące płomienie wkrótce uciszyły jej usta.

Joel Ganowicz stał dwieście stóp od rudery, która eksplodowała w płomieniach. Rozszalał się ogromny pożar, ogień strzelał wysoko w czyste niebo, kłębił się czarny dym, a stare ściany zawaliły się błyskawicznie grzebiąc wszelkie pozory użyteczności. Uderzyła go fala gorąca, aż przymknął powieki i cofnął się, choć nie znajdował się zbyt blisko domu. Nie pojmował, jakim cudem niewielka ilość suchego drewna pali się tak intensywnie.

Uświadomił sobie, że nic nie pamięta. Nagle ocknął się zwrócony twarzą do budynku.

Spojrzał na pozdierane i brudne dłonie, podarte na kolanie sztruksy i zniszczone buty.

Wystraszony rozejrzał się i zobaczył dziesiątki ludzi w takim samym stanie: w poszarpanych ubraniach, brudnych i oszołomionych. Nie miał pojęcia, jak się tu dostał, ale z całą pewnością nie przypominał sobie, by wyruszył na zbiorową wycieczkę.

Natomiast bez wątpienia płonął dom. Wyglądało na to, że spali się doszczętnie i zostanie tylko piwnica pełna popiołu i zwęglonego drewna.

Zmarszczył brwi i wytarł czoło.

Coś się z nim stało... Coś... Zawodowa żyłka reportera brała górę. Powinien dowiedzieć się, co to było. Coś niepokojącego. *Bardzo* niepokojącego. Ale przynajmniej już po wszystkim.

Wstrząsnął nim dreszcz.

Gdy weszli do domu w Sherman Oaks, z góry, ze stereo Scotta dobiegała tak głośna muzyka, że w oknach drżały szyby.

Sam ruszył po schodach na pierwsze piętro, dając znak, by Tessa i Chrissie podążały za nim. Szły niechętnie, zakłopotane, nie czuły się jak u siebie, ale Sam wątpił, czy zrobi to, co musiał, jeśli wejdzie na górę w pojedynkę.

Drzwi do pokoju Scotta były otwarte.

Chłopiec leżał na łóżku w czarnych dżinsach i czarnej płóciennej koszuli. Nogi opierał o wezglówek, a głowę o poduszki w końcu materaca, i patrzył na plakaty rozwieszane na ścianie: widnieli na nich black-metalowcy ubrani w skóry i łańcuchy, niektórzy z pokrwawionymi dłońmi, inni z ustami we krwi niczym wampiry, które właśnie zakończyły posiłek, jeszcze inni trzymali czaszki, jeden dotykał jej językiem, któryś obok wyciągał ręce pełne lśniących robaków.

Scott nie usłyszał Sama. Przy takim wyciu z głośnika nie słyszałby nawet wybuchu atomowego w łazience.

Sam jeszcze zawahał się, czy właściwie postępuje. Ale z tego wrzasku, wspomaganego akordami gitary brzmiącymi jak uderzenia stalowej sztaby, wyłowił sens słów piosenki. Mówiła o zabiciu rodziców, piciu ich krwi, a potem o „ucieczce przewodami gazowymi”. Miłe. Cudowne. To zadecydowało. Wyłączył kompakt w połowie piosenki.

Scott wystraszony poderwał się na łóżku:

– Hej!

Sam wyjął płytę, upuścił ją na podłogę i zmiażdżył obcasem.

– Hej, Jezu, co ty, do cholery, wyprawiasz?

Z pięćdziesiąt kompaktów, w większości albumów black-metalowych, stało w otwartych kasetkach na półce nad stereo. Sam zmiotł je na podłogę.

– Hej, daj spokój – zaprotestował Scott – zwariowałaś?

– Już dawno powinienem to zrobić.

Chłopak zauważył Tessę i Chrissie tuż za progiem.

– Kto to jest, do diabła?

– To są, do diabła, przyjaciele – odpowiedział Sam.

Doprowadzony do wściekłości, cały spieniony, Scott spytał:

– Co one tu, kurwa, robią, człowieku?

Sam roześmiał się. Nieomal rozbawiła go ta sytuacja. Może dlatego, że w końcu zrobił coś, że przyjął na siebie odpowiedzialność za to, co się działo. Stwierdził:

– One, kurwa, są ze mną. – I znów roześmiał się.

Było mu przykro, że *naraża* Chrissie na to wszystko, ale spostrzegł, że nie tylko nie jest poruszona, ale również chichocze. Uświadomił sobie, że wszystkie gniewne i wulgarne słowa tego świata nie mogą jej zranić po ostatnich przejściach. Właściwie, po przeżyciach w Moonlight Cove nihilizm Scotta *był* zabawny i nawet nieco niewinny, słowem – śmieszny.

Wszedł na łóżko i zaczął zrywać plakaty ze ściany. Scott wrzasnął na niego z furją. Sam spokojnie skończył, zeskoczył na podłogę i zmierzał do drugiej ściany.

Chłopak chwycił go.

Odepchnął syna łagodnie i kontynuował zajęcie.

Scott uderzył go.

Nie zareagował, tylko spojrzał na syna.

Jego twarz pałała czerwienią, nozdrza rozdymały się i w oczach czaiła się wściekłość.

Uśmiechając się, Sam objął go w niedźwiedzim uścisku.

Z początku Scott najwyraźniej nie rozumiał, co się dzieje. Pomyślał, że ojciec chce go ukarać, więc próbował oswobodzić się. Ale nagle zaświtało mu – *Widział*, że stary przytula go, na Boga, i to na oczach obcych ludzi. Gdy dotarło to do niego, *naprawdę* zaczął walczyć, wykręcał się i rzucał, zdesperowany, by uciec, ponieważ to wszystko burzyło jego wiarę w istnienie świata pozbawionego miłości, zwłaszcza teraz, gdy zaczął już odpłacać ojcu pięknym za nadobne.

Na tym polegał problem, tak, do diabła. Sam wreszcie rozumiał. To był powód wyobcowania Scotta. Strach, że odwzajemni miłość i zostanie odtrącony... albo nie podoła uczuciu.

Przez chwilę chłopiec odwzajemnił czułość ojca i objął go mocniej, jakby prawdziwy Scott, dzieciak ukryty pod pancierzem buntu i cynizmu, wyrzwał na światło dzienne i uśmiechnął się. Przetrwało w nim coś dobrego i czystego, co mogło go uratować.

Ale wówczas chłopiec zaczął przeklinać ojca jeszcze bardziej wulgarnie niż poprzednio. Sam tylko objął go mocniej i mówił, jak strasznie, rozpaczliwie go kocha. Powiedział to inaczej niż wtedy, gdy zadzwonił z Moonlight Cove w poniedziałkowy wieczór. Bez tej rezerwy wywołanej bezradnością, ponieważ nie odczuwał już jej. Tym razem głos załamał się z emocji, uparcie powtarzał, że kocha go, domagając się, by ta miłość została usłyszana.

Rozplakali się obydwaj, ale Sam nie sądził, że z tego samego powodu. Chłopiec, mimo osłabienia, wciąż próbował uwolnić się, więc przytulił go mocniej i powiedział:

– Słuchaj, dzieciaku, prędzej czy później zaczniesz się o mnie troszczyć. O, tak. I będziesz wiedział, że ja dbam o ciebie, wtedy pomyślisz nie tylko o mnie, nie, przekonasz się, że potrafisz troszczyć się o całą masę ludzi, i że to jest wspaniałe. Pokochasz tę kobietę, która stoi w drzwiach, i zatroszczysz się o tę małą dziewczynkę jak o własną siostrę, *nauczysz się tego, musisz wyrzucić z siebie tę przeklętą maszynę i nauczyć się, jak kochać i być kochanym*. Odwiedzi nas facet na wózku inwalidzkim, który na przekór wszystkiemu wierzy, że życie jest warte zachodu. Może zostanie z nami jakiś czas, zorientuje się, jak mu się tu podoba i może on pokaże ci to, czego ja nie potrafiłem: że życie jest dobre i wspaniałe. I ten facet ma psa, i to jakiego psa, a ty pokochasz to psisko od razu. – Sam roześmiał się i przycisnął Scotta mocniej. – Nie możesz powiedzieć do psa: „zejdź mi z oczu” i oczekiwać, że posłucha albo przejmie się tym. Po prostu zostanie na miejscu i zniewoli cię do miłości. Ale potem pokochasz mnie, ponieważ ja właśnie stanę się takim wiernym, uśmiechniętym psem, kręcącym się tu i tam, zawsze przy boku, nieczułym na zniewagi starym psem.

Scott przestał się szamotać prawdopodobnie z wyczerpania. Sam był pewien, że tak naprawdę nie przebił się przez gniew chłopca. Jedyne zarysował nieznacznie jego pancerz. Kiedyś zło zdominowało ich życie; rezygnacja i rozpacz, które przekazał chłopcu. Czeka go bardzo ciężkie zadanie. Mieli przed sobą długą drogę, miesiące, może nawet lata szamotaniny, mnóstwo przytulania i powstrzymywania niechęci.

Ponad ramieniem syna Sam zobaczył, że Tessa i Chrissie weszły do pokoju. One również płakały. Zrozumiały, że walka o Scotta dopiero zaczęła się.

Nie, *już* zaczęła się. I to było wspaniałe. *Już*.